

Pod Różą

JUDITH McNAUGHT

# WHITNEY, MOJA MIŁOŚĆ

Przełożyła i Ska



ANGLIA

## Rozdział 1

Gdy elegancki powóz zakołysał się i przechylił na koleinach wiejskiej drogi, lady Annę Gilbert oparła policzek na ramieniu męża i westchnęła ciężko.

– Minie jeszcze godzina, nim dojedziemy, a już dręczy mnie ciekawość. Wciąż się zastanawiam, jak te Whitney teraz wygląda, gdy przestaje być już dzieckiem... - Po tych słowach lady Annę zapadła w milczenie i nieobecnym wzrokiem spoglądała przez okno na sielski angielski krajobraz, próbując wyobrazić sobie siostrzenicę, której nie widziała prawie jedenaście lat. -

Będzie śliczna niczym jej matka, po której z pewnością odziedziczyła uśmiech oraz łagodność i słodkie, ujmujące usposobienie...

Lord Edward Gilbert rzucił małżonce sceptyczne spojrzenie.

– Ujmujące usposobienie? - powtórzył jak echo z rozbawieniem i niedowierzaniem. - Nie o takich cechach pisze w swoim liście jej ojciec.

Jako dyplomata zatrudniony w konsulacie brytyjskim w Paryżu lord Gilbert był mistrzem aluzji, docinków, napomknień, wybiegów, niedomówień oraz intryg, ale w życiu osobistym wolał surową prawdę.

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć - dodał, sięgając do kieszeni i wyjmując list od ojca Whitney, po czym włożył na nos okulary i nie zważając na grymasy, zaczął czytać: - „Maniery Whitney są karygodne, a jej naganne sprawowanie zasługuje na potępienie. To samowolna, rozpuszczona dziewczyna, która wprawia mnie w zakłopotanie, a nawet desperację. W

nadziei, że z większym niż moje powodzeniem zdołacie okiełznać tę upartą smarkulę błagam, byście zabrali ją ze sobą do Paryża...”. - Edward zachichotał. - Pokaż mi, gdzie tu jest mowa o słodkim i ujmującym usposobieniu.

Annę spojrzała na męża z irytacją.

– Martin Stone to zimny, bezduszny człowiek, który nie doceniłby łagodności i dobroci Whitney, nawet gdyby były to jej jedyne cechy. Przypomnij sobie tylko, jak krzyknął i odesłał Whitney do dzieciennego pokoju tuż po pogrzebie mojej siostry.

Edward dostrzegł buntowniczy ruch podbródka żony i położył rękę na jej ramieniu w geście pojednania.

– Nie darzę tego człowieka większą sympatią niż ty, ale przyznasz, że nagła utrata młodej żony i zarzuty córki, w dodatku w obecności pięćdziesięciu osób, że zamknął mamę w skrzyni, by nie mogła uciec, mogły go zirytować.

– Ale Whitney miała wtedy zaledwie pięć lat! - zaprotestowała gorąco Annę.

– Naturalnie, lecz Martin pogra ony był w bólu. Ponadto, o ile sobie przypominam, nie z powodu tego przewinienia została odesłana do swego pokoju. To nastąpiło później, gdy wszyscy zgromadzili się w salonie, a Whitney tupiała nogą i groziła, e poskar y się na nas Panu Bogu, jeśli natychmiast nie uwolnimy mamy.

– Z jaką odwagą i energią domagała się tego, Edwardzie - zauwa yła z uśmiechem Annę. - Przez chwilę myślałam, e małeńkie piegi spadną jej z noska. Przyznaj, e była cudowna, i ty równie tak pomyślałeś.

– No có , tak... - zgodził się z zakłopotaniem. - W rzeczy samej.

Gdy powóz Edwarda Gilberta zbli ał się do posiadłości Martina Stone'a, grupka młodych ludzi zebrana na południowym trawniku niecierpliwie spoglądała ku stojącej w odległości stu metrów stajni. Drobną blondynką wygładziła ró ową marszczoną spódnicę i westchnęła tak, by pokazać bardzo pociągające dołeczki na policzkach.

– Jak sądzisz, co zamierza zrobić Whitney? - zapytała urodziwego złotowłosego młodzieńca, który stał obok niej.

Spoglądając w du e błękitne oczy Elizabeth Ashton, Paul Sevarin obdarzył ją uśmiechem, za który Whitney oddałaby wszystko, byle tylko przeznaczony był

dla niej.

– Postaraj się być cierpliwa, Elizabeth - odrzekł.

– Jestem przekonana, e nikt z nas nie ma najmniejszego pojęcia, do czego jest zdolna - odezwała się zgryźliwie Margaret Merryton. - Mo na jednak mieć całkowitą pewność, e będzie to coś niedorzecznego i naganego.

– Margaret, dzisiaj wszyscy jesteśmy gośćmi Whitney - upomniał ją Paul.

– Nie rozumiem, dlaczego jej bronisz - odrzekła cierpko panna Merryton. -

Whitney wywołuje okropny skandal, uganiając się za tobą, i dobrze o tym wiesz!

– Margaret! Powiedziałem, e dość ju tego! - przerwał jej ostro Paul Sevarin i głęboko wciągnąwszy powietrze, wbił poirytowany wzrok w swe błyszczące buty.

– Whitney istotnie robiła z siebie widowisko, uganiając się za nim i niemal wszyscy w okolicy o tym mówili. Początkowo bawiło go, i jest obiektem omdlewających spojrzeń i pełnych uwielbienia uśmiechów piętnastolatki, ale potem Whitney zaczęła ścigać go z determinacją i taktyczną precyzją Napoleona w spódnicy. Mógł być niemal pewien, e przeje d ając przez swe ziemie, spotkają na drodze. Sprawiało to wra enie, jakby miała pewien punkt obserwacyjny, z którego śledziła ka dy ruch Paula, i to dziecinne zauroczenie ju nie wydawało mu się ani tak nieszkodliwe, ani zabawne. Trzy

tygodnie temu pojechała nawet za nim do miejscowej ober y. I właśnie tam, kiedy rozkoszując się wyszeptaną ukradkiem przez córkę ober ysty propozycją późniejszego spotkania w sąsięku, podniósł wzrok, ujrzał znane jasnozielone oczy spoglądające nań zza okna. Paul uderzył kuflem piwa o stół, wyszedł na podwórze, chwycił Whitney za łokieć i bezceremonialnie wsadził na konia, zwięźle przypominając, e ojciec będzie jej szukać, jeśli sama nie zjawi się przed zmierzchem w domu. Wrócił potem do gospody i zamówił następny kufel, ale kiedy córka ober ysty, nalewając piwo, kusząco otarła się biustem o ramię Paula i ten oczami wyobraźni ju widział jej bujne nagie ciało przy swoim, para zielonych oczu zaglądała przez inne okno. Paul cisnął na drewniany stół taką ilość monet, by wystarczyło ich na ukojenie dotkniętej w swych uczuciach zaskoczonej dziewczyny i wyszedł... tylko po to, by w drodze do domu znów natknąć się na pannę Stone.

Zaczynał się czuć jak więzień pod stałym nadzorem, jego opanowanie zaś zostało doprowadzone do kresu wytrzymałości. Teraz jednak, pomyślał z irytacją, stał tutaj w kwietniowym słońcu i z jakiegoś niejasnego powodu próbował chronić Whitney przed surowym osądem towarzystwa, na jaki w pełni sobie przecie zasłu yła.

- - Chyba pójdę i zobaczę, co ją zatrzymało - powiedziała Emily Williams, śliczna dziewczyna, kilka lat młodsza od pozostałych, i pośpiesznie ruszyła przez trawnik, a potem pobiegła wzdłu białego parkanu sąsiadującego ze stajnią. Otworzywszy szeroko podwójne drzwi, zajrzała do obszernego wnętrza z rzędami boksów po obydwu stronach. - Gdzie jest panna Whitney?

- zapytała stajennego, który czyścił zgrzeblęm jakiegoś gniadego wałacha.

- W środku, panienko.

Nawet w tym słabym świetle Emily zobaczyła, e twarz mę czyzny oblała się rumieńcem. Skinął ku drzwiom prowadzącym do pomieszczenia z paszą.

Emily zapukała lekko i weszła do środka. Zamarła nagle. Miała bowiem przed sobą długie nogi Whitney Allison Stone, okryte brązowymi bryczesami, które ciasno opinały jej wąskie biodra, smukłą talię podkreślał długi pas, a nad owymi bryczesami jaśniała cienka biała koszulka.

- Zapewne nie wyjdiesz w takim stroju? -jęknęła słabo Emily, której na ten widok zabrakło tchu.

Whitney z rozbawieniem spojrzała przez ramię na zgorszona przyjaciółkę.

- Oczywiście, e nie. Wło ę jeszcze męską koszulę.

- Ale... dla... dlaczego? - nie przestawała się zdumiewać Emily.

- Bo nie sędzę, by pojawienie się w samej koszulce było właściwe, głuptasku -

wyjaśniła wesoło Whitney, zdejmując z wieszaka czystą koszulę stajennego i wsuwając ręce w rękawy.

- Wła... właściwe? - wymamrotała Emily. - Wszak to całkowicie niewłaściwe, abyś nosiła bryczesy! Sama dobrze o tym wiesz.

– To prawda. Ale inaczej nie mogłabym dosiąść konia bez siodła, z obawy, e spódnice i halki owina mi się wokół szyi, prawda? - przekonywała ją z werwą Whitney, upinając na karku długie, niesforne włosy.

– Dosiąść konia bez siodła?! Nie chcesz chyba powiedzieć, e zamierzasz jechać na koniu po męsku! Ojciec cię wydziedziczy, jeśli zrobisz to znowu.

– Nie zamierzam jeździć okrakiem - odpowiedziała Whitney, chichocząc -

choć nie rozumiem, dlaczego męczyznom wolno to robić, podczas gdy my, które jakoby jesteśmy słabszą płcią, musimy zwisać z końskiego boku, drąc przy tym oycie.

Emily nie chciała zmieniać tematu.

– Cóż więc zamierzasz zrobić?

– Doprawdy nie wiedziałam, e taka z ciebie ciekawska młoda dama, panno Williams - przekomarzała się Whitney - aby jednak zaspokoić twoją ciekawość, powiem, i zamierzam przejechać się, stojąc na końskim grzbiecie. Widziałam kiedyś na jarmarku, jak to się robi i od tego czasu ćwiczyłam. Kiedy Paul zobaczy, jak dobrze mi się to udaje, będzie...

– Będzie sądził, e straciłaś rozum, Whitney Stone! Pomyśli, e nie masz ani odrobiny poczucia przyzwoitości i e ciągle próbujesz czegoś nowego, aby tylko przyciągnąć jego uwagę – wybuchnęła Emily, ale zauważywszy wyraz uporu na twarzy przyjaciółki, szybko zmieniła taktykę. - Whitney, proszę...

pomyśl o ojcu, o tym, co powie na twój widok.

Whitney zawahała się, jakby w jednej chwili poczuła na sobie ciężar ojcowskiego zimnego spojrzenia. Najpierw głęboko wciągnęła powietrze, a potem wypuściła je i spoglądając przez okno na grupę zebraną na trawniku, odrzekła ze znużeniem:

– Ojciec jak zwykle oświadczy, e go rozczarowuję, e jestem hańbą dla niego i dla pamięci mojej matki, a potem doda, e jest szczęśliwy, i nie dożyła tego czasu i nie widzi, jaka się stałam. Następnie poświęci pół godziny na hymn pochwalny na cześć wspaniałej młodej damy, jaką jest Elizabeth Ashton, i przekonywanie mnie, e powinnam zachowywać się tak jak ona.

– Cóż, gdybyś naprawdę chciała zrobić wrażenie na Paulu, mogłabyś spróbować...

Whitney z rozgoryczeniem zacisnęła dłoń.

– Naprawdę próbuję być taka jak Elizabeth. Noszę te okropne marszczone suknie, które sprawiają, e czuję się jak bela pastelowego jedwabiu.

Ćwiczyłam siedzenie cicho całymi godzinami, bez choćby jednego słowa.

Trzepotałam rzęsami, a mi spuchły powieki.

Emily przygryzła wargę, by ukryć uśmiech, słysząc ów niepochlebny opis przesadnej afektacji Elizabeth Ashton, a potem westchnęła.

– Powiem im, e zaraz przyjdiesz.

Gdy Whitney pojawiła się na trawniku, kierując ku zebrany wierzchowca, powitały ją jęki oburzenia i szydercze chichoty.

– Spadnie - prorokowała jedna z dziewcząt -jeśli wcześniej Bóg jej nie skarze za wło enie bryczesów.

Ignorując chęć skwitowania tych słów natychmiastową ostrą ripostą, panna Stone najpierw uniosła głowę z dumną pogardą, a potem ukradkiem rzuciła spojrzenie w stronę Paula, którego urodziwa twarz była teraz pełna dezaprobaty.

Wędrował niechętnym wzrokiem od jej bosych stóp przez opięte spodniami nogi a do twarzy.

W głębi duszy Whithy zadr ała, widząc wyraźną irytację ukochanego, ale nie dała nic po sobie poznać i rezolutnie szarpnęła wodze konia.

Wierzchowiec ruszył wyćwiczonym krótkim galopem, Whitney zaś stopniowo uniosła się i wyprostowała, powoli wyciągając ramiona dla zachowania równowagi. Stojąc wyprę ona na końskim grzbiecie, okrą ała trawnik i choć nie opuszczała jej obawa,

e spadnie i zrobi z siebie

pośmiewisko, zdołała jednak zachować postawę pewnej siebie i pełnej wdzięku wolty erki.

Kończąc czwarte koło, zwróciła oczy ku gościom stojącym po lewej stronie i dostrzegając na ich twarzach wyraz osłupienia i szyderstwa, szukała tej jedynej, która miała dla niej znaczenie. Paul stał nieco na uboczu, z przyklejoną do ramienia Elizabeth Ashton, lecz mijając go, Whitney zauwa yła pełne podziwu spojrzenie ukochanego. Na ten widok przepełniło ją uczucie triumfu. Kiedy zaś zatoczyła kolejny krąg, Paul uśmiechnął się szeroko, więc serce w niej urosło i nagle wszystkie tygodnie ćwiczeń, ból mięśni i liczne siniaki przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Pan Stone obserwował córkę z wychodzącego na południowy trawnik okna salonu. Lokaj zaanonsował mu właśnie przybycie lady i lorda Gilbertów. Nazbyt rozwścieczony nowym wybrykiem Whitney, by cokolwiek powiedzieć, Martin zacisnął szczęki i powitał szwagierkę oraz jej mę a krótkim skinieniem głowy.

– Jak... jak miło widzieć cię znowu, kochany szwagrze, po tak wielu latach -

skłamała z wdziękiem lady Annę, kiedy zaś pan domu zachował lodowate milczenie, dodała: - Gdzie jest Whitney? Tak bardzo pragniemy ją zobaczyć.

Martin w końcu odzyskał głos.

– Zobaczyc Whitney? - warknął wściekle. - Nic prostszego, madame, proszę tylko wyrzeć przez okno.

Zdezorientowana Annę zrobiła, co powiedział. Na trawniku stała grupka młodych ludzi, przyglądając się smukłemu chłopcu, który balansował na galopującym koniu.

– Jaki zręczny młodzieniec! - zawołała ze śmiechem.

To proste stwierdzenie najwyraźniej przebiło się przez lodowatą wściekłość Martina, popychając go do gwałtownego działania. Odwrócił się na pięcie i pomaszerował ku drzwiom.

– Jeśli pragnie pani przywitać się z siostrzenicą, proszę iść ze mną. Mogę te oszczędzić nam wszystkim przykrości i przyprowadzić ją tutaj.

Utkwiwszy poirytowany wzrok w plecach szwagra, Annę wsunęła rękę pod ramię mał onka i razem wyszli przed dom.

Kiedy dotarli do grupki młodzie y, lady Gilbert, usłyszawszy szepty i śmiechy, odniosła niejasne wrażenie, e ich ton jest nieco złośliwy, ale szukając wzrokiem siostrzenicy, zbyt była zaabsorbowana baczny przyglądaniem się twarzom młodych panien wokoło, by owemu przelotnemu odczuciu poświęcić większą uwagę. Pominąwszy dwie blondynki i jedną rudowłosą młodą damę, uwa nie przypatrywała się drobnej, niebieskookiej brunetce, a potem bezradnie zwróciła się do stojącego obok młodzieńca.

– Przepraszam, nazywam się Annę Gilbert, jestem ciotką Whitney. Czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie znajdę moją siostrzenicę?

Paul Sevarin uśmiechnął się do przybyłej na poły ze współczuciem, na poły z rozbawieniem.

– Pani siostrzenica siedzi właśnie na koniu, lady Gilbert - odpowiedział.

– Na tym... - Lordowi Gilbertowi zdumienie odebrało mowę.

Wzrok Whitney pobiegł ku ojcu, zmierzającemu ku niej długimi, szybkimi krokami.

– Proszę, nie rób widowiska, papo - szepnęła, gdy znalazł się blisko.

– Czy to ja robię z siebie widowisko? - krzyknął wściekle i sięgnąwszy do końskiej uzdy, chwycił galopującego wierzchowca tak mocno, e wyszarpnął

go spod córki.

Whitney uderzyła stopami o ziemię, straciła równowagę i niemal upadła, podpierając się rękami. Gdy wstała, ojciec szorstko chwycił ją za ramię i pociągnął ku przybyłym.

– To... to coś - odezwał się, popychając Whitney ku ciotce i wujowi -jest waszą siostrzenicą.



Whitney usłyszała zduszone chichoty oddalającego się pośpiesznie towarzystwa i poczuła, e twarz zaczyna palić ją ze wstydu.

– Witam, ciociu. Dzień dobry, wuju. - Śledząc wzrokiem oddalającą się barczystą postać Paula, sięgnęła odruchowo do spódnicy, a uświadomiwszy sobie, e jej na sobie nie ma, dygnęła komicznie bez owego niezbędnego damskiego stroju, a na widok niezadowolenia ojca obronnym gestem uniosła podbródek. - Mo esz być pewna, ciociu, e w ciągu tego tygodnia, jaki tu spędzicie, doło ę starań, by ponownie nie zrobić z siebie pośmiewiska.

– W ciągu tygodnia, jaki tu spędzimy...?

Ciotce wprost zabrakło tchu, ale Whitney była tak zajęta obserwowaniem swego ukochanego, który pomagał Elizabeth wsiąść do dwukółki, e nawet nie zauważyła zdumienia w głosie lady Anne.

– Do widzenia, Paul! - zawołała, machając ku niemu zawzięcie.

Sevarin odwrócił się i uniosł rękę w geście poegnania.

Śmiech przyplłynął ponownie, gdy powozy potoczyły się po podjeździe, zabierając pasa erów na jakiś piknik lub jedną z owych wesołych zabaw, na które Whitney nigdy nie zapraszano, gdy była za młoda.

Idąc z powrotem do domu, Anne czuła, i kłębią się w niej sprzeczne myśli.

Wstydziała się za Whitney, była wściekła na Martina Stone'a za upokorzenie córki przed pozostałymi młodymi ludźmi, a tak e nieco oszołomiona widokiem własnej siostrzenicy hasającej na końskim grzbiecie w męskich bryczesach, i kompletnie zaskoczona odkryciem, e Whitney, której matkę natura obdarzyła jedynie przeciętną urodą, zapowiadała się na prawdziwą piękność. Teraz wydawała się jeszcze zbyt szczupła, ale nawet w zaenowaniu ramiona trzymała wyprostowane, a jej chód był pełen naturalnego wdzięku. Anne uśmiechnęła się do siebie samej, widząc te łagodnie zaokrąglone biodra, które tak korzystnie, choć niemal niemoralnie prezentowały się dzięki wąskim spodniom; smukłą talię, z pewnością niewymagającą adnych sztuczek, by sprawiać wraenie jeszcze smuklejszej; oczy, które pod firankami długich i czarnych jak smoła rzęs wydawały się zmieniać barwę ze szmaragdowej w nefrytową. I te włosy! Gęste pukle barwy głębokiego mahoniowego brązu! Potrzebowały jedynie dobrego ułożenia i wytrwałego szczotkowania a do połysku. Ciotkę wprost świerzbiły palce, by się do tego zabrać. W myślach ju upinała loki siostrzenicy tak, by pokazać jej niezwykle oczy i wysokie kości policzkowe. Trzeba odsłonić tę twarz, zaplatając włosy w koronę, z lekkimi lokami przy uszach, lub szesać gładko z czoła, by łagodnymi, miękkimi falami opadały na kark, postanowiła lady Anne.

Gdy tylko weszli do domu, Whitney wymamrotała jakieś przeprosiny i umknęła do swego pokoju. Tam przygnębiona opadła na fotel i ponuro rozważała upokarzającą scenę, jakiej właśnie był świadkiem Paul, gdy ojciec tak niegodziwie wyrwał spod niej konia, a potem krzyczał głośno. Bez wątpienia ciocia i wujek byli podobnie jak papa zaszokowani i oburzeni zachowaniem Whitney, i teraz policzki paliły ją ze wstydu na samą myśl o tym, jak musieli na nią się gniewać.

- Whitney... - szepnęła Emily, wślizgując się do pokoju i starannie zamykając za sobą drzwi. - Weszłam tylnym wejściem. Czy twój ojciec jest bardzo zły?

- Po prostu wściekły - przyznała się winowajczyni, spoglądając na swoje nogi obciążone spodniami. - Chyba wszystko dzisiaj popsułam, prawda? Goście się ze mnie śmiali, a Paul to widział i słyszał. Teraz, gdy Elizabeth ma już siedemnaście lat, na pewno jej się oświadczy, zanim zdoła zrozumieć, że kocha tylko mnie.

- Ciebie? - powtórzyła oszołomiona przyjaciółka. - Ale Whitney, Paul unika cię jak zarazy i dobrze o tym wiesz! Kto by go zresztą o to winił po owych niefortunnych wypadkach, jakie na niego ściągnęłaś w minionym roku.

- Wcale nie było ich tak wiele - zaprotestowała Whitney, ale skurczyła się w fotelu.

- Nie? A ta sztuczka, którą odegrałaś przed Paulem w wigilię Wszystkich Świętych, gdy wybiegłaś przed jego bryczkę i jęczałaś jak potępiona, udając zjawę, by go przerazić?

Whitney oblała się rumieńcem.

- Nie był o to bardzo zły - odpowiedziała - a jego bryczka wcale nie została zniszczona, złamał się tylko dyszel.

- I noga Paula - przypomniała jej Emily.

- Noga zrosła się idealnie - odparła bez troski Whitney, przeskakując myślą od minionych niepowodzeń w przyszłość, po czym wstała z fotela i zaczęła powoli przechadzać się tam i z powrotem.

- Musi przecie być jakiś sposób... z wyjątkiem porwania Paula. - Figlarny uśmiech zajaśniał na jej umorusanej twarzy, gdy dziewczyna odwróciła się tak szybko, że niemal wcisnęła Emily w fotel.

- Jedno jest całkiem jasne; Paul jeszcze nie wie, że mu na mnie zależy, prawda?

- Raczej nie ma zamiaru ruszyć w twoją stronę - ostro nie odpowiedziała Emily.

- A zatem bezpiecznie byłoby uznać, że jest mało prawdopodobne, by mi się oświadczył bez jakiegś dodatkowej zachęty. Czy nie mam racji?

- Nawet groźbą pistoletu nie zdołasz sprawić, aby ci się oświadczył, i dobrze o tym wiesz. Poza tym nie osiągnęłaś jeszcze odpowiedniego wieku, więc nawet gdyby...

- A w jakich okolicznościach - przerwała jej nieustępliwie Whitney -

gentelmen zobowiązany jest oświadczyć się damie?

-

adne okoliczności nie przychodzą mi do głowy. Z wyjątkiem tej, oczywiście, gdy ją skompromituje...  
Wszak e... Absolutnie nie! Whitney, cokolwiek teraz planujesz, ja ci w tym nie pomogę!

Whitney z westchnieniem opadła na fotel i wyciągnęła przed siebie nogi.

Zachichotała drwiąco, gdy zamyśliła się nad oczywistym zuchwalstwem tego pomysłu.

– Gdybym tylko zdołała założyć je... no, wiesz, obłuzowane koło... na oś powozu Paula... w taki sposób, aby spadło później, a następnie poprosić, aby mnie gdzieś zawiózł. Potem, zanim wrócilibyśmy piechotą bądź te nim przybyłaby pomoc, zrobiłaby się późna noc i Paul musiałby się o mnie oświadczyć - marzyła głośno, nie bacząc na zgorszona minę przyjaciółki. -

Pomyśleć tylko, jaki cudowny obrót przybrałby stary schemat: młoda dama uwodzi eleganckiego d entelmena i rujnuje jego opinię, tak i to ona zmuszona jest poślubić młodzieńca, by naprawić sytuację. Jaką wspaniałą powieść można by napisać - zakończyła poruszona własną pomysłowością.

– Wychodzę - powiedziała Emily i ruszyła ku drzwiom, ale w połowie drogi zawahała się i ponownie odwróciła do przyjaciółki. - Twoja ciocia i wuj wszystko widzieli. Co zamierzasz im powiedzieć o tych spodniach i koniu?

Whitney spochmurniała.

– Nie zamierzam niczego im mówić. Na nic by się to nie zdało, ale dopóki tu pozostanę, będę

najpoważniejszą,

najsubtelniejszą

i

najbardziej

dystygowaną młodą damą, jaką kiedykolwiek widziałas - oświadczyła, a zobaczywszy w oczach Emily zwątpienie, dodała: - Zamierzam te schodzić wszystkim z oczu i pokazywać się wyłącznie w porach posiłków. Myślę, że przez trzy godziny dziennie potrafię zachowywać się jak Elizabeth.

Whitney dotrzymała obietnicy. Tego wieczoru, przy kolacji, po wysłuchaniu przyprawiającej o dreszcze opowieści o yciu w Bejrucie, wtedy gdy wuj został

wysłany na pewien czas do tamtejszego konsulatu brytyjskiego, wykrztusiła z siebie tylko cztery słowa.

– Jakże to ciekawe, wuju - powiedziała niezwykle powściągliwie, chociaż paliła się wprost, by zasypać go pytaniami.

Słuchając lady Annę, opisującej uroki Pary a i ycia towarzyskiego w stolicy Francji, zachowała się podobnie.

– Jakie to zajmujące, ciociu - mruknęła, a kiedy kolacja dobiegła końca, podziękowała grzecznie i zniknęła.

Po trzech dniach wysiłków, jakie podejmowała Whitney, by być albo powa ną, albo... nieobecną, przyniosły taki skutek, e lady Annę zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę w dniu przyjazdu widziała w siostrzenicy ową iskierkę ognia, czy te Whitney powzięła jakąś niechęć do niej i do Edwarda.

Czwartego dnia, gdy dziewczyna zjadła śniadanie i zniknęła, zanim wszyscy domownicy wstali, Annę postanowiła poznać prawdę. Przeszukała dom, ale nie znalazła siostrzenicy w adnym pomieszczeniu. Nie było jej równie w ogrodzie, a słu ący powiedział, e nie wzięła te konia ze stajni. Mru ąc oczy przed słońcem, Annę rozglądała się dokoła, próbując wyobrazić sobie, dokąd mogła pójść piętnastoletnia panna na cały dzień.

Ze szczytu jednego z pagórków otaczających posiadłość dostrzegła plamę jasnej ółci.

– A więc tam jesteś! - odetchnęła z ulgą i otwierając parasolkę, ruszyła prosto przez trawnik.

Whitney nie widziała zbli ającej się ciotki, a było ju za późno, by uciec.

ałując, e nie znalazła lepszej kryjówki, próbowała wymyślić jakiś bezpieczny temat, na który potrafiłaby rozmawiać, nie wydając się ignorantką. Stroje? Nic nie wiedziała o modzie, a przejmowała się nią jeszcze mniej, gdy było jej całkiem obojętne, co nosiła. Przede wszystkim zaś, có mogłyby zdziałać stroje, by poprawić wygląd kogoś, kto ma kocie oczy, włosy koloru brunatnego błota i piegi na nosie? Poza tym jest zbyt wysoka i za chuda, a jeśli dobry Bóg zamierzał kiedykolwiek obdarzyć ją biustem, to bardzo się ju z tym podarkiem spóźnia.

Z osłabłymi kolanami i piersią unoszącą się przy ka dym oddechu Annę pokonała wzniesienie, po czym bezceremonialnie opadła na pled obok siostrzenicy.

– Sądziłam... e zrobię sobie... miłą przechadzkę... - skłamała, a kiedy w końcu odzyskała oddech, zauwa yła oprawną w skórę otwartą ksią kę, która le ała grzbietem do góry. Chwytając się literatury jako tematu konserwacji, zapytała: - Czy to jakaś romantyczna powieść?

– Nie, ciociu - odrzekła powa nie Whitney, starannie kładąc dłoń na tytule ksią ki, by ukryć go przed oczami lady Gilbert.

– Mówiono mi, e większość młodych dam uwielbia romantyczne powieści -  
spróbowała ponownie lady Annę.

– Tak, ciociu - uprzejmie przyznała Whitney.

– Przeczytałam kiedyś jedną, ale mi się nie spodobała. - Lady Annę nie dawała za wygraną, szukając w myślach jakiegoś innego tematu, który mógłby zainteresować dziewczynę. - Nie podobają mi się

bohaterki ani zbyt doskonałe, ani ciągle omdlewające.

Whitney była tak zdumiona odkryciem, że nie jest jedyną kobietą w Anglii, która nie czyta ckliwych romansideł, i natychmiast zapomniała o swoim postanowieniu rozmawiania jedynie monosylabami.

– A jeśli nawet owe heroiny ciągle nie mdleją - dodała z roześmianą twarzą -

to wciąż wylegują się z buteleczkami soli trzeźwiących pod bokiem, nieustannie cierpiąc na migrenę i usychając z tęsknoty za jakimiś słabowitymi d entelmenami, którzy albo nie mają dość odwagi, by się oświadczyć, albo ju oświadczyli się innym, bezwartościowym lalkom. Ja nie mogłabym le eć beczynn timer, wiedząc, że mę czyzna, którego kocham, obdarzył uczuciem jakąś okropną kobietę. -

Pospiesznie rzuciła okiem na ciotkę, by zobaczyć, czy jest tym zgorszona, ale lady Annę tylko jej się przyglądała z dziwnym błyskiem w kącikach oczu. - Ciociu Annę, czy naprawdę mogłabyś pokochać mę czyznę, który padłby na kolana ze słowami:

„Och, Clarabello, twoje usta są jak płatki czerwonych ró , a twoje oczy to dwie gwiazdy na firmamencie niebios...”? - zapytała i zaraz dodała z pogardliwym parsknięciem: - Oto, kiedy szybko skoczyłabym po sole trzeźwiące.

– Ja te ! - odparła ze śmiechem Annę. - Cóż więc zwykle czytasz, jeśli nie te okropnie ckliwe romanse? - Wyciągnęła książ kę spod dłoni Whitney i spojrzała na złoty tłoczony tytuł. - „Iliada”? - zapytała z niedowierzaniem.

Lekki wiatr przerzucił karty książ ki i zdumiony wzrok lady Annę powrócił

znad druku do napiętej twarzy siostrzenicy. - Ale to po grecku! Nie chcesz chyba powiedzieć, że znasz grekę?!

Whitney potwierdziła, a jej twarz zapłonęła z upokorzenia. Teraz wujostwo pomyślą, że jest sawantką, co stanie się kolejnym zarzutem.

– Znam te łacinę, włoski, francuski i podstawy niemieckiego.

– Wielki Bo e - westchnęła Annę. - Jak się nauczyłaś tylu języków?

– Mimo tego wszystkiego, co mówi o mnie ojciec, ciociu Annę, jestem tylko wesoła, a nie głupia, i zadręczałam go na śmierć, dopóki nie sprowadził mi nauczycieli języków i historii - wyjaśniła Whitney, po czym umilkła, przypominając sobie, jak niegdyś sądziła, że jeśli przyło y się do nauki, jeśli będzie bardziej przypominać chłopca, to mo e ojciec ją pokocha.

– Zdajesz się zawstydzona tymi osiągnięciami, chociaż powinnaś być z nich dumna.

Spojrzenie dziewczyny pobiegło ku domowi, widocznemu w kotlinie.

– Jestem pewna, że wiesz, i wszyscy uważają kształcenie kobiet za stratę czasu. Zresztą nie mam żadnych kobiecych umiejętności ani uzdolnień. Nie potrafię zrobić ani jednego ściegu, który nie wyglądałoby tak, jakby wykonał

go ociemniały, a kiedy śpiewam, myśliwskie psy ojca zaczynają wyć. Pan Tittsworth, nasz miejscowy nauczyciel muzyki, powiedział, e moja gra na fortepianie przyprawia go o wysypkę. Nie potrafię robić tego, czym powinny zajmować się dziewczęta, a co wa niejsze: nie znoszę tych wszystkich kobiecych zajęć. - Whitney pomyślała, e teraz ciotka podzieli ogólną niechęć otoczenia; uznała jednak,

e tak nawet będzie lepiej, gdy

przynajmniej mo e przestać się bać tego, co nieuchronne. Spojrzała więc na lady Annę zielonymi, wyrazistymi oczami. \_ Papa z pewnością powiedział ci o mnie wszystko. Jestem jego wielkim rozczarowaniem. Chce, ebym była tak dobrze ułożona, powa na, stateczna i spokojna jak Elizabeth Ashton.

Próbuję, ale wydaje mi się, e nie zdołam tego osiągnąć.

W sercu lady Annę pojawiła się miłość do tego ślicznego, wra liwego, zakłopotanego dziewczęcia, które było przecie dzieckiem jej siostry.

- Twój ojciec pragnie mieć córkę jak kameę: delikatną, jasną, ślicznie wyczelowaną - powiedziała tkliwie, kładąc dłoń na policzku Whitney. - Ma natomiast córkę, która jest diamentem pełnym blasku oraz ycia, ale nie wie, co z nią zrobić. Zamiast docenić wartość i wyjątkowość owego klejnotu, zamiast oszlifować nieco ów diament i pozwolić mu lśnić, nie ustaje w próbach uczynienia z nie-go pospolitej kamei.

Whitney myślała o sobie raczej jako o bryle węgla, ale nie chcąc odbierać złudzeń lady Annę, zachowała milczenie. Po odejściu ciotki ponownie sięgnęła po ksią kę, lecz niebawem jej myśli ponownie odbiegły od zadrukowanych stron ku marzeniom o Paulu.

Gdy tego wieczoru pojawiła się w jadalni, panowała tam dziwnie napięta atmosfera i nikt nie zwrócił uwagi na obecność dziewczyny.

- Kiedy zamierzasz powiedzieć córce, e jedzie z nami do Francji, Martinie? -

pytał gniewnie wuj. - A mo e chcesz poczekać do naszego wyjazdu i wtedy po prostu wrzucisz nam to dziecko do powozu?

Świat zawirował jak szalony i przez chwilę Whitney myślała, e zemdleje.

Przystanęła, próbując opanować dr enie i przełknąć dławiącą kulę, która utkwiała jej w gardle.

- Czyja gdzieś jadę, ojczy? - zapytała, starając się nadać głosowi spokojne i obojętne brzmienie.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę, a twarz ojca stę ała w wyrazie zniecierpliwienia i irytacji.

- Do Francji - odrzekł krótko. - Zamieszkas tam z ciocią i wujkiem, którzy spróbują zrobić z ciebie damę.

Starannie unikając ich wzroku, eby nie załamać się przy stole, Whitney osunęła się na krzesło.

– Czy poinformowałaś ju moją ciocię i wuja o ryzyku, jakie podejmują? -

zapytała, wytę ając wszystkie siły, aby ojciec nie zobaczył, jaki cios zadał jej sercu, a następnie spojrzała chłodno na zakłopotane twarze wujostwa. -

Ojciec chyba nie wspomniał, e ryzykujecie niesławę, zapraszając mnie do siebie. Jak zapewne wam powie, mam szkaradne usposobienie i okropne maniery, jak równie brak mi nawet najmniejszego pojęcia o uprzejmej konwersacji.

Ciotka patrzyła na Whitney z wyraźnym alem, natomiast wyraz twarzy jej ojca był niewzruszenie kamienny.

– Och, papo - mówiła dalej dziewczyna - czy naprawdę tak mną gardzisz?

Naprawdę nienawidzisz mnie tak bardzo, e chcesz, abym zniknęła ci z oczu?

- szeptała, nie wstrzymując napływających łez, po czym wstała. - Czy... czy zechcecie mi wybaczyć... nie jestem dziś głodna.

– Jak mogłeś! - wykrzyknęła Annę po wyjściu Whitney, wstając z krzesła i ze złością spoglądając na Martina Stone'a. - Jesteś najbardziej bezdusznym i nieczułym człowiekiem, jakiego znam! Wyrwanie tego dziecka z twoich szponów będzie dla nas prawdziwą przyjemnością. Fakt, e wytrzymała tutaj tak długo, świadczy o sile jej charakteru. Jestem pewna, e nie zdołałabym prze yć w tym domu tylu lat.

– Nazbyt subtelnie interpretujesz jej słowa, madame - odparł lodowato Martin.

- Zapewniam cię, e tym, co sprawia, i Whitney wydaje się taka poruszona, nie jest perspektywa rozstania ze mną. Ja tylko kładę zdecydowany kres jej niewczesnym planom dalszego ośmieszania się przed Paulem Sevarinem.

## Rozdział 2

Wiadomość, e córka Martina Stone'a wyje d a do Francji, rozeszła się wokół równie szybko jak płomień biegnący przez suche zarośla. W sennej wiejskiej okolicy, której mieszkańcy byli powściągliwi i pełni rezerwy, Whitney Stone znów dostarczyła wszystkim smakowitego kąska emocji.

Na wybrukowanych kocimi łbami uliczkach miasteczka, w domach bogatych i biednych, kobiety młode i leciwe gromadziły się, aby omawiać najnowszą plotkę. Z wielkim upodobaniem i wszystkimi szczegółami roztrząsały kolejne gorszące wyczyny Whitney, zaczynając od przypomnienia, jak pewnej niedzieli, gdy miała osiem lat, wypuściła w kościele ropuchę, a kończąc na zdarzeniu z minionego lata, gdy spadła z drzewa, śledząc Paula Sevarina, który siedział pod nim z jakąś młodą damą.

Dopiero gdy szczegółowo przypomniano sobie wszystkie owe wyczyny, zaczęto się zastanawiać nad

powodami, dla których Martin Stone wreszcie zdecydował się wysłać córkę do Francji.

Panowało dość powszechne przekonanie, e prawdopodobnie ta niezdolna dziewczyna doprowadziła swego nieszczęsnego, udręczonego ojca do ostateczności, gdy pojawiła się przed gośćmi w męskich spodniach. Ponieważ jednak miała tak wiele innych wad, wystąpiły te pewne rozbieżności zdań w kwestii tego, co dokładnie przywiodło jej ojca do podjęcia tak zdecydowanych działań. Jeśli jednak było coś, z czym zgadzali się wszyscy, to fakt, i największą ulgę poczuje Paul Sevarin, gdy Whitney odjedzie tak daleko.

Przez następne trzy dni sąsiedzi Martina Stone'a wręcz gromadnie przybywali do jego domu; oficjalnie po to, aby, jak mówili, złożyć uszanowanie lordostwu Gilbertom oraz poegnąć Whitney. Wieczorem, przed wyruszeniem do Francji, lady Annę siedziała w salonie, odbywając jedną z owych towarzyskich pogawędek z trzema damami i ich córkami. Jej uśmiech był raczej zdawkowy niż przyjacielski, gdy ze źle skrywaną irytacją słuchała przybyłych, które udając uciążliwość, czuły wręcz chorobliwą przyjemność, opowiadając ze szczegółami o licznych młodzieńczych wybrykach jej siostrzenicy. Pod pretekstem serdecznego z troską jasno dawały do zrozumienia, e w

powszechnym mniemaniu Whitney w Paryżu narobi sobie wstydu, zburzy spokój lady Annę i prawdopodobnie zrujnuje dyplomatyczną karierę lorda Edwarda. Kiedy wreszcie zaczęły się wychodzić, lady Anna wstała, aby poegnąć się z nimi uprzejmie, a potem opadła na fotel z oczami błyszczącymi gniewną determinacją. Martin Stone, nieustannie krytykując córkę w obecności innych ludzi, uczynił własne dziecko celem ogólnych drwin i lokalnym pośmiewiskiem. Teraz lady Anna pragnęła jedynie wywieźć Whitney jak najdalej od owych ograniczonych sąsiadów i pozwolić jej rozkwitnąć w Paryżu, gdzie atmosfera towarzyska nie była tak przygnębiająca.

W drzwiach salonu pojawił się lokaj.

– Przyszedł pan Sevarin, jaśnie pani - zaanonsował.

– Wprowadź go, proszę - poleciła lady Anna, starannie ukrywając zadowolenie z nieoczekiwanego faktu, e oto obiekt dziecięcych uczuć Whitney pragnie z nią się poegnąć. Owa przyjemność zbladła jednak, gdy młody człowiek wszedł do salonu w towarzystwie uderzająco ładnej blondynki.

Lady Anna nie miała wątpliwości, e skoro wszyscy w okolicy zdawali sobie sprawę, i Whitney go uwielbia, to Paul również o tym wiedział. Pomyślała więc, e wielką niedelikatnością z jego strony jest przyprowadzenie innej młodej kobiety, skoro przyszedł poegnąć się z dziewczyną, która go tak adoruje.

Przyglądała mu się, gdy podchodził bliżej, i usiłowała dostrzec w nim coś, co mogłaby skrytykować, ale niczego takiego nie znalazła. Paul Sevarin był

wysokim i urodziwym młodzieńcem o łagodnym wdzięku zamożnego, dobrze ułożonego prowincjonalnego d entelmena.

– Dobry wieczór, panie Sevarin - powiedziała z chłodną uprzejmością. - Moja siostrzenica jest w ogrodzie.



W odpowiedzi na to powitanie błękitne oczy Paula zajaśniały uśmiechem, jakby młodzieniec domyślał się powodu takiej powściągliwości.

– Wiem - odrzekł. - Miałem jednak nadzieję, że zechce pani przyjąć Elizabeth, gdy ja pójdę się po egnąć z Whitney.

Lady Annę mimowolnie złagodniała.

– Będzie mi bardzo miło - powiedziała yczliwie.

Whitney wpatrywała się posepnie w zacienione krzewy ró . Siedzącą w salonie ciotkę niewątpliwie raczono zarówno kolejnymi opowieściami o przeszłości siostrzenicy, jak i najgorszymi przewidywaniami na przyszłość.

Emily pojechała z rodzicami do Londynu, a Paul... Paul nawet nie przyszedł się po egnąć. Nie eby go specjalnie oczekiwała, ale... Prawdopodobnie wraz z przyjaciółmi świętuje jej wyjazd. I właśnie w tej chwili z ciemności dobiegł jego głęboki, czarujący głos.

– Witaj, śliczna damo.

Whitney spojrzała za siebie. Stał tu za nią, z ramieniem jak zwykle opartym o pień drzewa. W księycowej poświacie jego śnie nobiały gors i kołnierzyk wprost lśniły na tle niemal niewidocznej czerni surduta.

– Opuszczasz nas, jak słyszę - powiedział.

Whitney bez słowa skinęła głową. Próbowwała utrwalić w pamięci właściwy odcień jasnych włosów ukochanego i ka dy rys jego urodziwej, oświetlonej księycem twarzy.

– Będiesz za mną tęsknić? - zapytała.

– Oczywiście. - Zaśmiał się cicho. - Bez ciebie będzie tu bardzo nudno, młoda damo.

– Tak, wyobra am to sobie - wyszeptała Whitney, opuszczając głowę. - Któ inny będzie spadać z drzewa, eby popsuć ci piknik, kto złamie ci nogę albo...

– Nikt. - Paul przerwał ten potok samooskar eń. Whitney podniosła ku niemu oczy.

– Zaczekasz na mnie?

– Będę tutaj, gdy wrócisz, jeśli to masz na myśli - odpowiedział wymijająco.

– Wiesz przecie , e nie o to mi chodzi! - Whitney nalegała z desperacją. -

Mam na myśli to, czy mógłbyś nie enić się z adną inną, zanim ja... -

przerwała zakłopotana.

Dlaczego, zastanawiała się gorączkowo, zawsze postępowała z nim w ten sposób? Czemu nie potrafiła być chłodna i zalotna jak inne dziewczęta?

– Whitney - odrzekł stanowczym tonem Paul - wyjedziesz i zapomnisz o mnie, a pewnego dnia zdziwisz się, dlaczego w ogóle prosiłaś, abym na ciebie zaczekał.

– Ju się nad tym zastanawiam - przyznała się zgnębiona. Wzdychając z irytacji i współczucia, Paul delikatnie ujął podbródek dziewczyny, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

– Będę czekać niecierpliwie, by zobaczyć, jak dorosłaś - zapewnił ją z powściągliwym uśmiechem.

Niczym zahipnotyzowana wpatrywała się w jego urodziwą roześmianą twarz i po chwili popełniła największy błąd. Impulsywnie wspięła się na palce, zarzuciła ukochanemu ręce na szyję i wycisnęła pośpieszny pocałunek tu obok jego ust. Burknąwszy coś pod nosem, Paul ściągnął z ramion ręce Whitney i siłą ją odsunął.

Łzy złości na samą siebie popłynęły po twarzy dziewczyny.

– Przepraszam, Paul... Nie... nie powinnam tego robić.

– W rzeczy samej. Nie powinnaś - zgodził się, po czym sięgnął do kieszeni, szybkim gestem wyjął małe puzderko i po prostu wsunął jej w dłoń. -

Przyniosłem ci prezent po egualny.

Nastrój Whitney poprawił się w jednej chwili.

– Prezent? Dla mnie? - upewniała się, drącymi palcami unosząc wieczko i spoglądając w zdumieniu i zachwycie na małą kameę zawieszoną na cienkim złotym łańcuszku. - Och, Paul... - wyszeptwała z lśniącymi oczami. - To najpiękniejszy, najcudowniejszy podarunek! Będę go strzec przez całe życie.

– To tylko pamiątka - powiedział ostro nie. - Nic więcej. Whitney niemal go nie słyszała, z czcią i tkliwością gładząc kameę.

– Sam ją dla mnie wybrałeś?

Młody człowiek z zakłopotaniem zmarszczył brwi. Tego dnia pojechał do miasteczka, by wybrać jakąś gustowną i kosztowną błyskotkę dla Elizabeth.

Właściciel sklepu ze śmiechem napomknął, e skoro panna Stone wyje d a do Francji, Paul z pewnością ma ochotę uczcić odzyskanie wolności. Rzeczywiście był w radosnym nastroju. W nagłym odruchu poprosił więc jubilera, aby wybrał

coś odpowiedniego dla piętnastolatki i a do chwili, gdy Whitney otworzyła pudełeczko, Paul nie miał pojęcia, co się tam znajdowało. Jaki jednak był sens, eby jej o tym mówić? Przy odrobinie szczęścia ciotka i wuj znajdą jakiegoś naiwnego Francuza, który ją poślubi i oka e się dość uległy, by nie narzekać na wybryki Whitney. Ju gotów był odruchowo wyciągnąć ręce, chcąc przekonać ją, by

wykorzystała wszystkie możliwości we Francji, lecz zamiast tego przytrzymał dłonie przy sobie.

– Wybrałem ją sam... jako podarunek od przyjaciela dla przyjaciółki -

powiedział wreszcie powściągliwym tonem.

– Ale ja nie chcę być tylko twoją przyjaciółką - wybuchnęła Whitney, lecz po chwili, opanowując się, dodała z westchnieniem: -Pozycja twojej przyjaciółki jest wspaniała... tymczasem.

– W takim razie - odrzekł z rozbawioną miną - przypuszczam, że będzie rzeczą całkowicie stosowną, jeśli dwoje przyjaciół wymieni po równym pocałunek.

Z uśmiechem radosnego zdumienia Whitney uniosła ku niemu usta, lecz wargi młodzieńca musnęły tylko jej policzek. Kiedy zaś otworzyła oczy, Paul szedł już przez ogród, zmierzając z powrotem do domu.

– Paulu Sevarin - wyszeptała z determinacją - całkiem zmienię me we Francji, a gdy wrócę, oenisz się ze mną!

Gdy statek pocztowy, na który wsiedli w Portsmouth, kołysząc się i opadając, płynął przez wzburzony kanał La Manche, Whitney ułała przy burcie z oczami utkwionymi w nienawne wybrzeża Anglii. Morska bryza wdarła się pod rondko jej kapelusza, szarpiąc nim tak, że teraz zawisł na wstążkach, a rozwiane włosy smagały policzki. Whitney wpatrywała się w ojczystą ziemię, wyobrażając sobie własny wygląd, gdy ponownie przepłynie kanał. Naturalnie wiadomość o jej powrocie znajdzie się w gazetach: „Panna Whitney Stone, najnowsza piękność Paryża, wraca w tym tygodniu do swej ojczystej Anglii”. Lekki uśmiech pojawił

się na ustach dziewczyny: „Piękność Paryża”... Odgarnęła z twarzy niesforne włosy, upychając je pod dziewczęcym kapelusikiem i rozmyślnie odwróciła się plecami do Anglii.

Kanał La Manche wydawał się uspokajać, gdy przeszła przez pokład, by spojrzeć ku Francji i swojej przyszłości.

1816-1820

Rozdział 3

Położona za kutą w elazie bramą paryską rezydencja lordostwa Gilbertów była okazała, lecz pozbawiona wszelkiej surowości. Ogromne łukowate okna wpuszczały do wnętrza światła do obszernych wnętrz, a pastelowe barwy przydawały atmosfery słonecznej elegancji wszystkim pokojom, od salonów po sypialnie na piętrze.

– ...a to twoje królestwo, kochanie - powiedziała lady Anne, otwierając przed siostrzenicą drzwi do apartamentu utrzymanego w kolorze jasnego błękitu.

Whitney stanęła w progu jak zahipnotyzowana, a jej wzrok wędrował tęsknie po wspaniałej kapie z białej satyny w lawendowe, róże i błękitne kwiaty.

Wykwintną sofę okrywała podobna tkanina, a delikatne porcelanowe wazony pełne były kwiatów w takich samych barwach lawendy i ró u.

– Czuję się znacznie lepiej, ciociu - wyznała, odwracając się ku lady Anne

- gdybyś znalazła dla mnie jakiś inny pokój... coś mniej... no, có ... mniej kruchego... U nas w domu ka dy powiedziałby ci, e wystarczy, abym tylko przeszła obok czegoś delikatnego, aby ta rzecz spadła na podłogę, tłukąc się na kawałeczki -wyjaśniła zdumionej ciotce.

Lady Anne odwróciła się do stojącego obok lokaja, który niósł cię ki kufer Whitney.

- Wnieś go tutaj - powiedziała, zdecydowanym skinieniem głowy wskazując ów cudowny pokój.

- Nie mów potem, ciociu, e nie zostałam uprzedzona - westchnęła Whitney, zdejmując czepek i siadając ostro nie na kwiecistej sofie.

Pary , pomyślała, będzie niebiański.

Trzy dni później, punktualnie o wpół do dwunastej - wraz z przybyciem osobistej krawcowej lady Anny i towarzyszących jej trzech roześmianych szwaczek, które nieustannie paplały o fasonach oraz tkaninach i wciąż na nowo mierzyły dziewczynę - zaczęła się prawdziwa defilada odwiedzających. Pół

godziny po wyjściu krawcowej Whitney z ksią ką na głowie maszerowała tam i z powrotem przed pulchną damą o krytycznym spojrzeniu, której ciocia Anne powierzyła wielkie zadanie nauczania Whitney czegoś, co nazywała

„towaryską ogładą i manierami”.

– Jestem okropnie niezdarna, madame Froussard - tłumaczyła się Whitney z rumieńcem zakłopotania, gdy ksią ka po raz trzeci spadła na podłogę.

– Ale nie! - zaprotestowała Francuzka, potrząsając kunsztownie uło oną srebrzystą fryzurą. - Panna Stone ma naturalną grację i wyborną postawę.

Musi jednak się oduczyć chodzenia w tempie wyścigów konnych.

Mistrz tańca, przybyły tu po wyjściu madame Froussard, zakręcił Whitney dookoła pokoju w wymaginowanym walcu.

– Nie jest źle... jeśli trochę poćwiczyć.

Nauczyciel francuskiego, który pojawił się wczesnym popołudniem, tak e wyraził swą pochlebną opinię.

– Ta młoda osoba mo e uczyć mnie, lady Gilbert.

Przez kilka miesięcy madame Froussard przychodziła pięć razy w tygodniu, aby odbywać z Whitney dwugodzinne lekcje manier i ogłady. Pod jej surową, bezwzględną kuratelą dziewczyna pracowała pilnie, pragnąc nauczyć się wszystkiego, co mogłoby jej pomóc w zdobyciu uznania Paula.

– Czego dokładnie się uczysz od madame Froussard? - zapytał pewnego wieczoru przy kolacji lord Edward.

Na twarzy Whitney pojawiło się zakłopotanie.

– Madame Froussard uczy mnie, jak chodzić, a nie galopować - wyjaśniła i czekała, na pół spodziewając się, i wuj powie, e to bezsensowna strata czasu, ale uśmiechnął się z aprobatą, więc tak e odpowiedziała mu uśmiechem, czując dziwne zadowolenie. - Czy wiesz - za artowała - e kiedyś uwa ałam, i jedyną rzeczą potrzebną do właściwego chodzenia są dwie zdrowe nogi?

Od tego wieczoru zabawne opowiadki Whitney o kolejnych postępach osiągniętych danego dnia stały się radosnym rytuałem przy wspólnych kolacjach.

– Czy zauwa yłeś, wujku - zapytała wesoło pewnego wieczoru - e istnieje sztuka odwracania się w dworskim stroju z trenem?

– Mój nigdy nie sprawia mi adnego kłopotu - odrzekł ze śmiechem lord Edward.

– Obrót wykonany niewłaściwie - wyjaśniła mu Whitney z udawaną powagą -

mo e sprawić, e owiniemy się trenem, który stanie się wtedy krępującą obręczą.

Miesiąc później osunęła się na krzesło i machając jedwabnym wachlarzem, rzuciła wujowi wesołe spojrzenie.

– Czy jest ci za ciepło, moja droga? - spytał Edward, przeczuwając zabawę.

– Wachlarz w istocie nie słu y do tego, by się nim chłodzić - pouczyła go Whitney, trzepocząc rżęsami z tak przesadną kokieterią, e Annę parsknęła śmiechem. - Wachlarz słu y do flirtowania i dostarczania zajęcia dłoniom, a tak e do klepnięcia w ramię d entelmena, który posunął się zbyt daleko.

Z twarzy lorda Gilberta nagle znikł uśmiech.

– Który to d entelmen posuwa się zbyt daleko? - zapytał krótko.

– No có , aden. Nie poznałam jeszcze adnych d entelmenów - odrzekła Whitney.

Annę patrzyła na nich oboje z uśmiechem przepelnionym radością, gdy siostrzenica zajęła zarówno w jej sercu, jak i w sercu Edwarda to miejsce, które byłoby miejscem ich własnej córki.

Rok później, pewnego majowego wieczoru, na miesiąc przed oficjalnym debiutem towarzyskim Whitney, lord Edward przyniósł trzy bilety do opery.

Kładąc je z udaną obojętnością przed siostrzenicą ony, wyraził nadzieję, e -

jeśli pozwolą jej na to własne plany - zechce udać się z wujostwem do prywatnej lo y ambasadora.

Przed rokiem Whitney zawirowałaby z radości w szaleńczym tańcu, ale teraz ju się zmieniła, więc odpowiadając, skłoniła się lekko przed wujem.

– Z ogromną przyjemnością, wujku Edwardzie.

Siedziała potem w milczeniu, gdy Clarissa, która od dzieciństwa była jej pokojówką, szciotkowała jej włosy, a potem upięła je do góry, układając w loki na czubku głowy. Nowa biała suknia z błękitnymi aksamitnymi wstążkami oraz wysoko zaznaczoną talią i falbaną na dole układała się miękko, a harmonizujący z nią błękitny aksamitowy płaszcz dopełnił całości stroju. Whitney przystanęła przed lustrem, obserwując swe odbicie błyszczącymi oczami i na próbę dygnęła w głębokim dworskim ukłonie, pochylając głowę pod idealnie odpowiednim kątem.

– Pozwolą państwo, e przedstawię pannę Whitney Stone -szepnęła uroczyście.

- Piękność Pary a...

Chłodna mgła sprawiła, e ulice miasta błyszczały w księżycowej poświacie.

Whitney wtuliła się głębiej w fałdy płaszcza i rozkoszując się jego gładkością na policzku, spoglądała przez okno powozu na ludzi podążających szerokimi, obmywanymi deszczem bulwarami.

Przed teatrem, jakby na przekór pogodzie, gromadziły się tłumy. Przystojni d entelmeni w płaszcach i pelerynach oraz obcisłych spodniach kłaniali się damom jaśniejącym klejnotami. Wsiadając z powozu, Whitney patrzyła ze zdumieniem na owe niewiarygodnie piękne panie, które ze spokojem i pewnością siebie rozmawiały z towarzyszącymi im panami. Były to, co stwierdziła natychmiast, najpiękniejsze kobiety na świecie, więc w jednej chwili rozstała się z wszelką nadzieją, e kiedykolwiek mogłaby zostać „pięknością Pary a”. Czuła jednak niewielki al, gdy sama obecność wśród nich była wspaniałą przygodą.

Gdy wszyscy troje weszli do teatru, tylko Annę zauważyła owych młodych d entelmenów, których znużony wzrok rozbłyskiwał na widok Whitney, a potem zamieniał się w długie spojrzenie. Uroda dziewczyny rozkwitała i jaśniała ywymi barwami, ledwie sygnalizując to, co miało nadejść. Były w niej zapowiedź ywego usposobienia i ciekawość ycia, a tak e duma i powaga postawy, która brała się z wieloletniego nawyku noszenia głowy wysoko wbrew wszelkim przeciwnościom.

W lo y Whitney starannie ułożyła wokół siebie fałdy pięknej nowej sukni i sięgnęła po wachlarz, by zgodnie z naukami madame Foussard dać zajęcie rękom. Mogłaby teraz śmiać się z tego, jaka była wcześniej niemądra, tracąc tak wiele czasu na lekcje języków i matematyki, gdy w istocie opanowanie umiejętności, którymi mogła sprawić przyjemność Paulowi i ojcu, okazało się tak niewiarygodnie proste. Oto bowiem wachlarz w jej dłoni stał się znacznie bardziej przydatny ni

znajomość greki! Dookoła wznosiło się i opadało morze głów i piór kołyszących się nad kunsztownymi fryzurami. Whitney wprost nie posiadała się z radości. Spostrzegła, e jakiś d entelmen otrzymał lekkiego klapsa wachlarzem od swojej damy i poczuwszy solidarność ze wszystkimi kobietami, zastanawiała się, co tak niestosownego szepnął towarzysz owej pięknej pani, której najwyraźniej raczej to pochlebiło, ni sprawiło przykrość.

Gdy rozpoczął się spektakl, dziewczyna natychmiast pogry ła się w muzyce, zapominając o wszystkim innym. Opera przerosła jej najśmielsze marzenia. Kiedy jednak opadła cię ka kurtyna, za którą w czasie przerwy zmieniano dekoracje, Whitney musiała wrócić do rzeczywistości. Za plecami miała znajomych wujostwa, którzy weszli do lo y, dołączając swe głosy do niewiarygodnego gwaru rozmów i śmiechu, jaki panował w teatrze.

– Whitney - powiedziała ciocia Annę - odwróć się, abym mogła cię przedstawić naszym drogim przyjaciołom.

Posłusznie wstała, odwróciła się i została przedstawiona państwu DuVille.

Ich powitanie było serdeczne i otwarte, lecz córka państwa DuVille, Therese, ładna blondynka będąca rówieśnicą Whitney, jedynie rzuciła na nią okiem z baczną ciekawością. Pod dociekliwym spojrzeniem tej dziewczyny pewność siebie opuściła Whitney, która nigdy nie wiedziała, jak rozmawiać z rówieśnicami, więc pierwszy raz od wyjazdu z Anglii poczuła się nieswojo.

– Podoba ci się opera? - zdołała wreszcie zapytać.

– Nie - odrzekła, śmiejąc się, Therese - gdy nie rozumiem ani słowa.

– A Whitney rozumie - obwieścił dumnie lord Edward. - Zna włoski, grecki i łacinę, a nawet mówi trochę po niemiecku!

Whitney miała wra enie, jakby zapadała się pod podłogę, poniewa pochwała wuja prawdopodobnie nadawała jej piętno sawantki w oczach państwa DuVille. Musiała więc zmusić się do odpowiedzi na oszołomione spojrzenie Therese.

– Mam nadzieję, e przynajmniej nie grasz na fortepianie i nie śpiewasz -

odezwała się z kwaśną miną blondyneczka.

– Och, nie! - pośpiesznie uspokoiła ją Whitney. - Nie potrafię ani grać, ani śpiewać.

– Cudownie - oświadczyła tamta z szerokim uśmiechem i ulokowała się na krześle obok Whitney - bo to jedyne rzeczy, które ja robię dobrze! Zapewne z niecierpliwością czekasz na swój debiut towarzyski? - Zaśmiała się, przesuwając po nowej znajomej szybkie i pełne podziwu spojrzenie.

– Nie bardzo - przyznała szczerze Whitney.

– - A ja tak. Chocia dla mnie to jedynie formalność. Moje mał eństwo zostało zaaran owane trzy lata temu, co zresztą okazało się znakomite, gdy teraz będę mogła poświęcić całą swoją uwagę, aby

pomóc tobie w znalezieniu męża. Powiem ci, którzy młodzieńcy stanowią dobre partie, a którzy są tylko przystojni i nie mają nic prócz urody - ani pieniędzy, ani perspektyw...

Potem, gdy ju zrobisz olśniewającą partię, przyjdę na twój ślub i powiem wszystkim, e to wyłącznie mnie ów związek zawdzięcza! - zakończyła z głośnym śmiechem.

Whitney odpowiedziała jej uśmiechem, oszołomiona tak otwartą ofertą przyjaźni. Ten uśmiech okazał się dla panny DuVille wystarczającą zachętą, by mówić dalej.

- Wszystkie moje siostry zawarły wspaniałe związki małżeńskie, co teraz pozostaje uczynić ju tylko mnie. I mojemu bratu, Nicolasowi, oczywiście.

Whitney stłumiła chęć, by wesoło zapytać, czy Nicolas DuVille należy do kategorii „dobrych partii” czy „tylko przystojnych”, ale Therese bez pytania natychmiast dostarczyła jej tej informacji.

- Nicki nie stanowi dobrej partii. No cóż, jest nią jako d entelmen bardzo bogaty i nader urodziwy. Rzecz w tym, e on nie jest do wzięcia, co budzi wielki ból i rozpacz mojej rodziny, gdy to jedyny męski potomek i najstarszy z naszej piątki rodzeństwa.

Bardzo zaciekawiona Whitney zdołała uprzejmie odpowiedzieć, e ma nadzieję, i nie dzieje się tak dlatego, e monsieur DuVille cierpi na jakieś powa ne schorzenie.

- Nie - odrzekła Therese z dźwięcznym chichotem - chyba e za schorzenie uznamy straszne, niepohamowane znudzenie i szokującą arogancję.

Naturalnie Nicolas ma wszelkie powody, aby zachowywać się właśnie tak wobec tych wszystkich dam, które za nim się uganiają. Mama powiada, e gdyby to kobiety się oświadczały, Nicolas miałby więcej propozycji małżeństwa ni my, cztery jego siostry, razem wzięte.

Powa na mina uprzejmego zainteresowania, jaką wcześniej zrobiła Whitney, teraz zniknęła.

- Nie wyobra am sobie dlaczego. - Roześmiała się głośno. - Twój opis sprawia, e wydaje się dość odpychający.

- Wdzięk. Nicolas ma ogromny wdzięk - wyjaśniła z powagą Therese i po chwili dodała: - Szkoda, e Nicki jest taki zblazowany, bo gdyby uczestniczył

w naszym debiucie i zwrócił na ciebie szczególną uwagę, odniosłabyś natychmiast sukces. Oczywiście nic na świecie nie przekona go do wzięcia udziału w balu debutantek. - Westchnęła. - Jego zdaniem są straszliwie nudne. Opowiem mu jednak o tobie... Mo e zechce pomóc.

Jedynie grzeczność powstrzymała Whitney przed odpowiedzią, e ma nadzieję, i nigdy nie pozna aroganckiego starszego brata nowej przyjaciółki.

## Rozdział 4

W dniu poprzedzającym bal debutantek Whitney dostała list od Emily Williams, z wiadomością,



która przyprawiła ją o zawrót głowy ze szczęścia: Paul kupił jakąś posiadłość na Wyspach Bahama i zamierzał pozostać tam przez rok. Ponieważ Whitney nie wyobraziła sobie Paula pałającego uczuciem do jakiejś spalonej słońcem mieszkanki kolonii, wiadomość ta oznaczała, iż ma przed sobą cały rok na przygotowanie się do powrotu do domu. Cały rok bez zamartwiania się, a Paul poślubi inną!

By uspokoić nerwy przed baleem mającym się odbyć następnego dnia, usiadła na różowej satynowej otomanie w salonie i z przyjemnością ponownie przeczytała wszystkie listy od Emily, które chowała w podręczniku etykiety i dobrych manier. Tak ją pochłonęła lektura, iż nie zdawała sobie sprawy, iż ktoś jej się przygląda.

W drzwiach stał Nicolas DuVille z listem od swojej siostry, która nalegała, by dostarczył go osobiście pannie Stone. Ponieważ Therese przez cały miniony miesiąc próbowała różnymi sposobami, by postawić Whitney na jego drodze, Nicki nie miał wątpliwości, iż i ten liścik stanowi podstęp wymyślony przez dziewczętą. Nie pierwszy raz siostra starała się zainteresować go jedną ze swoich trzypiotowatych przyjaciółek i Nicki wiedział z doświadczenia, iż najlepszym sposobem zniszczenia romantycznych planów panny Stone w zarodku będzie takie zbitcie z tropu i onieśmienie tej dziewczynki, aby odczuła ulgę, gdy niespodziewany gość wyjdzie.

Jego chłodny wzrok objął malowniczą scenę, którą panienska niewątpliwie z góry zaaranżowała, by wyglądać jak najkorzystniej. Wpływające przez okno słońce rozświetlało lśniąca kaskadę ciemnych włosów, których długie pasmo dziewczyna leniwie owijała wokół palca, udając zaabsorbowanie książką; poranna ółta suknia opadała miękkimi fałdami, w których skromnie ukrywały się stopy. Profil panny Stone rysował się łagodnie; miała lekko opuszczone rzęsy, a na jej wargach igrał delikatny uśmiech. Zniecierpliwiony tą małą inscenizacją Nicolas wszedł do pokoju.

– Nader ujmujący obrazek, mademoiselle. Moje gratulacje - odezwał się aroganckim tonem, cedząc słowa.

Podniósłszy głowę, Whitney zamknęła książkę kryjącą listy i odłożyła ją na bok, wstała. Niepewnie przyglądała się obcemu mężczyźnie, zapewne około trzydziestki, który chłodno taksował ją arystokratycznie wyniosłym spojrzeniem. Był niezaprzeczalnie przystojny ze swymi czarnymi włosami i przenikliwymi, nakrapianymi złotem, brązowymi oczami.

– Ju mi się pani przyjrzała, mademoiselle? - zapytał zimnym tonem.

Uświadomiwszy sobie, iż istotnie bacznie mu się przyglądała, Whitney drgnęła gwałtownie i skinęła głową w stronę listu, który trzymał w dłoni.

– Przyszedł pan zobaczyć się z moją ciocią?

Ku niekłamanemu zdumieniu dziewczynki gość podszedł bliżej i wręczył jej list.

– Nazywam się Nicolas DuVille, a państwa lokaj powiedział mi, iż pani mnie oczekuje. Jestem więc przekonany, iż możemy się obyć bez udawania tego nieśmiałego zaskoczenia, czy nie?

Wstała oburzona, gdy ów zuchwalec poddawał ją jakiejś niespiesznej ocenie, która zaczęła się od

włosów, a potem objęła otwarcie jej zeszywniałe ciało. Czy wzrok tego męczyzny naprawdę zatrzymał się na jej piersiach, czy te jedynie zakłopotana imaginacja sprawiła, e tak jej się zdawało? Kiedy skończył lustrację z przodu, obszedł Whitney dookoła, przyglądając się jej ze wszystkich stron, jakby była koniem, nad którego nabyciem się zastanawiał!

– Niech się pani nie trudzi - powiedział, gdy nerwowo rozdarła kopertę. -

Podobno list mówi, e Therese zostawiła tu bransoletkę, ale oboje wiemy, i to jedynie pretekst, byśmy mogli się poznać.

Dziewczyna była oszołomiona, zakłopotana, rozbawiona i oburzona jednocześnie. Przyjaciółka mówiła, e jej brat jest arogancki, ale Whitney nigdy by nie przypuszczała, e mo e być a tak okropny.

– W istocie - oznajmił, gdy okrążył ją dookoła, stanął znowu przed nią -

wcale nie jest pani taka, jak się spodziewałem. - W jego głosie brzmiała nuta powściągliwej aprobaty.

– Nicolas! - Serdeczne powitanie cioci Anny uwolniło Whitney od konieczności odpowiedzi. - Jak miło, e jesteś! Oczekiwałam cię ... jedna z pokojówek znalazła bransoletkę Therese pod poduszką sofy. Zameczek był

zepsuty. Zaraz ją przyniosę - mówiła lady Annę, idąc spieszenie przez pokój.

Zakłopotane spojrzenie Nicolasa powędrowało ku pannie Stone. Uśmiech zadrął mu na wargach, gdy uniosła z ironią delikatne brwi, wyraźnie bawiąc się jego zakłopotaniem. Pomny swej niedawnej niegrzeczności, Nicki czuł, e teraz oczekiwano od niego jakiejś formy uprzejmej konwersacji. Pochylił się i sięgnąwszy po podręcznik etykiety, spojrział najpierw na tytuł, a potem na dziewczynę.

– Uczy się pani dobrych manier, mademoiselle? - zapytał.

– Tak - odparła z oczami jaśniejącymi tłumioną wesołością. - Czy chce pan poyczyć ten podręcznik?

Cięty art zaskarbił jej pełen podziwu uśmiech Nicolasa.

– Widzę, mademoiselle, e konieczna będzie pewna forma pokuty za moje wcześniejsze zachowanie - powiedział z udawaną powagą. - Czy zechce mnie pani zaszczyścić jednym tańcem na jutrzejszym balu?

Whitney zawahała się, ujęta jego ujmującym uśmiechem i wyraźnie nieskrywaną admiracją.

Biorąc jej milczenie za kokieterię, Nicolas wzruszył ramionami i z jego uśmiechu zniknęło gdzieś całe ciepło.

– Z tego wahania wnoszę, e wszystkie pani tańce są ju zamówione -

powiedział z kpiącym rozbawieniem. - Mo e więc innym razem...

Uświadomiwszy sobie, e wycofuje swoje zaproszenie, Whitney uznała, e jest właśnie tak arogancki i przewrotny, jak początkowo sądziła.

—

aden z moich tańców nie został zarezerwowany - osadziła go szczerym wyznaniem. - Widzi pan, jest pan pierwszym d entelmenem, jakiego poznałam w Pary u.

Rozmyślny nacisk na słowo „d entelmen" nie uszedł uwagi Nicolasa, który nagle odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się głośno.

— Oto bransoletka - powiedziała lady Gilbert, wchodząc do pokoju. - Nicolas, przypomnij, proszę, siostrze, e zapięcie jest uszkodzone.

Nicki wziął bransoletkę i wyszedł. Wskoczywszy do powozu, polecił

stangretowi zawieźć się do matki, a potem opadł na skórzane poduszki. Ruszyli przez park, którego kręte ście ki bujnie zakwitły wiosennymi kwiatami. Dwie śliczne znajome Nicolasa pomachały ku niemu dłońmi w pastelowych rękawiczkach, ale ledwie spojrzał na tę scenkę jako ywo przypominającą pejza e malowane przez mistrza Gainsborough. Myśli Nickiego zajęte były bowiem młodą Angielką, którą właśnie poznał.

Mimo usilnych starań nie mógł zrozumieć, jak to się stało, e Whitney Stone i jego siostra-szczebiotka zostały bliskimi przyjaciółkami, skoro ró niły się od siebie jak lemoniada i mocne francuskie wino. Therese była milutka i słodka, choć z punktu widzenia brata mało w niej było tajemnic mogących zainteresować mę czynę, szczególnie takiego, który, podobnie jak on, nie lubił

tego, co przewidywalne. Whitney Stone zaś była prawdziwą skarbnicą sekretów, zachwycającą niczym nasycony czerwony burgund, ukrytą i zwodniczą obietnicą wydarzeń, które mogły nadejść. Jak na siedemnastolatkę zniosła jego drwiącą pogardę z podziwu godnym spokojem i zimną krwią. Za kilka lat, myślał Nicolas, będzie fascynująca. Zachichotał cicho na wspomnienie zręczności, z jaką odplaciła mu za uwagę o podręczniku etykiety, proponując, e po yczy mu ksią kę.

Szkoda byłoby, doszedł do przekonania, by tak rzadki klejnot przepadł w ci bie na balu debutantek, który miał się odbyć następnego wieczoru, tylko dlatego, i jako cudzoziemka jest dla Francuzów obca...

Jedną stronę wielkiej sali balowej ozdabiały wspaniałe gobeliny, w przeciwległej lustrzanej ścianie odbijało się światło tysięcy świec płonących w błyszczących yrandolach nad głowami gości. Spoglądając na własne odbicie w jednym z luster, Whitney nerwowo sprawdzała swój wygląd. Jej biała jedwabna suknia obszyta była szerokimi muszelkowymi falbanami spiętymi ró owymi jedwabnymi ró yczkami, które harmonizowały z podobnymi kwiatami, wplecionymi w cię kie loki na czubku głowy. Wyglądała, doszła do wniosku, o wiele spokojniej, ni się czuła.

— Wszystko będzie cudownie, zobaczysz - szepnęła ciocia Annę.

Whitney wcale tak nie sądziła. Wiedziała, e prawdopodobnie nie mo e konkurować z tymi

ośniewającymi blondynkami i brunetkami, które śmiały się i rozmawiały swobodnie z uśmiechniętymi młodzieńcami w czarnych frakach i barwnych kamizelkach z jedwabiu i atlasu. Powtarzała sobie, e ani trochę nie obchodzi jej coś tak niedorzecznego jak jakiś śmieszny bal, ale wiedziała, e to nieprawda. Bardzo ją obchodził...

Therese z matką przybyły dosłownie tu przed ową chwilą, gdy muzycy sięgnęli po instrumenty.

– Mam najcudowniejsze wieści - wyszeptała zdyszana przyjaciółka wyglądająca jak cukierek w białej koronkowej sukni. Miała zaró owione policzki, lśniące jasne włosy zostały elegancko upięte na czubku głowy. -

Moja pokojówka jest kuzynką lokaja Nicolasa i ów krewniak powiedział jej, e Nicki wybiera się tutaj dziś wieczorem. Przyprowdzi te trzech swoich przyjaciół. Zało ył się z nimi przy , grze w kości, stawiając pięćset franków przeciwko dwóm godzinom ich czasu, a poniewa przegrali, muszą przyjść i tańczyć z tobą... -przerwała i z przeproszającym gestem w stronę Whitney oddała czarujący ukłon młodzieńcowi, który podszedł, by poprosić ją do tańca.

Whitney jeszcze kręciło się w głowie z zakłopotania po tej wieści, gdy muzycy zaczęli grać i debiutantki zostały poprowadzone przez swoich partnerów do tańca. Zresztą nie tylko debiutantki... Wtedy poczuła, e rumieni się jeszcze bardziej i bezradnie spojrzała na ciocię Annę. Przychodząc na ów bal, wiedziała, e mo e nie zostać od razu poproszona do tańca, ale nie przypuszczała, e będzie się czuła tak widoczna... ałośnie opuszczona...

pozostawiona z ciocią i panią DuVille. To uczucie było boleśnie znajome, jakby wróciła do Anglii, gdzie zaproszenia na przyjęcia w sąsiedztwie otrzymywała nieczęsto, a jeśli w nich uczestniczyła, traktowano ją albo z szyderstwem, albo z obojętnością.

Therese przetańczyła drugi i trzeci taniec, a Whitney nie poproszono do adnego. Kiedy więc przyszedł czas na czwarty, uczucie upokorzenia okazało się silniejsze, ni mogła znieść. Zaczęła ju pytać ciocię, czy pozwoli jej udać się gdzieś, gdzie mogłaby się odświeżyć, ale właśnie wtedy nastąpiło jakieś poruszenie, więc zaciekawiona podą yła wzrokiem za spojrzzeniami innych gości.

Pod łukowatym portalem wejścia do sali balowej stał Nicolas DuVille z trzema przyjaciółmi. Niedbale swobodni w eleganckich czarnych strojach wieczorowych i pogodnie obojętni na szalone zainteresowanie, jakie wzbudziło ich przybycie, uwa nie przyglądali się tłumowi gości. Whitney z lękiem obserwowała, jak spojrzenie brata Therese omiotło wpatrzony w niego tłum chichoczących debiutantek i młodych dandysów, kiedy zaś wreszcie spoczęło na niej, skłonił lekko głowę w geście powitania i wraz z trzema przyjaciółmi ruszył

do przodu.

Zakłopotana przycisnęła się plecami do ściany, wiedziona dziecinnym pragnieniem ukrycia się za ciocią Annę. Nie chciała ryzykować kolejnej konfrontacji z tym mę czyzną. Wczoraj była zbyt zaskoczona, by poczuć się przezeń obra oną; dziś wieczorem zaś po jej dumie i pewności siebie nie pozostało ani śladu, a ku swemu jeszcze większemu za enowaniu z całą ostrością dostrzegła, jak elegancki, wytworny i urodziwy wydawał się Nicolas w czarnym wieczorowym stroju.

Patrzyła na przybyłych, którzy torując sobie drogę przez tłum, zmierzali wprost ku niej i nawet w owym stanie parali ującej: trwogi wyczuwała zdecydowany kontrast między grupą Nicolasa DuVille'a a pozostałymi panami.

Wszyscy czterej byli nie tylko kilka lat starsi ni większość młodzieńców nieszczędzących komplementów jeszcze młodszym pannom; otaczała ich te aura gładkiego wyrafinowania pozwalająca na pewien dystans w stosunku do innych.

Madame DuVille roześmiała się z miłym zdumieniem, gdy syn uklonił się jej na powitanie.

– Doprawdy, Nicki, nie byłabym bardziej zdumiona, gdyby wkroczył tu sam diabeł!

– No có , dziękuję, mamó - odrzekł sucho, składając jej jeszcze jeden szybki ukłon, a potem odwrócił się ku Whitney i z uśmiechem uniósł do ust jej chłodną dłoń, po czym szepnął z irytującym chichotem: - Niech e się pani tak nie zdumiewa, e jest obiektem mojej uwagi, mademoiselle. Powinna pani zachowywać się tak, jakby nie było to czymś nadzwyczajnym, czego by się pani nie spodziewała.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie mając pewności, czy czuje się obra ona, czy wdzięczna za tę impertynencką radę.

Nicolas uniósł ironicznie brwi, jakby wiedział, nad czym się zastanawiała, a potem odwrócił się i przedstawił jej trzech swoich przyjaciół.

Kiedy rozległa się muzyka, Nicki bez pytania po prostu położył sobie dłoń Whitney na przedramieniu i powiodł dziewczynę na parkiet. Prowadził ją lekko w wirującym walcu, podczas gdy Whitney koncentrowała się na odmierzaniu kroków, których nauczył ją mistrz tańca.

– Mademoiselle - głęboki głos Nicolasa wibrował rozbawieniem -jeśli zechce pani na mnie spojrzeć, zobaczy pani, e wpatruję się w nią w sposób, jaki nasza zdeorientowana publiczność uwa a za czuły i pełen podziwu. Jeśli jednak będzie pani nadal uczyć się na pamięć fałd mojego abotu, przestanę wydawać się oszołomiony i zacznę sprawiać wra enie znu onego i znudzonego, a jeśli tak zrobię, to zamiast znaleźć się dzisiejszego wieczoru w towarzystwie, będzie pani siać pietruszkę. Proszę więc unieść ku mnie głowę i się uśmiechać.

– Siąc pietruszkę, coś takiego! - wybuchnęła Whitney, lecz ujrzawszy rozbawienie w oczach Nicolasa, poczuła, e jej oburzenie pierzchło. - Czuję się taka... widoczna. Wszyscy nam się przyglądają i...

– Wcale nie przyglądają się nam - zaprotestował z pobła liwym uśmiechem. -

Obserwują mnie i próbują odgadnąć, czy to pani jest młodą damą, która zwabiła mnie na to nudne zgromadzenie cnotliwych niewiniątek...

– ...i oderwała pana od zwykłej pogoni za rozpustą i deprawacji? - za artowała Whitney, a lekki, nieświadomie prowokujący uśmiech zajaśniał na jej o ywionej twarzyczce.

– No właśnie - zgodził się Nicki.

– Czy więc - pytała dalej rozbawionym tonem - ten walc nie zrujnuje mojej reputacji, zanim go skończymy?

– Nie, ale mo e zrujnować moją - odparł, a ujrzawszy jej spojrzenie, dodał

lekko: - Nie w moim stylu jest bywanie na balach debutantek, mademoiselle.

A i dla mnie samego fakt, i jestem widziany w sytuacji, gdy naprawdę rozkoszuję się tańcem z impertynencką panienką, jest zgoła niesłychany.

Whitney oderwała wzrok od wyrazistej, jak wyrzeźbionej twarzy Nicolasa DuVille'a i rozejrzała się wokół, spoglądając na młodych dandysów w atlasowych kamizelkach. Wpatrywali się w niego z nieskrywaną irytacją. I nic dziwnego! Nienagannie skrojony wieczorowy czarny strój i bijąca od tego mę czyzny aura wytworności sprawiały,

e wszyscy inni wydawali się

nadmiernie wystrojeni.

– Wciąż się w nas wpatrują? - za artował Nicki.

Whitney zagryzła wargi, próbując powstrzymać uśmiech, który ju promieniał w jej oczach, gdy podniosła oczy ku jego urodziwej twarzy.

– Tak, ale nie mogę ich o to winić. Wszak to pan wydaje się jastrzębiem w sali pełnej kanarków.

Powolny, pełen podziwu uśmiech przesunął się po jego obliczu.

– - W rzeczy samej - westchnął cicho, a potem dodał: - Ma pani czarujący uśmiech, cherie.

Akurat w tej chwili, gdy Whitney pomyślała, e to jego uśmiech jest czarujący, na twarzy Nicka pojawił się nagle mroczny wyraz niezadowolenia.

– Czy stało się coś złego? - zapytała.

– Tak - odparł ostro. - Niech pani nie pozwala adnemu mę czyźnie, z którym nie jest pani zaręczona, by nazywał panią cherie.

– Będę powstrzymywać ich od wszelkiej poufałości i wręcz warczeć, jeśli sobie na to pozwolą - obiecała natychmiast Whitney.

– Znacznie lepiej - pochwalił ją i dodał zuchwale: - ...cherie.

Po skończonym tańcu odprowadził dziewczynę do ciotki, cały czas trzymając głowę pochyloną w jej stronę, jakby chłonał ka de słowo, a potem czekał, niemal nie odrywając od niej oczu, gdy tańczyła kolejno z ka dym z trzech jego przyjaciół.

Whitney czuła cudowny lekki zawrót głowy. Ju całkiem zadowolająca liczna młodych ludzi ubiegała się, by ich przedstawiono pannie Stone.

Wiedziała, i stało się to z powodu owego nadzwyczajnego i niecodziennego zainteresowania, jakim obdarzył ją Nicolas DuVille wraz z przyjaciółmi, ale było jej zbyt przyjemnie, by miała się tym przejmować. .

Claude Delacroix, przystojny blondyn, który przyszedł z Nicolasem, natychmiast odkrył, e Whitney jest miłośniczką koni i oboje odbyli całkiem miłą pogawędkę o przewadze jednej rasy nad inną.

Nicolasowi jednak ani nie sprawiło to przyjemności, ani się do niej nie uśmiechnął, gdy poprosił ją o następny taniec.

– Claude Delacroix pochodzi ze starej dobrej rodziny – powiedział lakonicznie, obejmując ją ramieniem. – To znakomity jeździec, wyborny karciarz i dobry kompan . Nie jest on jednak odpowiednim towarzystwem dla panni ani te nie powinna pani o nim myśleć jako o ewentualnym kandydacie do mał eństwa. W sprawach serca Claude jest prawdziwym ekspertem, ale bardzo szybko traci zainteresowanie i wtedy...

– Łamie serce damy? – zapytała Whitney z udawaną powagą.

– Właśnie! – odparł surowo Nicki.

Wiedziała, e jej sercu, które nale ało ju do Paula, nie grozi adne niebezpieczeństwo.

– Będę strzec mego serca z największą troską – zapewniła swego mentora z łagodnym uśmiechem.

Wzrok Nicolasa zatrzymał się na jej miękkich ustach, a potem podą ył ku błyszczącym jadeitowym oczom.

– Prawdopodobnie – westchnął z nutą autoironii, której Whitney nie mogła zrozumieć – powinienem uprzedzić Claude’a, by to raczej on strzegł swego serca. Gdyby pani była starsza, mademoiselle, chybabym to zrobił.

Kiedy odprowadził ją do ciotki, było tam ju kilkunastu młodych ludzi spragnionych tańca z Whitney i czekających, by ją poprosić. Nicki zatrzymał ją przez chwilę i skinął głową w stronę młodzieńca na końcu szeregu.

– Andre’ Rousseau – powiedział – byłby doskonałym mę em dla pani.

– Doprawdy nie powinien pan mówić takich rzeczy - Whitney spojrzała na niego z artobliwą irytacją.

– Wiem - przyznał. - A teraz, czy została mi wybaczona wczorajsza niegrzeczność?

Dziewczyna wesoło skinęła głową.

– Powiedziałabym, e właśnie zostałam pięknie „zwodowana" niczym jeden z angielskich statków.

Nicolas uśmiechnął się serdecznie, unosząc do ust koniuszki jej palców.

– Bon voyage, chérie - powiedział.

I ju go nie było.

Whitney wciąż jeszcze myślała o balu, uśmiechając się przy tym lekko do siebie, gdy następnego ranka schodziła ze schodów, zamierzając udać się na przeja d kę konną. W holu słychać było męskie głosy dobiegające z salonu, w którego drzwiach, gdy przechodziła obok, pojawiła się ciocia Annę z rozjaśnioną twarzą.

– Właśnie idę po ciebie - szepnęła. - Masz gości.

– Gości?! - powtórzyła ze strachem Whitney. Co innego wygłaszać podczas balu nakazane zwyczajem frazesy, co innego zaś oczarować i zaciekawić młodych ludzi, którzy pofatygowali się, by zło yć jej przedpołudniową wizytę. - Co mam im powiedzieć? Jak się zachować? - błagała ciotkę o radę.

– Jak się zachować?! - Lady Annę uśmiechnęła się i przystanęła, kładąc rękę na ramieniu siostrzenicy. - Có , kochanie, bądź sobą.

Whitney z wahaniem weszła do salonu.

– Właśnie wybierałam się na przeja d kę konną... do parku - wyjaśniła swoim gościom, trzem d entelmenom, z którymi tańczyła wczorajszego wieczoru.

Wszyscy trzej zerwali się na równe nogi i ka dy wyciągnął ku niej pęk kwiatów. Wzrok Whitney prześlizgnął się po owych bukietach, kąciki jej ust uniosły się lekko w uśmiechu. - Zdaje się, e wszystkie trzy pochodzą stamtąd, a panowie właśnie wychodzą.

Patrzyli na nią zdeorientowani, mrugając oczami, gdy wyraźnie droczyła się z nimi, sugerując, e zerwali kwiaty z parkowych rabatek. Potem zaś - rzecz zgoła zadziwiająca - roześmiali się i rozpoczęli pogodną sprzeczkę o to, który z nich będzie miał zaszczyt towarzyszyć pannie Stone na przeja d ce. W tym samym duchu bezstronnej sprawiedliwości Whitney pozwoliła, by towarzyszyli jej wszyscy trzej.

Tego sezonu pannę Stone ogłoszono „oryginalną”. W czasach gdy młode damy jawiły się wzorami delikatności, kruchości i lekkiej kokieterii, Whitney była impulsywna i wesoła, a gdy inne dziewczęta w jej wieku wydawały się powa ne i przesadnie skromne, ona zaskakiwała bezpośredniością i dowcipem.

Przez cały rok lady Annę obserwowała, jak natura współdziała z czasem i uroda Whitney staje się wręcz olśniewająca. Czarne jak smoła rzęsy okalały niewiarygodnie wyraziste oczy, których barwa pod wdzięcznym łukiem ciemnych brwi przechodziła od morskiej zieleni do głębokiego jadeitu. Pełne blasku mahoniowe fale okalały wybornie rzeźbioną twarz z miękkimi pełnymi ustami i skórą równie gładką jak kremowy atlas. Wciąż szczupła sylwetka Whitney czarowała wdzięcznymi krągłościami. To był rok, gdy nazwano ją



„niezrównaną”.

Panowie mówili, że jest „zachwycająco piękna” oraz „czarująco śliczna” i że nawiedza ich w snach. Whitney słuchała ich szczodrych komplementów i arliwych zapewnień o dozgonnym oddaniu z uśmiechem tyle rozbawionej nieufności co i szczerą wdzięcznością za uprzejmość.

Siostrzenica przypominała lady Annę nieuchwytnego egzotycznego ptaka, zdumionego i zachwyconego własną pięknnością, który siada na chwilę, a gdy ktoś pragnie go schwytać, ulatuje spłoszony. Była piękna i panowie porzucali inne, równie piękne młode kobiety, by gromadzić się wokół niej, przyciągani otaczającą wesołością i beztrosko- artobliwym sposobem bycia.

Na początku swego trzeciego roku „wchodzenia w świat” Whitney stała się wyzwaniem dla bardziej światowych, wyrafinowanych mężczyzn, którzy pragnęli zdobyć ją jedynie po to, by udowodnić, że potrafią osiągnąć sukces tam, gdzie innym się nie powiodło, a dość nieoczekiwanie konstatawali, że są zakochani

w

kobiecie

nieokazującej

najmniejszych

skłonności

do

odwzajemniania ich uczuć. Wszyscy wiedzieli, że Whitney niebawem będzie musiała wyjść za mąż ; jednak kończyła już dziewiętnaście lat. Nawet lord Gilbert zaczynał się niepokoić, ale gdy napomykał o tym, że dziewczyna robi się nadmiernie grymasna, Annę tylko się uśmiechała. Wydawało jej się bowiem, że ostatnio siostrzenica nabrała pewnej szczególnej skłonności do Nicolasa DuVille'a.

## Rozdział 5

Po raz trzeci w ciągu dziesięciu minut Whitney uświadomiła sobie, że znów zgubiła wątek rozmowy i teraz z poczuciem winy spoglądała na dziewczęta, które wpadły do niej z poranną wizytą. Na szczęście wszystkie były zachwycone wygłaszanym przez Therese barwnym opisem jej nowego życia kobiety zamężnej i wydawały się nie dostrzegać roztargnienia Whitney.

Whitney nerwowo obracała w palcach właśnie otrzymany list od Emily, zastanawiając się jak zwykle, czy zawiera on straszną wieść, i Paul wybrał

sobie onę. Nie mogąc dłużej znieść tej niepewności, otworzyła go, a jej serce przyspieszyło i tak już gwałtowny rytm, gdy zaczęła czytać.

Najdroższa Whitney - pisała Emily swym starannym, wyraźnym charakterem pisma. - Od tej chwili zechcesz, jak sądzę, adresować listy do mnie jako do lady Emily, baronowej Archibald, najszcześliwszej kobiety na świecie! Mam tę nadzieję na Twój ukłon, gdy się spotkamy, abym naprawdę uwierzyła, że to się stało.

Kolejne dwie strony pełne były zdumiewających pochwał męża Emily i szczegółów małżeństwa, które zostało zawarte dzięki specjalnemu zezwoleniu.

To, co piszesz w swych listach o Francji, odnosi się także do Anglii. Bez względu na to, jak koszmarny jest mąż czyżna, jeśli tylko ma tytuł, uważa się go za dobrą partię. Ja jednak zapewniam Cię, że gdy poznasz mojego męża, przyznasz, że byłby cudowny bez żadnego tytułu.

Whitney uśmiechnęła się, wiedząc, że Emily nigdy nie poślubiłaby swojego barona, gdyby go nie kochała.

Dość już o mnie - pisała dalej przyjaciółka. - Mam Ci do opowiedzenia coś jeszcze, o czym zapomniałam Ci wspomnieć w ostatnim liście. Byliśmy w sześć osób na raucie w Londynie, gdzie gospodyni przedstawiła nam pewnego d'entelmena, który natychmiast zdobył sympatię dam. Nic dziwnego, był bowiem bardzo przystojny i wysoki, a przy tym pochodzi ze szlacheckiej francuskiej rodziny. Whitney, to był monsieur Nicolas DuVille! Byłam całkiem pewna, że to ten sam d'entelmen, którego wspominasz w swoich listach, więc zapytałam owego pana DuVille'a, czy Cię zna. Kiedy powiedział, że tak, Margaret Merryton i inne panny otoczyły go kołem i próbowały wyrazić swoje...

współczucie. Ale byś się śmiała, bo monsieur DuVille - obdarzywszy je spojrzeniem, które powinno zamieniać w kamień - wprost zasypał je opowieściami o Twoich konkurentach i towarzyskich sukcesach w Paryżu.

Dawał nawet do zrozumienia, że sam zabiega o Twoje względy, co przyprawiło wszystkie dziewczęta o wściekłość z zazdrości. Czy to prawda? I dlaczego nie napisałaś mi, że masz cały Paryż u stóp?

Whitney się uśmiechnęła. Chociaż Nicki mówił o spotkaniu z Emily w Londynie, to jednak nie wspominał, że poznał tę jej największą przeciwniczkę z lat dziecińczych, Margaret Merryton, i inne dziewczęta. Jednak przyjemność, jaką odczuła na wieść, że podjął się jej obrony, zniknęła w chwili, gdy Whitney uprzytomniła sobie ewentualność, że mógłby naprawdę chcieć stać się dla niej kimś więcej niż tylko przyjacielem. Przez niemal trzy lata był jedynie urodziwym znajomym, który bez uprzedzenia pojawiał się u jej boku, by prosić ją do tańca lub przekomarzać się z którymś z jej adoratorów, a potem zniknął z jakąś olśniewającą damą uczeploną jego ramienia w dumnym geście posiadania.

A jednak przed kilkoma miesiącami coś się zmieniło. Spotkali się w teatrze, potem Nicki nieoczekiwanie zaprosił ją do opery i od tej chwili towarzyszył

Whitney już wszędzie; na balach i rautach, na przedstawieniach i koncertach...

Spośród wszystkich znanych jej mężowi czyżna Nicolas DuVille był tym, którego towarzystwo lubiła najbardziej, ale nie mogła znieść myśli, że on mógłby naprawdę mieć wobec niej jakieś poważne

zamiary.

Zadumana wpatrywała się w list z oczami chmurnymi i pełnymi smutku.

Gdyby Nicki się oświadczył, a ona by go odrzuciła (co zrobiłaby bez wątpienia), wystawiłaby na niebezpieczeństwo za yłość z Therese, serdeczne stosunki wujostwa z państwem DuVille i własną przyjaźń z Nicolasem, która znaczyła dla niej bardzo wiele.

Zmusiła się do dalszej lektury listu Emily i na końcu znalazła wiadomość o Paulu:

Elizabeth jest teraz w Londynie. Wszyscy się spodziewają, e kiedy wróci, Paul się oświadczy, gdy jej rodzice są przekonani, i ju najwy szy czas, by córka wyszła za mą .

Whitney, która wcześniej zwykle promieniała radością, czytając cudowne wieści od Emily, teraz czuła, jak serce jej się ściska. Po wszystkich naukach, projektach i planach była w końcu gotowa, by zdobyć miłość Paula, ale ojciec wciąż trzymał ją we Francji, ignorując wszelkie prośby o zgodę na powrót córki do domu.

Odprowadziwszy dziewczęta do wyjścia, Whitney poszła do swego pokoju, by napisać list do ojca. Tym razem nie będzie mógł jej odmówić, tak jak poprzednio. Chciała wrócić do domu... musiała wrócić do domu... i musiała to zrobić natychmiast. Po rozwa nym namyśle skomponowała ów list, tym razem apelując do ambicji oraz poczucia godności ojca i pisząc, e pragnie wrócić, by udowodnić mu, e teraz mo e być z niej dumny. Zakończyła zapewnieniem, jak strasznie za nim tęskni. Potem jeszcze napisała do Emily.

Kiedy zaniosa listy na dół, aby je wysłano, odźwierny powiedział jej, e właśnie przybył monsieur DuVille i pragnie się z nią widzieć bezzwłocznie.

Zdumiona tym nagłym wezwaniem przeszła przez hol do gabinetu wuja.

– Witaj, Nicki. Śliczny dziś dzień, nieprawda ?

– Doprawdy? - rzucił krótko, lecz było coś neodparcie surowego w układzie jego ramion i napiętej twarzy.

– Z pewnością. Słoneczny i ciepły.

– Co cię opętało, eby się anga ować w publiczny wyścig konny? - parsknął, nie zwa ając na kurtuazyjne uprzejmości.

– To nie był publiczny wyścig konny! - odparła Whitney zdumiona jego gwałtownością.

– Nie?! Mo e więc zechcesz mi wyjaśnić, w jaki sposób ta sprawa znalazła się w dzisiejszej gazecie?

– Nie wiem - westchnęła. - Myślę, e ktoś opowiedział coś komuś, kto następnie opowiedział coś komuś innemu. Zwykle tak się dzieje. Zresztą -

zakończyła, ślicznie odrzucając do tyłu głowę -wygrałam, jak wiesz.

Naprawdę pokonałam barona von Ault!

W głosie Nicolasa zadźwięczała władcza powaga.

– Nigdy nie zgodzę się, abyś ponownie zrobiła coś takiego! -oświadczył, a zobaczywszy, e zeszywniała z gniewu, odetchnął głęboko. - Przepraszam za mój ton, cherie. Przyjdę dziś wieczorem, aby cię zabrać na maskaradę do Armandów, o ile nie zmienisz zdania i pozwolisz, abym ci towarzyszył.

Whitney z uśmiechem przyjęła przeprosiny, ale przecząco pokręciła głową na propozycję towarzyszenia jej w drodze do państwa Armand.

– Myślę, e będzie lepiej, jeśli pojedę z wujostwem i spotkamy się na miejscu.

Inne damy ju oburzają się na mnie za to, e anga uję tak wiele twojej uwagi, Nicki.

Nicolas przez chwilę złorzeczył samemu sobie, e pozwolił, by tak nim zawładnęła. Wszak niemal przez trzy lata zdrowy rozsądek ostrzegał go, aby trzymał się z dala od tej dziewczyny. A potem, przed czterema miesiącami, po jakimś wyjątkowo nieprzyjemnym wieczorze z pewną damą, która niegdyś go bawiła, a później znu yła swą zaborczością, spotkał Whitney w teatrze i odruchowo zapytał, czy zechciałaby pójść z nim do opery.

Pod koniec owego wieczoru był dziewczyną całkiem urzeczony. Whitney stanowiła bowiem upajającą kombinację urody i poczucia humoru oraz ywej inteligencji i rozbrajającego zdrowego rozsądku. A była przy tym nieuchwytna jak diabli!

Przyglądał się jej teraz. Zmysłowe usta układały się w czuły uśmiech, jakim obdarza się kochanego brata, nie zaś przyszłego mę a i właśnie ów uśmiech pobudził Nicolasa do działania.

Zanim Whitney zdołała domyślić się jego zamiaru, ręce Nickie-go pochwyciły ją i przyciągnęły, a usta przypuściły zdecydowany atak.

– Nicki, nie! Ja...

Wargi mę czynny w jednej chwili uciszyły jej trwo ny protest, gdy zmysłowo smakowały jej usta.

Dotychczas próbowali ją pocałować tylko niezdarni wielbiciele i Whitney bez trudu ich odsuwała, ale podniecający pocałunek Nicka wywołał reakcję, która ją samą zdumiała i zatrwo yła. Co prawda dziewczynie udało się zachować całkowity spokój, lecz w momencie gdy Nicolas rozluźnił uścisk, cofnęła się szybko.

– Przypuszczam - powiedziała ze sztucznym opanowaniem - e powinnam cię za to spoliczkować.

Sprawiała wra nie tak chłodnej i opanowanej, e Nicki, którym wręcz wstrząsnął dotyk jej miękkich ust pod wargami i nacisk jej piersi na jego tors, wpadł w furję.

– Spoliczkować?! - powtórzył sarkastycznie. - Dlaczego miałabyś mnie spoliczkować? Nie wierzę,

e jestem pierwszym czy choćby setnym

mężczyzną, który skradł ci pocałunek

– Ach, tak?! - Odskoczyła, dotknięta do ywego jego domniemaniem, e mogłaby się zabawiać tak szybko i swobodnie. - No có , widocznie mam honor być twoją pierwszą.

Ostra riposta jeszcze nie opuściła jej ust, a ju zobaczyła płomień gniewu na twarzy Nicolasa i zrozumiała, e obra ając jego męską dumę, popełniła powa ny błąd taktyczny.

– Nicki... - szepnęła, ostro nie się cofając, gdy on ruszył w jej stronę.

Umknęła za biurko wuja i stamtąd, trzymając ręce na blacie, spoglądała na męża. Ilekroć ruszyła w którąś stronę, Nicki podą ał za nią. Stali tak niczym dwaj wojownicy, rozdzieleni biurkiem Edwarda, czekając na kolejny ruch przeciwnika. Nagle dziecinna absurdalność tej sytuacji tak uderzyła Whitney, e doprowadziła ją do śmiechu.

– Nicki, czy masz jakikolwiek pomysł, co zrobisz, jeśli mnie złapiesz?

Miał wspaniały pomysł, co chciałby zrobić, gdyby ją złapał, lecz równie dostrzegł niedorzeczność tej sytuacji. Wyprostował się, a maska gniewu opadła z jego twarzy.

– Wyjdź z tego biurka - poprosił ze śmiechem. - Daję słowo, e zachowam się jak d entelmen.

Uwa nie patrząc mu w oczy, Whitney upewniła się, e mówił prawdę, a potem zbli yła się posłusznie i wsunawszy mu rękę pod ramię, odprowadziła Nicolasa do drzwi.

– Zobaczymy się wieczorem na maskaradzie - obiecała.

## Rozdział 6

Lord Edward Gilbert stał przed lustrem w salonie i z odrazą przyglądał się samemu sobie, odzianemu w łuskowaty, zielony kostium krokodyla, który ona wybrała mu na bal maskowy u Armandów.

Jego spojrzenie przesuwawało się od czubka groteskowego łba z szeroko rozwartymi, arłocznymi szczękami do przypominających pazury gadzich łap, a potem wzdłu długiego ogona ciągnącego się po podłodze. Dokładnie w samym środku czegoś, co powinno być lśniącym zielonym cielskiem krokodyla, majestatycznie wydymał się brzuch lorda Edwarda. Odwracając się plecami do lustra, spojrział jeszcze przez ramię i poruszył biodrami, obserwując z niezdrową fascynacją, jak ogon zafalował za nim.

– Obrzydliwość! - mruknął, ale w tym momencie do salonu weszła lady Anne z Whitney i Edward zwrócił się do ony. - Na litość boską! - wybuchnął i zrzuciwszy z głowy krokodyli łeb, wymachiwał nim gniewnie, sunąc przez salon i ciągnąc za sobą długi ogon. - Czy mogę spytać, jak mam zapalić cygaro, nosząc coś takiego?!

Lady Annę uśmiechnęła się ze spokojem, przyglądając się kostiumowi, który wybrała, nie naradziwszy się z mężem.

– Nie znalazłam twojego ulubionego stroju Henryka VII, a byłam całkiem pewna, że nie przypadłby ci do gustu kostium słonia...

– Słonia?! - powtórzył z goryczą lord Gilbert, wpatrując się w nią. - Jestem zdumiony, że nie wzięłaś dla mnie stroju słonia! Mógłbym obracać się na wszystkie strony, machając trąbą i kłując innych gości kłami. Madame, przecie ja muszę zachować szacunek; godność...

– Ale, kochanie - upomniała go czule lady Anna. - Oo pomyśli Whitney...

– Powiem ci, co pomyśli. Pomyśli, że wyglądam jak osioł. Wszyscy pomyślą, że wyglądam jak osioł - odrzekł, zwracając się ku dziewczynie. - Proszę, moja droga, powiedz swojej cioci, że wyglądam jak osioł!

Whitney przyglądała mu się z wesołą czułością.

– Twój kostium jest bardzo dowcipny i oryginalny, wuju Edwardzie... -

oświadczyła dyplomatycznie, a potem całkiem zbiła z tropu lorda Gilberta, przywołując nazwisko jego wieloletniego rywala - chociaż słyszałam, że Herbert Granville wybiera się na ten bal jako koń...

– Nie? Naprawdę? - ucieszył się lord Edward. - A którą stronę tego zwierzęcia będzie?

Oczy Whitney zamrugały ku niemu wesoło.

– Zapomniałam zapytać. Rozchmurzony lord Edward zachichotał.

– Pozwól, niech zgadnę - powiedział - kim ty będziesz.

Whitney obróciła się dookoła, by dokładnie ją obejrzał. Grecka szata z cienkiego białego jedwabiu spięta była na lewym ramieniu ametystową broszą, pozostawiając drugie kremowe ramię kusząco nagie. Lekkie fałdy przywierały prowokacyjnie do okrągłego biustu i wąskiej talii dziewczyny, a potem wdzięcznie opadały na podłogę. Grube sploty lśniących włosów Whitney ozdobione były jaskrami i fiołkami.

– Wenus! - odrzekł wuj. Whitney pokręciła przecząco głową.

– Oto klucz do zagadki - pomachała purpurową atlasową pelerynką i zastygła w oczekiwaniu.

– Wenus! - powtórzył Edward z emfazą.

– Nie - odrzekła, całując go w policzek. - W istocie krawiec próbował

wzbogacić mitologię. Mam być Persefona, ale zawsze przedstawia się w skromniejszej dziewczęcej szacie.

– Kim masz być? - zdziwił się wuj.

– Persefona, boginią wiosny - wyjaśniła Whitney. - Pamiętasz, wuju Edwardzie? Ona zawsze ukazywana jest z fiołkami oraz jaskrami we włosach i w purpurowej pelerynce. - Poniewa jednak wuj nadal wydawał się zakłopotany, dodała: - Hades porwał ją, gdy zbierała kwiaty i uprowadził do podziemnego świata jako swoją onę.

– Paskudna to rzecz, zrobić coś takiego - odrzekł lord Gilbert -ale twój kostium mi się podoba, kochanie. Wszyscy będą tak zajęci odgadywaniem, kim jesteś, e nie znajdą czasu, aby się zastanawiać, kto się kryje pod tym okropnym krokodylem.

Z tymi słowami lord Edward Gilbert podał jedno ramię Whitney, a drugie lady Annę, która miała na sobie suknię średniowiecznej damy, uzupełnioną henninem z welonem.

Fale śmiechu przetaczały się przez zatłoczoną salę balową, zagłuszając wysiłki muzyków, a następnie opadały, pozostawiając za sobą falę rozmów. Na zatłoczonym parkiecie przemyślnie odziani goście walczyli o miejsce do tańca, choć ledwie słyszeli muzykę.

Stojąc z boku, otoczona wielbicielami panna Stone uśmiechała się pogodnie.

Obserwowała Nickiego, który zło ył matce pośpieszny ukłon i teraz nieomylnie zmierzał w tym kierunku, rozpoznając natychmiast Whitney mimo białej półmaseczki. Przybywał z innego przyjęcia i nie miał adnego przebrania.

Przyglądała mu się, podziwiając swobodę, z jaką prezentował swe eleganckie ubranie, a tak e wyrafinowany urok. Przypomniała sobie dotknięcie ust Nicolasa.

Znalazłszy się blisko, obrzucił spokojnym spojrzeniem mę czyzn stojących wokół niej, oni zaś rozstąpili się, robiąc mu miejsce, jakby kazał wszystkim się odsunąć. Nicki z wilczym uśmiechem na wargach obejrzał grecką suknię i purpurową pelerynę Whitney oraz fiołki i jaskry wplecione w jej bujne włosy, po czym uniósł jej palce do ust i podniósł nieco głos, by usłyszano go ponad gwarem rozmów.

– Jesteś dziś zachwycająca, Venus.

– Amen! - zgodził się jakiś ogromny banan, który z trudem torował sobie drogę obok grupy adoratorów otaczających Whitney.

– Rauissante! - potwierdził rycerz w zbroi, unosząc przyłbicę, by z aprobatą spojrzeć na dziewczynę.

Nicki zmierzył ich obu zimnym spojrzeniem, Whitney zaś z powagą uniosła wachlarz, ale uśmiechała się za jego jedwabnymi listkami. To jest teraz mój świat, pomyślała z ciepłym uczuciem bezpieczeństwa. We Francji, gdy powiedziała coś niezwykłego, nikt nie sarkał z dezaprobatą ani nie wzdychał z oburzenia. Przeciwnie; ludzie mówili, e jest dowcipna i miła, a nawet ją cytowali. Gdyby teraz wróciła do Anglii, z pewnością byłoby tak samo. Jako dziewczynka popełniała okropne błędy, teraz lepiej to wszystko rozumiała i ju na pewno nie narobiłaby sobie wstydu.

Czuła pełne podziwu spojrzenie Nicolasa przesuwające się po jej jedwabnej sukni, ale nie kłopotowała się wyjaśnianiem, e nie przebrała się za Wenus.

Najwyraźniej nikt w całej sali balowej nie słyszał o adnej innej mitologicznej damie i nikomu nie pomogła wskazówka, jaką stanowiły purpurowa pelerynka oraz fiołki i jaskry we włosach Whitney. Ju dawno zrezygnowała z wyjaśniania, i jest Persefona.

Właśnie zastanawiała się, kogo obdarzyć zaszczytem przyniesienia jej następnej porcji ponczu, gdy Andre Rousseau, jeden z najwytrwalszych adoratorów, dostrzegł, e szklaneczka Whitney jest pusta.

– Nie mogę się na to zgodzić, mademoiselle - powiedział dramatycznie. - Nie zdawałem sobie sprawy, e pani szklaneczka domaga się uwagi. Czy będzie mi wolno? - zapytał, wyciągając rękę ku winnemu tego zamieszania naczyniu, a kiedy Whitney mu je podała, skłonił się głęboko. - To zaszczyt, mademoiselle - oznajmił i rzuciwszy triumfalne spojrzenie innym młodzieńcom wokoło, ruszył w kierunku gigantycznej kryształowej fontanny, która nieprzerwanie wyrzucała z siebie strugi ponczu.

Czy Paul te będzie teraz uwa ał,

e przyniesienie jej ponczu jest

zaszczytem, zastanawiała się z rozmarzeniem. Obraz Paula Sevarina pełnego wdzięczności, e wolno mu przynieść jej cokolwiek, był tak zabawny, i Whitney się uśmiechnęła. Gdyby mógł ją widzieć na tym balu, otoczoną wielbicielami, którzy szukali jej towarzystwa...

Whitney nagle odbiegła myślami od Paula i wróciła do rzeczywistości, uświadamiając sobie, e przez całą salę jakby od niechcienia przygląda jej się nieznany mę czyzna od stóp do głów odziany w czerń. Jego usta widoczne pod czarną półmaską uniosły się w powolnym, pełnym rozbawienia uśmiechu, gdy pochylił się lekko w kpiącym ukłonie.

Czerwona z zakłopotania, e przyłapano ją na tak wyraźnym wpatrywaniu się w nieznanego, Whitney odwróciła się tak szybko, e niemal wytrąciła szklaneczkę z wyciągniętej ręki Andre.

– Pani poncz, mademoiselle - powiedział młodzieniec, podając dziewczynie napój tak, jakby obdarowywał ją garścią diamentów, a kiedy mu podziękowała, spojrział ze smutkiem na swą jedwabną śliwkowej barwy kamizelkę poplamioną teraz kroplami ponczu, w odpowiedzi zaś na pełne współczucia pytanie Whitney, jak to się stało, z całą powagą wyliczył

niebezpieczeństwa, którym stawił czoło po drodze. - Najbardziej ryzykowne jest przedzieranie się przez tłum, mademoiselle. Przez tę chwilę, gdy nie było mnie u pani boku, nadepnął mnie pijany lew, popchnął ten sam banan, który zwracał się do pani wcześniej, na końcu zaś potknąłem się o ogon jakiegoś krokodyla, który mnie jeszcze zbeształ.

– - Bardzo... bardzo mi przykro, Andre - współczuła mu Whitney, tłumiąc śmiech na wzmiankę o krokodylu. - To musiało być naprawdę okropne.

– Drobnostka! - zapewnił ją młodzieniec tonem tak dramatycznym, jakby w istocie było to coś



wielkiego. - Dla pani zrobiłbym wszystko! Dla pani adne zadanie nie byłoby zbyt trudne! Dla pani przepłynąłbym kanał La Manche na tratwie, wyrwałbym sobie serce z piersi...

- I nawet podjąłby się pan te następnej wyprawy do fontanny z ponczem? -

przekomarzała się Whitney

Andre z całą powagą oświadczył, e gotów byłby zrobić nawet to.

Nicki obserwował młodzieńca z politowaniem, rozbawieniem i niechęcią.

- Cherie - powiedział, wsuwając sobie rękę Whitney w zgięcie ramienia i prowadząc dziewczynę ku szerokim drzwiom, które wiodły na patio - albo wyjdź za Andre, albo przestań go dręczyć. Jeśli tego nie zrobisz, gotów jest spróbować dla ciebie czegoś tak niebezpiecznego jak przejście na drugą stronę ulicy.

- Chyba powinnam za niego wyjść - zgodziła się z zuchwałym uśmiechem. -

Wszak owego pierwszego wieczoru, kiedy przyszedłeś na bal debutantek i tańczyłeś ze mną, sam powiedziałaś, e Andre byłby dla mnie doskonałym mężem.

Nicki milczał, dopóki nie znaleźli się na patiu.

- Poślubienie go byłoby z twojej strony wielkim błędem, poniewa rodzice Andre Rousseau i moi pozostają w za yłej przyjaźni, która zostałaby wystawiona na wielką próbę, gdybym zabił ich jedyne go syna tylko po to, aby uczynić cię wdową.

Przestraszona ta groźbą Whitney uniosła głowę i zobaczyła z ulgą, e Nicolas artuje.

- To naprawdę nieładnie z twojej strony, Nicki. Lubię Andre i lubię ciebie.

Wszyscy jesteście przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? - powtórzył. - Powiedziałbym, e ty i ja jesteście więcej ni przyjaciółmi.

- No có , zatem serdecznymi przyjaciółmi. - Whitney ustąpiła niechętnie.

Pozostali na zewnątrz, rozmawiając ze znajomymi, którzy przechadzali się po patiu, chocia Whitney próbowała wymyślić jakiś sposób, aby powrócić w rozmowie z Nicolasem do owej artobliwej serdeczności, którą rozkoszowali się jeszcze pięć miesięcy temu.

- W jakim wieku Angielka powinna wyjść za mąż ? - odezwał się nagle Nicki, zaskakując ją tym pytaniem.

- Nie później ni z chwilą ukończenia trzydziestu pięciu lat -bezzwłocznie odparła Whitney.

- Daj e spokój, pytam powa nie.

– Có - plątała się, desperacko próbując zachować lekki ton -nie później ni ukończywszy dwadzieścia pięć lat.

– Czas więc, byś i ty pomyślała o mał eństwie.

– Wolałabym raczej pomyśleć o tańcu.

Wyglądało na to, e Nicki zacznie się spierać, ale po zastanowieniu podał jej ramię.

– Có , zatańczmy więc - powiedział krótko.

Jednak nawet i w tej kwestii doznał zawodu, gdy tu za jego plecami zabrzmiał głos, który wydawał się dochodzić z mrocznych czeluści.

– Niestety, monsieur, panna Stone obiecała tego walca mnie.

Odwróciła się zdumiona, gdy z mroku wyłoniła się czarno odziana postać.

Nawet bez tego niemal diabelskiego kostiumu rozpoznałaby ów drwiący uśmiech; ten sam, który przez całą salę balową posłał Whitney nieznamy mę czyzna, gdy przyłapał ją na mimowolnym spojrzeniu w jego stronę.

– Obiecała mi pani ten taniec - powiedział, widząc jej wahanie.

Nie miała pojęcia, kim mógł być ów tajemniczy nieznamy, ale bardzo pragnęła uniknąć dalszej dyskusji o mał eństwie z Nicolasem.

– Nie przypominam sobie, abym komukolwiek obiecywała dziś jakiś taniec -

odrzekła jednak z wahaniem.

– Zrobiła to pani przed miesiącem - oświadczył szatan, ujmując mocno Whitney za łokieć, by poprowadzić ją ku sali balowej.

Tłumiąc zaskoczenie z powodu tak bezczelnej zuchwałości, Whitney spojrzała przez ramię i choć uprzejmie przeprosiła Nicolasa, czuła za sobą jego chłodny wzrok. Kiedy jednak ju po chwili, znalazłszy się w ramionach szatana, wirowała w rytmie porywającej muzyki z mę czyzną, który tańczył z lekkością i wdziękiem kogoś, kto robił to po tysiąckroć, Nicki uleciał z jej myśli.

Płynąc w walcu, Whitney nie mogła ju znieść owego stanu niepewności.

– Czy naprawdę obiecałam panu jakiś taniec dzisiaj wieczorem? - zapytała.

– Nie - odrzekł spokojnie.

Ta zdecydowana odpowiedź kazała jej się roześmiać.

– Kim pan jest?

Po jego ogorzalej twarzy przebiegł leniwy uśmiech.

– Przyjacielem? - zaproponował dźwięcznym, głębokim głosem. Nie rozpoznała go jednak.

– Nie. Mo e pan być znajomym, ale nie przyjacielem.

– Będę więc musiał to naprawić - odparł z całkowitym przekonaniem, e tego dokona.

Whitney poczuła nieodparte pragnienie, by nieco zachwiać jego arogancką pewnością siebie.

– Obawiam się, e to niemo liwe. Mam ju bardzo wielu przyjaciół i wszyscy przysięgają mi dozgonną wierność.

– W takim razie - odrzekł tajemniczy nieznajomy z uśmiechem rozjaśniającym jego szare oczy - prawdopodobnie jednego z nich spotka jakiś wypadek... z moją niewielką pomocą.

Whitney nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Była pewna, e ostatnie słowa jej partnera nie zawierały groźby; ten człowiek toczył z nią jedynie słowny pojedynek, a znalezienie repliki na jego kolejne posunięcia wydawało się wręcz ekscytujące.

– Wyjątkową nieuprzejmością z pana strony byłoby popychanie któregoś z moich przyjaciół ku śmierci. Moi przyjaciele są nicponiami, a miejsce ich ostatecznego przeznaczenia chyba nie ma przyjemnego klimatu.

– Raczej gorący? - przekomarzał się szatan.

– Obawiam się, e tak. - Wzdychając z udawanym alem, Whitney powa nie skinęła głową.

Roześmiał się gardłowym, zaraźliwym śmiechem, spoglądając nagle na nią z błyskiem w oczach, który przyprawił ją o niepokój.

Odwróciła wzrok, starając się dojść, kim jest ów mę czyzna. Wcześniej, na patiu, mówił płynną francuszczyzną, tutaj zaś, na parkiecie, jego angielski okazał się równie potoczny i pozbawiony śladu jakiegokolwiek akcentu.

Twarz nieznajomego, a przynajmniej ta część, której nie osłaniała czarna maska, pokrywała zdrowa, złocista opalenizna, jakiej z całą pewnością nie mógł tej wczesnej wiosny zyskać w Pary u. Ani w Anglii.

Próba umiejscowienia go wśród setek mę czyzn, jacy zostali przedstawieni Whitney w ciągu minionych dwóch lat, wydawała się niemal niewykonalna, lecz dziewczyna ją podjęła. Przejrzała w pamięci listę wszystkich poznanych d entelmenów, eliminując jednego po drugim ze względu na wzrost lub te całkiem inny kolor oczu ni owa niezwykła szarość. Wzrost szatana - miał

ponad metr dziewięćdziesiąt - był najbardziej wyró niającą go cechą. Ponownie prześledziła w

pamięci wszystkie tropy i wskazówki, lecz nadal nie potrafiła zidentyfikować tego mężczyzny, który musiał ją znać wystarczająco dobrze, by ją rozpoznać, mimo że nosiła balową półmaseczkę.

Gdy umilkły takty walca, Whitney nie była ani o krok bliżej odgadnięcia nazwiska swego partnera niż wtedy, kiedy taniec się zaczął.

Odsunęła się od niego, na wpół odwracając się do Nicolasa, który stał w pobliżu parkietu, ale nieznajomy mocno ujął jej rękę, wsunął ją sobie pod ramię i pociągnął Whitney w przeciwnym kierunku ku drzwiom wychodzącym do ogrodu położonego z południowej strony pałacu.

Znalazłszy się kilka kroków od owych drzwi, zaczęła się zastanawiać, czy uczyniła słusznie, pozwalając wyprowadzić się w noc przez mężczyznę, którego nie potrafiła rozpoznać. Już miała odmówić zrobienia następnego kroku, kiedy ujrzała w ogrodzie sporo innych gości, którzy przechadzali się po brukowanych ścieżkach oświetlonych lampionami i z pewnością ruszyliby z pomocą, gdyby jej towarzysz nie zachował się jak de Valmeny. Zresztą w istocie Whitney nie wątpiła, że był de Valmeny, gdy państwo Armandowie słyszeli ze starannego doboru gości.

W ogrodzie dziewczyna rozluźniła wstążki maseczki i pozwalając im zwisać między palcami, wdychała zapach wiosennej nocy przesyconej wonią kwiatów.

Podeszli do ozdobnego, kutego w elazie białego stolika niewidocznego z pałacu i pozostającego poza zasięgiem wzroku innych par. Wciąż nierozpoznany mężczyzna podsunął Whitney krzesło.

– Dziękuję, postoję - odrzekła, rozkoszując się ciszą nocy i pięknem księżycowej poświaty.

– Có, Persefona, jak więc mamy się zaprzyjaźnić, skoro jeden z panów obecnych przyjaciół prawdopodobnie nie zaszczyli mnie swą śmiercią w dającej się przewidzieć przyszłości?

Whitney uśmiechnęła się zadowolona, że przynajmniej jedna osoba na balu nie pomyliła jej z Wenus.

– Skąd pan wie, kim jestem?

Zadała to pytanie, mając na myśli swoją balową tożsamość, ale szatan najwyraźniej inaczej je zrozumiał, gdy wzruszył ramionami i udzielił

najprostszej odpowiedzi.

– DuVille nie nosi maski, a ponieważ mówi się, że jesteście nierozłączni, więc zobaczywszy jego, domyśliłem się, kim jest pani.

Na nieoczekiwaną wiadomość, i plotki połączyły ją z Nicolasem, gładkie czoło Whitney zmarszczyło się z niezadowolenia.

– Ponieważ ta odpowiedź najwyraźniej panią irytuje - dodał nieznajomy -

chyba powinienem być bardziej szczery i powiedzieć, że pewnie... pani...

atrybuty... sprawiły, i z łatwością przyszło mi ją rozpoznać nawet w masce i to zanim jeszcze pojawił się DuVille.

Wielki Bo e! Wzrok szatana rzeczywiście wędrował po jej ciele, czy te tylko jej się to wydawało?! Kiedy męczyzna odchylił się do tyłu i swobodnie oparł biodro o elastyczny stolik, Whitney nagle poczuła się nieswojo.

– Kim pan jest? - zapytała stanowczo.

– Przyjacielem.

– Absolutnie nie! Wśród moich znajomych nie przypominam sobie nikogo ani o pańskich wzroście i oczach ani te o tak zuchwałym, szczególnie jak na Anglika, sposobie bycia... - przerwała, przyglądając mu się niepewnie. - Czy naprawdę jest pan Anglikiem?

Spojrzał w jej badawcze zielone oczy i wybuchnął śmiechem.

– Jakie to niedopatrzenie z mojej strony! - zakpił lekko. - Powinienem najpierw porozmawiać o pogodzie, ka de zdanie zaczynać zwrotem „no có ”, a co drugie ozdabiać bardzo angielskim „doprawdy?”, by nie miała pani wątpliwości, kim jestem.

Jego rozbawienie było tak zaraźliwe, e Whitney nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– No có , teraz gdy wyjawiał pan, e jest Anglikiem, proszę się przedstawić.

– A kim chciałaby mnie pani widzieć, moja droga? - zapytał. -Kobiety na ogół

uwielbiają arystokratyczne tytuły. Chciałaby pani usłyszeć, e jestem

księciem?

Whitney wybuchnęła śmiechem.

– Mo e pan być rozbójnikiem albo nawet piratem - przyglądała mu się, mrucząc oczy - z pewnością jednak nie jest pan bardziej księciem ni ja.

Wesołość na jego twarzy ustąpiła miejsca artobliwemu zaciekawieniu.

– Czy mogę zapytać, z czego pani czerpie tak niezachwianą pewność, e nie jestem księciem?

Przypominając sobie jedyne go księcia, jakiego w ogóle widziała, Whitney zuchwale zmierzyła szatana wzrokiem od stóp do głów, rozmyślnie rewanując się za to powolne spojrzenie, jakim taksował ją wcześniej.

– Zacznę od rzeczy najbardziej oczywistej: gdyby był pan księciem, nosiłby pan monokl.

– Jak miałbym go u ywać, mając na twarzy balową maskę? -spytał zdumiony.

–  
aden ksią ę nie u ywa monokla, by przez niego patrzeć... to jedynie poza.

Unosi go do oka i przygląda się damom. Istnieją te inne powody, dla których prawdopodobnie nie mo e pan być księciem - tłumaczyła dalej. - Nie chodzi pan z laseczką, nie sapie pan ani nie prycha i mówiąc całkiem szczerze, wątpię, by mógł pan przypisywać sobie prawo do choćby najłagodniejszego przypadku podagry.

– Podagry?! - powtórzył ze zdziwieniem. Whitney skinęła głową.

– Bez laski, podagry, sapania i prychania raczej nie mo e pan mieć nadziei na przekonanie kogokolwiek, i jest pan księciem. Czy zatem nie lepiej byłoby wybrać sobie jakiś inny tytuł? Mógłby pan podawać się za lorda, gdyby miał

pan choćby niewielkiego zeza i szpotawa stopę.

Szatan parsknął śmiechem, a potem potrząsnął głową i przyglądał jej się z niemal czułym wyrazem twarzy.

– Panno Stone - zapytał z zabawną powagą - czy nie nauczono pani, e owe arystokratyczne tytuły nale y czcić, nie zaś wyśmiewać?

– Próbowano - przyznała ze śmiechem.

– I...?

– ...i jak pan widzi, nie osiągnięto zamierzonego celu.

Na dłu szą chwilę zatrzymał spojrzenie na jej jaśniejącej twarzy, a potem utkwił wzrok w zachwycających zielonych oczach dziewczyny.

– Ale podstawowym dowodem na to, i nie jestem księciem, pozostaje brak monokla? - odezwał się z pewnym roztargnieniem.

Whitney z uśmiechem skinęła głową, bawiąc się wstą kami swojej maseczki.

– Miałby go pan zawsze ze sobą - powiedziała.

– Nawet jadąc na polowanie? - pytał dalej.

– Gdyby był pan księciem, byłby pan zbyt gruby, eby dosiadać konia -

wyjaśniła, lekko wzruszając ramionami.

Jednym szybkim ruchem chwycił Whitney za nadgarstki i przyciągnął ku sobie tak, e jej biodro oparło się na jego twardym udzie.

– Nawet w łó ku? - zapytał cicho.

Wręcz sparali owana niespodziewanym posunięciem szatana, wyrwała z jego rąk dłonie i utkwiała w nim lodowate spojrzenie, podczas gdy na wargi cisnęła jej się cięta riposta. Lecz właśnie wtedy, gdy otwierała usta, mę czyzna wstał.

– Czy mogę pani przynieść kieliszek szampana? - zaproponował uspokajająco.

– Mo e pan iść do... - Powściągając oburzenie przez wzgląd na imponujący wzrost i potę ne ramiona nieznajomego, Whitney skinęła głową i wykrztusiła krótko: - Proszę.

Stał jeszcze przez chwilę, wpatrując się z uporem w pełne wzburzenia zielone oczy Whitney, a potem odwrócił się i skierował wprost do pałacu, by przynieść jej szampana.

Gdy zniknął w drzwiach, Whitney odetchnęła z ulgą i obróciwszy się wokół, pośpiesznie ruszyła przez trawnik, by wrócić do sali balowej z przeciwnej strony.

Od tej chwili jej dobra zabawa się skończyła. Whitney była spięta i zdenerwowana, na poły spodziewając się, e ów czarno odziany mę czyzna, o którym ju zawsze miała myśleć jako o szatanie, zagadnie ją w sali balowej, nawet gdy pozostawał z dała, otoczony niewielką grupą gości, którzy z nim rozmawiali i artowali.

Czekając z wujostwem, by po egnąć gospodarzy, Whitney obserwowała ukradkiem smukłą postać szatana przesuwaną się przed nimi w rzędzie wychodzących gości. Pochylał głowę, uprzejmie słuchając jasnowłosej kobiety, która coś do niego mówiła. W pewnej chwili roześmiał się ze słów towarzyski i Whitney zarumieniła się na wspomnienie tego, jak z nią artował w ogrodzie.

łowała, e nie zdjął maski, by mogła zobaczyć jego twarz, i zastanawiała się, kim jest owa jasnowłosa dama. Zapewne jego kochanką, pomyślała z niechęcią, wszak nie traciłby ani chwili z adną kobietą, jeśli nie chciałby, by wystąpiła w tej roli przynajmniej przez jedną noc.

Nagle nieznajomy się odwrócił i Whitney po raz drugi tego wieczoru została przyłapana na wpatrywaniu się w niego. Szatan pochwycił jej spojrzenie, ona zaś uniosła podbródek, starając się, mimo zmieszania, wytrzymać jego wzrok.

Jakiś dziwny, niezgłębiony uśmiech pojawił się w kąciku ust mę czyzny, gdy z wolna skinął ku niej głową. Whitney gniewnie odwróciła oczy. Arogancki i zarozumiały... nie znajdowała dość krytycznych słów.

– O co chodzi, kochanie? - spytała szeptem stojąca obok ciocia Annę.

Whitney wzdrygnęła się nerwowo, a potem ostro nie zwróciła głowę w stronę frontowych drzwi, gdzie szatan okrywał teraz elegancką peleryną ramiona jasnowłosej damy.

– Czy wiesz, kim jest ten mę czyzna, ciociu?

Lady Gilbert przez chwilę uwa nie przyglądała się wychodzącej parze i ju zaczęła przecząco kręcić

głową, lecz zatrzymała się gwałtownie, gdy blondynka uniosła rękę i zdjęła balową maseczkę.

– To Marie St. Allermain... słynna śpiewaczka - szepnęła. - Jestem tego pewna.

Whitney spostrzegła, że na twarzy lady Anne pojawił dziwny wyraz przerażenia, gdy z uwagą przyglądała się ciemnowłosemu mężczyźnie w czarnej pelerynie.

– Jeśli zaś ona jest panią St. Allermain... - mówiła dalej ciotka - ...to tym mężczyzną musi być...  
Wielki Boże! To on! Ale tak!

Lady Anne gwałtownie zwróciła wzrok ku siostrzenicy, która przyglądała się, jak szatan pieszczotliwie przesunął ręką po plecach blondynki, kierując ją ku wyjściu. Whitney przypomniała sobie, że te same dłonie przyciągnęły ją ku sobie, i zarumieniła się ze wstydu.

– Dlaczego o niego pytasz? - zapytała ciocia.

Ostatnią rzeczą, jaką pragnęłaby uczynić Whitney, było przyznanie się komukolwiek, że okazała się tak niemądra, by pójść do ogrodu z mężczyzną, którego, w co nie wątpiła, nigdy przedtem nie spotkała.

– Myślałam... myślałam, że to ktoś, kogo znam, ale teraz widzę, że nie... -

odpowiedziała, czując wielką ulgę,

że ciotka najwyraźniej nie chce

rozmawiać o tej parze.

W istocie lady Anne była wręcz zachwycona, mogąc uciąć ów temat. Zbyt długo snuła swoje plany i marzenia, by teraz zobaczyć, jak Whitney staje się kolejną zdobyczą księcia Claymore. Marie St. Allermain była jego kochanką już blisko rok i mówiono, że księżę towarzyszył jej nawet w podróży do Hiszpanii, gdzie przed dwoma miesiącami śpiewała w jakimś przedstawieniu przed królem i królową. Przez całe lata plotki wiązały go z jakąś piękną i mogącą się poszczycić odpowiednim pochodzeniem kobietą w Europie, ale obrączki nigdy nie było wśród rzeczy, które im ofiarował. Za tym przystojnym arystokratą ciągnął się sznur złamanych niewieścich serc i zdruzgotanych małżeńskich aspiracji, co jakąś rozsądną kobietę z niezamężną siostrzenicą przyprawiłoby o dreszcz trwogi! Ten człowiek był ostatnim mężczyzną na kontynencie, któremu, zdaniem lady Anne, Whitney powinna okazać jakiegokolwiek zainteresowanie.

Ostatnim mężczyzną na całym świecie!

## Rozdział 7

Dokładnie cztery tygodnie po balu maskowym Matthew Bennett wyszedł ze swego paryskiego biura i wsiadł do pięknego lakierowanego powozu w kolorze burgunda, z księżym herbem wygrawerowanym w złocie na drzwiczkach.

Irchową teczkę zawierającą informacje o panience Whitney Allison Stone położył



na siedzeniu obok siebie, a potem wyciągnął długie nogi w luksusowym księżym pojeździe.

Od niemal stu lat przodkom Matthew Bennetta powierzano poufne sprawy prawne rodziny księcia Claymore, a ponieważ główne posiadłości Claytona Westmorelanda leżały w Anglii, ojciec Matthew w londyńskim biurze osobiście zaznajomił się ze swym utytułowanym klientem. Do tej chwili Matthew kontaktował się z obecnym księciem wyłącznie korespondencyjnie, więc dziś szczególnie zależało mu na tym, by zrobić dobre wrażenie.

Powóz toczył się spokojnie, skręcając łagodnie wokół zielonych stoków wzgórz usianych polnymi kwiatami, a gdy wreszcie na horyzoncie pojawiła się francuska wiejska rezydencja księcia, Matthew zapatrzył się w nią z zachwytem.

Położona na szczycie pokrytych zielenią wzgórz dwupiętrową budowlę z kamienia otaczały tarasy wychodzące na ogrody, które rozciągały się w dół na wszystkie strony.

Powóz zatrzymał się przed domem, więc Matthew sięgnął po swoją teczkę i powoli wszedł na tarasowe kamienne schody. Wręczył swój bilet wizytowy lokajowi w liberii, który wprowadził go do obszernej biblioteki pełnej księgi ustawionych w płytkich wnękach ściennych.

Pozostawiony przez chwilę sam Matthew spoglądał z nabożnym podziwem na bezcenne dzieła sztuki spoczywające na połyskliwych stolikach z różnego drewna. Nad marmurowym kominkiem wisiał cudowny Rembrandt, a obok znajdowała się imponująca kolekcja akwafort tego mistrza. Jedną z długich ścian wypełniały w całości szklane tafle i wielkie weneckie drzwi prowadzące na obszerny kamienny taras, z którego rozciągał się wspaniały widok na otaczającą dom okolicę.

Po przeciwnej stronie pokoju stało masywne dębowe biurko o krawędziach bogato rzeźbionych w liście akantu i winorośli. Matthew w duchu sytuował je w późnych latach szesnastego stulecia i wnosząc z rzemieślniczego mistrzostwa, mniemał, iż prawdopodobnie było niegdyś ozdobą jakiegoś królewskiego pałacu. Przeszedłszy przez gruby perski dywan, usiadł na jednym z obitych skórą krzeseł z wysokimi oparciami, stojących przed biurkiem, a teczkę położył

na podłodze obok siebie. Kiedy zaś po chwili otworzyły się drzwi biblioteki, zerwał się na równe nogi, rzucając szybkie spojrzenie ku ciemnowłosemu mężczyźnie, od którego zależała jego przyszłość.

Clayton Westmoreland był mężczyzną niewiele ponad trzydziestoletnim, niepospolicie wysokim i zdecydowanie przystojnym. Jego długie, energiczne kroki świadczyły raczej o aktywnym, dynamicznym życiu niż o owej leniwej opieszałości i nadmiernym folgowaniu sobie, jakie Matthew przypisywał

bogатым d entelmenom z arystokratycznymi tytułami. Emanowała z niego aura starannie powściąganej siły, zdecydowania i gwałtowności.

Czując na sobie parę dociekliwych oczu, Matthew nieco nerwowo przełknął

ślinę, gdy księżę skierował się za biurko, a następnie skinął głową w stronę stojącego przed nim biurkiem krzesła i gestem zaprosił gościa do zajęcia miejsca.

– Czy mo emy zacząć, panie Bennett? - zapytał ze spokojną powagą.

– Naturalnie - odparł Matthew i odchrząknął. - Zgodnie z pańskim poleceniem, wasza wysokość, zasięgnęliśmy informacji o rodzinie i wychowaniu tej młodej damy. Panna Stone jest córką Susan Stone... która zmarła, gdy panna Stone miała pięć lat... i Martina Alberta Stone'a, który jeszcze żyje. Urodziła się trzydziestego czerwca roku tysiąc osiemsetnego w rodzinnym domu nieopodal miasteczka Morsham poło onego w odległości około siedmiu godzin jazdy od Londynu. Posiadłość pana Stone'a jest niewielka, ale urodzajna i rentowna, on sam zaś żyje na zwykłym poziomie angielskiego ziemiaństwa. Lecz mniej więcej cztery lata temu jego sytuacja finansowa drastycznie się zmieniła. Stało się to wtedy, gdy, jeśli pan sobie przypomina, owa część Anglii została zalana przez padające tygodniami deszcze. Majątki, które nie miały odpowiednich urządzeń melioracyjnych, bardzo ucierpiały, a pan Stone najwyraźniej bardziej niż inni, ponieważ nie posiadał innych środków mogących wesprzeć tę posiadłość, takich jak zwywy inwentarz. Nasze informacje wskazują, e właściciel dokonał wówczas kilku wyjątkowo du ych

i

nierozważnych

inwestycji

w

rodzinnych

ryzykownych

przedsięwzięcia, a potem, gdy te zawiodły, podwoił i potroił lokaty w kolejne interesy o podobnym charakterze... najwyraźniej dokonując tych transakcji w nadziei powetowania sobie poniesionych strat. Wszystkie interesy jednak okazały się katastrofalne i dwa lata temu Stone zadłużył swą posiadłość, aby zyskać kapitał niezbędny do podjęcia ostatniego i największego ze wszystkich przedsięwzięć. Zainwestował pozostałe środki w jakieś kolonialne towarzystwo okrętowe. Niestety ta operacja również się nie powiodła. Obecnie dziedzic ma bardzo obciążoną hipotekę i jest zadłużony.

Nie tylko na wysoki procent w bankach londyńskich, ale również u lokalnych dostawców. Majątek szybko podupada i teraz została w nim już tylko najniezbędniejsza służba. - Pan Bennett sięgnął do irchowej teczki. - Oto szczegółowa lista wierzycieli, choć z pewnością nie wszystkich odnaleźliśmy w tak krótkim czasie, w jakim musieliśmy przeprowadzić nasze śledztwo -

zakończył, przesuując dokumenty po blacie zdobnego biurka, i czekał na jakąś reakcję księcia.

Clayton Westmoreland odchylił się do tyłu na swoim krześle i z niewzruszoną twarzą przejrzał listę.

– Ile w sumie wynoszą długi? - zapytał, kończąc lekturę ostatniej strony.

– Łącznie... powiedziałbym, e... Stone jest zadłużony na około stu tysięcy funtów.

Ta oszałamiająca kwota nie zrobiła adnego wyraźnego wra enia na księciu, który oddał prawnikowi dokumenty i pośpiesznie zmienił temat.

– Czego zdołał się pan dowiedzieć o dziewczynie?

Kto, myślał Matthew, wyjmując akta z napisem: „W. Stone”, powinien wiedzieć o niej więcej ni mę czyzna, którego kochanką miała zostać? Chocia ksią ę w istocie tego nie powiedział, pan Bennett ju się domyślił, e Claymore zamierzał uczynić z niej swoją metresę, zapewniając Whitney wygodne ycie i apana e. Był przekonany, e zainteresowanie księcia rodziną dziewczyny jest wyrazem ciekawości, jakiego rodzaju sprzeciwu, jeśli w ogóle jakiegokolwiek sprzeciwu, mógłby się spodziewać.

Dla prawniczego umysłu Matthew katastrofalna sytuacja finansowa Stone'a czyniła wynik tej sprawy przesądzonym. Martin Stone będzie musiał skorzystać z tej sposobności przerzucenia odpowiedzialności za sytuację córki na Claytona Westmorelanda. Jaki bowiem miał wybór? Ledwie mógł nadal ją ubierać i utrzymywać w wy szych sferach. Jeśli troszczył się o reputację dziewczyny, to jego własna była w znacznie większym niebezpieczeństwie. Gdyby wierzyciele Stone'a odkryli jego katastrofalne poło enie finansowi', co z pewnością mogą uczynić w ka dej chwili, spotkałaby go i nr tylko niesława, ale zgoła nieprzyjemny pobyt w więzieniu dla dłu ników.

Matthew oblał się rumieńcem, gdy zdał sobie sprawę, e w milczeniu wpatruje się w otwartą teczkę dziewczyny i natychmiast zaczął mówić:

– Choć bez wzbudzania niepo ądanych podejrzeń niełatwo było zgromadzić informacje o jej charakterze, dowiedzieliśmy się, e pannę Stone uwa ano za dość trudne dziecko o... no có ... o nieprzewidywalnym sposobieniu. Jest odcytana i niezwykle starannie wykształcona przez wielu nauczycieli.

Oczywiście mówi płynnie po francusku, w grece zaś jest tak biegła, e niekiedy towarzyszy swemu wujowi jako tłumaczka podczas przyjęć, na których obecni są greccy dyplomaci. Czyta po włosku i niemiecku oraz po łacinie. Chyba równie mówi tymi językami, ale tego nie jesteśmy pewni... -

Prawnik zawahał się, uwa ając za kompletny absurd opowiadanie księciu o tym, o czym jego klient z pewnością musiał ju wiedzieć.

– Proszę mówić dalej - polecił Westmoreland i uśmiechnął się lekko, widząc wyraźne zmieszanie prawnika.

Skinąwszy z zakłopotaniem głową, Matthew przekazał mu następne informacje.

– - Wiele osób, z którymi się kontaktowaliśmy, wspominało o istnieniu znacznych kontrowersji między tą młodą damą a jej ojcem. Niektóre potępiały go za to, ale większość współczuła Martinowi Stone'owi jako pechowcowi, który spłodził niepokorną córkę. Jako czternastolatka panna Stone zapałała... dość gwałtownym uczuciem do d entelmena nazwiskiem Sevarin. Paul Sevarin, dziesięć lat starszy od niej, wcale nie bardziej zachwycony dziewczęcym zadurzeniem panny Stone ni jej ojciec. Zarówno z tej przyczyny, jak i dlatego, e widocznie Stone'owi nie udało się poradzić z nią w aden inny sposób, gdy miała szesnaście lat, ojciec w końcu wysłał ją do Francji wraz z ciotką i

wujem. Wujostwo, kiedy skończyła lat siedemnaście, zgodnie z obyczajem wprowadzili pannę do francuskiego towarzystwa. Jak wskazują nasze źródła, od tej chwili cieszy się ona wyjątkową popularnością w Paryżu. Naturalnie, gdyby wiadano o położeniu finansowym ojca i jej braku posagu, sytuacja zmieniłaby się drastycznie. - Pan Bennett wypowiedział głośno swoje domniemania, po czym spojrzał przepaszająco na księcia i wrócił do faktów: - Panna Stone była bliska licznych propozycji małżeństwa, ale zniechęcała wszystkich konkurentów, gdy tylko ich zamiary stawały się oczywiste. Ci zaś d entelmeni, którzy nalegali na rozmowę z jej wujem, byli przez niego odprawiani bez wątpienia w imieniu Martina Stone'a. Mówi się, e jej maniery są dla towarzystwa całkowicie możliwe do zaakceptowania, choć pozostają nieco niezwykle. Czy popełniono jakiś błąd? - zapytał Matthew, gdy księżę wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie - wykrztusił Clayton. - Powiedziałbym nawet, e pana informacje są w pełni precyzyjne. - Wciąż widział zielone rozbawione oczy Whitney, gdy szczyła z arystokratycznych tytułów... zwłaszcza z jego tytułu. - Czy ma pan coś jeszcze? - zapytał w końcu.

- Tylko kilka uwag, wasza wysokość. Jej wuj, lord Edward Gilbert, jest jak pan wie, dyplomata w konsulacie brytyjskim w Paryżu i cieszy się nieskazitelną opinią. O panie Stone mówi się, i pozostaje w doskonałych stosunkach zarówno z nim, jak i z jegooną, lady Annę. Obecnie panuje zgodne przekonanie, e bliski ubiegania się o rękę młodej damy jest Nicolas DuVille, a te oświadczyzny niewątpliwie wydadzą się lordowi Gilbertowi godne zaakceptowania. Państwo DuVille, o czym z pewnością pan wie, są jednym z wybitnych rodów Francji, a Nicolas to ich jedyny męski potomek i dziedzic. - Prawnik zamknął akta. - To wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć w wyznaczonym nam czasie, wasza wysokość.

Zostawiając Bennetta jego własnym myślom, Clayton wstał i podszedł do okna wychodzącego na pofałdowane zielone wzgórza. Za skrzyowanymi na piersiach rękami oparł się o futrynę i wpatrzony w cudowny widok, po raz ostatni rozważał plan, który teraz ujęty w słowa miał się urzeczywistnić.

Za każdym razem, ilekroć był we Francji i widział Whitney, czuł do niej wielki pociąg i w duchu śmiał się z odpraw, jakie dawała zbyt natarczywym konkurentom. Przedstawiano ich sobie dwukrotnie; za pierwszym razem była dlań za młoda, by się nad czymkolwiek zastanawiał, za drugim zaś dziewczynę otaczała grupa młodzieńców zabiegających o jej względy. Rzuciła wtedy w jego kierunku roztrągnięte spojrzenie, w istocie ani na niego nie patrząc, ani nie słysząc jego nazwiska. Później unikał kolejnego spotkania, przewidując, e Whitney wymagałaby zbyt wiele czasu i niełatwych zalotów, nim padłaby w jego ramiona. Czasu zaś Clayton miał mało, a jeśli chodzi o zaloty, to nie pamiętał, by kiedykolwiek w całym swoim dorosłym życiu musiał uwodzić kobietę. Wszystkie były a nazbyt chętne, by uwieść jego.

A potem, przed czterema tygodniami, stał w ogrodzie Armandów i upajając się jej urodą, walczył z szaleńczym pragnieniem, by pochylić głowę i powoli scałować lekceważący uśmiech z jej miękkich, zachęcających warg, a potem unieść dziewczynę w ciemność i kochać się z nią natychmiast, właśnie tam.

Była urodzoną kusicielką; nęciła i prowokowała go obliczem anioła, smukłym i zmysłowym ciałem bogini oraz czystym wdziękiem, który sprawiał, e uśmiechał się szeroko, ilekroć o niej myślał. Miała te poczucie humoru i potrafiła drwić z absurdów, co tak bardzo odpowiadało jego własnej ironii.

Clayton porzucił próbę zrozumienia przyczyn, dla których gotów był podjąć ten krok. Pragnął jej i to stanowiło wystarczający powód. Była ciepła, dowcipna i nieuchwytna niczym cudowny motyl. Nigdy by go nie znudziła, tak jak nużyły go inne kobiety. Mówiła mu to wiedza nabyta przez lata doświadczeń ze słabą płcią.

Podjąwszy decyzję, odwrócił się i energicznie podszedł do biurka.

– Chcę, aby przygotowano mi kilka dokumentów. Będzie to konieczny transfer znacznej sumy pieniędzy, kiedy Stone przyjmie moją propozycję.

– Jeśli pan Stone przyjmie pańską propozycję - odruchowo poprawił go Matthew.

Westmorelandowska brew uniosła się w wyrazie sardonicznego rozbawienia.

– Przyjmie.

Mimo swojej dzisiejszej nerwowości pan Bennett był szanowanym doradcą prawnym i nauczył się nigdy nie okazywać żadnych uczuć, kiedy zajmował się jakąś delikatną sprawą klienta. Kiedy jednak księżę zaczął dyktować warunki, pod którymi zgoła ogromna kwota miała być zaoferowana Martinowi Stone'owi, Matthew uniósł głowę i w zdumieniu zagapił się na jego wysokość.

\* \* \*

Clayton stał w oknie i z roztargnieniem spoglądał na powóz, który odwozący Matthew Bennetta do Paryża, zjeżdżał krętą drogą ze wzgórza. Już teraz księżę niecierpliwiał się, by wszystko mu należyte zorganizowano. Pragnął Whitney, pragnął jej natychmiast, ale to wprost nie do pomyślenia, aby miał ją uwodzić we Francji, ustawiając się w kolejce, odgrywając czułego wielbiciela i jak osioł

gnąc się w ukłonach. Tego nie zrobiłby dla

adnej kobiety, nawet

dla panny Stone. Poza tym już zbyt długo pozostawał poza Anglią, aby zaś zarządzać swoimi sprawami, musiał być bliżej Londynu.

Skoro posiadłość Stone'a leżała w odległości jedynie siedmiu godzin jazdy od stolicy, mógłby zajmować się zarówno interesami jak i zalotami z jakiegoś miejsca położonego bliżej jej domu. Oto rzecz najważniejsza: postanowił

sprawić, że ojciec Whitney wezwie dziewczynę z powrotem do Anglii, gdy tylko podpisy znajdą się na dokumentach, a pieniądze przejdą z rąk do rąk.

Księżę ani przez chwilę nie sądził, że Martin Stone mógłby nie przyjąć jego propozycji. Nie miał tej najmniejszej wątpliwości, że on sam zdoła oczarować Whitney.

Tym, co rzeczywiście go niepokoiło, była sygnalizowana w raportach Bennetta niezgoda między dziewczyną a jej ojcem... Istniało więc niewielkie ryzyko, że gdyby panna Stone zbyt szybko

dowiedziała się o tej umowie, mogłaby zbuntować się tylko dlatego, eby postąpić na przekór Martinowi.

Intuicja ostrzegła Clayтона, e gdyby Whitney zmuszono do sprzeciwu, byłaby bardzo zdeterminowaną przeciwniczką. A przecie wcale nie chciał z nią walczyć. Chciał się z nią kochać.

Ponadto istniała równie dodatkowa komplikacja w postaci jego pozycji i związanej z tytułem osobistej popularności. Clayтона cieszyła wizja uroczych wiejskich zalotów, ale zastanawiał się, jak zdoła je prowadzić, gdy wszyscy będą mu się kłaniać, ostro nie zachowując stosowny dystans. A chwila, w której gazety odkryją, e mieszka w jakimś odległym prowincjonalnym hrabstwie...

Snucie przypuszczeń, czym się tam zajmuje, stanie się głównym tematem dla urnalistów, a wieśniacy z fanatyczną ciekawością będą obserwować ka dy jego ruch, szczególnie gdy zacznie zwracać uwagę na Whitney.

Skoro miała tak złe zdanie o arystokracji, a zwłaszcza o ksią ętach, Clayton zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby mądrze zachować w tajemnicy z jej ojcem nie tylko całą umowę, ale równie własną to samość i trzymać ją w sekrecie przed Whitney, dopóki nie zdobędzie dziewczyny.

Tydzień później pan Bennett ponownie zjawił się w rezydencji księcia. Tym razem został wprowadzony na okazałą werandę, gdzie Westmoreland siedział

przy ozdobnym stole i odwrócony plecami do wspaniałego widoku okolicy pracował nad jakimiś dokumentami.

– Wypijesz ze mną kieliszek brandy, Matthew? - zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Z przyjemnością. Dziękuję, wasza wysokość - szepnął prawnik, zadowolony i zdumiony zarówno tym, e ksią ę zwrócił się do niego po imieniu, jak i przyjaznym zaproszeniem na brandy.

Ksia ę spojrział przez ramię na lokaja, kręcącego się nieopodal balustrady i nie mówiąc ani słowa, sprawił, e natychmiast pojawiły się kieliszki. Kilka chwil później jego wysokość odsunął na bok dokumenty i spojrział na prawnika, który usiadł na krześle z drugiej strony stołu.

Bennett złapał się na tym, e - podobnie jak słu ący - równie i on wykonał

niewypowiedziane polecenie, sięgając do swojej teczki po dokumenty i podając je księciu.

– Zgodnie z yceniem waszej wysokości umieściłem postanowienie, e bierze pan na siebie finansową odpowiedzialność za wydatki panny Stone. Czy zechciałby pan określić jakąś maksymalną kwotę?

– Nie. Przejmę na siebie całą odpowiedzialność za pannę Stone - mruknął

Clayton, nie myśląc, co mówi, ze spojrzeniem utkwionym w dokumentach, które po kilku minutach odłożył i uśmiechnął się do prawnika. - No có ... -

spytał - co o tym myślisz?

– A co myśli panna Stone? - odpowiedział pytaniem Matthew, uśmiechając się do arystokratycznego klienta.

– Có , przez jakiś czas nie dowiemy się, co myśli panna Stone. Nic o tym nie wie. Zresztą, prawdę mówiąc, nic o mnie nie wie.

Matthew skrył osłupienie, przelitykając potę ny haust wybornej brandy.

– W takim razie yczę szczęścia z ojcem oraz z młodą damą. Książkę zignorował yczenia, jakby wcale ich nie potrzebował, i odchylił się do tyłu na swoim krześle.

– Za kilka dni udaję się do Anglii, by omówić sprawę z Martinem Stone'em.

Zakładam, e się zgodzi, będę więc potrzebował jakiegoś lokum, by zamieszkać w pobli u. Napisz do londyńskiego biura do swojego ojca, niech znajdzie dla mnie wygodny dom, dobrze? Skromny - podkreślił ku jeszcze większemu zdumieniu Matthew. - Jeśli to mo liwe, nie dalej ni pół godziny jazdy od posiadłości Martina Stone'a. Nie chcę spędzać więcej czasu ni to konieczne na ustalaniu spraw z panną Stone i nie mam najmniejszego zamiaru tracić go na podróż owanie między domem jej ojca a moim.

– Skromny dom, nie dalej ni pół godziny drogi od posiadłości Stone'a... -

powtórzył zaskoczony Bennett.

Jego wyraźna dezorientacja wywołała błysk rozbawienia w oczach Claytona.

– -Właśnie tak. I negocjuj dzier awę na nazwisko Westland, a nie Westmoreland. Oprócz mnie zamieszka tam jedynie nieliczna słu ba i będziemy pozostawać we własnym towarzystwie, a ja przedstawię się jako nowy sąsiad, Clayton Westland.

– Z pewnością nie pannie Stone? - zapytał Matthew.

– Zwłaszcza pannie Stone. - Clayton roześmiał się krótko.

## Rozdział 8

Miesiąc później Wilson, dostojny lokaj Gilbertów, wolno przeszedł przez hol do gabinetu lorda Edwarda i wręczył mu otrzymaną właśnie korespondencję. Na szczycie stosu przesyłek znajdował się list z Anglii. Po pięciu minutach drzwi gabinetu lorda otworzyły się szeroko, a on sam krzyknął do lokaja:

– Natychmiast poproś do mnie lady Annę! Nie wałkoń się, człowieku!

Powiedziałem: natychmiast! - wołał za ura onym słu ącym, który z rozwianymi połami czarnej liberii wręcz biegł przez hol.

– O co chodzi, Edwardzie? - zapytała Annę, niemal przyfruwając do gabinetu męża a na tak pilne

wezwanie.

– O to! - odparł krótko, podając jej list od Martina Stone'a. Annę przeniosła wzrok z poblądłej twarzy męża na podpis u dołu pojedynczego arkusza papieru, który trzymała teraz w dłoni.

– Posyła po Whitney? - domyśliła się z udręką w głosie.

– Pisz, e zwróci mi wszystkie wydatki poniesione na nią przez minione cztery lata, gdy tylko dostanie ich zestawienie - mówił Edward z furią - i e wraz z tym listem posyła pieniądze, które Whitney ma przed powrotem wydać na stroje i świecidełka. Za kogo, do diabła, on się uwa a? Przez cały ten czas nie dał ani pensa na jej utrzymanie. To drań! Nie dostanie ode mnie adnego rachunku i to ja dopilnuję, by wróciła z wielką pompą i elegancją.

On zaś mo e sobie wsadzić swoje pieniądze...

– Whitney wraca do domu... - wyszeptała załamana Anna, osuwając się na krzesło - a ja łudziłam się myślą, e o niej zapomniał... Ju wiem! -

Poweselała. - Odpisz Martinowi natychmiast, napomykając o perspektywie mał eństwa z Nicolasem DuVille'em. Zyskamy na czasie!

– Przeczytaj ten list, madame. Martin Stone pisze tak jasno i tak niegrzecznie jak tylko on potrafi, e Whitney ma stąd wyjechać dokładnie za miesiąc, bez adnych wymówek ani zwłoki.

ona uczyniła, jak powiedział, przesuując wzrokiem po linijkach listu.

– Pisz e ostatni miesiąc w Pary u Whitney ma spędzić na po egnaniach z przyjaciółmi oraz wizytach u modystek i krawcowych – próbowała dodać sobie otuchy. - Martin z pewnością zmienił się przez te cztery lata; inaczej nie pomyślałby, e Whitney będzie potrzebowała czasu, by zamówić stroje tutaj, w Pary u, który jest stolicą mody. Czy sądzisz, Edwardzie, e o Whitney mógł oświadczyć się ten młodzieniec, którego tak bardzo adorowała, będąc małą dziewczynką?

– Nie otrzymał dla córki adnej propozycji mał eńskiej - Edward prychnął -

albo tez nie wspomina o tym w owym przeklętym liście sądząc, ze poszcęściło mu się tam, gdzie nam się nie powiodło - powiedział, po czym, odwróciwszy się plecami do ony, dodał: - Zechciej porozmawiać z nią teraz i wszystko załatwić. Ja będę na górze.

Whitney w odrętwieniu, próbując pogodzić się z wieścią, którą - jak sądziła

- dawno pragnęła usłyszeć.

– Ja... ja jestem szczęśliwa, e wracam do domu, ciociu Annę! –zdołała w końcu powiedzieć. – Rzecz jedynie w tym i ... - Głos jej się załamał.

Szczęśliwa z powrotu do Anglii? Była wręcz przera ona! Przera ona, ze mogła teraz zmarnować szansę, która została jej dana. Co innego usychać z tęsknoty w Pary u, w otoczeniu adoratorów, którzy



jej schlebiali; co innego zaś wrócić do domu i starać się sprawić, by Paul spojrział na nią ich oczyma. Trzeba te będzie radzić sobie z ojcem oraz z Margaret Merryton i ze wszystkimi matronami, które zawsze sprawiały, że czuła się gorzej niż najmniejszy robak.

Wszak tutaj... tutaj miała ciocię Annę i wujka Edwarda, a ci ją kochali, śmiali się z nią i sprawili, że jej życie było radosne i szczęśliwe.

Ciocia odwróciła twarz do okna, lecz Whitney zobaczyła strugę łez na jej policzku. Przygryzła wargę; jeśli ciocia ywała obawy związane z jej powrotem do Anglii, to z pewnością jest za wcześnie, aby stąd wyjechać. Jeszcze nie była gotowa, by stawić wszystkim czoło. Odwróciła się do lustra, mając nadzieję, że znajdzie w nim jakieś zapewnienie o swoim wyglądzie. W Paryżu panowie mówili, że jest piękna. Czy Paul też będzie tego zdania? Lustró natychmiast temu zaprzeczyło. Już się stało, uświadomiła sobie w panice. Zanim jeszcze wyjechała, poczuła, jak opada z niej wszelki entuzjazm. Wydała się sobie taka zwyczajna, nieładna, niezręczna, za wysoka, nawet jej palce poruszały się zbyt nerwowo, czyli tak jak zwykle. A tu, na koniuszku nosa, wciąż widniały słabe ślady piegów, których nienawidziła. O, do diabła, pomyślała Whitney, nagle sobą zniecierpliwiona. Przecie piegi nie pojawią się ponownie przed czyimiś oczami, palce nie muszą poruszać się zbyt nerwowo, ona zaś z pewnością nie zacznie katalogować swoich błędów i wad, tak jak robiła to niegdyś! ołudek opanował szaleńcze skurcze i powoli zaczęło w niej rozkwitać coś innego: nadzieja! Usta Whitney ułożyły się w łagodny uśmiech. Wracam do domu, pomyślała. Wracam do domu, do Paula... wracam, aby pokazać wszystkim, jak bardzo się zmieniłam. Naprawdę jadę do domu!

Jednak wyjazd z Paryżu oznaczał również rozstanie z ukochaną ciocią i wujkiem.

Odwróciwszy się do okna, zobaczyła, że ramiona lady Anny drżą w bezgłośnym płaczu.

– Czuję się tak, jakby mnie rozdierano na pół – powiedziała ciocia.

– Kocham cię, ciociu Anno – wyszeptała Whitney, a w jej oczach pojawiły się gorące łzy i spłynęły po policzkach. – Bardzo cię kocham.

Annę otworzyła ramiona i Whitney wpadła w nie, starając się uspokoić ciocię i sama znaleźć pocieszenie.

Edward, zatrzymawszy się przed sypialnią Whitney, rozprostował ramiona i wywołał na zatroskaną twarz jasny, pewny uśmiech, po czym splatając dłonie za plecami, wkroczył do środka.

– Dobrze się bawicie, moje panie? – zaryzykował z wymuszoną jowialnością, przenosząc wzrok z jednej zapłakanej kobiety na drugą.

Dwie zalane łzami, udręczone twarze obróciły się ku niemu z wymownym zdumieniem.

– Czy dobrze się bawimy...?! – powtórzyła z niedowierzaniem Anna, po czym spojrzała na Whitney, a ta popatrzyła na nią i nagle obie zaczęły chichotać, a po chwili ów chichot zmienił się w wielki, niedający się opanować śmiech.

– Tak... no có... dobrze... Rad jestem, że to widzę – wymamrotał Edward zdezorientowany wyjątkowo

chwiejnym nastrojem swoich pań, po czym odchrząknął i powiedział: - Będziemy za tobą tęsknić, moje dziecko. Byłaś dla nas obojga błogosławieństwem i radością.

Wesołość zniknęła, oczy Whitney znów napełniły się łzami.

- Och, wuju Edwardzie - wyszeptała załamującym się głosem. - Nigdy, przenigdy nie pokocham adnego mę czyzny tak bardzo, jak kocham ciebie.

Ku własnemu zdumieniu i konsternacji Edward poczuł, e zamgliły mu się oczy. Szeroko otworzył ramiona, a dziewczyna pośpieszyła w nie ze szlochem.

Kiedy wreszcie owa burza uczuć przeminęła, wszyscy troje stali, spoglądając na siebie z zakłopotaniem i ściskając przy oczach chusteczki.

Po chwili Edward przemówił pierwszy.

- No có , Anglia nie le y na końcu świata, prawda?

- Nie le y te jednak tu obok - odpowiedziała Whitney, znów przykładając do oczu chusteczkę.

- Masz tam przyjaciół - przypomniał jej Edward. - No i oczywiście jest równie ów młodzieniec, którego tak uwielbiałaś... ten jasnowłosy nieszczęśnik, co nie miał dość rozumu, by rozpoznać diament, który miał

wręcz przed nosem. Jak e mu na imię?

- Paul - odrzekła Whitney, śmiejąc się przez łzy.

- Ten młody człowiek jest głupcem. Powinien złapać cię ju wcześniej. - Po tych słowach Edward przerwał, a potem, przyglądając się jej uwa nie, dodał:

- Spodziewam się, e zrobi to teraz.

- Ja te mam taką nadzieję - odpowiedziała Whitney arliwie.

- Tak właśnie sądziłem, moje dziecko. - Edward rzucił Annę spojrzenie, w którym kryło się retoryczne: „A nie mówiłem?”. - Mówiąc szczerze, często zastanawiałem się czy powodem, dla którego aden z tutejszych adoratorów nie wydawał ci się godny przyjęcia, było to, i zawsze chciałaś wrócić do Anglii i rzucić Paula na kolana. Właśnie to pragniesz teraz zrobić, czy nie?

- Chcę spróbować - przyznała Whitney zaintrygowana, gdy wuj nieoczekiwanie sprawił na niej wra enie małego figlarnego chłopca.

- W takim razie - ciągnął dalej Edward - spodziewam się, e będziesz zaręczona, nim spadnie śnieg.

- Jeśli zdołam - odpowiedziała Whitney, uśmiechając się z nadzieją.

Lord Gilbert wsunął ręce do kieszeni spodni, rozważając jakiś pomysł.

– Skłonny jestem sądzić, że w takim okresie młoda dama powinna mieć przy sobie jakąś doświadczoną kobietę, która mogłaby wspomóc ją radą. Trzeba wszystko poważywać, nie zaplanować, by usidlić takiego opieszalca, jak ten... jak e mu tam...?

– Paul - podpowiedziała Whitney bez tchu.

– Prawda, Paul. Myślę, moja droga - ciągnął wuj z namysłem - że mogłabyś pragnąć, by pojechała z tobą ciocia. - Przyglądał się jej zza szkieł okularów. -

Czy sprawiłoby ci to przyjemność?

– Tak! - zawołała dziewczyna z radością. - Tak, tak, tak!

Edward objął Whitney i przez ramię spojrzał na rozpromienioną onę.

Uśmiech wdzięczności, którym go obdarzyła, był wystarczającą rekompensatą za to poświęcenie.

– Odłóżmy podróż do Hiszpanii - tłumaczył. - Kiedy wy obie wyjedziecie, ja będę się tu zajmować sprawami królestwa, a za jakiś czas przyjadę do Anglii, by pogratulować temu niezgule, z którym się zaręczysz, i zabiorę ciocię do Paryża.

Teraz, czerpiąc satysfakcję z wyprowadzenia w pole Martina Stone'a -

ponieważ wysyłając onę, mógł mieć pewność, że Whitney od początku dobrze sobie poradzi - Edward zmienił swą pierwotną decyzję dotyczącą ogromnej sumy przysłanej przez ojca dziewczyny na jej wydatki. Zgodnie z ową decyzją obie panie wyruszały na kolejne zakupy, które zaczynały się rano, a kończyły o takich porach, że czasu wystarczało im tylko na to, by się przebrać na wieczorne wizyty lub paść do łóżek.

W przeddzień wyjazdu lady Anne z siostrzenicą do Anglii rodzice Nicolasa DuVille'a wydali wykwinne przyjęcie na cześć Whitney. Przez cały wieczór dziewczyna bała się poegnania z Nickim, ale kiedy nadeszła pora, zachowywał

się wyjątkowo spokojnie.

Skradli dla siebie kilka chwil w jednym z pokoiów obszernego domu jego rodziców. Nicki stał przy kominku i oparty ramieniem o jego obudowę, leniwie wpatrywał się w trzymany w dłoni kieliszek.

– Będzie mi cię brakować, Nicki - odezwała się Whitney, nie mogąc znieść tej ciszy.

Spojrzał na nią z rozbawionym wyrazem twarzy.

– Naprawdę, chérie? - zapytał i zanim zdolała odpowiedzieć, dodał: - Ja nie będę tęsknić za tobą zbyt długo.

Usta Whitney zadrzały w zdumionym uśmiechu.

– Cóż za doskonała... nierycerskość!

– Rycerskość jest dla ółodziobów i staruszków - odrzekł Nicki artobliwym tonem. - Nie będę tęsknić za tobą zbyt długo, gdy w ciągu kilku miesięcy zamierzam przyjechać do Anglii.

Whitney potrząsnęła głową.

– Nicki, w Anglii jest ktoś inny - wyznała z desperacją. - Przynajmniej tak mi się wydaje, e jest. Ma na imię Paul i... - Umilkła zaskoczona, widząc, e jej towarzysz się uśmiecha.

– Czy kiedykolwiek przyjechał do Francji, by się z tobą spotkać? - zapytał z rozmysłem.

– Nie, nawet nie pomyślał o czymś takim. Widzisz, byłam wtedy całkiem inna... no wiesz, dziecinna... i on pamięta mnie jako zuchowatą, niesforną, nieelegancką smarkulę, która... Dlaczego się tak śmiejesz?

– Bo jestem zachwycony - odpowiedział Nicki, śmiejąc się cicho. -

Zachwycony, e po tak wielu tygodniach zastanawiania się, kim jest mój rywal, dowiaduję się, e to jakiś angielski idiota, którego nie widziałas przez cztery lata i który nie miał dość rozumu, aby wyobrazić sobie kobietę, jaką się staniesz - zachichotał, odstawiając kieliszek i przyciągając dziewczynę do siebie. - Niebawem się przekonasz, e w sercowych sprawach wspomnienia są znacznie miłsze ni rzeczywistość. Wtedy za kilka miesięcy przyjadę ja i wówczas wysłuchasz tego, co chcę ci powiedzieć.

Whitney wiedziała, e zamierzał się oświadczyć, podobnie jak wiedziała, e byłoby daremne spierać się o to właśnie teraz. Jej wspomnienia z pewnością nie okaą się miłsze ni rzeczywistość, bo adne z jej wspomnień nie jest miłe.

Jednak nie chciała wyjaśniać przyjacielowi, jak nieznośnie się zachowywała i dlaczego Paul prawdopodobnie nie mógł wyobrazić sobie, e mała okropna Whitney kiedyś stanie się tak elegancką, zachwycającą kobietą.

Poza tym Nicki wcale by nie słuchał; pochylił się bowiem i zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem.

*ANGLIA*

## Rozdział 9

W pogłębiającym się zmierzchu cudownego wrześnieowego dnia Whitney spoglądała przez okno powozu na boleśnie znajomy krajobraz. Ju tylko kilka kilometrów dzieliło ją od domu.

Wuj Edward nalegał, by podró owały elegancko i okazałe, co oznaczało, e ich powozowi towarzyszyły jeszcze dwa pojazdy wyładowane kuframi i walizami, oraz trzeci, wiozący pokojówkę cioci i Clarissę, pokojówkę Whitney.

Poza czterema słu ącymi i czterema stangretami jechało z nimi sześciu forysiów; trzech z przodu i trzech zamykających kawalkadę. Wszystko razem tworzyło dość efektowny obraz i Whitney pragnęła, by Paul zobaczył jej powrót w tak wspaniałym stylu.

Powóz zakołysał się, gdy z traktu skręcili na północ w prywatną drogę wiodącą do jej domu. Dłonie dziewczyny dr ały, gdy wkładała liliowe rękawiczki, aby wyglądać absolutnie doskonale, kiedy spotka się z ojcem.

– Zdenerwowana? - Lady Annę uśmiechnęła się, obserwując siostrzenicę.

– Tak. Jak wyglądam? - zapytała Whitney.

Oblicze ciotki wyra ało całkowitą aprobatę, gdy przesuwała wzrok od głowy Whitney, po kruchej, filigranowej klamrze podtrzymującej nad czołem ciężkie mahoniowe loki, poprzez rozpromienioną twarz, a do modnego stroju podró nego w kolorze liliowym.

– Doskonale - odpowiedziała.

Lady Annę tak e wło yła rękawiczki, czując się niemal równie zdenerwowana jak siostrzenica. Aby zapobiec protestowi Martina Stone'a przeciwko obecności ciotki u boku Whitney w drodze powrotnej do domu, lord Edward postanowił, e najlepszym rozwiązaniem będzie niezapowiedziane pojawienie się jego ony w Anglii. Tym sposobem szwagrowi nie pozostanie nic innego, tylko grzecznie ją powitać. Annę zdawała sobie sprawę z przemyślności męż a, ale jednocześnie, im bli ej było do spotkania z ojcem Whitney, tym bardziej niezręcznie czuła się jako nieproszony gość.

Zajechały przed szerokie schody na froncie domu. Odzwierny, otworzywszy drzwiczki powozu, opuścił schodki i obie panie patrzyły, jak Martin w swój uroczysty sposób kroczy w ich stronę. Whitney, rzuciwszy ciotce roześmiane spojrzenie, ujęła fałdy spódnicy, by móc zgrabnie wysiąść, Annę zaś z wnętrza powozu obserwowała ciekawie, jak Martin stanął twarzą w twarz z tą elegancką kobietą, która uśmiechała się do niego czarująco.

– Dziecko - ozwał się sztywnym, powściągliwym tonem -jesteś jeszcze wy sza.

– Albo ja urosłam, papo - odpowiedziała Whitney powa nie -albo ty się skurczyłeś.

Słumiony śmiech lady Annę obwieścił jej obecność w powozie, ona sama zaś z ociąganiem wysiadła, aby przywitać się z gospodarzem. Nie oczekiwała wylewnej serdeczności... Martin nigdy nie był wylewny, a rzadko serdeczny, ale te nie spodziewała się, że będzie się na nią gapił najpierw niczym raony piorunem, potem zatrwoony, a wreszcie - zirytowany.

- To miło z twojej strony, że dopilnowałaś powrotu Whitney do domu -

wykrztusił wreszcie. - Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Ciocia Annę pozostanie ze mną przez dwa lub trzy miesiące, a się znów zadomowię - wtrąciła pośpiesznie Whitney. - Czy to nie uprzejmie z jej strony?

- Tak, uprzejmie - przyznał z wyrazem zdecydowanej przykrości. -

Odpocznijcie teraz przed kolacją albo dopilnujcie rozpakowywania bagaży, bądź te zajmijcie się czymś innym. Ja muszę napisać pewien list.

Zobaczymy się później - dodał, ruszając pośpiesznie w stronę domu.

Whitney miała sprzeczne uczucia; upokorzeniu wywołanemu tym, w jaki sposób ojciec potraktował lady Anno, towarzyszyła nostalgiczna radość z powrotu do domu. Gdy weszły na schody, jej spojrzenie powędrowało po znanym i bliskim starym domu z jego wyłożonymi dębowym drewnem ścianami, na których wisiały angielskie pejzaże i portrety przodków. Ulubiony obraz Whitney - śliczna scena myśliwska w chłodnej, porannej mgle znajdował

się na honorowym miejscu, nad parą chippendalewskich foteli. Wszystko było takie samo, a jednak inne. Wydawało się, że w domu znajduje się trzykrotnie więcej służących, niż zatrudniano ich kiedykolwiek przedtem, a sam budynek błyszczy od starannej pracy wielu dodatkowych rąk. Każde skrawki parkietu, każdy fragment boazerii lśnił świeżo nadanym połyskiem. Kandelabry w holu błyszczały, a podłoga pod stopami Whitney była nowa.

W drzwiach swej dawnej sypialni przystanęła i wstrzymała oddech. Podczas jej nieobecności wnętrze zostało całkiem zmienione. Z zadowoleniem uśmiechnęła się na widok łóżka z baldachimem i kapą z kremowego atlasu przetykanego nicią w kolorze złota i pomarańczowego oraz odpowiednio dobranych draperii, które wisiały w oknach.

- Clarisso, czy to nie wygląda cudownie? - zawołała, odwracając się do pokojówki, lecz pulchna siwowłosa kobieta zajęta była dyrygowaniem lokajami wnoszącymi kufry.

Zanim nadeszła pora posiłku, Whitney wzięła kąpiel i zmieniła strój, a służące wciąż rozpakowywały bagaż. Przemierzywszy hol, poszła do pokoju cioci. Obszernego apartamentu dla gości nie odnowiono, więc wyglądał nędznie w porównaniu z pozostałymi częściami domu. Whitney chciała przeprosić ciocię za to i za nieuprzejme przyjęcie, jakie zgotował jej ojciec, ale lady Annę powstrzymała ją wyrozumiałym uśmiechem.

- To nie ma znaczenia, kochanie - powiedziała, wsuwając jej rękę pod ramię i razem zeszły na dół.

Martin czekał na nie w jadalni, gdzie Whitney zauważyła, że krzesła przy stole pokryte są nowym różowym aksamitem, który pasował do nowych kotar podpiętych ciężkimi chwałami. Dwaj lokaje w nieskazitelnym białym stali w pobliżu kredensu, a trzeci wszedł właśnie ze srebrnym wózkiem wyładowanym przygotowanymi w kuchni półmiskami.

– Zdaje się, że w domu jest wielu nowych słuchaczy – napomknęła Whitney ojcu, gdy uprzejmie posadził Annę przy stole.

– Zawsze byli tu potrzebni – odrzekł szorstko. – Ten dom wyglądał, jakby chylił się ku upadkowi.

Minęły cztery lata, odkąd ktokolwiek mówił do niej takim tonem, więc spojrzała na niego zdumiona i właśnie wtedy, w padającym z góry jasnym świetle yrandola zobaczyła, że w czasie jej nieobecności włosy ojca zmieniły się z czarnych w siwe, a głębokie zmarszczki porały jego czoło i wyłobily bruzdy wokół oczu i ust.

Wyglądał, jakby przez cztery lata postarzał się o dziesięć, pomyślała z bólem.

– Dlaczego wciąż mi się przyglądasz? – zapytał krótko. Dawniej te rozmawiał

z nią tak ostro, przypomniała sobie

Whitney ze smutkiem, ale wtedy miał po temu powody. Teraz jednak, gdy wróciła do domu, nie chciała, by kontynuowali dawną wrogość.

– Zauważyłam, że posiwiałeś – wyjaśniła łagodnie.

– Czy to takie zaskakujące? – odparł z mniejszą ostrością w głosie.

Bardzo ostro nie, z głębokim namysłem, Whitney uśmiechnęła się do ojca, a gdy to zrobiła, przyszło jej do głowy, że nie może sobie przypomnieć, czy w ogóle uśmiechała się do niego przedtem.

– Owszem – powiedziała. – Skoro ja nie przysporzyłam ci siwych włosów, kiedy dorastałam, to jestem zdumiona, że sam upływ czasu mógł to zrobić.

Ojciec wydawał się zaskoczony jej pogodną odpowiedzią, ale rozchmurzył się trochę.

– Przypuszczam, że wiesz, że twoja przyjaciółka, Emily, znalazła sobie męża?

Whitney twierdząco skinęła głową.

– Wyjechała stąd na trzy lata – wyjaśniał dalej Martin – i jej ojciec opowiadał

mi, że stracił już nadzieję, i kiedykolwiek zobaczy ją dobrze wydaną za męża. Teraz zaś ta para jest lematem rozmów w całej okolicy! – Jego spojrzenie skierowało się oskarżycielsko ku lady Annie, karcąc ją za to, że on nie widzi swojej córki dobrze wydanej za męża.

Ciotka zeszywniała, więc Whitney pośpiesznie próbowała odpowiedzieć, nadając głosowi artobliwy ton.

– Ty z pewnością nie straciłeś nadziei ujrzenia mnie odpowiednio zamę nej.

– Tak - odparł ostro. - Straciłem.

Duma wymagała od Whitney pochwalenia się licznymi prośbami o jej rękę, jakie składano wujowi Edwardowi, ale rozum ostrzegał ją, e ojciec zareaguje gniewem na wieść, i lord Gilbert bez konsultacji z nim odrzucał te wspaniałe mał eńskie oferty. Czemu ojciec jest tak zimny i niedostępny, zastanawiała sio Whitney. Czy mogła mieć nadzieję, e kiedykolwiek uda jej sir zasypać przepaść między nimi? Odstawiając fili ankę, obdarzyła go ciepłym, ujmującym uśmiechem.

– Jeśli to zmniejszy twoją udrękę z powodu posiadania córki niezamę nej ju od czterech sezonów - powiedziała lekko to ciocia Annę i ja mogłybyśmy ci wyznać, e odrzuciłam oświadczyzny dwóch baronetów, jednego lorda, jednego hrabiego i jednego księcia!

– Czy to prawda, madame? - rzucił w stronę lady Gilbert. - Dlaczego nie byłem informowany o tych propozycjach?

– Oczywiście, e nieprawda - szybko odrzekła Whitney, starając się utrzymać uśmiech na twarzy. - Poznałam tylko jednego prawdziwego hrabiego oraz jednego oszusta i... nie spodobali mi się obaj. Poznałam te pewnego rosyjskiego księcia, ale był ju zaręczony z księ niczką i wątpię, by go porzuciła, abym mogła prześcignąć Emily.

Ojciec spoglądał na nią przez chwilę, a potem oświadczył:

– Jutro wieczorem wydaję dla ciebie niewielkie przyjęcie... Whitney poczuła przepływającą przez nią falę ciepła, która pozostała, nawet gdy po chwili poprawił się dra liwie:

– ...w istocie to nie małe przyjęcie, ale przekłety cyrk ze wszystkimi Tomami, Dickami i Harrymi z całej okolicy... z orkiestrą, tańcami i wszelkimi głupstwami.

– To brzmi... cudownie - zdołała odpowiedzieć, nie podnosząc na niego roześmianych oczu.

– Z Londynu przyje d a Emily wraz z nowo poślubionym mał onkiem.

Wszyscy przychodzą...

Zmiany ojcowskiego nastroju były tak trudne do przewidzenia, e Whitney zaniechała dalszych prób rozmowy i kolacja przebiegła w ostro nym milczeniu.

Dopiero gdy kończyli deser, ojciec przerwał ciszę, a jego głos zabrzmiał tak donośnie, e Whitney się przestraszyła.

– Mamy nowego sąsiada - oznajmił, a potem zapanował nad sobą, odchrząknął



i dokończył bardziej naturalnym tonem: - On równie będzie na twoim przyjęciu. Przystojny męczyzna... kawaler... wyborny jeździec. Widziałem go na koniu któregoś dnia.

Whitney zrozumiała jego intencje i wybuchnęła śmiechem.

- Och, ojciec - powiedziała, potrząsając długimi, lśniąco-czerwonymi włosami - nie musisz mnie swatać. Jeszcze nie odmawiam błagalnych modlitw o męczyznę.

Sądząc z wyrazu twarzy Marina Stone'a, nie podzielał on wesołości córki w tej sprawie, więc starała się zachować powagę, pytając o nazwisko nowego sąsiada.

- Clayton Westmor... Clayton Westland.

Łyeczka lady Anne zadzwieczyła nagle na talerzyku, ona sama zaś popatrzyła zmrużonymi oczami na Martina Stone'a, który odwzajemnił jej spojrzenie, gwałtownie czerwieniejąc na twarzy.

Patrząc na wzburzone oblicze ojca, Whitney postanowiła uwolnić ciocię od jego trudnych do zniesienia nastrojów i odłożywszy swoją łyeczkę, wstała.

- Ciocia i ja pragniemy wcześniej udać się na spoczynek, ojciec. Ku jej zaskoczeniu lady Anne przecząco potrząsnęła głową.

- Chciałabym porozmawiać kilka minut z twoim ojcem, kochanie. Pójdź do swojego pokoju.

- Tak - powtórzył niczym echo Martin Stone. Biegnij do łóżka. Twoja ciocia i ja odbędziemy tu przyjacielską pogawędkę.

Po wyjściu Whitney, jej ojciec krótko odprawił lokajów, a potem spojrzał na szwagierkę z uwagą i irytacją.

- Bardzo dziwnie zareagowałaś na nazwisko naszego nowego sąsiada, madame.

Lady Anne skłoniła głowę, przyglądając mu się bacznie.

- Czy moja reakcja była dziwna czy nie, zależy od tego, czy ów sąsiad nazywa się Clayton Westland... czy Clayton Westmoreland. Ostrzegam cię, że jeśli tym sąsiadem jest Clayton Westmoreland, to rozpoznam go na pierwszy rzut oka, choć nigdy nie byliśmy sobie przedstawieni.

- To Westmoreland, jeśli musisz wiedzieć - odparł krótko Martin. - Jest to bardzo proste wyjaśnienie jego obecności w naszej okolicy. Clayton Westmoreland odzyskuje tutaj siły po wyczerpaniu będącym rezultatem jakiejś zadawnionej dolegliwości, która niekiedy mu doskwiera.

To wyjaśnienie zabrzmiało tak nedorzecznie i śmiesznie, że Anne patrzyła na szwagra z otwartymi ustami.

-

artujesz!

– Do diabła, czy wyglądam na artownisia? zasyczał wściekle.

– Naprawdę wierzysz w tę bajeczkę? - wykrzyknęła lady Gilbert. - Jest wiele miejsc, do których mógłby się udar ksią ę Claymore, gdyby potrzebował

odpoczynku. Ostatnim, jakie przychodzi mi do głowy, jest ta okolica, zwłaszcza gdy zbli a się zima.

– Mogę ci tylko powiedzieć to, co sam od niego usłyszałem. Jego wysokość czuje potrzebę ucieczki od napięć swego codziennego ycia i wybrał właśnie naszą okolicę. Ufam, e skoro tylko ja... a teraz równie ty... wiemy kim jest, nie będzie pozbawiony prywatności i

adne z nas nie zdradzi jego

to samości.

Na górze, w samotności swojego pokoju, lady Annę próbowała uporać się z zamętem w głowie. Gorączkowo powracała myślami do owego balu maskowego u Armandów, gdy Whitney zapytała o nazwisko wysokiego, szarookiego mę czyzny towarzyszącego Marie St. Allerman. Annę była absolutnie przekonana, e to Clayton Westmoreland. Wszak powszechnie wiedziano, e przepiękna śpiewaczka została ksią ęcą kochanką i e nigdy nic zaszczyliła swym towarzystwem innego mę czyzny. Ksią ę oczywiście nie był tak stały w uczuciach i często towarzyszył innym pięknym damom, kiedy St. Allerman odbywała tournée po Europie.

Tak, tak, pomyślała Annę, Claymore był wtedy na maskaradzie i to o niego pytała Whitney. Ale wówczas nie mogli się poznać, bo gdyby zawarli znajomość u Armandów, Whitney nie pytałaby potem, kim on jest.

Westmoreland zaś nie mógł przyjechać do Anglii za Whitney... wszak znalazł

się tutaj przed jej powrotem do domu. Musi to być zatem jedynie zbieg okoliczności, e Whitney pytała o niego u Armandów, a ksią ę w tej okolicy właśnie szuka cichego ustronia.

Lady Annę tylko przez chwilę poczuła się lepiej. Wszak jutro wieczorem Clayton Westmoreland i jej siostrzenica zostaną sobie przedstawieni. Whitney z pewnością przyciągnie jego uwagę, co do tego lady Gilbert nie miała wątpliwości. A jeśli ksią ę postanowi ją zdobyć? Annę zadr ała, a potem zacisnęła usta w wyrazie stanowczości. Nie chciała robić sobie wroga z potę nego księcia Claymore'a, ujawniając jego to samość, ale jeśli odniesie wra enie, e Whitney mo e paść ofiarą legendarnego uroku tego mę czyzny, wyjawii siostrzenicy nie tylko jego to samość, ale i pełną listę minionych podbojów niewieścich serc oraz niegodnych postępków podłego uwodziciela!

Annę ani przez chwilę nie łudziła się myślą, e nie bacząc na fakt, i Whitney nie ma ani majątku zmierzonego jego miarą, ani arystokratycznego pochodzenia, Claymore mo e się zakochać i zaproponować jej mał ństwo. Wszak znała ju setki zmartwionych matek z nieszczęśliwie zakochanymi córkami, które okazały się na tyle nierozsądne, by ywić taką nadzieję!

Lady Annę rozebrała się i położyła do łóżka, ale obecność w tej okolicy Clayтона Westmorelanda jeszcze przez kilka godzin nie pozwoliła jej zasnąć.

Whitney tak e nie mogła spać. W marzeniach widziała ju jutrzejsze przyjęcie i chwilę, gdy Paul po raz pierwszy zobaczy ją tak elegancko ubraną i w rozkwicie kobiecości.

Tymczasem męczyźni, będący obiektem rozmyślań obydwu pań znajdowali się w wynajętym domu Clayтона położonym w odległości zaledwie paru kilometrów, gdzie odpoczywali po partii kart nad szklaneczkami brandy.

Wyciągnąwszy nogi w stronę kominka, Paul delectował się smakiem bursztynowego trunku.

– Zamierzasz uczestniczyć w jutrzejszym przyjęciu u Martina Stone'a? -

zapytał.

– Tak. - Clayton starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Sam bym tego nie ominął. - Paul zachichotał. - O ile Whitney całkiem się nie zmieniła, powinien to być zabawny wieczór.

– Niezwykle imię: Whitney - zauważył Clayton jedynie z taką dozą ciekawości, by zachęcić gościa do kontynuowania rozmowy.

– To tradycja rodzinna. Z tego, co wiem, jej ojciec koniecznie chciał mieć syna i dlatego nadał córce takie imię. Zresztą jego pragnienie niemal się spełniło: potrafiła pływać jak ryba, wspinać się po drzewach jak kot i dosiadać konia lepiej niż którakolwiek kobieta na świecie. Pewnego dnia pokazała się w spodniach, innego... wypłynęła na tratwie, oznajmiwszy, e po egluje do Ameryki po przygodę.

– I co się stało?

– Przeżyła cały staw - wyjaśnił z uśmiechem Paul. - Trzeba przyznać, e ta dzierlatka ma... miała niezwykle oczy. Najczystsza zieleń, jaką ktokolwiek kiedykolwiek widział... - mówił dalej, spoglądając w ogień i uśmiechając się do wspomnień. - Kiedy cztery lata temu wyjechała do Francji, prosiła, bym na nią zaczekał. Pierwsza propozycja małżeńska, jaką otrzymałem, Ciemne brwi uniosły się nad nieprzenikniętymi szarymi oczami.

– Przyjąłeś ją?

– Skąd e! - Paul się roześmiał, przełykając duży haust brandy. - Była zaledwie podlotkiem, a ju postanowiła rywalizować z Elizabeth Ashton. Gdy Elizabeth zapadła na świnkę, Whitney pragnęła dla siebie jeszcze gorszej choroby. Bo e! Ona była prawdziwym rozbójnikiem o wiecznie potarganych włosach! Nigdy w

yciu nie podporządkowała się

adnym regułom

odpowiedniej, zachowania... -Umilkł, przypominając sobie ów dzień, kiedy wyjeżdżała do Francji, a on przyniósł jej upominek. „Aleja nie chcę być jedynie twoją przyjaciółką”, zapewniała rozpaczliwie, i teraz uśmiech znikł z jego twarzy. - Przez wzgląd na jej ojca - dodał - mam nadzieję, że się zmieniła.

Clayton spojrział na Sevarina z rozbawieniem, ale nie odezwał się ani słowem.

Po wyjściu gościa oparł się wygodnie w fotelu i zamyślony obracał w dłoniach kieliszek. W najlepszym razie ta konspiracja była co najmniej ryzykowna, a im więcej ludzi go zobaczy, tym pewniej zostanie rozpoznany.

Wczoraj doznał wstrząsu na wieść, że Emily Archibald, o której słyszał tak wiele, jestoną jednego z jego dalszych znajomych, wszakże ten problem udało mu się rozwiązać w ciągu pięciominutowego spotkania z Michaelem Archibaldem. Clayton wiedział, że baron ani przez chwilę nie uwierzył jego wyjaśnieniom o „potrzebie odpoczynku”, ale był zbyt dobrze wychowany, by wścibiać nos w cudze sprawy, i wystarczająco dyskretny, by zachować w sekrecie prawdziwą tożsamość Clayтона.

Kolejną nieprzewidzianą komplikację stanowił niespodziewany przyjazd lady Gilbert, lecz jeśli wierzyć drugiemu w ciągu dnia listowi Martina Stone'a, ciotka Whitney zaakceptowała wyjaśnienie, że przybył tu na odpoczynek.

Clayton wstał i przestał myśleć o tych utrudnieniach. Gdyby jego tożsamość wyszła na jaw, nie mógłby już się zalecać do Whitney jako zwyczajny sąsiad mieszkający w okolicy, ale umowa została już podpisana, pieniądze przekazano Stone'owi, który z tego co widać, zajęty był wydawaniem ich najgorliwiej, jak mógł. Tak więc osiągnięcie przez księcia ostatecznego celu wydawało się absolutnie pewne.

## Rozdział 10

Whitney szeroko otworzyła okna i wdychała cudownie świeże wiejskie powietrze. Kiedy zaś Clarissa pomagała jej włożyć szykowny turkusowy strój do konnej jazdy, zdradzieckie serce raz po raz podpowiadało jej, by wpadła na poranną pogawędkę do Paula. Zdecydowanie odsunęła jednak tę myśl. Pojedzie na przejażdżkę i spotka się z Emily.

Stajnie znajdowały się z lewej strony, na końcu podjazdu, z okien domu zasłaniał je wysoki bukszpanowy

wywłot. Po obu stronach budynku

znajdowało się dwanaście boksów, a szeroki spadzisty dach zapewniał koniom cień i ochronę. Whitney zatrzymała się w połowie drogi, pozwalając spojrzeniu z rozkoszą wędrować po pięknym, znanym i bliskim otoczeniu.

W oddali świeżo wybielone parkany rozciągały się w szeroki owal, wyznaczając granice toru, na którym jej dziadek zwykł testować szybkość swoich koni przed podjęciem decyzji, którego z nich wystawić na wyścigach. Za owym traktem wznosiły się wzgórza, początkowo łagodne, porośnięte

kępami dębów i jaworów, potem zaś coraz bardziej urwiste, zakończone gęsto zadrzewionym wzniesieniem wzdłu północnowschodniej granicy ich posiadłości.

Dotarłszy do stajni, Whitney zdumiała się, widząc, e wszystkie boksy są zajęte, a na ka dych drzwiach widniała wykonana z brązu tabliczka z imieniem konia. Zatrzymała się przy ostatniej z przegród, w samym rogu budynku.

– A więc nazywasz się Przelotna Fantazja - powiedziała do pięknej klaczy, spoglądając na brązową tabliczkę i klepiąc jedwabistą szyję zwierzęcia. -

Jakie piękne masz imię.

– Widzę, e wciąż rozmawiasz z końmi. - Ktoś roześmiał się za jej plecami.

Whitney odwróciła się, promieniejąc na widok Thomasa, głównego stajennego ojca. Koniuszy był nie tylko jej powiernikiem w latach dzieciństwa, ale i wyrozumiałym świadkiem kilku najbardziej niesławnych wybuchów temperamentu i niezadowolenia dziewczynki.

– Nie mogę uwierzyć, e tak du o mamy koni - powiedziała, gdy się przywitani. - Co my, u licha, robimy z nimi wszystkimi?

– Głównie je trenujemy. Ale nie stójmy tutaj, muszę ci coś pokazać.

Whitney z przyjemnością wdychała cudowny zapach siana i skóry, który powitał ją, gdy weszła do chłodnej stajni, mrugając oczami, eby zobaczyć coś w mroku. Na końcu korytarza dwaj mę czyźni próbowali udobruchać wspaniałego czarnego ogiera, podczas gdy trzeci starał się przybić mu podkowę.

Koń kręcił się i tańczył, potrząsając i rzucając łbem, jak tylko pozwalały mu napięte rzemienie.

– Niebezpieczny Woja . To odpowiednie imię dla tego rumaka -z dumą obwieścił Thomas.

Whitney ju czuła cudowne mięśnie ogiera napinające się pod skórą.

– Czy jest uje d ony? Gotów pod siodło? - zapytała.

– Czasami. - Thomas się roześmiał. - Zazwyczaj jednak próbuje zrzucić jeźdźca. To najbardziej narowiste zwierzę na świecie. Jednego dnia wydaje się, e chce reagować na komendy, a następnego próbuje wgnieść człowieka w ogrodzenie. Rzuca się i szar uje jak byk. - Thomas uniósł bat, wskazując kolejną przegrodę, a wtedy zdenerwowany koń wzmógł wysiłki, eby się uwolnić.

– Spokojnie, spokojnie - sapał jeden z chłopców stajennych. -Panie Thomas, czy mógłby pan odło yć ten bat?

Koniuszy pośpiesznie schował bicz za siebie i przepaszająco spoglądając na spoconego chłopaka, udzielał Whitney dalszych wyjaśnień.

– Nienawidzi widoku bata. W zeszłym tygodniu George próbował odsunąć tego diabła batem od parkanu i o mały włos nie skończyło się to dla chłopca zawarciem znajomości ze Stwórcą. No, mniejsza o ogiera. Mam ci do pokazania coś jeszcze. - Thomas skierował Whitney w stronę przeciwległego wejścia do stajni, gdzie inny chłopiec prowadził... czy te raczej był

prowadzony przez cudownego kasztanowego wałacha z czterema śnie nobiałymi „skarpetkami”.

– Khan? - wyszeptała Whitney i zanim koniuszy zdążył odpowiedzieć, kasztan węszył u jej biodra, szukając kieszeni, gdzie zwykła chować smakołyki dla niego, gdy był źrebięciem. - Ale z ciebie ebrak! - zawołała rozbawiona i przez ramię uśmiechnęła się do Thomasa. - Jak on się miewa? Kiedy wyje dąłam, był jeszcze za mały pod siodło.

– Czemu go nie wypróbujesz i sama się nie przekonasz?

Whitney nie trzeba było długo zachęcać. Ze szpicrutą między zębami sięgnęła do turkusowej wstążki, by mocniej związać włosy na karku.

Niebezpieczny Woja gwałtownie uskoczył do tyłu, czyniąc zgiełk i zamieszanie.

– Schowaj szpicrutę - upomniał ją Thomas i dziewczyna szybko wypełniła polecenie.

Khan stanął bokiem w oczekiwaniu, a zostanie wyprowadzony na zewnątrz.

Thomas podsunął jej strzemię i Whitney z wdziękiem usiadła w damskim siodle.

– Trochę wyszłam z wprawy - powiedziała, kierując konia ku otwartym wrotom. - Jeśli wróci beze mnie, będę między stajnią a domem lady Archibald.

Gdy Khan klusem podbiegł do domu Emily, w szeroko otwartym oknie uniosła się firanka, a chwilę później otworzyły się drzwi i na zewnątrz wyfrunęła przyjaciółka.

– Whitney! - wykrzyknęła radośnie, obejmując ją ramionami i odwzajemniając serdeczny uścisk. - Och, Whitney, pozwól, e ci się przyjrzę. - Emily cofnęła się ze śmiechem, nie wypuszczając rąk przybyłej ze swoich dłoni. - Jesteś skończenie piękna!

– A ty wyglądasz po prostu wspaniale! - odparła Whitney, podziwiając modnie ułożone i podpięte wstążką włosy Emily.

– To dlatego, e jestem szczęśliwa, a nie z powodu urody - protestowała przyjaciółka.

Razem weszły do salonu. Smukły, dobiegający trzydziestki jasnowłosy męczyzna wstał i uśmiechnął się piwnymi oczami, gdy Emily bez tchu przystąpiła do prezentacji.

– Whitney, pozwól, e ci przedstawię: mój mąż ...

– Michael Archibald - zakończył krótko, zanim ona zdążyłaby onieśmielić przybyłą jego arystokratycznym tytułem.

Był to prosty, naturalny gest otwartej yczliwości i obie, zarówno Whitney jak i Emily doceniły tak subtelne zachowanie. Niebawem zresztą Michael przeprosił i po egnął dziewczęta,

eby sobie pogawędziły, której to

przyjemności oddawały się gorliwie przez dwie godziny.

- Dziś rano był tu Paul - powiedziała Emily, gdy Whitney z ociąganiem zbierała się do wyjścia. - Wpadł, eby porozmawiać o czymś z moim ojcem.

- Na ładnej twarzy Emily wraz z uśmiechem pojawiło się zakłopotanie. - Ja...

có ... nie sądziłam, by to mogło cię skrzywdzić... jeśli... rozumiesz... zgoła mimochodem... powtórzyłam trochę opowieści o twoim powodzeniu we Francji, jakich nie szczędził nam monsieur DuVille. Chocia - dodała ju bez uśmiechu - nie jestem pewna, czy monsieur DuVille wyświadczył ci przysługę, opowiadając o tobie takie rzeczy w obecności Margaret Merryton.

Dotknął ją tym do ywego, więc Margaret nie znosi cię teraz jeszcze bardziej ni kiedykolwiek przedtem.

- Dlaczego? - zapytała Whitney, gdy obie przemierzały frontowy hol.

- Dlaczego zawsze cię nie lubiła? Przypuszczam, e dlatego, i byłaś najzamo niejsza z nas wszystkich. Mo e teraz, gdy jest zaabsorbowana waszym nowym sąsiadem, zrobi się dla odmiany trochę miłsza, zamiast wcią zionąć nienawiścią. - Widząc zdumione spojrzenie Whitney, wyjaśniła:

- Pan Westland to wasz nowy sąsiad. Z tego, co mówiła mi wczoraj Elizabeth, Margaret uwa a go za swoją wyłączną własność.

- A jak się miewa Elizabeth? - zapytała Whitney, zupełnie zapominając o Margaret na pierwszą wzmiankę o swojej rywalce do serca Paula.

- Jest równie śliczna i miła jak zawsze. Wiesz te chyba, e Paul towarzyszy jej praktycznie wszędzie.

Dziewczyna myślała o tym, galopując przez nieobsiane pole nale ące do ojca Emily. Elizabeth Ashton była taka, jaką zawsze chciała się stać Whitney: wytworna, powa na, złotowłosa, drobniotka i słodka.

Wiatr rozwiewał jej włosy i unosił je wokół głowy. Whitney czuła, jak Khan z wdziękiem napina i rozluźnia mięśnie, mknąc nad ziemią ze zdumiewającą szybkością. Z alem powściągnęła go do krótkiego galopu, zwalniając tempo przy wjeździe między drzewa, aby przejechać ście ką, która, jak się okazało, zachowała się jedynie w jej wspomnieniach. Zające pierzchały w zarośla, a wiewiórki wskakiwały na drzewa w gęstwinie. Kilka minut później wjechała na szczyt wzgórza, po czym skierowała wierzchowca po stoku w dół, gdzie mała łączka dochodziła do szerokiego strumienia przebiegającego przez północną część posiadłości Stone'ów.

Tu zsiadła z konia, owinęła lejce wokół mocnego dębu i poczekała chwilę, by się upewnić, e Khan

będzie stał spokojnie, a potem poklepała jego lśniąca szyję i szybko ruszyła przez łąkę ku strumieniowi. Od czasu do czasu przystawała, aby rozejrzeć się dookoła dojrzałszymi, więcej widzącymi oczami oraz zachwycać wonią dziko rosnących kwiatów późnego lata i świeżej koniczyny.

Nie zauważyła samotnego jeźdźcy, który siedział bez ruchu na wspaniałym gniadym ogierze i uwa nie śledził jak dy jej krok.

Clayton uśmiechnął się, gdy Whitney zdjęła turkusowy aksamit i przewiesiła go sobie bez troski przez prawe ramię. Uwolniona od wszystkich nakazów etykiety paryskiego „towarzystwa” szła wycieczką, swobodnym, a przy tym zachwycającym krokiem, pozwalając bujnym włosom rozwiewać się na wszystkie strony. Niespiesznie wspięła się na łagodny pagórek, który opadał ku brzegowi strumienia, później usiadła pod stojącym na jego szczycie leciwym sękatym jaworem, zdjęła najpierw buty do konnej jazdy, a potem pończochy.

Gniady koń poruszył się niecierpliwie pod jeźdźcem, który zastanawiał się, czy nie podejść do dziewczyny. Kiedy jednak Whitney, uniosłszy spódnicę, zaczęła brodzić w strumieniu, zachichotał i podjął inną decyzję. Cofnął konia między drzewa i zszedł przez las na połoninę łąkę.

Brodzenie w strumieniu, o czym szybko przekonała się Whitney, wcale nie okazało się tak przyjemne, jak je wspominała. Woda była przejmująco zimna, a kamienie pod stopami ostre i śliskie. Ostro nie wyszła więc na brzeg i wyciągnęła się na trawie, spoglądając w wodę. Obserwowała małe rybki miotające się na mieliznach i właśnie próbowała wyobrazić sobie moment, gdy dziś wieczorem Paul zobaczy ją po raz pierwszy, kiedy jakiś lekki ruch w pobliżu jawora przyciągnął nagle jej uwagę.

Kątem oka ujrzała parę kosztownych butów do konnej jazdy wy-polerowanych tak, że lśniły jak lustro. Zamarła, a potem się odwróciła i szybko usiadła, podciągając kolana pod brodę i pośpiesznie okręcając przemoczoną spódnicę wokół gołych kostek.

Męczyzna niedbale opierał się jednym ramieniem o jawor, ręce zaś swobodnie skrzył na piersi.

– Łowi pani ryby? - zapytał, podczas gdy jego spojrzenie wędrowało po wszystkich ciepłych liniach ciała Whitney i w okamgnieniu utkwilo w bosych stopach wyzierających spod mokrego brzegu amazonki, a potem udało się na powolną inspekcję atrybutów jej kobiecości; inspekcję, która sprawiła, że Whitney czuła się tak, jakby nieznamy po prostu ją rozbierał.

– A pan mnie szpieguje? - odparowała chłodno.

Nie raczył odpowiedzieć, lecz spojrzał na nią ze złe skrywanym rozbawieniem. Whitney uniosła głowę i hardo odwzajemniła jego spojrzenie.

Był bardzo wysoki, szczupły i doskonale ubrany. Miał zdecydowanie zarysowaną szczękę i prosty nos. Wiaterek lekko rozwiewał jego gęste, kawowobrazowe włosy. Spod ciemnych brwi szare oczy intruza obserwowały ją z jawnym zainteresowaniem. Gładko wygolona twarz mężczyzny była bardzo urodziwa, przyznała Whitney, ale w jego zuchwałym spojrzeniu dostrzegano jakąś agresywną i bezkompromisową męską władczość, a w układzie szczęk arogancję, która wcale nie spodobała się dziewczynie.



– Nie, nie łowię ryb. Próbowałam być sama, panie...?

– Westland - przedstawił się pośpiesznie, opuszczając wzrok, by musnąć krągłe pełne piersi Whitney w miejscu, gdzie opinała je śnie nobiała bluzka.

Jego uśmiech stał się niemal chytry, gdy Whitney skrzy owiała ręce na biuście.

– Panie Westland! - parsknęła gniewnie. - Pański zmysł orientacji musi być niemal tak kiepski jak maniery!

Cierpka reprimenda wywołała jeszcze szerszy uśmiech nieznanego.

– Doprawdy? A czemu to, madame?

– Poniewa jest pan intruzem - odparła Whitney, a kiedy Westland wciąż nie przejawiał zamiaru, by odjechać lub przeprosić, zrozumiała, że to ona będzie musiała odejść. Zaciskając zęby, spojrzała na swoje pończochy i buty.

Wyprostował się i ruszył w jej stronę, wyciągając rękę.

– Czy mogę pani pomóc? - zapytał.

– Oczywiście, a pan może... - odpowiedziała z rozmyślnie chłodnym i nieprzyjemnym uśmiechem - ...wsiadając na konia i natychmiast stąd odjeżdżając.

Coś błysnęło w jego szarych oczach, ale uśmiech pozostał, a ręka wciąż była wyciągnięta.

– Oto moja ręka, proszę ją chwycić.

Whitney zignorowała ofertę i wstała, nie korzystając z jego pomocy. Nie mogła włożyć pończoch, nie pokazując nóg mężczyźnie, który nie przestawał jej obserwować, opierając się o drzewo, więc włożyła tylko buty, pończochy zaś wcisnęła w kieszeń akietu.

Podeszła szybko do Khana, sięgnęła po szpicrutę i stanawszy na przewróconym pniaku, podciągnęła się na siodło. Koń Westlanda, pięknie umięśniony gniadosz, przywiązany był obok jej wierzchowca. Whitney obróciła swego wierzchowca, a potem pognęła go szybkim cwałem wokół drzew.

– Cóż za rozkosz widzieć panią ponownie, panno Stone! - zaśmiał się głośno Clayton, dodając z uznaniem: - Ty mała diablisko.

Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, Whitney powściągnęła Khana, wprowadzając go w krótki galop. Nie mogła wprost uwierzyć, że Westland był

owym sąsiadem, którego ojciec darzył takim szacunkiem. Skrzywiła się, przypominając sobie, że został zaproszony na dzisiejsze przyjęcie. Wszak ten człowiek jest nieznośnie niegrzeczny, oburzająco zuchwały i irytująco arogancki! Jakże więc ojciec mógł go polubić?

Wciąż się nad tym zastanawiała, gdy weszła do buduaru pań i usiadła obok cioci.

– Nie zgadniesz, kogo właśnie poznałam - powiedziała do lady Annę, gdy Sewell, stary lokaj rodziny, delikatnie chrząknął i zaanonsował przybycie gościa.

– Lady Amelia Eubank pragnie się widzieć z panienką. Whitney zbladła.

– Ze mną? Wielki Bo e, dlaczego?

– Wprowadź lady Eubank do ró owego salonu, Sewell - poleciła lady Annę, ze zdumieniem patrząc na Whitney, która nerwowo rozglądała się po pokoju, jakby szukała kryjówki.

– Czemu jesteś tak zatrwo ona, kochanie?

– Nie znasz jej, ciociu Annę. Kiedy byłam mała, krzyczała, ebym nie obgryzała paznokci.

– Có , przynajmniej troszczyła się o ciebie, chcąc, abyś się od tego odzwyczaiła.

– Ale znajdowałyśmy się wówczas w kościele! - desperacko zawołała Whitney.

Ciotka uśmiechnęła się współczująco, lecz zdecydowanie.

– Przyznam, e lady Eubank jest trochę głucha i niezwykle szczera. Przed czterema laty jednak, gdy wszyscy wasi sąsiedzi przychodzili mnie odwiedzić, była jedyną osobą, która powiedziała coś miłego na twój temat.

Przyznała, e jesteś odważna. Poza tym ma tutaj wielki wpływ na wszystkich innych.

– Dlatego, e wszyscy śmiertelnie się jej boją. Whitney westchnęła.

Kiedy lady Annę z siostrzenicą weszły do salonu, lady Eubank oglądała z uwagą porcelanowego ba anta. Krzywice się z wyraźną niechęcią, odstawiła bibelot na obramowanie kominka i zwróciła się do dziewczyny:

– To szkaradziejstwo zapewne podoba się twemu ojcu. Twoja matka nie trzymałaby w domu czegoś takiego.

Whitney otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale; nic zdołała wymyślić adnej odpowiedzi. Lady Eubank sięgnęła po monokl zawieszony na czarnej wstą ce, podniosła go do oka i uwa nie obejrzała dziewczynę od stóp do głów.

– No có , panienko, co masz do powiedzenia na swoja obronę?

– Jestem zachwycona, widząc panią ponownie po tak wielu latach -

wyrecytowała oficjalnie Whitney, zwalczając dziecinny impuls uściśnięcia jej rąk.

- Bzdura! - odrzekła zacna matrona. - Wciąż obgryzasz paznokcie?

- Nie, naprawdę nie.

- To dobrze. Masz doskonałą figurę i miłą twarz. Przejdźmy teraz do powodu mojej wizyty. Nadal zamierzasz zdobyć Paula Sevarina?

- Czy co zamierzam?!

- Młoda damo, to ja podobno jestem głucha. Zatem chcesz czy nie chcesz zdobyć Paula Sevarina?

Whitney gorączkowo rozważała i odsunęła na bok kilkanaście odpowiedzi, spoglądając przy tym na ciocię, która rzuciła jej bezradne, rozbawione spojrzenie. W końcu zacisnęła dłonie za plecami i odpowiedziała swojej dręczycielce:

- Tak, jeśli wolno.

- Ha! Tak myślałam! - zawołała wesoło lady Eubank, a potem zmrużyła oczy.

- Nie masz skłonności do rumienienia się i niemądrego chichotania, prawda?

Bo jeśli tak, to może wracać do Francji. Panna Elizabeth próbuje takich metod od lat i wciąż musi zastawiać sidła na tego młodzieńca. Przyjmij moją radę i ka mu stanąć w szranki. Rywalizacja jest tym, czego potrzebuje. Paul Sevarin wydaje się zbyt pewny siebie, jeśli chodzi o damy. Zawsze taki był. -

Po tych słowach zwróciła się do lady Anny: - Od piętnastu lat słucham moich nieznośnie nudnych sąsiadów wróćących pani siostrzenicy straszną przyszłość, madame. Jednak zawsze wierzyłam, że istnieje dla niej pewna nadzieja. - Teraz zaś - dodała z błogim, pełnym satysfakcji uśmiechem -

zamierzam siedzieć i śmiać się w głos, patrząc, jak porwie tego d entelmena na ich oczach. -Unosząc monokl z obfitego biustu do oka, obdarzyła Whitney ostatnim, badawczym spojrzeniem, a potem szybko skinęła głową. - Nie zawieź mnie, panienko!

Whitney z rozbawieniem i niedowierzaniem wpatrywała się w drzwi, w których zniknęła zacna wdowa.

- Myślę, że jest trochę szalona.

- A ja myślę, że równie przebiegła jak lis - odrzekła lady Annę z lekkim uśmiechem. - Sądzę, że okaże się rozsądna, jeśli weźmiesz sobie jej radę do serca.

Whitney niczym w transie siedziała przed lustrem toaletki, patrząc, jak Clarissa zręcznie układa jej ciękie włosy w wyszukane pukle, a następnie oplata je sznurem brylantów - ostatnim i najbardziej ekstrawaganckim nabytkiem poczynionym za pieniądze, jakie przysłał jej ojciec na zakupy w Paryżu. Kiedy pokojówka układała jej miękkie loki nad uszami, wieczorny wiatr poruszył firankami, przyprowadzając Whitney o dreszcze. Robiło się chłodno, co było nietypowe dla tej pory roku, ale

bardzo odpowiadało dziewczynie, gdy chciała włożyć suknię z aksamitu. Kiedy zaś Clarissa już jej zapinała suknię, Whitney usłyszała turkot jadących drogą powozów i echo tłumionego śmiechu, który z daleka, lecz wyraźnie dobiegał przez otwarte okna. Czy śmiali się, wspominając jej dawne wybryki? Czy to Margaret Merryton, czy ta jedna z pozostałych dziewcząt chichotała z dawnego skandalicznego zachowania córki Martina Stone'a?

Whitney nie zauważyła nawet, kiedy Clarissa skończyła i cicho wyszła z pokoju. Poczuli chłód, przerażała ją i jeszcze boleśniej niż kiedykolwiek w życiu niepewność siebie. Dzisiejszy wieczór był tym, do którego tak długo się przygotowywała i o którym marzyła przez wszystkie lata we Francji.

Podeszła do okna, zastanawiając się gorączkowo, co będzie miała dziś na sobie Elizabeth. Coś pastelowego bez wątpliwości. I przesadnie powabnego.

Rozsunęła kremowo-złote zasłony i spojrzała w dół, obserwując latarnie powozów nadjeżdżających szeroką drogą. Jeden po drugim, w zdumiewająco dużej liczbie, zatrzymywały się przy schodach. Ojciec musiał zaprosić pół okolicy, pomyślała nerwowo Whitney. I oczywiście, wszyscy przyjęli jego zaproszenie.

Wszyscy chcieli ją obejrzeć, szukać mankamentów, śladów owej niesfornej smarkuli, jaką była niegdyś.

Lady Anne weszła do pokoju siostrzenicy i po dwóch krokach zatrzymała się gwałtownie, a promienny uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz. Z profilu doskonale rzeźbione rysy Whitney wyglądały zbyt pięknie, by były prawdziwe.

Lady Gilbert objęła wzrokiem wszystko, od cieni rzucanych przez gęste rzęsy na jasną magnoliową skórę, do diamentów połyskujących między błyszczącymi mahoniowymi lokami i wyzierającymi spod miękkich pukli nad uszami.

Kształtną figurę Whitney otulała szmaragdowozielona aksamitna sukienka o wysoko zaznaczonej talii i staniku, który mocno opinał jej piersi, eksponując śmiało dwie krągłości nad kwadratowym dekoltem. Jakby w pokucie za nieskromne wycięcie, długie i wąskie rękawy nie odkrywały nawet najmniejszego skrawka skóry od ramienia do nadgarstka, gdzie się kończyły a na wierzchu dłoni.

Opadający miękkimi fałdami tył sukni był w swej prostocie równie elegancki jak przód.

Jakiś powóz podjechał właśnie do schodów i Whitney zobaczyła wysokiego jasnowłosego mężczyznę, który pochylił się i podał rękę ślicznej blondynce.

Zjawił się Paul. I przyjechał z Elizabeth. Odchodząc gwałtownie od okna, dziewczyna dostrzegła ciocię i wyraźnie drgnęła.

– Wyglądasz wprost wspaniale! Zapierasz dech w piersiach! - wyszeptała lady Anne.

– Naprawdę ci się podoba? Mam na myśli tę suknię. - Z napięcia głos uwiązł

Whitney w gardle.

- Czy podoba mi się suknia? - Ciotka się roześmiała. - Kochanie, ty mi się podobasz! Jesteś odważna, elegancka i wyjątkowa. - Wyciągnęła rękę z cudownym szmaragdowym wisiorkiem. - Twój ojciec pytał mnie dziś rano o kolor sukni, jaką dziś włożysz, i właśnie przysłał mi ten klejnot, bym ci go wręczyła. Należy do twojej matki - dodała, gdy Whitney wpatrywała się w połyskujący skarb.

Duży kwadratowy szmaragd otoczony był rzędem lśniących diamentów. Nie należał do jej matki. Wszak już przed laty Whitney spędziła wiele godzin, czule dotykając małych skarbów i błyskotek w szkatułce z biuterią mamy. Teraz była jednak zbyt zdenerwowana, by się o to spierać. Stała więc sztywno, podczas gdy ciocia zapinała jej na szyi łańcuszek.

- Doskonały! - wykrzyknęła lady Anne z zachwytem, obserwując efekt błyszczącego klejnotu, który spoczął w zagłębieniu między piersiami dziewczyny, po czym wzięła Whitney za rękę i ruszyła do przodu. - Chodź, kochanie. Czas na twój drugi oficjalny debiut.

Whitney z całego serca pragnęła, aby i tu znalazł się Nicolas DuVille, by pomóc jej przejść równie przez tę ciężką próbę.

Ojciec przechadzał się niecierpliwie u podnóża schodów, czekając, aby wprowadzić ją do sali balowej. Gdy ujrzał, jak córka schodzi w jego stronę, przystanął w pół kroku i oszołomiony patrzył na nią z podziwem, który umocnił

słabnącą pewność siebie Whitney.

Pod szerokim łukowym wejściem do sali Martin Stone zatrzymał się, skinął

ku orkiestrze siedzącej w odległej wnęce i muzyka ucichła. Whitney czuła spojrzenia obracające się w jej stronę, gdy gwar rozmów zamarł nagle, a paplanina obecnych przeszła w powszechną ciszę. Wzięła długi, drżący oddech, utkwiała wzrok lekko powyżej głów gości i zeszła na dół po szerokich i płytkich schodach, pozwalając ojcu poprowadzić się ku środkowi sali.

Podążyła za nią pełna napięcia, wyczekująca cisza, Whitney zaś... gdyby tylko potrafiła znaleźć siły... najchętniej uniosłaby skraj sukni i uciekła.

Kurczowo trzymała się obrazu Nicolasa DuVille'a, jego dumnej, radosnej elegancji i postawy, gdy wszędzie jej towarzyszył. Pochylał się i szeptał jej do ucha: „To prowincjusze, chérie! Głowa do góry!”.

Tłum rozstał się, gdy drogę do niej utorował sobie młody rudowłosy mężczyzna... to Peter Redfern, który bezlitośnie droczył się z nią, kiedy była dzieckiem, choć był też jednym z jej nielicznych przyjaciół. Teraz miał

dwadzieścia pięć lat, a włosy lekko cofnęły mu się znad czoła, ale nadal pozostało w nim wiele z dawnego chłopca.

- Wielki Boże! - wykrzyknął z nieskrywanym podziwem, stając wprost przed Whitney. - To naprawdę ty, mała rozbójniczko! Co zrobiłaś ze swoimi piegami?

Dziewczyna opanowała uśmiech, słysząc to bezceremonialne powitanie, i wsunęła rękę w jego wyciągniętą dłoń.

– A co ty - odparła, spoglądając yczliwie ku dawnemu przyjacielowi -  
zrobiłeś ze swoimi włosami, Peter?

Redfern wybuchnął śmiechem i cię ar ciszy prysł. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, otaczając ją ciasnym kręgiem i wymieniając słowa powitania.

Wyczekiwanie i napięcie rosły szybko, ale Whitney powściągnęła chęć odwrócenia się i poszukania wzrokiem Paula. W ciągu kolejnych minut nie przestawała udzielać raz za razem tych samych mechanicznych odpowiedzi.

Tak, podobał jej się Pary ... Tak, wujek Edward Gilbert był wspaniały... Tak, z przyjemnością weźmie udział w tym przyjęciu czy tamtej kolacji...

Peter nadal znajdował się obok niej, gdy kwadrans później rozmawiała z oną aptekarza. Z lewej strony, gdzie stały dziewczęta, dobiegł ją znany, złośliwy śmiech Margaret Merryton.

– Słyszałam,

e w Pary u zrobiła z siebie przedstawienie i tamtejsze eleganckie towarzystwo wręcz jej unika - opowiadała przyjaciółkom Margaret.

Peter usłyszał to równie i uśmiechnął się do Whitney.

– Czas stawić czoło pannie Merryton. Nie mo esz zawsze jej unikać. A zresztą jest tu z kimś, kogo jeszcze nie znasz.

Na usilne nalegania przyjaciela Whitney odwróciła się niechętnie, by stanąć twarzą w twarz z rywalką z dzieciństwa.

Margaret Merryton stała z ręką spoczywającą zaborczo na rękawie bordowego surduta Claytona Westlanda. Tego popołudnia Whitney przysięgłaby, e nic, absolutnie nic, nie zdoła sprawić, i jej awersja do tego aroganta mo e się zwiększyć, ale jego widok u boku dawnej nieprzyjaciółki i świadomość, e słuchał z uwagą jej komentarzy, zmieniła tę początkową antypatię w prawdziwy wstręt.

– Byliśmy tacy rozczarowani, Whitney, e nie zdołałaś znaleźć sobie mę a we Francji - odezwała się z jadowitym uśmiechem Margaret.

Whitney spojrzała na nią z chłodną pogardą.

– Margaret, ilekroć otwierasz usta, mam wra enie, e usłyszę syk mii -

odparła i uniosła skraj sukni, zamierzając się odwrócić, aby porozmawiać z Emily, lecz Peter ujął ją

za łokieć.

– Whitney - powiedział - pozwól, e ci przedstawię pana Westlanda. Dzierawi posiadłość państwa Hodgesów i właśnie wraca z Francji.

Nadal dotknięta okrutnymi uwagami przeciwniczki, Whitney szybko wyciągnęła wniosek, e jeśli Clayton Westland właśnie wrócił z Francji, to zapewne on dostarczył Margaret owych kłamliwych wiadomości.

– Jak się panu podoba życie na prowincji, panie Westland? - zapytała znudzonym tonem całkowitej obojętności.

– Większość okolicznych mieszkańców jest bardzo yczliwa - odrzekł znaczącym tonem.

– Jestem pewna - odparła dziewczyna, czując e jego oczy rozbierają ją tak, jak czyniły to nad strumieniem. - Być mo e ktoś będzie nawet wystarczająco

„yczliwy", by pokazać panu granice dzierawionej posiadłości, aby nie przekraczał pan naszych, jak zrobił pan to dzisiaj.

Zapadła głucha cisza, a z twarzy Clayтона Westlanda zniknęło rozbawienie.

– Panno Stone - powiedział, starając się powściągnąć niecierpliwość - wydaje się, e nasza znajomość zaczyna się niezbyt dobrze. - Po tych słowach skinął

głową w stronę parkietu i ciągnął: - Być mo e, jeśli zechce mnie pani zaszczyścić tańcem...

Nawet jeśli dodał coś więcej, Whitney nie usłyszała, gdy tu za nią, bardzo blisko, rozległ się boleśnie znajomy, głęboki głos:

– Przepraszam, powiedziano mi, e będzie tu dzisiaj Whitney, ale jej nie poznaję.

Ręka Paula dotknęła jej łokcia, serce dziewczyny zaś zabiło jak szalone, gdy pozwoliła, by odwrócił ją tak, e stanęła naprzeciw niego.

Podniosła wzrok i spojrzała w owe najbardziej niebieskie oczy na świecie.

Nieświadomie wyciągnęła obie ręce, czując, jak zaciskają się mocno na silnych dłoniach Paula. Przez ostatnie cztery lata przećwiczyła kilkanaście zręcznych kwestii, jakie miała mu powiedzieć, gdy się w końcu spotkają, ale teraz, spoglądając na tę kochaną urodziwą twarz, zdołała tylko wyszeptać:

– Witaj, Paul.

Pełen uznania uśmiech powoli objął jego twarz; młody człowiek oparł rękę Whitney w zgięciu swego

ramienia.

– Zatańcz ze mną - odrzekł po prostu.

Whitney z draniem położyła dłoń na ramieniu ukochanego i poczuła, jak jego ręka owija się wokół jej talii i przyciąga bliżej. Pod opuszkami jej palców piękny granatowy surdut Paula wydawał się czymś tak wymyślnym, a palce a jej dręły z pragnienia, by móc pogłodzić go pieszczotliwie. Wiedziała, że właśnie teraz nadeszła pora, by okazać się tą pewną siebie, niefrasobliwą młodą damą, którą była w Paryżu, ale myśli plątały jej się w głowie, jakby znów się przemieniła w dawną piętnastolatkę. Chciała tylko powtarzać, że go kocha, że zawsze go kochała. I pytać, czy teraz ją zechce. Czy zmieniła się wystarczająco, by ją chciał?

– Tęskniłaś za mną? - zapytał Paul.

Ostrzegawcze dzwoneczki zabrzmiały jej w głowie, gdy usłyszała w jego głosie ton zadufania. Instynktownie obdarzyła go prowokacyjnie krzywym uśmiechem.

– Tęskniłam za tobą wręcz rozpaczliwie - oświadczyła z wystarczająco silną emfazą, by sprawić, i wydawało się to ogromną przesadą.

– Jak „rozpaczliwie”? - dopytywał się z coraz szerszym uśmiechem.

– Byłam okropnie samotna - przekomarzała się Whitney, doskonale wiedząc, że Emily uraczyła go opowieściami o jej powodzeniu w Paryżu. - W istocie omal nie uszłam z samotności i tęsknoty za tobą.

– Kłamczucha! - Zaśmiał się, a jego dłoń zaborczo zacisnęła się na talii dziewczyny. - Nie to słyszałem dziś rano. Czy nie powiedziałaś pewnemu francuskiemu arystokracie, że gdyby jego tytuł robił na tobie takie samo wrażenie, jak pycha, to skusiłoby cię przyjęcie jego propozycji?

Powoli skinęła głową, a usta wygięły jej się w uśmiechu.

– Powiedziałam.

– Mogę spytać, jaka to była propozycja?

– Nie, nie możesz.

– Czy powinienem wyzwać go na pojedynek?

Czuła się tak, jakby tańczyła w powietrzu. Czy powinienem wyzwać go na pojedynek?! Paul z nią flirtował, naprawdę z nią flirtował!

– Jak się miewa Elizabeth? - Ledwie wymówiła te słowa, a już przeklinała samą siebie po francusku oraz po angielsku. Kiedy zaś ujrzała zadowolony uśmiech na twarzy Paula, niemal nabrała pogardy do samej siebie.



– Znajdę ją i przyprowadzę, więc będziesz mogła sama zobaczyć -

zapropował z tęsknym uśmiechem w oczach, gdy melodia zbliżała się do końca.

Whitney wciąż starała się dojść do siebie po własnym błędzie, gdy uświadomiła sobie, że Paul prowadzi ją wprost ku grupie, w której stał Clayton Westland. A do tej chwili nie pamiętała, że odwróciła się plecami, gdy prosił ją do tańca, i odeszła z Paulem.

– Zdaje się, że porwałem ci pannę Stone, gdy właśnie zamierzałeś prosić ją o taniec, Claytonie - powiedział Paul.

Wziąwszy pod uwagę swą wcześniejszą nieuprzejmość, Whitney nie widziała teraz adnego sposobu uniknięcia tańca z niemiłym jej sąsiadem. Czekwała więc, by męczyzna powtórzył zaproszenie, ale tego nie uczynił. Na oczach wszystkich kazał jej tam stać, czekając aż się zaczerwieni z gniewnego zakłopotania. Dopiero wtedy podał jej ramię i odezwał się znudzonym, pozbawionym entuzjazmu głosem:

– Panno Stone?

– Nie, dziękuję - odrzekła chłodno. - Nie mam ochoty teraz tańczyć, panie Westland.

Odwrociwszy się na pięcie, ruszyła w drugi koniec salonu, odchodząc możliwie najdalej od tego impertynenta i przyłączyła się do gości, z którymi rozmawiała ciocia Anne. Stała tam zaledwie pięć minut, gdy tu obok pojawił

się ojciec i odciągnął ją na bok.

– Jest tutaj ktoś, kogo chcę ci przedstawić - oznajmił burkliwie, lecz zdecydowanie.

Mimo owego tonu, czuła dziś w jego głosie ojcowską dumę i chętnie poszła za nim skrajem tanecznego parkietu... a uświadomiła sobie, do kogo ją prowadzi. Tu przed nią Clayton Westland zajęty był wesołą konwersacją z Emily i jej mężem, a u jego ramienia wisiała Margaret Merryton.

– Ojczy, proszę! - wyszeptała szybko Whitney, cofając się. - Nie lubię go!

– Nie mów głupstw! - Parsknął gniewnie, pociągając ją za sobą, po czym zwrócił się do Clayтона grzmiącym, jowialnym tonem: -Oto i ona! -

Następnie zaś powiedział do córki tak, jakby była małą dziewczynką: - Bądź

grzeczna i przywitaj się z naszym przyjacielem i sąsiadem, panem Claytonem Westlandem.

– My się już znamy - oznajmił Clayton sucho.

– Znamy się -jak echo powtórzyła Whitney słabym głosem. Policzki zapłonęły jej pod kąpiącym spojrzeniem męczyzny.

Whitney pomyślała, e jeśli ten arogant powie lub zrobi cokolwiek, co wprawiliby ją w zakłopotanie na oczach ojca, to go zamorduje. Pierwszy raz w całym jej yciu ojciec traktował ją jak akceptowaną i godną zaakceptowania istotę ludzką, a nawet był z niej dumny.

– No có , to dobrze, dobrze - powiedział Martin Stone, spoglądając wyczekująco to na Whitney, to znów na Claytona. - A zatem dlaczego nie zatańczycie? Wszak po to jest muzyka...

Powodem, dla którego nie tańczyli, Whitney zrozumiała to natychmiast, było to, co jasno wynikało z wyniosłego wyrazu twarzy Westlanda: e nie poprosiłby jej ponownie do tańca, nawet gdyby ktoś przystawił mu pistolet do głowy.

Czując się gorzej ni robak, Whitney zmusiła się, by spojrzeć błagalnie najpierw na wroga, a potem na parkiet, wyraźnie zapraszając Claytona do tańca.

Brwi Westlanda uniosły się w wyrazie ironicznego rozbawienia. Przez jedną straszną chwilę pomyślała, e zamierza zignorować jej zaproszenie, ale zamiast tego wzruszył ramionami i nie podając jej ramienia, ruszył w stronę parkietu, pozostawiając ją z tyłu, aby bądź za nim podą yła, bądź te została tam, gdzie jest.

Whitney poszła za nim, ale nienawidziła go za ka dy krok, jaki musiała zrobić. Podą ając śladem mę czynny, wpatrywała się morderczym wzrokiem w tył jego surduta w kolorze wina, dopóki jednak Clayton Westland nie odwrócił

się do niej, nie zdawała sobie sprawy, e się śmiał... naprawdę śmiał się z jej upokorzenia!

Whitney ruszyła ku niemu, a potem przeszła tu obok, najwyraźniej zamierzając zostawić go wśród tańczących, lecz wtedy ręka mę czynny wysunęła się gwałtownie i pochwyciła jej łokieć.

– Nawet nie próbuj! - warknął i śmiejąc się obrócił ją w miejscu, by stanęła przed nim do walca.

– Był pan wyjątkowo uprzejmy, zapraszając mnie do tańca -napomknęła sarkastycznie, z ociąganiem kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Czy nie tego pani pragnęła? - zapytał z udaną niewinnością i zanim zdą yła odpowiedzieć, dodał: - Gdybym tylko wiedział, e woli pani sama prosić do tańca, nie zmarnowałbym dwóch poprzednich prób.

– Najbardziej zarozumiały, nieuprzejmy... - Dostrzegła spojrzenie ojca i uśmiechnęła się do niego promiennie, aby pokazać, jak wspaniale się bawi, a gdy odwrócił wzrok, obdarzyła morderczym spojrzeniem swego partnera i mówiła dalej: - ...ohydny, nieznośny...

Ramiona Westlanda zaczęły trząść się ze śmiechu, gdy Whitney dr ała z gniewu.

– Proszę mówić dalej - przynaglił ją z szerokim uśmiechem -takiej bury nie dostałem od czasu, gdy byłem małym chłopcem. Jaki więc, powiada pani, jestem? Ohydny, nieznośny...

– Wyjątkowo zuchwały - dodała wściekle, a potem nie znajdując ju nic lepszego, dopowiedziała

jeszcze: - ...i źle wychowany!

– To stawia mnie w bardzo trudnej sytuacji - ironizował lekko. - Nie zostawia mi pani bowiem adnego wyboru oprócz wskazania na swą obronę, e to pani dzisiejsze zachowanie wobec mnie nie było niczym innym jak tylko dowodem złych manier.

– Proszę się uśmiechnąć, mój ojciec nas obserwuje - syknęła Whitney, zmuszając się tak e do uśmiechu.

Clayton natychmiast spełnił jej yczenie. Zęby błysnęły mu w leniwym uśmiechu, lecz utkwił spojrzenie w miękkich wargach dziewczyny. Nie umknęło to uwagi Whitney, która w jednej chwili zeszywniała w jego ramionach.

– Panie Westland, sądzę, e ta nieprzyjemna utarczka trwa ju wystarczająco długo.

Odsunęła się do tyłu, lecz ramię partnera zacisnęło się mocno, nie pozwalając jej się uwolnić.

– Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić na to, by którekolwiek z nas zrobiło z siebie widowisko, maleńka - ostrzegł.

Poniewa Whitney nie miała adnego innego wyboru, tylko podą ać tam, gdzie ją prowadził, zignorowała jego niestosownie pieśczośliwy zwrot, wzruszyła ramionami i odwróciła oczy.

– Uroczy wieczór, nieprawda ? - wycedził powoli, a potem scenicznym szeptem dodał: - Pani ojciec znowu nas obserwuje!

– To był cudowny wieczór - odparowała Whitney.

Czekała na ripostę mę czyzny, a gdy po upływie kilku sekund adnej odpowiedzi nie było, rzuciła mu niepewne spojrzenie. Przyglądał się jej bacznie, lecz bez śladu urazy i nieoczekiwanie poczuła się głupio i niezręcznie. To prawda, e dziś po południu nad strumieniem zachował się niegodziwie, ale i ona, zwa ywszy na to, co zrobiła i powiedziała wieczorem, wcale nie zachowała się lepiej. Ponury uśmiech zapalił w oczach Whitney błysk jadeitu, gdy spojrzała na Claytona.

– Chyba teraz pańska kolej na nieuprzejmość - zaproponowała sprawiedliwie -

czy te mo e straciłam rachubę?

Oczy zabłyśły mu uznaniem wskutek jej nagłej zmiany postawy.

– Sądzę, e wyrównaliśmy rachunki - oświadczył spokojnie.

Jakiś ton jego głębokiego głosu i spojrzenie szarych oczu, a tak e swobodna lekkość, gdy tańczył walca, wszystko to poruszyło popiół przykrywający mgliste, niewyraźne wspomnienie. Zapominając, e Clayton wciąż na nią patrzył, podniosła oczy, próbując uchwycić to, co kryło się gdzieś w zakamarkach pamięci.

– Panie Westland, czy myśmy ju kiedyś się spotkali?

– Gdyby tak było, nie zniósłbym tego, e mogła pani o tym zapomnieć.

– Jestem pewna,

e gdybyśmy się ju spotkali, pamiętałabym pana -

odpowiedziała uprzejmie Whitney i porzuciła tę myśl.

Zgodnie z obietnicą Paul przyprowadził Elizabeth akurat w chwili, gdy Clayton i Whitney zeszli z parkiem. Elizabeth Ashton wygląda jak śliczna, krucha laleczka z porcelany, pomyślała z rozpaczą Whitney. Otulała ją suknią z błękitnego atłasu, która podkreślała ró owość policzków dziewczyny i połyskliwą złocistość loków.

– Nie mogę wprost uwierzyć, e to ty, Whitney - odezwała się głosem pełnym zdumionego podziwu.

W jej słowach kryła się, oczywiście, supozycja, e przedtem panna Stone tak dalece nie miała odpowiedniej prezencji, i ona, Elizabeth, nie mo e uwierzyć w tę odmianę, ale Whitney, obserwując, jak rywalka odchodzi z Claytonem, nie sądziła, by ta złotowłosa piękność chciała ją obrazić.

Poniewa Elizabeth tańczyła z Claytonem Westlandem, Whitney czekała, mając nadzieję, e Paul ponownie poprosi ją do tańca. On jednak, zamiast poprowadzić ją na parkiet, zmarszczył brwi.

– Czy w Pary u to rzecz zwyczajna, by kobieta i mę czyzna, którzy zaledwie zostali sobie przedstawieni, od razu patrzyli sobie w oczy podczas tańca?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ja... ja nie patrzyłam w oczy panu Westlandowi. On tylko wydawał mi się znajomy, lecz nie przypominam go sobie. Czy tobie nigdy nie zdarzyło ci się sądzić, e kogoś znasz?

– Zdarzyło mi się to właśnie dzisiaj - odparł sucho Paul. - Myślałem, e ty jesteś kimś, kogo kiedyś znałem. Teraz wszak e nie jestem pewny, czy w ogóle kiedykolwiek tak było.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając dziewczynę samą. Dawnymi czasy pobieglaby za nim, zapewniając, e to on jest mę czyzną, którego pragnie, tylko on, a nie Clayton Westland. Jednak dawne czasy minęły, a Whitney była znacznie mądrzejsza, więc tylko uśmiechnęła się do siebie i popatrzyła w drugą stronę.

Choć Paul nie podszedł ju do niej ponownie, była najzupełniej szczęśliwa, mogąc przetańczyć ten wieczór z miejscowymi kawalerami. Mając wybór między Paulem nadmiernie pewnym siebie a Paulem powściągliwym i zazdrosnym, stanowczo wolała tego drugiego. Lady Eubank miała rację, pomyślała Whitney. Rywalizacja okazała się tym, czego trzeba było Paulowi Sevarinowi.

\* \* \*

Zbli ało się południe, kiedy Whitney obudziła się następnego dnia.

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łó ka, całkiem pewna, e Paul przyjdzie na pogawędkę.

Nie przyszedł jednak, lecz uczyniło to kilku innych młodych sąsiadów, więc spędziła popołudnie, starając się być czarująca i miła, ale jej dobry nastrój słabł

wraz z zachodzącym słońcem.

Wieczorem, kładąc się spać, mówiła sobie, e Paul z pewnością przyjdzie jutro. Jednak jutro nadeszło i minęło bez wizyty ukochanego.

Zobaczyła go dopiero następnego dnia, a i to jedynie przez czysty przypadek. Wracając konno wraz z Emily z miasteczka, ich wierzchowce wzbijały na drodze tumany pyłu.

- Wiesz, e w dzień po twoim przyjęciu pan Westland został wezwany do Londynu? - zapytała Emily.

- Ojciec wspominał mi coś o tym - odrzekła Whitney, myśląc o Paulu. - Zdaje się, e ponownie spodziewany jest tutaj jutro. A dlaczego pytasz?

- Poniewa matka Margaret powiedziała mojej mamie, e córka liczy godziny do jego powrotu. Najwyraźniej uczucia Margaret są skupione wyłącznie na nim i... - Emily zamilkła i wpatrywała się w drogę. - O ile mnie oczy nie mylą - odezwała się, rzucając przekorne spojrzenie na przyjaciółkę - jesteśmy bliskie spotkania z twoją ofiarą.

Whitney pochyliła się do przodu i dostrzegła elegancki powozik zmierzający ze znaczną prędkością w ich kierunku. Ledwie wystarczyło jej czasu, by wygładzić spódnicę kostiumu do jazdy konnej, znalazł się przed nimi Paul.

Podjechał i uprzejmie przywitał się z Whitney, a potem całą swą uwagę poświęcił Emily, nadskakując jej z artobliwą galanterią, dopóki ze śmiechem nie kazała mu przestać, przypominając, e jest kobietą zamę ną.

Khan nabrał natychmiastowej niechęci do efektownego czarnego konia Paula i Whitney przysłuchiwała się tej rozmowie, przez cały czas próbując utrzymać swojego wierzchowca pod kontrolą.

- Wybierasz się jutro na przyjęcie do lady Eubank? - usłyszała pytanie Paula, a kiedy po owym pytaniu nastąpiła przedłu ająca się chwila ciszy, podniosła wzrok i zrozumiała, e skierowane było do niej.

- Czy wybierasz się jutro do lady Eubank? - powtórzył. Skinęła twierdząco głową, a jej serce zdwoiło tempo.

- Świetnie. Zatem tam cię zobaczę - odrzekł i nie mówiąc ju nic więcej, potrząsnął lejcami, po czym jego powozik szybko potoczył się drogą.

Emily odwróciła się i obserwowała odjeżdżającego, dopóki nie zniknął za zakrętem.

– Czy to nie najbardziej niezwykle spotkanie, jakie przydarzyło mi się w całym życiu, wprost nie mogę własnym oczom uwierzyć! - wykrzyknęła, a po chwili powolny uśmiech zaświtał na jej twarzy, gdy spojrzała na Whitney.

- Paul Sevarin zadał sobie wiele trudu, eby całkiem cię zignorować, moja droga! - zauważyła podekscytowana. - Czy nie wydaje ci się to bardzo dziwne?

– Ani trochę. - Przygnębiona dziewczyna westchnęła. - Jeśli sobie przypominasz, Paul zawsze mnie ignorował.

– Tak, wiem - odrzekła Emily, śmiejąc się cicho - dawniej jednak nie obserwował cię przez cały czas, kiedy to robił. Teraz zaś wprawdzie rozmawiał ze mną, ale przyglądał się tobie. I na twoim przyjęciu tak e wpatrywał się w ciebie nieustannie, kiedy tylko nań nie patrzyłaś'.

Whitney gwałtownie zatrzymała Khana.

– Naprawdę? Jesteś pewna?

– Oczywiście,

e jestem pewna, głuptasku. Obserwowałam Paula, gdy wpatrywał się w ciebie.

– Och, Emily! - Whitney się roześmiała. - Jaka szkoda, e w przyszłym tygodniu musisz wracać do Londynu. Kiedy wyjedziesz, kto będzie mówić mi to, co chcę usłyszeć?

## Rozdział 11

Nim nadszedł wieczór przyjęcia u lady Eubank, Whitney opanował nastrój oczekiwania i podniecenia. Wcześniej gotowa do wyjścia, czekała na ciocię w holu, ubrana w suknię z granatowego szyfonu usianego błyszczącymi srebrnymi gwiazdkami. W uszach i na szyi miała diamenty i szafiry, migoczące te w eleganckich „greckich" splotach.

– Ciociu Annę - spytała w powozie, gdy jechały do lady Aubank - czy sądzisz, e Paul naprawdę kocha Elizabeth?

– Jestem przekonana, e gdyby ją kochał, ju dawno by się oświadczył -

odrzekła lady Gilbert, wciągając rękawiczki, gdy powóz skręcił w długi podjazd wiodący do wspaniałej, starej rezydencji lady Eubank. - Emily ma całkowitą rację. Na przyjęciu u was Paul nieustannie cię obserwował, gdy sądził, e nikt nie patrzy.

– Czemu zatem potrzebuje tak du o czasu, eby cokolwiek zrobić?

– Kochanie, zwa tylko, w jak nieprzyjemnej sytuacji teraz się znalazł. Cztery lata temu wszyscy wiedzieli, e ledwie toleruje twoje uwielbienie. Teraz musi zmienić dawną postawę i pragnie cię

emablować. - Annę uśmiechnęła się na widok posępnego spojrzenia siostrzenicy. - Myślę, e chcąc

przyśpieszyć bieg spraw, powinnaś wziąć sobie do serca radę lady Eubank i zmusić go do rywalizacji.

Trzy godziny później Whitney zaczynała się z tym zgadzać. Cieszyła się powodzeniem, a o jej towarzystwo ubiegali się dosłownie wszyscy obecni kawalerowie... z wyjątkiem tego, o którego chodziło.

Po drugiej stronie sali, naprzeciwko dziewczyny, otoczony miejscowymi dziewczętami, Clayton Westland skłaniał głowę ku Margaret Merryton, uśmiechając się przy tym, by ukryć zniecierpliwienie jej nieustanną paplaniną.

Spędziwszy kilka dni w Londynie na załatwianiu pilnych interesów, wrócił

akurat w porę, by się przebrać i przybyć na niewielkie spotkanie u lady Amelii Eubank. Pani domu przywitała go przy wejściu, mówiąc, e byłaby wdzięczna, gdyby dzisiejszego wieczoru okazywał szczególną grzeczność pannie Stone i tym samym pobudził Paula Sevarina do romantycznej rywalizacji. Właśnie dlatego Clayton nie był w najlepszym

nastroju.

Amelia Eubank, niegrzecznie odwracając się plecami do jednej ze znajomych, uniosła monokl i tak długo lustrowała grupkę gości, a jej spojrzenie padło na Clayтона Westlanda, którego otaczał wianuszek dziewcząt gorliwie zabiegających o jego uwagę. Jak zauważyła, traktował je z lekką nonszalancją, a całą uwagę skupił na jedynej kobiecie w tej sali, która wydawała się całkiem odporna na magnetyzm jego szarych oczu; na Whitney Stone.

Amelia wypuściła z ręki monokl, pozwalając mu chwiać się na czarnej wstążce poniżej obfitego biustu. Za sprawą odległych powiązań zmarłego męża Amelia Eubank mogła rościć sobie prawo do dalekiego powinowactwa z księciem Claymore'em, więc kiedy przed kilkoma tygodniami Westmoreland przyjechał do niej, obwieszczając zamiar osiedlenia się w niedalekiej okolicy pod nazwiskiem Westland, „aby zająć nader potrzebnego wytchnienia”, natychmiast zapewniła go o swojej dyskrecji.

Teraz jednak, gdy przyglądała się księciu obserwującemu pannę Stone, przyszedł jej do głowy pewien intrygujący pomysł, a w oczach pojawił się makiaweliczny błysk. Przez chwilę wahała się, myśląc jak bardzo nieetyczny i przebiegły jest jej plan, potem z uśmiechem zadowolenia przechyliła głowę do tyłu, polecając lokajowi, by bezzwłocznie przyprowadził do niej pannę Stone, a potem poprosił pana Westlanda, by zechciał do nich podejść.

Whitney tańczyła właśnie z mężem Emily, gdy u jej boku pojawił się lokaj, zawiadamiając, e lady Eubank pragnie ją widzieć natychmiast. Przeprosiwszy lorda Archibalda, dziewczyna spełniła owo kategoryczne życzenie, czyniąc to z uczuciem wyraźnej obawy; obawy, która błyskawicznie zmieniła się w trwogę, gdy leciwa dama dzwignęła się z krzesła i oświadczyła z irytacją:

– Powiedziała ci, e tym, czego trzeba Paulowi Sevarinowi, jest konkurencja, a mą twojej najlepszej przyjaciółki nie stanowi dlań wyzwania. Chcę, abyś się zalecała do pana Westlanda. Strzelaj ku niemu oczami lub rób cokolwiek innego, co wy, młode dziewczęta, robicie, by spodobać się mę czyźnie.

– Nie, nie mogę. Doprawdy, lady Eubank, wolałabym..

– Młoda damo - przerwała jej matrona - chcę, ebyś wiedziała, i wydaję to przyjęcie tylko w jednym celu: aby ci pomóc w zdobyciu Paula Sevarina.

Poniewa ty chyba nie wiesz, jak się do tego zabrać, ja nie mam innego wyboru, tylko wkroczyć w tę sprawę. Clayton Westland jest tutaj jedynym mę czyzną, w którym Paul mo e zobaczyć rywala, więc posłałam po niego lokaja. - Whitney zbladła, lecz lady Eubank spojrzała na nią groźnie. - Teraz, kiedy pan Westland nadchodzi, mo esz albo patrzeć na niego tak, jak pa-trzysz na mnie, a wtedy prawdopodobnie zaproponuje ci odwiezienie do lekarza; albo się uśmiechnąć, na co odpowie ci propozycją wspólnego wyjścia na balkon.

– Nie chcę wychodzić na balkon! - rozpaczliwie wyszeptała dziewczyna.

– Zechcesz - zapewniła ją stara dama - gdy się odwrócisz i zobaczysz, z jaką ochotą Elizabeth Ashton podą a w tamym kierunku u boku Paula.

Odwróciwszy się, Whitney zobaczyła, e Paul i Elizabeth w istocie zmierzają w stronę drzwi balkonowych. Zniechęcona uświadomiła sobie sens tego, do czego lady Eubank próbowała ją zmusić, choć sama nie miała ochoty poni ac się do takiego podstępu. Jej wahanie okazało się wszak e bez znaczenia, gdy lady Eubank wzięła wszystko w swoje ręce i ju powiedziała do uśmiechającego się od niechcenia Clayтона:

– Panna Stone właśnie wspomniała mi, e bardzo zgrzała się w tańcu i chętnie wyszłaby na taras.

Clayton Westland spojrzał ku drzwiom balkonowym i Whitney ujrzała, e w jednej chwili jego leniwy uśmiech zmienił się w maskę ironicznego rozbawienia.

– Och, jestem pewien, e chętnie tam wyjdzie - odezwał się sarkastycznym tonem, po czym niezbyt delikatnie ujął Whitney za łokieć i zapytał: -

Pójdziemy, panno Stone?

Whitney pozwoliła mu poprowadzić się między grupami gawędzących gości i wokół stołu z przekąskami. Była przy tym tak pogrą ona w myślach o ukochanym, e nie zauwa yła, i Westland kieruje ją w stronę szerokich drzwi balkonowych znajdujących się na prawo od tych, przez które wyszli Paul i Elizabeth. Skoro idą tędy, uświadomiła sobie wreszcie, to wyłonią się za rogiem i poza polem widzenia tamtej pary.

– Dokąd idziemy? - zapytała szybko i zaczęła się cofać.

- Jak pani widzi, wychodzimy na balkon - odparł zimno Clayton, po czym zaciskając palce na jej



lokciu, wolną ręką otworzył przeszkłone drzwi, pchnął

Whitney na zewnątrz i zamknął je za nią. Na balkonie zaś wypuścił jej rękę, podszedł do kamiennej balustrady i opierając się o nią, w milczeniu wpatrywał

się w dziewczynę.

Stała tam zdeprymowana, ponieważ plan lady Eubank się nie powiódł; a tak e zakłopotana, gdy w nim uczestniczyła i wciąż zdecydowana była jakoś go zrealizować, gdyby okazało się to mo liwe.

– Moglibyśmy przejść na drugą stronę - zaproponowała.

– Moglibyśmy, ale nie przejdziemy - niemal nieuprzejmie odrzekł Clayton.

Wiedząc, e Whitney próbuje wykorzystać go jako przynętę, patrzył na nią z rosnącą niecierpliwością i z ka dą sekundą był coraz bardziej poirytowany.

Wyglądała jak piękna młoda kusicielka z księ ycową poświatą na srebrnych gwiazdkach sukni poruszanych delikatnie powiewami wiatru, ale była jego kusicielka. Wszak zapłacił nawet za suknię, którą miała na sobie.

Po kilku chwilach zaświtała mu pewna myśl. Odchylając się do tyłu, wyjrzał

za róg balkonu, upewnił się, e Paul Sevarin i Elizabeth Ashton stoją przy balustradzie, a potem obrócił całą uwagę ku towarzyszącej mu ślicznej młodej kobiecie, która teraz tak nerwowo mięła palcami fałdy sukni.

– A zatem, panno Stone? - odezwał się głosem wystarczająco donośnym, by usłyszała go tamta para.

Whitney a podskoczyła na dźwięk swego nazwiska.

– Co: a zatem? - spytała, ruszając do przodu w nadziei, e uda jej się zerknąć za róg i zobaczyć, co robią Paul i Elizabeth. Została jednak natychmiast powstrzymana, gdy Clayton gwałtownie wstał i ruszył w jej stronę, skutecznie zasłaniając wszystko własnym torsem i ramionami. - Co: a zatem?

- powtórzyła, cofając się odruchowo, aby zwiększyć dystans między nimi i zanim zrozumiała, co się dzieje, opierała się o zacieniony kamienny mur.

– Teraz, gdy ju panią tu przyprowadziłem, czego jeszcze yczy pani sobie ode mnie?

– Jeszcze? - powtórzyła ostro nie.

– Tak, jeszcze. Chcę być pewien, e rozumiem swoją rolę w tej niewielkiej intrydze, jaką prowadzimy. Chyba powinienem panią pocałować, aby Sevarin stał się zazdrosny, czy tak?

– Nie pozwoliłabym się panu dotknąć, nawet gdyby miało mnie to ocalić przed utonięciem - odparła Whitney, oszołomiona z gniewu.

Clayton całkiem zignorował jej słowa.

– Nie mam nic przeciwko odegraniu mojej roli - powiedział z namysłem - ale nie mogę oprzeć się ciekawości, czy znajdę w niej przyjemność. Będę całować nowicjuszkę, czy te była pani całowana wystarczająco często, by wiedzieć, jak nale y to robić? Ile razy była pani całowana?

– Zało ę się, e yje pan w ciągłej obawie, i przez pomyłkę zostanie pan wzięty za d entelmena! - wyrzuciła z siebie Whitney, by ukryć rosnące przera enie, gdy Westland ujął jej ręce i przyciągnął ją do siebie.

Rezygnując z daremnej szamotaniny, utkwiała morderczy wzrok w iskrzących się śmiechem oczach. - Niech pan mnie puści!

– Była pani całowana zbyt często, by to zliczyć, czy te wszystkie owe pocałunki okazały się tak dalece pozbawione znaczenia, e po prostu ich pani nie pamięta?

Pomyślała, e za chwilę wybuchnie.

– Byłam całowana wystarczająco często, by nie prosić o lekcje u takich jak pan, jeśli to miał pan na myśli!

Śmiejąc się, otoczył ramieniem jej usztywnione ciało.

– Zatem często byłaś całowana, maleńka?

Whitney, nie chcąc podnieść oczu, patrzyła w jego tors. Krzyk nie wchodził

w rachubę, jej reputacja ległaby w gruzach, gdyby ktoś zobaczył ich w tak kompromitującej sytuacji. Nie mogła, naprawdę nie mogła uwierzyć, e to się jej rzeczywiście przytrafiło. Była rozdarta między chęcią wybuchnięcia płaczem a spoliczkowania tego impertynenta.

– Jeśli próbuje pan mnie przestraszyć i upokorzyć, to proszę pozwolić mi odejść - powiedziała tak spokojnie, jak mogła.

– Dopiero kiedy się dowiem, ile pani wyniosła ze swoich „doświadczeń” -

wyszeptał.

Whitney rzuciła głową, zamierzając wygłosić ostrą tyradę, lecz usta Clayтона stłumiły wszelkie słowa. Zamarła w początkowym szoku, a potem zmusiła się, by pozostać absolutnie sztywna pod naciskiem jego warg. Mimo niewielkiego doświadczenia w całowaniu, wiedziała, e ani walką, ani sprzeciwem adna kobieta nie zdoła powściągnąć nadmiernie rozpalonego mę czyzny i przywieść go do stanu skruchy i wyrzutów sumienia.

Kiedy jednak Clayton w końcu się cofnął, nie wyglądał ani na zasmuconego, ani na skruszonego, lecz przyglądał jej się z irytującym uśmiechem.

– Albo miałaś marnych nauczycieli, moja droga, albo bardzo potrzeba ci więcej lekcji - oświadczył, rozluźniając ramiona.

Whitney zrobiła krok wstecz i obróciwszy się na pięcie, mściwie rzuciła przez ramię ostatnią uwagę:

– Ale moje lekcje przynajmniej nie odbywały się w lupanarze!

Stało się to tak szybko, że nie miała czasu na reakcję. Ręka Clayтона niczym imadło zacisnęła się na nadgarstku Whitney, wciągając ją ponownie w ciemność i w jego ramiona.

– Sądzę - odezwał się pełnym złości głosem - że twój problem jest jedynie kwestią niedoświadczonych nauczycieli.

Jego wargi gniotły teraz jej usta, bezlitośnie je miażdżąc i zmuszając, by się rozsunęły.

Whitney daremnie szamotała się w elastycznym uścisku, podczas gdy łzy bezsilnej wściekłości płynęły jej po policzkach. Im bardziej walczyła, tym bardziej zuchwałe i karzące stawały się usta mężczyzny, a w końcu osłabła pokonana, drżąc w jego ramionach. W tym samym momencie, w którym przestała walczyć, Clayton uniósł jej głowę.

– To była twoja pierwsza lekcja, maleńka - powiedział cicho, patrząc w jej zagniewane, błyszczące od łez oczy. - Nigdy ze mną nie igrzaj. Uprawiałem te gierki już wcześniej, więc nie możesz wygrać. A to będzie twoja druga lekcja

- mruknął, opadając wargami na jej usta.

Zdała się chwycić krótki oddech i zaczęła krzyczeć, ale jego usta, tłumiąc ów krzyk, zmieniły go w ciche kwilenie i tym razem były tak łagodne, że trwała oszołomiona w bezruchu. Jedną ręką Clayтона gładziła od tyłu jej szyję, przesuwając po niej palcami, druga zaś wędrowała po plecach dziewczyny w powolnej choć drażniącej pieścizmie, przyciągając Whitney coraz bliżej. Przez cały ten czas wargi mężczyzny dotykały jej ust z arliwą czułością, kształtując i dopasowując ich miękkie linie do swoich własnych.

Muskał językiem jej wargi, pieścizną je i rozsuwając, a potem wdarł się między nie, przyprawiając Whitney o oszałamiające dreszcze. Objęła go rękami za szyję, przywierając doń, jakby szukała oparcia. Ramię Clayтона otoczyło ją opiekuńczo. Wzmocnił pocałunek, przesuwając rękę z pleców dziewczyny ku przodowi i w górę, do jej piersi.

Oburzenie tą intymną pieścizną odpędziło wszelkie inne emocje w oślepiającym błysku furii. Z siłą, jakiej nigdy u siebie nie przeczuwała, Whitney szarpnęła się wściekle, zrzucając z siebie ręce mężczyzny.

– Jak pan śmie! - syknęła i spoliczkowała go najmocniej, jak mogła, po czym z całkowitym niedowierzaniem zobaczyła, że na jego twarzy pojawia się pełen zadowolenia uśmiech.

Doprowadzona do takiej wściekłości, że ledwie zdołała wziąć oddech, by cokolwiek powiedzieć, dodała: - Jeśli kiedykolwiek mnie dotkniesz, to cię zabiję!

Ale ta groźba najwyraźniej sprawiła mu jedynie jeszcze większą przyjemność, gdy następne słowa Claytona Westlanda poprzedził cichy chichot.

– To nie będzie konieczne, moja pani. Uzyskałem już odpowiedź, której szukałem.

– Odpowiedź! - parsknęła Whitney. - Gdybym była męczyzną, udzieliłabym panu odpowiedzi pistoletem!

– Gdybyś była męczyzną, nie miałabyś ku temu powodu.

Stała, trzęsąc się z urazy i marząc o tym, by zrobić lub powiedzieć coś, co przedarłoby się przez jego spokojną, niewzruszoną postawę. Łzy spływające po jej policzkach były łzami wściekłości, ale Clayton, zobaczywszy je, poczuł

skrucę.

– Wytrzymaj oczy, a ja odprowadzę cię do przyjaciół - powiedział, po czym wyjął

białą chusteczkę i wyciągnął ją w stronę dziewczyny.

Whitney pomyślała, że rozpadnie się na kawałki z powodu owej plątaniny nienawiści i oburzenia. Wyrwała chusteczkę z dłoni swego towarzysza i rzuciła ją na posadzkę, obracając się na pięcie z zamiarem powrotu do sali balowej.

– Proszę nam wybaczyć - odezwał się nagle Paul z dworskim skinieniem głowy, przechodząc obok nich z Elizabeth w stronę drzwi wiodących do wnętrza.

– Jak długo tu był? - spytała Whitney, stając naprzeciwko Claytona z zaciśniętymi pięściami. - Ty nikczemny łotrze... zrobiłeś to wszystko rozmyślnie, ze względu na niego, nieprawda? eby to zobaczył. Chciałeś, eby nas zobaczył!

– W istocie zrobiłem to rozmyślnie, ale ze względu na siebie - poprawił ją łagodnie i wzięwszy pod rękę, skierował ku drzwiom balkonowym.

Gdy weszli do jasno oświetlonej sali, Whitney wyrwała mu się, a jej głos stał się wściekłym szeptem.

– Musi pan być synem samego szatana! - syknęła.

– Mój ojciec byłby niezadowolony, e ktoś tak o nim myśli - odparł Clayton z irytującym chichotem.

– Pański ojciec?! - zadrwiła Whitney, odsuwając się od niego. - Jeśli sądzi pan, e pańska matka w ogóle znała jego nazwisko, to się pan oszukuje!

Nastąpił moment ciszy, w którym Clayton zrozumiał, e właśnie został nazwany bękartem, a potem, gdy siła owego ciosu w jego pochodzenie osłabła, dał się słyszeć gwałtowny wybuch śmiechu. Pan

Westland nie przestawał się śmiać, idąc śladem Whitney i podziwiając jej smukłe biodra.

Oślepiąona gniewem, przyłączyła się do grupy dam w średnim wieku, wśród których była te jej ciotka, ale patrzyła w dal, nie słysząc konwersacji. Jak e nienawidziła Clayтона Westlanda! Jak e nim gardziła! Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zrobi, odpłaci mu za tę zuchwałość, za to, e poło ył na niej swoje lubie ne ręce, za to, e spowodował, i Paul uznał ją za jakąś nierządnicę!

Minęła przynajmniej godzina, gdy tu przy uchu Whitney rozległ się jego cichy głos:

– Zatańcz ze mną.

Sięgnął po jej rękę, więc Whitney poszła z nim na środek sali. Tak się bała widoku potępienia na jego twarzy, e nawet kiedy tańczyli, nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć.

– Czy ka dy mę czyzna musi zabrać cię na balkon, by zyskać twoją przychylność, panno Stone? - zadrwił.

Powiodła spojrzeniem ku oczom Paula i ku swej ogromnej uldze odkryła, e scena na balkonie, której był świadkiem, wyraźnie go zirytowała, ale w wyrazie jego twarzy nie było oburzenia.

– A mo e wolisz nocną przechadzkę po ogrodzie? - pokpiwał.

– Proszę, nie droczyć się ze mną. - Na poły błagała, na poły westchnęła. - To był długi wieczór i jestem zmęczona.

– Wcale się nie dziwię - odparł z gryzącą ironią, ale widząc, e Whitney zarumieniła się z zakłopotania, złagodniał. - Czy sądzisz, e zdołasz otrząsnąć się z tego „zmęczenia” do jutra rana... by wziąć udział w pikniku na twoją cześć z, powiedzmy, dziesięcioma osobami?

Lady Aubank i ciocia Annę miały rację, uświadomiła sobie dziewczyna z poczuciem triumfu.

– Z przyjemnością - odpowiedziała z szerokim, radosnym uśmiechem.

Po skończonym tańcu Paul odprowadził ją do stosunkowo cichego kąta, zatrzymał lokaja niosącego tacę z szampanem i zdjęwszy z niej dwa kieliszki, jeden podał Whitney.

– Czy mam zaprosić pana Westlanda? - zapytał z uśmiechem, opierając się ramieniem o kolumnę.

W pierwszym odruchu chciała krzyknąć: nie! - ale jedno spojrzenie na jego triumfalny uśmiech wystarczyło, by zmieniła decyzję. Wzruszyła ramionami i nawet zdołała się roześmiać.

– Ale bardzo proszę, zaprosz go, jeśli chcesz.

– Nie miałabyś nic przeciwko temu? Obdarzyła go niewinnym spojrzeniem.

– A dlaczego miałabym się temu sprzeciwiać? Jest... no, có ... bardzo przystojny... - spuściwszy oczy, popatrzyła na kieliszek, by ukryć grymas niechęci - i czarujący, i...

– Panno Stone - Paul przyglądał jej się uwa nie - chyba nie starasz się sprawić, abym był zazdrosny, prawda?

– A jesteś? - odparła z uwodzicielskim uśmiechem.

Nie odpowiedział, ale Whitney czuła się niemal pewna, e był. Tak czy inaczej finał owego wieczoru okazał się taki, o jakim marzyła. Paul pozostał

przy niej prawie cały czas, a kiedy odchodził, to nie po to, by wrócić do Elizabeth.

Clayton odesłał kamerdynera, nalał sobie kieliszek lekkiej brandy i uśmiechnął się na myśl o tak niespodziewanym finale, jakim tego wieczoru zakończyły się jego zaloty. W najśmielszych marzeniach nie wyobra ał sobie takiego obrotu rzeczy! Jak e ucieszyło go to, o czym przed kilkoma godzinami przekonał się na balkonie lady Amelii Eubank!

adnemu z francuskich

wielbicieli Whitney nie wolno było pozwolić sobie na to, co zrobił on; była oszołomiona jego gorącym pocałunkiem i oburzona, gdy dotknął ręką jej piersi.

Bo e, jaka to zachwycająca istota: na poły anioł, na poły sekutnica.

Naturalna i zarazem wyrafinowana, a przy tym olśniewająca dojrzałą, bujną urodą, która doprowadzała jego zmysły do wrzenia.

Uniósł kieliszek i marszcząc brwi, spoglądał na brandy. Okropnie potraktował Whitney dziś wieczorem. Jutro będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by to naprawić.

## Rozdział 12

Ranek zaświtał olśniewającym błękitem, a lekki, rzeński wiaterek przyniósł

zapach jesieni.

Whitney wzięła kąpiel i umyła włosy, potem zaś zastanawiała się, co na siebie wło yć. Paul niewątpliwie przyjedzie po nią powozem, lecz tak bardzo pragnęła pojechać obok niego wierzchem, jak niekiedy czyniła to w przeszłości.

Podjąwszy decyzję, wyjęła z szafy ółty kostium dojazdy konnej.

Była gotowa, gdy usłyszała powozik Paula zatrzymujący się dokładnie pod otwartym oknem jej sypialni, ale zanim wybiegła do holu, zmusiła się do dziesięciokrotnego przemierzenia długości pokoju.

Sevarin obserwował zejście Whitney po schodach i z wyrazem nieskrywanego uznania na urodziwej twarzy oglądał lekki ółty kostium dziewczyny i jedwabną ółto-białą bluzkę w kropki, która wyglądała spod odpiętego akietu. Na szyi Whitney zawiązała ozdobiony podobnymi kropkami szal, końce przerzucając przez prawe ramię.

– Jak to się dzieje, e wyglądasz tak ślicznie o tak wczesnej porze? - zapytał

Paul, ujmując jej dłonie w swoje, gdy stanęła przed nim.

Whitney powściągnęła chęć rzucenia mu się w ramiona, uśmiechając się zamiast tego.

– Pojedźmy wierzchem. Stajnia pełna jest koni, więc mo esz sobie wybrać, jakiego chcesz - zaproponowała.

– Obawiam się, e będziesz musiała pojechać beze mnie, muszę bowiem towarzyszyć paniom, które wydają się yć w nieustannym strachu przed upadkiem z konia - wyjaśnił Paul i skłaniając głowę ku ciemnemu cieniowi w pobli u wejściowych drzwi, dodał: - Clayton pojedzie z tobą i poka e ci, gdzie będziemy.

Whitney wpadła w popłoch, czując jednocześnie rozczarowanie i trwogę. Nie mogła uwierzyć, e Paul zrobi coś takiego. Skoro ją zaprosił i skoro ju urządził

ów piknik na jej cześć, jego podstawowym obowiązkiem było towarzyszenie jej na miejsce. Poza tym tylko jedna z dziewcząt w całej okolicy bała się koni: Elizabeth Ashton. Whitney doznała okropnego uczucia, e mianowanie

Claytona Westlanda jej zastępczym opiekunem było sposobem, w jaki Paul demonstrował, e nie odegra roli zazdrosnego adoratora. Minionego wieczoru doszedł do przekonania, e próbowała wzbudzić w nim zazdrość i rano pokazał

jej, e to nie poskutkowało.

Z największym wysiłkiem zmusiła się do lekkiego wzruszenia ramionami i uśmiechu.

– Stracisz więc piękną przeja d kę. Zbyt ładny mamy dzień, aby zamykać się powozie.

– Clayton poka e ci to miejsce - powtórzył Paul, bacznie przyglądając się jej opanowanej twarzy, a potem rzucił sucho: - Przypuszczam, e znacie się na tyle dobrze, by mówić sobie po imieniu?

Whitney z ociąganiem przesunęła wzrok ku wysokiej postaci przechadzającej się przy wejściu, i zacisnęła zęby, by ukryć niechęć.

– Jestem pewien, e twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli Westland dosiądzie jednego z waszych koni - powiedział na koniec, wychodząc.

Przed domem, ju na schodach, odwrócił się jednak.

– Opiekuj się moją dziewczyną! - zawołał do Claytona.

Odszedł, zostawiając Whitney lekko ułagodzoną i całkiem oszołomioną tym, e najpierw szarmancko przekazał ją pod opiekę przyjaciela, a potem nazwał swoją dziewczyną.

Z oszołomienia wyrwał ją głęboki głos znieawidzonego mę czyzny.

– Dzień dobry.

Z urazą spojrzała na Westlanda, który wciąż stał w progu. Powstrzymując się od niemiłych odpowiedzi na to proste powitanie, obrzuciła pogardliwym spojrzeniem jego nieskazitelnie białą, odpiętą pod szyją koszulę, szare bryczesy i lśniące buty do konnej jazdy.

– Mo emy jechać? - zapytała lodowato.

– Dzień dobry - powtórzył ze spokojnym wyrzutem, nie przestając się uśmiechać.

Whitney zacisnęła usta i przeszła obok niego, wychodząc w oślepiające słońce i zostawiając mu decyzję, czy pójść równie , czy te zostać w domu, jej to bowiem nie obchodziło.

Kiedy szli ście ką na tyłach domu, która wiodła do stajni, Clayton trzymał

się w pewnej odległości, ale po kilku chwilach wysforował się do przodu, blokując drogę.

– Czy ka dego d entelmena, który skradnie ci pocałunek, traktujesz z taką niechęcią, czy tylko mnie? - zapytał z uśmiechem.

Whitney spojrzała na niego z pogardą.

– Panie Westland, po pierwsze nie jest pan d entelmenem. Po drugie, nie lubię pana. A teraz proszę zejść mi z drogi.

Nie ruszył się z miejsca, z namysłem studiując jej nachmurzoną twarz.

– Uprzejmie proszę zejść mi z drogi i pozwolić przejść - powtórzyła Whitney.

– Jeśli nie poruszy się pani wystarczająco długo, by pozwolić mi to uczynić, chętnie przeproszę za wczorajszy wieczór - odezwał się spokojnie. - Nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni przeproszałem za cokolwiek, więc mogę być nieco niezręczny.

Ten arogant i zarozumialec myśli, e mo e sobie pozwolić na takie zachowanie wobec niej, a potem załagodzić zajście kilkoma letnimi słowami przeprosin. Zresztą poleceniem, by się nie poruszyła, całkiem rozproszył jej chwilową chęć wysłuchania go do końca i skończenia z tą sprawą.

– Nie przyjmę adnych przeprosin od pana, niezręcznych czy zręcznych. A teraz proszę zejść mi z



drogi!

Twarz pociemniała mu z irytacji i Whitney niemal czuła, jak toczył

wewnętrzną walkę, by utrzymać na wodzy swój temperament. Spojrzała w stronę stajni, by sprawdzić, czy jest tam ktoś, kto ją usłyszy, gdyby potrzebowała pomocy. Dostrzegła Thomasa, który starał się utrzymać rozszalałego Niebezpiecznego, próbującego stanąć dęba.

Zemsta przybrała kształt zbuntowanego czarnego ogiera.

Uśmiech, którym Whitney obdarzyła stojącego przed nią rozgniewanego męczyznę, był olśniewający i szczery.

– Moje zachowanie również nie było całkiem bez zarzutu - powiedziała, ze wszystkich sił przywołując na twarz wyraz skruchy, choć chciało jej się śmiać. - Jeśli chce pan przeprosić, chętnie się na to zgodzę - oznajmiła i natychmiast, gdy spojrzał podejrzliwie, dodała: - A mo e zmienił pan zdanie?

– Nie zmieniłem zdania - odrzekł spokojnie, po czym wziął Whitney pod brodę i unosząc ku górze jej twarz, ciągnął: - Jest mi naprawdę przykro, jeśli przestraszyłem panią wczorajszego wieczoru. Nie miałem zamiaru pani obrazić i chciałbym, abyśmy zostali przyjaciółmi.

Whitney oparła się chęci odtrącenia jego ręki i wydawała się rozważać tę ofertę.

– Jeśli mamy być przyjaciółmi, powinniśmy mieć coś wspólnego, nieprawda ?

Ja szczególnie lubię jazdę konną. Czy jest pan wystarczająco dobrym jeźdźcem?

– Wystarczająco - przyznał, patrząc na nią chłodnym, uważnym wzrokiem.

Chcąc uwolnić się od jego dociekliwego spojrzenia, ruszyła w stronę stajni.

– Znajdę konia dla pana - rzuciła przez ramię.

Clayton Westland będzie musiał dosiąść tego ogiera albo przyznać, że się boi. Tak czy inaczej jego monstrualne ego dostanie tęgie lanie, Whitney była bowiem przekonana, że zasłużyła na wszystko, co miała dla niego w zanadru.

Zdyszana podbiegła do koniuszego. Ukradkiem spoglądając przez ramię, zobaczyła, że przeciwnik był niespełna pięć kroków za nią, więc ściszyła głos do naglącego szeptu:

– Ka natychmiast osiodłać Niebezpiecznego, Thomas. Pan Westland nalega, by się na nim przejechać.

– Co?! - jęknął koniuszy. - Jesteś pewna?

– Całkowicie! - odrzekła, uśmiechając się bezgłośnie, gdy Thomas ruszył do stajni.

Bardzo z siebie zadowolona, założyła ręce za plecami i podeszła do białego ogrodzenia, stając obok Westlanda.

– Postarałam się, by dosiadł pan naszego najwspanialszego konia - oznajmiła.

Clayton bacznie przyglądał się jasnemu uśmiechowi Whitney, ale jego uwagę odwrócił hałas dochodzący ze stajni. Po dwóch mocnych przekleństwach, jakie wyrwały się z ust koniuszego, dał się słyszeć jęk bólu i Niebezpieczny wpadł do zagrody, ciskając jednego ze stajennych na parkan, a następnie bezlitośnie kopiąc drugiego.

– Czy nie jest cudowny?! - wykrzyknęła dziewczyna, rzucając radosne spojrzenie swej potencjalnej ofierze. Właśnie w tej chwili koń zmienił

kierunek i ruszył na barierę, przy której stali, a potem się odwrócił. Whitney odskoczyła do tyłu akurat wtedy, gdy jego tylne kopyto uderzyło w ogrodzenie z hukiem przypominającym wystrzał armatni. - On jest... jest pełen animuszu... - wyjaśniła z draniem w głosie.

– Rozumiem - zgodził się Clayton, przenosząc spokojny, nieporuszony wzrok ze zdenerwowanego, spienionego rumaka na Whitney.

– Jeśli boi się pan dosiąść tego ogiera, proszę po prostu powiedzieć -

zapropozowała wielkodusznie. - Jestem pewna, e znajdziemy dla pana bardziej odpowiedniego konia... mo e Słodką Śliweczkę. - Tłumiąc śmiech, skinęła niewinnie głową w stronę leciwej klaczy o zwisającym brzuchu i sterczącym grzbiecie, która z zadowoleniem skubała trawę.

Clayton podążył za jej spojrzeniem i wyraz zimnej odrazy odmalował się na jego obliczu. Whitney w jednej chwili doszła do wniosku, e byłoby jeszcze wspanialej, gdyby ten pyszałek musiał przy truchtać na piknik na starej kobyle.

– Thomas! - zawołała do koniuszego. - Pan Westland postanowił jednak wziąć Słodką Śliweczkę zamiast...

– Dosiądę ogiera! - powiedział Clayton, a potem zwrócił lodowate spojrzenie ku Whitney.

– Dlaczego po prostu nie powie mi pan, gdzie odbywa się piknik? Pojadę przodem - rzuciła obronnym tonem.

– Nie mam najmniejszego zamiaru tego robić ani te nie spełnię pani życzenia: nie ujrzy mnie pani leżącego na ziemi pod kopytami tego ogiera - oświadczył

i wskazując głową Khana, którego właśnie wyprowadzano ze stajni, polecił

uprzejmie: - Proszę zabrać swego konia i trzymać go przy ogrodzeniu, aby nie znalazł się na mojej drodze. Będę miał wystarczająco du o zajęcia bez konieczności martwienia się o panią.

Jego arogancka pewność, e zdoła opanować ogiera, pozbawiła Whitney chwilowego poczucia winy.

Dosiadła Khana i skierowała go ku barierze na końcu padoku. Przytrzymała zębami wodze, sięgnęła rękami za szyję i uniosła włosy, a potem ściągnęła je szalem.

Kilku parobków, stajennych i ogrodników pośpieszyło w stronę wybiegu i ustawiło się wokół ogrodzenia, aby mieć lepszy widok. Thomas i dwaj chłopcy stajenni unieruchomili łeb Niebezpiecznego, podczas gdy Clayton przesuwiał

ręką po smukłym karku ogiera i spokojnie do niego przemawiał. Zatrzymany w pamięci dotyk tej samej ręki, pieszczącej jej pierś, sprawił, że Whitney zapłonęła gniewem.

Westland włożył stopę w strzemień, potem uniósł się, przerzucił nogę przez koński grzbiet i powoli, ostro nie usiadł, unikając gwałtownych ruchów, które mogłyby zwiększać trwogę ogiera. Mimo tej ostro ności Niebezpieczny parsknął

i wierzgał, rzucając się na stajennych. Ostatni jeździec dosiadający tego wyjątkowego wierzchowca był niżej niż Clayton i Whitney wydawało się przez chwilę, że Niebezpieczny zamierza się pozbyć swego niemiłego cię aru, choć rzemienie strzemion zostały podłone. Whitney wybuchnęła śmiechem, gdy ogier obracał się i kręcił. W każdej chwili spodziewała się, że przeciwnik zrezygnuje z jazdy na Niebezpiecznym i zsiądzie. On jednak chwycił cugle, a stajenni puścili konia i natychmiast odskoczyli mu z drogi.

Teraz cała uwaga jeźdźcy skupiona była na zdenerwowanym i spienionym ogierze, którego miał pod sobą.

– Spokojnie... - starał się go ułagodzić, lekko popuszczając cugle.

Niebezpieczny wściekle rzucił łbem, próbując się buntować i tańczył na boki przez cały wybieg, groząc, że stanie dęba i usiłując brykać. - Spokojnie...

spokojnie... - Cichy głos uspokajał napięte nerwy zwierzęcia, a lekki kontakt poprzez wodze narzucał koniowi zdecydowaną, lecz nie nadmierne surową kontrolę.

Oczami szeroko otwartymi ze zdumienia Whitney obserwowała, jak ogier najpierw się złościł, potem zaś uspokoił, wchodząc w lekki kłus przez całą długość wybiegu. Uszy wyciągnął do przodu i wyglądał tak, jakby niemal się cieszył z niesienia na grzbiecie tego wysokiego człowieka... a do chwili gdy Clayton musnął jego bok szpicrutą, chcąc zmusić zwierzę do krótkiego galopu.

Niebezpieczny natychmiast rzucił łbem, uderzając przy tym zadem, aby stanąć dęba.

– To z powodu szpicruty, sir! - zawołał Thomas. - Niech pan ją rzuci, bo bat go denerwuje.

Whitney na chwilę zapomniała o urazie do tego człowieka. Sama była zbyt dobrą amazonką, aby udawać, że nie zrobiło na niej wrażenia to, co właśnie zobaczyła. Wprawa, z jaką Clayton opanował Niebezpiecznego, nappełniła ją pełnym podziwem i respektem, i nawet nie próbowała tego ukryć, gdy ogier galopował w jej stronę. Na ustach już miała uśmiech i pragnęła właśnie wyrazić Claytonowi uznanie, gdy jeździec cisnął szpicrutę w jej wyciągniętą dłoń.

– Przepraszam, e panią rozczarowałem. Następnym razem proszę poszukać sobie kogoś innego do tych dziecinnych gier.

– Ty potworze! - syknęła Whitney, unosząc rękę, ale szpicruta minęła ramię męczyzny i uderzyła w bok ogiera.

Oszalały wierzchowiec rzucił się gwałtownie do przodu i ruszył na ogrodzenie, jakby zamierzał je staranować, ale w ostatniej chwili przeskoczył

barierę z wędzidłem w zębach, całkowicie wyrwawszy się spod kontroli człowieka.

– Dobry Bo e... - wyszeptała Whitney, widząc jak koń i jeździec gnają przez pagórkowatą okolicę. Zawstydzona ponieważ odwróciła wzrok.

Bezgłośnie ciągi, jakie wymierzała sobie za dziecinną próbę zemsty, zostały wzmocnione przez Thomasa, który z twarzą purpurową z furii rzucił się ku niej przez całą zagrodę.

– Właśnie tego nauczono cię we Francji... wyrządzania krzywdy innym ludziom?! Czy tak? - ryknął. - Nikt ju nie dosiędzie tego konia ponownie, ty głupia dziewczyno! - Odwrócił się i pognął w stronę wzgórza, by znaleźć ogiera.

Jednego, czego Whitney nie mogła zrobić, to pojechać za koniuszym i wyjaśnić, e zamierzała uderzyć jeźdźca, a nie wierzchowca. Nie konia. Z lewej strony, w oddali ogier stawał się coraz mniejszym punktem na horyzoncie i trudno było powiedzieć, czy wciąż niośł człowieka na grzbiecie. Rozglądając się wokół, zobaczyła dezaprobatę na twarzach wszystkich słuących, zanim odwrócili wzrok.

Nie była w stanie pozostać w tym miejscu i znosić ich milczącego oskarżenia. Zawróciła Khana i pogalopowała przez padok, ale kiedy znalazła się za ogrodzeniem, uświadomiła sobie,

e nie ma pojęcia, dokąd jechać.

Zatrzymała Khana i zawahała się przez chwilę. W istocie powinna tu pozostać i ponieść konsekwencje swojego nikczemnego zachowania. Czy przywiozą Clayтона na noszach? Jeśli tak, musi pozostać, by udzielić mu wszelkiej mo liwej pomocy.

Zawróciła Khana ponownie do stajni, a potem znów go zatrzymała. Czy to mo liwe, by Clayton utrzymał się na Niebezpiecznym i potrafił przyprowadzić go z powrotem? Nie chciała tu być, gdyby wrócił. Sama myśl o słusznym gniewie męczyzny sprawiała, e jej ręce dręły ze strachu.

– Tchórzliwa histeryczka! - syknęła do samej siebie, zawracając Khana i ruszając w stronę domu Paula Sevarina, aby zapytać, gdzie odbędzie się piknik.

Khan potrzasał łbem i spragniony biegu szarpał się w cuglach, ale Whitney nie miała ochoty na szybką jazdę i utrzymywała go w spokojnym klusie. Nigdy nie czuła się tak źle. Dlaczego, zastanawiała się przygnębiona, tak pogmatwała sobie życie, akurat w chwili, gdy stanęła na angielskiej ziemi? Jak e teraz nienawidziła się za to, e pozwoliła sobie na takie dziecinne humory, jakie miewała jako dziewczynka. Po kilkuminutowym poczuciu winy znów zaczęła myśleć o swoim

obecnym poło eniu. Jak odpokutować tę winę? Czy koń zrobił

sobie krzywdę i trzeba go będzie zabić? Bez względu na to, czy zwierzę było ranne czy nie, ojciec nigdy nie wybaczy jej tego, co zrobiła.

Ojciec! Pierwszy raz w yciu dostrzegła aprobatę w jego oczach, a teraz wszystko miało lec w gruzach. Gardziłby nią za znęcanie się nad koniem, a gdyby próbowała wyjaśnić, e zamierzała uderzyć tego człowieka, wpadłby w jeszcze większą wściekłość. Musi coś zrobić, by to, co się stało, nie dotarło do ojca. aden ze słu ących nie opowie mu, co się wydarzyło, tego była całkiem pewna, ale Clayton Westland... mo e, gdyby go poprosiła, eby tego nie robił, gdyby go błagała...

Niewesołe refleksje Whitney zakłócił dochodzący zza jej pleców odgłos kopyt wybijających szybki rytm. Spoglądając przez prawe ramię, ujrzała Claytona na grzbiecie spienionego Niebezpiecznego, który szybko zbli ał się do niej.

Whitney odruchowo uniosła szpicrutę, by rzucić Khana do przodu, ale potem opamiętała się i opuściła rękę. Zostanie i stawi mu czoło, przyzna się do winy...

du o by to zresztą dało, gdyby się wszystkiego wyparła!

Gdy Clayton znalazł się tu przed nią, ujrzała na jego twarzy tak mroczną i groźną wściekłość, e zadr ała. Jednym szybkim ruchem chwycił wodze Khana i zdecydowanie osadził obydwu konie w miejscu.

– Mo e pan puścić mojego konia - powiedziała cicho Whitney. -Nie zamierzam uciekać.

– Bądź cicho! - syknął.

Poniewa wciąż trzymał wodze Khana, Whitney nie pozostało nic innego, tylko jechać posłusznie obok Claytona. On zaś prowadził Niebezpiecznego spokojnie, w milczeniu. Zakłopotana dziewczyna próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć, eby złagodzić napięcie, ale jedyne, co przychodziło jej na myśl, to skomentowanie wprawy, z jaką Clayton zdołał poradzić sobie z ogierem. Jednak w tych okolicznościach stwierdzenie „dobra robota, panie Westland" nie wydawało jej się właściwe.

Przy pozostałościach starego kamiennego muru, niedaleko od miejsca, gdzie spotkali się po raz pierwszy nad strumieniem, Clayton zatrzymał konie i zeskoczył z siodła. Szybkimi, precyzyjnymi ruchami przywiązał ogiera, a potem podszedł do Whitney, wyszarpnął jej z ręki wodze Khana i przywiązał go po przeciwnej stronie muru.

– Zsiadaj! - warknął i odwróciwszy się na pięcie, ruszył w stronę starego jaworu na szczycie wzgórza.

Whitney zauwa yła zaciśnięte szczęki oraz długie, zdecydowane kroki Claytona i poczuła w ołładku pierwsze ukłucie strachu.

– Wolę zostać tutaj - powiedziała niepewnie, spoglądając na niego przez ramię.

Jakby wcale jej nie słysząc, cisnął na trawę rękawiczki i zrzucił kurtkę. Usiadł, opierając rękę na zgiętym kolanie.

– Powiedziałem, ebyś zsiadła z konia - odezwał się głosem przypominającym trzask bata.

Z ociąganiem robiła, co jej kazano, zsuwając się z Khana najpierw na le ący obok gład, a potem ostro nie na ziemię. Stała obok konia, znosząc lodowaty chłód spojrzenia mę czyzny. Zaświtało jej w głowie, e usiłował opanować gniew i modliła się, by mu się to udało. Clayton ogarnął ją wzrokiem, wpatrując się w punkt tu pod prawą ręką. Podą ając za jego oczami, Whitney uświadomiła sobie, e wciąż trzyma szpicrutę, która teraz w jednej chwili wyślizgnęła jej się z dr ących palców.

– Wierzę, e jest kilka rzeczy, które lubisz tak samo jak jazdę konną - zaczął

mówić z jadowitym sarkazmem.

Whitney nerwowo splatała i rozplatała palce.

– Nie wstydz się - ciągnął cichym, lecz groźnym głosem. - Jesteś piękną młodą damą o wszechstronnych upodobaniach... wszak sprawiło ci to satysfakcję, gdy upokorzyłaś mnie, ka ąc się przeprosić, czy nie?

Whitney skinęła głową, a potem skrzywiła się, widząc nagłą furię, jaką jej odpowiedź rozpałiła na jego twarzy. Pośpiesznie próbowała więc przecząco potrząsnąć głową, by ukryć wyznanie, które ju uczyniła.

– Nie, nie zaprzeczaj. Bardzo ci się to podobało. Myślę te , e mogłabyś przyznać, i poza jazdą konną i przeprosinami lubisz równie u ywać szpicruty. Mam rację?

Jak odpowiadać na takie pytania, myślała w popłochu i marząc, by umknąć, rzuciła okiem na Khana.

– Nie próbuj! - ostrzegł ją jedwabistie niebezpiecznym głosem.

Pozostała na miejscu. Nie spodziewała, e zdoła uciec; właściwie to wiedziała, e gdyby spróbowała ucieczki, rozwścieczyłaby Clayтона jeszcze bardziej. Poza tym, gdyby nie pozwoliła mu teraz dać upustu złości, bez wątpienia poszedłby na skargę do ojca. Uzbroiła się więc w męstwo konieczne do zniesienia reszty oskar eń.

– Chciałaś, byśmy mieli coś wspólnego, jeśli mamy być przyjaciółmi.

Chciałaś, byśmy znajdowali przyjemność w tych samych rzeczach, czy nie?

Nerwowo przełknęła ślinę i skinęła głową.

– Podnieś szpicrutę - polecił.

Zimny dreszcz strachu przebiegł Whitney po plecach, a jej puls przyśpieszył

gwałtownie. Przez całe życie nie spotkała się z tak kontrolowaną rozmyślną wściekłością. Pochyliła się i drzącymi palcami podniosła szpicrutę.

– Podaj mi ją - rozkazał.

Zdrętwiała, uświadomiwszy sobie, co zamierzał uczynić. Zatrwo ona zastanawiała się nad wyborem: kara cielesna wymierzona przez człowieka, którym gardziła, czy te psychiczna udręka, gdy powróci dawna wrogość ojca.

W istocie przeciwnik nie pozostawił jej adnego wyboru.

Nie chcąc dawać dręczycielowi satysfakcji oglądania, jak trzęsie się ze strachu, Whitney sięgnęła do dawnego dzieciennego zwyczaju podnoszenia głowy i zachowania wyniosłej obojętności. Hardo podeszła więc i wyciągnęła ku niemu szpicrutę niczym królowa nadająca poddanemu szlachectwo, a jej pełne pogardy zielone oczy zderzyły się z jego lodowatoszarymi.

– Skoro podobają ci się przeprosiny i u ywanie szpicruty, będziemy dzielić te upodobania, ale tym razem ja u yję szpicruty, a ty będziesz przepraszać -

oświadczył Clayton, dwornie wskazując na swoje kolano.

Wzrok Whitney mimowolnie przesunął się ku czarnej szpicrucie, którą trzymał w dłoni, a potem wrócił do jego oczu, ale nie raczyła odpowiedzieć.

Patrząc na niego z zimną nienawiścią, pochyliła się do owej upokarzającej pozycji. Twarde udo mężczyzny wciskało się w jej kipiący złością oładek, jakiś chrząszcz biegł przez źdźbła trawy obok jej nosa... W popłochu zastanawiała się, jaką ochronę zapewni jej kostium do konnej jazdy.

– Przeszanę, kiedy przeprosisz. Nie wcześniej - ostrzegł Clayton i czekał, a wyrzuci z siebie przeprosiny.

Jednak nie powiedziała ani słowa, a Claytona tak rozzłościło jej uparte milczenie i wyniosła obojętność, e naprawdę podniósł rękę. Zanim uświadomił

sobie, co robi, szpicruta świsnęła w powietrzu. Odrzucił ją w ostatniej chwili, nie wcześniej jednak, ni Whitney zeszywniała nagle w oczekiwaniu na cios, a z jej gardła wydobył się zduszony okrzyk. Oburzony na siebie i na dziewczynę, chwycił ją za ramiona i odwrócił tak, by usiadła.

Patrzyła na niego przez mgłę gniewnych łez, wściekła, e ujawniła tak kompromitujący strach na sekundę wcześniej, nim Clayton odrzucił szpicrutę.

– Nienawidzę cię! - wykrztusiła.

– Za co? - zapytał krótko.

Nie będąc w stanie udzielić natychmiast i odpowiednio jadowitej odpowiedzi, odwróciła od niego oczy i utkwiała spojrzenie w Niebezpiecznym Woja u. Ałtasowoczną skórę ogiera pokrywały teraz

du e plamy białej piany.

Poczucie winy zaczęło brać w Whitney górę nad obłudną furją. To prawdziwy cud, e koń się nie zranił; e jeździec był wystarczająco doświadczony, by się na nim utrzymać, i na tyle rozważny, by kontynuować jazdę, zamiast zawrócić konia do stajni. Podwójnym cudem zaś było to, e zarówno koń, jak i jeździec nie byli powa nie ranni. Łzy wstydu i ulgi napłynęły jej do oczu. Otarła je, ale Clayton zobaczył i zrozumiał ten gest.

– Spójrz na mnie! - powiedział znacznie łagodniejszym tonem.

– Nie! - odparła Whitney. - Jeśli to zrobię, wydrapię ci oczy, więc mnie powstrzymaj!

Mimo swojej brawury zrozumiała, e Clayton nie pozwoli jej odejść, dopóki go nie przeprosi, a niczego nie pragnęła bardziej ni od niego uciec.

– Nie zamierzałam uderzyć konia, lecz ciebie - oświadczyła obojętnym głosem. - Ale tak czy inaczej było to zarówno nieodpowiedzialne i niebezpieczne, jak i dziecinne.

– Dziękuję i za to - odpowiedział spokojnie.

Whitney zauważyła, e w głosie mężczyzny nie było ani triumfu, ani satysfakcji i spojrzała na niego z nieufnością. Ilekroć przeproszała ojca, słuchał, a potem wygłaszał kolejną tyradę o jej niewłaściwym zachowaniu, więc z jakiegoś powodu tego samego oczekiwała od znenawidzonego wroga.

– Dziękuję za przeprosiny - odezwał się ponownie, jak gdyby wyczuwał jej zmieszanie.

Wina, skrucha i przebaczenie stanowiły sekwencję zdarzeń, których nie było w doświadczeniach dzieciństwa Whitney. Poruszona osobliwością tej chwili, poszukała wzrokiem twarzy Clayтона, a potem odwróciła oczy. Wszak e jego zrozumienie i przebaczenie już dokonały tego, czego nie zdołały uczynić groźby i upokorzenia: łzy wstydu i alu popłynęły jej po policzkach gorącymi strumieniami, których nie zdołała ani ukryć, ani powstrzymać.

Próbowała się wyrwać i wstać, ale ramiona mężczyzny się zacisnęły, a ręka uniosła, by przytulić do piersi twarz Whitney. Zaczął głaskać ją po włosach, jakby uspokajał dziecko i nieoczekiwana czułość owego gestu sprawiła, e dziewczyna rozplakała się jeszcze bardziej. Szlochała, a łzy przemoczyły mu koszulę.

– Dlaczego mnie tak nienawidzisz, maleńka? - zapytał łagodnie Clayton.

Wytrącona z równowagi zarówno jego pieszczotą, jak i tonem, odpowiedziała przez łzy:

– Bo jest w tobie coś takiego, co sprawia, e zachowuję się niczym błędząca lunatyczka.

Ku wielkiemu zdumieniu Whitney, opanował śmiech, a potem podniósł jej twarz ku swojej. Jego szare oczy uśmiechały się teraz ciepło i nagle, zupełnie niewytłumaczalnie poczuła się tak, jak gdyby byli najlepszymi, najbliższymi przyjaciółmi, jakby wytworzyła się między nimi specjalna więź. To uczucie najpierw ją oszołomiło, a potem niemal zalało, zmiatając ze swej drogi wszystko inne.



– Naprawdę bardzo mi przykro,  
e sprowokowałam cię do jazdy na

Niebezpiecznym Woja u i e...

– Nic nie mów - przerwał jej miękko. - Ju zapomniałem.

Gdy powoli pochylił głowę, Whitney wiedziała, e zamierza ją pocałować, ale zamiast się odsunąć, nieśmiało uniosła twarz i spotkała go w pół drogi, jakby pragnąc dowodu, e jej wybaczył. Wargi Clayтона zaczęły pieścić jej usta długim, czułym i tkliwym pocałunkiem.

Nawet gdy jego usta zmysłowo przywarły do jej warg, wiedziała, e teraz Clayton pozwoliłby jej odejść, gdyby tego zapragnęła. Bezwiednie uniosła ręce, objęła go za szyję i wszystko się zmieniło.

Ręce Clayтона ściągnęły szal przytrzymujący jej włosy i zagłębiły się we wspaniałych lokach. Czule ujmując twarz Whitney w obie dłonie, spoglądał w jej wzruszone nefrytowe oczy.

– Mój Bo e, jesteś słodka - wyszeptał.

Serce jej podskoczyło, a potem zaczęło walić jak oszalałe, gdy powoli, rozmyślnie ponownie wbił się wargami w jej usta. Całował ją długo, wędrując językiem po jej ustach, a te dra niące pocałunki przyprawiały Whitney o zawrót głowy. Jednocześnie zaś przesuwał rękami po plecach i biodrach dziewczyny, unosząc ją i przyciskając do siebie.

Dreszcze szalonego podniecenia przebiegały przez jej ciało. Dr ąc gwałtownie, przylgnęła do Clayтона. Wszystko zawirowało wokół, gdy poło ył

ją na trawie obok siebie i otulił silnymi ramionami. Pochylił się nad nią, ale potrząsnęła głową w słabym proteście.

– Nie mo emy...

Wargi Clayтона znów opadły na jej usta, uciszając ów protest arliwym, namiętym pocałunkiem, a Whitney w gorączce pragnienia sama dotknęła językiem jego warg.

Westchnął i jeszcze ciaśniej przygniótł ją całym ciałem, delikatnie przesunął

dłoń w dół ku piersiom Whitney i zaczął rozpinąć cienką bluzkę, potem zaś zsunął halkę.

Dotyk silnych palców Clayтона przeniknął oszołomione namiętnością zmysły Whitney; przywołując ją do rzeczywistości. Gwałtownie potrząsnęła głową, próbując wyrwać się z jego rąk.

– Nie - rozkazał rozdygotanym szeptem, pogłębiając arliwy pocałunek i dra niąc językiem wargi dziewczyny, podczas gdy jego dłoń pieściła jej obna one piersi, muskając wra liwe sutki, dopóki nie uniosły się dumnie pod palcami.

I wtedy, bez słowa, przestał.

Całowana i pieszczona niemal do nieprzytomności Whitney dostrzegła, jak zamroczone spojrzenie Clayтона uniosło się znad jej kremowych piersi ku twarzy.

– Jeśli teraz nie przestaniemy, maleńka, będę zbyt pochłonięty dokończeniem tego, co zacząłem, by zawrócić z drogi - powiedział dziwnie napiętym głosem i pochylając głowę, czule pocałował obie gładkie półkule, zanim niechętnie z powrotem podciągnął jej halkę.

Leżąc teraz obok Whitney, wsparty na łokciu Clayton delikatnie muskał

palcem jej twarz. Podziwiał ywość i świeość dziewczyny; była ciepła, pełna namiętności, gotowa, by po nią sięgnąć, co uprzytomnił mu pulsujący ból w lędźwiach. Była tym wszystkim, czym wiedział, e będzie, a nawet czymś znacznie, znacznie więcej. Upartym, słodkim, arliwym, impertynenckim i dowcipnym... skarbem podniecających kontrastów. Jego skarbem!

Whitney wyciągnęła rękę i położyła ją na mocnej piersi Clayтона. Nakrył ją swoją dłonią i trzymał przyciśniętą do miejsca, gdzie spokojnie ju biło jego serce.

Słuchała dryfujących wokół nich odgłosów wczesnojesiennego dnia. Jakaś wiewiórka wskoczyła na drzewo z orzechem, by schować go na zimę, świerszcze wygrywały serenady w ochryplej harmonii, jeden z koni tupnął

kopytem. Whitney leżała, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zauważyła, jak nadzwyczajnie przystojnym męczyzną jest Clayton Westland.

Następne jego słowa sprowadziły unoszącą się pod niebem duszę dziewczyny na ziemię.

– Pora iść. Będziemy musieli znaleźć jakieś rozsądne wyjaśnienie. - Roześmiał

się na widok niezadowolenia na twarzy Whitney i wycisnął śmiały pocałunek na jej piersi. - Mała bezwstydnica -droczył się z nią, wstając.

– Oczywiście - odpowiedziała, wstając pośpiesznie, z twarzą zaczerwienioną ze wstydu, e nazwano ją... słusznie... bezwstydnica. Drżącymi dłońmi ponownie próbowała przyglądzić i uporządkować włosy. - Ju ... ju dawno powinniśmy iść.

Clayton wyciągnął rękę, ale Whitney odwróciła się na pięcie i szybko odeszła. Kiedy zaczęła dosiadać konia, chwycił ją w tali i ponownie przyciągnął

do siebie, tuląc w ramionach.

– Maleńka - zaśmiał się cicho -jeszcze nie raz będę cię trzymał znacznie dłużej i znacznie bliżej - powiedział, a potem dodał kojąco: - Obiecuję.

Whitney wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom! Najpierw nazwał ją małą bezwstydnica, a teraz łagodnie i czule zarazem obiecał dalsze poufałości dla zaspokojenia swych żądy! e te mogła

zapomnieć, jak okropnie był

niemoralny i zarozumiały! Odsunęła się i spojrzała na niego przez ramię.

– Tak sądzisz? - spytała z taką wzgardą, na jaką mogła się zdobyć w upokorzeniu i zmieszaniu.

– Tak sędzę - oświadczył z drapieżnym uśmiechem.

– Nie licz na to - odparła, odwracając twarz i sięgając po wodze Khana.

Clayton bez wysiłku podniósł Whitney na siodło i zuchwale oparł rękę na udzie dziewczyny.

– Gdzie jest ten piknik? - zapytała drącym głosem.

– Na małej łączce między domem Sevarina a moim - odrzekł, dosiadając Niebezpiecznego.

Whitney nade wszystko pragnęła pogalopować ju na Khanie, by osiągnąć mo liwie największą odległość między sobą a Claytonem. Chciała te ukryć, jak bardzo była dotknięta.

– Do zobaczenia zatem - powiedziała z udawaną wesołością i obróciła konia, przynaglając go do szybkiego galopu. Jechała z rozwianymi włosami, pozwalając, by wiatr chłodził jej rozpaloną twarz.

Mogłaby płakać ze wstydu. Nazwał ją „małą bezwstydnica”. I rzeczywiście była bezwstydnica! Pozwolić mu całować się w taki sposób i... o Bo e, w taki sposób się dotykać! I jeszcze na dodatek uważał, e wynagradza ją, obiecując trzymać w przyszłości znacznie bliżej i znacznie dłużej! Gdzie była jej duma, jej wycucie dobra i zła, by pozwolić mu na takie poufałości! Teraz czuła się jak idiotka, pamiętając, jak leżała tam, na łące, pragnąc go. A ten łotr dokładnie znał

jej myśli. Bez wątpienia był ekspertem w budzeniu niewieściego poądania.

W pewnej odległości przed sobą ujrzała uczestników pikniku. Ich pogodnie barwne stroje jaśniały na łagodnym stoku. Nawet z oddali Whitney mogła natychmiast wskazać sylwetkę Paula. Paul! Głośno jęknęła na myśl, jak by nią pogardzał, gdyby się dowiedział, co zaszło nad strumieniem. Byłaby zgubiona w oczach ukochanego. I w oczach wszystkich innych.

Whitney spojrzała za siebie i zobaczyła, e Clayton jest dziesięć długości za nią. Ogarnięta nagłą szaloną chęcią znalezienia się na pikniku mo liwie najszybciej, nie sprawiając wszak e wraenia, e ogarnęła ją panika, Whitney uniosła szpicrutę w geście wyzwania.

– Ścigamy się? - zawołała przez ramię.

– Jeśli sądzisz, e masz szansę! - Jej towarzysz roześmiał się, a potem krzyknął: - Daję ci forty dziesięciu długości. Ruszaj!

Przez chwilę zapragnęła odrzucić jego ofertę, ale uznała, e tam, gdzie w grę wchodzi Clayton Westland, nale y zaakceptować wszelkie środki pozwalające osiągnąć zwycięstwo. Pochylając się nad szyją Khana, uderzyła go piętą, a koń pognął do przodu. Jego krok się wydłużył i ziemia wręcz

spod niej uciekała.

Zbliżywszy się do miejsca pikniku, spojrzała przez ramię, aby zobaczyć, jaką przewagę uzyskała. Ze zdumieniem dostrzegła jednak, że Clayton odzyskał

dziewięć z dziesięciu wcześniej dzielących ich długości. Jeszcze przez kilka sekund Whitney sądziła, że wygra, ale właśnie w ostatniej chwili ogier pokonał

dzielący ich dystans i ukończył bieg o pierś przed Khanem.

Konie jeszcze ochoczo podskakiwały pod nimi, gdy przybiegł sługa, by wziąć wodze, a potem pomóc Whitney zsiąść. Poprawiła spódnicę, udając całkowitą obojętność wobec istnienia swego towarzysza, on jednak wychylił się z siodła i pogłaskał ją protekcyjnie po ramieniu.

– Wygrałem! - roześmiał się z tryumfem.

Chłopak, który pochylał się, sprawdzając prawą przednią nogę Khana, podniósł głowę i powiedział uprzejmie:

– Koń pani galopował z kamieniem w podkowie, sir. Whitney właśnie miała uchwycić się tego usprawiedliwienia, lecz przeszkodziło jej nadejście Paula.

– Gdzieście, u licha, byli?

– Mieliśmy trochę kłopotów z tym ogierem - wyjaśnił spokojnie Clayton, zsiadając ze swojego wierzchowca.

Paul przeniósł sceptyczne spojrzenie z posłusznego czarnego konia na pokrytą rumieńcem twarz Whitney.

– Niepokoiłem się o ciebie.

– Naprawdę? Nie było potrzeby - wymamrotała dziewczyna, przekonana, że na jej twarzy maluje się poczucie winy.

Paul posadził ją przy Emily i Michaelu Archibaldach na błękitnym pledzie, po czym sam usiadł obok. Elizabeth i Peter siedzieli naprzeciwko.

Clayton przyjął kieliszek wina podany mu przez sługę i nie śpiesząc się, poszedł w stronę pledu rozłożonego dokładnie naprzeciwko nich, gdzie usiadł

obok Margaret Merryton i innej pary. Whitney zobaczyła szeroki uśmiech swej nieprzyjaciółki, gdy zajął miejsce koło niej. Gdyby oczy Margaret nie były ciągle zmrużone w wyrazie złości, pomyślała Whitney, byłaby całkiem ładną dziewczyną. Ale te orzechowe oczy w jednej chwili stawały się pełne nienawiści.

– Jeśli się ścigaliście, to ty przegrałaś, Whitney - rzuciła.

– Ścigaliśmy się i panna Stone przegrała - szybko potwierdził Clayton, roześmianym wzrokiem prowokując Whitney, by zaprzeczyła.

– Po pierwsze, mój koń miał kamień w podkowie - odrzekła - po drugie zaś, gdybym dosiadała ogiera, zapewne wygrałabym ze znacznie większą przewagą.

– Gdyby dosiadała pani tego ogiera, młoda damo, wzywalibyśmy krewnych do pani ło a - ripostował Clayton ze śmiechem.

– Panie Westland - powiedziała zimno - utrzymałabym tego ogiera i zaprezentowałabym się na nim lepiej ni pan.

– Jeśli tak pani uwa a, dosiędę jednego z moich własnych koni, a pani będzie mogła zaprezentować swą jeździecką wprawę na ogierze, w ka dej chwili, kiedy zapragnie pani rewan u.

Sprowokowana drwiącym rozbawieniem widocznym w oczach mę czyzny, Whitney podjęła rzuconą jej rękawicę.

– Płaski bieg, adnych przeszkód - oświadczyła. - Ten ogier nic jeszcze nie wie o skakaniu.

– O ile pamiętam, dziś poradził sobie całkiem dobrze, zmiatając z drogi kilka parkanów - przypomniał jej sucho. - Ale będzie tak, jak pani sobie yczy.

Wybór trasy nale y do pani.

– Czy nie przyjmujesz wyzwania zbyt powa nego, byś zdołała mu sprostać? -

zapytał Paul, marszcząc z troską czoło.

Whitney najpierw rzuciła dumne spojrzenie swemu przeciwnikowi, a potem odpowiedziała:

– Z pewnością nie. Wygram bez trudu.

– Zamierzasz wło yć bryczesy i jechać okrakiem? A mo e pojedziesz boso i spróbujesz stanąć na końskim grzbiecie? - spytała złośliwie Margaret.

Nagle, jakby się umówiono, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, zagłuszając głos Margaret, ale Whitney usłyszała strzępy tego, co jej nieprzyjaciółka opowiadała Claytonowi i owej drugiej parze.

– ...przyniosła wstyd własnemu ojcu... zgorszyła całe towarzystwo...

Słujący zaczęli roznosić piknikowe koszyki z jedzeniem. Były tam kurczęta, szynka, ser oraz jabłka i gruszki. Whitney postanowiła nie przejmować się przykrością wyrządzoną jej przez Margaret i starała się znaleźć coś miłego w tym dniu, który miał być dla niej przyjemnością. Zaczęła słuchać łagodnych kpinek i artobliwych kwestii, jakie Emily wymieniała ze swoim mę em.

– Whitney i ja uczyniliśmy pewien zakład, kiedy byliśmy bardzo młode -

opowiadała Emily. - Pierwsza, która wyjdzie za mąż, miała zapłacić tej drugiej pięć funtów.

- To prawda! - roześmiała się jej przyjaciółka. - Całkiem zapomniałam!

- Ponieważ ja byłem mężem, który skłonił Emily do małżeństwa - odezwał

się Michael Archibald, zerkając na Whitney - to, jak przypuszczam, powinienem być zaszczycony spłatą tego honorowego długu.

- W rzeczy samej - odparła Whitney. - Mam tę nadzieję, że nie będzie to ostatni raz, gdy Emily pozwoli, aby pan za nią decydował, baronie.

- Ja również tak sądzę - odparł z taką ariiwością, że wybuchnęła śmiechem.

Paul przysunął się bliżej i Whitney spojrzała na niego, mając jeszcze w oczach iskierki śmiechu.

- Czy zamierzasz to pozwolić, abym to ja decydował za ciebie? - zapytał.

Było to tak bliska deklaracja, o której marzyła, że Whitney wprost nie mogła uwierzyć, czy dobrze go usłyszała.

- To zależy - odrzekła szeptem, nie mogąc oderwać wzroku od jego zniewalających niebieskich oczu.

Podmuch wiatru rzucił jej włosy na twarz i ramiona. Whitney bezwiednie sięgnęła za siebie po biało-  
oły szal, który powinien trzymać jej z tyłu.

- Szuka pani może tego? - wycedził Clayton, wyciągając ów przedmiot ze swojej kieszeni i podając go dziewczynie.

Paul zacisnął szczęki, gdy Whitney wyrwała szal z ręki Westlanda.

Wiedziała, że Clayton rozmyślnie sprawił, by wszyscy zastanawiali się nie tylko nad tym, w jaki sposób szal znalazł się w jego kieszeni, lecz również nad ich spóźnionym przybyciem na piknik, i ku swojej konsternacji poczuła, że się czerwieni. Myśl o wyrządzeniu mu krzywdy napęliła ją chorobliwym zachwytem. Rozkoszowałyby się, mogąc pociąć swego prześladowcę mieczem albo odstrzelić mu głowę z pistoletu. Chętnie zobaczyłaby go te zwisającego z jakiegoś drzewa.

Późnym popołudniem, gdy ostatni uczestnicy pikniku rozjechali się do domów, Paul polecił chłopakowi odprowadzić Khana, sam zaś odwiózł Whitney swym lśniącym powozem. Konie biegły rażno po suchej, pokrytej kurzem drodze. Paul trzymał lejce w posępnym milczeniu.

- Jesteś na mnie zły? - odważyła się zapytać nieśmiało.

- Tak, i dobrze wiesz, dlaczego.

Wiedziała, ale była rozdarta między strapieniem i szczęściem. A więc to może liwe, po prostu może liwe, że Clayton Westland dostarczył owego impulsu, jakiego potrzebował Paul, by bezzwłocznie się

zadeklarować. Przez cały dzień był zazdrosny! Zazdrosny jak kochanek!

Na podjeździe przed domem Whitney Paul ściągnął lejce, zatrzymał konie i odwrócił się ku niej.

– Nie pamiętam, czy ci mówiłem, jak ślicznie dziś wyglądasz - odezwał się miłszym tonem.

– Dziękuję - odrzekła Whitney z uczuciem niezwyklej przyjemności.

Paul spojrział na nią ciepło.

– Wpadnę po ciebie jutro o jedenastej przed południem, to porozmawiamy.

– O tym, jak ślicznie dziś wyglądałam? - droczyła się Whitney.

– Nie, o tym, dlaczego jestem zły.

– Wolałabym porozmawiać o tamtym pierwszym - odparła z westchnieniem.

– Jestem pewien - powiedział z uśmiechem, zeskakując z powozu i pomagając jej wyjść.

\*\* \*

Następnego dnia zjawił się punktualnie o jedenastej. Whitney przystanęła w drzwiach salonu, ledwie mogąc uwierzyć, że Paul naprawdę tu jest; że przyszedł

po nią, dokładnie tak, jak niegdyś o tym śniła. Wydawał się niewiarygodnie przystojny, gdy uśmiechnął się, słysząc jakąś uwagę lady Anne.

– Podoba mi się ten twój młodzieniec - szepnęła ciotka do wychodzącej Whitney.

– Jeszcze nie jest mój - równie szeptem odpowiedziała dziewczyna, ale myśli miała optymistyczne.

Niebo było jasnoblękitne, a lekki wietrzyk delikatnie unosił złociste włosy Paula, gdy w dobrze resorowanym powoziku przemierzali wiejskie drogi, rozmawiając, śmiejąc się i zatrzymując od czasu do czasu, aby podziwiać jakiś szczególnie przyjemny widok pagórkowatego terenu rozciągającego się po obu stronach drogi. Niektóre drzewa zamieniały już soczystą zieleń lata na jasną złocistość i oranżową wczesnej jesieni, i dla Whitney był to dzień niezmaconego szczęścia.

Paul był czarujący i zabawny. Traktował ją, jakby była zrobiona z kruchej porcelany, jakby nie była tą samą istotą, która niegdyś wpadała z jednej niemiłej przygody w następną, ocierając się o katastrofę. Whitney z niezwykłą ostrością pilnowała się, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby przypomnieć mu ową dawną nieznośną dziewczynę. Nawet teraz, po latach, niemal zdradzała z zakłopotania, gdy przypominała sobie, jak próbowała go pocałować i błagała, by na nią zaczekał.

Zjedli lekki obiad z matką Sevarina i choć początkowo Whitney bała się tego spotkania, okazało się bardzo przyjemne.

Później powędrowali przez trawnik a do kępy drzew, gdzie, na prośbę młodzieńca, Whitney usiadła na huśtawce zwieszającej się z mocnej dębowej gałęzi.

– Dlaczego oboje, ty i Westland, przyjechaliście tak późno na wczorajszy piknik? - zapytał bez wstępów.

Chciała mu wyjaśnić, co zrobiła, ale potem wzruszyła ramionami, starając się sprawiać wrażenie niefrasobliwej i bez troskiej, choć wcale tak się nie czuła.

– Wzięliśmy ogiera i sprawił nam trochę kłopotów.

– Whitney, trudno mi w to uwierzyć. Jeździłem już z Westlandem; on nie jest nowicjuszem i umie postępować z końmi. A tamten wczoraj wydawał się idealnie uległy i dobrze ułożony.

– Kto wydawał się uległy? - droczyła się Whitney, desperacko próbując wprowadzić Paula w lepszy nastrój. - Ogier? Czy pan Westland?

– Mówiłem o zachowaniu ogiera, ale skoro o tym wspomniałaś, chętnie usłyszę o zachowaniu Westlanda.

– Paul, na miły Bóg! - wykrzyknęła niemal błagalnym tonem. - Doskonale wiesz, że niektóre wierzchowce są kompletnie nieprzewidywalne i mogą sprawić kłopoty nawet najbardziej doświadczonym jeźdźcom.

– Moje więc zechcesz mi wyjaśnić dlaczego, skoro ten ogier jest tak trudny do prowadzenia, zgodziłaś się dosiadać go w wyścigu z Westlandem?

– Ach, o to ci chodzi... Cóż, drwił ze mnie tak, że właściwie nie mogłam odmówić - odrzekła, dostrzegając przez opuszczone rzęsy ponury wyraz niepewności na twarzy ukochanego. Pomyślała, że w tych okolicznościach byłoby mądrze... a może nawet należałoby... zademonstrować nieco słusznego



oburzenia. - Paul, i tak nie mogę znieść tego człowieka, a... takie wypytywanie nie wydaje się miłe z twojej strony. To niesprawiedliwe i niestosowne.

Nieoczekiwanie roześmiał się szeroko.

- Nie sądziłem, e doczekam dnia, gdy ty będziesz mówić o właściwym zachowaniu! - Bez ostrzeżenia ściągnął ją z huśtawki i chwycił w ramiona. -

Bo e, jaka jesteś piękna! - wyszeptał.

Whitney wstrzymała oddech, powtarzając w myślach: „Pocałuje mnie!

Pocałuje mnie!". Była tak zdenerwowana, e niemal zaczęła nerwowo chichotać, gdy głowa Paula powoli pochyliła się ku jej twarzy, ale na pierwsze musnięcie jego ciepłych, pełnych słodczych warg, wszelkie ślady rozbawienia i śmiechu zniknęły.

Starła się trzymać ręce przy sobie, ale kierowały się własną wolą i uniosły ku jego piersi. Powstrzymywała się najusilniej, jak mogła, bojąc się poddać temu pocałunkowi ze strachu, e Paul mógłby poczuć się obrażony głębią jej uczucia.

Jednak on nie pozwolił Whitney pozostać bierną. Zaciśnął ramiona, trzymając ją uwięzioną przy sobie i całując wprawnie, natarczywie przesuwając

wargami po jej ustach, niekiedy igrając z nimi łagodnie, a potem namiętnie i wymagające. Gdy wreszcie pozwolił jej się odsunąć, czuła, e słabną jej nogi. Z

bijącym sercem uświadomiła sobie, e właśnie całował ją ktoś, kto wiedział o całowaniu bardzo wiele i kto niewątpliwie zgromadził liczne doświadczenia z tej dziedziny.

Paul obserwował ją z wyrazem zadowolenia i pewności siebie.

- Robisz to doskonale - skomplementowała go, mając nadzieję, e zabrzmie to tak, jakby była uprawniona do wydawania sądu.

- Dziękuję - odrzekł z lekką irytacją. - Czy ten wniosek opiera się na twoim szerokim doświadczeniu zdobytym we Francji?

Whitney usiadła na huśtawce, uśmiechnęła się i nie powiedziała ani słowa.

Odpychając się mocno czubkiem pantofelki, odchyliła huśtawkę do tyłu. Silne ręce Paula w mgnieniu oka chwyciły ją w pasie, bezceremonialnie ściągnęły z rozkołysanego krzeselka i objęły.

- Ty straszny, irytujący, oburzający dzieciaku! - zawołał. - Jeśli nie będę się strzegł, oszaleję na twoim punkcie jeszcze bardziej niż te paryskie fireyki.

- Oni wcale nie byli fireykami - protestowała słabo Whitney, gdy zamykał jej usta pocałunkiem.

– To dobrze - mruknął ochryple - bo nie chciałbym się znaleźć w tak marnym towarzystwie.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptwała.

– To, e ju oszalałem - odparł, zaciskając ramiona, a jego usta zaczęły po ądliwie wędrować po jej wargach.

Dwie godziny później rozmarzona Whitney wróciła do domu i na pytanie o lady Annę usłyszała od Sewella, e jej ciocia, ojciec i pan Westland są razem w gabinecie pana Stone'a. Dziewczyna obrzuciła hol uwa nym spojrzeniem, by się upewnić, e nie została dostrze ona, po czym schodami w górę pośpieszyła do swego pokoju.

Nic, absolutnie nic nie powinno zakłócić jej szczęścia, a widok Claytona Westlanda był jedyną rzeczą, która mogłaby to sprawić. Z westchnieniem ulgi zamknęła za sobą drzwi i padła na łó ko, tuląc do serca wspomnienia tego popołudnia.

W oczach lady Annę lśniły łzy, gdy w gabinecie Martina składała głęboki dworski ukłon przed księciem Claymore'em, który odwrócił się i długimi, zdecydowanymi krokami wyszedł z pokoju, a ona wciąż tam stała z sercem boleśnie ściśniętym ze wzruszenia.

Nogi krzesła zaszurały o podłogę, gdy Martin Stone wstał z za swego biurka.

– Ja nie mówiłbym ci jeszcze o tym wszystkim, lecz jego wysokość zezwolił, abyś wiedziała o tych ustaleniach. Mam nadzieję, i nie muszę ci przypominać, e przyrzekłaś zachować milczenie o wszystkim, o czym rozmawialiśmy?

Annę wpatrywała się w niego z oczyma pełnymi łez i ju unosiła rękę w bezradnym, błagalnym geście, ale pozwoliła jej opaść z powrotem.

Wyraźnie zachęcony jej milczeniem, szwagier lekko złagodził ton.

– Przyznam,

e nie byłem bardzo zadowolony, gdy zobaczyłem, e

towarzyszysz Whitney, ale skoro tu jesteś, mogłabyś stać się wielką pomocą.

Chcę, byś wyra ała się o księciu z aprobatą wobec Whitney. Moja córka szanuje twoje zdanie i im szybciej poczuje sympatię do niego, tym lepiej dla nas wszystkich.

Lady Annę w końcu odzyskała głos.

– Poczuj sympatię do niego?! - powtórzyła jak echo. - Whitney nienawidzi powietrza, którym ten człowiek oddycha!

- Bzdury! Ledwie go zna.
- Zna go wystarczająco dobrze, by nim gardzić. Wiem to z jej własnych ust.
- Zatem twoim zadaniem będzie zmienić jej opinię.
- Czy ty oślepieś, Martinie? Whitney jest zakochana w Paulu Sevarinie.
- Paul Sevarin ma trudności z utrzymaniem własnego domu -parsknął Martin. -

Mógłby jej ofiarować jedynie cię ką harówkę.

- Niemniej decyzja ciągle jeszcze nale y do Whitney.
- Zawracanie głowy! Decyzja nale y do mnie. I ju ją podjąłem. Lady Gilbert otworzyła usta, by zaprotestować, ale Martin brutalnie uciął wszelką dyskusję.
- Pozwól, e ci coś wyjaśnię, madame. Podpisałem umowę sporządzoną przez prawników księcia i przyjąłem od niego sto tysięcy funtów jako gwarancję jego intencji. Spłaciłem ju wierzycieli i wydałem więcej ni połowę tych pieniędzy. Więcej ni połowę - podkreślił z emfazą. - Jeśli Whitney odmówi honorowania owej umowy, nie zdołam zwrócić tej sumy. W takim wypadku Claymore będzie mógł, i z pewnością to uczyni, oskar yć mnie o defraudację, kradzie i Bóg wie co jeszcze. Jeśli jednak to cię nie obchodzi, pozwól, e wyło ę rzecz inaczej. Czy, twoim zdaniem, Whitney mo e być szczęśliwa, wychodząc za Paula, gdy wszyscy w okolicy będą chichotać i rozprawiać o jej ojcu gnijącym w lochu? - Wygłosiwszy tę tyradę, Martin Stone podszedł do drzwi. - Będę oczekiwać twojego współdziałania w tej sprawie. Dla dobra Whitney, jeśli nie przez wzgląd na mnie.

## Rozdział 13

Wiadomość, e następnego dnia Clayton Westland będzie u nich na kolacji, Whitney przyjęła z podobnym entuzjazmem, jaki odczuwałaby dla publicznej chłosty. Skoro jednak ojciec lubił tego człowieka, była gotowa znosić Westlanda przez wzgląd na niego.

Kolacja odbyła się o ósmej. Ojciec siedział na jednym końcu długiego, okrytego adamaszkowym obrusem stołu, lady Annę na drugim, tak więc Whitney znalazła się naprzeciwko swego prześladowcy. Wykorzystując cię ki srebrny kandelabr stojący pośrodku stołu jako barierę między sobą a niechcianym gościem, zachowywała chłodne, oficjalne milczenie. Clayton kilkakrotnie w czasie owej kolacji czynił uwagi, którymi, wiedziała, rozmyślnie zamierzał wciągnąć ją w rozmowę, lecz uparcie go ignorowała.

Zaskakujące było to, e pozostała trójka całkiem dobrze radziła sobie bez niej i z biegiem wieczoru konwersacja się o ywiła.

Natychmiast po deserze Whitney wstała, tłumacząc się nagłym atakiem migreny. Wydawało jej się, e widzi skrzywienie ust Clayтона, ale kiedy, zmru ywszy oczy, przyjrzała się jego twarzy, spoglądał na nią jedynie z uprzejmą troską.

– Whitney ma końskie zdrowie - upewniał gościa jej ojciec, gdy wyszła do swego pokoju.

\* \* \*

W czasie następnych dwóch tygodni Paul przyjeżdżał po Whitneyka każdego dnia. Jej życie stało się snem, który zakłócało jedynie częste towarzystwo Clayтона podczas kolacji. Jednak dla ojca znosiła je bez narzekania. Bez względu na to, co zniechęcony sąsiad mówił lub robił, była niewzruszenie chłodna, uprzejma i sztywna. Pełen rezerwy chłód dziewczyny sprawiał

przyjemność jej ojcu (który mylił go z wytworną rezerwą), irytował Clayтона (który najwyraźniej nie mylił go z niczym) i, czego Whitney wcale nie mogła zrozumieć, wydawał się martwić jej ciocię.

W istocie Whitney uważała, że lady Annę zachowywała się ostatnio nader osobliwie. Przez niekończące się godziny pisała listy do kądziej europejskiej stolicy, w której, jak sądziła, mógł przebywać wuj Edward, a jej nastroje nieustannie przechodziły od nerwowego ożywienia do niezwyklej powagi.

Dziewczyna doszła do przekonania, że powodem dziwnego zachowania ciotki była rozłąka z mężem.

– Wiem, jak bardzo musi ci brakować wujka Edwarda - powiedziała pewnego wieczoru dwa tygodnie później, gdy pierwszy raz mieli zjeść kolację z Claytonem w jego domu.

Lady Annę zdawała się tego nie słyszeć, skupiona na wyborze sukni, którą Whitney powinna włożyć. Ostatecznie wybrała tę z pięknego brzoskwiniowego krepleczynu, obszytą wąską falbanką przy dekolcie i szerszą u dołu spódnicy.

– Ja te strasznie tęskniłam za Paulem przez cały czas pobytu we Francji, więc wiem, jak ty musisz się czuć - ciągnęła dalej Whitney głosem stłumionym przez brzoskwiniową suknię, którą Clarissa właśnie wciągała jej przez głowę.

– Dziecinne romanse - odrzekła ciocia - zawsze wydają się tak prawdziwe i trwałe, kiedy jesteśmy z daleka od obiektu naszych uczuć. Jednak po powrocie dostrzegamy zazwyczaj,

że nasze marzenia i wspomnienia

zdecydowanie przerosły rzeczywistość.

Whitney szarpnęła się gwałtownie, nie myśląc o biednej Clarissie, która pracowicie przesuwiała szczotką po jej długich włosach.

– Nie sądzisz chyba, ciociu, że Paul to dziecinny romans. Cóż, był nim, oczywiście, ale już nie jest. Zamierzamy się pobrać, dokładnie tak jak zawsze o tym marzyłam. I to bardzo szybko.

– Czy Paul zaproponował ci małżeństwo?

Kiedy siostrzenica potrząsnęła przecząco głową i zamierzała coś odpowiedzieć, Annę wzięła oddech i nie dopuściła jej do głosu.

– Chcę powiedzieć, e gdyby zamierzał ci się oświadczyć, to do dziś miał ju z pewnością wystarczająco du o czasu, by to zrobić.

– Jestem pewna, e czeka tylko na odpowiedni moment, eby się oświadczyć.

Poza tym bardzo długo nie było mnie w domu. Jestem tu zaledwie od kilku tygodni.

– Znaie się od lat, kochanie - delikatnie zauwa yła lady Annę. - Od czasu gdy wróciłyśmy, widzę tu mał eństwa aran owane między całkiem obcymi osobami. Mo e pan Sevarin jedynie bawi się nadskakiwaniem ślicznej młodej kobiecie, za którą wszyscy szaleją. Jak wiesz, wielu mę czyn tak robi.

Whitney uśmiechnęła się i wycisnęła całusa na policzku cioci.

– Za bardzo niepokoisz się o moje szczęście, ciociu Annę. Paul ju wkrótce się oświadczy, zobaczysz.

Kiedy jednak ich otwarty powóz zdą ał pod cienistymi dębami ku domowi Claytona, optymizm dziewczyny zaczął słabnąć. W roztargnieniu nawijała na palec długie pasmo włosów, które łagodnymi falami spływały jej na ramiona i do połowy pleców, kręcąc się na końcach. Czy to mo liwe, by Paul tylko się bawił towarzystwem najnowszej okolicznej piękności, myślała. Wiedziała, e pozbawiła owego tytułu Elizabeth Ashton, chocia nie czerpała z tego faktu takiej satysfakcji, jakiej się spodziewała. Zaproszenia na karty i wieczorne przyjęcia przychodziły z pochlebającą regularnością i ilekroć je przyjmowała, Paul albo jej towarzyszył, albo spędzał u jej boku większą część wieczoru. W

istocie jedyną osobą w sąsiedztwie, która dorównywała Whitney popularnością, był Clayton Westland. Widziała go wszędzie, gdzie się znalazła.

Whitney odsunęła na bok myśl o znenawidzonym sąsiedzie. Dlaczego Paul dotąd się nie oświadczył? - myślała. I dlaczego w ogóle nie mówił o miłości, jeśli ju nie o mał eństwie? Wciąż jeszcze poszukiwała odpowiedzi na te kłopotliwe pytania, kiedy dojechali do domu Claytona.

Frontowe drzwi otworzył im sztywno wyprostowany lokaj, mierząc wzrokiem wszystkich troje od stóp do głów.

– Dobry wieczór - odezwał się z godnością - mój pan oczekuje państwa.

Whitney była początkowo zdumiona, a potem niemal rozbawiona jego wyniosłym zachowaniem, które byłoby dalece bardziej stosowne, gdyby ów człowiek był lokajem wielkiej osobistości i otwierał drzwi wspaniałego zamku.

Gdy ciocia Annę i ojciec oddawali słu ącemu okrycia, z holu do niewielkiego przedpokoju wkroczył Clayton. Podeszedł prosto do Whitney.

– Mogę? - zapytał uprzejmie, stając za jej plecami i opierając długie palce na brzoskwiniowej atlasowej pelerynie okrywającej jej ramiona.

– Dziękuję - odpowiedziała grzecznie.

Zsuwając obszerny kaptur i odpinając atlasowy guzik, który trzymał go pod szyją, pozbyła się okrycia tak szybko, jak było to mo liwe. Dotyk rąk tego mę czyzny przypominał jej to, jak Clayton obejmował ją i pieścił w dniu pikniku; i to, e przyrzekał obejmować ją silniej i pieścić dłu ej, jakby obiecywał dziecku cukierka. Zarozumiały impertynent!

Ojciec zatrzymał ciocię, by podziwiać jakieś rzeźbione w kości słoniowej cacka zdobiące stół w holu, podczas gdy Clayton wprowadził Whitney do średniej wielkości pokoju najwyraźniej słu ącego jako połączenie salonu z gabinetem.

W du ym kominku wesoło płonął ogień, przeganiając wieczorny chłód i dodając miłego blasku do światła świec w wiszących nad nim kinkietach. Pokój był nie nadmiernie, lecz dość wytwornie umeblowany, by odpowiadać męskim upodobaniom. Jedną ścianę zajmował długi, bogato rzeźbiony dębowy bufet, na którym stały dwa wspaniałe, masywne srebrne kandelabry, po jednym na ka -

dym końcu. Błat wyło ony był marmurowymi prostokątami, przedzielonymi kunsztownie rzeźbionym drewnem. Na środku stał ogromny, cenny serwis do herbaty, niepodobny do adnego z tych, jakie Whitney kiedykolwiek widziała.

Był tak wielki, e Sewell, ich lokaj, nie zdołałby go udźwignąć, nie mówiąc ju o wnoszeniu tam z godnością. Whitney uśmiechnęła się lekko, wyobra ając sobie, jak nienaganny Sewell chwiejnie wchodzi do pokoju, uginając się pod cięż arem takiej zastawy.

– Ośmielam się mieć nadzieję, e ten uśmiech oznacza złagodzenie pani zdania o mnie? - leniwie przeciągając słowa, zapytał Clayton.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie mam o panu adnego zdania - skłamała.

– Ma pani o mnie bardzo wyrobioną opinię, panno Stone - zauwa ył.

Posadził ją w wygodnym fotelu obitym miękką wiśniową skórą i zamiast usiąść na drugim, stojącym naprzeciwko, miał niesłychany tupet ulokować się na bocznym oparciu jej fotela i najzwyczajniej wyciągnął prawe ramię na tylnym.

– Jeśli brakuje tu wygodnego krzesła, chętnie postoję - odezwała się Whitney chłodno, wstając.

Ręce Clayтона chwyciły ją za ramiona i wcisnęły z powrotem na miejsce, zaś on sam nagle wstał.

– Panno Stone - powiedział, wpatrując się w jej gniewnie uniesioną twarz - ma pani język mii.

– Dziękuję - odparła spokojnie Whitney - a pan ma maniery barbarzyńcy.

Z niedającego się wytłumaczyć powodu odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął

śmiechem. Zaśmiewając się, wyciągnął rękę i tkliwie potargał lśniące włosy Whitney, co sprawiło, że zerwała się na równe nogi, niezdecydowana, czy go spoliczkować, czy szybko kopnąć w kolano. Ojciec i ciotka zastali ich wciąż stojących twarzą w twarz, przy czym oblicze Claytona wyrażało zuchwały podziw, podczas gdy dziewczyna patrzyła na niego w lodowatym milczeniu.

– Cóż, widzę, że odbywacie jakąś diabelnie przyjemną pogawędkę - zauważył

jowialnie Martin Stone, co sprawiło, że Clayton się skrzywił, a dziewczyna niemal nie wybuchnęła śmiechem.

Kolacja była ucztą, która przyniosłaby zaszczyt królewskiemu kucharzowi.

Whitney rozkoszowała się wybornym homarem, czując się ogromnie skrepowana wskazanym jej miejscem na drugim końcu stołu, naprzeciwko Westlanda, jak gdyby była panią jego domu. Clayton odgrywał rolę gospodarza wieczoru z naturalną, swobodną elegancją, którą Whitney niechętnie podziwiała i nawet lady Annę całkiem się rozchmurzyła, wdając się z nim w ożywioną dyskusję polityczną.

W czasie piątego dania Whitney przerwała swoje długotrwałe dobrowolne milczenie. Clayton podśmiewał się z niej i prowokował, a w końcu włączyła się do rozmowy, aby opowiedzieć się za kształceniem kobiet w taki sam sposób, w jaki kształcą się mężczyźni.

– Jaki pożytek przyniesie geometria kobiecie, która będzie spędzać czas na haftowaniu chusteczek dla swego męża? - pokpiwał. Zarzuciła mu, że myśli jak własny dziadek, on zaś ze śmiechem odwzajemnił się, nazywając ją sawantką.

– Przeklętą sawantką - rozwinęła to miano z rozbawionym uśmiechem. - Oto, jak dementni tacy jak pan, którzy hołdują staroświeckim ideom, nazywają kobiety posiadające w swym słowniku więcej niż trzy akceptowane przez nich zdania.

– A jakie to zdania?

– Te zdania brzmią: „tak, mój panie”, „nie, mój panie” i „jak sobie uczynisz, mój panie” - odpowiedziała i unosząc dumnie podbródek, oświadczyła: -

Wydaje mi się to bardzo smutne, że większa część przedstawicielek mojej płci od niemowlęctwa uczona jest odpowiadać dokładnie tak jak tępe słuchające.

– Te tak sądzę - przyznał spokojnie Clayton i zanim Whitney otrząsnęła się ze zdumienia, dodał: - Jednak w mocy pozostaje fakt, i bez względu na to, jak dobrze wykształcona jest kobieta, pewnego dnia będzie musiała poddać się władzy swego pana i władcy.

– Nie sądzę - odparła Whitney, ignorując udręczone, powstrzymujące ją spojrzenia ojca. - I co więcej, ja sama nigdy, przenigdy nie nazwę adnego męża czyżny swoim panem i władcą.

– Naprawdę? - zadrwił jej adwersarz.

Ju zamierzała odpowiedzieć, gdy nagle Martin rozpoczął monolog o zaletach meliorowania gospodarstw rolnych, co zaskoczyło Whitney i wyraźnie stropiło gospodarza.

Podczas deseru Clayton znów zwrócił się do niej.

– Zastanawiałem się, czy jest jakiś szczególna gra, w którą chętnie zagrałaby pani po kolacji. - Jego szare oczy spoczęły na niej w milczącym, artobliwym porozumieniu, gdy dodał znacząco: -...Inna ni owe małe gierki, które pani i ja uprawialiśmy ju razem.

– Tak - odrzekła Whitney, zuchwale odpierając jego spojrzenie. - Strzałki.

Cień uśmiechu przebiegł po twarzy mę czynny.

– Gdybym miał tu jakieś strzałki, których nie mam, nie chciałbym być w pani zasięgu, panno Stone.

– Jak na zwykłą kobietę, doskonale trafiam, panie Westland. -Właśnie dlatego wolałbym nie znaleźć się w zasięgu pani strzału - odparł z sarkazmem, po czym śmiejąc się ju otwarcie, podniósł ku niej kieliszek w geście uznania.

Whitney przyjęła to uznanie dla ich słownej szermierki z przesadnym skinieniem łaskawości, a potem zaszczyciła go lekkim uśmieszkiem.

Clayton obserwował ją, nie pragnąc niczego innego jak tylko wyrzucić dwoje pozostałych gości za drzwi, chwycić Whitney w ramiona i scałowywać ów figlarny uśmiech z jej ust, a przylgnie doń, drąc z po ądania. Odchylił się do tyłu na krześle, obracając w palcach kieliszek z winem. Zauwa ył, e dziś wieczorem zburzył wreszcie mur chłodnej obojętności tej dziewczyny. Jednak kwestia, dlaczego Whitney ukryła się za owym murem w dniu pikniku, a potem a do tej chwili pozostawała wyniosła i pełna rezerwy, wciąż pozostawała pytaniem, na które pewnego dnia za ąda odpowiedzi. Strzałki... pomyślał, śmiejąc się w duchu. Powinien skrócić jej ten śliczny kark.

Po kolacji słu ący wyprowadził Martina i lady Annę z jadalni, ale gdy Whitney wstała, by podą yć za nimi, Clayton poło ył dłoń na jej ramieniu.

– Strzałki! - zachichotał. - Cóż za krwio ercza istota! Whitney, która ju zamierzała uśmiechnąć się do niego, poczerwieniała.

– Pański sposób odnoszenia się do ludzi musi przysparzać panu niechęci u wszystkich znajomych! - wybuchnęła. - W czasie naszej krótkiej znajomości najpierw nazwał mnie pan bezwstydnicą, a teraz krwio erczą istotą. Mo e pan o mnie myśleć co chce, byłabym jednak wdzięczna, gdyby w przyszłości zachował pan własne opinie dla siebie! - Zawstydzona i pełna winy, gdy uznała, e zasługuje na obydwa epitety, próbowała uwolnić ramię, ale ręka Clayтона zacisnęła się jeszcze mocniej.

– O czym ty, u licha, mówisz? Chyba nie myślisz, e zamierzałem cię obrazić którymś z tych określeń? - Zobaczył rumieniec, gdy Whitney próbowała ukryć zranioną dumę, odwracając twarz. - Mój Bo e, ty naprawdę tak myślisz! - powiedział miękko, po czym kładąc rękę na jej policzku, zmusił

dziewczynę, by na niego spojrzała. - Wybacz mi, maleńka. Zbyt długo obracałem się w kręgach, gdzie



do dobrego tonu nale y zachowywać się zuchwale i gdzie kobiety są równie otwarte jak mę czyźni, z którymi flirtują.

Chocia Whitney nigdy nie widziała tak swobodnych relacji w swoim kręgu towarzyskim, wiedziała, e tamte kobiety były szokująco szczere i

demonstrowały niedopuszczalny brak zasad, otwarcie flirtując z mę czyźnami, którzy się im spodobali, a nawet biorąc sobie kochanków. Nagle poczuła się głupia i naiwna.

– Nie chodzi jedynie o określenia - zaprotestowała obronnym tonem. - To tak e kwestia dnia, w którym odbywał się piknik, i sposobu, w jaki... - Głos jej zadr ał, gdy sobie przypomniała,

e była chętną uczestniczką

płomiennych pocałunków, jakie wymieniali. - Zawrę z tobą umowę -

zapropnowała po chwili. - Ty zapomnisz o wszystkim, co zrobiłam, a ja zapomnę o twoich postępkach i zaczniemy ponownie. Zakładając oczywiście, e dasz mi solenne słowo, i nie będziesz próbował powtórzyć tego, co zrobiłeś nad strumieniem.

Zmarszczył brwi w wyrazie zakłopotania.

– Jeśli mówisz o szpicrucie, to z pewnością nie myślisz...

– Nie chodzi o to. Tylko o to drugie.

– O co? Masz na myśli to, e cię pocałowałem?

Kiedy Whitney skinęła głową, wyglądał na tak zdumionego, e wybuchnęła śmiechem.

– Nie powiesz mi chyba, e jestem pierwszą kobietą, która nie chce, ebyś ją całował?

Wzruszył ramionami, pomijając to pytanie.

– Przyznaję, e jestem trochę zepsuty przez kobiety, znajdujące przyjemność w moich... zalotach. Ty zaś - dodał, pozbawiając ją chwilowego poczucia triumfu - zbyt długo byłaś otoczona zamroczonymi głupcami, z których ka dy całował rąbek twej sukni, błagając o zgodę, by być... twoim panem i władcą.

– Powiedziałaś ju , e nigdy nie nazwę adnego mę czyźny moim panem.

Kiedy wyjdę za mą , będę dobrą i sumienną oną, ale pełnoprawną partnerką, nie zaś uległą słu ącą. - Głos Whitney pełen był śmiałego rozbawienia.

Stając w drzwiach salonu, Clayton rzucił jej spojrzenie będące osobliwym połączeniem artobliwego sceptycyzmu i absolutnej pewności.

– Dobrą i sumienną oną? Nie, małeńka, obawiam się e nie.

Przeniknięta niepojętym uczuciem nagłej trwogi, odwróciła wzrok. Clayton powiedział to tak, jakby był przekonany, e ma nad nią władzę. Ju od tamtej pierwszej chwili, gdy zobaczyła, jak obserwował ją nad strumieniem; od pierwszych słów, który wtedy do niej powiedział, miała to samo szczególne uczucie. Być mo e właśnie dlatego zawsze uważała, e nale y go unikać lub pobić lepszą taktyką.

Drgnęła, uświadomiwszy sobie, e coś do niej mówił.

– Pytałem, czy chciałabyś zagrać w wista, a mo e wolisz coś innego? Innego ni strzałki - za artował.

– Chyba moglibyśmy rozegrać partię wista - zgodziła się raczej z uprzejmości ni z entuzjazmem. Jej spojrzenie padło na szachy ustawione przed kominkiem i podeszła bli ej, aby im się przyjrzeć. - Jakie piękne! -

westchnęła.

Połowa figur odlana była z połyskliwego złota, połowa zaś ze srebra, a ka da figura miała wielkość niemal jej dłoni. Kiedy sięgnęła po cię kiego króla i uniosła go do światła, wstrzymała oddech. Oto bowiem trzymała w ręce figurę króla Henryka II o twarzy tak prawdziwej i ywej, e mogła jedynie zachwycać się geniuszem rzemieślnika, który ją wyrzeźbił. Królową była ona Henryka, Eleonora Akwitańska. Z uśmiechem odstawiała ją i sięgnęła po gońca.

– Wiedziała, e będzie to Becket. - Uśmiechnęła się do Claytona przez ramię.

- Biedny król Henryk, nawet na planszy szachowej wciąż prześladowuje go arcybiskup Canterbury - powiedziała, delikatnie i z szacunkiem odstawiając figurę na miejsce.

– Grasz w szachy? - zapytał ze zdziwieniem i powątpiewaniem w głosie Clayton.

W pytaniu było tyle niedowierzania, e Whitney natychmiast postanowiła skusić pana domu do rozegrania partii szachów.

– - Obawiam się, e niezbyt dobrze - odpowiedziała, spuszczać oczy, by ukryć figlarny uśmiech. Tylko tak dobrze, e wuj Edward gorzko ałował

dnia, kiedy postanowił ją nauczyć. Tylko tak dobrze, e zapraszał swoich najzdolniejszych przeciwników z konsulatu, by przychodzili na partyjkę i próbowali odebrać Whitney zwycięstwo. - Często grywasz? - rzuciła niewinnie.

Clayton ustawiał dwa bordowe fotele po obydwu stronach stolika szachowego.

– Bardzo nieregularnie.

– Dobrze - odrzekła z szerokim uśmiechem, siadając do gry. -Zatem nie potrwa to zbyt długo.

– Zamierzasz mnie pokonać, madame? - zapytał Clayton, cedząc słowa i butnie podnosząc jedną

brew.

– Oczywiście! - zawołała.

Pewna, że zdoła wyprowadzić go w pole, dokonywała kolejnych posunięć zręcznie, lecz ostro nie, nie lekceważyła umiejętności przeciwnika. On zaś początkowo był zuchwały, zdecydowany i szybki, ale po trzech kwadransach gra znacznie zwolniła tempo.

– Zdaje się, że zamierzasz spełnić swoją groźbę. - Zaśmiał się, patrząc na dziewczynę ze szczerym podziwem, gdy zabierała jego wieżę.

– Wcale nie tak łatwo, jak na to liczyłam - przyznała się Whitney - i rozpoznałam twoją taktykę trzech posunięć, zanim ty poznałeś moją. Ju samo to powinno cię kosztować tę partię.

– Przepraszam, że cię rozczarowałem - pokpiwał.

– Jesteś zachwycony, że mnie „rozczerowałeś” i dobrze o tym wiesz! -

Roześmiała się głośno.

Właśnie sięgała po jego gońca, gdy pojawił się ojciec i oświadczył, że ponieważ z powodu niedyspozycji oławkowej musi już wracać do domu, byłby wdzięczny, gdyby pan Westland odwiózł Whitney, kiedy skończą rozpoczętą partię. Po tych słowach chwycił rękę szwagierki i nie sprawiając wrażenia chorego, szybko ruszył ku drzwiom, ciągnąc lady Annę za sobą.

Dziewczyna zerwała się z miejsca.

– Możemy skończyć kiedy indziej - zaproponowała, kryjąc się, i nie będzie mogła kontynuować gry.

– Nonsens! - rzucił gwałtownie Martin Stone, spiesznie wycisnął niezdarny pocałunek na czole córki i zmusił ją, by ponownie usiadła w fotelu. - Nic nie stoi na przeszkodzie, abyście dalej grali. W tym domu pełno jest słuchających, którzy mogą pełnić rolę przyzwoitek.

Będąc już kiedyś obiektem szyderstw i pośmiewiskiem okolicy, Whitney nie chciała ściągać na siebie krytyki z powodu tak błahej sprawy jak partia szachów.

– Nie, doprawdy, to nie wypada, ojcze.

Nie mogąc wstać, gdy ojciec trzymał na jej ramieniu dłoń, Whitney spojrzała błagalnie na ciocię. Lady Annę bezradnie wzruszyła ramionami, ale potem wycelowała w Claytona ostre spojrzenie.

– Ufam, że będzie pan pamiętał, by zachować się jak d entelmen, panie Westland? - powiedziała.

– Panna Stone będzie traktowana z najgłębszym powaganiem i szacunkiem, jaki dla niej ywie - zapewnił ją Clayton z wyrozumiałym rozbawieniem.

Skończywszy pierwszą partię patem, rozpoczęli drugą. Przez jakiś czas po wyjściu ojca i cioci

Whitney czuła się nieswojo, ale wkrótce się uspokoiła i niebawem oboje nękali się trudnymi posunięciami.

Z łokciami opartymi na stoliku szachowym Whitney obserwowała, jak Clayton sięga po własnego skoczka.

– Bardzo nieroztropne - uprzedziła.

Clayton obdarzył ją złośliwym uśmiechem, zignorował jej radę i zrobił ruch skoczkiem.

– Po ostatnim lekkomyślnym posunięciu twoja sytuacja raczej nie pozwala ci na doradzanie mi właściwej strategii, panienko.

– Nie narzekaj więc potem, e cię nie ostrzegałam - odrzekła w zadumie Whitney, pukając lekko długim wąskim paznokciem w puste pole i rozwa ając podstępny ruch swego przeciwnika. Pochylając się do przodu, przesunęła własną wie ę, a potem oparła głowę na rękach.

Ileć wyciągnęła rękę przez planszę szachową, mimowolnie ułatwiała Claytonowi oglądanie pełnych piersi ukazujących się nad obszytym falbanką wycięciem sukni, a musiał całą siłę woli skoncentrować na grze. Ju dawno zrzuciła pantofle i teraz siedziała zwinięta w fotelu. Z opadającymi na ramiona bujnymi włosami i lśniącymi łobuzersko zielonymi oczami wyglądała tak zniewalająco, e Clayton wahał się między pragnieniem odepchnięcia na bok szachowego stolika, pochwycenia Whitney na kolana i pozwolenia dłoniom na rozkoszowanie się nagrodą... a równie cudowną chęcią, by po prostu siedzieć w fotelu i sycić oczy jej widokiem.

W jednej i tej samej chwili potrafiła być kusząco piękną kobietą i czarująco niewinną dziewczyną. Stanowiła połączenie intrygujących i złudnych kontrastów. W czasie jednego wieczoru uraczyła go chłodną pogardą, burzliwą niechęcią, ognistym gniewem, a teraz - beztronską impertynencją i pogodnym zuchwalstwem, które wydawały mu się absolutnie rozweselające. A dla ukoronowania tego wszystkiego, rozegrała piekielną partię szachów.

W nastroju nieskrywanego poirytowania i swobodnych uprzejmości, które wymieniali, Whitney podniosła wzrok i uśmiechnęła się promiennie.

– Zastanawiasz się nad następnym ruchem... czy ałujesz ostatniego, mój panie?

Clayton zachichotał.

– Czy nie jesteś tą samą młodą kobietą, która przed kilkoma godzinami oświadczyła mi, e nigdy nie nazwie adnego mę czyzny swoim panem?

– Nazwałam cię tym mianem - wyjaśniła lekko - chcąc cię tak zdekoncentrować, ebyś zapomniał o swojej strategii. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jeśli ju musisz wiedzieć - odrzekł, sięgając po swego króla i atakując z nieoczekiwanej pozycji - zastanawiałem się, co mnie opętało, eby grać w szachy z kobietą, skoro wszyscy wiedzą, e szachy są grą wymagającą wy szej, męskiej logiki.

– Ty zarozumiała bestio! - Whitney się roześmiała, zręcznie unikając ataku Clayтона na jej skoczka. - Doprawdy nie wiem, dlaczego trwonię swoje umiejętności z tak słabym przeciwnikiem.

Godzinę później ciemne włosy dziewczyny zwieszały się nad stolikiem szachowym, gdy kontemplowała sukces swojej strategii. Jeszcze trzy ruchy, mo e cztery, i wygra tę partię.

– Jakie to przewrotne z twojej strony: postawić mnie w takiej niemo liwej sytuacji - narzekała, uśmiechając się do siebie, gdy Clayton zrobił dokładnie taki ruch, jakiego się spodziewała.

– Sądysz, e pochwyciłaś mnie w pułapkę, jak przypuszczam? - spytał

skwapliwie.

Gdy ona starannie rozważa ła swój następny ruch, Clayton obrócił się i skinął

przez ramię na słu ącego, który od momentu wyjścia ojca i ciotki Whitney stał

sztywno przy drzwiach.

W odpowiedzi na milczące polecenia pana lokaj podszedł do stolika, na którym stało kilka kryształowych karafek, napełnił kieliszek bursztynowym płynem z jednej z nich, po czym zawahał się i spojrzał na swego chlebodawcę, pytając go wzrokiem o polecenia w sprawie napoju dla pani. Clayton uniósł dwa palce, wskazując, e ma podać dwa kieliszki brandy.

Słu ący umieścił dwa kieliszki na małej srebrnej tacy, podszedł z nią do stolika obok planszy szachowej, tam ją postawił i na krótki gest odprawy ukłonił

się, a potem cicho wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Whitney nie zwracała na to wszystko uwagi, ale podniosła oczy, gdy gospodarz uprzejmie wręczył jej kieliszek. Barwa płynu nie była kolorem wina, więc poprzez kieliszek tego bursztynowego trunku spojrzała podejrzliwie na twarz Clayтона.

– Przy kolacji tak stanowczo opowiedziałaś się przeciwko ograniczeniom nakładanym przez społeczeństwo na kobiety, e pomyślałem, i chętnie napijesz się tego co ja.

Był rzeczywiście najbardziej prowokującym mę czyzną na świecie, gdy szydził z niej w ten sposób, pomyślała Whitney z uśmiechem. Zdecydowana nadrabiać miną tak długo, jak będzie to mo liwe, powąchała cierpki zapach unoszący się z kieliszka. Ulubiony trunek wujka Edwarda.

– Brandy - powiedziała, zaszczycając Clayтона uprzejmym uśmiechem. -

Najlepsza z dobrym cygarem, nieprawda ?

– Z całą pewnością - przyznał i sięgnąwszy po emaliowane metalowe pudełko, otworzył je, a potem wyciągnął ku dziewczynie, zostawiając jej wybór cygara.

Był w tym geście tak nadzwyczajnie zblazowany, że opanowanie Whitney niebezpiecznie przesunęło się w kierunku wesołości. Przygryzając dolną wargę, by uspokoić jej zdradzieckie dręenie, badała zawartość pudełka z cygarami, jakby zastanawiając się, które odpowiada jej najbardziej. Co by zrobił, gdyby rzeczywiście sięgnęła po któreś z nich? Zapaliłby, pomyślała z niemym chichotem.

– Czy mogę zaproponować to dłuższe, z twojej lewej strony? -wymamrotał

kurtuazyjnie.

W duchu Whitney skręcała się niemal z rozbawienia.

– A mo e szczypta tabaki - nalegał uporczywie, przyprawiając ją o kolejne tłumione salwy śmiechu. - Trzymam ją pod ręką dla szczególnych gości; tak wyjątkowych jak ty.

– Jesteś niemo liwy! - Roześmiała się w końcu, a kiedy wreszcie odzyskała oddech, uniosła swój kieliszek i ostro nie skosztowała brandy.

Mocny alkohol wypalił sobie drogę prosto do ołładka. Drugi i trzeci łyk nie były ju wcale tak straszne, a po kilku następnych uznała brandy za jedną z tych rzeczy, do których trzeba nabrać ochoty. Niebawem poczuła nieznaną, miłą ciepło i zdecydowanie odstawiła kieliszek, zastanawiając się, jaką moc mo e mieć kilka łyków brandy.

– Kto cię nauczył grać? - zapytał Clayton.

– Mój wujek - odrzekła Whitney, po czym pochyliła się do przodu, sięgnęła po swego króla i uniosła go do światła, by podziwiać mistrzostwo rzemieślnika.

- Gdyby ktoś się nie znał, mógłby pomyśleć, że te figury naprawdę są odlane w złocie i srebrze.

– - Gdyby ktoś się nie znał - powiedział dobrotliwym tonem Clayton, wyjmując solidnego złotego króla ze smukłych palców Whitney, by ją powstrzymać od bli szego oglądania figurki - pomyślałby, że próbujesz wydostać się z mojej zręcznej pułapki, szukając sposobu, by ustawić go w bezpieczniejszej pozycji.

Natychmiast się o ywiła.

– Wydostać się? Na bezpieczniejszą pozycję? O czym ty mówisz? Mojemu królowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo!

Na twarzy Clayтона zaświtał powolny, chytry uśmiech. Wyciągnął rękę i przesunął swego skoczka.

– Szach królowi! - powiedział.

– Szach?! - powtórzyła Whitney z niedowierzaniem, wpatrując się w planszę i próbując zrewidować swoje słabe punkty. Rzeczywiście była w szachu! I bez względu na to, które z jej posunięć to ułatwiły, jedna z figur przeciwnika była ustawiona do ataku.

Powoli podniosła ku niemu oczy, a Clayton z nieskrywanym podziwem rozkoszował się blaskiem jej pięknej twarzy. Kiedy przemówiła, jej głos był

miękki i pełen lęku.

– Ty nikczemny, perfidny, zdradziecki draniu!

Clayton odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z kontrastu między jej tonem a słowami.

– Twoje pochlebstwa pieczą mi serce - chichotał.

– Jesteś bez serca - oświadczyła, uśmiechając się promiennie. -Gdybyś je miał, nie wykorzystywałbyś bezbronnej kobiety, wciągając ją do gry, w której najwyraźniej jesteś mistrzem.

– To ty wciągnęłaś mnie - przypomniał jej ze śmiechem. - Skończymy ją czy te zamierzasz odmówić mi zwycięstwa, twierdząc, i nie została rozegrana?

– Nie - oświadczyła dobrodusznie Whitney. - Poddaję się całkowicie.

Jej słowa zawisły złowieszczo w ciszy, która po nich zapadła.

– Miałem nadzieję, e się poddasz - powiedział Clayton spokojnie.

Rozpiął granatowy surdut, wygodnie rozparł się w fotelu i wyciągnął długie nogi obok stolika. Rozluźniony i swobodny, obrócił lekko głowę w stronę kominka.

Whitney przyglądała mu się ukradkiem, sącząc swoją brandy. Siedząc tak jak teraz, przypominał portret „odpoczywającego d entelmena". A jednak miała jakieś niedające się wytłumaczyć przeczucie,

e pod tą spokojną

powierzchnością kryją się gwałtowność i siła, starannie powstrzymywane, ale nagromadzone. Oczekujące. I gdyby zrobiła zły krok, popełniła błąd, wyładowałby tę gwałtowną siłę na niej. Otrząsnęła się w duchu. Była niemądra i śmieszna.

– Nie wiem, która godzina - powiedziała i dokończyła po chwili - ale z pewnością najwy sza pora, bym wyszła.

Spojrzenie Clayтона przesunęło się z ognia na nią.

– Najpierw muszę znów usłyszeć ten twój śmiech. Whitney potrząsnęła głową.

– Tak bardzo nie śmiałam się od dnia naszego wiosennego przedstawienia muzycznego, kiedy miałam dwanaście lat.

– Poniewa nie miałem mo liwości uczestniczyć w tym wydarzeniu z tobą, roszczę sobie prawo do

usłyszenia owej historii w nagrodę za wygraną partię szachów.

– Po pierwsze, ty wciągnęłaś mnie w tę grę - wyrzucała mu Whitney ze śmiechem. - W dodatku chytrze mnie podszedłeś, a teraz domagasz się jeszcze nagrody za to, co zrobiłeś. Czy ty nie masz litości?

– Ani trochę. Opowiadaj.

– No dobrze - westchnęła - ale tylko dlatego, e odmawiam dalszego schlebiana twojej pró ności prośbami, abyś mnie wypuścił. - Głos jej złagodniał, gdy spoglądała w przeszłość. - Było to dawno temu, a wydaje się jakby wczoraj... Pan Twittsworthy, nasz miejscowy nauczyciel muzyki, doszedł do przekonania, e nale y zorganizować wiosenne przedstawienie muzyczne. Wszystkie panienki, których muzyczną edukację mu powierzono, miały zaprezentować swoje osiągnięcia, grając lub śpiewając jakiś krótki utwór. Zebrało się nas piętnaście, a Elizabeth Ashton była najbardziej utalentowaną wykonawczynią, więc pan Tittsworthy obdarzył zaszczytem urzędnika tego koncertu jej rodziców. Ja nawet nie chciałam tam iść, ale...

– Ale Tittsworthy uparł się,

e musisz, gdy w przeciwnym razie

przedstawienie będzie ponurą klęską? - usiłował domyślić się Clayton.

– Dobry Bo e, nie! Pan Tittsworthy czułby się zachwycony, gdyby mnie tam nie było, bo... widzisz, ilekroć przychodził do naszego domu, eby posłuchać, jak gram na fortepianie, oczy go piekły i łzy mu leciały jak groch. Uskar ał

się wszystkim, e moja gra jest tak przykra dla jego uszu, e w istocie ka e mu płakać.

Clayton poczuł niewytłumaczalny przyptyw gniewu na owego nauczyciela.

– Ten człowiek musiał być idiotą.

– W rzeczy samej był - przyznała Whitney z pogodnym uśmiechem. - W

przeciwnym razie zrozumiałby, e ilekroć przychodził udzielać mi lekcji, wsypywałam pieprz do jego tabakiery. Zresztą tego ranka, gdy miało się odbyć przedstawienie, błagałam i przekonywałam ojca, ebym nie musiała tam iść, ale w ostatniej chwili uznał, e absolutnie muszę. Spoglądając wstecz, myślę, e ojciec by ustąpił, gdybym nie wpadła na niefortunny pomysł wysłania Clarissy, mojej pokojówki, z listkiem do niego.

Clayton roześmiał się do niej znad krawędzi swego kieliszka.

– Co było w tym liście?

– Napisałam - z błyszczącymi oczami wyznała Whitney - e le ę w łó ku zło ona cholera, ale e on powinien pójść na to przedstawienie beze mnie i prosić wszystkich, by modlili się o mój powrót do



zdrowia.

Ramiona Claytona zaczęły trząść się ze śmiechu, na co Whitney upomniała go surowo:

– Jeszcze nie doszłam do humorystycznej części tej historii, panie Westland.

Opanował się więc, a dziewczyna kontynuowała opowieść.

– Ojciec sprawił biednej Clarissie okropną burę za to, e nie zdołała wpoić mi odrobiny szacunku dla prawdy. Następną sprawą było to, e Clarissa wcisnęła mnie w moją najlepszą sukienkę, która była o wiele za krótka, bo skoro wcześniej powiedziałam jej, e nie idę, to nie podłu yła sukienki, a ojciec po prostu wepchnął mnie do powozu. Oczywiście nie nauczyłam się utworu, który powinnam zagrać, co nie było niczym nadzwyczajnym, gdy nie miałam cierpliwości, by całe ycie brzdąkać na fortepianie, i błagałam ojca, aby pozwolił mi wrócić do domu, ale za bardzo się na mnie gniewał, e-by słuhać. Wszyscy sąsiedzi z całej okolicy zgromadzili się w salonie muzycznym w domu państwa Ashton. Elizabeth jak zwykle grała niczym anioł. Występ Margaret Merryton tak e oceniono całkiem wysoko. Mnie słuchacze zostawili sobie na koniec...

Po tych słowach Whitney popadła w melancholijne milczenie. Przez chwilę znów siedziała w trzecim rzędzie zatłoczonego salonu muzycznego, tu za Paulem, który utkwiał wzrok w delikatnym, anielskim profilu grającej na fortepianie Elizabeth Ashton, a potem zerwał się z miejsca, tak jak wszyscy inni, by bić jej brawo, podczas gdy Whitney stała za nim, obciągając na sobie krótką niestosowną ró ową sukienkę i nienawidząc własnego niezgrabnego ciała, które składało się z samych rąk, nóg, kolan i łokci.

– Miałaś więc wystąpić ostatnia - podpowiedział Clayton, budząc ją z niemiłych wspomnień - i nawet bez wcześniejszych ćwiczeń grałaś tak dobrze, e wszyscy słuchacze wiwatowali i prosili o bis?

– Powiedziałabym raczej - z dźwięcznym śmiechem poprawiła go Whitney - e ich reakcja bli sza była milczącemu oszołomieniu.

Mimo pozornej bez troski, z jaką opowiadała o tym wydarzeniu, Claytonowi wydało się ono raczej wzruszające ni śmieszne. Z ochotą udusiłby ka dego z owych małoszkowych prowincjonalnych prostaków, którzy kiedykolwiek ją krępowali, zaczynając od owego nauczyciela muzyki, a kończąc na głupim ojcu.

W głębi duszy czuł ogarniającą go tkliwość i opiekuńczość wobec tej dziewczyny, co go zaskoczyło i poruszyło, więc uniósł kieliszek i sącząc brandy, starał

się ukryć własne zdumiewające emocje.

Obawiając się, e mógłby mieć dla niej jakieś współczucie, Whitney uśmiechnęła się i lekcewa ąco machnęła ręką.

– Opowiedziałam ci o tym tylko dlatego, by zarysować tło wydarzeń. Powód mojej wesołości pojawił się później, gdy wszyscy rozkoszowali się lekkim lunchem podanym w ogrodzie, gdzie

potem miała być wręczona nagroda za najlepszy występ. Nagroda dla Elizabeth Ashton. Niestety, owa nagroda zniknęła, a pogłoska mówiła, i ukryto ją na największym drzewie.

Clayton przyglądał się Whitney badawczo, a oczy zabłyśły mu z rozbawienia.

– Tyją tam umieściłaś? Twarz dziewczyny poró owiała.

– Nie, ale to ja rozpuściłam tę pogłoskę. Tak więc wszyscy zaczęli ju jeść, kiedy nagle Elizabeth spadła z drzewa na stół niczym kamień. Pomyślałam wtedy, e jest bardzo nęcącą ozdobą naszego posiłku, le ąc w swych ró owo-białych falbankach między przekąskami a puddingiem, i zaczęłam się śmiać.

- Whitney uśmiechnęła się na wspomnienie tej sceny, a potem przywołała w pamięci obraz Paula śpieszącego Elizabeth na ratunek, osuszającego chusteczką łzy tamtej i spoglądającego wściekle na nią.

– Przypuszczam, e gdy dorośli zobaczyli, jak się śmiejesz, właśnie ciebie oskarżono o ukrycie nagrody na drzewie.

– Och nie, dorośli byli zbyt zajęci zdejmowaniem Elizabeth z ich posiłku, by dostrzec, e chichoczę ukradkiem. Zauważył to jednak Peter Redfern i uznał, i to ja jestem winna, zwłaszcza e wiedział, i potrafię wspinać się na drzewa szybciej ni on. Powiedział, e da mi po uszach, ale Margaret Merryton oświadczyła, i zaszła na lanie od własnego ojca.

– Na czym się skończyło? - zapytał Clayton.

– Ani na jednym, ani na drugim - odrzekła Whitney, a jej śmiech przypomniiał

Claytonowi dźwięk kurantów. - Widzisz, Peter był za bardzo wściekły, eby słuchać Margaret, a ja tak pewna, e nie ośmieli się mnie uderzyć, i nie uchyliłam się a do ostatniej chwili, więc... zamiast mnie uderzył Margaret -

zakończyła wesoło. - O Bo e, nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy biednego Petera, gdy Margaret przewróciła się na trawę, a potem usiadła! Miała potem najbardziej niebiesko-purpurowe oko, jakie mógłbyś sobie wyobrazić.

Ich roześmiane spojrzenia zawisły nad szachowym stolikiem w pogodnej ciszy przerywanej wesołym trzaskaniem drewn płonących w kominku. Clayton odstawił kieliszek, a gdy zdecydowanie wstał z fotela, uśmiech Whitney zaczął

niknąć. Rzuciwszy okiem ku drzwiom, przy których wcześniej stał słuący, uświadomiła sobie, e ju go tam nie ma.

– Jest bardzo późno - powiedziała, wstając pośpiesznie, gdy Westland ruszył w jej stronę. - Powinnam ju wyjść.

Clayton zatrzymał się tu przed nią.

– Dziękuję ci za najbardziej zachwycający wieczór w moim życiu - odezwał

się głębokim, aksamitnym głosem.

Zobaczyła wyraz jego oczu i serce zaczęło jej bić jak oszalałe, a po ciele przeszedł ostrzegawczy dreszcz.

– Proszę, nie stój tak blisko - wyszeptała z desperacją. - To sprawia, że czuję się jak królik bliski znalezienia się w szponach drapieżnika.

Głos Clayтона był cichy i uwodzicielski.

– Nie będę mógł cię pocałować, mała, jeśli stanę po drugiej stronie pokoju.

– Nie nazywaj mnie tak i nie całuj! Ledwie ci wybaczyłam ten ostatni raz nad strumieniem.

– Zatem obawiam się, że będziesz musiała wybaczyć mi ponownie.

– Ostrzegam cię: nie chcę tego - wyszeptała, gdy wziął ją w ramiona. - Tym razem ci nie wybaczę.

– To przerażająca ewentualność, zaryzykuję jednak - mruknął szybko, po ądkliwie dotykając wargami jej ust.

Zetknięcie się ich ciał było dla obojga wręcz elektryzującym doznaniem.

Ręce Clayтона przesuwały się po ramionach i plecach Whitney, przyciskając ją coraz mocniej. Całował ją nieustępliwie, mocno, nieskończenie, jego język zagłębił się w jej usta, a potem powoli cofał, by zanurzać się w nich raz za razem w jakimś nieznanym, ekscytującym rytmie, który budził w ciele dziewczyny niezwykle doznania.

Prowokujące pieszczoty jego dłoni, dotyk jego ust i całego silnego ciała sprawiły, że Whitney wibrowała w ramionach Clayтона. Bezradnie poddała się ądanom jego rąk i ust, a gdy to zrobiła, jej umysł popadł w odrętwienie. Im dłużej trwały pocałunki, tym bardziej oddalała się od samej siebie. Jakby były w niej dwie istoty: jedna ciepła, ustępliwa i uległa, druga zaś odrętwiała z trwogi.

Kiedy wreszcie Clayton się odsunął, oparła czoło na jego piersi, a dłonie opuściła na sztywny, wykrochmalony gors jego koszuli.

Trwała tak w stanie niepojętego oszołomienia i buntu, wściekła na siebie i na męża.

– Wybłagam twoje wybaczenie od razu, mała - zaczął lekko, biorąc ją pod brodę - czy te powinienem poczekać?

Whitney spojrzała na niego buntowniczymi zielonymi oczami.

– Chyba lepiej poczekam - odpowiedział sam sobie z ponurym uśmiechem, po czym, wycisnąwszy na czole dziewczyny krótki pocałunek, wyszedł z pokoju, by po chwili wrócić z jej atlasową pelerynką.

Otulił ją tym okryciem, a Whitney zadrżała, gdy dotknął jej skóry. - Zimno ci? - spytał, obejmując ją ramieniem i znów przyciągając do siebie.

Nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Była rozedrganym ucieleśnieniem wstydu, oszołomienia, gniewu i niechęci do samej siebie.

- Chyba nie zrozumiałem twojej milczącej odpowiedzi - wyszeptał, muskając oddechem jej włosy.

W końcu przemówiła, ale jej głos brzmiał niewyraźnie.

- Proszę, puść mnie.

Nie próbował odezwać się do niej ponownie, dopóki nie podjechali pod łukowato zwieńczony wjazd dla powozów z boku jej domu.

- Whitney - odezwał się niecierpliwie, chwytając ją za ramię, gdy otworzyła drzwiczki i zaczęła wysiadać. - Pragnę z tobą porozmawiać. Są pewne sprawy, które powinny być jasne między nami.

- Nie teraz - odrzekła głuchym głosem - Mo e innym razem, ale nie teraz.

Leżała, nie śpiąc a do świtu i próbując zrozumieć owe gwałtowne, burzliwe, gorące emocje, jakie Clayton umiał w niej obudzić i to, jak mu się udało wziąć ją w ramiona, zniweczyć plany oraz marzenia o Paulu, odsunąć na bok jej poczucie przyzwoitości i honoru.

Przewracała się z boku na bok, kryjąc twarz w poduszce. Odtąd będzie starannie unikać pozostawania z nim sam na sam. Wszelkie przyszłe kontakty z tym mę czynną muszą być krótkie, bezosobowe i publiczne. Jej błędem... nigdy, przenigdy nie popełni go ponownie... było to, e tak dobrze czuła się tego wieczoru w towarzystwie Clayтона Westlanda, e tak dała się rozbroić jego swobodnemu urokowi, e zaczęła myśleć o nim jak o przyjacielu.

Przyjaciel... pomyślała z goryczą, przewracając się na plecy i wpatrując w baldachim. Boa dusiciel byłby bardziej godnym zaufania przyjacielem ni ten człowiek! A jak e! Ten lubie ny liberyn próbowałby uwieść nawet świętą w kościele! Pozwoliłby sobie na wszystko, by dokonać kolejnego podboju! Im więcej musiał się starać, im większe trudności piętrzyła przed nim ofiara, tym bardziej zdawał się tym cieszyć. Ju wiedziała, ponad wszelką wątpliwość, e teraz ją upatrzył sobie na ofiarę. Zamierzał ją uwieść, pozbawić czci i nic go przed tym nie powstrzymywało.

Przez wzgląd na nią samą i przez wzgląd na Paula, im szybciej zostaną ogłoszone ich zaręczyny, tym lepiej, gdy nawet Clayton Westland nie ośmieli się uganiać za kobietą przyrzeczoną innemu mę czynnie. Mę czynnie, który okazał się wspaniałym strzelcem!

## Rozdział 14

Whitney przyglądała włosy, rzuciła ostatnie krytyczne spojrzenie na miękką, zieloną wełnianą suknię z białymi falbankami pod szyją i wokół

nadgarstków, po czym poprawiła aksamitną kokardę, która podtrzymywała jej ciemne włosy gładko

spięte na karku. Bezsenna noc pozostawiła cienie pod oczami, ale mimo to dziewczyna wyglądała ślicznie, młodo i uroczo. Wcale nie tak, pomyślała z krzywym uśmiechem, odwracając się od lustra, jak kobieta planująca usidlenie męczyzny kłamstwem wymyślonym po to, aby zmusić go do oświadczenia. Zaraz i dzisiaj.

Schodząc do salonu, gdzie czekał na nią Paul, powtórzyła w myślach przygotowaną strategię. Powie mu, że wraca do Paryża z ciocią Anną, gdy tylko przyjedzie po niego wuj Edward. Jeśli to nie skłoni Paula do oświadczenia, to już nic go nie skłoni.

W drzwiach salonu zawahała się przez chwilę. Paul wydawał się tak piękny, tak przystojny, że kusilo ją, by porzucić wszelką „stosowność” i oświadczyć się jemu. Zamiast tego jednak uśmiechnęła się promiennie.

– Piękne popołudnie. Pospacerujemy w ogrodzie?

W chwili gdy znaleźli się w osłoniętym ustroniu wysokich, strzyżonych żywopłotów, które otaczały ostatnie kwitnące róże, Paul wziął ją w ramiona i pocałował.

– Staram się odpokutować za te wszystkie lata, gdy cię nie widziałem -

zawahał się.

Był to dokładnie taki początek, jakiego potrzebowała.

– Zatem będziesz musiał się śpieszyć - powiedziała, cofając się o krok i uśmiechając wesoło - bo masz przed sobą wiele lat bez mnie, pozostało ci zaś tylko kilka tygodni, by mnie widywać.

– Co to znaczy „pozostało kilka tygodni”?

– Zanim wrócę do Francji z ciocią i wujem - wyjaśniła Whitney, niemal słabnąc z ulgi na widok chmury, która zasnuła jego twarz.

– Zanim wyjedziesz do Francji?! Sądziłem, że wróciłaś już na dobre do domu?

– Tam również mam dom, Paul. W pewnym sensie może nawet bardziej mam go tam niż tutaj.

Spojrzał na nią tak zatrwożony, że poczuła się winna. Ale wszystko, co musiał zrobić, by zapobiec jej wyjazdowi do Francji, to się oświadczyć, i dobrze o tym wiedział.

– Przecież tu mieszka twój ojciec - perswadował. - I ja tu jestem. Czy to nie ma znaczenia?

– Oczywiście, że ma - wyszeptała, odwracając wzrok, aby nie zobaczył, jak wiele to dla niej znaczy. Dlaczego nie potrafi, dlaczego po prostu nie mówi

„wyjdź za mnie”, zastanawiała się gorączkowo. Odwróciwszy się do niego plecami, uśmiechnęła się, a podziwiała purpurową różę.

– Nie mo esz wyjechać - powiedział napiętym głosem. - Chyba jestem w tobie zakochany.

Serce w niej zamarło, a potem zaczęło walić jak szalone. Chciała paść mu w ramiona, ale było jeszcze zbyt wcześnie; deklaracja Paula brzmiała zaledwie ciepławo i niezbyt konkretnie. Zrobiła krok ku ście ce i kokieteryjnie uśmiechnęła się przez ramię.

– Mam nadzieję, e do mnie napiszesz i dasz znać... kiedy będziesz pewien.

– Och, nie, nie odchodź! - Roześmiał się, chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem między krzewy.  
- A zatem, panno Stone, kochasz mnie czy nie?

Whitney zdusiła cisnące się jej na usta gwałtowne wyznanie wiekuistej miłości.

– Chyba tak - odpowiedziała, mru ąc oczy.

Zamiast kontynuować swe wyznania, Paul puścił jej rękę, a jego twarz stała się daleka i zamknięta.

– Mam do załatwienia kilka spraw dziś po południu - oświadczył chłodno.

Zamierza wyjechać, uświadomiła sobie z nagłą rozpaczą. Miała najstraszniejsze, upokarzające uczucie, e przejrzał jej plany, e zrozumiał, i Whitney próbuje nim manipulować, e przyciska go do muru.

Przeszli przed dom, gdzie na okrągłym podjeździe czekał lśniący nowy powozik. Paul zatrzymał się tylko po to, by wycisnąć krótki, oficjalny pocałunek na czubkach jej palców, po czym odwrócił się, by odejść. Po zrobieniu jednego kroku przystanął na chwilę.

– Ilu dokładnie mam rywali, poza Westlandem? - zapytał. Nastrój Whitney poprawił się szybko.

– A ilu chciałbyś mieć? - odparła z uśmiechem.

Paul zmru ył oczy, otworzył usta, by powiedzieć, e zmienił decyzję, ale nagle odwrócił się na pięcie i odszedł.

Uśmiech Whitney zgasł. W udręce patrzyła, jak ukochany schodzi po schodach, a jej serce wybijało rytm ałobnego marsza. Zmusiła go do ujawnienia zamiarów i teraz ju wszystko wiedziała. Chciał mieć z nią lekki, nieznaczący romans i nic więcej. Nie pragnął jej, zanim wyjechała, i nie chce jej teraz.

Doszedłszy do powozu, Paul przystanął, sięgnął po lejce, biorąc je od stajennego, potem jednak przystanął ponownie. Zamarł bez ruchu, odwrócony plecami, a obserwująca go Whitney zaczęła wznosić gorączkowe, błagalne, chaotyczne modlitwy.

W napiętym milczeniu, bojąc się ywić nadzieję i nie mogąc się jej oprzeć, zobaczyła, e Paul odwraca się powoli, podnosi ku niej wzrok, a potem... wraca.

Zanim znalazł się na tyle blisko, by Whitney mogła zobaczyć jego twarz, kolana trzęsły się pod nią

tak mocno, e ledwie mogła stać.

– Panno Stone - odezwał się głosem pobrzmiewającym śmiechem. - Przyszło mi do głowy, e jeśli chodzi o ciebie, mam tylko dwa wyjścia. Mogę albo unikać w przyszłości wszelkich z tobą kontaktów, a zatem położyć kres moim torturom... albo cię poślubić, aby je przedłużyć.

Wpatrując się w wesołe niebieskie oczy Paula, dziewczyna zrozumiała, e podjął ją decyzję. Próbowała się uśmiechnąć, ale napięcie tak ją osłabiło, e w głosie pobrzmiewały łzy.

– Sam wiesz, e nie potrafiłbyś sobie wybaczyć, gdybyś uciekł jak tchórz.

Paul wybuchnął śmiechem i otworzył ramiona, a Whitney rzuciła się w nie, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Przycisnęła policzek do jego piersi, słuchając rytmicznych uderzeń serca ukochanego i upajając się dotykiem mocnych rąk, którymi władczo przyciągał ją do siebie.

Czuła się tak, jakby otulała ją złota mgła bezpieczeństwa, ponieważ właśnie dał jej prezent równie bezcenny jak jego miłość, i była mu tak wdzięczna, e mogłaby paść na kolana i płakać. Paul ją kochał, pragnął się z nią oenić... i to był dowód, prawdziwy, niezaprzeczalny dowód, e naprawdę zmieniła się we Francji. Nie była jedynie gładko wypolerowaną imitacją ubranej zgodnie z najnowszą modą młodej damy, czego się często obawiała. Nie była już istotą beznadziejnie niedostosowaną do otoczenia. Była prawdziwą kobietą.

Zasługiwała na szacunek. Mieszkańcy okolicy nie będą już chichotać z idiotki, jaką z siebie robiła w związku z Paulem Sevarinem. Będą się uśmiechać i mówić, e pan Sevarin zawsze ją lubił; e jedynie uzbroił się w cierpliwość, czekając, by dorosła. Mogła mieszkać tutaj, między owymi ludźmi, których sympatii zawsze pragnęła. Nabrała wartości w ich oczach. I w oczach swojego ojca tak e. Ogarnęła ją taka ulga, e czuła, jak szłocha.

– Poszukajmy twojego ojca - odezwał się Paul.

Whitney podniosła głowę i spojrzała na niego z radosnym niezrozumieniem.

– Po co?

– Bo chciałbym już mieć za sobą wszystkie formalności, a chyba nie mogę prosić lady Annę o twoją rękę. I to nie dlatego, e nie wolałbym otrzymać jej tą drogą, gdybym tylko mógł - dodał ponuro.

– Sewell, gdzie jest mój ojciec? - zapytała niecierpliwie, gdy weszli do domu.

– W drodze do Londynu, panienko - odrzekł lokaj. - Wyjechał pół godziny temu.

– Do Londynu? - zdumiała się Whitney. - Wydawało mi się, e nie zamierzał

wyjechać do jutra? Dlaczego więc wyjechał dzisiaj? Czy prędko wróci?

Sewell, który zawsze wiedział wszystko, oświadczył, e nic nie wie. Whitney obserwowała, jak przechodził przez hol, powiewając połami fraka i czuła, e nad jej szczęściem zaszło właśnie słońce.

Paul wyglądał jak ktoś, kto zbierał siły, by poddać się nieprzyjemnej konfrontacji i zyskawszy tymczasową zwłokę, nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy rozczarowanie, a nie może mieć wszystkiego za sobą.

– Kiedy wraca?

– Nie wcześniej niż za pięć dni - odrzekła Whitney, opuszczając smukłe ramiona. - Akurat eby zdążyć na przyjęcie-niespodziankę z okazji swoich urodzin! - Jęknęła przerażona. - Wysłano już zaproszenia do krewnych i sąsiadów! Jeśli nie wróci wcześniej, niż się spodziewamy, będziesz mógł z nim porozmawiać dopiero następnego dnia. Zatem... w niedzielę po nabożeństwie? - zaryzykowała, rozjaśniając się trochę.

Paul zamyślił się głęboko i powoli pokręcił głową.

– Chcę kupić parę ainsleyów. To konie czystej krwi, spodobały ci się z pewnością. I jeśli mam te pojechać na aukcję do Hampton Park, to będę musiał wyruszyć w sobotę, w dniu powrotu twojego ojca.

Whitney starała się ukryć rozczarowanie.

– Jak długo cię nie będzie?

– Mniej niż dwa tygodnie. Dziewięć lub dziesięć dni, nie dłużej. - Paul wziął ją w ramiona. - Aby ci udowodnić, jak uczciwe są moje intencje, będę na miejscu przez całą sobotę, gdyby twój ojciec wrócił wystarczająco wcześnie, by móc ze mną rozmawiać. To tylko pięć dni. Ponadto - dodał, śmiejąc się z jej smutnej miny - przełożyłem nawet wyjazd, aby móc spędzić kilka godzin na jego urodzinowym przyjęciu... zakładam bowiem, że zamierzałaś mnie zaprosić.

Z uśmiechem skinęła głową.

– Jeśli zatem nie będzie okazji, by porozmawiać z nim na owym przyjęciu, a raczej wątpię, eby się nadarzyła, to możeś mu po tej uroczystości powiedzieć, że zaraz po powrocie zamierzam złożyć mu oficjalną wizytę.

Czy tak - roześmiał się - mówi człowiek, który chce uniknąć stanu małżeńskiego?

Po wyjściu Paula Whitney zastanawiała się nad przekazaniem cioci Annę tej wiadomości, ale postanowiła, że na razie tego nie zrobi. Chciała najpierw sama nacieszyć się swoją radością. Czuła ten zabobonny lęk przed opowiedzeniem komuś o zbliżających się zaręczynach z Paulem, póki on sam oficjalnie nie poprosił jeszcze o jej rękę. Poza tym ojciec z pewnością wróci w sobotę na tyle wcześnie, eby Paul mógł z nim porozmawiać, więc wieczorem, na przyjęciu urodzinowym, będą mogli ogłosić zaręczyny.

Ogromnie uradowana tą myślą Whitney weszła do domu, by wraz z ciocią zjeść lunch.

Zgodnie ze swym zwyczajem Clayton w czasie posiłku uważył nie studiować



poczcie. Oprócz zaproszeń i zwykłej korespondencji związanej z interesami przysły te listy od matki i brata. Clayton uśmiechnął się, myśląc o niespodziance, jaką zaskoczył matkę, kiedy się dowiedziała, e zamierza się oenić i przysporzyć jej wnucząt. Obdaruje ją sześciorgiem, postanowił, śmiejąc się cicho i mając nadzieję, e wszystkie odziedziczą zielone oczy Whitney.

Wciąż się uśmiechał, gdy podpisał rachunek od londyńskiego jubilera za szmaragdowy wisiołek, który Whitney nosiła na wydanym dla niej przyjęciu.

Odłoywszy listy, zaczął czytać długie pismo od swojego sekretarza oczekującego na polecenia, jak postąpić w sprawach tak rónych jak z jednej strony przeniesienie na emeryturę leciwego służy rodziny, z drugiej zaś - nabycie wielkiego pakietu akcji pewnego przedsiębiorstwa eglugowego. Podka dym z owych pytań Clayton pisał precyzyjne, dokładne instrukcje.

W tej chwili rozległo się chrząknięcie stojącego w drzwiach lokaja.

– Pan Stone chciałby się widzieć z waszą wysokością - wyjaśnił, gdy Clayton podniósł wzrok. - Naturalnie powiedziałem mu, e wasza wysokość je obiad, ale ten człowiek upiera się, e powód jego przybycia jest niezwykle ważny, i e nie może czekać.

– Wprowadź go - polecił Clayton z westchnieniem irytacji.

Dla Whitney Clayton miał całą cierpliwość świata, ale dla swego przyszłego teścia nie miał jej wcale. W istocie ledwie mógł go ścierpieć.

– Musiałem przyjechać, zanim wyruszę do Londynu - tłumaczył się Martin, pośpiesznie przemierzając pokój i siadając przy stole naprzeciwko księcia. -

Mamy przed sobą okropną sprawę, a będzie jeszcze gorzej, jeśli ty... jeśli razem... natychmiast z czegoś z tym nie zrobimy.

Clayton skinieniem głowy odprawił lokaja, który serwował mu posiłek i poczekał, a słuchający zamknął za sobą drzwi, zanim podniósł niewzruszone spojrzenie na niemile widzianego gościa.

– Co mówiłeś, Martinie?

– Mówiłem, e źle się dzieje. Komplikacje. Paul Sevarin. Był z Whitney, kiedy wyjeżdżałem.

– Mówiłem ci, e nie przejmuję się tym chłystkiem - rzucił niecierpliwie Clayton.

– Zatem byłoby lepiej, gdybyś zaczął się nim przejmować - odparł Martin, sprawiając przy tym wrażenie udręczonego i rozgniewanego jednocześnie. -

Kiedy Whitney miała piętnaście lat, dostała bzik na punkcie odbicia Sevarina córce Ashtonów i choć minęło pięć lat... kolejne pięć lat!... wciąż owładnięta jest tą myślą. I bliska celu! Zapamiętaj moje słowa, ten szatan myśli o tym, eby ją poślubić. Wkrótce poprosi o jej rękę. Bóg wie dlaczego, gdy niegdyś doprowadzała go do szału. Ona mnie tak e doprowadza do szału.

W głosie Clayтона brzmiało ironiczne rozbawienie.

– Mówiąc jako ten „szatan”, który ju się o nią oświadczył, mogę tylko pogratulować gustu panu Sevarinowi. Jednak, jak ci ju kilkakrotnie mówiłem, potrafię uporać się z Whitney i...

Martin wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować ze złości.

– Nie potrafisz się z nią uporać. Wydaje ci się, ale nie znasz jej tak jak ja. Do licha, ona jest upartym, samowolnym dzieckiem. Zawsze taka była. Kiedy coś jej strzeli do głowy... jak choćby mał eństwo z Sevarinem... dopnie swego, eby nie wiem co. - Martin sięgnął do kieszeni, wyjął chusteczkę, otarł z czoła mgiełkę potu i mówił dalej: - Kiedy doprowadzi Sevarina do punktu, w którym ten młodzieniec zapragnie się z nią o enić, mo e uznać, e osiągnęła swój cel, i zapomni o nim. Z drugiej zaś strony - podkreślił

mrocznym tonem -jeśli to moje diablę wcielone wbije sobie do głowy, eby go naprawdę poślubić, ty skończysz na ciągnięciu do ołtarza zbuntowanej dierlatki, która z ka dym krokiem, jakim przyjdzie jej zrobić, będzie z tobą walczyć. Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

Para zimnych szarych oczu spojrzała na niego beznamiętnie.

– Tak.

– To dobrze. To dobrze. Rzecz w tym, by powstrzymać Sevarina od oświadczyn, a drogą do tego jest natychmiastowe ujawnienie Whitney, e jest twoją narzeczoną. Powiedz to Sevarinowi. Powiedz to wszystkim. Trzeba natychmiast ogłosić wasze zaręczyny!

– Nie.

– Nie? - powtórzył zdumiony rozmówca. - Co zatem zamierzasz zrobić w związku z Sevarinem?

– A co twoim zdaniem powinienem zrobić?

– Powiedziałem ci! - zawołał Martin desperackim tonem. - Ka Whitney porzucić wszelkie plany, jakie miała w związku z Paulem, i powiedz, aby się przygotowała do natychmiastowego poślubienia ciebie!

Clayton z trudem zachowywał cierpliwość.

– Martinie, czy kiedykolwiek naprawdę „rozkazywałeś” Whitney zrobić coś, na co nie miała ochoty?

– Oczywiście. Jestem jej ojcem!

W oczach księcia pojawił się cień rozbawienia.

– A kiedy ju jej „rozkazałeś”, posłusznie akceptowała twoją władzę i robiła to, co jej polecono?

Martin opadł na krzesło, a jego twarz poczerwieniała z doznanej klęski.

– Kiedy ostatni raz „rozkazałem” córce spełnić moją prośbę, miała czternaście lat - przyznał. - Kazałem jej gorliwie naśladować córkę Ashtonów i przez dwa miesiące doprowadzała mnie do śmierci eleganckimi ukłonami. Dygała, wchodząc i wychodząc z pokoju. Dygała przed lokajem i kucharzem, nawet przed końmi. Ilekroć na nią spojrzałem, rzucała wszystko, co robiła, i składała mi głęboki ukłon. Resztę czasu spędzała na robieniu tej śmiesznej rzeczy z rzesami... no wiesz, na trzepotaniu nimi. Powiedziała, e posłusznie wykonuje mój rozkaz naśladowania córki Ashtonów.

– Whitney spełni moją prośbę - zapewnił go Clayton tonem, który nie dopuszczał adnej dyskusji - ale dopóki nie będę gotowy, eby powiedzieć jej o naszych zaręczynach, nikomu nie wolno jej o tym wspomnieć. Kiedy uznam, e nadeszła odpowiednia pora, ja sam to zrobię. Czy to jasne, Martinie?

Ojciec Whitney z rezygnacją skinął głową.

– Doskonale - powiedział Clayton, sięgając po kopertę ze stosu listów i otwierając ją.

– Jest jeszcze jedna sprawa... drobiazg... - odezwał się Martin, nerwowo przesuwając palcem między serwetką a szyją.

– Tak? Mów, proszę - rzucił ksią ę, nie odrywając wzroku od korespondencji.

– Chodzi o lady Annę Gilbert. Ubzdurała sobie, e Whitney cię nie lubi.

Chciałbym, ebyś ją przekonał, e potrafisz przezwycię yć ten problem.

– Dlaczego?

– Bo moi słu ący donoszą mi, e ciągle wysyła listy do mę a na adresy konsulatów w całej Europie. Przypuszczam,

e chce go odnaleźć i

sprowadzić tu jak najszybciej.

Twarz księcia wyra ała takie niezadowolenie, e Martin wcisnął się w oparcie krzesła.

– Mówisz więc, e jest przeciwna temu mał ństwu?

– Mój Bo e, nie! Nie to miałem na myśli! - wykrzyknął z rozpaczą. - Moja szwagierka jest kobietą rozsądną, ale bardzo mięką, gdy chodzi o Whitney.

Gdy powiedziałeś jej, co zrobiliśmy i gdy otrząsnęła się z szoku, przyznała, e to wspaniałe posunięcie. Powiedziała, e jesteś najlepszą partią w Europie i e nie ma w Anglii bardziej arystokratycznego i znakomitszego rodu ni Westmorelandowie.

– Jestem zachwycony, e lady Gilbert jest tak rozsądna - odrzekł Clayton nieco ułagodzony.

– Nie a tak rozsądna! - zaprzeczył Martin. - Nie daje jej spokoju sposób, w jaki załatwiliśmy tę

sprawę bez wiedzy Whitney. Oskar a mnie - dodał z goryczą - e jestem zimnym, nieczułym ojcem, pozbawionym ludzkiej wrażliwości! - Uderzony wyrazem takiego samego przekonania na twarzy Claytona, dodał we własnej obronie: - Oskar a równie ciebie, mówiąc, e jesteś tyranem i autokratą. Nie podoba jej się twoja reputacja i to, e jesteś a nazbyt przystojny. Krótko mówiąc, lady Gilbert uwa a, e Whitney jest zbyt dobra dla nas obydwu.

- Jestem zdumiony, e nawet mój niewielki prezent dla ciebie w postaci stu tysięcy funtów nie złagodził jej odczuć - wycedził cynicznie Clayton.

- Nazwała go łapówką - powiedział Martin, drąc pod lodowatym spojrzeniem księżycy oczu. - Lady... lady Gilbert pragnie mieć pewność, e nie zmusisz Whitney do małżeństwa, nie dając jej czasu, by narodziło się w niej uczucie do ciebie. Sądzę, e jeśli nie otrzyma takiego zapewnienia z twoich własnych ust, to skłoni mę a, by użył swych wpływów, aby zapobiec temu małżeństwu. Lord Gilbert ma dobre kontakty w najwyższych sferach i jego opinie mają wielką wagę dla ludzi, którzy się liczą.

Złowieszczy wyraz twarzy księcia nieoczekiwanie zmienił się w rozbawienie.

- Jeśli lord Gilbert pragnie zachować wpływy w owych kręgach, to nie będzie chciał robić sobie ze mnie wroga. Ryzykując, e zabrzmi to nieskromnie, pozwolę sobie zauważyć, Martinie, e to właśnie ja jestem jednym z tych ludzi, którzy się liczą.

Po wyjściu ojca Whitney Clayton wstał i podszedł do okna. Opierając się ramieniem o framugę, patrzył na robotników budujących niewielki rustykalny pawilon na skraju trawnika obok drzew.

Gdyby Martin przyszedł tu wczoraj, a nie dzisiaj, proponując zmuszenie Whitney do wyrażenia zgody na to małżeństwo, być może księżę poświęciłby owemu pomysłowi więcej uwagi. A do ostatniego wieczoru narzeczona była dlań po prostu własnością, którą nabył... cenną własnością, mo e nawet najcenniejszą, ale jednak własnością.

W noc owej paryskiej maskarady u Armandów krótko zastanawiał się nad uczynieniem z Whitney swojej kochanki, ale uwiedzenie dobrze urodzonej dziewczyny naruszało nawet jego swobodny kodeks honorowy w części dotyczącej kobiet. Poza tym musiał się przecie oenić i mieć potomka, o czym nieustannie mu przypominano od chwili, gdy osiągnął stosowny wiek. Kiedy więc tam, w ogrodzie Armandów, patrzył na promienną, roześmianą twarz dziewczyny, doszedł do wysoce satysfakcjonującego rozwiązania owego podwójnego problemu obowiązku i pożądanego: postanowił poślubić pannę Stone.

A do ostatniej nocy Whitney była jedynie zachwycającym obiektem pożądanego i przyszłą matką jego upragnionego potomka. Jednak ostatniej nocy wszystko się zmieniło. Rozbudziła w nim czułość i opiekuńczość, z których nawet sobie nie zdawał sprawy.

Zasłuchał się w jej zabawnie przedstawioną opowieść, choć wydała mu się ona raczej smutna niż wesoła; w historię o pozbawionej matki młodej dziewczynie, której kazano grać na jakimś głupim koncercie przed salą pełną bezmyślnych ludzi, i pierwszy raz zrozumiał ból, rozgoryczenie i upokorzenie, jakie musiała odczuwać w dzieciństwie. Nie podobała mu się większość sąsiadów; byli małostkowymi, rozplotkowanymi, wiejskimi prostakami, a gdy tylko dotarła do nich wiadomość, e

Whitney wraca z Francji, raczyli siebie i jego niekończącymi się opowieściami o jej dziecinnych błazeństwach i dziecinny uganianiu się za Paulem Sevarinem.

Jeśli pokazanie im wszystkim, e potrafi oczarować Paula, jest jedynym sposobem, w jaki Whitney mo e odzyskać wiarę w siebie i poczucie własnej godności, Clayton był gotów jej na to pozwolić. Niech jeszcze przez kilka dni pokazuje tym wieśniakom,

e zdobyła Sevarina. Westmoreland mo e

poczekać... pod warunkiem, e ten amant nie zdobędzie się na odwagę, by poprosić ojca Whitney o jej rękę. Wyrozumiałość Clayтона dla Whitney nie była tak wielka, aby pozwolić jej na zaręczyny z innym mę czyzną. Tego nie mógłby tolerować.

Podjąwszy decyzję, z powrotem podszedł do stołu. Martin wyje d ał na pięć dni. Za długo przyjdzie mu czekać na kolejne spotkanie z Whitney. Musiał

znaleźć jakiś pretekst, by zobaczyć ją w tym czasie, jakiś powód, aby dziewczyna zgodziła się z nim spotkać. Rozwa ył ró ne mo liwości i z zadowoleniem przypomniał sobie, e sprowokowała go do wyścigu, w którym miała dosiadać Niebezpiecznego.

Sięgnął po arkusz papieru i zastanawiał się nad właściwym dobozem słów.

List musiał brzmieć jak wyzwanie, nie zaś jak zaproszenie, które mogłaby odrzucić.

Droga Panno Stone - pisał szybko. - Jestem przekonany, e masz ochotę sprawdzić swoje umiejętności jazdy na ogierze. Mogę odbyć ten wyścig w srode rano na trasie, jaką wybierzesz. Jeśli jednak ałujesz swego pośpiesznego wyzwania, bądź pewna, e przypiszę tę zmianę Twego postanowienia nie tchórzostwu, lecz dającej się usprawiedliwić obawie, e ów koń byłby dla Ciebie zbyt trudny do opanowania.

Szczerze oddany... etc.

Osuszył atrament, posypując list miałkim piaskiem i zapieczętował woskiem.

Z uczuciem dumy i satysfakcji polecił dostarczyć go pannie Stone i zaczekać na odpowiedź.

Słu ący wrócił po kwadransie z odpowiedzią Whitney napisaną ładnym, pochyłym charakterem pisma uczonego mnicha, nie zaś nieczytelnymi bazgrołami typowymi dla tak wielu dobrze wychowanych, ale źle wykształconych kobiet. adnego pozdrowienia ani powitania.

Środa bardzo mi odpowiada. Będę czekać o dziesiątej rano na północno-zachodnim krańcu posiadłości pana Sevarina, w pobli u lasku.

Tylko tyle. Wystarczająco du o jednak, by Clayton się uśmiechnął, czytając list. Wstał i pogwizdując, poszedł na górę, by przebrać się w bryczesy.

Rozdział 15

Widok, jaki w środowy ranek powitał Claytona, gdy stanął na wzgórzu, spoglądając na lasek Sevarina, kazał mu ostro powściągnąć konia. W dole stały wszędzie dwukołowe kariolki. Zajmowały je kobiety (łącznie z Anną Gilbert i Amelią Eubank), trzymające wielobarwne parasolki, oraz panowie w swoich najlepszych niedzielnych ubraniach. Mniej zamożni widzowie, którzy nie mieli kariolek, siedzieli na koniach albo też spacerowali wokoło.

Do pełnego obrazu prowincjonalnego jarmarku brakowało jedynie kilku akrobatów w jaskrawych kostiumach i paru onglersów. Właśnie w chwili gdy ksiądz o tym pomyślał, ktoś uniósł trąbkę i zadał na niej dwa razy, a tłum okazał

się publicznością pragnącą widzieć, jak Clayton zjeżdża ze stoku.

Spod przezornie opuszczonych powiek Whitney skierowała długie, rozważne spojrzenie na konia swego przeciwnika. Zobaczyła cztery doskonale kształtne nogi, umięśnioną pierś i zad silnego wierzchowca do polowań z psami, ale ponieważ jej możliwości widzenia z miejsca, gdzie się znajdowała, była ograniczona, zdołała uzyskać jeszcze tylko jedną dodatkową informację: jeździec dosiadający owego konia nosił wysokie, błyszczące brązowe buty i doskonale dopasowane bryczesy ze skóry kozłowej.

– Wybiera pani ów sposób z pistoletami na dwadzieścia kroków, panno Stone?

- zaartował Clayton, ustawiając swego konia na pozycji w linii startowej obok niej.

Whitney uniosła głowę, zamierzając traktować go z chłodną sztywnością, ale jego uśmiech był tak rozbrajający, że sama niemal się uśmiechnęła. Dwaj panowie z sąsiedztwa pośpieszyli do Claytona z życzeniami powodzenia, odrywając jego uwagę od Whitney, która obserwowała, jak z nimi rozmawiał i artował.

Wydawał się tak odprężony, siedząc na grzbiecie swego wspaniałego, potężnego wierzchowca i rozmawiając z owymi ludźmi, okazywał tak dobry humor, że ledwie mogła uwierzyć, i to ten sam nieustępliwy, drapieżny uwodziciel, który polował na nią w swoim domu i ścisnął ją w objęciach, głodnymi wargami rozgniatając jej usta. Przyszło jej na myśl, że są w nim dwaj ludzie: jeden, którego mogłaby bardzo lubić, i drugi, którego się obawiała i nie darzyła zaufaniem... z doskonale oczywistego powodu.

Ojciec Elizabeth kolejny raz zadał w trąbkę i Niebezpieczny Wojak, na którym siedziała, pochylił się gwałtownie.

– Jesteście gotowi? - zawołał Paul do Whitney i Claytona. Kiedy Paul uniósł

pistolet, Whitney nachyliła się w stronę Claytona i ku jego zdumieniu uśmiechnęła serdecznie.

– Gdyby miał pan ochotę jechać moim śladem, sir - powiedziała łagodnie - z radością pokażę drogę.

W odpowiedzi parsknął śmiechem, pistolet wypalił, a koń wyrwał się do przodu. Clayton musiał ostro opaść w dół, by chwycić cugle, które poprzednio wypuścił, i zanim opanował wyrwywającego się wierzchowca, Whitney zyskała znaczną przewagę.

Podkowy Wojownika dudniły na twardej zielonej darni, gdy walczył, by odrobić stratę, ale Clayton przytrzymał go nieco z tyłu, czekając, a skręcili na zachód, galopując wzdłuż strumienia.

– Spokojnie, spokojnie - powściągał swego wyrywającego się do przodu wierzchowca. - Zobaczmy, co ona potrafi, zanim wykonamy nasz ruch.

Przed nimi Niebezpieczny Woja doskonałym skokiem pokonał niski kamienny mur i Clayton uśmiechnął się z aprobatą. Whitney siedziała mocno w siodle, lekka i śliczna. Radziła sobie ze swym nienawykłym do wyścigów wierzchowcem ze znaczną wprawą.

Zanim pokonali zakręt wiodący do ostatniego odcinka wyścigu, Clayton mógł ju dostrzec, e Niebezpieczny Woja zaczyna się męczyć. Decydując się dogonić Whitney na następnym ostrym zakręcie, rozluźnił się w siodle i wysunął do przodu, popuszczając cugle. Wojownik natychmiast rzucił się do przodu długimi krokami.

Szybkim galopem pokonali następny zakręt i... Claytonowi nagle zabrakło tchu. Czarny ogier przeciął mu drogę... bez jeźdźca. Ostro ściągnąwszy wodze Wojownika, Clayton rozglądał się za Whitney z sercem pełnym trwogi.

I wtedy ją zobaczył. Le ała na stercie liści pod wielkim dębem na obrze u lasu, nad nią zaś znajdowała się gruba, stercząca gałąź.

To właśnie owa gałąź musiała zrzucić Whitney z siodła, gdy dziewczyna zbyt ostro wzięła zakręt.

Zeskoczywszy z siodła, podbiegł do niej bardziej przera ony ni kiedykolwiek w całym swoim yciu. Jak szalony szukał pulsu Whitney, a stwierdziwszy, i uderza równo w jej smukłej szyi, zaczął oglądać głowę dziewczyny, chcąc zobaczyć, czy nie jest ranna. Trwoga ogarnęła go na wspomnienie opowieści o ludziach, którzy otrzymawszy cios w skroń, nigdy nie odzyskali przytomności.

Nie znalazłszy adnej rany ani śladu uderzenia, przebiegł dłońmi po rękach i nogach Whitney. Nie wydawało się, by doszło do jakiegoś złamania, więc szybko zdjął swoją jeździecką kurtkę i włożył jej pod głowę. Siadłszy na piętach, zaczął rozcierać nadgarstki dziewczyny.

Gdy poruszyła powiekami, Clayton niemal jęknął z ulgi. Delikatnie gładząc i odsuwając z czoła Whitney cię kie, zmierzwione włosy, pochylił się nad nią.

– Gdzie cię boli? Mo esz mówić?

Morskozielone oczy otworzyły się szeroko, patrząc na niego spokojnie i pewnie. Ma tak piękne oczy... pomyślał, gdy obdarzyła go słabym uspokajającym uśmiechem. Jednak jej pierwsze słowa zniweczyły całą jego czułość.

– Zechciej pamiętać - wyszeptała - e w chwili tego nieszczęśliwego upadku ja miałam przewagę.

Clayton wprost nie mógł uwierzyć własnym uszom. Wstał na niepewnych nogach i oparty o pień drzewa ze zdumieniem wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Pomo esz mi wstać? - zapytała po minucie.

– Nie - odrzekł nieubłaganie, krzyżując ręce na piersi. - Nie pomogę.

– Dobrze - westchnęła, podnosząc się nieco sztywno i wygładzając spódnicę -

ale to bardzo nieszlachetne z twojej strony.

– Nie bardziej nieszlachetne niż twoje symulowanie upadku, gdy zobaczyłaś, że nie utrzymasz przewagi.

Rzuciwszy dziwne spojrzenie, pochyliła się, szybkim ruchem podniosła akiet Clayтона, oczyściła z liści i podała mu go, po czym ze skruchą potrząsnęła głową, ale dostrzegł lekki uśmiezek, który musnął jej wargi.

– To zawsze było jedną z moich najbardziej nieznośnych wad - przyznała z przesadnym westchnieniem - i budziło mój wielki ból, zapewniam cię.

– Co? - zapytał Clayton, tłumiąc rozbawienie z powodu kompletnego braku skruchy na jej ślicznej twarzy.

– Oszustwo - odrzekła powaźnie. - Oszukuję, kiedy uczciwie nie mogę wygrać.

Przezesłała palcami włosy, aby usunąć liście z potarganych loków, a Clayton zaśmiał się do siebie. Potrafiła obrócić wady w zalety, a zalety w wady, czyniąc to bez mrugnienia okiem czy potrząśnięcia śliczną główką.

Podczas gdy Whitney szukała w stercie liści swojej szpicruty, podszedł do konia i wskoczył na siodło. Podjechał do Niebezpiecznego i podprowadził go do Whitney, lecz kiedy sięgnęła po wodze, rozmyślnie skierował konia o krok do przodu, poza zasięg jej ręki.

– Jestem pod takim wrażeniem twojego szczerego wyznania, młoda damo -

wyjaśnił, kiedy opuściła ręce i z niezadowoleniem zmarszczyła brwi - i czuję, że powinienem tak to uczynić wyznaniem. Widzisz, jestem jednym z owych perwersyjnych osobników, którzy gotowi są posunąć się do rzeczy nadzwyczajnych, by uchronić oszusta przed zwycięstwem. W istocie sam jestem gotów oszukać, aby do tego nie dopuścić.

Prowadząc jej konia, oddalił się o kilka kroków, potem odwrócił i spojrzał na nią przez ramię.

Whitney patrzyła na niego z niemą urazą.

– Droga powrotna nie jest długa - przypomniał jej Clayton rozbawionym głosem. - Jeśli jednak wolisz pojechać, z pewnością ktoś lada chwila tu przybędzie, aby zobaczyć, co nas zatrzymało. Ale nie zamierzasz chyba ponownie dosiadać wypoczętego konia, by próbować dokończyć ten wyścig.

Whitney obserwowała spod przymrużonych powiek, jak oddalał się, prowadząc jej wierzchowca.



Skonsternowana i rozgoryczona, smagnęła się w nogę szpicrutą i a jęknęła z bólu. Opadła zdeprymowana na ziemię, by poczekać na ratunek, lecz im dłużej tak siedziała, tym bardziej to wszystko wydawało się komiczne. Wcale nie spadła celowo z konia. Jeśli zrobiła coś niewłaściwego, to tylko głupio spojrzała przez ramię, eby określić, ile czasu zajmie przeciwnikowi dogonienie jej zmęczonego ju wierzchowca. Kiedy się odwróciła, tu przed nią pojawiła się nisko zwisająca gałąź.

Whitney próbowała nadal gniewać się na Claytona za to, e tak bezecnie ją zostawił, ale nie mogła podtrzymać w sobie złości. Wciąż pamiętała, jak bardzo był zatrwoony, kiedy się nad nią pochylał. Głos zachrypl mu z niepokoju, a twarz pobladła ze zdenerwowania, gdy powtarzał: „Ju dobrze, maleńka, ju dobrze...”.

Wyrwała z ziemi garść trawy i z westchnieniem cisnęła ją w bok. Jak e pragnęła, aby Westland zechciał być po prostu jej przyjacielem. Byłby tak cudownym przyjacielem, myślała. Umiał zachowywać się tak czarująco i zabawnie, potrafił sprawić, e się śmiała. Być mo e kiedy będzie mę atką, Clayton przestanie widzieć w niej ewentualną ofiarę swoich zapędów i wtedy będą mogli zostać przyjaciółmi. Być mo e...

Zapomniała o Claytonie, gdy tylko Paul przygalopował do zakrętu i ostro ściągnął obok niej konia. Kiedy zobaczył, e Whitney siedzi na trawie, niepokój na jego twarzy ustąpił miejsca irytacji.

– Czy mo esz mi wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje, e ilekroć ty i Westland znajdujecie się razem, to oboje natychmiast gdzieś znikacie? - domagał się gniewnie odpowiedzi.

W chwili gdy Clayton wjechał do lasku, prowadząc Niebezpiecznego, z piersi widzów wyrwał się okrzyk trwogi. Wszyscy pośpieszyli do przodu z lady Gilbert na czele.

– Co się stało? - krzyczała Anne. - Gdzie moja siostrzenica?

– Niebawem tu będzie - uspokoił ją Clayton i odwróciwszy się w siodle, obserwował Whitney, siedzącą po damsku przed Sevarinem.

Kiedy ją zobaczył, zmienił swą wcześniejszą opinię o tym, czemu rozstała się ze swoim koniem w czasie tego wyścigu. Nie zrobiła tego umyślnie, zrozumiał.

To po prostu nie byłoby w stylu Whitney.

Na linii mety dziewczyna zsunęła się z konia Paula i spojrzała niepewnie na swego przeciwnika, zastanawiając się, co powiedział zebranym. Widzowie podbiegli do niej, a ci, którzy wcześniej założyli się o wynik wyścigu, wołali, by podała im ostateczny rezultat.

Pochylając się, Clayton chwycił ją pod pachy i podniósł na konia tak, by siedziała przed nim.

– Czekają, ebyś powiedziała, kto wygrał wyścig - oznajmił, ignorując jej urazę spowodowaną tak bezceremonialnym potraktowaniem.

– Mój koń osłabł niedaleko stąd - wyjaśniła Whitney. - Wygrał pan Westland -

ogłosiła, po czym odwróciwszy się do Clayтона, dodała szeptem: - A naprawdę nie ma zwyczajcy.

Brwi mę czynny uniosły się drwiąco.

- Twój koń się zmęczył i zmierzałaś ku przegranej - oświadczył. - Jesteś wystarczająco dobrym jeźdźcem, byś zrozumiała to już o wcześniej, zanim spadałaś.

- Miło mi, e gotów jesteś przynajmniej to docenić - odparła sztywno Whitney.

- Clayton się roześmiał.

- Gdybyś miała choćby najmniejsze pojęcie, jak wiele w tobie doceniam, byłabyś zdumiona.

Zanim zdołała rozważyć to niejasne oświadczenie, Clayton lekko zsadził ją z konia. Stojąc obok Paula, obserwowała, jak odwrócił swego wierzchowca i pogalopował przez szczyt wzgórza.

Czwartek minął, dając Whitney niewiele zajęcia. Paul zajęty był

przygotowaniem się do podróży, więc spędziła ten dzień, pomagając w przygotowaniach do sobotniego przyjęcia z okazji urodzin ojca i odrabiając zaległości w korespondencji do przyjaciół w Paryżu.

W piątkowy poranek napisała długi list do Emily, która wróciła do Londynu.

Pokusa przerwania dobrowolnego, niemal zabobonnego milczenia na temat Paula była trudna do zniesienia, więc napomknęła, e niebawem dostarczy przyjaciółce pewnych bardzo ekscytujących wieści. Zakończyła obietnicą zwołania jej wizyty w Londynie; obietnicą, którą, Whitney była tego pewna, spełni bardzo szybko, gdy będzie musiała zamówić ślubną suknię i wyprawę.

Kiedy zaś tam będzie, postanowiła wesoło, poprosi Emily, aby czyniła na jej weselu honory gospodyni.

Zaniosła listy na dół, by je wysłano i zobaczyła, e przybył z wizytą Clayton Westland. Gawędził przyjaźnie z lady Anną w ówym salonie i wstał

uprzejmie, gdy Whitney do nich podeszła.

- Przyjechałem, by się upewnić, e doszła pani do siebie po przedwczorajszym wypadku - powiedział, a w jego głosie nie było zwykłej prześmiewczej ironii.

Whitney zrozumiała, e był to jego sposób przeprosin za posądzenie, i symulowała upadek.

- Całkiem doszłam do siebie - zapewniła go.

- Doskonale - odrzekł. - Zatem nie będzie pani mogła tłumaczyć się ani znaczeniem myśli, ani chorobą, jeśli znów wygram z panią w szachy. Dziś po południu?

Whitney rzuciła się na tę przynętę jak pstrąg na muchę, co skończyło się tak, i znaczną część tego dnia

spędziła przyjemnie pochłonięta zmaganiem i przekomarzaniem się z nim nad szachownicą, podczas gdy ciocia siedziała na sofie jako uśmiechnięta przyzwoitka, a jej palce zwinnie fruwały nad robótką.

Leżąc tego wieczoru w łóżku, Whitney długo przywoływała sen, który jednak nie przychodził. Uniosła rękę i w ciemności patrzyła na swoje długie palce. Czy jutro znajdzie się tu zaręczynowy pierścienek? Było to możliwe, jeśli tylko ojciec wróci jutro wystarczająco wcześnie, by Paul mógł z nim porozmawiać. Wtedy mogliby ogłosić zaręczyny na wieczornym przyjęciu.

Nie tylko ona nie mogła dziś zasnąć. Z rękami splecionymi nad głową Clayton wpatrywał się w sufit nad łóżkiem, z przyjemnością myśląc o ich nocy poślubnej. Krew się w nim burzyła, gdy wyobraził sobie gładkie jak jedwab, smukłe ciało leżące pod nim Whitney, jej biodra wychodzące na spotkanie jego pośladki. Była dziewczyną, zadba więc o to, by rozbudzić ją delikatnie, a będzie jęczeć z rozkoszy w jego ramionach.

Z tą zachwycającą myślą obrócił się na bok i zapadł w sen.

## Rozdział 16

Lady Gilbert obudził gwar dziwnie znanych głosów dźwięczących w holu radosnymi powitaniem. Zamrugała oczami w oślepiającym blasku słońca i uświadomiła sobie, że w głowie jej huczy, a jednocześnie ogarniają ją złe przeczucia.

Przyjęcie-niespodzianka z okazji urodzin ojca było pomysłem Whitney, który Annę natychmiast poparła, mając nadzieję, że być może zbliży to Martina do córki. Nie wiedziała jednak wówczas o umowie, jaką zawarł z księciem Claymore'em pan Stone. Teraz niepokoiła się, że któryś z przybyłych gości może rozpoznać Westmorelanda, a wtedy tylko Bóg wie, co się stanie z tymi wszystkimi pieczołowicie przygotowanymi planami Martina i Clayтона.

Wyciągnąwszy rękę, pociągnęła za szarfę dzwonka, by przywołać pokojówkę, i z ociąganiem wstała z łóżka, nie mogąc otrząsnąć się ze złych przeczuc.

Zapadł już zmierzch, gdy lokaj zapukał wreszcie do drzwi sypialni Whitney i powiedział, że ojciec wrócił.

– Dziękuję, Sewell - odrzekła zniechęcona.

Dzisiejszy wieczór byłby doskonałą okazją ogłoszenia jej zaręczyn; w przyjęciu mieli uczestniczyć Ashtonowie i Merrytonowie oraz wszyscy liczący się sąsiedzi. Jak chciała zobaczyć reakcję ich wszystkich na wiadomość, że Paul i ona zamierzają się pobrać.

Wciąż jednak, myślała z nadzieją, namydlając się mydłem pachnącym goździkami, istniała szansa, że Paul znajdzie jakąś sposobność, aby w czasie przyjęcia odciągnąć na bok jej ojca. Wtedy zdołaliby jeszcze dziś wieczorem ogłosić zaręczyny.

Trzy kwadransy później pokojówka Clarissa cofnęła się o krok, by ocenić wygląd swej pani, która posłusznie poddawała się lustracji.

Elegancka jedwabna suknia w kolorze kości słoniowej lśniła w świetle świec, a jej stanik z głębokim, kwadratowym dekoltem ciasno przylegał do biustu, ukazując kuszące wgłębienie między piersiami. Szerokie bufiaste rękawy ujęte były w topazowy jedwab od łokci do nadgarstków, a dopasowana do nich topazowa lamówka zdobiła dół sukni, która z przodu opadała prosto, lekko rozszerzając się ku dołowi, oglądana z tyłu zaś rozkładała się we wdzięczny, fałdzisty tren. Topazy i diamenty lśniły te na szyi i w uszach Whitney, dodając blasku do sznuru klejnotów wplecionych w gęste, lśniące pukle pracowicie ułożonych włosów.

– Wyglądasz jak księżniczka - obwieściła z dumą Clarissa.

Z dołu dobiegły Whitney głosy cichutko schodzących się gości.

Kamerdynerowi ojca polecono, by powiadomił pana, że będzie kilka osób na kolacji, która zacznie się o siódmej. Whitney rzuciła okiem na zegar: jeszcze pół

godziny. Serce podskoczyło jej na myśl, jaką miłą niespodzianką będzie dla ojca spotkanie z krewnymi, którzy przybyli z Bath, Brighton, Londynu i Hampshire, by świętować jego urodziny. Pomyślała, że poprosi Sewella, by spróbował

trochę uciszyć gości i wysunęła się z pokoju, aby zejść do holu.

Na galerii, przechylając się i spoglądając w dół, stał ojciec z fularem zwisającym luźno z nakrochmalonej białej koszuli. Już po niespodziance, pomyślała ponuro Whitney, stając obok niego. W dole przybywający nieprzerwanym strumieniem miejscowi goście donośnym szeptem wymieniali pozdrowienia, a zaniepokojony Sewell kierował ich do salonu i upominał.

– Panie i panowie... madame, sir... jestem zmuszony prosić, by rozmawiali państwo nieco ciszej...

Zdumione spojrzenie ojca przeniosło się z gości, których zobaczył w dole, na długi podest, na którym otworzyły się i szybko zatrzasnęły ponownie drzwi do dwóch sypialni, gdy krewni ujrzeni, a dzisiejszy gość honorowy stoi na galerii.

Whitney wycisnęła nieśmiały pocałunek na jego szorstkim, nieogolonym policzku.

– Przyjechali, aby uczcić twoje urodziny, papo. Powiedziałyby, że mimo surowej miny był wzruszony.

– Rozumiem, że miała to być niespodzianka, ja zaś miałem nie zauważyć owego hałasu w domu?

– No właśnie. - Whitney się uśmiechnęła.

– Spróbuję, moja droga. - Niezręcznie poklepał ją po ramieniu, gdy nagle rozległ się przeszywający dźwięk szkła rozbijającego się na podłodze.

– O mój Boże, Boże miłosierny! - zadzwęczał poruszony kobiecy głos.

Martin, lekko pochyliwszy głowę, rozpoznał te wibrujące dźwięki i uśmiechnął się.

- Letycja Pinkerton! To jej ulubiony i jedyny sposób wyrażania konsternacji -

powiedział, po czym spojrzał na Whitney i dodał: -Doprowadzałem twoją drogą matkę do spazmów, groźne, a nauczę Letycję mówić „Cholera!”.

Po tych słowach odwrócił się i pomaszerował do swojej sypialni, zostawiając córkę wpatrzoną w niego z niemym rozbawieniem.

Pół godziny później, z Whitney i lady Annę Gilbert po obu stronach, Martin ruszył do salonu. Na skinienie dziewczyny lokaj Sewell szeroko otworzył drzwi i jubilata powitały wylewne okrzyki: „Niespodzianka!” i „Wszystkiego najlepszego!”.

Annę ruszyła do przodu, by zacząć pełnić obowiązki gospodyni, gdy zatrzymał ją odzwierny.

– Proszę mi wybaczyć, łaskawa pani, ale specjalny posłaniec właśnie w tej chwili przywiózł ten list i Sewell polecił, bym dostarczył go bezpośrednio pani.

Annę spojrzała na kopertę i zobaczyła znany charakter pisma Edwarda. Z

westchnieniem radosnej ulgi wzięła list od słuchającego i pośpiesznie złamała pieczęć.

Whitney rozglądała się za Paulem, a skoro nie dostrzegła go natychmiast, poszła do jadalni, eby się upewnić, i wszystko jest dokładnie tak, jak wraz z ciocią zaplanowały.

Szerokie drzwi dzielące salon od jadalni zostały rozsunięte, stwarzając rozległą przestrzeń. Ustawiono tam małe stoły, z których każdy przeznaczony był dla sześciu osób. Ogromne pęki czerwonych, białych i różowych wypełniały wielkie srebrne wazony na wysokich postumentach. Srebra i kryształy lśniły w blasku świec, a wszystkie stoły nakryte były najpiękniejszymi białymi obrusami matki Whitney.

Whitney przeszła przez salon i zajrzała do sali balowej, podobnie jak inne pomieszczenia ozdobionej bukietaми różnymi, które ujęte były koloru i wyrazu chłodnemu i surowemu wnętrzu.

Usłyszawszy za sobą głęboki głos Paula, odwróciła się z czułym uśmiechem.

– Tęskniłem za tobą - powiedział. Jego wzrok przesunął się z uznaniem po eleganckiej sukni barwy kości słoniowej, a potem powędrował ku rozpromienionej twarzy dziewczyny. - Kto by pomyślał - wyszeptał, przyciągając ją do siebie i długo całując z czułością - e zmienisz się w taką piękność?

Oczy lady Gilbert wchodzącej do jadalni wciąż pochłaniały treść listu Edwarda. Spostrzegając kremową suknię siostrzenicy w drugim końcu długiego pokoju, Annę natychmiast zwróciła się do dziewczyny radosnym głosem:

– Kochanie, wreszcie dostałam wiadomość od twojego opieszalego wujka. Jest na urlopie... - Podniósłszy wzrok, ujrzała pośpiesznie odsuwających się od siebie Whitney i Paula i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Dobrze, ciociu Annę - wyjaśniła Whitney, rumieniąc się ślicznie. - Od wielu dni wprost umierałam z ochoty, eby ci to powiedzieć, i ju nie mogę czekać dłużej. Paul i ja zamierzamy się pobrać, gdy tylko Paul otrzyma zgodę papy.

Dziś wieczorem postara się z nim porozmawiać, abyśmy... Ciociu Annę? -

spytała zdumiona dziewczyna, gdy lady Annę odwróciła się i szybko wyszła. Najwyraźniej nawet nie usłyszała tego, co powiedziała Whitney. -

Dokąd idziesz?

– Zamierzam nalać sobie bardzo duży kieliszek burgunda - obwieściła lady Gilbert.

W zdumionym milczeniu Whitney przyglądała się, jak ciocia sięga po kryształową szklaneczkę i a po brzeg napełnia ją winem.

– A skoro ju wypiałam ten kielich - dodała ciotka, przekładając go do lewej ręki, a prawą sięgając do swej fiołkowej owej jedwabnej spódnicy - wypiję jeszcze jeden - oświadczyła i królewskim krokiem wyszła z pokoju. - Dobry wieczór, panie Sevarin - powiedziała i lekko skłoniła swoją głowę, przechodząc obok Paula. - Miło widzieć pana ponownie.

– Rano będzie mieć cię ką głowę, jeśli zamierza nadal tak raczyć się winem -

zauważył kwaśno Paul.

– Głowę? - Whitney spojrzała na niego z troską i zakłopotaniem.

– Tak, głowę. Ty zaś, moja miła, będziesz mieć dziś pełne ręce roboty -

powiedział i ujmując Whitney za osłonięty jedwabiem łokieć, niechętnie pokierował ją w stronę salonu. - Jeśli nie mylę się w przypuszczeniach, twoja ciocia nie będzie ci zbyt pomocna w podejmowaniu gości.

Przewidywania Paula okazały się słuszne, pomyślała Whitney z westchnieniem godzinę później, gdy stojąc u wejścia do salonu, witała ostatnich przybyłych na przyjęcie sąsiadów. We Francji ciocia Annę zawsze brała na siebie niekończące się obowiązki spoczywające na gospodyni; teraz Whitney, sama niosąc brzemień odpowiedzialności, czuła się tak, jakby potrzebna jej była dodatkowa para oczu i uszu.

Gestem poleciła słuchającym przejść między gośćmi z kolejnymi tacami trunków, a gdy potem odwróciła się, by powitać lady Eubank, ze zgrozą dostrzegła przerażające połączenie purpurowego turbanu i czerwonej sukni leciwej matrony.

– Dobry wieczór, lady Eubank - zdołała powiedzieć, walcząc ze śmiechem.

Całkowicie ignorując to powitanie, lady Eubank uniosła monokl i rozejrzała się po salonie.

- Nie wygląda mi to na „dobry wieczór”, panienko - parsknęła. - Widzę, e pan Sevarin stoi tam z Elizabeth Ashton z jednej strony i córką Merrytonów z drugiej. I nawet nie dostrzegam tu Westlanda.  
- Wypuściła z ręki monokl i niezadowolona, gniewnie spojrzała na Whitney. - Zaufałam twojej odwadze, dziewczyno, a ty sprawiasz mi zawód. Myślałam, e usidlisz owego kawalera na oczach naszych nudnych sąsiadów. Na poły oczekiwałam nawet, e usłyszę ogłoszenie zaręczyn, a zamiast tego znajduję cię samą i...

Whitney nie zdołała powstrzymać promiennego uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz.

- Usidliłam go i usłyszysz pani wieść o zaręczynach. Jeśli nie dzisiaj wieczorem, to ju niebawem, gdy tylko Paul wróci z podró y.

- Paul...? - powtórzyła jak echo i pierwszy raz od chwili gdy Whitney poznała tę damę, lady Eubank najwyraźniej zabrakło słów. - Paul Sevarin? -

powtórzyła i nagle wyraz niezmaconej wesołości zatańczył w jej oczach, gdy ponownie badawczo przyjrzała się tłumowi gości. - A Westland przyjdzie tu dzisiaj?

- Tak.

- To dobrze - odrzekła dostojna matrona i zaczęła się śmiać. -Powinien to więc być nader zabawny wieczór. Najzabawniejszy. -Ze śmiechem powędrowała w głąb salonu.

O wpół do dziesiątej rzeka gości zmieniała się w strumyk. Stojąc przy wejściu, gdzie witała spóźnionych, Whitney usłyszała, jak jeden z nich rozmawia z Sewellem. Chwilę później w drzwiach pojawił się Clayton Westland.

Whitney przyjrzała mu się, gdy do niej podchodził. Wydawał się niemal oszałamiająco przystojny w doskonale skrojonym czarnym wieczorowym stroju, który świetnie le ał na jego szerokich ramionach i długich nogach, wspaniale kontrastując z olśniewająco białą koszulą i abotem.

W nastroju swobodnej przyjaźni, która nawiązała się między nimi owego szachowego popołudnia dwa dni temu, Whitney uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu obie ręce w serdecznym geście powitania.

- Zaczynałam ju myśleć,

e nie przyjdiesz - powiedziała. Westland

uśmiechnął się z satysfakcją, ujmując jej dłonie.

- To brzmi tak wspaniale, jakbyś mnie wypatrywała i czekała na mnie.

- Wiesz, e gdyby nawet tak było, nigdy bym się nie przyznała. - Whitney się roześmiała.

Patrząc na Clayтона, ledwie mogła dać wiarę swemu wcześniejszemu przekonaniu, e jest pozbawionym zasad don uanem pragnącym ją uwieść, a potem uświadomiła sobie, e wciąż ściska jej

dłonie w swoich i stoi tak blisko niej, i nakrochmalone koronki jego abotu lekko ocierają się o stanik jej sukni.

Za enowana wyciągnęła dłonie z rąk przybyłego i zrobiła mały krok w tył.

Clayton uśmiechnął się kpiąco na tę przezorną rejteradę, ale jej nie skomentował.

– Jeśli przegranie z tobą we wtorek dwóch partii szachów wreszcie zaskarbiło mi twoje łaski - zaartował - to obiecuję, e pozwolę ci się pokonywać we wszystkich przyszłych konkurencjach.

– Wcale nie pozwoliłeś mi wygrać - przypomniała mu Whitney z gniewnym, rzuconym z ukosa spojrzeniem, a dostrzegłszy lokaja, dała mu znak, by do nich podszedł i z wdziękiem doskonałej gospodyni poprosiła, by przyniósł

brandy dla pana Westlanda. Kiedy ponownie odwróciła się do gościa, dostrzegła, jaką przyjemność sprawił mu fakt, e zapamiętała, co najchętniej pije.

Zobaczyła tę przyjemność w jego oczach.

– Wydaje się, e jesteśmy w punkcie wyjścia. Ja wygrałem wyścig, ty zaś większość partii szachów. Jak więc zdołamy dowieść, kto z nas jest lepszym mę czyzną?

– Jesteś niemo liwy! - powiedziała ze śmiechem. - To, i uwa am, e kobieta powinna być równie dobrze wykształcona jak mę czyzna, wcale nie oznacza, e pragnę być mę czyzną.

– Bardzo dobrze - odparł, znacząco wędrując wzrokiem po jej wspaniałych rysach i ponętnej figurze.

Ta jego serdecznie bliska, intymna aprobata sprawiła, i tętno Whitney podskoczyło gwałtownie w zdumiewającym połączeniu podniecenia i trwogi.

– W ka dym razie - mówił dalej - wątpię, czy istnieje jakaś inna umiejętność, w której moglibyśmy rywalizować. Moje dziecięce zabawy i gonitwy były naturalnie bardziej dynamiczne ni twoje, które z pewnością pozostawały dystyngowane i stateczne.

Whitney błysnęła ku niemu zawadiackim uśmiechem.

– Jak sobie radzisz z procą?

Ręka Clayтона sięgająca po kieliszek przyniesiony mu przez lokaja zatrzymała się w powietrzu.

– Potrafisz strzelać z procy? - zapytał z tak ogromnym niedowierzaniem, e wybuchnęła śmiechem.

– Nie opowiadałabym o tym ka demu - odrzekła, przysuwając się nieco bli ej, choć jednocześnie czujnym okiem pilnowała, by goście bawili się dobrze -

kiedyś jednak potrafiłam strącić płatki stokrotki z siedemdziesięciu pięciu kroków.



Mówiąc to, zobaczyła, e po drugiej stronie pokoju Paul ruszył w stronę jej ojca i przez chwilę wyglądało na to, e będzie mógł porozmawiać z nim sam na sam, ale z przeciwka ju zmięrzali ku Martinowi dwaj krewni. Whitney westchnęła w duchu.

Clayton wiedział, e dziewczyna powinna zajmować się gośćmi i e absorbuje jej czas, lecz wyglądała tak diabelnie ślicznie, e nie chciał od niej odejść. Poza tym właściwie z nim flirtowała i cieszył się ka dą chwilą.

– Jestem pod wra niem - wyszeptał.

Whitney ledwie dostrzegła uwodzicielski ton w jego głosie. Przyglądała się, jak jeden z jej podstarzałych wujów podchodzi do roześmianej grupy gości.

– Czy ktoś z was zna się na prehistorycznych skałach? - donośnie dopytywał

się Hubert Pinkerton. - Piekielnie interesujący temat. Zaczniemy od ery mezozoicznej...

Whitney obserwowała, jak wesołość rozmawiających zmieniła się w uprzejmą uwagę, a następnie w powściąganą niechęć. A ona tak chciała, by urodzinowe przyjęcie ojca było wesołe i ywe!

Odwróciła się do Claytona, zamierzając go opuścić, by spróbować odciągnąć nudnego krewniaka od grupy gości.

– Zechciej mi wybaczyć. - Obróciła ju głowę, gdy podszedł zaafierowany lokaj, mówiąc, e kończy się szampan. Tu za nim pojawił się następny, prosząc o polecenia co do kolacji.

Po za egnaniu obydwu niewielkich problemów dziewczyna spojrzała przepraszająco na Claytona i zobaczyła, jak zmarszczywszy brwi, rozglądał się po pokoju.

– Gdzie twoja ciocia? Dlaczego ci nie pomaga?

– Czuje się trochę niedysponowana - wyjaśniła nieprzekonywająco Whitney, obserwując, jak obrzucił przenikliwym spojrzeniem lady Annę, która ściskając puchar wina, wyglądała w odrętwieniu za okno.

– Wybacz mi, proszę - odezwała się dziewczyna, wskazując głową pana Pinkertona. - Muszę uratować tych ludzi przed wujkiem Hubertem. Zameczy wszystkich do nieprzytomności, opowiadając o prehistorycznych formacjach skalnych, a oni ju wydają się wystarczająco znudzeni.

– Przedstaw mnie swemu wujowi - zaproponował Clayton, a kiedy spojrzała na niego zdumiona, dodał: - Odwrócę jego uwagę, tak abyś mogła zająć się resztą gości.

Z wdzięcznością dokonała prezentacji, a potem z podziwem patrzyła, jak Westland skłonił się starszemu panu i gładko zaczął rozmowę.

– Właśnie mówiłem pannie Stone, jak ucieszyłaby mnie pogawędka o naszym wspólnym zainteresowaniu formacjami skalnymi ery mezozoicznej. -

Promieniejąc entuzjazmem, Clayton odwrócił się do Whitney i rzekł: -

Zechce nam pani wybaczyć, panno Stone? Pani wuj i ja mamy bardzo wiele do przedyskutowania.

Realizował to jawne oszustwo z taką zrećnością, e Whitney wprost nie mogła oderwać od niego oczu, gdy prowadząc wujka Huberta do pustego kąta salonu, wydawał się całkowicie pochłonięty opowiadaniem o skałach.

Długi, pełen napięcia i lęku dzień, gdy Whitney oczekiwała na powrót ojca, dał o sobie znać zmęczeniem. O wpół do jedenastej, kiedy łagodnie nakłaniała maruderów, by wchodzili do jadalni, sama marzyła ju tylko o znalezieniu jakiegoś cichego kącika, gdzie mogłaby odpocząć. Uczestnicy przyjęcia przechodzili obok najdłu szego stołu, napełniając talerze z okazałych półmisków, gdy nagle rozmawiających z o ywieniem gości zaintrygował

nieoczekiwany okrzyk ojca Elizabeth Ashton.

- Mówisz więc, e ksią ę Claymore zniknął? - pytał krewnego z Londynu. -

Masz na myśli Westmorelanda? - upewniał się tak, jakby nie mógł uwierzyć, e dobrze usłyszał.

- Tak. Sądziłem, e wszyscy o tym wiedzą - odrzekł jego rozmówca ju głośniejszym głosem, by usłyszeli go inni goście, którzy obrócili ku niemu głowy. -

Wczoraj pisano o tym w gazetach. Londyn a huczy od domysłów, gdzie mo e być ksią ę.

Temperatura rozmów osiągnęła stadium gorączki. Sąsiedzi Whitney z talerzami w dłoniach tłoczyli się przy stołach, gdzie lepiej poinformowani goście z miasta dzielili się frapującymi wiadomościami. Po kolacji wprost nie mo na było przedrzeć się przez ludzi stojących między stolikami i dyskutujących o zniknięciu księcia. Whitney stała w grupie, która obejmowała ciocię Annę, lady Eubank i Claytona Westlanda, podczas gdy Paul, uwięziony bezradnie po przeciwnej stronie jadalni, wciśnięty był między Elizabeth Ashton i Petera Redferna i nie mógł do niej podejść.

- O tej porze roku Claymore przebywa zwykle we Francji - zauwa ył ktoś.

- Tak pan myśli? - zapytała lady Annę z twarzą błyszczącą ywym

zainteresowaniem, które Whitney przypisała zbyt du ej ilości wina.

Na pierwszą wzmiankę o księciu roztargnienie i obojętność cioci zniknęły.

Jednak podczas gdy lady Annę wyraźnie o ywiły plotki i domysły związane z owym człowiekiem, ojciec Whitney wydawał się zniecierpliwiony i zdenerwowany całą sprawą i raz za razem gasił zgoła nietypowe pragnienie whisky.

Whitney temat ów wydał się wyjątkowo nudny i tłumiła ziewanie.

- Jesteś zmęczona, maleńka? - szepnął tu obok niej Clayton.

– Tak - przyznała się, gdy przeloł jej rękę przez zgięcie swego ramienia, nakrywając ją silnymi palcami, jakby chciał oddać jej trochę własnej siły.

Nie powinien tak jej nazywać, pomyślała, i nie powinien trzymać jej za rękę w tak poufały sposób, ale była mu zbyt wdzięczna za dzisiejszą pomoc, by przywiązywać wagę do tych drobiazgów.

– Słyszałam, e jego kochanka w zeszłym miesiącu odebrała sobie ycie w Pary u - powiedziała Margaret Merryton, zwracając się do oszołomionych słuchaczy. - Widocznie Claymore ją rzucił i się załamała. Odwołała europejskie tournee, odizolowała się od towarzystwa i...

– ...i wydaje teraz fortunę - zimno wtrąciła lady Eubank - na odnowienie wiejskiej posiadłości, którą właśnie kupiła! Spodziewasz się, e uwierzymy, i jest duchem, gąsko?

Czerwieniąc się ze złości z powodu ostrego języka starej damy, Margaret obróciła się i spojrzała błagalnie na Claytona.

– Pan Westland był ostatnio w Pary u i Londynie. Pan na pewno słyszał o tym samobójstwie? - zapytała.

– Nie - odparł krótko. - O niczym takim nie słyszałem. Rozwa ania ojca Margaret skierowały się ku czemu innemu.

– A zatem pani St. Allermain kupiła jakąś wiejską posiadłość i wydaje fortunę na jej odnowienie, czy tak? - zapytał z namysłem, głaszcząc swą kocią bródkę, a śmiech zadudnił mu w piersiach, gdy powoli obrócił chytre spojrzenie ku zebranych panom. - Wygląda na to, jakby Claymore przeniósł

ją na emeryturę... z niezłą premią za dobre sprawowanie!

Whitney poczuła pod palcami,

e mięśnie ramienia Westlanda nagle

stwardniały. Unosząc głowę, by zobaczyć jego twarz, zauwa yła, e spoglądał

na pana Merrytona i pozostałych d entelmenów z wyrazem tak wielkiego niesmaku i zimnego znudzenia, e niemal się wzdrygnęła. Kiedy jednak nieoczekiwanie spojrzenie Claytona ześlizgnęło się na nią, na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

W głębi duszy ksią ę wcale się nie uśmiechał. Był wściekły na swego sekretarza, e nie zdołał poło yć kresu spekulacjom na temat miejsca jego pobytu przez puszczenie w obieg informacji o jakimkolwiek woja u! W duchu ju dyktował ostry list z reprimendą do tego człowieka, gdy z najwyszą przykrością uświadomił sobie, e goście zakładali się teraz o to, jak brzmi nazwisko jego następnej kochanki.

– Stawiam pięć funtów na hrabinę Dorotheę - powiedział pan Ashton. - Czy ktoś przyjmuje zakład?

– W rzeczy samej, ja! - oświadczył pan Merryton, śmiejąc się przebiegle. -

Hrabina to pieśń przeszłości! Kręciła się koło Claymore^ pięć lat temu, nawet pojechała za nim do Francji, gdy nieszczęsny stary hrabia był jeszcze na łożu śmierci. I co się stało?... Powiem wam, co: Claymore na oczach połowy Pary a udał, e jej nie widzi. Następna będzie lady Vanessa Stanfield i księżę się z nią oeni. Ona czeka na to cierpliwie od swego debiutu. Stawiam pięć funtów, e uwaga jego wysokości zwróci się teraz ku lady Stanfield i w końcu Westmoreland poślubi tę młodą damę. Czy ktoś podejmie ten zakład?

Cała ta rozmowa była zbyt swobodna w obecności pań i Whitney z wielką ulgą zobaczyła, e jej ciocia w końcu zamierza interweniować.

– Panie Merryton - odezwała się lady Annę, czekając a zwróci na nią całą swoją uwagę - zało y się pan o dziesięć funtów?

Po tak nielicującej z godnością damy propozycji lady Gilbert zapadła głucha cisza i Whitney ucieszyła się, gdy zduszony śmiech jej towarzysza sprawił, i wszystko wydało się jedynie dobrą zabawą.

– A pan, panie Westland? - promiennie pytała dalej ciocia Annę. - Zało y się pan, e lady Stanfield będzie przyszlą księżną Claymore?

Na jego twarzy odmalował się wyraz rozbawienia.

– Z pewnością nie. Z najlepiej poinformowanego źródła wiem, e

Westmoreland postanowił poślubić pewną czarującą brunetkę, którą poznał w Pary u.

Whitney dostrzegła chytre, przenikliwe spojrzenie, którym lady Eubank obrzuciła Claytona, ale zapomniała o nim, kiedy odezwała się następna osoba.

– W pańskim nazwisku, panie Westland, tkwi szczególne podobieństwo z nazwiskiem księcia. Czy nie jest pan z nim przypadkiem w jakiś sposób spokrewniony?

– Jesteśmy sobie bli si ni bracia - odrzekł natychmiast Clayton z łobuzerskim uśmiechem, który sprawił, i wydało się to wyborym artem.

Od tej chwili rozmowa skierowała się ku niedokładnym opisom rozległych księżycych posiadłości oraz koni z jego słynnych stajni, a potem nieuchronnie powróciła do kolejnych opowieści o księżycych kochankach i miłosnych podbojach.

Clayton zerkał spod oka na swą przyszlą onę, by zobaczyć, czy uwa nie słucha (a zatem czy będzie go szanować na podstawie tego, co usłyszała) i ujrzał, e Whitney ziewa, zakrywając usta smukłymi palcami.

– Nie martwisz się o przyszlą księżną Claymore? - zapytał, udając artobliwy ton.

Przyłapana na ziewnięciu dziewczyna spojrzała zmieszana na jego twarz, po czym uśmiechnęła się spokojnym, nieświadomie prowokacyjnym uśmiechem, który wywołał w sercu Claytona świe ą falę

czystego płomiennego po ądania, i wygładziwszy jedwabny stanik sukni, szykowała się do odejścia.

– Oczywiście, e się martwię - szepnęła powa nie. -

ywię najgłębsze

współczucie dla ka dej kobiety, która poślubi tego nikczemnego, rozwiązłego, amoralnego, lubie nego uwodziciela!

Z tymi słowami odwróciła się i skierowała ku sali balowej, eby powiedzieć muzykom, by zaczęli grać.

Paul nie miał najmniejszej sposobności, eby porozmawiać z ojcem Whitney, która z bijącym sercem obserwowała wskazówki zegara zbli ające się do północy. Podczas jedyne go wspólnego tańca starannie wybrała chwilę jego wyjścia, aby egnając się, mogli spędzić kilka kradzionych minut razem.

Szepcząc słowa przeprosin, ujęła fałdy sukni i dyskretnie podą yła za Paulem, gdy wyszedł z sali.

Oparty o gotycki filar, Clayton uniósł kieliszek do ust i obserwował z mieszaniną irytacji i dumy posiadacza, jak Whitney dyskretnie rozejrzała się wokół, a potem zaczęła wychodzić za Sevarinem z salonu. Jeden z gości zagroził jej drogę i choć Clayton przyglądał się tej scenie, Paul wrócił do sali balowej i porzuciwszy wszelkie pozory, wziął dziewczynę za ramię i odciągnął

na bok.

Ten szczególny władczy gest przeszył księcia ostrym gniewem. Dlaczego, zastanawiał się, stoi tu jak głupiec, znosząc cierpliwie zaloty córki Merrytona, podczas gdy jego narzeczona wychodzi prowadzona przez innego mę czyznę? Z

sardonicznym uśmiechem kontemplował satysfakcję, jaką mógłby uzyskać, przemierzając salę kilkunastoma szybkimi krokami i informując Sevarina, e nie lubi, gdy inny mę czyzna dotyka jego narzeczonej. Potem w kilku zdaniach mógłby poinformować Whitney, e jego „nikczemne, lubie ne” uczucia na zawsze zostały w niej ulokowane i e powinna przygotowywać się do ślubu, który odbędzie się przed upływem tygodnia!

Powa nie zastanawiał się nad zrobieniem tego, gdy niemal zwała się na niego Amelia Eubank.

– Margaret - warknęła bezlitośnie - przestań wisieć na panu Westlandzie i idź

poprawić sobie fryzurę. - Bez śladu sympatii patrzyła, jak dziewczyna zarumieniła się ze złości, po czym odwróciła się i odeszła. - Paskudna pannica - powiedziała stara dama do Clayтона. - Ta dziewczyna jest samą złościwością i zawziętością połączoną w yle złości. Jej rodzice wydają wszystkie pieniądze, jakie mogą uciulać, by wysłać ją do Londynu i zaprezentować w dobrym towarzystwie. Nie mogą sobie na to pozwolić, więc do niego nie nale y. Ona tak e o tym wie, i chyba dlatego jest tak podła.

Zdając sobie sprawę, że Clayton nie zwraca na nią uwagi, Amelia Eubank dyskretnie odwróciła owiniętą turbanem głowę, by poznać obiekt jego szczególnego zainteresowania. Na linii wzroku mężczyzny, co spostrzegła z lekkim uśmiechem, znajdowała się powracająca właśnie do sali Whitney Stone.

– No cóż, Claymore — odezwała się lady Amelia — jeśli ową „czarującą brunetką” jest osoba, o której myślę, to zastanawiałeś się zbyt długo. Jej zaręczyny z Sevarinem mają być ogłoszone zaraz po jego powrocie.

Oczy księcia zrobiły się zimne i cyniczne.

– Proszę mi wybaczyć - rzucił niebezpiecznie cichym głosem i odstawivszy kieliszek, odszedł, zostawiając lady Eubank spoglądającą za nim z lodowatą satysfakcją.

Whitney poczuła, że Clayton lekko dotyka jej łokcia i odwróciła się z ciepłym uśmiechem przepełnionym wdzięcznością. Od chwili gdy zajął uwagę wuja Huberta na samym początku przyjęcia, starannie wybierał miejsce, gdzie rozmowny, yczliwy i z nikim nie-związany d entelmen był akurat najbardziej potrzebny. Bez jednego słowa Whitney orientował się, kiedy potrzebowała pomocy, i zjawiał się natychmiast.

– Musisz być wyczerpana - szepnął jej do ucha. - Nie możesz wyslizgnąć się stąd i trochę odpocząć?

– Tak, chyba to zrobię - westchnęła. Prawie wszyscy goście już wyszli albo odpoczywali na górze, ciocia Annę zaś chętnie pełniła rolę gospodyni wobec pozostałych. - Dziękuję za pomoc - powiedziała jeszcze i odwróciła się, by wyjść. - Jestem naprawdę bardzo wdzięczna.

Clayton obserwował ją, dopóki nie zniknęła w głębi holu, a potem podszedł

do Martina Stone'a.

– Chcę porozmawiać z tobą i lady Gilbert po wyjściu gości - oświadczył krótko.

Wejście na schody było nie lada wysiłkiem dla zmęczonych nóg Whitney. Gdy tylko znalazła się w swoim pokoju, dziesięć minut zajęło jej pokonanie długiego rzędu jedwabnych guzików, aby rozpiąć suknię. Gdy suknia opadła na podłogę, Whitney pochyliła się i zrobiła krok do przodu, a wtedy jakiś lśniący przedmiot wypadł spod odpiętego staniczka halki.

Z bezmierną czułością podniosła z dywanu pierścionek z opalem i spojrzała na niego. Pierścionek подарowany jej przez Paula, gdy wyjeżdżał dzisiaj w nocy.

„Eby ci przypominał, że jesteś moja”, wyszeptał, wsuwając pierścionek w dłoń dziewczyny.

Poczuła teraz gwałtowny dreszcz podniecenia, gdy powoli wsuwała opałowy pierścionek na palec. Całe zmęczenie, które doskwierało jej jeszcze przed chwilą, obecnie zniknęło pod wpływem radości.

Nuciła cicho, gdy otuliwszy się w orientalny szlafrok z czerwonego jedwabiu, usiadła przed toaletką, by rozczesać i wyszczotkować włosy. Z

ka dym ruchem szczotki o rączce z kości słoniowej lśniący opał wydawał się rzucać ogniki w lustrze. Odkładając szczotkę na bok, Whitney uniosła dłoń, by jeszcze dłużej podziwiać swój pierścionek zaręczynowy. Jej pierścionek zaręczynowy!

– Pani Sevarin - powiedziała cicho, uśmiechając się na dźwięk tych cudownych słów. - Whitney Allison Sevarin.

Coś podobnego zadźwięczało jej w pamięci i powtórzyła to jeszcze raz, eby sobie przypomnieć...

Ze śmiechem pośpieszyła do swej biblioteczki i zdjawszy z półki oprawną w skórę Biblię, szybko przerzuciła strony, ale nic nie znalazła. W końcu chwyciła księgę za okładki, obróciła grzbietem w dół i mocno nią potrząsnęła. Na podłogę wypadł poplamiony kleksami, kilkakrotnie złoony niewielki skrawek papieru.

Podniósłszy go, Whitney uśmiechnęła się i zaczęła czytać:

– „Ja, Whitney Allison Stone, mając piętnaście lat i będąc w pełni władz umysłowych oraz całkowicie przytomna (mimo wszystkich zastrzeżeń Papy) składam solenne przyrzeczenie, przysięgę i obietnicę, e pewnego dnia zdołam sprawić, aby Paul Sevarin mnie poślubił. Sprawię te, e Margaret Merryton i wszyscy inni odwołają kądą straszną rzecz, jaką o mnie powiedzieli. Przysięga złoona dzisiaj i naleycie podpisana przez przyszłą panią Sevarin”.

U dołu tego oświadczenia wykaligrafowała wtedy: „Whitney Allison Stone”, ale potem, najwyraźniej pod wpływem gorącego pragnienia, przećwiczyła wytęskniony nowy podpis przynajmniej kilkanaście razy.

Lektura owego wyznania po tak wielu latach, wspomnienie desperacji, która przywiodła ją do napisania tych słów, sprawiły, i radość z posiadania pierścionka Paula tak w niej nabrzmiała, e Whitney pomyślała, i po prostu wybuchnie, jeśli nie poka e komuś tego klejnotu i nie podzieli się radosną wieścią.

Pójście do łóka, gdy czuła się taka szczęśliwa, byłoby bez sensu; chciało jej się śpiewać i tańczyć! Musi to komuś powiedzieć, po prostu musi...

Whitney wahała się przez kilka minut, a potem radośnie postanowiła zawiadomić ojca, e Paul zamierza się o nią oświadczyć. Przypomni sobie, jak przed laty uganiała się za Pauliem i będzie zadowolony, gdy się dowie, e w końcu sąsiedzi przestaną śmiać się z jej błazeństw. Teraz to Paul Sevarin ugania się za nią. I chce się z nią oenić!

Sprawdziła w lustrze, jak wygląda, poprawiła kołnierz czerwonego szlafroka, obwiązała szarfą szczupłą talię i odgarniając lśniące włosy na ramię, pomaszerowała ku drzwiom swojej sypialni.

Drąc z emocji, z szelestem szlafroka przeszła przez hol. Po wcześniejszych śmiechach i wesołości, w panującej teraz wokół ciszy było coś niemal melancholijnego, ale Whitney zignorowała to odczucie, gdy podniosła rękę, aby zapukać do drzwi pokoju ojca.

– Pan Stone jest w swoim gabinecie, panienko. - Głos lokaja rozległ się głuchym echem z połoonego

ni ej ciemnego holu.

– Ach, tak - powiedziała cicho Whitney. Mo e teraz powinna pokazać pierścionek cioci Annę, a z powiadomieniem ojca poczekać do jutra. - Czy moja ciocia odpoczywa ju w swoim pokoju?

– Nie, panienko. Lady Gilbert rozmawia z ojcem panienki.

– Dziękuję. Dobranoc.

Pospiesznie zeszła na dół, zapukała do drzwi gabinetu i w odpowiedzi na zaproszenie, by wejść, wkroczyła do środka, zamykając drzwi za sobą. Kładąc dłonie na grubych dębowych kasetonach drzwi, oparła się o nie. Roześmianym wzrokiem objęła ojca tkwiącego za biurkiem dokładnie na wprost niej i siedzącą z lewej strony ciocię Annę, która patrzyła na nią trwo nie z fotela przy kominku.

W blasku oświetlającego gabinet ognia nastrojowo płonącego na kominku Whitney w ogóle nie dostrzegła okrytej cieniem postaci w fotelu stojącym naprzeciwko, zasłoniętej wysokim oparciem. Głos ojca był trochę niewyraźny, ale przyjazny.

– Słucham, córko? O co chodzi? - zapytał, rozlewając na biurko nieco brandy.

Whitney wzięła długi, głęboki oddech i zdecydowała się mówić.

– Papo, ciociu Anno, mam wam do powiedzenia coś cudownego i bardzo się cieszę, e jesteście razem, bo będę mogła podzielić się tym jednocześnie z wami obojgiem.

Podchodząc do biurka, Whitney odsunęła na bok kieliszek i oparła się o nie biodrem. Przez chwilę wpatrywała się czule w szkliste oczy i uniesioną twarz ojca, a potem pochyliła się i wycisnęła pocałunek na jego czole.

– Ja, Whitney Stone, bardzo cię kocham, papo - powiedziała miękko - i bardzo cię przepraszam za troski, jakich ci przysparzałam, będąc dzieckiem...

– Dziękuję - mruknął zaczerwieniony Martin Stone.

– I ciebie tak e kocham, ciociu Annę - ciągnęła dalej Whitney, stając przed biurkiem, by znów widzieć twarz lady Gilbert - ale ty zawsze o tym wiedziałaś... i... - powiedziawszy to, wzięła kolejny długi oddech i nagle głos zaczął jej dr eć - ...i kocham te Paula Sevarina, a Paul kocha mnie. I chce się ze mną o enić! I, papo, kiedy wróci, zamierza prosić cię o moją rękę! Ja wiem, jak... czy stało się coś złego, ciociu?

Zdumiona Whitney patrzyła na lady Annę, która uniosła się z fotela i patrzyła prosto przed siebie z wyrazem takiego przera enia na twarzy, e dziewczyna pochyliła się, by uwa niej spojrzeć w ów cień. Wprost zabrakło jej tchu, gdy ujrzała siedzącego tam Clayтона Westlanda.

– Ja... Ja bardzo przepraszam! Przykro mi, e państwu przeszkodziłam. Jak się pan zapewne domyśla, panie Westland, nie miałam pojęcia, e pan tu jest.



Ale skoro pan tu jest - mówiła dalej, postanawiając skończyć to, co zaczęła -

mam nadzieję, i mogę liczyć, e nie wspomni pan nikomu o moich zbli ających się zaręczynach. Rozumie pan...

Odgłos krzesła przesuwanego po podłodze, gdy ojciec wstał zza biurka, przerwał Whitney w pół zdania, a furia w głosie Martina Stone'a kazała jej odwrócić twarz.

– Jak śmiesz! - wrzasnął. - Co to znaczy?

– Znaczy...?! - powtórzyła zdumiona, patrząc na ojca, który stał z dłońmi płasko opartymi o blat biurka i trzęsącymi się ramionami. - Paul Sevarin poprosił, ebym za niego wyszła, to wszystko - wyjaśniła i rzucając wyzwanie mrocznemu ojcowskiemu spojrzeniu, które tak dobrze pamiętała z dzieciństwa, dodała: -I zamierzam to zrobić. Ojciec odpowiedział jej powoli i wyraźnie, jakby zwracał się do dziecka:

– Paul Sevarin prócz nazwiska nie ma nic. Jest bez pieniędzy. Rozumiesz mnie? Jego posiadłości są zadłu one, a wierzyciele wprost na niego polują!

Mimo szoku Whitney zdołała sprawić, by jej głos brzmiał spokojnie i rozsądnie.

– Nie wiedziałam, e Paul jest w tak złej sytuacji finansowej, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to cokolwiek zmieniać. Mam własne pieniądze po babci, a poza tym jest jeszcze mój posag. A wszystko, co mam, będzie nale ało równie do Paula.

– Nie masz nic! - syknął jej ojciec. - Byłem w gorszych tarapatach ni Sevarin.

Wierzyciele mnie ścigali, więc wykorzystałem twój spadek i posag, eby im zapłacić.

Zaskoczona w równej mierze pełnym złości tonem jego głosu jak i wypowiedzianymi słowami, Whitney odwróciła się ku cioci, spodziewając się jej wsparcia.

– A zatem Paul i ja będziemy musieli yć skromnie i bez luksusów, na jakie pozwoliłby mój spadek i posag.

Lady Annę w milczeniu zaciskała ręce na oparciach fotela. Bezradna Whitney z powrotem zwróciła się ku ojcu.

– Powinieneś mi powiedzieć, papo, e masz takie kłopoty. Przecie ja... ja przed powrotem z Francji wydałam fortunę na stroje, bi uterię i futra.

Gdybym tylko...

Mimo ogarniającej dziewczynę fali wyrzutów sumienia i strachu dotarło wszak e do niej, e coś się w tym wszystkim nie zgadza, e coś tu nie ma sensu.

I nagle zaświtało jej, co to.

– Stajnia pełna jest nowych koni - powiedziała ostro nie. -W domu i w całej posiadłości mamy więcej słu by, ni moglibyśmy potrzebować. Jeśli znalazłeś się w tak powa nych tarapatach, dlaczego prowadzimy tak wystawne ycie?

Twarz Martina Stone'a przybrała przera ająco purpurową barwę. Otworzył usta i zacisnął je szybko.

– Z pewnością mam prawo do jakiegoś wyjaśnienia - nalegała ostro nie Whitney. - Oświadczyłeś mi właśnie, e muszę poślubić Paula jako nędzarka, bez posagu i e nie ma ju mego spadku. Jeśli to wszystko prawda, to jak udaje nam się yć na tak wysokim poziomie?

– Moja sytuacja finansowa uległa poprawie - syknął ojciec.

– Kiedy?

– W lipcu.

Whitney nie mogła powstrzymać się od oskar ycielskiego tonu.

– Twoja sytuacja finansowa w lipcu uległa poprawie, ale nie zamierzasz zwrócić mi spadku ani posagu? - zapytała.

Pięść ojca uderzyła o blat biurka, a jego ryk wypełnił gabinet.

– Nie będę dłużej znosić tej farsy! Jesteś zaręczona z Claytonem Westmorelandem. Zawarliśmy porozumienie! Kontrakt został już podpisany.

Subtelna różnica w nazwisku Clayтона chwilowo umknęła uwadze Whitney, gdy gwałtownie starała się uporządkować myśli.

– Ale skąd... dlaczego... kiedy to zrobiłeś?

– W lipcu - warknął. - Postanowione! Rozumiesz? Kontrakt zaręczynowy jest już podpisany!

Whitney patrzyła na niego oczami zogniewionymi z przerażenia i niedowierzania.

– Mówisz, że zrobiłeś to wszystko przed moim powrotem z Francji?!

Zobowiązałeś się moim posagiem i odziedziczonym spadkiem wobec kogoś całkiem obcego, nie porozumiewając się ze mną i nie bacząc na moje uczucia?

– Do diabła z tobą! - syknął ojciec przez zaciśnięte zęby. - Ja nie miałem ani szylinga, aby oszczędzić na twój posąg! To on zawarł tę umowę ze mną!

– W lipcu byłeś więc zapewne bardzo szczęśliwym człowiekiem - powiedziała Whitney załamującym się głosem. - W końcu udało ci się pozbyć mnie na zawsze, i ten „d entelmen" naprawdę ci za mnie zapłacił, i... o Bo e! -

zawołała.

Z nagłą rozdzierającą serce wyrazistością dostrzegła, że wszystkie kawałki owej zdumiewającej układanki znalazły się na swoich miejscach, przedstawiając cały okropny obraz.

Zaciskając ręce na krawędzi biurka, zamknęła oczy przed palącymi łzami, a kiedy je otworzyła, spojrzała na ojca przez mgłę.

– To on zapłacił za to wszystko, czy nie? Za konie, słubę, nowe meble, odnowienie domu... - Zabrakło jej tchu na następne słowa. - Za wszystko, co w sierpniu kupiłam we Francji. Za to co mam na sobie teraz, równie zapłacił, tak?

– Tak, do diabła! Tak! Straciłem wszystko! Sprzedałem wszystko, co mogłem!

Jakiś głaz pojawił się w miejscu, gdzie wcześniej było serce Whitney, a zimna furia zajęła miejsce miłości.

– I kiedy nie było już niczego innego, z czym mógłbyś się rozstać, sprzedałeś mnie! Sprzedałeś mnie całkiem obcemu mężczyźnie na całe życie! -

Przerwała, aby nabrać powietrza, a potem zapytała: - Czy jesteś pewien, ojcze, że dostałeś za mnie najlepszą cenę? Mam nadzieję, że nie przyjąłeś jego pierwszej propozycji. Z pewnością targowałeś się trochę...

– Jak śmiesz! - zagrział Martin, uderzając Whitney w twarz z siłą, która niemal przewróciła ją na kolana, i uniół rękę, by uderzyć córkę po raz drugi, ale wtedy gryząca wściekłość w głosie Claytona kazała mu powstrzymać dłoń w pół drogi.

– Jeśli dotkniesz jej ponownie, Martinie, sprawię, i będzie to najczarniejszy dzień twojego życia.

Na twarzy ojca Whitney pojawił się wyraz klęski; Martin opadł na krzesło.

Teraz Whitney zwróciła się ku swemu obrońcy, a jej głos drżał z furii.

– Ty podstępny, nikczemny wę u! Co z ciebie za mę czyzna, e musisz kupować sobie onę? Jakie z ciebie zwierzę, e musiałeś ją sobie kupić, nawet jej nie oglądając? Ile cię kosztowałam? - ądała odpowiedzi.

Mimo wyniosłej pozy, jaką przyjęła, Clayton zobaczył, e jej piękne oczy, które rzucały mu pogardliwe spojrzenia, lśniły ledwo powstrzymywanymi łzami.

– Nie odpowiem na to - odparł łagodnie.

Myśli Whitney krą yły nieprzerwanie, szukając jakiegoś pęknięcia w pancerzu jego nieugiętego spokoju, jakiegoś punktu, gdzie mogłaby wbić ostrze swej wściekłości.

– Nie mogłeś zapłacić wiele - zakpiła. - Dom, w którym mieszkasz, jest zaledwie skromny. Czy byś zmarnował na mnie całą swoją ałosną fortunę?

Czy mój ojciec zrobił kiepski interes na...

– Dosyć tego - przerwał zdecydowanie Clayton, zrywając się z fotela.

– On mo e dać ci wszystko... wszystko - dobiegł ją z tyłu chrapliwy głos ojca.

- On jest księciem, Whitney. Będiesz miała wszystko, co...

– Książę! - zadrwiła Whitney, mierząc Westlanda pogardliwym wzrokiem. -

Jak zdołałeś mu to wmówić, ty kłamliwy oszuście... -Głos jej się załamał.

Clayton ujął ją pod brodę, wytrzymując buntownicze spojrzenie Whitney.

– Jestem księciem, maleńka. Powiedziałem ci to kilka miesięcy temu we Francji...

– Dlaczego ty... ty okropny człowieku! Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był królem Anglii! - oświadczyła i odwracając głowę, syknęła wściekle: - Poza tym nigdy nie miałam nieszczęścia natknąć się na ciebie we Francji.

– Powiedziałem ci, e jestem księciem, na pewnej maskaradzie w Pary u -

przypomniał jej spokojnie. - Na balu maskowym u Armandów.

- Ty kłamco! Nie spotkałam cię tam! Nigdy cię nie spotkałam! Dopiero tutaj!

- Kochanie - wtrąciła ostro nie ciocia Annę - cofnij się myślą do tamtego wieczoru. Właśnie wychodziliśmy, gdy zapytałaś, czy znam jednego z gości... bardzo wysokiego męczyznę w czarnej balowej półmaseczce, długiej czarnej pelerynie i...

- Ciociu Annę, proszę! - wybuchnęła niecierpliwie Whitney. - Nie spotkałam owego człowieka ani tamtego wieczoru, ani adnego...

Wydała z siebie zduszony jęk, gdy w jej pamięci przesunął się kalejdoskop obrazów. Para znajomych teraz szarych oczu błysnęła ku niej w ogrodzie Armandów. Głęboki głos dźwięczący śmiechem mówił: „A gdybym pani powiedział, e jestem księciem...”.

W ciągu dziesięciu sekund wszystkie te wspomnienia zderzyły się z chwilą obecną, sprawiając, i teraz Whitney krążyła wokół Clayтона ogarnięta burzliwą wściekłością.

- To byłeś ty! To ty kryłeś się za tą maską!

- Bez monokla - potwierdził z szerokim uśmiechem.

- Tchórzliwy, godny pogardy, podstępny... - Whitney zabrakło słów, by wyrazić tętniące w niej oburzenie, gdy niemal w tym samym czasie zaświtała jej kolejna myśl, przynosząc z sobą świeżą falę piekących łez. - Panie Westmoreland - dobitnie i z całą wzdrgardą, na jaką mogła się zdobyć, wymówiła jego właściwe nazwisko. - Chcę pana poinformować, e rozmowy prowadzone dziś wieczorem o panu... o pańskich posiadłościach, koniach, majątku i pańskich kobietach mnie wydały się nie tylko nudne, ale wręcz obrzydliwe.

- Mnie równie - zapewnił ją sardonicznie.

Rozbawienie, które Whitney dosłyszała w jego głosie, było niczym oliwa dolana do ognia. Chwyciwszy brzeg szlafroka, ścisnęła go tak, a zbieleły jej kostki palców, próbując jednocześnie wciągnąć przez ściśniętą emocją gardło wystarczająco du o powietrza, by móc dalej mówić, ale zdołała z siebie wydobyć jedynie pełen bólu szept.

- Będę cię nienawidzić od dzisiaj a do śmierci.

- Chcę, abyś teraz poszła do łóka i postarała się zasnąć - powiedział Clayton łagodnie, nie zważając na te groźby, a potem wsunął rękę pod łokieć Whitney, zacieśniając chwyt, gdy próbowała się uwolnić. - Wrócę po południu. Trzeba wiele wyjaśnić, i poczynię te wyjaśnienia, gdy będziesz we właściwym stanie ducha, by ich wysłuchać.

Ani na sekundę Whitney nie dała się oszukać pozorom jego czulej troski.

Gdy tylko skończył mówić, wyrwała rękę i podeszła ku drzwiom.

Kiedy sięgała do klamki, znów usłyszała jego spokojny, władczy głos.

– Whitney, spodziewam się, e będziesz tutaj, gdy przyjadę.

Ręka dziewczyny zamarła na klamce, a serce krzyknęło z urazy na jego polecenia, rozkazy i na samo jego... istnienie. Nawet nie oglądając się za siebie, by pokazać, e usłyszała, gwałtownym ruchem otworzyła drzwi, ledwie powstrzymując przemo ne pragnienie zamknięcia ich za sobą z trzaskiem.

Dopóki Clayton mógł słyszeć jej kroki w holu, szła powoli, nie chcąc dać mu satysfakcji, by wiedział, e biegnie jak przera ony zając. W końcu holu odwróciła się, przyśpieszając z ka dym krokiem i gnając na oślep, wspięła się na schody, a potem ruszyła ku bezpiecznej przystani swojej sypialni. Tam oparła się o drzwi i stała jak sparali owana, wpatrując się w pogodny, przytulny pokój, z którego zaledwie pół godziny wcześniej wyszła tak podekscytowana, i nie mogąc pojąć katastrofy, która właśnie się wydarzyła.

\* \* \*

W poło onym na parterze gabinecie okropne, złowieszcze milczenie wydlu yło się tak, e nawet powietrze wydawało się pękać z napięcia. Clayton stał z rękami zaciśniętymi na gzymsie kominka, wpatrując się w ogień z morderczą wściekłością emanującą z ka dego skrawka jego doskonałej, potę nej sylwetki.

Martin Stone oderwał ręce od twarzy tak gwałtownie, e jego pięści uderzyły o blat biurka, sprawiając, e lady Annę a podskoczyła.

– To przez alkohol, przysięgam - wyszeptał z twarzą szarą jak popiół. - Nigdy przedtem nie podniosłem na nią ręki. Co mogę zrobić, eby...

Clayton odwrócił głowę.

– Co mo esz zrobić?! - wyrzucił ostro. - Dość ju zrobiłeś! Whitney wyjdzie za mnie, ale ka e ci zapłacić za wszystko, co wydarzyło się dziś w nocy, a mnie równie ka e za to zapłacić - powiedziawszy to, zmienił ton i teraz jego słowa padały wolno, niczym rozwijający się bat. - Od tej chwili, bez względu na to, co powie, ty masz trzymać usta zamknięte. Czy to jasne, Martinie?

Ojciec Whitney z trudem przełknął ślinę i skinął głową.

– Tak. Jasne.

– Jeśli powie, e właśnie wsypała ci truciznę do herbaty, wypijesz tę herbatę i... będziesz... trzymał... swoją cholerną... gębę... zamkniętą!

– Tak. Zamkniętą.

Clayton zaczął mówić dalej, a potem przestał, jakby nie mógł odpowiadać ju za to, co powie. Zło ywszy krótki ukłon lady Annę, podszedł szybko do drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem, lecz zatrzymał się jeszcze, a jego lodowate spojrzenie ponownie powędrowało ku Martinowi.

– Kiedy następnym razem będziesz wyliczał swoje dobrodziejstwa, dziękuj Bogu Wszechmocnemu, e jesteś ode mnie dwadzieścia lat starszy, bo przysięgam, e gdyby nie to... - Z nadludzkim wysiłkiem przełknął resztę groźby i wyszedł z pokoju, a echo jego szybkich kroków niesło się po holu.

Lampy stojącego przed domem ksią ęcego powozu kołysały się na lekkim wietrze i migocząc, wyczarowywały tajemnicze kształty, które skradały się do przodu, a potem, robiąc piruety, znikwały pod szeleszczącymi, pochylonymi gałęziami wiązów rosnących wzdłu drogi. James McRae, stangret Westmorelanda, przesunął się cierpliwie na ławeczce. Wszyscy goście ju wyszli, tylko ksią ę jeszcze został, ale McRae nie miał nic przeciwko czekaniu.

W istocie nie mógłby nawet być bardziej zadowolony, e jego pan tak lubił

przebywać w towarzystwie panny Stone, bo zało ył się z Armstrongiem, lokajem księcia, o du ą kwotę, e to właśnie panna Stone zostanie kolejną księ ną Claymore.

Frontowe drzwi domu otworzyły się i jego wysokość zbiegł po schodach.

McRae kątem oka obserwował długie kroki pana, które dowodziły albo jego wściekłości, albo radosnego uniesienia. McRae nie był pewien ich wymowy ani nie sądził, by miało to wielkie znaczenie; dopóki panna Stone budziła w księciu tak niesłychane emocje, wciąż rosły szanse, i to on wygra zakład.

– Jedźmy stąd, psiakrew! - mruknął ksią ę, wskazując do otwartego powozu i zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Coś marnie poszło z panienką, pomyślał McRae, tłumiąc śmiech i kierując okazałe siwki na drogę. Był tak uradowany, e nawet uporczywe rwanie ropicjącego zęba mądrości nie mogło popsuć mu nastroju. Wyobra ając sobie mnóstwo nader przyjemnych sposobów wydania pieniędzy z wygranej, stangret zaczął nucić wesołą irlandzką melodię. Po kilku taktach ksią ę pochylił się do przodu.

– Czy coś cię boli, McRae? - zapytał wściekle.

– Nie, wasza wysokość - pośpiesznie odpowiedział stangret przez ramię.

– Opłakujesz kogoś?

– Nie, wasza wysokość.

– Więc skończ to cholerne zawodzenie!

– Tak jest, wasza wysokość - odrzekł McRae, starannie ukrywając przed swym rozwścieczonym panem zadowoloną minę.

Rozdział 17,

Whitney powoli otworzyła oczy, mru ąc je przed słonecznym światłem późnego poranka przesącającym się przez firanki. Czuła przyćmiony ból głowy i dziwną, nieokreśloną melancholię.

Otępiały mózg odmawiał funkcjonowania, decydując się na bezwolne obserwowanie cieni na złotym dywanie, gdy słońce z wolna przysłoniła masa przetaczających się ciemnych chmur. Zmarszczyła brwi, starając się zrozumieć gorzki ciężar, którym wydawała się przygnieciona, i w jej omroczonej snem świadomość gwałtownie wdarła się nocna scena z ojcowskiego gabinetu.

Ogarnięta trwogą zacisnęła oczy, próbując nie dopuścić do siebie tragedii, która się tam rozegrała, z całą jej makabryczną akcją i pokrętnymi wątkami, ale rzeczywistość była zbyt boleśnie złowieszcza, by ją zignorować.

Podciągnawszy się do pozycji siedzącej i ułożywszy za sobą poduszki, oparła się o nie plecami. Wiedziała, że musi coś wymyślić i zaplanować, więc z rozpaczliwą determinacją przystąpiła do systematycznego analizowania faktów.

Po pierwsze człowiek zamieszkujący dom Hedgesów był Claytonem Westmorelandem, „zaginionym” księciem Claymore'em, co, pomyślała obojętnie,

tłumaczyło

wreszcie

jego

kosztowne

stroje

i

wyniośle

powściągliwych słuchających.

On tak i był owym mężem, którego poznała na balu u Armandów; tym samym aroganckim, rozpustnym... Whitney z wysiłkiem opanowała kipiącą niechęć i zmusiła się do dalszego roztrząsania faktów.

Po spotkaniu na maskaradzie Clayton Westmoreland musiał przyjechać prosto do ojca, by kupić ją sobie na oń. Ojciec powiedział w nocy, że wszystko zostało załatwione i kontrakt zaręczynowy już jest podpisany.

Osiągnąwszy cel, ten niewyobrażalny nikczemnik zainstalował siebie i słuchbę w swojej jaskini położonej w pobliżu jej domu.

– Niewiarygodne! - szepnęła głośno. Nie tylko niewiarygodne, lecz wręcz niedorzeczne, absurdalne! Bez względu jednak na to, czy absurdalne czy nie, było to prawdziwe. Została z wyrachowaniem... ohydnie... wbrew swojej woli zaręczona z księciem Claymore'em. Zaręczona z osławionym libertynem, z tym rozwiązłym hulaką i rozpustnikiem!



Był jej równie nienawistny jak ojciec! Ojciec... Dręczące wspomnienie jego zimnej perfidii okazało się czymś więcej, ni Whitney mogła znieść.

Podciągnęła kolana pod brodę, ciasno owijając ręce wokół nóg, i oparła czoło na kolanach.

– Och, papo - wyszeptała w rozpaczy - jak mogłeś mi to zrobić? Kula w gardle rosła coraz bardziej, a zaczęła ją dusić. Niewylane łzy piekły oczy, sprawiając, e ból stał się nieznośny. Nie pozwoliła sobie na płacz. Nie załamie się mimo wszystko.

Musi być silna, bo przeciwnicy mają przewagę. Dwa do jednego... trzy do jednego, jeśli ciocia Annę tak e uczestniczyła w tym monstrualnym spisku.

Myśl, e ukochana ciocia równie mogłaby ją zdradzić, niemal pozbawiła Whitney siły, by mogła nad sobą zapanować. Konwulsyjnie dławiąc łzy, spojrzała ku oknu. Mo e teraz mają nad nią przewagę, ale Paul po powrocie stanie przeciwko nim.

Tymczasem, zdecydowanie upomniała samą siebie, będzie musiała polegać na własnej odwadze i determinacji oraz na upartym charakterze, którego Clayton Westmoreland jak dotąd ledwie posmakował! Potrafi sama doskonale sobie poradzić a do powrotu Paula.

Niemal wesoło zaczęła obmyślać sposoby, jak pokrzy ować i zniweczyć ksią ęce zamiary oraz jak rozwścieczyć swego wroga. Zanim się z nim upora, jego wysokość przekona się, e jeśli chce mieć na resztę swoich lat trochę spokoju lub radości, to ona z pewnością nie jest oną dla niego!

Prawdopodobnie, gdyby okazała się wystarczająco sprytna, mogłaby nawet doprowadzić go do wycofania się z owych planów jeszcze przed powrotem Paula i te niegodziwe zaręczyny stałyby się jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem.

Rozległo się lekkie pukanie i do sypialni Whitney weszła ciocia Annę, na której twarzy malował się uśmiech zarówno współczujący, jak i dodający odwagi. Przyjaciel czy przeciwnik, zastanawiała się Whitney, obserwując ją uwa nie.

– Kiedy cię o tym poinformowano, ciociu Annę?

Ciocia usiadła na łó ku obok niej.

– Tego dnia, gdy zobaczyłaś, e wysyłam listy do twojego wujka w czterech ró nych krajach i odwołuję swoją podróż do Londynu.

– Och... - wyszeptała Whitney ochryple.

A zatem ciocia Annę próbowała skłonić wujka Edwarda, by przyszedł im z pomocą; więc nie zdradziła. Ogarniająca Whitney czułość zmyła wszystkie

„fortyfikacje". Zadr ał jej podbródek, ramiona zaczęły się trząść i gdy ciocia objęła ją serdecznie, dziewczyna poddała się łzom, które ądały uwolnienia od chwili, gdy się obudziła.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie - uspokajała ją ciocia, głaszcząc miękkie włosy dziewczyny.

Gdy spłynął ostatni strumień łez, Whitney poczuła się znacznie lepiej. Otarła oczy i uśmiechnęła się ponuro.

– Czy to nie jest najbardziej nikczemna sprawa, ciociu Anne?

Ciocia zgodziła się z nią gorliwie, a potem zniknęła w sąsiadującej z sypialnią łazience i po chwili wróciła z miękkim ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie.

– Proszę, kochanie, przyciśnij go sobie do oczu, eby nie były spuchnięte.

– Poślubię Paula - powiedziała Whitney zduszonym głosem, posłusznie przyciskając sobie mokry ręcznik do twarzy. - Planowałam to od dzieciństwa! Ale nawet gdybym tego nie zrobiła, to z pewnością nie wyjdę za tego... tego zdegenerowanego rozpustnika! - oświadczyła i odłożyła ręcznik akurat w porę, by zobaczyć, e ciocia szybko skrywa swą dezaprobatę. -

Jesteś po stronie Paula, prawda, ciociu? - spytała lękliwie Whitney, badawczo przyglądając się dyplomatycznej minie lady Anne.

– Jestem po twojej stronie, kochanie. Tylko po twojej. Chcę tego, co jest najlepsze dla ciebie - odrzekła lady Gilbert, ruszając ku drzwiom. - Przyślę ci Clarissę. Dochodzi południe, a jego wysokość przysłał wiadomość, e przybędzie o pierwszej.

– Jego wysokość! - powtórzyła Whitney, rozwścieczona przypomnieniem o ksią ęcym tytule Claytona.

Ka dy inny przedstawiciel arystokracji nazywany był jedynie „jego lordowską mością” albo „panem hrabią”, do Claytona zaś nale ało się zwracać ze znacznie większym szacunkiem jako do Jego wysokości”.

– Kochanie, czy mam polecić, aby odprasowano twoją nową jedwabną suknię?

- spytała ciocia.

Whitney ze smutkiem spojrzała za okno. Połowa nieba zapowiadała jasny, słoneczny dzień, druga zaś była mroczna i zachmurzona. Podniósł się wiatr i drzewa kołysały się nierówno. Nie sądziła, aby był to czas, eby wyglądać jak najlepiej. W istocie, skoro nie chciała podziwu Claytona, powinna wyglądać jak najgorzej! Włó y więc na siebie coś nietwarzowego i, co wa niejsze, coś, za co nie on zapłacił!

– Nie, nie tę jedwabną. Pomyślę o czymś innym.

Zanim przyszła Clarissa, Whitney zdecydowała, w co się ubierze i ten pomysł napełnił ją ponurą satysfakcją.

– Clarisso, pamiętasz ten czarny strój, który nosiła Mary, gdy szorowała schody? Zechciej

sprawdzić, czy mo na go gdzieś znaleźć.

Na miłej twarzy Clarissy malowało się współczucie.

– Lady Gilbert powiedziała mi, co się stało minionej nocy, dziecinko -

powiedziała. - Jeśli jednak zamierzasz sprzeciwić się temu człowiekowi, to chyba robisz wielki błąd.

Współczucie, jakie Whitney zobaczyła na pulchnej twarzy wiernej słu ącej, znowu niemal doprowadziło ją do łez.

– Och, Clarisso, proszę, nie spieraj się ze mną - poprosiła. - Po prostu powiedz, e mi pomo esz. Jeśli postaram się wyglądać wystarczająco brzydko i jeśli będę silna i sprytna, to mo e zdołam sprawić, by ze mnie zrezygnował i wyjechał.

Clarissa skinęła głową, a jej głos zadźwięczał tłumionymi łzami.

– Zawsze byłam przy tobie, dowodzą tego moje siwe włosy. Teraz te cię nie opuszczę.

– Dziękuję, Clarisso - wyszeptała Whitney. - Wiem ju na pewno, e mam przy sobie przynajmniej dwie bratnie dusze, które mnie wspierają. Z Paulem trzy.

Po godzinie i piętnastu minutach wykąpana usiadła przed lustrem i błysnęła aprobującym uśmiechem, gdy Clarissa zwiјаła jej gęste włosy w gruby węzeł i związywała je cienką czarną wstą ką. To surowe uczesanie podkreślało klasycznie rzeźbione rysy dziewczyny i jej wysokie kości policzkowe. Szeroko rozstawione zielone oczy ocienione gęstymi, czarnymi rzęsami wydawały się wręcz ogromne w jej bladej twarzy i dodawały wyrazu kruchej, eterycznej urodzie. Jednak Whitney sądziła, e wygląda jak duch.

– Doskonale! - powiedziała. - I nie musisz się tak śpieszyć. Jego wysokość mo e poczekać. To część mojego planu. Zamierzam dać mu kilka niemiłych lekcji o sobie, a pierwszą jest to, e nie robią na mnie adnego 'wra enia jego znakomite nazwisko oraz tytuł i nie mam najmniejszego zamiaru skwapliwie przyjmować jego poleceń.

O wpół do drugiej zeszła do małego salonu, gdzie rozmyślnie poleciła lokajowi wprowadzić pana Westlanda, gdy tylko się pojawił.

Zatrzymując rękę na klamce, dumnie uniosła podbródek i wkroczyła bez słowa.

Jej przeciwnik stał częściowo odwrócony do niej plecami, niecierpliwie uderzając rękawiczkami o muskularne udo i jednocześnie spoglądał przez okno wychodzące na frontowy trawnik. Szerokie ramiona miał wyprostowane, a szczęki zaciśnięte w wyrazie nieprzejednanej determinacji i nawet gdy był

pogrą ony w tej zadumie, zdawały się emanować zeń nieustępliwa siła i nawyk rozkazywania, który Whitney zawsze wyczuwała... i którego się obawiała.

Powoli zaczęła ją opuszczać wcześniejsza pewność siebie. Jak mogła się łudzić nadzieją, a zdoła odwieść tego męczyzny od małżeństwa? Nie był

wymuskany romantycznym młodym fircykiem, którego zdołałaby zniechęcić chłodnym uśmiechem czy uprzejmą obojętnością. Ani razu, odkąd poznała Clayтона, nie wyszła zwycięsko z ich

adnego starcia. Na pocieszenie

przypomniała sobie, a musi radzić sobie z nim sama jedynie do powrotu Paula.

Zamknęła za sobą drzwi.

– Posyłał pan po mnie, wasza wysokość? - zapytała głuchym, pozbawionym emocji głosem.

Przez dwadzieścia minionych minut Clayton walczył z narastającą irytacją, a kazano mu czekać w tym małym, dusznym pokoju niczym ebrakowi mającemu nadzieję na jałmużnę. Wielokrotnie powtarzał sobie, a Whitney została ostatniej nocy zraniona i upokorzona, więc dzisiaj niewątpliwie zademonstruje swój bunt przeciwko niemu, robiąc wszystko, co tylko może, by go rozgniewać i sprowokować.

Odwracając się na dźwięk jej głosu, jeszcze raz powtórzył sobie, a bez względu na to, co Whitney powie lub zrobi, musi być cierpliwy i wyrozumiały.

Jednak kiedy na nią spojrział, wszystko, co mógł zrobić, to jedynie powściągnąć złość. Stała przed nim z dumnie uniesioną głową, ubrana jak służąca w długą, bezkształtną, czarną roboczą suknię. Biały fartuch opasywał jej smukłą talię, a wspaniałe włosy ukryte były pod czepkiem.

– Przedstawiłaś swój punkt widzenia, Whitney - powiedział zwięźle. - Teraz ja przedstawię mój. Nie chcę, byś kiedykolwiek ubierała się w taki sposób!

A się zjeżyła na ten ton.

– W tym domu wszyscy są twoimi sługami, a ja jestem najniższą ze służby, gdy jestem tylko niewolnicą, którą nabyłeś od dłużnika.

– Nie używaj takiego tonu wobec mnie - ostrzegł. - Nie jestem twoim ojcem.

– Oczywiście, a nie - zadrwiła. - Jesteś moim właścicielem.

Trzema długimi krokami Clayton pokonał dzielącą ich odległość. Wściekły, a gniew dziewczyny rykoszetem odbił się od Martina i uderzył w niego, chwycił ją za rękę, chcąc potrząsnąć z całej siły. W mocnym uścisku dłoni poczuł napięcie ciała Whitney, protestującego przeciwko przemocy.

Whitney uniosła głowę i złość Clayтона powoli odpłynęła. Choć jej wspaniałe oczy błyszczały buntem, lśniły te w nich powściągnięte łzy i ból, który on właśnie spowodował. Niemal przezroczysta skóra pod oczami okryta była ciemnym cieniem, a zazwyczaj promienna cera dziewczyny pozbawiona była kolorów.

– Czy sama myśl o poślubieniu mnie uczyniła cię tak nieszczęśliwą, maleńka?

- zapytał cicho, patrząc na jej śliczną, upartą twarz.

Whitney była zaszokowana jego niespodziewaną łagodnością, a co gorsza, kompletnie nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Chciała wydawać się wyniosła, chłodna i broń Bo e nie nieszczęśliwa, gdy to by oznaczało, e czuje się słaba i bezradna. Z drugiej strony przecie nie mogła powiedzieć: „Nie, ta myśl nie czyni mnie nieszczęśliwą”.

Jakiś śmiech odbił się echem w holu, a po nim dał się słyszeć odgłos kroków i głosy wczorajszych trojga gości Martina Stone'a, którzy minęli salon, idąc do jadalni.

– Chcę, byś wyszła ze mną na zewnątrz - odezwał się Clayton.

Nie poprosił, tylko polecił, zauwa yła gniewnie Whitney. Znalazłszy się przed domem, przecięli podjazd i przeszli przez trawnik opadający w stronę stawu. Pod starym wiązem ksią ę przystanął.

– Przynajmniej tu mo na mieć nadzieję na trochę prywatności -powiedział.

Whitney ju miała na końcu języka odpowiedź, e ostatnią rzeczą na świecie, jakiej by pragnęła, jest sam na sam z nim, ale była w takim napięciu emocjonalnym, e nie mogła polegać na sobie w tym, co powie.

Zdjął surdut i poło ył go na trawie pod drzewem.

– Myślę, e moglibyśmy omówić to lepiej, gdybyśmy usiedli -zapropomował.

– Wolę stać - odparła Whitney z chłodną wyniosłością.

– Siadaj!

Rozwścieczona jego kategoriycznym tonem usiadła... ale nie na surducie.

Zamiast tego opadła na trawę, podwinęła nogi pod siebie i wpatrywała się w staw.

Masz całkowitą rację - zauwa ył sucho Clayton – zniszczenie tych łachów, które masz na sobie, jest znacznie mniej wa ne ni poplamienie trawą jednego z moich ulubionych surdutów - mówiąc to podniósł go, wło ył na jej sztywne ramiona i usiadł obok.

– Nie jest mi zimno - zaprotestowała Whitney, próbując zrzucić z siebie okrycie.

– Doskonale. Mo emy się więc obejść bez tego absurdalnego czepka, który nosisz na głowie. - Wyciągnął rękę i zrzucił go z włosów Whitney, która zarumieniła się ze złości.

– Ty grubiański, arogancki... - Zacisnęła usta na widok błysku rozbawienia w jego szarych oczach.

– Mów dalej - zachęcał Clayton. - Zdaje się, e skończyłaś na „arogancki”.

A świerzbiła ją ręka, eby ściągnąć ten drwiący uśmiech z jego twarzy.

Odetchnęła głęboko.

—

ałuję, e nie mogę znaleźć właściwych słów, aby powiedzieć, jak bardzo nienawidzę ciebie i wszystkiego, co sobą reprezentujesz.

— Jestem pewien, e będziesz się starała tak długo, a znajdziesz - odrzekł

zgodnie.

— Wiesz - ciągnęła Whitney, uporczywie wpatrując się w staw -znenawidziłam cię od pierwszej chwili, kiedy cię poznałam na tamtej maskaradzie, i to uczucie umacnia się we mnie z ka dym spotkaniem.

Clayton podciągnął do góry kolana, oparł na nich ręce i długo jej się przyglądał z kamienną twarzą.

— Bardzo mi przykro, e to słyszę - odpowiedział łagodnie - bo ja myślałem, e jesteś najmilszą, najbardziej czarującą istotą, jaką Bóg kiedykolwiek stworzył.

Whitney była tak zdumiona delikatną czułością w jego głosie, e szybko odwróciła głowę i badawczo przyjrzała się jego twarzy, szukając oznak sarkazmu.

Clayton wyciągnął rękę i przesunął palcem po jej policzku.

— Pamiętam te chwile - mówił dalej - kiedy będąc w moich ramionach, nie dawałaś mi adnych sygnałów owej nienawiści, którą, jak uparcie twierdzisz, zawsze czułaś. W istocie sprawiałaś nawet wra enie zadowolonej.

— Nigdy nie podobały mi się twoje zaloty. Tak naprawdę zawsze wydawały mi się... - Whitney rozpaczliwie szukała właściwego słowa, skrępowana świadomością, e oboje wiedzieli, i jej zdradzieckie ciało odpowiadało na jego pieszczoty. - Zawsze były dla mnie... niepokojące!

Powoli przesunął palcami po jej podbródku, zmierzając a do ucha, czym przyprawił Whitney o dreszcze wzdłu kręgosłupa.

— Te chwile były „niepokojące" równie dla mnie, maleńka -szepnął cicho.

— Jednak nalegałaś na to, choć mówiłam, e nie chcę! - wybuchnęła ze złością.

- Mogę powiedzieć, e nawet teraz, w tej chwili, czekasz na kolejną sposobność, eby... eby się na mnie rzucić!

— To prawda - przyznał z gardłowym śmiechem. - Ciągnie mnie do ciebie niczym ćmę do ognia. Tak samo jak ciebie do mnie.

Whitney pomyślała, e za chwilę eksploduje.

– Ty zarozumiała bękar...

Clayton przycisnął palec do jej dr ących ust i ze śmiechem pokręcił głową.

– Martwi mnie, e muszę cię pozbawić jednego z ulubionych ob-rażliwych określeń, ale wiem z najpowa niejszych źródeł, e nie ma wątpliwości co do prawości mojego pochodzenia.

Jej ycie legło w gruzach, a on się śmiał! Zrzucając z siebie rękę Claytona, wstała powoli.

– Jestem zmęczona, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu -powiedziała drewnianym głosem - pójdę teraz do domu. Nie podzielam twojego dobrego humoru. Zostałam sprzedana przez własnego ojca jakiemuś nieznanemu arogantowi pozbawionemu serca, samolubnemu pyszałkowi, który nie bacząc na moje uczucia...

Clayton błyskawicznie niczym pantera zerwał się na równe nogi i zaciskając ręce niczym kajdany na ramionach dziewczyny, przyciągnął ją twarzą do siebie.

– Pozwól, e pomogę w wyliczaniu moich zbrodni przeciwko tobie, Whitney -

przerwał jej spokojnie. - Jestem do tego stopnia pozbawiony serca, e ocaliłem twojego ojca przed więzieniem, spłacając jego długi. Jestem tak samolubny, e stałem obok, obserwując, jak flirtujesz z Sevarinem, tak arogancki, e pozwoliłem ci siedzieć obok niego na tym cholernym pikniku i patrzeć na mnie z niechęcią, choć wciąż jeszcze czułem na wargach smak twoich ust. A dlaczego to wszystko zrobiłem? Poniewa w swój okrutny maniacki sposób pragnę ci dać ochronę w postaci mojego nazwiska, bezsporną i nienaruszalną pozycję na samym szczycie hierarchii towarzyskiej i komfortowe, zbyt wysokie ycie obfitujące we wszystkie luksusy, jakie z moim majątkiem mogę ci zapewnić. - Patrzył na nią spokojnie. - Czy naprawdę sądzisz, e dlatego zasługuję na niechęć i zawziętość?

Ramiona Whitney opadły. Opanowała łzy i patrzyła w dal. Czowała się zmieszana i nieszczęśliwa. Nie była ju całkiem pewna, i ma rację, ale nie sądziła te , e kompletnie się myli.

– Ja... ja nie wiem, na co zasługujesz.

Clayton ujął jej twarz w dłonie i uniósł ku górze.

– Zatem ci powiem - odrzekł cicho. - Nie zasługuję na nic oprócz tego, by oszczędzono mi nienawiści i potępienia za pijacki błąd, jakiego twój ojciec dopuścił się ostatniej nocy. To wszystko, o co cię teraz proszę.

Ku wstydowi i upokorzeniu Whitney, łzy napłynęły jej do oczu. Otarłszy je palcami, pokręciła głową, odmawiając przyjęcia oferowanej przez Claytona chusteczki.

– To tylko dlatego, e jestem zmęczona. Nie spałam zbyt dobrze ostatniej nocy.

– Ani ja - odrzekł łagodnie, odprowadzając ją do domu.

Gdy Sewell otworzył frontowe drzwi, z salonu dobiegły ich salwy śmiechu i głośnie, artobliwe uwagi o toczącej się partii wista.

– Jutro rano wybierzemy się na przeja d kę konną. Jeśli jednak nie chcemy się stać głównym tematem rozmów waszych gości, to sędzę, i byłoby najlepiej, gdybyśmy spotkali się w stajni. O dziesiątej - powiedział na po egnanie.

W swoim pokoju Whitney rozwiązała biały fartuch i ściągnęła z siebie okropną czarną suknię. Chocia nie było jeszcze drugiej, czuła się osłabiona i wyczerpana. Wiedziała, e powinna pokazać się na dole, ale wzdrygała się na myśl o fałszywym uśmiechu, jaki musiałyby demonstrować zebrany, i wesołej paplaninie, której musiałyby słuchać. Poza tym, gdyby choć jeden z gości wspomniał słowem o księciu Claymore, prawdopodobnie wpadłaby w histerię!

Złota kapa była starannie odwinięta i łó ko wręcz ją zapraszało. Drzemka mogłaby poprawić nastrój i ułatwić jaśniejsze myślenie, postanowiła.

Wślizgnęła się między chłodne prześcieradła i z cię kim westchnieniem zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, księ yc wędrował ju wysoko po czarnym aksamitnym niebie. Przewróciła się na brzuch, marząc, aby zasnąć ponownie, zanim opanowały ją rozgoryczenie i dręczące myśli.

## Rozdział 18

Gdy następnego ranka Whitney przyszła do stajni, Clayton stał oparty o ogrodzenie i śmiejąc się, rozmawiał z Thomasem. Whitney obdarzyła koniuszego uśmiechem, który jednak zamarł jej na ustach, gdy spojrzała na mę czynę stojącego obok.

Kiedy nie odpowiedziała na jego „dzień dobry”, księ ę westchnął z rezygnacją.

– Twój koń jest gotowy - oznajmił, wskazując głową na Khana, którego właśnie wyprowadzano z boku.

Jechali obok siebie przez falistą okolicę. Niebawem szybkość i rześki jesienny wiatr poprawiły smętny nastrój Whitney, sprawiając, i poczuła się znacznie lepiej ni przez ostatnie dwa dni.

Pod lasem, gdzie łąka opadała ku strumieniowi, Clayton powściągnął

swojego wierzchowca, zeskoczył lekko na ziemię i podszedł do Whitney, by pomóc jej zsiąść z Khana.

– Przeja d ka dobrze ci zrobiła - zauwa ył, widząc rumieńce na jej policzkach.

Whitney wiedziała, e próbował przełamać lody i prowadzić z nią normalną, uprzejmą rozmowę. Ponuractwo było obce jej naturze i czuła się ogromnie niezręcznie, trwając w posępnym milczeniu, ale zmuszanie się do pogawędki z tym człowiekiem było wręcz okropne. W końcu jednak się



odezwwała.

– Rzeczywiście czuję się lepiej. Lubię jazdę konną.

– Lubię na ciebie patrzeć - odpowiedział, gdy przeszli nad brzeg strumienia. -

Jesteś bez wątpienia najlepszą amazonką, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Dziękuję - odrzekła, ale jej zaalarmowany wzrok zwrócony był ku staremu jaworowi, który rósł na szczycie pagórka obok strumienia, sękatymi gałęziami osłaniając właśnie to miejsce, gdzie leżała w ramionach Claytona w dniu pikniku.

Było to ostatnie miejsce na ziemi, w jakim pragnęła znaleźć się teraz z tym męczyzną. Clayton zdjął surdut i zaczął rozkładać go na trawie dokładnie tam, gdzie leżeli ostatnim razem.

– Wolałabym stać, jeśli nie masz nic przeciwko temu - rzuciła pośpiesznie, po czym cofnęła się o krok i oparła o pień drzewa, jakby było to najwygodniejsze miejsce na świecie.

Z dyplomatycznym skinieniem głowy Clayton wyprostował się i odszedł na odległość dwóch kroków, oparł stopę na wielkim kamieniu obok strumienia, a następnie z ręką na zgiętym kolanie popatrzył na Whitney bez słowa.

Nagle oszołomiona dziewczyna uprzytomniła sobie, że ten męczyzna jest jej narzeczoną! Ale tylko na jakiś czas, pomyślała... tylko do powrotu Paula, gdy zdołają zrealizować plan, który miała już w głowie. Do tej chwili wszystko, co może zrobić, to postępować ostro i uzbroić się w cierpliwość.

Kora drzewa wbijała jej się w łopatki, a niewzruszone spojrzenie Claytona zaczynało ją denerwować. Nie znajdując lepszego tematu, a chcąc za wszelką cenę przełamać tę pełną napięcia ciszę, Whitney skinęła ku miejscu, gdzie księżę przywiązał swego kasztanowego ogiera.

– Dlaczego nie jechałeś na tym koniu w wyścigu ze mną? Jest znacznie szybszy niż ów gniadosz, którego wtedy dosiadałeś.

To pytanie wydawało się go bawić. Spojrzał na konie.

– Twój czarny ogier zmęczył się zbyt szybko, gdy jechałem na nim w dniu pikniku. Wybrałem więc gniadosza, bo wytrzymałością i szybkością niemal dorównuje twojemu ogierowi, a chciałem ci dać uczciwą szansę wygranej.

Gdybym wtedy wziął tego kasztana, nie zdążyłabyś nawet przejechać jednej trzeciej dystansu. Z drugiej zaś strony, jeśli wystawiłbym przeciwko twemu ogierowi jakiegoś znacznie słabszego konia, nie cieszyłabyś się ze zwycięstwa.

Mimo okropnie kłopotliwego położenia Whitney musiała się roześmiać.

– Ale tak, cieszyłabym się! Cieszyłabym się z pokonania cię w tym wyścigu, nawet gdybyś dosiadł koźła!

Clayton, chichocząc, pokręcił głową.

– Przez te trzy lata, jakie cię znam, nigdy nie przestałaś mnie bawić.

Whitney spojrzała na niego podejrzliwie.

– Trzy lata? Jak to mo liwe? Trzy lata temu ledwie wprowadzono mnie w świat.

– Byłaś z ciocią w sklepie z kapeluszami, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz.

Modystka próbowała sprzedać ci jakiś straszny kapelusz ozdobiony małymi kiśćmi winogron i jagód, przekonując cię, e jeśli włoysz go na spacer po parku, d entelmeni padną do twych stóp.

– Nie przypominam sobie tego zdarzenia - odrzekła niepewnie Whitney. -I co, kupiłam ten kapelusz?

– Nie. Powiedziałaś, e jeśli d entelmeni padną do twych stóp, to jedynie po to, by uniknąć roju szalejących pszczoł, przyciągniętych tacą owoców, jakie masz na głowie.

– To do mnie podobne - przyznała Whitney, z zakłopotaniem bawiąc się rękawiczkami. Była niemal przekonana, e w tonie Claytona, gdy mówił o tamtym incydencie, kryła się pewna czułość, i podekscytowało ją to. - Czy właśnie wtedy postanowiłeś... zapragnąłeś poznać mnie lepiej?

– Z pewnością nie - za artował. - Odetchnąłem, e to modystka, a nie ja, musi stawić opór tym twoim miotającym błyski zielonym oczom.

– A co ty robiłeś w sklepie z damskimi kapeluszami? - zanim wybrzmiało to pytanie, Whitney ju ugryzła się w swój głupi język. A có by tam robił

innego, jeśli nie czekał na ówczesną kochankę?

– Z twojej miny widzę, e ju udzieliłaś sobie odpowiedzi na to pytanie -

mruknął ironicznie.

Tłumiąc irracjonalne rozdra nienie, e był tam z inną kobietą, Whitney zadała następne pytanie:

– Czy spotkaliśmy się jeszcze ponownie... chodzi mi o to, czy spotkaliśmy się przed maskaradą?

– Widywałem cię niekiedy tamtej wiosny, zwykle wtedy, gdy jeździłaś konno w parku... A potem zobaczyłem cię znowu, rok później, całkiem ju dorosłą, na balu u państwa DuPre.

– Byłeś sam? - To pytanie po prostu jej się wyrwało i Whitney zacisnęła pięści, niezadowolona z samej siebie.

– Nie - przyznał szczerze. - Ale ty równie nie byłaś sama. W istocie byłaś wręcz otoczona wielbicielami... Rozczulająca gromada smarkaczy, o ile pamiętam. - Roześmiał się na widok oburzonego spojrzenia dziewczyny. -

Nie ma powodu, by tak się na mnie oburzać, moja pani. Ty równie uważyłaś ich za smarkaczy. Tego samego wieczoru później podsłuchałem, jak mówiłaś jednemu z nich; temu, który niemal konał z ekstazy, zachwycając się zapachem twoich rękawiczek, a jeśli tak na niego działa woń mydła, to jest albo pomyłony, albo brudny.

– Nigdy nie zachowałabym się tak nieuprzejmie - zaprotestowała Whitney, z przykrością uświadomiwszy sobie, że nazwała ją „swoją panią”, jakby była już jegooną. - To brzmi jedynie śmiesznie i wcale nie zasługuje na taką odprawę, poza tym... - Zapominając, co chciała powiedzieć, zapatrzyła się gdzieś w dal, próbując przywołać mgliste wspomnienia. - Czy to on tak zabawnie drobił nogami?

– Znacznie bardziej interesowała mnie twoja twarz niż jego nogi, więc nie wiem - odparł sucho Clayton. - A dlaczego o to pytasz?

– Bo teraz przypominam sobie, że to powiedziałam. - Westchnęła. - Patrzyłam, jak drobiąc nogami, odchodzi w ten swój zmanierowany sposób i myślałam, że strasznie mi się nie podoba. Potem się odwróciłam i zobaczyłam wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę stojącego w drzwiach, który uśmiechał się tak, jakby cała ta scena bardzo go bawiła. To byłeś ty! - Ze zdumienia zabrakło jej tchu. - Szpiegowałeś mnie!

– Nie szpiegowałem - zaprotestował Clayton. - Ja tylko byłem gotów podać temu ogłupiałemu nieszczęśnikowi pomocną dłoń w wypadku, gdybyś wytoczyła z niego krew tym swoim ciętym językiem.

– Nie powinieneś się przejmować, gdy założyłaś na wszystko, co powiedziałam. Nie przypominam sobie jego nazwiska, ale dobrze pamiętam, że poprzedniego wieczoru próbował mnie pocałować, a jego ręce miały obrzydliwą skłonność do błakania się, gdzie nie trzeba.

– Szkoda, że nie pamiętasz jego nazwiska - wycedził lodowatym głosem ksiądz.

Spod niewinnie opuszczonych rzęs Whitney ukradkiem zerknęła na jego złowieszczą minę i z satysfakcją uświadomiła sobie, że teraz to on był

zazdrosny. Przyszło jej do głowy, że gdyby wydała mu się płocha, a może nawet nieco... swobodna, to może zastanowiłby się jeszcze nad zamiarem poślubienia jej.

– Chyba powinnam powiedzieć, że nie był on jedynym d entelmenem w Paryżu, który próbował zdobyć moje uczucia i stał się... nadmiernie ochoczy. Miałam wielu poważnych adoratorów w Paryżu, nawet nie potrafię przypomnieć sobie wszystkich nazwisk.

– Pozwól więc, że ci pomogę - zaproponował Clayton spokojnie i podczas gdy Whitney patrzyła na niego zdumiona, wyrecytował nazwiska wszystkich mężczyzn, którzy się o nią oświadczyli. - Pominąłem Nicolasa DuVille'a -

zakończył - ponieważ on wciąż czeka na stosowną chwilę. Przyпускаjąc jednak, że powinienem włączyć Sevarina, bo będzie próbował oświadczyć się o ciebie. Wydaje mi się, madame - mówił

dalej, znów zwracając się do niej, jakby ju była mę atką - e jak na rozsądną młodą kobietę jesteś wyjątkowo niemądra, jeśli chodzi o mę czynn, którym pozwalasz zalecać się do siebie.

Chcąc uniknąć dyskusji o Paulu, skwapliwie uchwyciła się krytyki Nicolasa.

– Skoro mówisz o Nicolasie DuVille'u, to jego rodzina jest jedną z najstarszych i najbardziej szanowanych we Francji!

– Mówię o Sevarinie i dobrze o tym wiesz - odparł owym lodowato władczym tonem, który wprawiał Whitney w szczególne oburzenie. - Ze wszystkich mę czynn, których wymieniłem, Sevarin jest najmniej odpowiedni, ale gdyby zale ało to od ciebie, wybrałabyś właśnie jego. Nie dorównuje ci ani inteligencją, ani odwagą, ani temperamentem. Nie jest równie - dodał

znacząco - odpowiednim mę czynną, by uczynić z ciebie kobietę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała ostro.

Wzrok Claytona ześlizgnął się wymownie na to miejsce w trawie, gdzie trzymał ją w ramionach i z nieśmiałym udziałem Whitney odwa nie sobie poczynął.

– Myślę, e dokładnie wiesz, co chcę powiedzieć - odrzekł, obserwując ró owy cień pokrywający jej policzki.

Nie była tego całkiem pewna, ale wiedziała, i nie jest to temat, który pragnęłaby drą yć. Zboczyła więc na łatwiejszy, mniej zapalny.

– Jeśli byłeś tak mną zajęty we Francji, to dlaczego nie przyszedłeś do wuja Edwarda, eby się o mnie oświadczyć?

–

eby mnie zbył owym nonsensem, jakobyś była za młoda do mał eństwa, a twój ojciec nie czuł się jeszcze gotowy, by się z tobą rozstać? - zapytał z sardonicznym rozbawieniem. - Jeszcze czego!

– Naprawdę zaś uwa ałeś - odparowała Whitney -

e poni ej twojej

wyolbrzymionej godności jest zabieganie o to, eby mi cię przedstawiono i eby...

– Przedstawiono nas sobie - przerwał jej Clayton. - Zostaliśmy sobie przedstawieni tego samego wieczoru przez madame DuPre. Nie zwróciłaś wystarczającej uwagi na moje nazwisko, obdarzyłaś mnie tylko krótkim skinieniem głowy i jednym wzruszeniem ramion, a potem odwróciłaś się ku bardziej nagłacemu zajęciu, jakim było zgromadzenie wokół siebie mo liwie największej liczby łaszących się zalotników.

Jak bardzo ten chłód musiał go dotknąć, pomyślała ze skrytą przyjemnością.

– Poprosiłeś mnie do tańca? - zapytała słodziutko.

– Nie - odrzekł sucho. - Mój karnet był ju pełny.

W innych okolicznościach Whitney roześmiałaby się z tego artu, ale teraz wiedziała, e miał on jej przypomnieć, i Clayton tak e cieszył się względami płci przeciwnej. Jakby ktoś musiał jej o tym przypominać!

– Wyobra am sobie, e gdyby mę czyżni mieli karnety balowe, twój zawsze byłby zapisany! - powiedziała, rzucając mu spojrzenie równie szydercze jak ton. - Teraz, gdy o tym myślę, zastanawiam się, co robi mę czyżna ze swoją kochanką, gdy pragnie zatańczyć z kimś innym?

– Nie przypominam sobie, by wydawało mi się to przeszkodą nie do pokonania tamtej nocy, gdy ty i ja tańczyliśmy na balu maskowym u Armandów.

Rękawiczki, które trzymała Whitney, upadły na trawę.

– Jak śmiesz być tak niedelikatny, by...

– ...by powracać do czegoś takiego? - gładko wszedł jej w słowo. - Czy nie mówi się „oko za oko”?

– Nie wierzę własnym uszom! - Whitney roześmiała się drwiąco. - Jesteś ywym przykładem szatana cytującego Biblię!

– Trafienie! Brawo! - zawołał rozbawiony Clayton.

Jego wesołość jedynie jeszcze bardziej rozżłościła Whitney.

– Ty mo e potrafisz skwitować śmiechem swoje skandaliczne zachowanie, ale ja nie! W tym okresie naszej znajomości, który ja pamiętam, czyniłeś mi nieprzyzwoite propozycje u państwa Armandów, obraziłeś mnie na przyjęciu u lady Eubank i napastowałeś właśnie w tym miejscu. - Pochyliła się i podniosła z ziemi rękawiczki. - Bóg jeden wie, czego jeszcze zechce pan spróbować, wasza wysokość?

Ostatnie zdanie obudziło ciepły błysk w jego oczach i Whitney przezornie doszła do wniosku, e pora iść. Ruszyła więc z miejsca, zmierzając w stronę koni, ale Clayton wyciągnął rękę i chwyciwszy dziewczynę za nadgarstek, przyciągnął ją do siebie.

– Z wyjątkiem balu u Armandów traktowałem cię tak, jak na to zasługiwałaś i właśnie tak będzie między nami zawsze. Nie mam najmniejszego zamiaru pozwalać ci,

ebyś wygrywała ze mną walkowerem. Gdybym tak postępował, wkrótce nie czułabyś do mnie więcej szacunku ni do Sevarina, jeśli miałabyś nieszczęście go poślubić.

Whitney była oburzona taką niewiarą w stałość jej uczuć i pora ona okropną, niewzruszoną pewnością, z jaką Clayton sprowadził jej plan poślubienia Paula do niefortunnego kaprysu, który całkowicie wykraczał poza granice rozsądku.

Co gorsza zaś, właśnie w tym momencie otoczyły ją jego ramiona.

– Nie obchodzi cię, e cię nie kocham? - zapytała z desperacją.

– Oczywiście, e mnie nie kochasz. - Clayton się zaśmiał. - Nienawidzisz mnie. Powiedziałaś mi to przynajmniej kilka razy. Ściśle rzecz biorąc, właśnie w tym miejscu. A zaledwie kilka chwil wcześniej byłaś namiętną kobietą, która trzymała mnie w swoich ramionach.

– Przestań mi przypominać, co się wtedy stało! Pragnę o tym zapomnieć.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej i patrzył na nią z czułym rozbawieniem.

– Maleńka, dam ci wszystko, co w mojej mocy, ale nigdy nie pozwolę ci zapomnieć, jaka byłaś tamtego dnia. Nigdy. Proś mnie o cokolwiek innego, a będzie twoje.

– Proś o cokolwiek innego, a będzie twoje...? - Powtórzyła jego słowa, zwiększając odległość między nimi przez oparcie rąk o jego pierś. - Dobrze...

Nie chcę za ciebie wyjść. Zwolnisz mnie z ojcowskiego kontraktu?

– Nie. Obawiam się, e nie.

Z trudem zapanowała nad wybuchem wrogości.

– Wobec tego nie obrajaj mojej inteligencji udawaniem troski o moje yczenia. Nie chcę być twoją oną, ale nie zwolnisz mnie z kontraktu narzeczeńskiego. Nie chcę za ciebie wyjść, lecz ty zamierzasz tak czy inaczej zaciągnąć mnie do ołtarza. Nie...

Puścił ją tak gwałtownie, e cofnęła się o krok.

– Gdybym miał jakikolwiek zamiar zaciągnięcia cię do ołtarza -rzucił szorstko

- polecono by ci natychmiast wrócić z Francji na przymiarkę sukni ślubnej.

Jednak cała rzecz w tym, e nie chcę mieć w łóku zimnej, niechętnej ony.

Whitney poczuła taką ulgę i była tak uradowana, e całkiem darowała mu dwuznaczne napomknienie o łóku.

– Wielkie nieba, dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Skoro tak to widzisz, nie ma potrzeby, byś dłużej zawracał sobie mną głowę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, e będę dla ciebie najzimniejszą, najbardziej niechętną oną, jaką mo na sobie wyobrazić.

Uniósł czarne brwi, przyglądając jej się badawczo.

– Grozisz mi?

Whitney pośpiesznie pokręciła głową.

– Nie. Oczywiście, e nie. Próbuję tylko wytłumaczyć, e moje uczucia nie ulegną zmianie.

– Jesteś tego całkiem pewna?

– Absolutnie - odparła promiennie.

– W takim razie nie ma sensu dłużej zwlekać ze ślubem, nieprawda ?

– Co?! - Wprost zabrakło jej tchu z wra enia. - Przecie powiedziałaś, e nie poślubisz mnie, skoro mam być zimna i niechętna.

– Powiedziałem, e nie chcę tego robić, ale nie powiedziałem, e nie zrobię, jeśli będzie to jedyne wyjście.

Po tych słowach skinął głową w stronę koni i odwrócił się, pozostawiając Whitney wprost sparali owaną ze strachu na myśl, e ksią ę zamierza jechać prosto do domu i wezwać duchownego, by połączył ich ślubem. Bez wątpienia miał ju na to specjalne zezwolenie! Zaczęła rozpaczliwie szukać jakiegoś sposobu ocalenia. Jeśli ucieknie, Clayton ją złapie; jeśli będzie mu grozić, zlekcewa y ją; jeśli odmówi, zostanie zmuszona.

Wybrała jedyną pozostała jej drogę; jedyną, chocia upokarzającą, gdy oznaczała konieczność przypoehli biania się i proszenia. Wyciągnęła rękę i poło yła dłoń na rękawie Claytona.

– Powiedziałeś, e dasz mi wszystko, co w twojej mocy...?

– W mocy - odrzekł chłodno - i w granicach zdrowego rozsądku.

– Czy zechcesz zatem dać mi czas? Potrzebuję czasu, eby się uporać z tym okropnym uczuciem, i jestem bezradnym pionkiem w partii szachów rozgrywanej przez ciebie i mojego ojca. Jest mi potrzebny równie po to, ebym mogła się oswoić z myślą o naszym mał eństwie.

– Dam ci czas - zgodził się spokojnie - pod warunkiem, e skorzystasz z niego z umiarem.

– Obiecuję - zapewniła go Whitney, kłamiąc teraz znacznie łatwiej. -I jeszcze jedno: chciałabym przez jakiś czas zachować w sekrecie zarówno twoją to samość, jak i nasze zaręczyny.

– Dlaczego? - zapytał, a na jego twarzy odmalowała się niepokojąca, zimna czujność.

Bo kiedy ucieknie z Pauliem w przyszłym tygodniu, Clayton wpadnie w furię, gdyby jednak zrobiła z niego kompletnego głupca, poni ając go wobec mieszkańców okolicy, którzy wiedzieliby o ich zaręczynach, Bóg jeden wie, jaką formę przybrałaby zemsta tego człowieka.

– Poniewa - zaczęła ostro nie - jeśli ludzie dowiedzą się o tobie... o nas...

zaczną plotkować o tym, kim jesteś, jak się poznaliśmy i kiedy się pobierzemy, a ja będę się czuła jeszcze bardziej przytłoczona niż teraz.

– Dobrze, zachowamy to w sekrecie. - Podeszedł z Whitney do Khana i bez wysiłku posadził ją w siodle. Sądząc, że temat został zamknięty, a ich spotkanie dobiegło końca, sięgnęła po wodze, gotowa do odjazdu. Jednak Clayton jeszcze nie skończył i zadrżała nagle, słysząc groźbę ukrytą pod gładką uprzejmością jego głosu. -Daję ci czas, o który prosisz, ponieważ powiedziałaś, że chcesz się oswoić z myślą o naszym małżeństwie. Jeśli jednak będę miał powód sądzić, że potrzebujesz czasu w innym celu, konsekwencje ci się nie spodobają...

– Skończyłeś? - zapytała, tuszując swój strach wyniosłą postawą.

– Na dzisiaj - odrzekł. - Jutro porozmawiamy o innych sprawach.

Resztę dnia Whitney spędziła z krewnymi. Wizja przyszłości wiszącej na włosku sprawiła, i musiała wykonać olbrzymi wysiłek, by się uśmiechać i gawędzić z tymi pogodnymi, yczliwymi ludźmi, ignorując lękliwe spojrzenia ojca. W chwili gdy kolacja dobiegła końca, usprawiedliwiła się i umknęła do ciszy swojego pokoju.

Późnym wieczorem przyszła do niej lady Gilbert. Whitney, która wprost umierała z pragnienia, by zwierzyć się jej z całego dnia, zeskoczyła z szezlongu.

– Ciociu Annę, ten arogancki, bezlitosny tyran naprawdę zamierza zmusić mnie do małżeństwa. Powiedział mi to dziś rano.

Ciotka usiadła na szezlongu i posadziła dziewczynę obok siebie.

– Kochanie, on nie może cię do niczego zmusić. Jestem pewna, że istnieją w Anglii prawa, które go przed tym powstrzymają. O ile rozumiem sytuację, twój problem nie tkwi w tym, czy Clayton Westmoreland może cię zmusić do małżeństwa, lecz raczej w tym, co stanie się z twoim ojcem, jeśli nie poślubisz tego człowieka.

– Mój ojciec nie zastanawiał się nad konsekwencjami, jakie niesie dla mnie umowa z Westmorelandem, kiedy zgadzał się na te zaręczyny, więc nie czuję potrzeby rozważania konsekwencji, jakie poniesie sam, jeśli ja nie zgodzę się na to małżeństwo. Nigdy mnie nie kochał. Ja też go nie kocham.

– Rozumiem - odpowiedziała lady Annę, uważnie przyglądając się siostrzenicy. - To chyba dobrze, że tak to widzisz.

– Dlaczego?

– Bo twój ojciec wydał ci pieniądze, które dał mu książę Claymore. Jeśli odmówisz honorowania kontraktu narzeczeńskiego, jego wysokość naturalnie zażąda zwrotu pieniędzy, a ponieważ twój ojciec nie będzie mógł ich oddać, więc prawdopodobnie spędzi resztę życia w pełnej szczyrowości celi więzienia dla dłużników. Gdyby pozostało ci jeszcze trochę uczucia dla niego, mogłoby być ci bardzo trudno cieszyć się szczęściem z Paulem, ze świadomością, że jesteś odpowiedzialna za opłakane położenie



enie ojca. Skoro jednak jesteś całkiem pewna, e nie poczujesz wówczas wyrzutów sumienia, doprawdy nie musimy się martwić twoim ojcem, prawda?

Kiedy zamknęły się drzwi za ciocią, Whitney została ze strasznymi wizjami Martina Stone'a odzianego w łachmany i gnijącego w obskurnej, przejmująco wilgotnej celi.

Musiał istnieć jakiś sposób oddania Claytonowi Westmorelandowi pieniędzy, które dał jej ojcu. Być mo e, gdyby ona i Paul yli bardzo skromnie, zdołaliby spłacić ten dług w ciągu kilku lat... Albo jeszcze lepiej; mo e jest jakiś sposób nakłonienia księcia, eby sam wycofał się z tych zaręczyn, a wtedy pieniądze nie musiałyby zostać zwrócone. Czy te musiałyby? Jak sformułowany był ten wstępny kontrakt mał eński, zastanawiała się dziewczyna.

Wuj Edward! - pomyślała nagle. Wuj Edward nie stałby beczynn timer, wiedząc, e Whitney jest zmuszana do zapłacenia swym yciem za ojcowskie długi. Mo e wuj Edward mógłby udzielić po yczki na spłacenie Clayтона?

Byłaby to oczywiście czysto handlowa transakcja. Sama dopilnowałaby, by ich posiadłość stanowiła poręczenie. Ale czy wuj ma wystarczające środki, eby po yczyć te pieniądze? Gdyby wiedziała, o jaką kwotę chodzi! Musiała być wielka, skoro wystarczyło na wszystkie kosztowne inwestycje w domu, ponad dwadzieścia nowych koni, kilkunastu słu ących, a tak e spłatę długów ojca.

Dwadzieścia pięć tysięcy funtów, a mo e trzydzieści? Serce w niej zamarło.

Wuj Edward nie miałby tak wielkiej kwoty.

\* \* \*

Kiedy następnego ranka Clarissa przyszła obudzić Whitney, zastała ją siedzącą przy biurku i w zamyśleniu gryzącą koniec pióra.

Po chwili dziewczyna zaczęła pisać. Oczy lśniły jej satysfakcją, gdy uprzejmie wyjaśniała Claytonowi, e nadwerę yła sobie kolano i musi pozostać w łó ku. Zakończyła przesłodzonym stwierdzeniem, e niecierpliwie czeka na spotkanie z nim następnego dnia... jeśli ból kolana zel eje. Podpisała list po prostu „Whitney”, a potem oparła się w fotelu, bardzo z siebie zadowolona.

Pomysł z kolaniem był wręcz doskonały, bo takie obra enia są nie tylko bolesne, ale zgoła nie mo na przewidzieć czasu, jakiego będzie wymagać ich leczenie. Jutro wyśle kolejny, pełen

alu list, który wzbogaci kilkoma

przekonującymi szczegółami i wyjaśnieniem, jak doszło do owej kontuzji. Przy odrobinie szczęścia mo e zdoła uniknąć spotkania z Claytonem a do powrotu Paula.

– W co chcesz się ubrać na dzisiejsze spotkanie z księciem? -zapytała słu ąca.

Na twarzy Whitney zaświtał promienny uśmiech.

– Nie spotkam się z nim dzisiaj, Clarisso. Ani jutro. Ani pojutrze. Posłuchaj -

powiedziała i szybko przeczytała list wiernej pokojówce. - No i co o tym myślisz? - zapytała, składając arkusz i pieczętując go kilkoma kroplami wosku.

– Sądzę, e ksią ę się domyśli, e udajesz - głos Clarissy był pełen trwogi - i narobi wiele hałasu. Nie chcę w tym uczestniczyć. Powinnaś zapytać o radę lady Annę, zanim wyślesz ten list.

– Nie mogę czekać, a ciocia wstanie, a ty musisz wziąć w tym udział -

tłumaczyła cierpliwie Whitney. - Musisz dostarczyć ten list.

Clarissa zbladła.

– Ja? Dlaczego muszę to zrobić?

– Bo chcę wiedzieć, jak go przyjmie, a nie mogę zdać się na nikogo innego.

– Serce mi wali na samą myśl, e coś się nie uda - narzekała Clarissa, ale wzięła list. - A jeśli zacznie mnie wypytywać o twoje kolano?

– Wymyśl coś - poradziła beztrwosko Whitney. - Tylko pamiętaj, co powiedziałaś księciu, abym ja nie mówiła potem czegoś innego.

Po wyjściu pokojówki dziewczyna poczuła się tak, jakby zdjęto jej z ramion ogromny ciężar. Nucąc wesoło, podeszła do szafy, by wybrać suknię na dzisiejszy dzień.

Clarissa wróciła po dwudziestu minutach i Whitney wybiegła do niej natychmiast.

– Co powiedział? - pytała niecierpliwie. - Jak wyglądał? Opowiedz mi wszystko.

– Jego wysokość jadł akurat śniadanie, kiedy przyszedłem - odrzekła Clarissa, nerwowo mniąc wykrochmalony kołnierzyk sukni. - Lokaj zaprowadził mnie prosto do niego, gdy tylko powiedziałam, kim jestem. Wtedy dałem księciu list, a on go przeczytał.

– Nie był zły, prawda? - wypytywała Whitney.

– Wydaje mi się, e nie, ale chyba nie był te zadowolony.

– Clarisso, na litość boską! Co ci powiedział?

– Podziękował mi za przyniesienie listu, potem skinął ku jednemu z tych swoich ałosnych sług i została odprowadzona do wyjścia.

Whitney nie była pewna, czy powinna czuć ulgę, czy lękać się reakcji Clayтона, i w miarę upływu dnia zauważała, e jej wytchnienie nie było tak błogie, jak się spodziewała.

Koło południa podskakiwała, ilekroć usłyszała jakieś kroki w holu, myśląc, e zaraz zostanie powiadomiona, i przyszedł pan Westland. Byłoby to do Claytona bardzo podobne, by nalegać, eby ciocia udała się z nim do jej pokoju, mimo e stanowiłoby to niewybaczalne naruszenie zasad dobrego tonu.

Kolację przyniesiono jej na tacy i Whitney zjadła posiłek w nudnej samotności. Pierwszy raz w ciągu całego dnia jej myśli po egłowały do Paula.

Biedny Paul, pomyślała ze skruchą. Była tak zaplątana w sieć owej intrygi i tak starała się wywieść w pole Claytona Westmorelanda oraz przewidzieć jego posunięcia, e nie poświęciła ani jednej myśli człowiekowi, którego kochała.

## Rozdział 19

Następnego ranka Whitney szybko napisała drugi list do narzeczonego, wdając się w bardziej szczegółowy opis dręczącego bólu, który doskwierał jej z powodu niezręcznego upadku ze schodów, i przeprasząc uprzejmie, e jeszcze nie mo e się z nim spotkać. Chocia oznaczało to konieczność spędzenia następnego dnia w samotności (gdy nie mogła ryzykować, by Clayton ujrzał ją z krewnymi, gdyby postanowił osobiście dowiedzieć się o stan kolana narzeczonej), dziewczyna uwa ała, e owa wymuszona samotność jest tego warta... Nie tylko dlatego, e mogła w ten sposób unikać swego wroga, lecz równie i z tego powodu, i jednocześnie miała wielką satysfakcję z przechytrzenia go.

– Naprawdę myślisz, e to rozsądne, kochanie? - Lady Annę zmarszczyła brwi, czytając chytry liścik Whitney. - Nie wyobra am sobie, co zrobi, jeśli niepotrzebnie go rozgniewasz.

– On nic nie mo e zrobić, ciociu - zapewniała ją siostrzenica, pieczętując list i wręczając Clarissie, by go doręczyła. - Napisałaś ju przecie do wuja Edwarda, eby szybko przyjechał. Kiedy przyjedzie, pomo e mi znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Tymczasem będę odgrywała tę farsę, dopóki to mo liwe, a potem wymyślę coś innego. Mo e zdołam znudzić jego wysokość. - Whitney się roześmiała.

Clarissa po powrocie opowiedziała dr ącym głosem, e ksią ę przejrzał list, a potem spojrział na nią w niezmiernie dziwny sposób.

– - Clarisso, proszę, czy nie mo esz być bardziej dokładna? - pytała niecierpliwie dziewczyna. - Co to znaczy „w niezmiernie dziwny sposób”?

– No có , przeczytał ten list, a potem spojrział, jakby miał się uśmiechnąć. Nie uśmiechnął się jednak, tylko wezwał jednego z tych wyniosłych słu ących, eby mnie odprowadził do wyjścia.

Whitney

przygryzła

wargę,

zaintrygowana

zaskakującą

reakcją

narzeczzonego, a potem skwitowała całą sprawę lekkim wzruszeniem ramion.

– Doprawdy wszystkie trzy powinnyśmy przestać się niepokoić ka dym jego słowem i gestem. Cóż bowiem mo e nam zrobić - powiedziała lekko, opadając na szeslong - bez względu na to, czy uwa a, e kłamie, czy te nie?

Odpowiedź na to pytanie dotarła tu po obiedzie lśniącym, lakierowanym powozem Westmorelanda, zaprzę onym w cztery ręce czarne konie w srebrnej uprzę y. Wsiadł z niego jakiś ponuro odziany, powa ny jegomość i pośpiesznie ruszył w stronę domu. W lewej ręce niósł du ą skórzaną czarną torbę, w prawej zaś niewielki bilet wizytowy, który wręczył Sewellowi.

– Jestem doktor Whitticomb - oznajmił - przysłano mnie tu z Londynu i polecono, abym zgłosił się do lady Gilbert.

Gdy Annę przyjęła gościa w salonie, doktor Whitticomb uśmiechnął się, widząc zdziwienie w jej oczach.

– Jego wysokość, ksią ę Claymore, przysłała mnie, bym zbadał kolano panny Stone - wyjaśnił.

Lady Gilbert tak zbladła, e doktor Whitticomb zląkł się, i mo e być chora.

Ale gdy poprosiła go, by zaczekał, i unosząc spódnicę, wyszła z pokoju, przebiegła przez hol i wskoczyła na schody z szybkością i zwinnością, która byłaby zgoła nadzwyczajna u zdrowej kobiety mającej zaledwie połowę jej lat.

– Co zrobił? - wykrzyknęła Whitney, zrywając się na równe nogi i upuszczając na podłogę „Dumę i uprzedzenie”. - Dlaczego ten podły, nikczemny...

– Później będziesz się złościć, jeśli to prze yjemy - powiedziała ciotka, dr ącymi palcami rozpinając pośpiesznie suknię Whitney i szybkim, bezceremonialnym ruchem ściągając ją siostrzenicy przez głowę, podczas gdy Clarissa zdejmowała kapę z łó ka, a potem pobięła do gotowalni i wróciła ze szlafrokiem.

– Czy nie mogłaś powiedzieć, e śpię i odesłać go z powrotem do Londynu? -

wybuchnęła Whitney, wskakując do łó ka i przykrywając się kołdrą.

– Doktor Whitticomb nie jest głupcem, uwierz mi - tłumaczyła lady Annę, starając się złapać oddech. - Został tu przysłany, eby wyleczyć twoje kolano, i zamierza ściśle wypełnić to polecenie. - Obrzuciwszy Whitney szybkim krytycznym spojrzeniem, zwróciła się do pokojówki: - Clarisso, przynieś dwie poduszki i ułó je pod kolanem Whitney, a potem idź do mojego pokoju po buteleczkę z amoniakiem i postaw ją na nocnym stoliku. -

Po tych słowach ruszyła ku drzwiom. - Zatrzymam doktora Whitticomba, jak długo będę mogła, ale nie liczę na więcej niż kilka minut.

Przera ona pokojówka stała niczym wrośnięta w podłogę, ze szklistymi oczami, ściskając dłońmi oparcie fotela.

- Clarisso! - upomniała ją ostro lady Annę. - Nawet nie myśl o tym, eby teraz zemdleć!

\* \* \*

- Dziękuję, lady Gilbert, ale nie jestem głodny. - Doktor Whitticomb po raz trzeci odmówił poczęstunku, który z wyraźnym nadmiarem uprzejmej troskliwości ponownie próbowała weń wmusić Annę. Odpowiedział jej na wszystkie jej pytania o pogodę w Londynie, pogodę podczas podróży i o przyjemności związane z opuszczeniem stolicy. Kiedy jednak próbowała wciągnąć go w dyskusję o tym, ile śniegu powinni spodziewać się tej zimy, doktor rzekł bez ogródek: - Zastanawiam się, kiedy będę mógł zobaczyć pannę Stone.

Lady Annę zaprowadziła go na schody, a potem przez galerię ku czwartym drzwiom po lewej stronie. Po zdumiewająco długiej przerwie od chwili, gdy zapukał, drzwi otworzyła tęga, leciwa pokojówka w przekrzywionym czepku na siwych włosach. Doktor Whitticomb, któremu nie były obce zachowania rozpieszczonych zamężnych młodych dam, natychmiast doszedł do wniosku, że panna Stone jest nieznośną osobką i tak znękała swą służącą, a ta nieszczęsna kobieta wydawała się bliska śmierci.

Taki wniosek nasuwał się z wyglądu samej pacjentki, młodej damy o uderzającej urodzie i

wywich kolorach, która leżała w wielkim łóżku z baldachimem, patrząc na lekarza ze źle skrywaną niechęcią. Spojrzenie jadeitowozielonych oczu na krótko zwróciło się ku jego twarzy, następnie przesunęło się obojętnie po czarnym surducie, a potem z trwogą spoczęło na czarnej torbie, którą ze sobą przyniósł.

Próbując oderwać uwagę pacjentki od torby z instrumentami lekarskimi, doktor Whitticomb położył swój sakwoja na łóżku i zwrócił się do dziewczyny uspokajającym tonem.

- Jego wysokość, księżę Claymore, jest głęboko zatroskany pani wypadkiem.

Dwa wyraźne rumieńce pojawiły się na policzkach panny Stone.

- Księżę jest uosobieniem uprzejmości i troskliwości - szepnęła dziwnym głosem.

- Z pewnością - przyznał doktor Whitticomb, nie mogąc uwierzyć, że chyba usłyszał nutę sarkazmu w jej tonie. - O ile zrozumiałem, panno Stone, nader nieszczęśliwie spadła pani ze schodów - powiedział energicznie i sięgnąwszy po brzeg kołdry, dodał: - Rzucę okiem na to kolano, dobrze?

- Nie! - jęknęła, podciągając kołdrę do ślicznej buzi i patrząc na niego buntowniczo.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w zdumieniu, ale potem zrozumiał, co ją zatrzymało, i jego mina

złagodniała. Przysunął sobie krzesło do łóżka pacjenta i usiadł.

– Moja młoda damo - perswadował serdecznie - nie wjemy ju w owych mrocznych wiekach, gdy kobieta odmawiała sobie pomocy fachowego lekarza jedynie dlatego, i był on mężem czyżną. Pochwalam twoją skromność...

Bóg wie, i spotykamy ją zbyt rzadko u młodych dam w naszych czasach...

ale to nie jest odpowiednia chwila na nieśmiałość, o czym z pewnością ju mówiła ci ciocia. Zatem...

- Wyciągając rękę, ponownie próbował odsunąć kołdrę, ale mocno zaciśnięte palce pacjentki równie silnie ciągnęły przykrycie w przeciwnym kierunku.

Doktor Whitticomb cofnął się i z irytacją zmarszczył brwi.

– Jestem wysoko cenionym lekarzem i mam wiele pacjentek, wśród których jest te Jej Królewska Wysokość, jeśli to panią uspokoi, panno Stone.

– Ale nie uspokaja mnie to ani trochę! - zawołała jego pacjentka głosem zdumiewająco silnym jak na kogoś, komu doskwiera dręczący ból kolana.

– Młoda kobieto - ostrzegł - otrzymałem ściśle polecenia, by zbadać pani kolano i zaordynować odpowiednie leczenie. Ponadto -dodał złowieszczo -

księżkę polecił mi te , abym kazał panią unieruchomić, jeśli będzie to konieczne, by zastosować odpowiedni środek leczniczy.

– Unieruchomić?! - wykrzyknęła Whitney. - Cóż za niewiarygodny tupet! Za kogo on się uwa a, by pozwalać sobie na tak... -Stłumiła wybuch, wyobra ając sobie, jak Clayton, łamiąc wszelkie reguły dobrego wychowania i zasady etykiety, wpada do tego pokoju i siłą przywiązuje ją do łóżka, aby doktor Whitticomb mógł obejrzeć jej kolano. Rozpaczliwie szukała jakiegoś sposobu, by uniknąć badania. Nadmierna skromność była jej jedyną nadzieją.

– Wiem, jak dziecinna i niemądra muszę się panu wydawać, doktorze Whitticomb, ale po prostu umarłabym ze wstydu, gdyby zmuszono mnie do pokazania się mężowi czyżnie... zupełnie obcemu, bez względu na to, jak doskonałym jest pan lekarzem.

– Moja droga, przede wszystkim mówimy jedynie o pokazaniu kolana.

– Ale ja nie potrafię zmienić tego, co czuję - protestowała Whitney gwałtownie.

- Pan mnie nie zna, ale jego wysokość, który mnie zna, z pewnością powinien wziąć pod uwagę moje uczucia w tej kwestii. Jestem po prostu wstrząśnięta jego niedelikatnością i lekceważeniem mojej... mojej...

– Panieńskiej wrażliwości? - podpowiedział doktor automatycznie, myśląc, e Clayton będzie miał cię ki orzech do zgryzienia w noc poślubną z tą młodą damą i e to bardzo dobrze, i w relacjach z kobietami księżkę nie jest nowicjuszem.

– No właśnie! Wiedziałam, e pan zrozumie. Doktor Whitticomb skapitulował niechętnie.

– Dobrze, panno Stone, nie zbadam pani kolana pod jednym warunkiem: musi pani zezwolić, by zrobił to miejscowy lekarz.

– Natychmiast! - zgodziła się Whitney, posyłając mu promienny uśmiech.

Doktor pochylił się, zamknął torbę i uniósł ją do góry.

– Zna pani kogoś, kto ma doświadczenie ze zwichnięciami i złamaniami...

kogoś, z kim czułaby się pani swobodnie?

– Kogoś z doświadczeniem ze zwichnięciami i złamaniami? -powtórzyła, gorączkowo szukając w pamięci. - Tak. Tak, znam -obwieściła triumfalnie.

– Kto to? - zapytał doktor Whitticomb, wstając. - Jak się nazywa?

– Thomas - szybko powiedziała Whitney, uśmiechając się szeroko do swego pomysłu. - Mam do niego pełne zaufanie, jak wszyscy w okolicy...

kiedykolwiek dochodzi tu do jakiegoś zwichnięcia lub złamania, zawsze posyła się po Thomasa - tłumaczyła szybko, obdarzając księżę lekarza wdzięcznym uśmiechem. - Do widzenia, doktorze Whitticomb. Dziękuję za przybycie, jest mi bardzo przykro z powodu niewygód, jakich pan doznał.

Clarissa odprowadzi pana do wyjścia.

– Nie egnam się jeszcze - zapewnił ją. - Spotkamy się po mojej rozmowie z doktorem Thomasem.

– Wielki Bo e! - wyszeptała Clarissa, odruchowo chwytając się kolumny łóka, eby nie upaść.

Doktor Whitticomb, ignorując jej zachowanie, sięgnął do kieszonki kamizelki, wyjął cięki złoty zegarek i sprawdził, która godzina, a potem zamknął wieczko chronometru.

– Powóz jego wysokości czeka, więc jeśli ktoś będzie tak uprzejmy i skieruje mnie do doktora Thomasa, porozmawiam z nim i upewniwszy się co do jego umiejętności, wrócę tu razem z moim szanownym kolegą.

Whitney opadła na poduszki.

– A po co? Przecie właśnie zapewniałam pana o jego kwalifikacjach. Mo e mi pan wierzyć na słowo.

– Nie, przykro mi, ale nie mogę. Nawet gdybym zdecydował się powierzyć pani zdrowie jakiemuś nieznanemu specjalście, czego nie chcę, to zapewniam panią, e księżę nigdy by na to nie pozwolił. W

istocie rozmawialiśmy nawet o wezwaniu doktora Grundheima z Niemiec, jest specjalistą w dziedzinie urazów stawów. Jest te doktor Johansen w Szwecji...

– Nie ośmieliłby się! - zawołała Whitney.

– W rzeczy samej - przyznał lekarz - był to mój pomysł, by poprosić ich na konsylium w sprawie pani kolana. Claymore uznał jednak, e najlepiej będzie, jeśli najpierw ja je obejrzę. Miał pewne... hm... wątpliwości co do istoty tego urazu - dodał, po czym zwrócił się do Anny: - Lady Gilbert, czy będzie pani tak uprzejma, by wskazać mi drogę do doktora Thomasa? -

zapytał, ruszając do drzwi, ale zatrzymał się w połowie drogi, gdy z łóka pacjentki dobiegł go zduszony jęk, po którym rozległa się seria uwag o czyimś charakterze i prawości, hojnie przeplatanych takimi słowami jak

„łotr”, „nikczemnik”, „szubrawiec” i „hipokryta”.

Doktor Whitticomb odwrócił się zdumiony. Nieśmiała i a do przesady skromna młoda dama, która jeszcze przed chwilą wzdychała i lamentowała, zniknęła nagle. Ujrzał oszałamiającą piękność, która siedziała teraz wyprostowana na poduszkach, okazując największe oburzenie.

– Doktorze Whitticomb - zawołała w jego stronę - doprawdy nie zniosę tego dłujej. Na miłość boską, niech pan spojrzy na moje kolano, zanim ten człowiek sprowadzi do mego łóka wszystkie pijawki Europy.

– Ja osobiście nie uznaję puszczenia krwi ani leczenia pijawkami - napomknął, zmierzając z powrotem do łóka pacjentki i ponownie stawiając obok torbę.

Tym razem nie było ju adnego oporu, gdy odsuwał kołdrę. Rozchylił te szlafrok dziewczyny, odsłaniając parę długich, kształtnych nóg, z których jedna spoczywała na stosie poduszek.

– Dziwne... - Popatrzył z tłumionym uśmiechem na swą krnąbrną pacjentkę. -

Tak... w istocie zastanawiam się nad tą piramidą poduszek.

Whitney zmarszczyła brwi.

– Nie widzę nic ani trochę dziwnego w dwóch poduszkach wspierających skręcone kolano.

– W pełni się z panią zgadzam. - W oczach doktora Whitticomba pojawiły się iskierki. - Jeśli jednak nie odczytałem błędnie pani listu do jego wysokości, to napisano tam, e skrzyła pani lewe kolano. Natomiast teraz na stosie poduszek widzimy pani prawe kolano.

Palec doktora wskazywał oskar ycielsko niewłaściwą nogę i Whitney poczerwieniała.

– Ach tak... - wyjaśniła pośpiesznie. - Podparłyśmy prawą, by powstrzymać ją od uciskania lewej.

– Szybko pani myśli, moja droga - zauważył, chichocząc, doktor Whitticomb.



Whitney zamknęła oczy, robiąc smutną minę. Nie oszuka tego człowieka.

– Nie znajduję tu adnej opuchlizny. - Jego palce łagodnie dotykały najpierw prawego, następnie lewego kolana, a potem znowu prawego. - Czy czuje pani jakiś ból?

– Doktorze Whitticomb - odezwała się Whitney z uśmiechem rezygnacji na ustach. - Czy uwierzyłby pan, choćby przez sekundę, gdybym twierdziła, e czuję ból?

– Nie, obawiam się, e nie - oświadczył z równą otwartością -ale muszę powiedzieć, e podziwiam pani wyczucie, kiedy nadszedł czas, by wyło yć karty i przyznać się do przegranej. - Nakrył Whitney kołdrą, po czym oparł

się wygodnie na krześle, patrząc na dziewczynę w milczeniu.

Nie mógł nie podziwiać jej odwagi. Wymyśliła pewien plan i zrobiła wszystko, co mogła, by go zrealizować. Teraz zaś, kiedy została pokonana, uznała jego zwycięstwo, czyniąc to bez urazy, dąsów, humorów, szlochów i błagań. A niech go diabli, jeśli nie polubił jej za to!

Po chwili wyprostował się i powiedział ywo:

– Sądzę, e powinniśmy przedyskutować, co zrobię dalej. Whitney potrząsnęła głową.

– Nie ma potrzeby, by cokolwiek wyjaśniać. Wiem, do czego jest pan zobowiązany.

Whitticomb obdarzył ją rozbawionym spojrzeniem.

– Przede wszystkim zalecę zupełny, niczym niezakłócony odpoczynek w łó ku przez następne dwadzieścia cztery godziny. Nie pani - roześmiał się, widząc radosną minę dziewczyny - ale pani biednej, znękanej pokojówce stojącej za mną, która waha się między chęcią złapania najbli szego cię kiego przedmiotu i pozbawienia mnie świadomości a własnym głębokim omdleniem. - Sięgnął po buteleczkę amoniaku z nocnego stolika i wręczył ją Clarissie, mówiąc surowo: - Jeśli zechcesz przyjąć bezpłatną radę od wyjątkowo drogiego lekarza, pamiętaj: nigdy więcej nie wdawaj się w adną intrygę tej uroczej damy. Nie nadajesz się do tego. Poza tym wyrazem twarzy zdradzasz swoją panią.

Kiedy słu ąca zamknęła za sobą drzwi, doktor Whitticomb obrócił spojrzenie ku lady Anne, która obeszła łó ko dokoła i stała teraz obok Whitney, czekając niczym skazaniec, by podzielić z siostrzenicą wyrok.

– Pani, lady Gilbert, nie jest w ani trochę lepszym stanie ni ta pokojówka.

Proszę więc usiąść.

– Czuję się całkiem dobrze - wymamrotała lady Anne, lecz osunęła się na łó ko.

– Znacznie lepiej ni dobrze - zachichotał doktor Whitticomb. -Cudownie, powiedziałbym nawet. Nie zdradziła pani swej siostrzenicy nawet jednym mrugnięciem oka.

Whitney była kolejnym obiektem przenikliwego spojrzenia doktora.

– Jak, pani zdaniem, przyszły mąż zareaguje na to oszustwo? -zapytał.

Whitney zamknęła oczy przed przerażającą wizją rozwścieczonego Clayтона, jego lodowatych stalowych oczu i głosu drżącego zimną furią.

– Wpadnie w szal - wyszeptała - ale to jest ryzyko, które brałam pod uwagę.

– A zatem nic pani nie zyska poprzez wyznanie tego oszustwa, prawda?

Whitney szeroko otworzyła oczy.

– Moje wyznanie? Myślałam, że pan zamierza wyjawić mi prawdę.

– Prawda, jaką mam do powiedzenia księciu, młoda damo, brzmi tak: uraz stawu, a nie dego stawu, może być trudny, a nawet niemożliwy do zdiagnozowania. Mimo braku opuchlizny nie mogę definitywnie wykluczyć możliwości, że pani kolano uległo skręceniu, jak mi to pani opisała. Wszelkie dalsze rewelacje będą musiały pochodzić od pani. Jak pani wie, jestem tu jako lekarz, nie zaś jako donosiciel.

Nastroj pacjentki znacznie się poprawił. Wyjęła poduszkę spod nogi i przycisnęła ją do piersi, uśmiechając się z ulgą i wdzięcznością.

– Nie przypuszczam, by powiedział pan jego wysokości, że powinnam pozostać w łóżku? - zapytała po trzykrotnym podziękowaniu lekarzowi.

– Nie - odrzekł spokojnie. - Tego powiedzieć nie mogę i nie powiem.

– To całkiem zrozumiałe - przyznała łaskawie. - Tak tylko pomyślałam...

Doktor Whitticomb ujął dłoń dziewczyny w swoją i uśmiechnął się łagodnie.

– Moja droga, jestem przyjacielem Westmorelandów od wielu lat. Niebawem wejdzie pani do tej rodziny i chciałbym myśleć, że my tak i jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy nimi, prawda?

Whitney nie zamierzała wchodzić do rodziny Westmorelandów, ale skinęła głową, przyjmując ofertę przyjaźni.

– Doskonale - ciągnął lekarz. - Proszę mi więc pozwolić, że wykorzystam naszą nową przyjaźń do wyjaśnienia pani, że odmawianie narzeczonemu swego towarzystwa, aby uzyskać coś, na co ma pani ochotę, jest nie tylko niemądre, ale i ryzykowne. To dla mnie jasne, że księżycowi do pani wielkie uczucie i naprawdę sędzę, że da pani wszystko, czego pani zapragnie, jeśli po prostu obdarzy go pani tym swoim ślicznym uśmiechem i poprosi o to. - Po czym dodał z emfazą: - Oszustwo i kręctwa nie przynoszą pani chwały, moje dziecko, a co więcej - z księciem zaprowadzą panią donikąd. Zna on bowiem kobiety znacznie bardziej biegłe w tych sztuczkach niż pani i wszystko, co owe damy zyskiwały, to sposobność bawienia go przez bardzo krótki czas. Podczas gdy pani, dzięki swej

bezpośredniości i otwartości, którą u pani dostrzegłem, zyskała właśnie to, czego owe inne najbardziej pragnęły.

Pani - zakończył -z-dobyla ksią ęcą propozycję mał ęństwa.

Whitney pociemniało w oczach. Czemu wszyscy zachowują się tak, jakby zaproponowano jej koronę, tylko dlatego e Clayton Westmoreland zstąpił ze swego tronu i raczył ją uszczęśliwić propozycją mał ęństwa? To obraźliwe!

Poni ające! Jakoś udało jej się uprzejmie skinać głową.

- Wiem, e pańska rada płynie z najlepszych intencji, doktorze Whitticomb -

odrzekła. - Ja... pomyślę o tym.

Wstał i uśmiechnął się lekko.

- Pomyśli pani, ale nie zamierza z niej skorzystać, prawda? -Nie otrzymawszy odpowiedzi, pochylił się i poklepał ją po ramieniu. - Być mo e pani najlepiej wie, jak z nim postępować. Jest całkowicie panią oczarowany. W istocie nigdy nie sądziłem, i doczekam dnia, gdy coś lub ktoś wytrąci go z równowagi. Ale pani, moja droga, niemal się to udało. Kiedy przybyłem dziś rano z Londynu, miotał się między gniewem a rozbawieniem. W jednej chwili gotów był skrócić pani ten śliczny kark za ów „dowcip”, jak zdaje się go nazwał, w następnej zaś śmiał się i raczył mnie opowieściami o pani. Ten człowiek waha się między beztraską i wesołością a chęcią mordy.

- Kiedy więc nie mógł się zdecydować na jedno z dwojga, przysłał tu pana, by udzielił mi pan lekcji - podsumowała ponuro Whitney.

- No có , chyba tak - zgodził się doktor Whitticomb ze śmiechem. - Wydaje mi się, e taka była jego intencja. Przyznam, e poczułem pewną irytację, kiedy odkryłem, e pacjentka, dla której zostałem wyciągnięty z domu i przejechałem pół Anglii, najprawdopodobniej symuluje, ale teraz, gdy się tu znalazłem, ośmielam się powiedzieć, e nie przegapiłbym tej sposobności za nic na świecie!

Wesołość, pomyślała tego wieczoru Whitney z rozdra nieniem podczas kolacji z gośćmi, nie była balsamem na jej niedolę, tylko wręcz ją dra niła. Ale te nic jej nie pomagało. Próbując poprawić sobie nastrój, ze szczególną troską zajęła się własnym wyglądem i nawet wło yła jedną z nowych sukien, tę jasnoblękitną. Na szyi i w uszach miała błękitne szafiry otoczone brylantami, które kupiła tu przed wyjazdem z Pary a. Włosy zaczesaa do tyłu i spięła diamentową klamrą, pozwalając, by naturalną kaskadą spływały na ramiona i plecy.

Jestem utrzymanką, pomyślała, otwierając widelczykiem ostrygę. On zapłacił

za stroje, które nosiła, za bi uterię, a nawet za bieliznę. Na domiar złego obmierzłe spojrzenie kuzyna Cuthberta nie przestawało ślizgać się po jej dekolcie, gdy młody człowiek próbował zerkać ukradkiem w to, co skrywał

stanik sukni.

Ojciec, zauważyła, zachowywał się ze sztuczną jowialnością, zapewniając gości, jaki jest szczęśliwy, e przybyli na jego urodziny i jak mu przykro, i jutro opuszczą dom. Whitney pomyślała, e prawdopodobnie najbardziej będzie mu przykro patrzeć, jak odjeżdżą. Przede wszystkim bowiem wykorzystywał

ich jako tarczę do obrony przed jej rosnącym gniewem. Tym lepiej, pomyślała.

Nie chciała adnego starcia z ojcem. Teraz czuła do niego jedynie lodowatą...

obojętność.

Gdy panowie ju uraczyli się swoim porto i cygarami, przyłączyli się do pań w salonie, gdzie ustawiono stoły do wista. Kuzyn Cuthbert, ujrawszy Whitney, natychmiast ruszył do jej stolika. Był pompatyczny, nudny i zdaniem dziewczyny odpychający. Wynajdując więc jakąś wymówkę, czemu nie chce dziś grać w karty, Whitney pośpiesznie wstała od stolika i wyszła z salonu.

Powędrowała przez hol do biblioteki, ale nie mogła znaleźć niczego interesującego wśród setek książek stojących tam na półkach. W innych pokojach grano w szarady, a w salonie był Cuthbert. Nie mogąc znieść jego towarzystwa, Whitney mogła tylko albo wrócić do sypialni i swoich dręczących problemów, albo udać się do gabinetu ojca.

Wybrała to drugie wyjście i gdy Sewell przyniósł jej talię kart i dorzucił drew do palącego się radośnie ognia, usiadła wygodnie w wysokim fotelu naprzeciwko kominka. Robię się pustelnicą, pomyślała, powoli tasując karty, a potem rozkładając je jedną po drugiej na małym stoliku. W pewnej chwili za jej plecami otworzyły się drzwi.

– O co chodzi, Sewell? - spytała, nie oglądając się za siebie.

– To nie Sewell, kuzynko Whitney - rozległ się uprzykrzony głos. - To ja, Cuthbert. - Kuzyn podszedł powoli i stanął obok fotela, gdzie mógł

podziwiać widok kremowych krągłości rysujących się w wycięciu jej sukni. -

Co robisz?

– To się nazywa pasjans - wyjaśniła zimnym, nieuprzejmym tonem. -

Rozrywka Napoleona na Wyspie Świętej Heleny. Mo na go stawiać wyłącznie w pojedynkę.

– Nigdy o tym nie słyszałem - odrzekł Cuthbert - ale musisz mi pokazać, jak się to robi.

Zacisnąwszy zęby, nadal układała pasjansa. Ilekroć pochylała się, by położyć kartę na stole, Cuthbert pochylał się tak e, udając zainteresowanie, podczas gdy w istocie zaglądał jej w głąb dekoltu. Nie mogąc znieść tego ani chwili dłużej, Whitney rzuciła karty na stół i ura ona wręcz poderwała się z fotela.

– Musisz się na mnie gapić? - zapytała ostro.

– Muszę - odrzekł, chwytając ją za rękę i próbując przyciągnąć do siebie.

– Cuthbert - ostrzegła go Whitney groźnie - daję ci trzy sekundy, ebyś zdjął ze mnie rękę, zanim zacznę krzyczeć na cały dom.

Nieoczekiwanie zrobił, co kazała, ale gdy opuścił rękę, podążyło z nimi w dół

całe jego ciało. Padając na kolano, położył sobie rękę na sercu, gotów do oświadczenia.

– Kuzynko Whitney - wymamrotał chrapliwym szeptem, zadowolając się pieszczonkami jej wzrokiem od stóp do głów - muszę ci wyznać, co mam w sercu i w głowie...

– Wiem, co masz - przerwała mu miarowym tonem. - Gapisz się na mnie od kilku godzin. Wstań!

– Muszę ci to powiedzieć - nalegał coraz głośniejszym głosem. Jego pulchne dłonie miały brzeg błękitnej sukni i Whitney wyrwała ją, niemal przekonana, że zamierzał

unieść falbanę i zajrzeć pod spód. Pozbawiona błękitnego skrawka materiału dłoń Cuthberta powróciła na serce. - Uwielbiam cię jak dym włókienkami mej istoty. Mam najgłębszą cześć dla... - Nagle przełknął ślinę i przerwał

wyznanie, a jego oczy utkwili w jakimś punkcie za plecami Whitney.

– Mam szczerą nadzieję - wycedził leniwie od drzwi rozbawiony głos - że nie przeszkadzam ciemu arliwemu młodzieńcowi w modlitwach?

Podchodząc do Whitney, Clayton wpatrywał się we wściekłego Cuthberta tak długo, a ten w końcu wstał.

– Moja kuzynka uczyła mnie pewnej nowej gry w karty, w którą grać może tylko jedna osoba - oznajmił.

Z twarzy księcia zniknęło pobłażliwe rozbawienie.

– Skoro już poznałeś zasady, to idź i ćwicz - powiedział, szybkim ruchem głowy wskazując mu drzwi.

Cuthbert zacisnął pięści, zawahał się, rzucił okiem na zaciśniętą szczękę przeciwnika i wyszedł. Whitney obserwowała, jak zamknęły się za nim drzwi, a potem podniosła ku Claytonowi wzrok pełen wdzięczności.

– Dziękuję. Ja...

– Należałoby skrócić ci kark! - przerwał jej ostro.

Whitney zbyt późno uświadomiła sobie, że nie powinna przez cały ten czas stać na „skrzyżonym” kolanie.

– Pozwól mi pogratulować sobie wspaniałego dnia, madame -ciągnął surowo. -

W niespełna dwanaście godzin przeciągnęłaś Whitticomba na swoją stronę, a Cuthberta rzuciłaś do stóp.

Spojrzała na Claytona. Choć mówił tonem niezmiernie powa nym, jeden kącik ust układał mu się w coś, co mogło wyglądać jak uśmiech. I pomyśleć, e trzęsła się ze strachu, myśląc, e będzie wściekły,

– Diabeł! - szepnęła, nie wiedząc, czy się śmiać, czy złościć.

– Ja opisałbym cię raczej jako anioła - odparł spokojnie.

Przez cały dzień emocje Whitney wahały się między gniewem, strachem, przera eniem i ulgą, przeskakując od czegoś, co było bliskie przeczucia nieszczęścia do nadziei na uniknięcie go o włos. Teraz zaś, gdy podniosła wzrok ku temu mrocznie przystojnemu mę czyźnie, który był rozbawiony, nie zaś wściekły, jak się spodziewała, zniknęły gdzieś resztki jej opanowania, a do oczu napłynęły łzy wyczerpania i ulgi.

– To był straszny dzień - wyszeptała.

– Prawdopodobnie dlatego, e tęskniłaś za mną - odrzekł z taką drwiną, e ramiona Whitney zatrzęsły się z gniewnej ironii.

– Tęskniłam...?! - Zaśmiała się z szyderczym niedowierzaniem.

– Z radością bym cię zamordowała!

– Nachodziłbym cię i straszył - zagroził z uśmiechem.

– I właśnie to jest jedynym powodem,

e nie próbuję tego zrobić -

oświadczyła, po czym to, co zaczęło się jako chichot, bez ostrze enia zmieniło się w tłumiony szloch i po policzkach zaczęły jej spływać łzy.

Ramię Claytona objęło ją delikatnie. Oferował jej pocieszenie i Whitney je przyjęła. Wtuliła twarz w jasnopozielaty surdut i wyplakała wszystkie swoje strapienia w objęciach człowieka, który był za nie odpowiedzialny. Kiedy łzy w końcu przestały płynąć, Whitney pozostała tam, gdzie była, spoczywając policzkiem na solidnym, kojącym murze męskiego torsu.

– Ju lepiej? - zapytał ksią ę szeptem.

Skinęła głową twierdząco i przyjęła od niego chusteczkę.

– Nie przypominam sobie, abym po ukończeniu dwunastu lat kiedykolwiek płakała, ale odkąd przed kilkoma tygodniami wróciłam do domu, wydaje się, e płacę bez przerwy.

Podniósłszy wzrok, zdumiała się, widząc w oczach Claytona bolesny al.

– Mogę o coś zapytać? - odezwała się cicho.

– O wszystko - odparł.

– W granicach pańskiej mocy i zdrowego rozsądku, oczywiście -przypomniała mu, uśmiechając się przez łzy. - Co kazało panu popełnić tak podły czyn? -

zapytała spokojnie, bez złośliwości. - Co kazało panu przyjechać do mojego ojca, nie rozmawiając najpierw ze mną, niemal mnie nie znając? - Chocia w wyrazie twarzy księcia nic się nie zmieniło, Whitney czuła napięcie jego mięśni i szybko wyjaśniła: - Po prostu próbuję zrozumieć, co pan myślał.

Nasze spotkanie na balu u Armandów nie było miłe. Kpiłam z pańskiego tytułu i odrzucałam pańskie zaloty, a pan doszedł do wniosku, e chce się ze mną o enić. Dlaczego właśnie ze mną?

– A ty jak sądzisz, dlaczego cię wybrałem?

– Nie wiem. aden mę czyzna nie oświadcza się kobiecie jedynie po to, aby uczynić ją nieszczęśliwą i zrujnować jej ycie, więc z pewnością miał pan jakiś inny powód.

Mimo niezamierzonej urazy, jaka zabrzmiała w tych słowach, Clayton się uśmiechnął. Pozwalała mu się trzymać w ramionach, i czuł, e powinien być wyrozumiały.

– Nie mo esz potępiać mnie za to, e cię pragnę - powiedział -chyba e potępiasz wszystkich mę czyzn, którzy cię po ądają. Aran owane mał eństwa mogą być uwa ane za podłość, ale od wieków są one zwyczajem w najlepszych rodzinach.

– Mo e w takich jak pańska, ale nie w mojej - odparowała Whitney. - Nie sądzę, by w takich mał eństwach istniała choćby najmniejsza szansa, e dwoje ludzi w końcu się polubi albo e rozwinie się między nimi jakieś uczucie.

– Czy mo esz szczerze powiedzieć, e od czasu do czasu nie czułaś sympatii do mnie? - zapytał łagodnie. - Choćby wbrew własnej woli?

W jego głosie nie było szyderstwa ani wyzwania, które usprawiedliwiłyby stanowcze zaprzeczenie, a wewnętrzna uczciwość dziewczyny powstrzymywała ją przed niesprowokowanym atakiem. Wzruszyła więc ramionami i odwróciła oczy.

– Od czasu do czasu...

– Ale zawsze wbrew woli? - za artował. Whitney się uśmiechnęła.

– Wbrew woli i wbrew zdrowemu rozsądkowi - odrzekła, a gdy spojrzenie Claytona stało się cieplejsze, przezornie zmieniła temat. - Obiecał pan wyjaśnić, dlaczego zapragnął się ze mną o enić, ale jeszcze pan nie powiedział.

– Skąd mogłem wiedzieć, gdy tu przyjechałem, e zaczniesz mną pogardzać od chwili, gdy mnie zobaczyłaś?

– Clayton! - wybuchnęła Whitney i zamarła ze zdumienia na dźwięk swego głosu wymawiającego jego imię, więc szybko się poprawiła: - Książę...

– Znacznie bardziej podoba mi się ta pierwsza forma.

– Książę - nalegała z uporem, gdy ich cichy rozejm zaczął się kruszyć - na wszystkie moje pytania odpowiada pan pytaniami! Co pana, u licha, opętało, eby tu przyjechać i oświadczyć się o mnie? - mówiąc to, uświadomiła sobie, e Clayton wciąż trzyma ją w ramionach, więc pośpiesznie odskoczyła w tył.

- I proszę nie próbować mi wmawiać, e sądził pan, i się we mnie zakochał!

– Nie sądziłem - odparł spokojnie. - Jak ju zwróciłaś na to uwagę, wtedy niemal cię nie znałem.

Whitney odwróciła się do niego plecami, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ta odpowiedź ją zraniła.

– Cudownie! - odezwała się gorzko. - Teraz wszystko jest całkiem jasne.

Spotkał mnie pan raz czy dwa i nic o mnie nie wiedząc... nie przejmując się mną... przyjechał pan do Anglii i kupił mnie od mojego chciwego, pozbawionego środków do ycia ojca, który dobił z panem targu, a potem posłał po mnie do Francji, by mnie panu oddać. - Odwróciła się do niego gotowa do ataku i spragniona walki, lecz stał niewzruszenie spokojny, odmawiając podjęcia wyzwania.

Rozdrażniona Whitney usiadła z powrotem na krześle i sięgnęła po karty.

– To pasjans - wyjaśniła, chcąc odprawić Clayтона i wrócić do rozpoczętej gry.

- Jest ostatnim krzykiem mody we Francji, ale mo e go układać tylko jedna osoba.

– W tym wypadku, moja pani, zdawał się wymagać dwóch - zauważył książę i zręcznie przełożył cztery karty, czego wcześniej nie uczyniła, gdy Cuthbert zbyt natrętnie pochylał się nad jej ramieniem.

– Dziękuję - odpowiedziała - ale wolałabym układać ten pasjans sama.

Clayton odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Pomyślała, e wreszcie sobie pójdzie, ale on cichym głosem powiedział coś słućemu, a po chwili wrócił do stolika i postawił przed nią kunsztownie rzeźbioną szkatułkę z róanego drewna nalećą do jej ojca. Gdy uniósł wieczko, Whitney zobaczyła drewniane etony, takie same, jakich wuj Edward i jego przyjaciele uywali wtedy, gdy oddawali się grom hazardowym.

Dreszcz podniecenia przebiegł po niej, gdy uświadomiła sobie, e książę najwyraźniej zamierzał ją nauczyć, jak się owymi etonami posługiwać. Jakie to szokujące i skandaliczne z jego strony; pomyśleć, e mogłaby... był to jednak pomysł tak intrygujący, e nie zaprotestowała ani jednym słowem. Clayton zdjął



surdut i rzucił go beztrudnie na biurko ojca, po czym usiadł wygodnie w fotelu naprzeciwko niej i rozpiął szarą kamizelkę.

– Rozłó - powiedział, wskazując głową talię kart.

Whitney była tak zdenerwowana owym powa nym pogwałceniem zasad, jakiego się dopuszczała, e wiedziała, i nie zdoła właściwie potasować kart.

Zebrała je więc razem i przesunęła w stronę księcia, a potem zafascynowana patrzyła, jak o ywają w jego dłoniach, fruując wręcz w powietrzu z szelestem i trzaskiem, gdy je tasował.

– Zało ę się, e zna pan wszystkie sale gry w Londynie - powiedziała głosem, w którym dźwięczał powściągany podziw.

– Dość dobrze - przyznał i układając karty wierzchem do góry, spojrział na nią prowokującym wzrokiem. - Przełó - polecił.

Whitney zawahała się, próbując bez powodzenia zachować chłodną i pogardliwą postawę, ale jak miała to uczynić, skoro był tak uderzająco przystojny i elegancko niemoralny. Wyciągnięty nonszalancko w fotelu, z rozpiętą kamizelką, był uosobieniem yjącego w dobrobycie d entelmena przy karcianym stole... i zamierzał nauczyć ją grać. Poza tym w głębi duszy czuła, i próbuje ją rozbawić i wyrwać ze strapienia.

– Mam nadzieję, i zdaje pan sobie sprawę z tego - powiedziała, pochylając się ku niemu z ręką niepewnie zawieszoną nad stolikiem - e jeśli ktokolwiek zobaczy, co robię, moja reputacja legnie w gruzach.

Posłał jej długie, wymowne spojrzenie.

– Księ na mo e robić wszystko, co jej się podoba.

– Nie jestem księ ną - zaprotestowała Whitney.

– Ale będziesz - oświadczył z absolutną pewnością.

Ju otworzyła usta, by oponować, ale Clayton ponownie skinął głową w stronę kart.

– Przełó - powtórzył.

Hazard, pomyślała Whitney dwie godziny później, gdy zgromadziła stos etonów, sprawia, e człowiek czuje się cudownie grzeszny i upadły. Mimo nieznamomości zasad gry, szło jej bardzo dobrze i straciła tylko trochę pieniędzy.

Czuła, e Clayton jest dumny z tego, jak szybko się uczyła, ale pomyślała te , i ka dy inny z jej znajomych, nawet Nicki, byłby przera ony, e zaczęła się skłaniać ku hazardowi. Dlaczego, pomyślała mimowolnie, patrząc, jak ksią ę zapina kamizelkę i wkłada surdut, podziwiał w niej to wszystko, co szokowałoby i przera ało innych konkurentów? W towarzystwie Paula musiała być bardzo ostro na i

trzymać się ściśle granic tego, co wypada kobiecie, temu męczyźnie zaś najbardziej podobała się wtedy, gdy była wręcz oburzająco zuchwała. Gdyby Paul wiedział, że oddawała się hazardowej grze w karty, byłby wstrząśnięty i niezadowolony, Clayton natomiast nauczył ją grać i uśmiechał się do niej z nieskrywanym podziwem, gdy robiła to dobrze.

Myśli Whitney odbiegły od tej kwestii, gdy księżę, pochyliwszy się, wycisnął

lekki pocałunek na jej podniesionym czole.

– Jutro o jedenastej przed południem pojedziemy na przejażdżkę, jeśli pogoda pozwoli - powiedział. I wyszedł.

Doktor Hugh Whitticomb siedział przed kominkiem, racząc się wyborną brandy gospodarza, gdy Clayton wrócił do domu.

– Jak znajdujesz moją młodą pacjentkę? - zapytał z udawaną zdawkowością, gdy księżę nalał sobie wieczorną szklaneczkę.

Westmoreland usiadł, oparł stopy na niskim stoliku stojącym między nimi i beznamiętnie spojrzał na lekarza.

– Znajduję ją prawdopodobnie w takim samym stanie jak ty dzisiaj po południu: pewnie stojącą na obydwu nogach.

– W twoim głosie nie słychać szczególnego zadowolenia - zauważył lekarz, któremu ta odpowiedź najwyraźniej wydała się niejasna.

– Zastąpiłem ją w chwili - wyjaśnił Clayton z ponurym uśmiechem - gdy wysłuchiwała oświadczeń jednego ze swoich kuzynów.

Whitticomb dał imponujący pokaz krztuszenia się łykiem brandy, walcząc jednocześnie o to, by zachować niewzruszony wyraz twarzy.

– Rozumiem, że to mogło cię zaskoczyć.

– Ju doszedłem do stanu, w którym Whitney niczym mnie nie zaskakuje -

odpowiedział księżę, ale nuta irytacji w jego głosie przeczyła filozoficznym słowom.

– Jestem obserwatorem bezstronnym i niedoświadczonym w sprawach kobiecego serca - odezwał się Whitticomb po chwili wahania. - Gdybyś zechciał wybaczyć zarozumiałość starego przyjaciela rodziny, być może potrafiłbym udzielić ci jakiejś rady - powiedział i biorąc księżęcę milczenie za zgodę, mówił dalej: - Doszedłem do wniosku, że panna Stone chce czegoś, czego ty nie zamierzasz jej dać. Czego ona pragnie?

– Pragnie być zwolniona z kontraktu narzeczeńskiego - wyjaśnił mu Clayton.

Doktor Whitticomb wydał z siebie odgłos podobny do zdumionego śmiechu.

– Mój Bo e! Nic więc dziwnego, e spojrzała na mnie tak groźnie, gdy przedstawiłem jej delikatną sugestię, w jaki sposób powinna postępować, aby cię zatrzymać. - Jego umysłem targają teraz sprzeczne uczucia: rozbawienie, e tej młodej damie mogła się nie podobać propozycja zło ona przez kawalera stanowiącego najlepszą partię w Anglii; podziw dla cierpliwości, z jaką ksią ę radził sobie z protestami dziewczyny, a tak e dezorientację i zdumienie, dlaczego te najbardziej oczekiwane zaręczyny całego dziesięciolecia miały być trzymane w tajemnicy. - Co ta śliczna sikoreczka ma przeciwko twojej propozycji? - zapytał w końcu.

Odchylając głowę na oparcie fotela, Clayton zamknął oczy i westchnął.

– To, e najpierw jej nie zapytałem o zgodę.

– Nie rozumiem, dlaczego ma ci to za złe. Ale czemu, znając jej niezale ny charakter, a z pewnością musiałeś go znać, czemu więc najpierw nie porozmawiałeś z nią?

Clayton otworzył oczy.

– Skoro wtedy nawet nie znała mojego nazwiska, wydawało mi się, e rozmowa z nią o mał ństwie mo e być ogromnie trudna.

– Nie znała twojego... Nie chcesz mi chyba powiedzieć, e w sytuacji gdy połowa dam Europy wprost szaleje za tobą, ty oświadczasz się o jakąś młodą kobietę, której nawet nie znasz?!

– Jaja znałem. To ona nie znała mnie.

– I oczywiście uwa ałeś, e skoro dowie się o twoim majątku i tytule, to naturalnie się zgodzi - myślał głośno doktor Whitticomb z oczami pełnymi wesołości. Groźne zmarszczenie ksią ęcych brwi na chwilę go uciszyło, ale gdy uderzyło go nagłe wspomnienie, zapytał: - A kto to jest Paul Sevarin?

Clayton rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Dlaczego pytasz?

– Poniewa po zbadaniu panny Stone zatrzymałem się w miasteczku i rozmawiałem z miejscowym aptekarzem. Gadatliwy jegomość... jeden z tych, którzy jeszcze nim zada im się proste pytanie, wygadają wszystko, odpowiadając przy tym na połowę własnych. W końcu odkrył, jak brzmi nazwisko mojej pacjentki, i opowiedział o kilku sprawach, które zlekcewa yłem, uznając je za nonsensowne.

– Na przykład o czym?

– Na przykład o tym, e ów Paul Sevarin powa nie nadskakuje pannie Stone i całe miasteczko wydaje się siedzieć jak na roz arzonych węglach w oczekiwaniu na ogłoszenie zaręczyn. Najwyraźniej sądzą te , e te zaręczyny ju zostały postanowione ku zadowoleniu zarówno Sevarina, jak i jego przyszłej ony.

– Mówiąc szczerze - wycedził Clayton -jest mi to zupełnie obojętne.

– Te pogłoski? - ostro nie nalegał doktor. - O Paulu Sevarinie? Czy o dziewczynie? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, pochylił się do przodu i zapytał

wprost: - Jesteś czy nie jesteś zakochany w tej młodej damie?

– Zamierzam się z nią oenić - odparł szorstko Clayton. - Cóż jeszcze jest tu do powiedzenia? - Po tych słowach yczył swemu gościowi dobrej nocy i kilkoma zdecydowanymi krokami wyszedł z pokoju, zostawiając Whitticomba w trwo nym zdumieniu.

Jednak po chwili oblicze lekarza się rozjaśniło. Zaczął chichotać, a potem roześmiał się głośno.

– Bo e, pomó mu! - Śmiał się w głos. - On nie wie, e jest w niej zakochany, a nawet gdyby wiedział, i tak by się do tego nie przyznał!

W swej niewielkiej sypialni Clayton szybko zdjął surdut i rzucił go na oparcie fotela, na który podała równie kamizelka. Rozpiąwszy guziki koszuli, podszedł do okna i wsunął ręce do kieszeni.

Był wściekły, e mieszkańcy miasteczka sądzili, i zaręczyny zostały ju postanowione. To prawda, e chciał, aby Whitney miała satysfakcję, pokazując ludziom, e potrafi sprawić, i Sevarin będzie się za nią uganiał, ale ani mu się śniło, by sprawy zaszły tak daleko. Whitney nie była zaręczona z adnym innym mę czyzną oprócz niego, a on nie pozwoli, by ktokolwiek myślał inaczej. Nie kochała Sevarina, bez względu na to, co jej się wydawało. Po prostu miała jakieś idiotyczne wyobra enie o miłości, i marzyła o odbiciu Paula córce Ashtonów.

Jego równie nie kochała, ale tym Clayton się nie przejmował. Miłość i całe związane z nią bezsensowne, nielogiczne postępowanie wydawały mu się jakimś absurdalnym, niedorzecznym stanem. Był zdumiony, gdy Hugh Whitticomb wymienił to słowo w rozmowie. Nikt w jego sferze nie nazywał

uczucia do swojej mał onki słowem silniejszym ni „czułość" czy „trwałe przywiązanie". Miłość była niemądrym, romantycznym wyobra eniem, na które Clayton nie znajdował miejsca w swym yciu.

Znaczna część jego złości ulotniła się, gdy pomyślał o kilku ostatnich godzinach spędzonych z Whitney. Czuł, e powoli mu się poddawała. Z własnej woli szukała pocieszenia w jego objęciach, a nawet przyznała się do pewnej sympatii do niego. Teraz stało między nimi jedynie jej słabnące zaabsorbowanie Paulem Sevarinem i zrozumiały bunt spowodowany tym, w jaki sposób ten głupi Martin powiedział jej, i jest zaręczona z księciem Westmorelandem.

Sama myśl o tamtej nocy doprowadzała go do furii. Z powodu gruboskórności Stone'a Clayton został pozbawiony przyjemności uwodzenia i zdobywania dziewczyny, lecz mimo huśtawki nastrojów i zmiennych emocji rozkoszował się swymi zalotami, a nawet hardymi reakcjami Whitney. Sprawiała, i jego dzieło posuwało się powoli, ale ka dy krok na tej drodze stanowił upajające zwycię-

stwo, gdy był zdobyty z takim trudem.

A jednak ostatnio zdarzały się chwile, gdy jego cierpliwość niemal przegrywała w walce z poądaniem. Kiedy Whitney atakowała go i wymierzała kolejne ciosy, z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie chwycić jej w ramiona i nie stłumić buntu rękami i ustami. Zanieczywał swe posiadłości i interesy, lecz akurat wtedy, gdy postanowił, e będzie musiała przyzwycząić się do ich zaręczyn ju po ślubie, spojrzała na niego tymi niewiarygodnie zielonymi oczami i nie był w stanie uć całej władzy, jaką nad nią miał, by zmusić ją do mał eństwa.

Wzdychając, odszedł od okna. Ani przez chwilę nie wąpił, e Whitney za niego wyjdzie. Poślubi go albo z własnej woli, albo z konieczności. W tym drugim wypadku zaloty i walka osiągną finał w jego łó ku.

## Rozdział 20

Lekkie, chłodne podmuchy wiatru pachnące orzeźwiającym dymem palonych liści wpłynęły do pokoju Whitney, która wchłaniała ich woń z przyjemnością, wychodząc z kąpieli. Otulona szlafrokiem podeszła do otwartego okna i usadowiła się na parapecie. Jesień, ta najwspanialsza ze wszystkich pór roku, witała ją złotym porankiem. Dziewczyna patrzyła na topazowy i rubinowy krajobraz, spryskany gdzieniegdzie plamami ółci oraz bursztynu i wprost kipiała optymizmem, który zawsze czuła w tym czasie.

Z ociąganiem odeszła od okna i rozwa ając kwestię ubrania, ostatecznie zdecydowała się na suknię o wysoko zaznaczonej talii, uszytą z ciemnoró owej wełny, z kwadratowym dekoltem, długimi, wąskimi rękawami i szeroką falbaną u dołu. Clarissa zaczesaa jej włosy do tyłu i uniosła do góry, a potem zwinęła je i przepłotła aksamitnymi wstą kami w takim samym kolorze jak suknia.

Myśli o Paulu i niechcianych zaręczynach z Claytonem doskwierały jej niemile gdzieś w głębi serca, ale Whitney nie chciała się teraz nad tym wszystkim zastanawiać. Nocą dręczyła się swą godną po ałowania sytuacją, ale teraz pragnęła wyjść na słońce. Nic jej nie popsuje tak wspaniałego dnia!

Pięć minut po jedenastej słu ący zapukał do jej drzwi i powiedział, e pan Westland czeka w holu. Sięgnąwszy po szal, który dopełniał stroju, pośpiesznie zeszła na dół.

– Dzień dobry - powiedziała wesoło. - Czy to nie prześliczny dzień?

Clayton ujął dłonie Whitney w swoje i spojrzał na jej jaśniejącą twarz.

– Twój uśmiech mógłby rozjaśnić cały ten dom - odezwał się cicho i bez emfazy.

Pierwszy raz napomknął o jej wyglądzie i choć ów komplement był znacznie bardziej powściągliwy ni te, którymi tak hojnie obsypywali ją Francuzi, sprawił, i Whitney poczuła się dziwnie onieśmielona.

– Spóźnił się pan - upomniała go z udaną, wesołą surowością, nie będąc w stanie wymyślić nic innego, co mogłaby powiedzieć -a ja przez pięć minut przemierzałam swój pokój wzdu i wszere, czekając na pana.

Nie powiedział ani słowa i przez chwilę poczuła urok jego uwodzicielskich szarych oczu.

Ręce Clayтона zacisnęły się na dłoniach Whitney, przyciągając ją bliżej.

Wstrzymała oddech, podekscytowana i zatrwoona, że zechce ją pocałować.

– Jestem punktualny - oznajmił zdecydowanie. Whitney opanowała narastający śmiech, a Clayton dodał: - Ale teraz, gdy wiem, jak bardzo pragniesz mnie widywać, nie omieszkać zawsze być wcześniej.

Gdy wychodzili z domu, wielki zegar w holu zaczął wydzwaniać jedenastą i księżkę rzucił jej spojrzenie z gatunku „a nie mówiłem?”.

Wsiadła do jego powozu i oparła się na siedzeniach wyściełanych aksamitem w kolorze zielonego mchu, spoglądając na kłębiaste białe obłoki rozrzucone na lazurowym niebie. Poczuli, że siada obok niej i ukradkiem wędrowała pełnym uznania wzrokiem po jego lśniących brązowych butach, muskularnych nogach odzianych w spodnie o modnym jasnobrązowym kolorze, rdzawym surducie i jedwabnej, kremowej koszuli.

– Jeśli nie podoba ci się to, co mam na sobie, możemy pojechać do mojego skromnego domostwa i zdecydujesz, które z ubrań zasługują na twoją aprobatę.

Whitney szybko podniosła głowę. W pierwszym odruchu chciała oświadczyć, że ani trochę nie obchodzi jej, co miał na sobie, lecz zamiast tego, ku zaskoczeniu ich obojga, nieśmiało wyznała prawdę.

– Pomyślałam, że wyglądasz doskonale.

Dostrzegła nieoczekiwany wyraz przyjemności na twarzy księcia, gdy zaczął

ruszać pełnym werwy siwkom.

Drzewa rosnące po obydwu stronach wiejskiej drogi gałęziami łączyły się nad ich głowami niczym partnerzy w tańcu, tworząc łuk, pod którym przesuwali

się powóz. Liście szeleściły i wolno opadały w dół i Whitney wyciągnęła rękę, leniwie próbując złapać jeden z nich. Kiedy jednak Clayton przy rozwidleniu drogi skierował parę siwków na południe, Whitney wyprostowała się na siedzeniu, patrząc nań ze zdumieniem i obawą.

– Gdzie jedziemy?

– Na początek do miasteczka.

– Ja... ja niczego stamtąd nie potrzebuję - rzuciła szybko.

– Ale ja tak - odparł zdecydowanie.

Opadając z powrotem na poduszki siedzenia, Whitney zamknęła oczy w czarnej rozpacz. Będą tam

oglądani razem, a w sennym małym miasteczku, gdzie nic się nie dzieje, właśnie to stanie się wydarzeniem dnia. Wiedziała, że wszyscy oprócz męża czynny obok niej, czekają na wiadomość, że ona i Paul niebawem się pobiorą. Na samą myśl, że ukochany, wracając do domu, zatrzyma się w miasteczku i usłyszy wyolbrzymioną historię o ich dzisiejszej przejażdżce, Whitney poczuła się chora.

Powóz zaturkotał na kamiennym moście i potoczył się wybrukowanymi kocimi łbami uliczkami miasteczka między długimi szeregami cichych niskich budynków, w których mieściło się kilka ostatnich sklepów i mała gospoda.

Kiedy Clayton sprawnie zatrzymał konie przed apteką, Whitney omal nie krzyknęła. Spośród wszystkich mieszkańców tego miasteczka, aptekarz był

największym plotkarzem!

Księżę obszedł powóz dookoła, by pomóc jej wysiąść.

– Proszę, wolalabym raczej poczekać tutaj - powiedziała, starając się nadać głosowi normalne brzmienie.

– Bardzo bym chciał, abyś mi towarzyszyła - odezwał się głosem człowieka wydającego rozkaz, ale uprzejmie formułującego ów rozkaz jako życzenie.

Ten szczególny ton ponownie ożywił bunt Whitney i przyjazna atmosfera przejażdżki nagle zniknęła.

– To nader niefortunne, gdy ja nie zamierzam wejść do tego sklepu.

Ku konsternacji i wściekłości dziewczyny, Clayton odwrócił się do powozu, chwycił ją w talię i postawił na ziemi. Bała się walczyć lub odepchnąć jego ręce ze strachu przed przedłużeniem sensacyjnej sceny, jaką bez wątpienia już wywołali.

– Stara się pan uczynić z nas publiczne widowisko? - zapytała, gdy tylko dotknęła stopami ziemi.

– Tak - odparł zdecydowanie.

Whitney zobaczyła rumianą, jowialną twarz pana Oldenberry'ego, zerkającego na nich ciekawie przez okno i wszelką nadzieję na to, że uda im się nie zwrócić uwagi plotkarza, pierzchnęła w jednej chwili.

W ciasnym, słabo oświetlonym sklepie tajemnicze zapachy leków mieszały się z aromatem ziół, nad którymi unosiła się przenikliwa woń amoniaku.

Aptekarz powitał ich wylewnie, ale Whitney wiedziała, że jego oczy z

nieprzytomną ciekawością utkwili w ręce Clayтона, która ścisnęła jej łokieć.

– Jak się miewa pan Sevarin? - zapytał ją chytrze.

– Sądzę, że należy się spodziewać, że wróci w ciągu pięciu dni - odrzekła, zastanawiając się, co ten

wścibski człowieczek powie za sześć dni, jeśli uda jej się zrealizować wstępnie opracowany plan ucieczki z Paulem.

Clayton poprosił o buteleczkę amoniaku i aptekarz wręczył ją Whitney.

Krzywiąc się z niesmakiem, odsunęła flaszeczkę od siebie.

– To dla pana Westlanda, panie Oldenberry - oświadczyła powa nie. -

Obawiam się, e okropnie cierpi z powodu waporów i migreny.

Clayton przyjął ten cios w jego męską witalność z wściekłym uśmiechem.

– W rzeczy samej - przyznał, puszczając łokieć Whitney. Władczo przesunął

rękę na ramiona dziewczyny i przyciągnął ją bli ej w czułym uścisku. -

Zamierzam nawet kontynuować to „cierpienie” - dodał, krzywiąc się, gdy wbiła mu obcas w stopę. -  
Wszak przynosi mi wiele współczującego uczucia ze strony mojej czarującej sąsiadki.

– Och, có za bzdura! - wybuchnęła Whitney. Ksią ę porozumiewawczo uśmiechnął się do aptekarza.

– Panna Stone z pewnością ma temperament, prawda, panie Oldenberry? -

zauwa ył z podziwem.

Pan Oldenberry nadał się z powagi i przyznał, e w istocie, panna Stone zawsze miała temperament, a on, podobnie jak pan Westland, ceni kobiety z odwagą.

Whitney obserwowała, jak Clayton zapłacił, a potem ujrzała ledwie dostrzegalny ruch jego ręki, gdy odstawił buteleczkę z powrotem na kontuar.

Pewna, e wymyślił ten sprawunek jedynie gwoli potwierdzenia wszelkich krą ących po okolicy plotek, jakoby miał jakieś prawa do jej uczuć, Whitney odwróciła się na pięcie i Clayton dogonił ją, gdy wyszła z mrocznego sklepu na światło dzienne.

– Po ałuje pan tego - oświadczyła wściekłym szeptem.

– Nie sędę - odrzekł, przeprowadzając ją przez ulicę.

Z jednego ze sklepów wyłoniły się Elizabeth Ashton i Margaret Merryton.

Ręce tej drugiej obładowane były pakunkami zawiniętymi w biały papier i przewiązanymi sznurkiem. Dobre wychowanie nakazywało, by się zatrzymali i wymienili uprzejmości. Przynajmniej raz Margaret nie przywitała Whitney adną obraźliwą, kąśliwą uwagą. W istocie nie przywitała się z nią w ogóle.



Obróciwszy się bokiem, czarowała uśmiechami Clayтона, który uprzejmie wziął

od niej pakunki. Gdy przecinali ulicę, zmierzając w stronę ekwipa u Merrytonów, Margaret wzięła usłu nego d entelmena pod rękę.

– Chciałam pana zapytać, czy wczoraj wieczorem nie zostawiłam parasolki w pańskim powozie? - zapytała wystarczająco głośno, by Whitney to usłyszała.

Zdrada księcia zaszokowała dziewczynę do tego stopnia, e zabrakło jej tchu.

To prawda, e ona sama nie czuła się zobowiązana do honorowania ich zaręczynowego kontraktu, ale Clayton dobrowolnie zobowiązywał się wobec niej do lojalności w umowie niemal równie wiążącej i powa nej jak mał eństwo. Ten mę czyzna był kimś gorszym ni hulaka, był... zdrajcą! I ze wszystkich kobiet w okolicy postanowił w sekrecie zadawać się z jej najbardziej zaciętą przeciwniczką. Ból i wściekłość przeniknęły Whitney do głębi.

– Margaret okropnie cię nie lubi - mruknęła do niej Elizabeth, gdy obie obserwowały, jak Clayton umieszcza pakunki w powozie, a potem zmierza do swojego, by poszukać tam owej nieszczęsnej parasolki. Stali tam oboje, rozmawiając i śmiejąc się. - Myślę, e nienawidzi cię bardziej z powodu pana Westlanda ni opowieści owego d entelmena z Pary a, pana DuVille.

Elizabeth pierwszy raz skierowała dobrowolnie tę uwagę do Whitney, która, gdyby tylko nie była tak zaabsorbowana własnymi kłopotami, odpowiedziałaby z większą serdecznością, lecz zamiast tego, odrzekła sztywno:

– Byłabym bardzo wdzięczna Margaret, gdyby zabrała pana Westlanda sprzed moich oczu.

– Właśnie tak się dzieje - zauwa yła Elizabeth, na której ślicznej twarzy malowało się strapienie - gdy jest przekonana, e go złapała.

Po egnawszy się z Elizabeth i Margaret, gdy obie panny wsiadły do powozu, ksią e ponownie sięgnął po rękę Whitney i wsunął ją sobie pod ramię, jakby w ogóle nic się nie stało. Dziewczyna szła obok niego z twarzą ściągniętą gniewem. W końcu ulicy stała mała gospoda szczycąca się tylko jednym prywatnym salonikiem, dwiema ogólnymi salami i niewielkim dziedzińcem osłoniętym od ulicy kratami porośniętymi winoroślą. Córka właściciela przywitała pana Westlanda, jakby go znała, a potem spiesznie wskazała im stolik na dziedzińcu.

Whitney obserwowała z rosnącą irytacją, jak Millie strzelała ku Claytonowi swymi wielkimi orzechowymi oczami, a potem, pochylając się nad stolikiem, wygładzała obrus i przestawiała wazon z kwiatami, rozmyślnie dostarczając gościowi nieograniczonego widoku swego obfitego biustu, wylewającego się z jej stanika. Kipiąc złością, Whitney patrzyła na kołyszące się biodra dziewczyny, gdy ta poszła do kuchni.

– Jeśli Millie tak się prowadzi, jej biedni rodzice z pewnością nie są zbyt szczęśliwi.

Clayton obserwował jej wzburzenie z błyskiem wesołości w oczach i podziwiał subtelność, z jaką panowała nad swą irytacją. Przeszywając go pogardliwym wzrokiem, mówiła dalej:

– Pan, oczywiście, prawdopodobnie dał Millie jakiś powód, by wierzyła, e wydaje się bardzo pociągająca.

– Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć?

– To, i ma pan powszechnie znaną reputację jeśli chodzi o postępowanie z kobietami... reputację, na którą pan sobie niewątpliwie zapracował.

– Wszelako nie flirtowaniem z usłymi szynkarkami.

– Niech pan to powie Millie - odparła lodowato Whitney, i gdy dziewczyna przyniosła zamówione kurczę, zaatakowała je tak, jakby było jeszcze ywe, natychmiast zaś po skończeniu posiłku odsunęła swoje krzesło i wstała.

W drodze powrotnej adne z nich nie przerwało napiętego milczenia, dopóki Clayton nie skrzył w drogę prowadzącą do własnego domu, zamiast jechać dalej w kierunku posiadłości Stone'ów, i nie zatrzymał pary siwków tu przed swymi drzwiami.

– Jeśli sądzi pan, e moja stopa choć na chwilę postanie w pańskim domu, to się pan ogromnie myli - powiedziała, wciskając się w oparcie siedzenia, kiedy okrą ywszy powóz, podszedł, by pomóc jej wysiąść.

Na twarzy Clayтона pojawił się wyraz napiętej do ostatnich granic cierpliwości, gdy drugi raz tego dnia chwycił dziewczynę w pasie, by wysadzić ją z powozu.

– Bo e, wspieraj mnie, jeśli złamię sobie kręgosłup - za artował.

– Niech Bóg pana wspiera, jeśli pan złamię serce którejś z tutejszych kobiet -

szybko odparowała Whitney - gdy z pewnością znajdzie się jakiś zrozpaczony ojciec lub zdradzony mą z no em w ręku... jeśli ja sama pierwsza pana nie zamorduję.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię porywać ani zniewalać - odrzekł z rozdra nieniem. - Jeśli tylko zechcesz rozejrzeć się wokół, zrozumiesz, dlaczego cię tutaj przywiozłem.

Whitney spojrzała dookoła, czyniąc to początkowo z irytacją, a potem ze zdumieniem.

Posiadłość Hodgesów zawsze wyglądała kiepsko, ale teraz wszystko się tutaj zmieniło. Krzewy zostały przycięte, a trawniki starannie przystrzy ono.

Uzupełniono te brakujące płyty chodnikowe i naprawiono zmurszałą stolarkę.

Jednak największą zmianą było wprawienie na pierwszym piętrze wspaniałych dwudzielnych okien z kamiennymi słupkami, w miejscach, gdzie przedtem były jedynie trzy małe, ciemne, zasłonięte brudnym szkłem otwory.

– Dlaczego poniósł pan tak znaczne wydatki? - zapytała Whitney, gdy stało się jasne, że księżkę czeka na jakąś reakcję z jej strony.

– Ponieważ to kupiłem - wyjaśnił, zapraszając, by poszła z nim w stronę nowo postawionego pawilonu na drugim końcu rozległego trawnika przed domem.

– Kupił pan...?! - Wprost zabrakło jej tchu, a sama myśl o tym, iż będą stanowić przyjemne trio - ona i Paul, z Claytonem jako sąsiadem -

spowodowała gwałtowne mdłości. Czy nie ma końca przeszkodom, jakie ten jeden człowiek potrafił kłaść na drodze do ich szczęścia?

– Wydawało mi się to całkiem rozsądnym pomysłem. Moja ziemia sąsiaduje teraz z twoją i pewnego dnia obie posiadłości mogą być połączone.

– Ta ziemia sąsiaduje z pańską ziemią, nie moją! - poprawiła go zjadliwie. -

Zapłacił pan za nią, podobnie jak zapłacił pan za mnie.

Ruszyła przed siebie, by wejść do drewnianego pawilonu, ale ręka Clayтона nagle chwyciła ją za ramię, szybkim ruchem obracając wokół. Księżkę przez chwilę patrzył na zaczerwienioną, gniewną twarz Whitney, a potem odezwał się spokojnie:

– Koło powozu Margaret Merryton złamało się, więc zaproponowałem, aby nie została na drodze, wezmę ją ze sobą. Odwiozłem dziewczynę do domu, gdzie jej ojciec podziękował mi nader uprzejmie i zaprosił na kolację, ale nie skorzystałem z zaproszenia. Nic więcej się nie stało.

– Ani trochę nie obchodzi mnie to, co robił pan z Margaret - skłamała gniewnie Whitney.

– Nieprawda! Docinasz mi od chwili, gdy zapytała, czy zostawiła u mnie parasolkę w powozie.

Whitney odwróciła wzrok, niepewna, czy to, co mówi Clayton, jest prawdą, i zastanawiając się, dlaczego tak wiele to dla niej znaczy.

– Jeśli wątpisz w mój zdrowy rozsądek - dodał spokojnie - to przynajmniej uwierz w mój dobry gust. - Przerwał na chwilę. - Zostało mi wybaczone, maleńka?

– Chyba tak - odrzekła, czując się absurdalnie lepiej i całkiem niemądrze. -

Jednak kiedy następnym razem spotka pan na drodze Margaret...

– Rozjadę ją! - obiecał artobliwie Clayton. Słaby uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny.

– Zamierzałam tylko prosić, aby jej pan nie zachęcał, bo jeśli pomyśli, że jest pan nią zainteresowany, będzie zachowywać się wobec mnie jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Czy aby tamtego dnia miała parasolkę? - zapytała z nagłą podejrzliwością.

– Nie. Nie pamiętam.

– Czy sądzi pan, że Margaret jest... no, czy uważa pan, że ona jest... ładna...? -

spytała ostro nie, udając, że z uwagą wpatruje się w czubki swoich różowych pantofelków.

– To wprost wspaniałe! - Clayton się roześmiał, przyciągając ją bliżej.

– Co?!

– Bardzo mi się podoba, że rozumiesz jak ona... nawet jak zazdrosna ona.

W tym stwierdzeniu było dość prawdy, by Whitney oblała się gorącym rumieńcem.

- Nie jestem ani trochę zazdrosna, nie mam te do zazdrości adnej podstawy, gdy nie nale y pan do mnie, dokładnie tak samo jak ja nie nale ę do pana!
- Jeśli nie liczyć podpisanego, zgodnego z prawem kontraktu, który czyni cię moją narzeczoną...
- ...kontraktu bez znaczenia, gdy przy jego sporządzeniu nie zapytano mnie o zdanie!
- Jednak będziesz go honorować! - oświadczył Clayton. Whitney spojrzała na niego z urazą i błaganiem.
- Nienawidzę tych nieustannych kłótni! Dlaczego nie potrafię sprawić, by pan zrozumiał, e kocham Paula?
- Sevarin wcale cię nie obchodzi, powiedziałaś mi to sama. I to niejedyn raz.
- Niczego takiego panu nie mówiłam! Ja...
- Mówiłaś - twierdził uparcie - ilekroć byłaś w moich ramionach; właśnie to mi mówiłaś, e Sevarin nie ma adnego prawa do twojego serca.

Whitney, która była wystarczająco zdesperowana, by spróbować wszystkiego, postanowiła upokorzyć go drwiną.

- Jak na mę czynę o tak bogatym doświadczeniu z kobietami, z pewnością przypisuje pan wręcz absurdalne znaczenie naszym kilku pocałunkom.

Sądziłabym, e kto jak kto, ale pan jest bardziej doświadczony.

- Jestem doświadczony - przyznał krótko. - Mam dość doświadczenia, aby wiedzieć, e wychodzisz mi naprzeciw, gdy cię całuję, i e jesteś zaskoczona tym, co dzięki mnie czujesz. Gdyby Sevarin potrafił dawać ci takie doznania, jakie daję ci ja, nie musiałabyś obawiać się niczego z mojej strony. Jednak on tego nie potrafi i bardzo dobrze o tym wiesz!
- Po pierwsze - odparła Whitney, biorąc długi oddech, aby się uspokoić - Paul Sevarin to d entelmen, którym pan nie jest! I jako d entelmenowi nigdy nawet mu się nie śniło o całowaniu mnie w taki sposób, w jaki pan to robił.

On...

Usta księcia skrzywiły się w wyrazie sardonicznego rozbawienia.

- Doprawdy? Nawet mu się nie śniło? Najwyraźniej obdarzyłem go większym zaufaniem, ni na to zasługuje.

Whitney czuła, e wprost świerzbiała ją ręce, by uderzyć tę zadufaną, szyderczo śmiejącą się twarz.

Czemu zawraca sobie głowę ciągłym przekonywaniem tego męczyzny, napominała się wściekle, skoro on tylko przekręca jej słowa, czyniąc to tak, by odpowiadały jemu! Oczywiście, reagowała na owe dzikie, zakazane namiętności, jakie Clayton w niej rozbudził.

Która dobrze wychowana, niczego niepodważająca kobieta nie dałaby się chwilowo porwać czarowi jego podniecających pieszczot?

Dobrze wychowane, niczego niepodważające kobiety! No cóż, połowa najbardziej wyrafinowanych kokietek w Europie padła ofiarą jego miłosnych umiejętności! Ona zaś, w porównaniu z nimi, była niemal dzieckiem w ramionach tego uwodziciela!

– I cóż? - Clayton się zaśmiał. - Brak ci argumentów?

Gdyby w tym momencie zdobyła jakiś nóż, z pewnością wbiłaby mu ostrze w pierś. Zamiast tego wybrała jedyny środek, jaki jej pozostał.

– Jeśli rzeczywiście wychodzę panu naprzeciw - odpowiedziała, patrząc na niego z takim samym szyderczym uśmiechem - istnieje proste wyjaśnienie, ale ono się panu nie spodoba. Prawda jest taka, i pańskie pieszczoty wydają mi się nie tylko wstrętne, ale i nudne! Jedyny sposób, który pozwala mi je znieść, to wyobrazić sobie, iż jest pan Paulem i... nie! - krzyknęła ze strachu i bólu, gdy jego ręce zacisnęły się mocno na jej ramionach.

Gwałtownym, zdecydowanym ruchem chwycił ją i przygniótł do piersi. Gdy głowa opadła jej do tyłu, ujrzała oczy Clayтона wbijające się w jej źrenice niczym igły lodu.

– Ja... Ja nie chciałam tego powiedzieć!... Ja... - Z zaciśniętego gardła próbowała wydusić z siebie przeprosiny.

Jego wargi bezwzględnie opadły na jej usta, wbijając się w nie mocno, a rozchyliła wargi pod owym szaleńczym, okrutnym naciskiem. Gdy próbowała się odsunąć, dłoń Clayтона przycisnęła tył jej głowy, a jego usta nadal bezwzględnie atakowały jej wargi. Łzy bólu wytrysnęły z oczu dziewczyny, a dręczący, gwałtowny pocałunek wciąż trwał.

– Okłamuj, proszę, kogo innego - warknął dziko Clayton - ale nigdy mnie!

Rozumiesz? - Ręka męczyzny zacisnęła się mocno, podkreślając to ostrzeżenie i jednocześnie tamując jej oddech.

Whitney walczyła dziko, próbując wciągnąć w płuca dość powietrza, by powiedzieć mu: tak! Swoim uściskiem niemal łamał jej ebra; dusił ją, a w nim samym narastała coraz większa wściekłość na bezsilne, nieumyślne milczenie Whitney. Zmusiła się, by przesunąć rękę ku górze na pierś Clayтона, daremnie próbując uzyskać nieco przestrzeni między nimi, a w końcu napotkała palcami jego gorące usta, które tak arliwie zamykały jej wargi.

Nie zdawała sobie sprawy, że była to niezamierzona pieszczota, która sprawiła, że gwałtownie wypuścił ją z objęć. Wiedziała jedynie, że wreszcie może nabrać powietrza w obolałe płuca.

– Chylę czoło przed twoim zdrowym rozsądkiem - wycedził z lodowatą urazą.

- To było zarówno „wstrętne”, jak i „nudne”. W istocie zaś trudno by zdecydować, komu z nas dwojga wydało się bardziej przykre.

Choć to irracjonalne, poczuła się ura ona. Wyprostowała się wyniośle, wychodząc naprzeciw jego zimnemu spojrzeniu z taką dumą, na jaką mogła się zdobyć.

– Nie przypuszczam, by znajdował pan to wystarczająco przykrym i niesmacznym, by rozważyć, czy pozwolić mi odejść?

Clayton nie czuł niesmaku, lecz furję! Oświadczenie Whitney, e gdy ją całował, wyobrażała sobie, i jest Sevarinem, tak go rozwścieczyło, e w rzeczywistości zastanawiał się nad tym, czy nie porwać jej do pawilonu i nie posiąść tam, natychmiast, na podłodze. Od dnia gdy wróciła do Anglii, tolerował jej krnąbrność i przymykał oczy na bunt. Na podłodze pawilonu dowiedziałyby się, jak się kończą próby doprowadzenia go do ostateczności. Niestety, nauczyłyby się tak e nienawidzić go z pasją, która mogłaby jej pozostać na długie lata.

Z rozmyślną wyniosłością dokładnie obejrzał smukłą, zmysłową figurę dziewczyny, jej klasyczny profil, nieskazitelną cerę o barwie i gładkości kwiatu kamelii i rumieńce, które zabarwiły policzki, gdy wiedziała, e na nią patrzył.

Słońce połyskiwało w jej mahoniowych włosach, rozjaśniając je promieniami ciemnego złota. Wyglądała niewiarygodnie pięknie w ciemnoró owej sukni na tle rozległej przestrzeni szmaragdowych trawników, jakie rozciągały się za nią: samotna, zapierająca dech w piersiach ró a kwitnąca w ogrodzie zieleni. A jednak pierwszy raz olśniewająca uroda Whitney, zamiast sprawiać księciu przyjemność, wprawiła go w irytację, szczególnie dlatego, e właśnie teraz dziewczyna pogodnie sprawdzała, w jakim stanie są jej paznokcie, jakby on w ogóle nie istniał.

Pannie Stone, pomyślał zimno Clayton, bardzo potrzebna jest dobra lekcja.

Zastanawiał się nad jej impertynenckim pytaniem, czy ten ostatni pocałunek wydał mu się wystarczająco przykry, by pozwolić jej pójść do domu, i nagle ten pomysł nabrał kształtu. Pozwoli jej pójść do domu, w porządku, ale zanim to zrobi, nauczy ją, e namiętność jest darem, którym powinni wspólnie się dzielić i rozkoszować; darem, który Clayton mógł jej dać lub zabrać, w dowolnym momencie oraz wedle własnej woli i ochoty. Najpierw sprawi, by to Whitney pocałowała jego, a potem, kiedy ju rozbudzi po ądanie dziewczyny, po prostu wywinie się z jej ramion i odejdzie.

Jakby nie było adnej kilkuminutowej przerwy od chwili, gdy rzuciła mu tamto pytanie, teraz udzielił jej odpowiedzi.

– W istocie jesteś w błędzie. Otrzymawszy właściwy bodziec, pozwolę ci odejść.

Whitney szybko odwróciła głowę, a serce podskoczyło jej z emocji, choć zdrowy rozsądek ostrzegał, e ksią ę Claymore jest zbyt władczy i za bardzo pewny siebie, by teraz porzucić myśl o tym mał

ęństwie i pozwolić jej odejść.

– Jaki rodzaj bodźca masz na myśli? - zapytała ostro nie.

– Pragnę pocałunku od ciebie; po egnalnego pocałunku, który podkreśliłby nasze rozstanie. I jeśli twój pocałunek oka e się wystarczająco dobry, pozwolę ci odejść. To proste.

– Nie jestem pewna, czy mogę ci wierzyć. Dlaczego miałbyś tak nagle podjąć tę decyzję?

– Powiedzmy,

e te ostatnie... nie całkiem... jak by to powiedzieć...

satysfakcjonujące... minuty... przekonały mnie o sensowności takiego wyjścia. Z drugiej zaś strony - dodał, obojętnie wzruszając ramionami - moja łaskawość ma swoją cenę.

Có to za cena, pomyślała Whitney radośnie. No có , to doprawdy adna cena! Za zwolnienie z owych zaręczyn była gotowa pocałować nawet jego konia!

– Mam pocałować cię na po egnanie, nic więcej? - zapytała, przyglądając mu się bardzo uwa nie i ponownie analizując warunki owej transakcji. - Ty zaś dajesz słowo, e w zamian pozwolisz mi odejść?

Krótko skinął głową.

– Nawet nie odwiozę cię do domu. Ka ę to zrobić słu ącemu. Có więc - dodał

niecierpliwie - dobijamy targu?

– Tak! - odrzekła szybko Whitney, eby tylko się nie rozmyślił.

Stali w niewielkiej odległości od siebie, niemal na wyciągnięcie ramienia, lecz zamiast sięgnąć po nią, jak się spodziewała, oparł ramię o ścianę pawilonu i skrzy ował ręce na piersiach.

– Jak widzisz, jestem całkowicie do twojej dyspozycji - oznajmił.

– Co chcesz przez to powiedzieć? - Whitney zamrugła oczami.

– To, i następny ruch nale y do ciebie.

– Do mnie?!

Z trudem łapała powietrze. Wielki Bo e! Czy by chciał, aby to ona przejęła inicjatywę? Wpatrywała się niepewnie w jego arogancką twarz i drwiące szare oczy. Tak, właśnie tego od niej oczekiwał. I jakie to do niego podobne: nie darować sobie tego ostatniego, małostkowego odwetu! Lekki wiatr rozwiewał



ciemne włosy Clayтона, gdy niewzruszenie spoglądał ku drzewom nad głową, a potem spokojnie kontemplował lazurowe niebo. Opierając się leniwie o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wydawał się tak nieznośnie beczelny i arogancki, e miała nieodpartą ochotę wymierzyć mu tęgiego kopniaka... i niech diabli porwą wszystkie transakcje!

Bez ostrzeżenia wyprostował się, jakby zmęczyło go czekanie i był bliski odwołania ich umowy.

– Zaczekaj! - wyjąkała szybko. - Ja... ja... - Patrzyła na niego w gniewnym zakłopotaniu, czując niewypowiedziane onieśmienie. - Chodzi tylko o to, e ja...

– ...nie wiesz jak zacząć? - dokończył z ironią. - Pozwól mi zasugerować, byś podeszła nieco bliżej.

Skonsternowana, zastosowała się do owej rady.

– Bardzo dobrze - szydził. - Teraz zaś, gdybyś zechciała dotknąć swoimi ustami moich, mogłabyś zapewne coś zdziałać.

Whitney odetchnęła pośpiesznie, groźnie spojrzała na Clayтона i chwytając go za klapy rdzawego surduta, podciągnęła się na tyle wysoko, eby sięgnąć do ust księcia i wycisnąć na nich szybki pocałunek. Potem zrobiła krok w tył, gotowa, by korzystać z błogiej wolności.

– Jeśli w taki sposób całujesz Sevarina, ju wiem, dlaczego tyle czasu zajmuje ci skłonienie go do oświadczeń - oświadczył ze spokojnym cynizmem. - Jeśli owo dziewczęce cmoknięcie jest wszystkim, co potrafisz, obawiam się, e nasza umowa przestaje obowiązywać.

– Dobrze! - wybuchnęła Whitney oburzona, kładąc ręce na biodrach i rzucając mu mordercze spojrzenie. - Nic nie poradzę, kiedy stoi pan bez ruchu, nie zamierzając ze mną współpracować!

– Mo e masz rację. Jednak z drugiej strony, to ty powinnaś zainspirować mnie do współpracy.

– Och, niech e pan nic nie mówi! - rzuciła z błyszczącymi oczami. - Niech pan tylko gra swoją rolę, a ja zagram swoją!

– Nie zrobię ju nic więcej, będę tylko szedł za twoimi wskazówkami -

zastrzegł się spokojnie. - I nie zamierzam próbować uczyć cię tego, co ju powinnaś umieć. Mam coś lepszego do roboty w wolnym czasie ni grać rolę korepetytora pewnej męcząco naiwnej uczennicy.

Whitney poczuła się tak, jakby uderzył ją w twarz. Z wysiłkiem powstrzymała się od riposty i zmusiła do koncentracji, aby znaleźć jakiś sposób

„zainspirowania”

tego

zimnego,

zadufanego

w

sobie

pyszałka

do

współdziałania. I choć nie podobał się jej ich układ, nie miałyby nic przeciwko temu, by wcisnąć temu impertynentowi prosto w zęby owe szydercze uwagi o

„udzielaniu korepetycji naiwnej uczennicy” i „dziewczęcym cmoknięciu”.

Pochylając głowę, próbowała ujrzeć się w roli odważnej kusicielki równie biegłej w sztuce uwodzenia jak on. Bardzo powoli podniosła ku niemu jadeitowozielone oczy tak pełne obietnic i aru, e napotkawszy wzrok Clayтона, zobaczyła wyraźną, natychmiastową rysę w jego wyniosłym opanowaniu.

Ośmielona sukcesem, wsunęła dłonie pod jego surdut i przesunęła palcami po jedwabnej koszuli, czując pod palcami, e mięśnie torsu mężczyzny najpierw zdrętwiały odruchowo, a potem napięły się i stwardniały. Próbował ją powstrzymać! Jakiś pierwotny kobiecy instynkt powiedział jej, e skoro

musiał się jej opierać, to widocznie poruszyła bardzo czułą strunę i ta świadomość przywołała na jej wargi przemyślnie uwodzicielski półuśmiezek, gdy przesuwiała rękami po ramionach mężczyzny, pnąc się w górę a do szyi. Z

oczami utkwionymi w jego oczach prześlizgiwała się palcami po miękkim owłosieniu karku, nieubłaganie przyciągając jego twarz ku swojej. Czule przesunęła wargami po jego ustach... jego uśmiechniętych ustach! A niech e go!

Clayton się śmiał! I mimo e jej ramiona zamknęły mu się wokół szyi, jego ręce wciąż zwisały po bokach.

– Wyraźny postęp - pogratulował jej bezosobowo - ale ledwie...

Ura ona duma sprawiła, i Whitney przemilczała to ostateczne odrzucenie.

Oparła się o jego pierś i czekała, starając się zmusić przeciwnika do reakcji.

Jego ciepły oddech mieszał się z jej tchnieniem, jego usta szły za jej przykładem, ale gdy zaczęła się odsuwać, on zrobił to samo. Powoli jej obawa przed zbyt szybkim odwrotem przeszła w jeszcze większy lęk przez zbyt długim trwaniem pocałunku. Serce biło jej nierównymi uderzeniami, a ciało budziło się do ycia w najbardziej alarmujący sposób. Opuszczając ręce, cofnęła się o krok i po raz pierwszy uświadomiła sobie,

e ramiona księcia wcale jej nie

obejmowały. Ani trochę nie był poruszony jej pocałunkiem.

– Nienawidzę cię za to - szepnęła zbyt upokorzona, by spojrzeć mu w twarz, która, czego była pewna, jaśniała sarkastycznym rozbawieniem.

Clayton nie był jednak rozbawiony. Był wściekły. Pierwszy raz w całym swoim dorosłym yciu nie mógł zapanować nad reakcjami własnego ciała. Jej niewinny pocałunek i lekka pieszczota wznieciły falę natychmiastowego po ądania, która przepływając przez jego ciało, zmiotła niemal cały opór. I podczas gdy on walczył, by nad sobą zapanować, ona myślała, e go nienawidzi.

Zacisnął szczęki i uniósł do góry podbródek Whitney.

– Tak było znacznie lepiej - powiedział łagodnie. - To pocałunek na po egnanie.

Po egnanie? To po egnanie, ucieszyła się Whitney, natychmiast zapominając, e go nienawidzi. Mówili sobie „do widzenia”. To miało być ich ostatnie spotkanie.

Podniosła wzrok ku jego niewiarygodnie przystojnej męskiej twarzy z uczuciem nostalgii graniczącej ze smutkiem. Jaka to zniewalająca twarz!

Twarz, która mogła się wydawać niemal chłopięca, gdy zdecydowana linia szczęk i doskonale wykrojone usta jaśniały jednym z leniwych, obezwładniających uśmiechów. Lubiła aurę owej spokojnej powagi i mocy człowieka nawykłego do rozkazywania, jaka zawsze otaczała Clayтона, wibrowała w jego głębokim głosie, a nawet biła z długich, pewnych i zwinnych kroków. Podziwiała jego talent, by zawsze wydawać się spokojnym i rozluź-

nionym. Miał w sobie to wszystko, pomyślała z jakimś wewnętrznym alem, co powinien mieć prawdziwy mę czyzna.

Jego wargi powoli zbli ały się do jej ust.

– Będziemy kontynuować od miejsca, w którym skończyłaś? - zaproponował

cicho.

Biorąc długi, nierówny oddech, uniosła dr ące usta w sąsiedztwo jego ust.

Potem jeszcze bli ej... Rozum wysyłał jej ostrze enia, lecz uczucia kłębiły się jak szalone, a fale pragnienia wprost uderzały dziewczynę.

– Nie, ja...

Usta Clayтона opadły na jej wargi zdecydowanie, uciszając sprzeciw Whitney władcym uporem, który przepłynął przez nią ogniem eksplodującym w ka dym nerwie, a przywarła do niego, arliwie oplatając mu ramiona wokół

szyi.

– Nudzę cię? - naigrawał się, całując ją coraz mocniej i bardziej wymyślnie niż przedtem, wdzierając się językiem w jej usta. - Czy opisałaś to jako

„wstrętne”?

Wściekłość, jaka wybuchła w sercu Whitney, zamroczyła ją mgłą ślepej furii.

Chłostał ją jej własnymi słowami! Upokarzał w sposób bezwzględny i przemyślany! Wbiła paznokcie w nadgarstki Clayтона, daremnie próbując oderwać dłonie męża od swojej głowy. Jednak jego pocałunek stawał się coraz głębszy, trawił ją ogniem i gwałtownymi dreszczami porażania biegnącymi po krzyżach.

– Wyobraź sobie, że jestem Paulem? - szydził. - Tak?

Oszołomiona Whitney oderwała ręce od jego nadgarstków. Rzeczywiście głęboko zraniła go tym wszystkim, co powiedziała. Ale zawsze wydawał się tak niewrażliwy, tak całkowicie pewny siebie, że nigdy jej się nie śniło, by cokolwiek mogła go dotknąć. Teraz jednak wyraźnie tak się stało.

– Powiedz, jak bardzo nienawidzisz mojego dotyku? - wściekle zażądał

odpowiedzi i oderwawszy usta od jej warg, patrzył na nią zimnymi szarymi oczami. - Gardzisz moim dotykem - syczał. - Powiedz to teraz, albo nigdy, przenigdy nie mów mi tego po raz drugi.

Serce Whitney ścisnęło się ze smutku, skruchy i druzgoczącej czułości. Z

bólem przełknęła ślinę, a oczy wypełniły jej się łzami. -Ja... ja nie mogę...

– Nie możesz powiedzieć, że gardzisz moim dotykem? - drwił jedwabistym, złowieszczym głosem. - Dlaczego?

– Ponieważ - wyszeptała, próbując ratować się drżącym uśmiechem - nie spełniła pięć minut temu ostrzeżenia, abym nigdy nie okłamała cię ponownie. -

Whitney zobaczyła, jak twarz Clayтона tężeje w maskę cynicznego niedowierzania i zanim zdolał powiedzieć cokolwiek, by zranić ich oboje, wspięła się na palce, by stłumić jego ripostę pocałunkiem.

Rzucił mocne słowo, chwycił jej ręce i zaczął odrywać je od swojej szyi.

– Claytone, nie! - krzyknęła, zaciskając mu palce na karku. - Proszę, proszę, nie! - Łzy płynęły po policzkach Whitney, gdy nie bacząc na bolesny ucisk jego rąk na swoich ramionach, całowała tego gniewnego, nieugiętego człowieka, tego potężnego, stanowczego męża, który z cierpliwością i humorem znosił jej wrogość i wybuchy... a do tej chwili, kiedy zraniła go do żywego.

Ręce Clayтона powędrowały w dół, by ją odsunąć, ale przywarła doń mocniej. Nieśmiało dotknęła

językiem jego warg, mając nadzieję, że spodoba mu się to, i całuje go w taki sposób. Pozostał jednak nieugięty. Język Whitney wślizgnął się między jego ledwie rozchylone wargi, lecz napotykając jego język, cofnął się w oszalałej trwodze... a potem zakradł się ponownie po kolejną, jeszcze słodsza, zakazaną pieśczętę. I wtedy nagle wszystko wokół Whitney wybuchło wraz z gwałtowną odpowiedzią Claytona. Jego ramiona objęły ją, przyciskając do siebie, jego wargi zaś rozsunęły jej usta, spadając na nie raz za razem.

Oszołomiona namiętnością i po ądaniu, Whitney napawała się cudownym atakiem jego ust nacierających na jej wargi. Odwzajemniała pocałunki męża czyżby, podczas gdy jego dłonie wędrowały zdobywczo po jej plecach w dół a do pośladków, przygniatając ją do siebie i stapiając obydwie ich ciała w jedno.

Całą wieczność później Clayton uniósł głowę i delikatnie pogładził kciukami oblane rumieńcem policzki Whitney. Czułość i po ądanie pojawiły się w jego szarych tęczęwkach, gdy zatopił je w rozmarzonych zielonych oczach dziewczyny.

– Śliczny, irytujący, cudowny głuptas - wyszeptał ochryple, a potem powoli znowu opadł wargami na jej usta, pogłębiając ten pocałunek, a w jej włosach rozlały się płomienie i przycisnęła się, aby być bliżej niego.

Dłonie Claytona gładziły piersi Whitney, rozpalając ją tą pieśczęcią.

Przycisnął biodra dziewczyny do swych napiętych ud.

Nagle, bez adnego uprzedzenia, wszystko się skończyło. Clayton oderwał wargi od jej ust, ucałował oczy i czoło i oparł brodę o głowę dziewczyny.

Chciała się cofnąć, lecz wtedy jego ramiona się zacisnęły.

– Nie poruszaj się, maleńka - szepnął. - Zostań przy mnie blisko jeszcze chwilę.

W lekkim wietrze szeleściły liście, nad głowami obojga trzepotały ptaki, ale osamotnienie i rozpacz zaczęły niweczyć szczęście tej chwili. Pragnąc znowu poczuć jego usta na swoich i chcąc, aby odpędził skradający się wokół smutek, Whitney odchyliła głowę, nie odrywając wzroku od ust Claytona.

Natychmiast pochylił głowę, by przyjąć to nieśmiałe zaproszenie, lecz na sekundę przed dotknięciem wargami ust dziewczyny nagle się cofnął.

– Nie - powiedział gardłowym głosem.

Zaskoczona, że nie chciał jej pocałować, choć tak wyraźnie tego pragnęła, Whitney spojrzała na niego z niemym pytaniem. W jej oczach malowało się bolesne zakłopotanie.

– Jeśli nadal będziesz patrzeć na mnie takim wzrokiem - za artował - znów zacznę cię całować, a gdy to się zdarzy, powstanie wyborna okazja, bym nie zdołał dotrzymać swojej obietnicy.

- Dlaczego? - zapytała, wciąż bezwstydnie spragniona jego pocałunków.

- Dlaczego...? - powtórzył z ustami tak blisko jej warg, że ich oddechy łączyły się ze sobą. - Będę szczęśliwy, mogąc pokazać ci, dlaczego... - odpowiedział

namiętym szeptem.

Zdrowy rozsądek w końcu zwyciężył, studząc jej ar i przywracając przytomność umysłu. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, gdy to jedynie bardziej utrudniłoby nasze rozstanie. - Ze słabym uśmiechem cofnęła się o krok i odwróciła od niego. -

egnam, wasza

wysokość - szepnęła powa nie, wyciągając ku niemu rękę. Serce jej się ścisnęło, gdy ujął jej dłoń i uniósł ku górze.

- Tak oficjalnie? - Uśmiechnął się, przesuwając kciukiem po wnętrzu dłoni, a potem podnosząc ją do warg i muskając językiem wra liwe miejsce.

Whitney wyrwała rękę, chowając dr ącą dłoń bezpiecznie za plecami. Przez dłu szy czas wpatrywała się w Clayтона, nieświadomie zapamiętując jego twarz.

- Przykro mi, naprawdę mi przykro - powiedziała po chwili - e sprawiłam panu tyle kłopotów.

Claytonowi rozbłyły oczy.

- Mam nadzieję, e zechcesz dobrowolnie „kłopotać” mnie w taki sposób, kiedy tylko będziesz miała na to ochotę.

- Wiesz, e nie to mam na myśli. - Były rzeczy, które chciałyby " mu powiedzieć, miłe rzeczy; i takie, które pragnęła wyjaśnić, ale jak mogła być powa na, gdy traktował ich rozstanie tak lekko?

Prawdopodobnie nie chciał

adnych wyjaśnień ani przeprosin; mo e to był najlepszy sposób, by powiedzieć sobie „do widzenia”. Mimo to głos jej dr ał, gdy egnęła się z nim po raz ostatni. - Będzie mi cię brakowało, naprawdę... - Zanim się przed nim rozkleiła, do czego, była przekonana, z pewnością by doszło, gdyby nadał patrzył na nią ze szlachetnym zrozumieniem, ujęła spódnice i cofnęła się, zamierzając zostawić go tutaj, w pawilonie. Uczyniwszy dwa kroki, odwróciła się i powiedziała z wahaniem: - Jeśli zaś chodzi o mojego ojca... -

Dlaczego ona miałaby czuć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia czy odpowiedzialność za swego okrutnego ojca, było doprawdy niepojęte, a jednak czuła. - Mam nadzieję, e nie postąpisz z nim nazbyt surowo. Jeśli tylko zechcesz być cierpliwy, jestem pewna, e w końcu zdoła cię spłacić.

Ciemne brwi Clayтона zbiegły się w wyrazie łagodnego niezadowolenia.

– Zwa ywszy, e daje mi swoją córkę za onę, uwa am się za w pełni spleaconego.

W powietrzu zawisło przeczucie nadchodzącej katastrofy.

– Ale to się zmieniło, gdy zgodziłeś się pozwolić mi odejść. Clayton chwycił

Whitney za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie.

– O czym ty, u licha, mówisz?

– Powiedziłeś, e pozwolisz mi pójść i...

– Powiedziałem, e pozwolę ci pójść do domu - podkreślił znacząco.

– Nie! - zawołała Whitney, kręcąc głową. - Zgodziłeś się pozwolić mi odejść...

porzucić myśl o poślubieniu mnie!

– Chyba w to nie wierzysz! - odrzekł krótko. - Niczego takiego nie miałem na myśli.

Druzgoczący cię ar przygniółł piersi Whitney. Powinna była wiedzieć, e ten człowiek nigdy z niej nie zrezygnuje. Spojrzała na niego z rozpaczą... choć przeniknęło ją coś dziwnie bliskiego ulgi. Nie miała jednak szansy, by przeanalizować owo tajemnicze uczucie, gdy Clayton objął ją i przyciągnął do siebie.

– Nigdy, w chwili największej słabości nie pomyślałem o tym, by pozwolić ci odejść, Whitney. A gdybym nawet kiedyś pomyślał - dodał, przypominając jej o namiętnej czułości, jaką objawiła przed kilkoma minutami - czy sądzisz, e po tym, co stało się między nami, mógłbym w ogóle rozwa ać to ponownie? - Uniósł do góry podbródek dziewczyny, zmuszając jej buntownicze oczy do spotkania z jego nieugiętym wzrokiem. - Prosiłaś mnie o czas i dałem ci go. U yj tego czasu, by pogodzić się z nieuchronnością naszego związku, bo zapewniam cię, e to mał eństwo dojdzie do skutku.

Jeśli chcesz przekonać samą siebie, e cię oszukałem, zrób to, aleja do-trzymuję obietnicy, którą ci zło yłem.

Spokojne przeświadczenie księcia, i Whitney nie ma innego adnego wyboru oprócz poślubienia go, a więc oddania mu swego ciała i ycia, było czymś więcej, ni mogła teraz znieść.

– Zatem zgodnie ze swą obietnicą pozwól mi wrócić do domu -powiedziała i odsunawszy się od niego gwałtownym ruchem, wzburzona, ruszyła na oślep ku podjazdowi.

Clayton dogonił ją, rzucił polecenie słu ącemu i pomógł Whitney wsiąść do powozu.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, e nie mo esz mnie zmusić, bym cię poślubiła? - spytała go lodowatym tonem. - Mo esz zaciągnąć mnie za włosy do ołtarza. Mnie zaś wystarczy tylko odmówić zło enia przysięgi. To takie proste.

Uniósł brwi.

– Jeśli to są owe rozmyślenia, którym oddawałaś się w czasie, o jaki mnie prosiłaś, to niczego nie zyska się dłu szym czekaniem, prawda? - Spojrzał

przez ramię, jakby szukając kogoś, a potem odwrócił się i zaczął iść w stronę domu.

– Dokąd idziesz? - zapytała ostro Whitney, zaalarmowana nieoczekiwaną stanowczością jego ruchów i determinacją, z jaką zacisnął szczęki.

– Polecę lokajowi, eby spakował mój бага na dłu szą drogę, potem zaś ka ę wyprowadzić karetę podró ną i zaprzac konie. Wyje d amy do Szkocji -

powiedział, obracając ku niej twarz. - Uciekamy.

– Porwanie! - jęknęła Whitney, chwytając się oparcia lekkiego powozu. - Nie...

nie ośmielisz się! Pójdą w ruch języki! Będą plotki!

Jej towarzysz obojętnie wzruszył ramionami.

– Jak ju powinnaś wiedzieć, plotki nie mają dla mnie znaczenia. Skoro zaś są wa ne dla ciebie, proponuję, abyś rozwa yła następujący wybór: kiedy przyjedziemy do Szkocji, mo esz albo wyjść za mnie, albo odmówić zło enia przysięgi mał eńskiej. Jeśli jej nie zło ysz, wrócimy niepoślubieni po wspólnej podró y trwającej kilka dni i nocy, co wywoła skandal, jakiego chyba nie chcesz prze yć. Twoim ostatnim wyjściem jest wziąć w Londynie godny ślub, po którym zostaniesz księ ną. Jak więc będzie?

Có to za wybór, pomyślała z goryczą Whitney. Ju sama ucieczka byłaby wystarczającym skandalem, ale gdyby wróciła z Claytonem ze Szkocji niezamę na, matki przeciągałyby swe córki na drugą stronę ulicy, by uniknąć wszelkiego kontaktu z kobietą upadłą, a Paul by nią wzgardził.

– Ślub! - syknęła gniewnie, opadając na wybite aksamitem oparcie.

Miała przed sobą jeszcze jedno wyjście, przypomniała sobie: mogła uciec z Paulem. Jej serce obawiało się myśli o ucieczce, z całym towarzyszącym temu postępkowi potępieniem i wstydem. Znowu znalazłaby się poza kręgiem miejscowego towarzystwa, stając się obiektem otwartych afrontów i zjadliwych docinków. Ale przynajmniej byłaby oną Paula...

– Whitney - odezwał się Clayton, patrząc tak, jakby miał ochotę nią potrząsnąć

- pierwszy raz w yciu zapomnij o swym dziecinnym opętaniu Sevarinem i spróbuj stanąć twarzą w twarz z tym, co naprawdę dzieje się w twoim w sercu. Gdybyś nie była tak piekielnie uparta, zrobiłabyś to ju przed kilkoma tygodniami!

Stangret podszedł z ukłonem i Whitney stłumiła gniewną ripostę, ale słowa Clayтона towarzyszyły jej przez całą drogę do domu. Wpatrując się ponuro w wyprostowane sztywno plecy stangreta, starała



się uporządkować targające nią emocje, nie dlatego, e ksią ę zarzucił jej niechęć do stawienia czoła temu, co działo się w jej sercu, lecz dlatego, e naprawdę nie rozumiała samej siebie.

Jak mogła odpowiadać tak namiętnie na pieszczoty tego mę czyzny, skoro zamierzała i pragnęła poślubić Paula? Dlaczego przed kilkoma minutami była tak roztrzęsiona, gdy uświadomiła sobie, e zraniła Claytona? Czemu poczuła się tak smutna, kiedy sądziła, e egna go na zawsze? Czy dlatego, e narodziła się między nimi pewna krucha więź, podsycana wzajemnym pokpiwaniem i przekomarzankami, na które sobie pozwalali?

Przyjaźń... pomyślała gorzko. Ksią ę Claymore nie był jej przyjacielem; wcale go nie obchodziła. Dbał tylko o siebie i o to, czego sam pragnął, a z jakiegoś niewiadomego powodu znanego jedynie jemu zdarzyło mu się zapragnąć jej. Nie chciał wierzyć, e Whitney kocha Paula, bo to mu nie odpowiadało. Paul miał być jej mę em; to miejsce w jej sercu i yciu ju dawno zarezerwowane było dla niego i tylko dla niego.

Paul... Sumienie Whitney odezwało się, wyrzucając jej niewierność wobec ukochanego i skandaliczne, wyprane z wszelkich moralnych zasad zachowanie w czasie jego nieobecności. Skurczyła się w sobie, myśląc o tym, jak pozwoliła Claytonowi całować się i pieścić. Mniejsza o niego, wspominała dalej ze wstrętem do samej siebie, lecz przecie to ona sama całowała jego! Pragnęła być w jego ramionach, dr ała z po ądania, gdy usta księcia znalazły się na jej ustach.

Gdy tej nocy Whitney le ała w łó ku, wpatrując się w baldachim, wydawało jej się, e nigdy nie była tak nieszczęśliwa. Udręczona poczuciem winy, myślała o planach, jakie Paul omawiał z nią w ciągu kilku dni po oświadczeniach.

Zamierzał odrestaurować apartament w zachodnim skrzydle swego domu, gdy znajdował się blisko pokojów dziecinnych. Zarumieniła się, kiedy wspomniał o dzieciach, ale to właśnie z nim układała takie radosne plany.

A teraz go zdradziła. Przyjęła jego miłość i splugawiła ją w ramionach Claytona Westmorelanda. Nie była warta Paula! Wielki Bo e, nie była równie warta księcia! Czy nawet teraz, po tym jak odwzajemniała jego pocałunki, nie myślała o poślubieniu innego mę czyzny?!

Świt oświecał niebo, gdy podjęła ostateczną, nieodwołalną decyzję.

Poniewa Clayton dobrowolnie z niej nie zrezygnuje, uciekną z Paulem natychmiast po jego powrocie. Paul ją kochał i darzył zaufaniem, wierzył w nią.

Hańba ucieczki będzie karą za jej niemoralne zachowanie w czasie nieobecności ukochanego. Kiedyś, pewnego dnia, znowu oka e się warta jego miłości i wiary.

Zasłu y na nie, będąc najbardziej oddaną, posłuszną i najwierniejszą oną na ziemi.

Teraz, gdy obmyśliła ju plan działania, powinna czuć się znacznie lepiej, ale kiedy obudziła się następnego dnia, czuła się zdecydowanie źle.

Masując sobie skronie, zsunęła stopy na podłogę i ostro nie podeszła do dzbanka z wodą, czując, e z

ka dym krokiem wprost huczy jej w głowie.

Krzywiąc się z bólu, naląła sobie szklankę zimnej wody i zadzwoniła po Clarissę, eby pomogła jej się ubrać.

Błada i słaba osunęła się na krzesło przy śniadaniowym stole, zdobywając się jedynie na wątki uśmiech dla cioci Annę i całkowicie ignorując ojca.

Niestety, ten nie chciał być dłużej ignorowany.

– Có , moja panno, czy ty i jego wysokość ustaliliście już datę?

Odłoczyła się na bok widelec, Whitney wsparła głowę na rękach, rozmyślnie irytując Martina pustym spojrzeniem.

– Jaką datę?

– Nie traktuj mnie jak imbecyla! Wiesz, e mówię o dacie ślubu.

– Ślubu? - powtórzyła Whitney. - Czy bym zapomniała ci powiedzieć? Nie będzie adnego ślubu - oznajmiła, po czym, posyłając przepaszające spojrzenie cioci, wstała i wyszła z pokoju.

– Doprawdy, Martinie, jesteś największym głupcem, ponaglając ją w ten sposób. Jaki pozostawiasz jej wybór oprócz tego, by ci robić na przekór? -

odezwała się lady Gilbert z niesmakiem i odsunawszy talerz, podążyła za Whitney.

Po chwili jej szwagier tak e odsunął talerz i kazał zaprzęgać, aby złożyć poranną wizytę swemu przysłemu zięciowi.

O jedenastej doskwierający Whitney ból głowy osłabł, ale nastrój jej się nie poprawił. Siedząc na wprost cioci, obojętnie pracowała nad haftem.

– Nie lubię robótek - powiedziała beznamiętnie. - Nigdy ich nie znosiłam.

Nawet gdybym potrafiła haftować dobrze, te bym tego nienawidziła.

– Wiem - westchnęła ciocia - ale robótki dają zajęcie rękom. Obie podniosły wzrok, gdy wszedł lokaj z listem i podał go Whitney.

– To od Nickiego! - zawołała, rozjaśniając się na wspomnienie wielbiciela z Paryża. Pośpiesznie złamała pieczęć i zabrała się do lektury.

Uśmiech zniknął jej z twarzy, a w głowie zaczęło huczeć z nową siłą.

Opadając na oparcie fotela, z niemym przerażeniem spojrzała na ciocię.

– Nicki jutro przyjeżdża do Londynu.

Igła w dłoni lady Annę zamarła w połowie ściegu.

– Jego wysokość nie będzie zadowolony z widoku pana DuVille'a w naszych progach, rozpoczynającego konkurencję tu obok Paula Sevarina.

Whitney bardziej martwiła się tym, jak oszczędzić sobie dodatkowego upokorzenia, gdy Nicki, będąc ich gościem, nieuchronnie dowiedziałby się o jej skandalicznej przyszłotygodniowej ucieczce z Paulem.

– Wcale nie musi do tego dojść - oświadczyła zdecydowanie.

– Co ty mówisz?

– Nie należy przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi - odrzekła Whitney i zanurzywszy pióro w kałamarzu, zaczęła pisać. - Poproszę Nickiego, by pozostał w Londynie. Jaki rodzaj zakaźnej choroby wybierasz? Malarię?

Ospę? - Widząc, że ciocia nie podziela jej na poły histerycznego nastroju, dodała spokojniej: - Po prostu wyjaśnię Nickiemu, że mam zobowiązania z dala od domu i nie będę mogła spotkać się z nim w czasie jego pobytu w Londynie. Z tego, co napisał, wnioskuję, że będzie w Anglii krótko, by uczestniczyć w jakiejś towarzyskiej uroczystości u lorda Marcusa Rutheforda.

– Lord Rutheford jest skoligacony z kilkoma najznakomitszymi rodami w Europie, łącznie z rodziną DuVille'ów - powiedziała lady Annę, chcąc udzielić jakiegoś bardziej pomocnego komentarza. - Twój wuj często powiada, że jest on w rządzie politykiem zarówno najbardziej wnikliwym, jak i najpotężniejszym.

– Có , z pewnością wybrał niedogodną porę, by prosić Nickiego o przyjazd do Anglii - zauważyła Whitney, susząc atrament mialkiem piaskiem i zadzwoniła po lokaja, aby natychmiast wysłano jej list.

Teraz, gdy wzięła sprawy w swoje ręce i zrobiła coś, by oddalić katastrofę, poczuła się lepiej. Z wielkim zapalem zabrała się do haftowania, ale ponieważ nigdy nie była w tym biegłą, perfekcyjne ściegi, które sobie wyobraziła, nie zmaterializowały się na tkaninie. W odruchu gorzkiego zniecierpliwienia całkowicie zignorowała poślówanie godny efekt i po prostu rozkoszowała się samym wbijaniem igły w materiał.

Robiła to jeszcze długo po tym, gdy ciocia Annę poszła na obiad. To uklucie było dla losu, który z czystej perwersji pokrzykował jej kolejne plany; to zaś wymierzyła w lorda Rutheforda, odpowiedzialnego za przyjazd Nickiego do Anglii, a ten sztych przeznaczony był dla ojca... jej okrutnego, pozbawionego serca i nieczułego ojca. A to uklucie będzie dla... W mściwym zapale Whitney nie trafiła w tkaninę i jęknęła z bólu, gdy igła wbiła jej się w palec.

Nagle dał się słyszeć gardłowy śmiech, a potem znajomy głęboki głos zapytał:

– Haftujesz ten obrus czy go atakujesz?

Zaskoczona Whitney zerwała się na równe nogi, upuszczając robótkę na podłogę. Nie miała pojęcia, jak długo Clayton stał w drzwiach i ją obserwował.

Wiedziała jedynie, że zdawał się wypełniać pokój swą obecnością i że jej serce uderzało na jego widok jak szalone. Zakłopotana własną reakcją, pośpiesznie skierowała swoją uwagę na palec, gdzie pojawiła się mikroskopijna kropelka krwi.

– Moje pośle po doktora Whitticomba? - zaproponował, a w kątku jego kształtnych ust pojawił się uśmiech, gdy dodał: - Jeśli nie uczynisz sobie doktora Whitticomba, mogę posłać po „doktora Thomasa”, ale zdaje się, że jego specjalnością są raczej zwichnięcia i złamania...

Whitney przygryzła wargę, desperacko próbując się nie roześmiać.

– W istocie doktor Thomas jest teraz bardzo zajęty inną pacjentką: gniadą kłaczą. Doktor Whitticomb zaś wydawał się ostatnio dość poirytowany, że przysłano go tutaj z powodu jakiegoś niemądrego wybryku. Wątpię, czy byłby tak łaskawy, gdyby wezwano go po raz drugi.

– Czy to był „niemądry wybryk”? - zapytał cicho ksiądz.

Uśmiech zniknął z ust Whitney. Ogarnęło ją niedające się wyrazić poczucie winy.

– Wiesz, że tak - wyszeptała, odwracając oczy.

Clayton z lekko zatroskaną miną wpatrywał się uważnie w jej bladą twarz.

Mógłby powiedzieć, że mimo chwilowej wesołości była napięta jak mocno naciągnięta struna. Nie zmartwił się bynajmniej złym przez nią przy śniadaniu buntowniczym oświadczeniem, że adnego ślubu nie będzie - które z najwyższym wzburzeniem powtórzył mu ojciec Whitney. Martin Stone był

głupcem próbującym nadal znęcać się nad córką, mimo że wywoływał tym jedynie jeszcze większy sprzeciw Whitney. Z tego właśnie powodu ksiądz odezwał się ze spokojną stanowczością:

– Chciałbym, abyś towarzyszyła mi na pewnym balu w Londynie. Może zabrać swoją pokojówkę, tę siwowłosą znaną kobietę, która zawsze patrzy na mnie spod łba, jak gdyby podejrzewała, że zamierzam wynieść rodowe srebro.

– Clarisse - odpowiedziała odruchowo, szukając w myślach odpowiedniej wymówki, by z nim nie jechać.

Clayton skinął głową.

– Moje być twoją opiekunką, nie będzie więc brakowało nam stosownej przyzwoitki. - W istocie lady Gilbert byłaby o wiele bardziej odpowiednią przyzwoitką, ale Clayton choć przez chwilę chciał mieć Whitney dla siebie. -

Jeśli wyjedziemy pojutrze rano, będziemy w Londynie późnym popołudniem.

Znajdziesz jeszcze czas na wizytę u twojej przyjaciółki Emily i odpoczniesz przed balem. Jestem pewien,

e państwo Archibaldowie poczują się

zachwyceni, mogąc zatrzymać cię na noc, a wrócimy następnego dnia. -

Zanim zdołała odmówić, czego, jak mógł zobaczyć, była ju bliska, dodał: -

Twoja ciotka właśnie pisze list, by uprzedzić Emily Archibald o twoim przyjeździe.

Whitney zastanawiała się, jakie szaleństwo kazało cioci zgodzić się na coś takiego, a potem uświadomiła sobie, e lady Annę wcale nie było łatwiej odmówić czegokolwiek Claytonowi ni jej samej.

- Nie próbowałeś nawet poprosić mnie o to - odrzekła z irytacją. - Wydałeś polecenie.

Clayton zignorował jej brak entuzjazmu; pomyśl, aby zabrać Whitney na bal, przyszedł mu do głowy po dzisiejszej rozmowie z ojcem dziewczyny.

- Miałem wielką nadzieję, e spodoba ci się ta propozycja - odrzekł.

Jego łagodna odpowiedź sprawiła, e Whitney poczuła się grubiańska i niegrzeczna. Wzdychając, przyjęła zaproszenie.

- Kto wydaje ten bal?

- Lord Rutheford.

Clayton naprawdę nie spodziewał się takiej reakcji, ale nawet gdyby jej oczekiwał, nic nie przygotowało go na to, co się wydarzyło. Oczy Whitney rozszerzyły się nagle, jakby były ogromnymi zielonymi spodeczkami.

- Kto?! - powtórzyła zduszonym szeptem i zanim zdążył odpowiedzieć, wybuchnęła stłumionym śmiechem i dosłownie osunęła mu się w ramiona, wstrząsana atakami wesołości.

Z oczu jej kapały łzy na skutek niepohamowanego śmiechu, a wreszcie oparła się na ramieniu Clayтона.

- Widzisz przed sobą oszalałą kobietę, która zaczyna spoglądać na yciowe tragedie jak na jeden wielki art. - Tłumiąc kolejny atak chichotu, zapytała z o ywieniem: - Czy moja ciocia ju wie? Czy wie, kto wydaje ten bal?

- Nie, a dlaczego pytasz?

Whitney sięgnęła po list Nickiego i wręczyła go księciu.

– Napisałam do niego, eby nie przyje d ał... e mam inne zobowiązania z dala od domu.

Clayton przebiegł wzrokiem po liście i oddał go Whitney.

– Doskonale - odrzekł krótko, zirytowany, e nazwała DuVille'a „Nickim”, choć do Claytona, mimo e byli zaręczeni, tak rzadko zwracała się po imieniu. Z ponurą satysfakcją uświadomił sobie jednak, e Whitney będzie u jego boku, gdy DuVille zobaczy ją na balu u Rutheforda, i jego irytacja osłabła. - Przyjadę po ciebie pojutrze o dziewiątej rano - oznajmił, wyciskając na czole dziewczyny lekki pocałunek.

## Rozdział 21

Dwa dni później, z wybiciem godziny dziewiątej, Whitney zobaczyła, jak dwa błyszczące czarne powozy wje d ają na frontowy podjazd. Wciągając turkusowe gienzowe rękawiczki, które pasowały do jej podró nego kostiumu, zeszła wraz z Clarissą do frontowego holu, gdzie ciocia Annę i ojciec przyszli, by ją po egnąć. Whitney zignorowała ojca, ciocię zaś obdarzyła serdecznym uściskiem, a Clayton osobiście odprowadził Clarissę do powozu. Dziewczyna oświadczyła, e to ciocia powinna towarzyszyć jej do Londynu, ale Clayton uciszył jej protesty i oświadczył, e Clarissą mo e wystąpić w podwójnej roli: pokojówki i przyzwoitki. Jak powiedział Whitney i lady Annę, cała podró zakończy się przed zapadnięciem zmroku, a ponadto jako przyszły mąż Whitney ma pełne prawo do spędzenia kilku godzin ze swą przyszłą oną bez asysty jej krewnych.

– Gdzie Clarissą? - zapytała dziewczyna kilka minut później, gdy Clayton ulokował ją w swoim powozie.

Książę, który bezceremonialnie pozbył się irytującej i protestującej przyzwoitki, umieszczając ją w drugim powozie ze swoim lokajem, odrzekł

uspokajająco:

– Siedzi wygodnie w powozie jadącym za nami i niewątpliwie oddaje się lekturze wybornych ksią ek, które pozwoliłem sobie dostarczyć tam dla niej.

– Clarissą uwielbia romanse - powiedziała Whitney.

– Dałem jej „Zarządzanie wielkimi posiadłościami” i „Dialogi” Platona -

oświadczył zuchwale Clayton - a poza tym podniosłem schodki powozu i zatrzasnąłem drzwiczki, zanim jeszcze w ogóle mogła zobaczyć tytuły.

Whitney stłumiła daremny protest i z kwaśną miną potrząsnęła głową.

Powozy zakołysały się łagodnie, gdy skręcili z podjazdu na zrytą koleinami prowincjonalną drogę i Whitney pomyślała, e choć ekwipa księcia z zewnątrz wyglądał jak setki podobnych wehikułów, to jednak w środku okazał się przestronniejszy i bardziej luksusowy. Aksamitne siedzenia były głębsze i znacznie wygodniejsze, a sama karetka tak dobrze resorowana, e zdawała się płynąć. Siedzący obok Clayton miał przed sobą wiele miejsca, by bez skrępowania wyprostować długie nogi w spodniach z

kożłcej skóry i chocia jego szerokie ramiona niemal dotykały jej ramion, z pewnością nie musiał siedzieć tak blisko. Puls Whitney przyśpieszył nieco, gdy lekki zapach korzennej wody kolońskiej musnął jej nozdrza, więc szybko odwróciła głowę do okna, aby skoncentrować się na uroczym jesiennym krajobrazie.

- Gdzie jest twój dom? - zapytała po długiej kojącej ciszy.

- Wszędzie, gdzie jesteś ty.

Cicha czułość dźwięcząca w jego głębokim głosie sprawiła, e Whitney zabrakło tchu w piersiach.

- Ja... ja chciałam zapytać, gdzie jest twój prawdziwy dom... zamek Claymore?

- Półtorej godziny drogi od Londynu. Przy dobrej pogodzie.

- Czy jest bardzo stary?

- Bardzo.

- Zatem musi być dość ponury - zauwa yła, a poniewa rzucił jej zdumione spojrzenie, wyjaśniła szybko: - Chciałam powiedzieć, e na ogół stare arystokratyczne siedziby z zewnątrz wydają się bardzo wielkie i przestronne, w środku zaś sprawiają wra enie mrocznych i przygnębiających.

- Zamek Claymore był kilkakrotnie modernizowany i rozbudowywany. - W

głosie Clayтона brzmiało powściągliwe rozbawienie. - Nie sędę, by wydał ci się „ponury”.

Whitney natychmiast pomyślała,

e ksią ęca rezydencja musi być

imponująco wspaniała i niemal przesadnie piękna, ale później uświadomiła sobie, e nigdy nie zobaczy rodowej siedziby Clayтона i ogarnęło ją dziwne przygnębenie. Jej towarzysza najwyraźniej wyczuł tę zmianę nastroju i ku nieoczekiwanemu zachwytowi Whitney zaczął zabawiać ją śmiesznymi opowiastkami z dzieciństwa własnego i swojego brata, Stephena. Przez cały czas, odkąd go znała, nigdy nie był z nią tak otwarty i jej nastrój poprawiał się z każdą minutą, a dojechali do londyńskiego domu Emily.

Słońce zachodziło powoli i Whitney stawała się coraz bardziej zdenerwowana, gdy patrzyła na brukowane ulice Londynu.

- Czy stało się coś złego? - zapytał Clayton.

- Czuję się onieśmielona, przyje d ając do domu Emily z tobą -wyznała z przygnębeniem.

- Udawaj, e zamierzamy się pobrać. - Roześmiał się i wzięwszy Whitney w ramiona, całował ją tak długo i tak namiętnie, e niemal w to uwierzyła.

Londyńska siedziba baronostwa Archibaldów była otoczona ozdobnym, kutym w elazie ogrodzeniem. Emily przywitała gości w holu z wesołą uprzejmością i chociaż Whitney wiedziała,

e przyjaciółka musi być

zaskoczona jej przyjazdem do Londynu z Claytonem, poczuła ulgę, i nie dała tego po sobie poznać. Obdarzywszy Whitney serdecznym uściskiem, Emily zaprowadziła ją do pokoju gościnnego, a potem szybko wróciła na parter, by przyłączyć się do męża i Claytona w salonie i pełnić obowiązki gospodyni.

Kiedy po kwadransie wróciła na górę, jej spokój minął, a policzki płonęły z ekscytacji. Whitney, która pomagała Clarissie w rozpakowywaniu bagażu, zrozumiała spojrzenie płonących z ciekawości oczu przyjaciółki i zebrała się na odwagę.

– To on! - wykrzyknęła Emily, opierając się o drzwi i w oszołomieniu patrząc na Whitney. - Właśnie powiedział mi, kim jest naprawdę. Mój mąż zna go od dawna, ale księżę prosił, by zachował jego tożsamość w tajemnicy. Wszyscy w Londynie wciąż o nim mówią, ale ja go nigdy nie widziałam! Whitney!

zawołała, a jej twarz jaśniała wielką dumą z przyjaciółki. - Idziesz na bal do lordostwa Ruthefordów z kawalerem, który jest najlepszą partią w całej Europie! Na bal do Ruthefordów! - powtórzyła, jak gdyby chciała wzbudzić w przyjaciółce entuzjazm. - Zaproszenia na ich przyjęcia są równie cenne jak diamenty!

Whitney niepewnie przygryzła wargę, pragnęła bowiem zwierzyć się przyjaciółce, nie chciała jednak obciążać jej swoimi problemami. Gdyby przyznała się, że jest zaręczona z owym „kawalerem, który jest najlepszą partią w całej Europie”, Emily z pewnością byłaby tym poruszona. Gdyby jednak powiedziała, że wcale nie chce być z nim zaręczona, przyjaciółka oczywiście by jej współczuła. Gdyby zaś wyjawiała, że za kilka dni zamierza uciec z Paulem, Emily bez wątpienia przestraszyłaby się nieuchronnego skandalu i błagałaby ją, aby tego nie robiła.

– Od jak dawna wiesz, że jest księciem Claymore?

– Od kilku dni - odparła ostro nie Whitney.

– I co? - dopytywała się Emily, tak podekscytowana, że jej kolejne pytania złączyły się w jedno. - Opowiedz mi wszystko, kochasz go, a on kocha ciebie, i czy nie byłaś zaskoczona, dowiadując się, kim jest?

– Byłam zdumiona - przyznała Whitney, uśmiechając się lekko na wspomnienie swego przerażenia na wieść, że jest zaręczona z Claytonem.

– Mów dalej - ponaglała przyjaciółki.

Zachwyty jej był tak zaraźliwy, że uśmiech Whitney stał się cieplejszy, ale pokręciła przecząco głową i odpowiedziała zdecydowanym tonem, który przynajmniej chwilowo zniechęcił przyjaciółkę do dalszego wypytywania.



– Ani on nie kocha mnie, ani ja nie kocham jego. Zamierzam wyjść za Paula.

To wszystko.

Clayton spojrział na zegar wiszący nad zaprojektowanym przez Roberta Adamsa kominkiem w obszernej sypialni, podczas gdy lokaj poprawiał sztywną, białą wieczorową koszulę na muskularnych ramionach swego pana. Dochodziła dziesiąta i ksią ę czuł niemal irracjonalne pragnienie, by znaleźć się ju w drodze do Archibaldów.

– Jeśli wolno mi to powiedzieć, wasza wysokość - odezwał się Armstrong, pomagając księciu włożyć czarną brokatową kamizelkę - bardzo dobrze być znowu w Londynie.

Gdy Clayton zapinał kamizelkę, lokaj wyjął z szafy czarny wieczorowy surdut, zdmuchnął z klap nieistniejące pyłki, a potem uniósł go tak, by jego pan mógł wsunąć ręce w rękawy eleganckiego stroju. Poprawiwszy rubinowe spinki u mankietów koszuli, Armstrong cofnął się o krok, aby dokładnie sprawdzić pełny efekt i wygląd smukłej sylwetki swego pana w nienagannie skrojonym wieczorowym stroju.

Clayton podszedł do lustra, eby się upewnić, i jest dokładnie ogolony, i błysnął w stronę kręcącego się wokół lokaja szerokim uśmiechem.

– I có , zdaję egzamin, Armstrong?

Zaskoczony i zaszczycony tą nietypową dla księcia poufałością słu ący niemal pękał z dumy.

– Z całą pewnością, wasza wysokość - oświadczył, ale kiedy ksią ę wyszedł, duma i satysfakcja lokaja ustąpiły miejsca zakłopotaniu, gdy uświadomił

sobie, e przyczyną tak wyjątkowo dobrego humoru jego pana musi być panna Stone, i pierwszy raz zaczął wątpić w słuszność swojego zakładu ze stangretem McRae o to, czy ksią ę poślubi tę dziewczynę.

–

yczę waszej wysokości miłego wieczoru... - zaczął mówić, gdy jego pan zarzuciwszy na ramiona wieczorową pelerynę podszytą szkarłatnym jedwabiem, zbiegał ju długim łukiem schodów wiodących z jego imponującej siedziby przy Brook Street na ulicę. McRae, odziany dziś w paradną Westmorelandowską liberię, na widok księcia szeroko otworzył

drzwiczki powozu. Clayton uśmiechnął się do rudowłosego irlandzkiego stangreta i szybkim ruchem wskazał głową na konie.

– Jeśli nie ruszą klusem, McRae, to je popędź!

Pełne podniecenia oczekiwanie księcia wydawało się rosnać z ka dym obrotem kół jego karety turkoczącej po brukowanych kocimi łbami ulicach Londynu. O ywiała go perspektywa pojawienia się

w Londynie z Whitney u boku. Bal u lordostwa Ruthefordów, z którego początkowo zamierzał uczynić rozrywkę dla dziewczyny, teraz był prawdziwą przyjemnością dla niego. Marzył

o popisaniu się Whitney jako swoją własnością od owej nocy na balu maskowym u Armandów, a jakie miejsce bardziej nadawało się do zaprezentowania jej londyńskiej śmietance towarzyskiej niż dom jego dobrych przyjaciół?

Z chłopięcą radością wyobraził sobie reakcję Ellen i Marcusa Ruthefordów, gdy dziś wieczorem przedstawi im Whitney jako swoją narzeczoną. Prezentacją Whitney londyńskim wyśzonym sferom nie złamie danej jej obietnicy, ponieważ dziewczyna nadal mogła, tak jak pragnęła, zachować sekret, gdy wróci do jej domu. Przynajmniej przez kilka dni. Sekret... myślał z niechęcią księż. Pragnął, by poznał go cały świat!

– Ju przyjechał! - wykrzyknęła Emily, wbiegając z powrotem do pokoju Whitney po powitaniu na dole szlachetnego gościa. - Tylko pomyśl -

roześmiała się - odbywasz swój londyński debiut na najwspanialszym dorocznym balu, a towarzyszy ci na nim księż Claymore. Jak bym chciała, aby Margaret Merryton mogła cię zobaczyć dziś wieczorem!

Pełen zachwytu entuzjazm Emily, który narastał przez cały wieczór, był tak zaraźliwy, że Whitney nie mogła ani powstrzymać uśmiechu, wstając, by wyjść, ani też stłumić niedającej się wyjaśnić radości, kiedy ujrzała Clayтона rozmawiającego z lordem Archibaldem u podnóża schodów.

Księż odruchowo podniósł wzrok, gdy zaczęła schodzić, a jej widok zaparł

mu dech w piersiach i sprawił, że serce przepełniła duma. Ubrana w suknię ze złotego atłasu, która pozostawiała jedno z gładkich ramion zachwycająco nagim i opływała jej smukłe, pełne kształty, kończąc się u dołu wirem złota, Whitney wyglądała jak promieniejąca blaskiem bogini. Sznur ółtych

turmalinów i białych brylantów połyskiwał w jej lśniących ciemnych włosach, a promienny uśmiech rozjaśniał piękną twarz i błyszczał w oczach. Clayton pomyślał, że nigdy nie wyglądała tak prowokacyjnie pełnie ani tak królewsko i zmysłowo jak dzisiejszego wieczoru. Była olśniewająco piękna, czarująca... i należała do niego.

Długie złote rękawiczki okrywały jej ręce a za łokcie i kiedy dotarła do podnóża schodów, Clayton ujął obie jej dłonie w swoje. Jego szare oczy płonęły ogniem, a głos niemal drżał.

– Mój Boże, jaka jesteś piękna - wyszeptał.

Usidlona urokiem tych zniewalających szarych oczu Whitney poddała się nagłej pokusie, by pozwolić sobie naprawdę bawić się tego wieczoru, który jej wydawał się pełen magicznego czaru. Cofając się o krok, zaszczyciła księcia uważnym spojrzeniem nieskrywanego podziwu, wędrując wzrokiem wzdłuż jego smukłej, doskonale wyglądającej w wieczorowym stroju sylwetki, po czym podniosła roześmiane zielone oczy ku jego szarym tęczęwkom.

– Obawiam się, że nawet w połowie nie dorównuję ci urodą - zmrużyła powieki, udając zakłopotanie.

Clayton okrył ramiona Whitney atlasową złotą peleryną, po czym pośpieszył

do wyjścia, nie uświadamiając sobie a do chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi, e nie po egnął się z Emily i Michaeliem.

Wpatrując się w zamknięte ju drzwi, Emily wydała z siebie długie, pełne zadumy westchnienie.

– Jeśli czegoś pragniesz - ostrzegł Michael, łagodnie obejmując ją ramieniem -

to ycz sobie, aby Whitney zachowała zdrowy rozsądek, nie zaś, by Claymore oddał jej serce, gdy tego nie zrobi. Słyszałaś o nim w Londynie dość plotek, eby to wiedzieć. Nawet gdyby stracił dla niej głowę i gotów był

przejsć do porządku nad jej brakiem majątku, to nigdy nie poślubi kobiety, której pochodzenie jest mniej arystokratyczne ni jego własne. Rodzinna tradycja zobowiązuje go, by nie enił się z kobietą poni ej swego stanu.

Noc była mglista, a chłodny wiatr rozwiewał pelerynę Whitney. Przystanęła w połowie schodów, sięgając po obszerny atlasowy kaptur, aby ochronić nim włosy i właśnie wtedy jej wzrok padł na karocę czekającą pod latarnią.

– Wielkie nieba, to twoja? -jęknęła, wpatrując się we wspaniałą, lakierowany na kolor burgunda pojazd, którego drzwiczki zdobił złoty herb.

– Oczywiście - odrzekł szybko Clayton, przywracając jej równowagę.

– Rzecz w tym, i nie myślę o tobie jako o księciu. Wciąż myślę o tobie takim, jakim jesteś w domu; to znaczy w moim domu - wyjaśniła, czując się całkowicie głupio i prowincjonalnie, gdy przystanęła ponownie, by w zdumieniu popatrzeć tym razem nie na karocę, lecz na konie, które ją ciągnęły: cztery wspaniałe siwki ze śnie nobiałymi grzywami i ogonami, które przebierały nogami i potrzasały głowami w niecierpliwym pragnieniu ruchu.

– Podobają ci się? - zapytał, pomagając Whitney wsiąść i siadając obok niej.

– Czy mi się podobają? - powtórzyła, zsuwając kaptur, i odwróciła głowę, by nieśmiało uśmiechnąć się do Claytona. - Nigdy nie widziałam tak wspaniałych koni.

Otoczył ją ramieniem.

– A zatem są twoje.

– Nie, nie mogłabym ich przyjąć. Naprawdę, nie mogę.

– Czy twoim nowym zamysłem jest pozbawianie mnie przyjemności dawania ci prezentów? - zapytał łagodnie. - Ogromnie radowała mnie świadomość, e zapłaciłem za twoje stroje i kosztowności, mimo e ty nie miałaś pojęcia, i pochodzą ode mnie.

Ośmielona jego wyrozumiałością i dobrym humorem Whitney zadała jedno pytanie, które do tej pory bała się wypowiedzieć:

– Ile zapłaciłeś za mnie mojemu ojcu?

Miły nastrój przysł.

– Jeśli nie chcesz obdarzyć mnie niczym innym - odrzekł Clayton krótko - to przynajmniej daj mi jedno: przestań upierać się z tą głupią determinacją, by widzieć samą siebie jako rzecz, którą kupiłem.

Teraz, gdy wreszcie zadała to pytanie i wywołała gniew księcia, zdecydowanie zaądała odpowiedzi.

– Ile? - powtórzyła uparcie.

Clayton zawahał się, a potem oświadczył lodowatym tonem:

– Sto tysięcy funtów.

Whitney zakręciło się w głowie. W najśmielszych wyobrazeniach nie myślała o takiej sumie. Wieloletni słuący zarabiał tylko trzydzieści lub czterdzieści funtów rocznie. Gdyby ona i Paul skąpili i oszczędzali nawet przez całe życie, nigdy nie zdołaliby spłacić takiej fortuny. Z całego serca łowała swojej ciekawości. Nie chciała popsuć tego wieczoru, który miał być ich pierwszym i ostatnim wspólnym wystąpieniem i z jakiegoś powodu bardzo jej zależało, by nie zakłócić tej uroczystości.

– Byłeś głupcem, drogi panie - powiedziała, za wszelką cenę próbując przywołać trochę poprzedniej wspólnej wesołości.

Clayton cisnął rękawiczki na przeciwległe siedzenie.

– Doprawdy? - zapytał znudzonym i uraonym tonem. - A to dlaczego, madame?

– Poniewa sądzę - odparła zuchwale - e nie powinieneś pozwolić, aby zdarto z ciebie choć o jednego szylinga więcej ni dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy!

Oszłomionym spojrzeniem pobiegł ku jej twarzy i utkwiał wzrok w uśmiechniętych ustach dziewczyny, a potem odchylił głowę i roześmiał się szczerym, gardłowym śmiechem, który rozgrzał serce Whitney.

– Kiedy męczyzna postanawia zdobyć jakiś skarb - przysunął się do niej bliżej - nie sprzecza się o kilka funtów.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, wydłużyła się, a rozbawienie Clayтона z wolna ustąpiło miejsca napięciu. Metalicznie szare oczy męczyzny hipnotyzowały Whitney, gdy Clayton powoli skłonił się nad nią głowę.

– Pragnę cię! - wyszeptał, a potem rozchylił wargami jej usta w głębokim zmysłowym pocałunku,

który sprawił, że zdrętwiała i oblała się rumieńcem.

Rezydencja lorda Rutheforda płonęła światłami, a prowadzący do niej długi podjazd zatłoczony był powozami torującymi sobie drogę do frontowego wejścia, gdzie się zatrzymywały, by pozwolić wysiąść swym olśniewającym pasażerom. Odźwierni z pochodniami wychodzili naprzeciwko demokwipantów, a potem tarasowymi schodami odprowadzali gości do głównych drzwi.

W odpowiednio krótkim czasie Whitney i Clayton zostali wprowadzeni na główne schody przez odzianego w liberię służącego. W środku drugi wziął od nich okrycia, a potem wstąpili na wewnętrzne wyłożone dywanem schody, gdzie na każdym stopniu w wysokich srebrnych stojakach umieszczono ogromne bukiety białych orchidei.

Na wewnętrznej galerii Whitney zatrzymała się, by spojrzeć w dół na salę balową. To mój pierwszy londyński bal, pomyślała. I ostatni. Tłum wydawał się kołysać, gdy damy chodziły tam i z powrotem, śmiejąc się i rozmawiając.

Ogromne

kryształowe

lustrandole

odbijały

oślepiający

kalejdoskop

wielobarwnych sukien, które w nieskończoność mnożyły się w wysokich na dwa piętra lustrzanych ścianach.

– Gotowa? - zapytał Clayton, władczo wsuwając dłoń Whitney w zgięcie swego ramienia i próbując pociągnąć dziewczynę w stronę szerokiego łuku schodów wiodących z galerii ku tłumowi wypełniającemu salę balową.

Whitney, która mimowolnie rozglądała się za Nickim, nagle uświadomiła sobie, że wszyscy w sali balowej zaczynają na nich patrzeć i cofnęła się w pełnej zakłopotania obawie, gdy setki zaciekawionych spojrzeń zwróciło się ku miejscu, gdzie stali. Gwar rozmów zaczął stopniowo słabnąć, a ucichł do szeptów i pomruków, a potem wzbił się do ogłuszającej wysokości. Whitney miała przerażające uczucie, że wszyscy w tej sali albo na nich patrzą, albo o nich rozmawiają. Jakaś kobieta podniosła oczy ku Claytonowi, a potem pośpieszyła, by powiedzieć coś wysokiemu dystygowanemu mężczyźnie, który natychmiast obrócił się, by również na niego spojrzeć, a potem odłączył się od otaczających go ludzi i ruszył w kierunku galerii, na której stali.

– Wszyscy na nas patrzą - szepnęła Whitney lękliwie.

Całkowicie ignorując zamieszanie, które wzbudzał, książkę rzucił gościom szybkie spojrzenie, a potem

skierował wzrok na śliczną, zmieszana twarzyczkę dziewczyny.

– Widzę - zgodził się sucho, gdy ów dystyngowany męczyzna, który, jak domyśliła się Whitney, musiał być panem domu, wszedł na ostatni stopień schodów prowadzących na galerię.

– Clayton! - zawołał ze śmiechem Marcus Rutheford. - Gdzie się, u licha, podziewałeś? Ju zaczynałem wierzyć pogłoskom, e zniknąłeś z

powierzchni ziemi!

Whitney słuchała, jak dwaj męczyźni, którzy najwyraźniej byli bliskimi przyjaciółmi, wymieniali serdeczne słowa powitania. Lord Rutheford był

przystojnym, około trzydziestosiedmioletnim męczyzną o przenikliwych niebieskich oczach, które mówiły o spostrzegawczości. Bez adnego

uprzedzenia te niebieskie oczy przesunęły się po dziewczynie, oglądając ją z uwagą i nieskrywanym podziwem.

– I kim jest, proszę cię, ta zachwycająca istota obok ciebie - za ądał

odpowiedzi. - Czy wolno mi się przedstawić?

Spojrząwszy niepewnie na Claytona, Whitney zdumiała się, widząc, e patrzy na nią z wyrazem przeogromnej dumy.

– Whitney, pozwól, e ci przedstawię mego przyjaciela, lorda Marcusa Rutheforda - odezwał się ksią ę i kierując znaczące spojrzenie na jej dłoń, która była wciąż mocno zaciśnięta w dłoni lorda Rutheforda, dodał: - Marcus, zechciej łaskawie uwolnić rękę mojej przyszłej ony, panny Whitney Stone.

– Whitney? - powtórzył Marcus Rutheford. - Cóż za niezwykle... - Powolny, pełen niedowierzania uśmiech przebiegł po jego twarzy, gdy przerwał w połowie zdania i spojrzał na przyjaciela. -Czy dobrze cię usłyszałem?

Ksią ę potwierdził swe słowa lekkim skinieniem głowy, a zachwycony wzrok lorda Rutheforda powrócił do dziewczyny.

– Proszę ze mną, młoda damo - powiedział, biorąc ją pod rękę. - Jak zapewne pani zauważyła, blisko sześćset osób zgromadzonych na dole a płonie z ciekawości, kim pani jest.

Gdy Clayton zdawał się w pełni zgadzać, by zesła z lordem Ruthefordem, Whitney szybko wzięła sprawy w swoje ręce.

– Lordzie Rutheford - odezwała się, a jej błagalne spojrzenie skierowało się ku Claytonowi - my... my chcielibyśmy przez pewien czas zachować nasz zbli ający się ślub w sekrecie.

Wyglądała na tak strapioną, a ksiąǳę niechętnie zrezygnował z planu przedstawienia jej wszystkim jako swojej narzeczonej.

– Niech to przez jakiś czas pozostanie tajemnicą, Marcusie - powiedział.

– Musisz być szalony - odrzekł lord Rutheford, ale puścił rękę Whitney. - Nie utrzymasz tego skarbu w ukryciu nawet przez jeden dzień. W istocie - dodał, rzucając okiem w kierunku zgromadzonego niżej tłumu, który teraz otwarcie obserwował, co się dzieje na galerii - takiej sensacji nie zachowasz dla siebie nawet przez godzinę. - Zaczekał chwilę, najwyraźniej mając nadzieję, że Clayton da się ubłagać, a potem, odwracając się, by ich zostawić, spytał

przez ramię: - Zachcesz chyba pozwolić, bym podzielił się tym z lady Rutheford? Ju wcześniej zobowiązała mnie, ebym się dowiedział, kim jest piękna młoda kobieta, której towarzyszysz.

Zanim Whitney zdołała zaprotestować, Clayton skinął głową na zgodę. Z

uczuciem zbliżającej się katastrofy zwróciła ku niemu zrozpaczony wzrok.

– Popatrz, co się teraz stanie - jęknęła cicho.

Lord Rutheford pomaszerował prosto do swej rudowłosej małżonki, odciągnął ją na bok i powiedział coś, na co owa dama odwróciła się, by spojrzeć ze zdumieniem i serdecznością na Clayтона i Whitney, błyskając ku nim konspiracyjnym uśmiechem. Dokładnie tak, jak przewidywała dziewczyna, ju po chwili lady Rutheford pośpieszyła do innej damy i pochyliła się, by szepnąć jej coś na ucho. Głowa owej damy obróciła się ku Claytonowi i Whitney, trwając przez chwilę w bezruchu, zanim jej właścicielka uniosła wachlarz i przesunęła się dalej, by przekazać tę wieść kolejnej pani.

– To za wiele jak na sekret! - Zimne przerażenie zdławiło głos Whitney.

Stłumiwszy te słowa, rozglądała się za kimś, by zapytać, gdzie mogłaby się odświeżyć. Zbyt poruszona, by przejmować się, co pomyśli Clayton, umknęła do wskazanego jej pokoju i zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając swego towarzysza stojącego samotnie na galerii.

W oczach jej błyszczało przerażenie, gdy nic nie widząc, patrzyła w swoje odbicie w jednej z lustrzanych ścian. To klęska! Katastrofa! Wszyscy goście na tym balu znali Clayтона; byli jego znajomymi lub przyjaciółmi. W ciągu najbliższych piętnastu minut ka dy z nich się dowie, że ksiąǳę Claymore jest z nią zaręczony, a zanim minie tydzień, zacznie o tym mówić cały Londyn. Kiedy ucieknie z Paulem, zrozumieją, że pogardziła Westmorelandem i umknęła, aby uniknąć tego małżeństwa. Wielki Boże! Zanim to wszystko się skończy, Clayton zostanie publicznie upokorzony. Nie mogłaby mu tego uczynić. A nawet gdyby mogła, bałaby się to zrobić. Gdyby publicznie upokorzyła księcia, jego zemsta spadłaby na nich oboje z druzgocącą siłą. Whitney zdradziła na myśl o nieuchronnej furii Clayтона i jego straszliwej pasji, z jaką zemściłby się na niej i jej rodzinie, a nawet na cioci Annę i wujku Edwardzie.

Stoczyła z sobą surową i zdecydowaną walkę, by zapanować nad rozszalałą trwogą. Nie mogła przecie nadal ukrywać się w tym pokoju niczym jakaś histeryczka i nie mogła wyjść z balu.

Obejmując się ramionami, zaczęła powoli przemierzać szkarłatny dywan, walcząc z paniką i zmuszając się do logicznego i jasnego myślenia. Po pierwsze, przypomniała sobie, Clayton przez całe lata nie palił się do małżeństwa. Gdyby nie oenił się z nią teraz, to czy nie byłoby prawdopodobne, że wszyscy pomyślą, że to Whitney straciła dla niego wszelki urok i księżkę, nie zaś ona, wycofała się ze wszystkiego? Oczywiście, że tak pomyślą... szczególnie gdy odkryją, że Whitney nie ma ani majątku, ani arystokratycznego pochodzenia.

Bolesny skurcz ołładka zaczął ustępować. Po kilku minutach dodatkowego zastanowienia uświadomiła sobie, że skoro Clayton nie zgodził się, by lord Rutheford przedstawił ją jako przyszłą księżkę Claymore, gospodarz balu umniejszył status ich narzeczeństwa do niepotwierdzonej pogłoski. A czy Londyn, podobnie jak Paryż, nie szumiał od pogłosek, o których niebawem zapomniano? Wszak nawet Emily mówiła, że tak właśnie jest. Whitney poczuła się lepiej, znacznie lepiej.

Serce zabiło jej ywiej, gdy sobie przypomniała, że jaką dumą księżkę przedstawiał ją lordowi Ruthefordowi jako swoją narzeczoną. Przez te wszystkie tygodnie nigdy nie wspomniał o uczuciach, i nawet nie okazał, że się nią choć trochę przejmuje, jednak dziś wieczorem wyraz jego twarzy był zupełnie jasny: naprawdę zaleało mu na niej i to bardziej niż trochę. Nie chciała teraz zrewanować się Claytonowi, wprawiając go w zaenowanie. Nie wolno jej zawstydzić go przed londyńskim towarzystwem. Musi przestać trząść się ze strachu i wyjść z tego pokoju. Przynajmniej przez ten jeden wieczór może udawać, że odwzajemnia uczucia księcia.

Podjąwszy tę decyzję, Whitney uspokoiła się i starannie przestudiowała swoje odbicie w lustrze, z którego teraz spoglądała na nią doskonale opanowana młoda kobieta z rezolutnie uniesioną głową.

Zadowolona, sięgnęła do klamki, gdy jakieś damskie głosy zabrzmiały w sąsiednim pokoju, gdzie na małym poślacanym stoliczku między parą pokrytych jedwabiem otomanek ustawiono kieliszki szampana.

– Ma na sobie suknię z Paryża - podkreślała jakaś kobieta.

– Jednak z takim nazwiskiem jak „Whitney Stone” musi być Angielką tak jak my - odrzekła druga, dodając: - Naprawdę wierzysz w tę pogłoskę, że są zaręczeni?

– Absolutnie nie! Gdyby ta dziewczyna miała dość rozumu, aby wymóc na księciu Claymore oświadczenia, to może być pewna, że okazałaby się równie wystarczająco sprytna, aby dopilnować, aby posłał zawiadomienie o tym do „Timesa”. Nie uwierzę, aby Westmoreland wycofał się z zaręczyn, gdyby zostały ogłoszone.

Besztając się w duchu za podsłuchiwanie, Whitney ruszyła do wyjścia, ale przystanęła, gdy drzwi znów się otworzyły i rozległ się trzeci głos.

– Są zaręczeni, może ecie mi wierzyć! - obwieściła zdecydowanie nowo przybyła. - Lawrence i ja właśnie zamieniliśmy kilka słów z jego wysokością i jestem absolutnie przekonana, że to prawda.

– Chcesz powiedzieć - wysapał pierwszy głos - że sam księżkę potwierdził te zaręczyny?



– Nie bądź niemądra. Wiesz, jak szalenie dyskretny jest zawsze Claymore, gdy uwa a, e ktoś usilnie pragnie wścibiać nos w jego sprawy.

– Cóż więc daje ci pewność, e jest z nią zaręczony?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, kiedy Lawrence zapytał, gdzie się poznali, Claymore uśmiechnął się w sposób, który wywołał bardzo znamienne reakcję Vanessy Standfield... pamiętacie, jak Vanessa opowiadała wszystkim, e był

ju bliski oświadczyć o nią, zanim niespodziewanie wyjechał do Francji?

Cóż, teraz nieszczęsna Vanessa wygląda okropnie głupio, bo stało się jasne, e wyjechał do Francji, aby asystować pannie Stone. Przyznał, e spotkał ją tam przed kilkoma laty. Zresztą, kiedy Claymore o niej mówi, wprost promienieje z dumy.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Claymore'a „promieniejącego” - odrzekł

sceptycznie drugi głos.

– Pomyśl o więc o tym jako o błysku w jego oczach.

– W to wierzę - zaśmiał się nieufny głos. - A ta druga rzecz?

– To było spojrzenie, jakie ksią ę rzucił Esterbrookowi, kiedy ten poprosił o przedstawienie go pannie Stone. Wierzcie mi; w wyrazie twarzy jego wysokości było tyle lodu, e nale ałoby posłać Esterbrooka do samego piekła, aby się ogrzał.

Nie mogąc stać tam dłu ej, Whitney otworzyła drzwi. Jakiś tajemniczy uśmiech musnął jej usta i oczy, gdy mijając trzy ra one gromem kobiety, z wdziękiem skłoniła głowę.

Książ ę stał na galerii, dokładnie tam, gdzie go zostawiła, ale otoczony tłumem mę czyzn i kobiet. Mimo to Whitney nie miała adnego kłopotu z dostrze eniem go, gdy był wy szy ni wszyscy inni coście. Właśnie się zastanawiała, czy powinna pozostać tam, gdzie stała, czy udać się w stronę Claytona, gdy podniósł wzrok i ją zobaczył. Bez słowa wyjaśnienia skłonił się tym, którzy go otaczali, i przeszedł z ich kręgu do Whitney.

Kiedy schodzili do sali balowej, muzycy zaczęli grać majestatycznego walca, lecz zamiast do tańca, Clayton powiódł Whitney do niszy, która była częściowo osłonięta przez spływającą z jednej strony zasłonę.

– Nie chcesz tańczyć? - zapytała zdumiona dziewczyna. Roześmiał się i pokręcił przecząco głową.

– Kiedy ostatni raz tańczyliśmy walca, próbowałam zostawić mnie na środku parkietu.

– Bo na nic więcej nie zasłu yłeś - przekomarzała się, starannie ignorując zaciekawione spojrzenia gości.

Weszli do owej niszy i Clayton wziął z tacy stojącej na stoliku dwa kieliszki musującego szampana. Wręczając Whitney jeden, kłaniał się uśmiechniętym gościom, który właśnie się schodzili.

– Odwagi, kochanie - powiedział. - Ju tu są!

Whitney wysączyła zawartość podanego jej kieliszka i sięgnęła po następny.

Dla kura u.

Znajomi księcia podchodzili do owej niszy nieprzerwanym strumieniem, w sześć- i ośmioosobowych grupach, pragnąc się dowiedzieć, gdzie dotąd był

Clayton i zasypując go zaproszeniami. Whitney zaś traktowali w sposób stanowiący połączenie starannie ukrywanych domysłów i nadzwyczajnej serdeczności, chociaż parę razy poczuła zazdrośną niechęć kilku kobiet. I nic dziwnego, pomyślała, uśmiechając się do siebie, gdy z podziwem spoglądała na księcia znad czwartego kieliszka szampana. Był niezwykle przystojny w eleganckim czarnym wieczorowym stroju, który tak doskonale na nim leżał. Bez wątpienia wiele zgromadzonych tutaj pań chciałoby mieć tego męczyznę u swego boku i czerpać satysfakcję z emanującej z niego aury siły i męskiej witalności, a tak e doświadczyć zniewalającego uroku spojrzenia owych zuchwałych szarych oczu.

Kiedy o tym myślała, spojrział na nią w samym środku rozmowy z przyjaciółmi i wtedy Whitney ogarnęły ciepło i szczęście, które nie miały nic wspólnego z wypitym szampanem. Widząc Clayтона takim jak teraz, gdy stał

swobodny i roześmiany między innymi członkami londyńskiego haute ton, którzy go podziwiali i zabiegali o jego przyjaźń, niemal nie mogła uwierzyć, e ten wytworny wyrafinowany arystokrata był tym samym męczyzną, który ścigał się z nią na Niebezpiecznym i rozmawiał o prehistorycznych skałach z jej nudnym wujem.

Kiedy w końcu pozwolono im na chwilę prywatności, Whitney posłała mu zuchwały uśmiech.

– Powiedziałabym, e panuje zgoda co do tego, i prawdopodobnie jestem twoją kochanką.

– Jeśli o to chodzi, mylisz się, moja droga - odrzekł Clayton, rzucając spojrzenie na kolejny pusty kieliszek w jej dłoni. - Jadłaś cokolwiek dziś wieczorem?

– Tak - powiedziała.

Była zaskoczona jego troskliwością, ale zlekcewa yła ją, poniewa znów zabrzmiała muzyka i lord Rutheford - oraz pięciu innych panów - pojawił się przed nią z wyraźnym zamiarem zaproszenia jej do tańca.

Clayton wyszedł za nią z niszy i oparty niedbale o kolumnę, uniósł do ust kieliszek szampana, obserwując, z jakim wdziękiem Whitney zmierza na parkiet. Mogła myśleć, e ci ludzie sądzą, i jest jego kochanką, ale on wiedział, e zrozumieli, i jest jego narzeczoną. Wszyscy pamiętali, e nie miał zwyczaju wpatrywać się tak czule w kobiety, którym towarzyszył na balach, ani podpierać kolumn,

obserwując, jak jego przyjaciółki tańczą z innymi d entelmenami.

Robiąc to teraz, rozmyślnie ogłaszał ich zaręczyny równie wyraźnie i oficjalnie, jakby wydrukowano o tym w „Timesie”.

Stało się coś, co mu się wymknęło spod kontroli i właśnie dlatego tak wa ne było dlań, by tego wieczoru przedstawił Whitney jako swoją przyszłą onę.

Wmawiał sobie, i czyni to dlatego, e nie chce, aby Esterbrook i inni ją adorowali, ale było to coś więcej. Miał ją we krwi. Uśmiech Whitney ogrzewał

mu serce, a jej najniewinniejszy dotyk budził w nim po ądanie. Była w niej prowokacyjna zmysłowość, naturalne, nieudawane wyrafinowanie i radosna spontaniczność, która przyciągała mę czyzn, a Clayton chciał, aby wszyscy dowiedzieli się tu i teraz, e Whitney nale y tylko do niego.

Obserwując ją, wędrował myślą ku mającej niebawem nadejść nocy, gdy ten wspaniały płaszcz lśniących ciemnych włosów opadnie na jej nagie piersi, a jedwabiste ciało będzie się zwijać w słodkiej ekstazie pod jego ciałem. W

przeszłości wolał kobiety doświadczone w sztuce uprawiania miłości; gorące, namiętne istoty, które wiedziały, jak dawać rozkosz i jak ją brać; kobiety, które przyznawały się do po ądania przed sobą i przed nim. Ale teraz sprawiało mu niewysłowioną przyjemność, e Whitney jest niedoświadczoną dziewczicą. W

istocie wręcz sprawiało mu rozkosz wyobra anie sobie ich poślubnej nocy, gdy delikatnie i czule zmieni ją z dziewczyny w kobietę, a będzie jęczała z ekstazy w jego ramionach.

Trzy godziny później Whitney tańczyła z większą liczbą mę czyzn, ni mogła ich zapamiętać, i wypła więcej szampana ni w całym swoim yciu.

Czuła się wesoło, bezgranicznie beztrosko... tak bardzo beztrosko, e nawet niezadowolone oblicze księcia, gdy zgodziła się na drugi taniec z lordem Esterbrookiem, nie zepsuło jej humoru. W rzeczywistości była całkiem pewna, e tego wieczoru nic nie zdoła zepsuć jej zabawy, dopóki nie rzuciła okiem na Claytona przez ramię swego partnera i nie zobaczyła, e pierwszy raz na tym balu ksią ę tańczy z kimś innym ni z nią. Młoda kobieta w ramionach Claytona, której oczy śmiały się ku niemu, była piękną blondynką o pociągających kształtach i miała na sobie wspaniałą szafirowoblękitną suknię oraz szafiry i brylanty wplecione w lśniące loki. Whitney poczuła dotkliwe ukłucie zazdrości.

– Nazywa się Vanessa Standfield - oznajmił jej lord Esterbrook z nutką złośliwej satysfakcji w głosie.

– Stanowią zachwycającą parę - zdołała odpowiedzieć Whitney.

– Vanessa z pewnością te tak sądzi - zauwa ył Esterbrook.

Whitney zachmurzyła się, przypominając sobie zasłyszana wcześniej rozmowę między trzema

damami w pokoju na piętrze. Vanessa Standfield oczekiwała oświadczyn księcia tu przed jego wyjazdem do Francji. Bez wątpienia Clayton dał jej ku temu wiele powodów, pomyślała Whitney, czując świe e ukłucie bolesnej zazdrości, gdy zobaczyła, jak uśmiecha się do tej olśniewającej blondynki. Ale potem przypomniała sobie, e oświadczył się o nią, a nie o Vanessę Standfield, i z przyływem dobrego humoru znów poczuła się wręcz cudownie.

– Panna Standfield jest bardzo piękna - powiedziała.

Brwi Esterbrooka uniosły się w wyrazie rozbawionego szyderstwa.

– Vanessa nie była tak uprzejma, gdy przed kilkoma miesiącami usłyszała o pani, panno Stone. Poza tym jest najzupełniej przekonana, e wymusiła pani oświadczyn na księciu Claymore. Wymusiła je pani? - zapytał nagle.

Whitney była tak oszołomiona jego gigantyczną bezczelnością, e nawet nie zamierzała wpadać w gniew. W jej oczach zajaśniała wesołość.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by ktokolwiek zdołał coś „wymusić” na jego wysokości, a pan?

– Och, niech e pani da spokój - rzucił Esterbrook z rozdra nieniem - nie jestem a tak naiwny, by sądzić, e nie zrozumiała pani mojego pytania.

– Ja zaś - odparła Whitney spokojnie - nie jestem a tak naiwna, by sądzić, e muszę na nie odpowiadać.

Z wyjątkiem lorda Esterbrooka wszyscy inni jej partnerzy byli bardzo grzeczni i czarujący, ale taniec i o ywiona konwersacja w końcu zaczęły ją nu yć. Zauwa yła z zaskoczeniem, e tęskni za tym, aby znaleźć się u boku Claytona. Dziękując aktualnemu partnerowi za prośbę o następny taniec, poprosiła, by odprowadził ją do księcia.

Clayton jak zwykle otoczony był tłumem znajomych, lecz nie przerywając rozmowy, zdecydowanie wziął Whitney za rękę, wciągnął w krąg przyjaciół i przytrzymał blisko siebie. Ten zwykły gest posiadacza dał Whitney poczucie euforycznego zadowolenia... podobnie jak następne dwa kieliszki szampana.

– Co się stało Esterbrookowi? - zapytał ksią ę oschłym tonem po chwili. -

Sądziłem, e poprosi cię o trzeci taniec.

Whitney zmru yła oczy.

– Poprosił. Ale odmówiłam.

– Chcąc uniknąć plotek?

Nieświadomie prowokacyjny uśmiech pojawił się na jej wargach, gdy pokręciła głową, by zaprzeczyć.

– Odmówiłam, gdy wiedziałam, e nie chcesz, ebym tańczyła z nim ostatni taniec, a byłam całkiem pewna, i gdybym to zrobiła, ty zrewan owałbyś mi się tańcem z panną Standfield.

– To dobrze świadczy o twojej przenikliwości - cicho wyraził jej uznanie.

– I równie dobrze o twojej przekorze - odparła ze śmiechem Whitney. I dopiero wtedy uświadomiła sobie, e właśnie przyznała się, i jest zazdrosna.

– Cherie... - Głęboki śmiech Nicolasa sprawił, e odwróciła się w radosnym zdumieniu. - Teraz postanowiłaś podbić Londyn tak jak wcześniej zawojowałaś Pary ?

– Nicki! - odetchnęła, rozpromieniając się na widok jego przystojnej twarzy, która od tak dawna była jej tak droga. - Jak to cudownie widzieć cię znowu! -

powiedziała, gdy ujął jej dłonie w swoje i trzymał w znanym ciepłym uścisku. - Pytałam lorda Rutheforda, czy tu jesteś, ale powiedział, e opóźniłeś wyjazd z Pary a i zapewne przyjedziesz dopiero jutro.

– Przyjechałem przed godziną.

Whitney obróciła się do Claytona, zamierzając przedstawić mu przyjaciela, ale najwyraźniej ju się kiedyś poznali.

– Claymore, czy nie? - Nicki przerwał dokonywaną przez nią prezentację, a jego ciemne oczy spoglądały na Claytona krytycznie.

Odpowiedzią księcia było równie chłodne skinienie głowy oraz impertynencki uśmiech, który, jak sądziła Whitney, miał albo zdenerwować, albo upokorzyć Nickiego. Nigdy wcześniej nie widziała, by jakiś męczyzna zachowywał się w podobny sposób wobec drugiego, tote poczuła nagle pragnienie, aby się gdzieś schronić. Równie silny okazał się wywołany szampanem nagły odruch wyśmiania owej męskiej wrogości, którą w pewnym sensie sama sprowokowała.

– Zatańcz ze mną - powiedział Nicki, arogancko ignorując zasady dobrego tonu, wymagające, by najpierw zapytał jej towarzysza, czy nie ma nic przeciwko temu.

Poniewa przyjaciel ju niemal ciągnął ją ze sobą na parkiet, bezradnie spojrzała przez ramię na Claytona.

– Zechcesz nam wybaczyć, proszę? - zapytała.

– Naturalnie - padła szybka odpowiedź.

Twarz Nickiego stę ała z dezaprobaty w chwili, gdy wziął Whitney w ramiona.

– Co tu robisz z księciem Claymore'em? - domagał się odpowiedzi i zanim zdołała jej udzielić, powiedział - Cherie, ten człowiek jest... jest...

– Próbujesz mi powiedzieć, e jest przera ającym łotrem, jeśli chodzi o kobiety? - zapytała Whitney, tłumiąc wesołość, a kiedy Nicolas krótko skinął

głową, artobliwie mówiła dalej: - I e jest nieco arogancki, nieprawda ? A tak e bardzo przystojny i czarujący? - Oczy jej partnera zwięziły się z irytacji, a Whitney nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - Och, Nicki, on jest bardzo podobny do ciebie!

– Z pewną wa ną ró nica - sprzeciwił się jej przyjaciel. - A owa ró nica sprowadza się do tego, e to ja się z tobą o enię!

Whitney, chichocząc, niemal zasłoniła mu dłonią usta.

– Nie mów mi tego, Nicki. Nie tutaj i nie teraz. Nie uwierzyłbyś, jaki tłok panuje teraz wokół mnie!

– To wcale nie jest śmieszne - odpowiedział ostro. Whitney starała się zachować powagę.

– Nikt nie wie tego lepiej ni ja.

W milczeniu badawczo przyglądał się jej rozplomienionej twarzy.

– Zamierzam zatrzymać się w Londynie - obwieścił. - Mam tutaj sprawy, które mogę załatwić, będąc z wizytą u przyjaciół. Ty zaś przysłałaś mi wiadomość, e w ciągu najbliższych dwóch tygodni masz jakieś zobowiązania towarzyskie. Mo e więc pod koniec tych dwóch tygodni ponownie porozmawiamy o mał eństwie... gdy będziesz w lepszym do tego nastroju.

Wahając się między przera eniem a wesołością, Whitney nie zaprotestowała i pozwoliła Nickiemu odprowadzić się do księcia. Sięgnęła po kolejny kieliszek szampana i z rozbawieniem zastanawiała się nad swoją kłopotliwą sytuacją, która robiła się coraz bardziej skomplikowana i niebezpieczna.

Clayton kazał sprowadzić swój powóz, po czym wziął ją w ramiona do ostatniego tańca.

– Co cię tak rozbawiło, maleńka? - zapytał z uśmiechem, trzymając ją bli ej, ni wypadało.

– Och, wszystko! - Whitney się roześmiała. - Na przykład, kiedy byłam małą dziewczynką, wierzyłam niezbitcie, e nikt nigdy nie zechce się ze mną o enić. A teraz chce to zrobić Paul... Nicki również tak twierdzi... no i oczywiście ty tak e... - Po chwilowym namyśle dodała spontanicznie: - Ja zaś chciałabym poślubić was wszystkich, bo wszyscy jesteście bardzo mili! -

Zerknęła na niego spod długich rzęs i zapytała prawie z nadzieją: - Nie przypuszczam, ebyś był chociaż trochę zazdrosny, prawda?

Popatrzył na nią uwa nie.

– A powinienem?

– W rzeczy samej, powinien eś - odrzekła wesoło. - Jeśli nie z jakiegoś innego powodu, to chociaż po to, by pochlebić mej pró ności, gdy ja byłam zazdrosna, kiedy tańczyłaś z panną Stanfield. -

Pociągnęła nosem, a potem zniżyła głos do najniższego szeptu: - Jako mała dziewczynka miałam piegi

-

wyznała.

- Z pewnością nie! - odrzekł w udawanym szoku.

- Ale tak, tysiące! Tutaj! - Wąskim paznokciem wskazała okolicę nosa i niemal wyklęła sobie palcem oko.

Clayton parsknął gardłowym śmiechem, gdy szybko przytrzymał jej rękę, by przed podobnym niebezpieczeństwem uchronić drugie oko Whitney.

- Poza tym - mówiła dalej tonem osoby wyznającej jakiś straszny postęp -

zwieszałam się z gałęzi drzew głową na dół. Wszystkie inne dziewczynki marzyły, e są księżniczkami, a ja udawałam, e jestem małpą... - Odchyliła głowę do tyłu, spodziewając się, i na twarzy księcia zobaczy potępienie, ale uśmiechał się tak jakby była najbardziej niezwykłą i najwspanialszą kobietą na świecie. -Cudownie się dziś bawię - wyznała cicho niemal zahipnotyzowana tkliwością, jaką dostrzegła w jego oczach.

Godzinę później, westchnąwszy z ukontentowania, wtuliła się głębiej w obite burgundowym aksamitem siedzenia powozu Clayтона, słuchając miarowego stukotu końskich kopyt o brukowane kocimi łbami, osnute mgłą ulice Londynu.

Na próbę zamknęła oczy, ale zawrót głowy kazał jej unieść powieki. Skupiła więc wzrok na słabym ółtym świetle latarni powozu, które wywoływały cienie tańczące w jego przytulnym wnętrzu.

- Szampan to bardzo dobra rzecz - mruknęła.

- Jutro będziesz innego zdania. - Clayton roześmiał się, obejmując ją ramieniem.

Ściskając rękę księcia, by pomóc sobie utrzymać kruchą równowagę, Whitney weszła razem z Claytonem na schody wiodące do frontowych drzwi londyńskiej rezydencji Archibaldów i uniosła twarz ku niebu, na którym wschodziło właśnie słońce. Gdy jej towarzysz zatrzymał się u drzwi, uświadomiła sobie, e najwyraźniej na coś czeka i przeniosła spojrzenie z nieba na jego twarz. Zmrużyła oczy i ze śmiechem przysunęła się ku niemu, a potem wyprostowała dumnie.

- Sądzisz, e za du o wypięłam? - zapytała tonem ura onej godności.

- Ani trochę. Mam nadzieję, e masz klucz.

- Klucz? - powtórzyła niezbyt przytomnie.

- Do tych drzwi...

- Och, tak - odrzekła dumnie.

Po kilku minutach bezowocnego oczekiwania Clayton się roześmiał.

– Mo esz mi go dać?

– - Co? - zapytała Whitney, desperacko starając się skoncentrować. - Och, tak, oczywiście, klucz... - Rozglądała się, próbując sobie przypomnieć, gdzie zostawiła małą elegancką torebkę w kształcie woreczka i dostrzegła wreszcie, i zwisa z jej lewego ramienia, zawieszona na krótkim złotym łańcuszku. Uśmiechając się krzywo do samej siebie, mruknęła: - Damy nie noszą w ten sposób balowych torebek. - Po czym otworzyła woreczek i długo szperała

w

środku,

zanim

wreszcie

znalazła

klucz.

W ciemnym holu odwróciła się gwałtownie, by życzyć księciu dobrej nocy, lecz źle oceniwszy dzielącą ich odległość, zderzyła się z jego torsem. Silne ramię Clayтона otoczyło ją i mocno przytrzymało. Mogła się odsunąć, ale stała z sercem zaczynającym wręcz walić, gdy spojrzenie jego szarych oczu ześlizgnęło się ku jej ustom, wędrując po nich nieskończenie długo. A wreszcie pochylił głowę.

Wargi Clayтона śmiało otworzyły jej usta, jego dłonie zaś ześlizgnęły się na jej plecy, a potem na biodra i mocno przycisnęły Whitney do muskularnego ciała. Zesztywniała z trwogi, lecz potem nagle zarzuciła mu ręce na szyję i bezwstydnie oddała pocałunek, ciesząc się dotykiem jego języka, który powoli wycofywał się i zagłębiał znowu w jej ustach, czyniąc to tak sugestywnie, e czuła, jakby całe ciało tego męczyzny zagłębiało się w jej ciele.

Odsunęła się wreszcie, ale była rozczarowana, e puścił ją tak chętnie. Biorąc długi, niepewny oddech, otworzyła oczy i zobaczyła spoglądających na nią dwóch Claytonów; w wirującym przed nią obrazie jeden nakładał się na drugiego.

– Robi pan szokujące postępy, sir - oświadczyła surowo, a potem zachichotała.

Roześmiał się równie , bez skruchy.

– To zrozumiałe, skoro dzisiejszej nocy moje zaloty wydały ci się mniej odpychające.

Whitney zamyśliła się nad tą kwestią z mglistym uśmiechem.



– Przypuszczam, e to prawda - wyznała szeptem - i dowiedz się czegoś jeszcze... jestem przekonana, e całujesz równie dobrze jak Paul! - Z tym dwuznacznym komplementem odwróciła się i ruszyła ku schodom. Na drugim stopniu przystanęła, aby się zastanowić. - W istocie - wyjaśniła, spoglądając na Claytona przez ramię - myślę, e całujesz równie dobrze jak on, ale nie będę tego absolutnie pewna, dopóki nie wróci. Kiedy wróci, poproszę, eby pocałował mnie w taki sposób jak ty, abym mogła dokonać bardziej obiektywnego porównania - powiedziała i w przystępie olśnienia dodała: - Przeprowadzę naukowy eksperyment!

– Niczego nie przeprowadzisz! - Książkę na poły warknął, na poły się roześmiał.

Uniosła delikatne brwi, przyjmując wyzwanie.

– Oczywiście, e przeprowadzę, jeśli tylko zechcę.

Mocny klaps wylądował poufale na jej pupie. Whitney odwróciła się, machając szeroko ramieniem z wyraźnym zamiarem uderzenia bezczelnego aroganta w roześmianą twarz. Niestety, cel się uchylił i ręka dziewczyny uderzyła w ścianę klatki schodowej, strącając mały obraz, który z trzaskiem spadł na wypolerowaną podłogę.

– Spójrz, co zrobiłeś! - syknęła niesprawiedliwie. - Obudzisz cały dom! -

zawołała i odwróciwszy się, zirytowana weszła na schody.

\* \* \*

Trzej słuchający państwa Archibaldów stali przy kredensie, na którym ustawiono parujące tace ze smażonymi jajkami, szynką, bekonem, cienkimi plasterkami polędwicy, świeżymi, chrupiącymi rogalikami, trzema rodzajami ziemniaków i kilkoma innymi apetycznymi daniami, które Emily poleciła przygotować, po rozważeniu tego, co należało podać człowiekowi tak wysokiego pochodzenia jak książkę Claymore. Czekali, a Whitney zjeżdżała na dół, by zjeść z nimi śniadanie, na które zaprosili Claytona, ponieważ tego dnia miał odwiedzić ją do domu. Mieszając herbatę, Emily ukradkiem przyglądała się gościowi, który rozmawiał przez stół z Michaelem, choć jednocześnie jej myśli zaprzętała wizją zbliżającego się dnia, gdy przyjaciółka zostanie księżną Claymore.

– Zdaje się, e nasz gość zamierza przespać cały dzień - zauważył Michael.

Emily dostrzegła znaczące spojrzenie, które książkę skierował w stronę jej męża, pytając:

– Czy by odczuwała skutki wczorajszego wieczoru?

– Nie miałam pojęcia, e może być chora! - wykrzyknęła Emily - Pójdę na górę i zajmę się nią.

– Nie, nie - jęknęła Whitney, stając za nimi - Ja... ju jestem.

Na dźwięk jej ochryplego głosu wszyscy troje odwrócili się jednocześnie.

Stała w drzwiach, opierając się o framugę, jakby nie mogła utrzymać się na nogach. Zatrwo ona

Emily odsunęła swoje krzesło, ale ksią ę ju zerwał się z miejsca i przebiegł jadalnię.

Wyrozumiały uśmiech błysnął w jego oczach, gdy uwa nie wpatrywał się w bladą twarz dziewczyny.

– Jak się czujesz, maleńka? - zapytał.

– A jak myślisz? - szepnęła, patrząc na niego udręczonym oskarżycielskim wzrokiem.

– Poczujesz się lepiej, kiedy zjesz śniadanie - zapewnił, biorąc ją pod rękę, by zaprowadzić do stołu.

– Nie -jęknęła Whitney. - Ja chcę umrzeć...

## Rozdział 22

Wciąż była jeszcze o tym na poły przekonana, gdy ich powóz ruszył sprzed londyńskiej rezydencji Archibaldów.

– Wiesz - szepnęła udręczona - nigdy nie lubiłam szampana. Clayton objął

Whitney jedną ręką i śmiejąc się ukradkiem, położył sobie głowę dziewczyny na ramieniu.

– Jestem raczej zaskoczony, słysząc te słowa - powiedział artobliwie.

Westchnęła i zamknęła oczy. Spała, a dojechali niemal do jej domu, od czasu do czasu chwytając Clayтона za rękę, gdy powóz podskoczył gwałtownie.

Obudziła się w pełni wypoczęta i bardzo zawstydzona.

– Nie byłam dobrą towarzyszką podróży - przeprosiła księcia, uśmiechając się ze smutkiem. - Gdybyś miał ochotę przyjść na kolację...

– Muszę dziś wieczorem wrócić do Londynu - przerwał jej w pół zdania.

– Dziś wieczorem - powtórzyła, siadając wyprostowana. - Jak długo cię nie będzie?

– Tydzień.

W łóżkach Whitney zaczęło pulsować napięcie, więc szybko odwróciła twarz od księcia. Gdyby Clayton był w Londynie, ona i Paul mogliby uciec do Szkocji bez obawy, e dowie się o ich ucieczkę na tyle wcześnie, by wyruszyć za nimi.

Jego wyjazd do Londynu był rozwiązaniem szczęśliwszym niż wszystko, czego mogła się spodziewać. To był dar losu! Prawdziwe błogosławieństwo!

To była katastrofa.

Ułga, którą poczuła przed chwilą Whitney, zmieniła się w przerażenie, a w głowie zaczęło jej huczeć z nową siłą. Dobry Boże, Clayton wraca do Londynu!

Wzorem wszystkich d entelmenów wieczory prawdopodobnie spędzać będzie w klubach, jedząc tam kolację i grając w karty z przyjaciółmi i znajomymi. W

owych miejscach na pewno znajdą się mę czyźni, którzy uczestniczyli w balu u lorda Rutheforda i słyszeli pogłoskę o ich zaręczynach. W klubowej atmosferze swobodnego kole eństwa przyjaciele naturalnie będą nalegać, aby potwierdził

lub zdementował tę wiadomość, a Whitney ju sobie wyobra ała, jak Clayton, śmiejąc się, mówi, e to prawda. Jeśli zaś to powie, wyjdzie na głupca, kiedy ona ucieknie z Paulem.

Pogrą ona w rozpacz, mocno zacisnęła powieki. Bojąc się zemsty Claytona, która teraz byłaby znacznie straszliwsza, gdy zostałby upokorzony publicznie, Whitney jeszcze bardziej lękała się tego, i właśnie ona stanie się przyczyną owego publicznego upokorzenia. Nie mogła znieść myśli, e ten dumny mę czyzna będzie obiektem szyderstwa i współczucia londyńskiego towarzystwa. Niczym na to nie zasłu ył. Ostatniej nocy widziała, jakim szacunkiem i podziwem darzyli go zebrani na balu. Teraz, z jej powodu, będzie przed wszystkimi upokorzony.

Whitney zacisnęła wilgotne dłonie na kolanach. Mo e zdoła zapobiec publicznemu skandalowi. Paul miał wrócić jutro. Gdyby uciekli jutrzejszej nocy, mogłaby niemal natychmiast powiadomić o tym Claytona przebywającego w Londynie, a im szybciej ksią ę dowie się o ich ucieczce, tym mniejszej liczbie znajomych powie, e się jej oświadczył.

Naturalnie, jej list nie powinien dotrzeć do adresata zbyt wcześnie, bo Clayton mógłby ruszyć w pościg. Czas, pomyślała ze ściśniętym gardłem, będzie miał zasadnicze znaczenie. Bez względu na to, jak zmęczony podró ą oka e się Paul, muszą wyjechać niemal natychmiast po jego powrocie. Kiedy tylko Clayton dowie się o tym, nie będzie nikomu opowiadał, e jest z nią zaręczony. Skwituje pogłoskę o zaręczynach drwiącym uśmiechem i po prostu pojawi się na kilku publicznych uroczystościach z jedną z owych pięknych kobiet, które się za nim uganiały. I o to chodzi! Wszyscy uwierzą, e jego zaręczyny z niemającą ani majątku, ani tytułu zwyczajną Whitney Stone były jedynie artem, zgoła niedorzeczną plotką.

Paul. Serce zabiło jej mocniej na myśl o powiadomieniu go, e muszą uciekać. Nie zechce tego zrobić; będzie zatroskany skazą na jej reputacji, którą taka ucieczka spowoduje. Wydawał się taki szczęśliwy w ów wieczór urodzin jej ojca, kiedy opowiadał o planach dotyczących ich wspólnego ycia, o rozbudowie domu i ulepszeniach, które sprawią jej przyjemność.

Dłoń Claytona ujęła jej podbródek i Whitney podskoczyła nerwowo.

– Kiedy wróci Paul Sevarin - odezwał się tonem niedopuszczającym adnej dyskusji - masz mu natychmiast powiedzieć, e za niego nie wyjdiesz. Nie ycę sobie, by ludzie sądzili, i moja przyszła ona była zaręczona z innym mę czyzną. Podaj Sevarinowi wszelki powód, jaki sobie yczysz, dlaczego odrzucasz jego oświadczyzny, ale powiedz mu to natychmiast. Czy to rozumiałe?

– Tak - wyszeptała Whitney.

Clayton obdarzył ją długim, przenikliwym spojrzeniem.

– Chcę mieć na to twoje słowo.

– Ja... - Whitney z trudem przełknęła ślinę, głęboko poruszona, e ufał jej honorowi równie mocno jak własnemu. Spojrzała na niego, czując się po prostu nikczemnie na myśl, e zawiedzie jego zaufanie. - Daję ci słowo.

Clayton złagodniał i spoglądał na nią teraz wręcz tkliwie.

– Wiem, jak trudno będzie ci z nim rozmawiać, maleńka. Obiecuję, e pewnego dnia ci to wynagrodzę. - Łzy paliły ją w oczach, a gardło zacisnęło się, gdy czule przesuwał dłoń po jej policzku, zapytał cicho: - Wybaczysz mi?

Wybaczyć jemu? Przez chwilę walczyły w niej sprzeczne uczucia, w istocie pragnęła nawet paść w silne ramiona Clayтона i wypłakać swój ból. Zamiast tego jednak skinęła tylko głową i spojrzała na niego, próbując zapamiętać tę urodziwą twarz tak, jak wyglądała teraz, gdy wiedziała, e jeśli kiedykolwiek zobaczy znowu tego męża, na jego obliczu będzie się malować jedynie czysta nienawiść.

Wjechali na drogę wiodącą do domu Stone'ów i Whitney w odrętwieniu wciągała rękawiczki.

– Dlaczego wracasz do Londynu tak szybko? - zapytała, gdy zbliżał się czas ostatniego, bolesnego poegnania.

– Ponieważ dziś rano spotkałem się z moimi plenipotentami i po rozmowach z kilkoma osobami muszę podjąć parę decyzji. To jedynie sprawa wyboru najlepszego zainwestowania dość dużej sumy pieniędzy - wyjaśnił i dodał z uśmiechem: - Wbrew plotkom, jakie słyszałaś o mnie na urodzinowym przyjęciu swego ojca, nie wiodę życia leniwego rozpustnika. Mam siedem posiadłości, tysiąc dzierżawców i setki obowiązków, które cierpią z powodu braku mojej uwagi, jaką poświęcam niemal wyłącznie tobie, kochanie.

Powóz podjechał przed dom i słuchający wyszedł, by otworzyć drzwiczki i wysunąć schodki. Whitney już zwróciła się ku drzwiczkom, gdy zatrzymał ją głos Clayтона.

– Moje interesy nie wymagają, bym pozostawał w Londynie tak długo, ale pomyślałem, e chciałabym spędzić trochę czasu w samotności po spotkaniu z Sevarinem. Jeśli nie przyslesz mi wiadomości do Londynu, pozostanę tam do soboty... od jutra przez tydzień.

Kiedy mówił, jak go znaleźć w Londynie, Whitney usłyszała w jego głosie nadzieję, e istotnie póśle po niego, zanim tydzień dobiegnie końca. Położyła drżąca dłoń na ręce Clayтона, jak gdyby prosząc tym gestem o wybaczenie i wyrozumiałość.

– Clayton, ja... - Zobaczyła, jaką przyjemność sprawił mu ten jej dobrowolny odruch serdeczności oraz to, e zwróciła się do niego po imieniu, i głos jej się załamał. - To była wspaniała podróż. - Tylko tyle zdołała wykrztusić, a potem odsunęła się i na oślep wyskoczyła z powozu.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, wysłała list do Paula z poleceniem, by bez względu na porę powrotu pana, natychmiast mu go przekazano. W liście tym prosiła Paula, by przysłał jej wiadomość,

e ju wrócił, a potem zjawił się w chacie starego leśniczego. Tam, pomyślała, znajdzie odrobinę prywatności, by wyjaśnić ukochanemu swoją sytuację. Wyjaśnić sytuację! Jakie znajdzie słowa, by to zrobić, zastanawiała się w udręce?

A do zapadnięcia nocy wciąż nie było wiadomości od Paula.

Dwukrotnie ju niemal wychodziła do holu, by powiedzieć o swych planach cioci, ale ka dorazowo zdrowy rozsądek ostrzegał ją, e lady Annę nie zgodzi się na tę ucieczkę bez względu na powody, jakimi kierowała się Whitney. Ciocia Annę myślałaby jedynie o nieodwracalnej szkodzie, jaką ucieczka wyrządziłaby reputacji dziewczyny. Nigdy nie zrozumiałaby, e Whitney nie mo e, po prostu nie mo e kazać Paulowi odejść, nawet gdyby chciała... a nie chciała, co tłumaczyła sobie bez większego przekonania. Kochał ją. Wierzył w nią.

Poniewa Clarissie równie nie mogła powierzyć swego sekretu, sama powoli spakowała niezbędne rzeczy i ukryła sakwoja , a potem wskoczyła do łó ka i wpatrywała się w sufit. Ze wszystkich niemiłych zadań, które miała przed sobą, najbardziej obawiała się napisania listu, jaki będzie musiała wysłać do Clayтона w Londynie.

Układała i przerabiała go w pamięci. Dręczyło ją to tak, e w końcu postanowiła wstać, by uporać się z tym obowiązkiem, i zwłokła się z łó ka.

Paul i ja uciekamy - napisała. -Mam nadzieję, e pewnego dnia zechcesz mi jeśli nie wybaczyć, to przynajmniej zrozumieć.

Wybaczyć? Zrozumieć? Clayton nigdy tego nie robi. Siedziała przy sekretarzyku i wpatrywała się w zapisaną kartkę, wyobra ając sobie reakcję księcia. Najpierw się uśmiechnie, sądząc, e przysłała list, eby wrócił

wcześniej, a potem jego uśmiech zniknie...

Dr ąc, jakby ju przeszył ją promień zimnych szarych oczu mę czyzny, Whitney z powrotem wsunęła się do łó ka i skuliła pod kołdrą. Nie była pewna, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by uciec, ani nawet czy naprawdę chce uciekać.

Łzy, które spłynęły jej po policzkach, zrosiły poduszkę, gdy myślała o owym wysokim, szarookim mę czyźnie, któremu będzie musiała stawić czoło po powrocie... silnemu, potę nemu mę czyźnie, który odwróci się od niej z pogardą i odrazą, który ju nigdy nie będzie z nią się przekomarzał, nigdy nie weźmie jej w mocne ramiona, i ju nigdy w ten swój tkliwy sposób nie nazwie jej

„maleńką”.

Wiadomość od Paula przysła następnego ranka o jedenastej. Ubrana ciepło na spotkanie przenikliwego chłodu owego pochmurnego dnia, Whitney dosiadła Khana i objechawszy wzgórze, pogalopowała do opuszczonej chaty leśnika.

Przywiązała wierzchowca obok konia Paula, a potem otworzyła skrzypiące drzwi. Niewielki ogień,

który rozpałił Paul, trzaskał i migotał w kominku, ale nie rozproszył chłodnego mroku pustej izby. Coś poruszyło się za jej plecami.

– Paul! - Odwróciła się nerwowo.

– Jestem przekonany, e spodziewałaś się właśnie mnie. - Wyprostował się i szeroko otworzył ramiona. - Chodź tu.

Whitney podeszła do niego, odruchowo nadstawiając twarz do pocałunku, a jednocześnie jej umysł próbował wybrać najwłaściwszy sposób rozpoczęcia rozmowy.

– Tęskniłem za tobą, moja kochana - wymruczał w jej włosy. -A ty tęskniłaś za mną?

– Tak - odrzekła, wysuwając się z jego ramion. Musiała wszystko wyjaśnić powoli, aby nie zrzucić nań wszystkich skomplikowanych problemów ju w pierwszej chwili. Ruszyła na środek izby, a potem odwróciła się twarzą do Paula. - Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy, które wydadzą ci się -

szaleńczo szukała właściwego słowa - zaskakujące.

– Mów - ponaglał ją Paul. - Lubię niespodzianki.

– Cóż , ta ci się nie spodoba! - odparła bezradnie. - Znasz pana Westlanda?

Paul pokiwał głową twierdząco.

– I przypominasz sobie, jak na urodzinowym przyjęciu mojego ojca wszyscy plotkowali o księciu Claymore, Claytonie Westmorelandzie?

– Tak, pamiętam - powiedział.

– No więc pan Westland w rzeczywistości jest księciem Westmorelandem!

– Tym, który nagle zniknął? - zapytał Paul z wyrazem rozbawienia, zdumienia i niedowierzania. - Tym, który ma pięćdziesiąt posiadłości, czterysta najlepszych koni w Europie i który, jeśli dobrze zapamiętałem te plotki, bliski był o enku z co najmniej pięćdziesięcioma pięknosciami? Tym księciem?

– W istocie ma tylko siedem posiadłości - odrzekła Whitney, na chwilę oderwana od głównego wątku. - Mo e i trzyma czterysta koni, nie wiem. Ale wiem, e jest bliski o enku tylko z jedną kobietą. Paul - ciągnęła łagodnie, choć głos dr ał jej z napięcia - wiem, e wyda ci się to... jak mówiłam na początku... niepokojące, ale to ja jestem ową kobietą, z którą ksią ę zamierza się o enić.

Parsknął śmiechem i podszedł, by wziąć ją w ramiona.

– Jeśli będzie się upierał przy oświadczeniach - artował, przesuując kciukiem po policzku Whitney - opowiem mu, co właśnie odkryłem: e kiedy pozostawić cię bez nale ytego dozoru, popijasz w kuchni sherry.

– Sugerujesz, e jestem wstawiona? - Nie wierzyła własnym uszom.

– Pijana jak bela - zakpił, a potem się opanował. - Nie próbuj wzbudzać we mnie zazdrości. Jeśli jesteś zła, bo nie było mnie tak długo, to po prostu powiedz.

Z uczuciem rozgoryczenia odsunęła się do tyłu i tupnęła nogą.

– Nie próbuję wzbudzać w tobie zazdrości! Staram się sprawić, abys zrozumiał, e jestem zaręczona z Claytonem Westmorelandem od lipca! -

Wreszcie to powiedziała.

– Słucham, co takiego? - spytał, wpatrując się w nią, zdumiony Paul.

– Wydaje mi się, e to było właśnie w lipcu - chaotycznie tłumaczyła Whitney.

- Sądysz, e to wa ne?

Paul pierwszy raz spojrział na nią powa nie.

– Przyjęłaś Westlanda?

– Nie Westlanda, ale Westmorelanda - poprawiła go - i nie ja go przyjąłem, lecz mój ojciec.

– To powiedz swojemu ojcu, eby go poślubił - odparł zdecydowanie. -

Kochasz mnie, to proste. - Jego niebieskie, zmru one teraz oczy patrzyły na nią z irytacją. - Próbujesz uprawiać ze mną jakieś gierki, a to mi się nie podoba. Wszystko, co mówisz, nie ma sensu.

– Nic na to nie poradzę - odpowiedziała stanowczo. - To prawda.

– Zechciej więc uprzejmie wyjaśnić mi, jak to się stało, e od lipca jesteś zaręczona z mę czyzną, którego poznałaś dopiero we wrześniu.

Teraz był śmiertelnie powa ny i Whitney niemal go ałowała. Wzięła długi, niepewny oddech i zaczęła mówić.

– Przedstawiono mi go jeszcze we Francji, ale wówczas nie zwróciłam uwagi na jego nazwisko ani nie zapamiętałam jego twarzy. Następnym razem spotkałam go na majowym balu maskowym, lecz wtedy tak e nie widziałam jego twarzy. Właśnie na tej maskaradzie postanowił, e chce się ze mną o enić, wiedział jednak, e mój wuj odprawia wszystkich adoratorów... bo chciałam wrócić do domu i wyjść za ciebie... więc ksią ę przyjechał tutaj i zapłacił za mnie ojcu sto tysięcy funtów, a potem kazał ojcu posłać po mnie, sam zaś zamieszkał w domu Hodgesów.

– Naprawdę oczekujesz, e w to uwierzę? - spytał z ironią Paul.

– Nie, nie oczekuję - odrzekła zboląa Whitney - ale to prawda. Nie miałam o tym wszystkim pojęcia

a do owej nocy po twoim wyjeździe. Zeszłam ze swojego pokoju na dół, aby powiedzieć ojcu i cioci, e zamierzamy się pobrać. Zobaczyłam tam Claytona Westlanda. Następną rzeczą, jakiej się dowiedziałam, gdy ojciec zaczął na mnie krzyczeć, było to, e jestem zaręczona z księciem Claymore'em, którym okazał się Clayton, a potem wszystko stało się jeszcze gorsze.

– Chyba ju nie mogłoby być gorzej - zauważył z sarkazmem Paul.

– Có , mogłoby. Trzy dni temu Clayton zabrał mnie do Londynu i powiedział jednemu ze swych przyjaciół, e się pobierzemy...

– A więc zgodziłaś się za niego wyjść? - zapytał lodowatym tonem.

– Nie, oczywiście, e nie.

Paul obrócił się na pięcie i podszedł do kominka. Oparł stopę o kratę i spoglądał w ogień, ka ąc Whitney bezradnie patrzeć na ' swoje plecy. Nagle zeszywniał, a kiedy zwrócił ku niej twarz, był blady z przera enia.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, e zapłacił za ciebie twojemu ojcu? - za ądał

odpowiedzi. - Zazwyczaj to ojciec wyposa a córkę, a nie narzeczony.

Whitney natychmiast zrozumiała, jakim torem podą ały jego myśli, i serce pogrą yło jej się w alu nad Paulem i nad sobą.

– Nie mam posagu, Paul. Mój ojciec stracił zarówno mój posag, jak i spadek.

Paul oparł głowę o kamienną ścianę i zamknął oczy, a jego szerokie ramiona opadły w wyrazie przygnębienia.

Whitney postanowiła wziąć na siebie odpowiedzialność za decyzję, jaką podjęła. Podeszła do niego, choć nogi cią yły jej jak ołów. Rozum mówił, e nie musi tego robić, ale serce nie pozwalało jej opuścić Paula. Nie teraz, nie po tym, jak zobaczyła udrękę na jego twarzy.

– Kochany, ojciec powiedział mi, w jak trudnej sytuacji się znajdujesz, ale nie ma to dla mnie adnego znaczenia, uwierz mi, proszę. Wyjdę za ciebie tak czy inaczej. Musimy jednak działać szybko. Ksią ę przez sześć dni będzie w Londynie i w tym czasie mo emy uciec do Szkocji. Zanim Clayton odkryje, co...

– Uciec! - Głos Paula zabrzmiał ostro, a jego palce wbiły się boleśnie w ramię Whitney. - Postradałaś rozum?! Moja matka i siostry ju nigdy nie mogłyby chodzić z podniesionymi głowami!

– Ale nie - wykrztusiła ochryplym szeptem. - Wstyd będzie tylko mój.

– Do diabła z twoim wstydem! - rzucił, potrząsając nią. - Nie rozumiesz, co narobiłaś? Właśnie wydałem małą fortunę na pięć koni i powozik.



Czy to jej wina, odparła w duchu Whitney, wzdrygając się na widok gniewu w oczach ukochanego. A potem zrozumiała. Gorzka uraza ścisnęła serce dziewczyny niczym obręcz z ostrej stali, wrywając z jej piersi dławiący śmiech.

– Wydałeś „fortune”, bo myślałeś, e ja mam pieniądze... e mam posag, który, jak sądziłeś, wniosę ci w dniu ślubu, prawda? -Nie musiał odpowiadać; widziała tę prawdę w jego płonących oczach. Z pogardą zrzuciła z siebie ręce Paula i cofnęła się o krok. - Ju pięć minut po tym, gdy przyjąłem twoje oświadczenia, wydawałeś w myślach moje pieniądze, czy nie? Nawet nie zaczekałeś, by najpierw porozmawiać z moim ojcem! Tak bardzo mnie

„kochałeś”, e nie zawracałeś sobie głowy, by zostać i poprosić o jego zgodę.

Jedyną rzeczą, o którą dbałeś, były pieniądze, i nawet nie wydałeś ich na coś naprawdę wa nego. Twoje ziemie są zadłu one, dom zaś zrujnowany. Paul...

- szepnęła, a jej zielone oczy zalśniły łzami - có z ciebie za mę czyzna? Czy jesteś tak pozbawiony charakteru i tak nieodpowiedzialny, e o eniłbyś się ze mną tylko dla pieniędzy, eby wydawać je na konie, których zresztą nie potrzebujesz?

– Nie bądź głupia! - fuknął Paul, ale twarz płonęła mu z poczucia winy i zakłopotania. - Kochałem cię, inaczej nigdy nie poprosiłbym cię, ebyś za mnie wyszła.

– Miłość! - rzuciła gorzko Whitney. - aden z was nie pojmuje znaczenia tego słowa! Ojciec mnie „kocha”, a sprzedał mnie, by ratować siebie. Ciebie natomiast obchodzi tylko to, ile pieniędzy jestem warta. Clayton przynajmniej nie obra a mojej inteligencji twierdzeniem, e mnie kocha.

Kupił mnie jak przedmiot i teraz oczekuje, i dopełnię warunków umowy, ale nie udaje, e mnie kocha.

Oddech Paula przeszedł w cię kie westchnienie.

– Coś wymyślę, ale ucieczka nie wchodzi w grę. Czy Westland...

Westmoreland... zechce z ciebie... zrezygnować?

Whitney spojrzała na niego i nieustępliwie uniosła głowę.

– Nie - odrzekła dumnie. W tym momencie dałaby mu taką odpowiedź, nawet gdyby myślała inaczej. Odwracając się, ruszyła ku drzwiom, a potem przystanęła, by spojrzeć na niego przez ramię. -Panna Ashton wciąż jest do wzięcia - zauwa yła z goryczą. - Jestem pewna, e jej posag pokryje twoje ostatnie ekstrawaganckie wydatki. Lepiej pomyśl, jak odzyskać względy Elizabeth, abyś zdołał położyć rękę na jej pieniądzech.

– Zamknij się! - warknął Paul. - Albo sam cię uciszę!

Whitney trzasnęła drzwiami na jego ostatnie słowa, ale dopiero gdy znalazła się w ciszy własnego pokoju, pozwoliła popłynąć gorzkim łzom. Ze złamanym sercem padając na łó ko, wypłakała w poduszkę całe swoje rozczarowanie.

Szlochała nad sobą, nad bezsensownymi marzeniami i nad źle ulokowanym uczuciem, którym tak hojnie obdarzała Paula przez te wszystkie lata. Płakała, gdy ona gotowa była zrujnować dla ukochanego swoją reputację, on zaś troszczył się wyłącznie o matkę i siostry. Jednak przede wszystkim płakała ze złości na własną głupotę.

Kiedy tego wieczoru Clarissa przyniosła do pokoju tacę z kolacją, Whitney miała podpuchnięte oczy i czuła ból w sercu, ale ogrom niedoli i urazy ju ustępował. Zjadła w samotności, a myśli jej kłębiły się w melancholijnym wirze, który nie miał początku ani końca.

W południe następnego dnia nie była ju zła na Paula. W istocie czuła się dziwnie winna. Zawsze wyobrażała go sobie jako współczesnego rycerza w lśniącej zbroi; kawalera odwa nego, romantycznego oraz szarmanckiego, i doprawdy nie było jego winą, i nie spełniał wymogów ideału. Ogarnęło ją uczucie narastającego za enowania i odpowiedzialności za rolę, jaką nieświadomie odegrała w jego pogarszającej się sytuacji finansowej. U yła wszelkich mo liwych sztuczek, aby się jej oświadczył i przyjmując jego oświadczyzny, mimowolnie skłoniła go do wydania pieniędzy, na które liczył, prosząc ją o rękę.

Późnym popołudniem, gdy bez celu wędrowała wśród ostatnich kwiatów w ogrodzie ró anym, jej ywy umysł oderwał się od kontemplowania problemów i skierował ku poszukiwaniu rozwiązań. Niebawem pewien mglisty zamysł

przybrał konkretny kształt. Elizabeth kocha Paula, tego Whitney była pewna.

Bez wątpienia musi być coś, co teraz mogłaby zrobić, eby załagodzić sytuację z Elizabeth, aby była Paulowi yczliwa, gdyby zdecydował się ponownie okazać jej zainteresowanie.

Whitney zawahała się, a potem ciaśniej otuliła ramiona jedwabnym szalem.

Zwa ywszy na jej własny chaos emocjonalny, była ostatnią osobą na świecie, która powinna ingerować w cudzy romans. Niemniej był to jej obowiązek, a poza tym nigdy nie potrafiła stać potulnie z boku, ywiąc nadzieję, i los sprawi, e wszystko dobrze się uło y.

Z ywiołowością, która przedtem pozostawała uspiona od wielu dni, Whitney postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Poszła do domu i szybko napisała list do Elizabeth, a potem nerwowo przemierzała pokój, zastanawiając się, czy dziewczyna nie odrzuci kategorycznie jej zaproszenia. W minionych latach Whitney objawiała taką zazdrość, dopuściła się tak wielu wybryków i sztuczek, e nieszczęsna Elizabeth mogła teraz potraktować podejrzliwie ka dą podjętą przez pannę Stone próbę nagłego zaprzyjaźnienia się.

Whitney była przekonana, i Elizabeth odmówi przyjścia, i a podskoczyła, gdy u drzwi rozległ się jej cichy głos.

– Prosiłaś... ebym cię odwiedziła. - Niebieskie oczy Elizabeth rzucały wokół

nerwowe spojrzenia, ona sama zaś wydawała się gotowa do ucieczki.

Whitney posłała jej uspokajający uśmiech.

– Tak, i jestem bardzo szczęśliwa, e przyszedł. Mo e zdejmiesz rękawiczki i czepek?

Panna Ashton nerwowo zatrzepotała dłońmi, przyciskając obronnym ruchem czepek do loków, a Whitney wspomniała inne nakrycie głowy Elizabeth: mały słomkowy kapelusik z różową wstążką, który wiele lat Paul uroczo skomplementował. Pięć minut później ów kapelusik znaleziono pod nogą krzesła, na którym kołysała się Whitney. Elizabeth równie o tym pamięta, zrozumiała Whitney, i rumieniec pokrył jej policzki, gdy przypomniała sobie okrzyk alu i przerażenia tamtej.

– Ja... wolę mieć go na głowie - odpowiedziała Elizabeth.

– Nie mam ci tego za złe - westchnęła Whitney.

Przez następne pół godziny podawała herbatę i podtrzymywała jednostronną konwersację o rzeczach zgoła nieistotnych, próbując sprawić, aby Elizabeth poczuła się swobodnie, ale jej niedawna rywalka odpowiadała monosylabami i wciąż siedziała na krawędzi krzesła, jakby zamierzała wyfrunąć z pokoju na pierwszy głośniejszy dźwięk.

Wreszcie Whitney przeszła do rzeczy.

– Elizabeth - zaczęła, myśląc, e wyznawanie własnych słabości kobiecie, w której zawsze widziała swą najgorszą rywalkę, jest naprawdę okropne -

czuję, e jestem ci winna przeprosiny za powa ną niesprawiedliwość.

Przepraszam za to, co ostatnio zrobiłam, i za te okropne rzeczy, jakich dopuściłam się wobec ciebie, kiedy byliśmy młode... W związku z Paulem...

- wyrzuciła z siebie. - Wiem, jak bardzo musisz mnie nienawidzić i wcale cię nie winię, ale chciałabym ci pomóc.

– Pomóc? - powtórzyła bezmyślnie Elizabeth.

– Pomóc ci w poślubieniu Paula - wyjaśniła Whitney. Niebieskie oczy jej gościa zrobiły się ogromne ze zdumienia.

– Nie! Doprawdy, nie mogłabym... - wyjąkała, czerwieniąc się po cebulki włosów.

– Oczywiście, e mogłabyś - oświadczyła Whitney, podsuwając jej tacę z małymi ciasteczkami. - Jesteś bardzo piękną dziewczyną, a Paul zawsze...

– Nie - zaprotestowała cicho Elizabeth, potrząsając złotymi lokami. - Jesteś ode mnie znacznie piękniejsza. Mnie mo na nazwać tylko, no có ... w najlepszym razie... ładną.

Uczyniwszy monumentalny krok na drodze do zaprzyjaźniania się z Elizabeth, Whitney nie była jeszcze gotowa przedstawić jej swojego wspaniałego zamiaru.

– Masz piękne maniery, Elizabeth. Zawsze robisz i mówisz odpowiednie rzeczy w odpowiednim czasie.

– Odpowiednio nudne rzeczy - zaprzeczyła tamta grzecznie. - Nie tak spontaniczne i interesujące jak ty.

– Elizabeth - ciągnęła Whitney, nie mogąc opanować rozbawienia. - Ja od dzieciństwa byłam doskonale oburzająca, podczas gdy ty byłaś zawsze perfekcyjnie doskonała.

Elizabeth usiadła swobodniej i roześmiała się lekko.

– No widzisz! Ja powiedziałabym jedynie „dziękuję”, a ty mówisz coś niezwykłego.

– Darujmy sobie kolejne komplementy - ostrzegła ją Whitney z wesołym spojrzeniem. - Wiesz, e nie dam się prześcignąć i będziemy tu siedzieć przez całą noc, wielbiąc się nawzajem.

Elizabeth pociągnęła nosem.

– Bardzo się cieszę, e ty i Paul... - powiedziała, a widząc zdumienie Whitney, wyjaśniła: - Wszyscy wiedzą, e wasze zaręczyny mają pozostać w sekrecie, ale skoro wszyscy o nich rozmawiają, nie sędzę, abyś miała coś przeciwko temu, e o nich wspominam.

– Co masz na myśli, mówiąc, e wszyscy o nich rozmawiają? - zapytała ochryple Whitney. - Kto jeszcze wie?

– No có , niech pomyślę. Pan Oldenberry, aptekarz, opowiedział o nich Margaret i mnie. Powiedział, e usłyszał o nich od pokojówki lady Eubank, która dowiedziała się tego od swojej pani, a lady Eubank usłyszała o waszych zaręczynach od matki Paula. Przypuszczam, e całe miasteczko ju wie.

– Ale to nieprawda! - wykrzyknęła z rozpaczą Whitney. Elizabeth zrzędła mina.

– Nie mów, proszę, e to nieprawda - błagała gorąco. - Nie teraz, kiedy Peter jest tak bliski oświadczyn.

– O kogo Peter zamierza się oświadczyć? - zapytała Whitney, na chwilę zmieniając temat.

– O mnie. Jednak nie zrobi tego, jeśli Paul jest wolny. Widzisz, Peter jest nieśmiały i zawsze sądził, e ywię jakieś sekretne uczucie do Paula, co... nie jest nieprawdą. Lecz nawet gdyby tak było, mój papa nigdy nie pozwoliłby mi poślubić Paula, który jest szokująco rozrzutny, a jego ziemie są zadłu one.

Whitney osunęła się na krzesło i ze zdumieniem patrzyła na Elizabeth.

– Peter Redfern nieśmiały? - powtórzyła jak echo. - Elizabeth, czy my mówimy o tym samym Peterze Redfernie? Tym, który próbował dać mi po uszach na pikniku, kiedy spadłaś z drzewa?

– No có , ze mną jest nieśmiały - odpowiedziała Elizabeth.

Z niemyim niedowierzaniem Whitney przywołała w pamięci piegowatą twarz Petera oraz jego rzednące rude włosy i próbowała wyobrazić sobie, czym zdobył

serce tak kruchej, ulotnej piękności jak Elizabeth, która zawsze i na ka de skinienie miała u swych stóp Paula.

– Naprawdę mówisz szczerze -jęknęła - e przez te wszystkie lata kochałaś Petera?

– Tak - przyznała Elizabeth załamującym się głosem. - Jeśli jednak powiesz teraz wszystkim, e ty i Paul nie zamierzacie się pobrać, Peter się wycofa, gdy zawsze tak postępuje, i pozwoli Paulowi zająć swoje miejsce. A wtedy ja... ja... - Elizabeth sięgnęła po koronkową chusteczkę i szybko otarła łzy.

Whitney przechyliła na bok głowę.

– Jak udaje ci się płakać w taki sposób? - zapytała z podziwem. - Ja zawsze kicham i szlocham, a z oczu leją mi się fontanny.

Elizabeth uśmiechnęła się przez łzy i ponownie sięgnęła po chusteczkę, a potem uniosła błagalnie oczy ku Whitney.

– Powiedziałaś, e wyrządziłaś mi wiele krzywd i e bardzo przepraszasz. Jeśli naprawdę tak myślisz, to czy nie mogłabyś poczekać z porzuceniem Paula tylko kilku dni? Peter ju lada chwila wyzna, e chce się ze mną o enić.

– Nie rozumiesz, o co mnie prosisz -jęknęła Whitney w napięciu. - Gdyby pewna osoba usłyszała tę plotkę i uwierzyła, e istotnie zaręczyłam się z Paulem, moje ycie nie byłoby warte nawet ćwierci pensa.

Elizabeth wydawała się bliska kolejnego strumienia łez, więc Whitney wstała, rozdarta między pewnością, e kilka dni w istocie nie robi ró nicy, a niedającym się wyrazić strachem, e owe dni mogą spowodować prawdziwą katastrofę.

– Dam ci trzy dni, zanim poło ę kres tej plotce - zgodziła się niechętnie.

Jeszcze długo po wyjściu Elizabeth siedziała w swoim pokoju, pogrą ona w niepokoju i obawach. Jeśli wszyscy, łącznie ze słu ącymi, otwarcie plotkowali o jej „zaręczynach" z Paulem, Clayton z pewnością usłyszy o nich zaraz po powrocie. A przecie dał jej bardzo jasno do zrozumienia, e nie yczy sobie, aby ludzie sądzili, e kiedykolwiek była zaręczona z innym mę czynną oprócz niego. Próbowała więc teraz wymyślić jakiś dowód, który mogłaby mu przedstawić, e nie jest niczemu winna... e w istocie oświadczyła Paulowi, i nie wyjdzie za niego, postępując dokładnie tak, jak obiecała Claytonowi.

Miał na to jej słowo i ufał, e go dotrzyma. Chciała, by uwierzył, e wypełniła obietnicę, ale jedyną osobą, która mogła to potwierdzić, był Paul, a ten nie był w nastroju do udzielania jej pomocy.

Whitney przygryzła wargę, skoncentrowana na czymś gorszym ni na uszczerbku swego honoru. Bez

bodźca w postaci perspektywy poślubienia Paula, bodźca, który dawał jej odwagę do działania, czuła teraz głęboki, prawdziwy strach przed gniewem Clayтона. Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, e najlepszą drogą uniknięcia niechybnej katastrofy jest wyjazd do Londynu i wyjaśnienie księciu tego, co się stało. Będzie daleko mniej zły, dowiadując się wszystkiego od niej ni od innych i zrozumie, e Whitney nie była niczemu winna. Przede wszystkim, gdyby naprawdę zamierzała poślubić Paula, jak głosiła plotka, po co wracałaby do Londynu, eby spotkać się z Claytonem?

Podjąwszy taką decyzję, poszła do pokoju cioci. Opowiedziała jej całą historię, łącznie z plotką o zaręczynach z Paulem i zaniechanym planem ucieczki. Lady Annę zbladła, ale zachowała milczenie, dopóki Whitney nie przestała mówić.

– Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytała potem.

– Myślę, e byłoby najlepiej, gdybym pojechała do Londynu i zatrzymała się u Emily. Kiedy tylko tam dotrę, zawiadomię księcia, e jestem w Londynie, a on naturalnie przyjedzie tam, by się ze mną spotkać. Wtedy wybiorę najwłaściwszy moment, aby mu powiedzieć o krą ącej tutaj plotce. Nie przypuszczam, eby przejął się zbytnio tym gadaniem, dopóki będzie wierzył, e nie ma tu mojej winy.

– Pojadę z tobą - zaproponowała natychmiast ciocia.

– Doprawdy nie ma potrzeby. Pragnęłaś odwiedzić swoją kuzynkę w Lincolnshire, a Emily ucieszy się, e spędzę z nią trochę czasu. Przyślę ci wiadomość, gdy tylko dowiem się na pewno, e ksią ę nie zmienił planów i e nie jedzie tutaj, a wtedy będziesz mogła pojechać prosto do Lincolnshire.

Nie chciałabym, aby adnej z nas nie było w domu, gdyby miał wrócić niespodziewanie i usłyszeć tę plotkę.

– Masz rację - zgodziła się lady Annę. - A kiedy spotkasz go w Londynie, jaki mu podasz powód swego przyjazdu?

Whitney zmarszczyła czoło ze zdenerwowania.

– Przypuszczam, e będę musiała powiedzieć mu prawdę... e się bałam, i wróci do miasteczka i uwierzy, e mimo jego ostrze enia nie odrzuciłam oświadczyn Paula. Choć mnie samej fakt, i muszę gnać do Londynu niczym przera ony królik, w obawie przed ściągnięciem na siebie gniewu Clayтона, wydaje się wręcz irytujący. Ten człowiek wszedł w moje ycie kilka miesięcy temu i od tego czasu jestem zmuszona tańczyć niczym marionetka, tak jak mi zagra. Myślę, e to równie mu powiem! - zakończyła Whitney buntowniczo.

– Skoro skłaniasz się ku takiej szczeroci w mówieniu o swoich uczuciach -

odezwała się ciocia Annę rozsądnie - czemu nie powiesz mu tak e, e odkryłaś w sobie szczere uczucie dla niego i chcesz honorować kontrakt zaręczynowy? Będzie ogromnie uradowany, słysząc to.

Whitney zeskoczyła z sofy jak oparzona.

– Tego z pewnością nie zrobię! - oświadczyła zapalczywie. - Biorąc pod uwagę, e nigdy nie dbał o to, czy chcę za niego wyjść, natomiast ani przez chwilę nie wątpił, e go poślubię, nie rozumiem, dlaczego powinnam schlebiać jego pró ności oświadczeniem, e pragnę to zrobić. Poza tym przecie wcale nie zmieniałam decyzji w sprawie poślubienia go.

– Chyba jednak ją zmieniłaś, kochanie. - Spokojny głos ciotki zatrzymał

Whitney w połowie drogi do drzwi. - Jeśli to ułatwi ci wyznanie księciu uczuć, to powiem, e moim zdaniem ten człowiek kocha cię z siłą, która zaskoczyłaby jego samego, gdyby tylko ją sobie uświadomił, i która bardzo pochlebia twojej pró ności.

– Mylisz się, ciociu - odpowiedziała Whitney bezbarwnym tonem. - Nigdy nawet nie powiedział, e mu na mnie zale y. Jestem własnością, którą nabył, niczym więcej. Nie proś mnie, ebym się przed nim płaszczyła. Zostało mi niewiele dumy i nie poświęcę jej po to, by łagodzić humory księcia i schlebiać jego pró ności.

Elizabeth Ashton pojawiała się ka dego popołudnia, by opowiadać o swoich kolejnych krokach, ale pod koniec trzeciego dnia wciąż nie było powodu do radości. Clarissa i Whitney pakowały właśnie бага na zaplanowaną na następny dzień podróż do Londynu, gdy Elizabeth wmaszerowała do pokoju niczym pokonany ołnierz wracający z bitwy, która wydawała się łatwa do wygrania.

– Peter nie jest bli szy oświadczyn ni dziesięć lat temu - oznajmiła posepnie, osuwając się na krzesło.

Whitney wcisnęła naręcze bielizny do sakwoja u i spojrzała na Elizabeth z pełną zakłopotania konsternacją.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie - odpowiedziała ponuro Elizabeth. - Proponowałam, byśmy zjedli dziś u mnie kolację, bez rodziców, i wiesz, co powiedział? Powiedział... -

westchnęła cię ko - e lubi jadać kolacje z moimi rodzicami.

– A to głupiec! - wybuchnęła Whitney z irytacją i powoli zaczęła tam i z powrotem przemierzać swój pokój. - Ty mo e jesteś gotowa pogodzić się z przegraną, ale ja nie... w ka dym razie nie z Peterem Redfermem! Ten głupek uwielbiał cię, odkąd byliśmy dziećmi. Potrzeba mu jedynie jakiejś motywacji, która zmusiłaby go do bezzwłocznych oświadczyn. - Whitney odsunęła nogą stojącą jej na drodze walizę i zmarszczywszy brwi, patrzyła na rzeczy rozrzucone po całym pokoju. - Mam! - zawołała, spoglądając na Elizabeth z tym zapalczywym, śmiałym błyskiem zielonych oczu, który tamta tak dobrze znała z minionych dni.

Przera ona Elizabeth wcisnęła się w fotel.

– Whitney, cokolwiek wymyśliłaś, nie zrobimy tego.

- Ale tak, zrobimy! - wykrzyknęła Whitney z triumfem. - Panno Ashton, niniejszym zapraszam cię, byś pojechała ze mną do Londynu.

- Ale ja nie chcę jechać do Londynu - wyjąkała rozpaczliwie Elizabeth. - Ja chcę Petera.

- Dobrze, dostaniesz go dziś wieczorem. Teraz powtarzaj za mną: „Tak, pojedę z tobą do Londynu”.

- Tak, pojedę z tobą do Londynu - powtórzyła niczym papuga.

- Ale nie chcę.

- To doskonale, bo nie pojedziesz. Lecz ja cię poprosiłam, a ty się zgodziłaś.

W ten sposób, kiedy powiesz Peterowi, e zgodziłaś się pojechać ze mną, wcale go nie okłamiesz. - Whitney chwyciła zdumioną Elizabeth za rękę i pociągnęła do sekretarzyka. - Teraz napisz do Petera, e dzisiejszą kolację zjesz tutaj ze mną. Napisz mu... - Zawahała się, przesuwając palcem po ustach, a potem zachichotała na samą myśl o swoim genialnym pomysle.

- Napisz mu, e zamierzamy wspólnie przedsięwziąć najbardziej niezwykle dzieło. To powinno go obudzić w nim ciekawość i wprawić w zdumienie.

- Peterowi nie spodoba się nasza wspólna wyprawa do Londynu - zauważyła Elizabeth.

- Znienawidzi ten pomysł! - dumnie przyznała Whitney. - Chocia dorosłam, Peter wciąż patrzy na mnie, jakby oczekiwał, e w ka dej chwili dopuszczę się jakiegoś okropnego wybryku.

Pierwszy raz w swym słodkim, „stosownym” yciu Elizabeth okazała upór.

- Jeśli Peter tego nie zaaprobuje, nie pojedę.

- Ty nie jedziesz - tłumaczyła Whitney, dotknięta brakiem akceptacji Elizabeth dla tak olśniewającego planu. - Czy nie rozumiesz, e Peter będzie przera ony pomysłem naszego wspólnego wyjazdu? On nie sądzi, e ja naprawdę się zmieniłam. Wciąż myśli o mnie jako o tej samej smarkuli, która niegdyś strzeliła z procy do starej klaczy wielebnego Snodgrassa.

- Naprawdę to zrobiłaś? - zapytała Elizabeth bez tchu.

- To, i jeszcze bardzo wiele innych rzeczy, o których wie Peter -przyznała Whitney zuchwale. - Będzie próbował odwieść cię od wyjazdu ze mną, ale masz mu powiedzieć, e nalegam. Ja będę rzeczywiście nalegać, a skoro Peter adnej z nas nie mo e tego zabronić, pozostanie mu do zrobienia tylko jedno!

- Co? - zapytała Elizabeth zaciekawiona, lecz niepewna. ' Whitney wyrzuciła do góry rękę.

- Oświadczy ci się, gołąbeczko! - Ujmując dr ące dłonie Elizabeth w mocny, uspokajający uścisk, mówiła dalej: - Proszę cię, proszę, zaufaj mi. Nic tak szybko nie wyciśnie z mę czyzny oświadczyn jak obawa, e go opuścisz. I nic nie czyni go tak odważnym i zuchwałym jak sposobność ocalenia



niewinnej kobiety przed „nieodpowiednim towarzystwem”. W tym wypadku owym nieodpowiednim towarzystwem jestem ja. Nicolas DuVille zaledwie zwracał na mnie uwagę, dopóki nie był zmuszony zaprotestować, gdy pewien d entelmen zaczął się do mnie zalecać, a potem znów pojawił się niczym anioł zemsty, by chronić mnie przed mę czyzną, który nie był nawet w przybli eniu tak niebezpiecznym flirciarzem jak on sam! To było ogromnie zabawne, mogę cię zapewnić. A teraz, proszę, napisz ten list. Zanim wieczór dobiegnie końca, Peter ci się oświadczy, czekaj tylko i patrz.

Elizabeth z ociąganiem zrobiła to, o co ją proszono, i list został Peterowi Redfernowi dostarczony przez słu ącego.

Trzy godziny później Elizabeth, mimo jej protestów, ubrano w pośpiesznie skróconą, najodwa niejszą suknię Whitney. Złote loki panny Ashton upięto w gładki kok. Wciąż protestująca dziewczyna została zaprowadzona przez Clarissę i Whitney przed lustro.

– Naprzód, Elizabeth - przynagliła Whitney. - Zobacz, jak ślicznie wyglądasz...

Bojaźliwe spojrzenie dziewczyny powędrowało ku przylegającej do ciała eleganckiej jedwabnej sukni, przez wąskie biodra i smukłą talię; potem z osłupieniem utkwiała wzrok w głębokim dekolcie. Ręce dziewczyny uniosły się ku górze, by osłonić piersi widoczne nad stanikiem sukni.

– Nie mogę - szepnęła bez tchu, zarumieniona ze wstydu. Whitney wzniosła oczy ku górze.

– Oczywiście, e mo esz, Elizabeth. We Francji tę suknię uwa ano by jedynie za nieco śmiałą.

Nerwowy chichot wstrząsał ciałem Elizabeth, gdy powoli opuściła ręce.

– Sądziś, e Peterowi się spodoba?

– Nie - przewidywała Whitney radośnie - zwłaszcza kiedy mu powiem, e uwa am, i twoje suknie są zbyt powa ne i przesadnie skromne, i e kiedy będziemy w Londynie, dopilnuję, abyś kupiła więcej takich jak ta, by nosić je na przyjęciach, w których będziemy uczestniczyć.

O ósmej do oświetlonego świecami salonu wkroczył Peter. Dwie młode kobiety czekały ju tam na niego. Krótco skinąwszy głową w stronę Whitney, rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem Elizabeth, która, odwrócona do niego plecami, wyglądała przez okno.

– Cóż to za szczególne przedsięwzięcie wspólnie planujecie? -zapytał.

Elizabeth odwróciła się powoli i na twarzy Petera odmalował się wyraz komicznego niedowierzania. Gapił się na nią z opuszczoną szczęką i wybałuszonymi oczami.

Panna Ashton, która najwyraźniej miała nadzieję, e Peter, rzuciwszy na nią okiem, padnie na kolana i natychmiast się oświadczy, czekała w napiętym milczeniu. Kiedy ani nie przemówił, ani się nie ruszył, jej delikatny podbródek uniósł się z upartym zdecydowaniem i dziewczyna pierwszy raz w całym swoim dwudziestojednoletnim yciu świadomie zaczęła u ywać kobiecych sztuczek, z którymi przyszła na świat.

– Whitney zabiera mnie jutro w długą podróż do Londynu - wyjaśniła, przechadzając się tam i z powrotem, aby zaprezentować swą jasną urodę przed oszołomionym adoratorem. - Whitney uwa a, e w Londynie wszyscy będą za mną szaleć, jeśli tylko kupię nowe stroje i zmienię uczesanie. Naucz mnie tak e, jak flirtować z d entelmenami - dodała niewinnie. - Oczywiście -

zakończyła z nagłą pomysłowością - mam nadzieję, e zanim wrócimy, nie zmienię się tak bardzo, byś mnie nie poznał...

Usta Whitney dr ały w pełnym podziwu uśmiechu, który szybko stłumiła, gdy gniewne spojrzenie Petera zwróciło się w jej stronę.

– Cóż ty, u diabła, zamierzasz zrobić? - parsknął wściekle.

W jakiś sposób udało jej się spojrzeć na niego równie niewinnie, jak uczyniła to Elizabeth.

– Ja tylko próbuję wziąć Elizabeth pod swoją opiekę.

– Byłaby bezpieczniejsza pod toporem! - wybuchnął. - Nie zgodzę się...

– Ale Peter... - uspokajała go Whitney, rozpaczliwie walcząc, by zachować powagę - bądź rozsądny. Zamierzam jedynie zabrać Elizabeth do Londynu i przedstawić jej kilku d entelmenów, których poznałam na balu w tym tygodniu. To najbardziej czarująca grupa kawalerów do wzięcia, wszyscy mają doskonałe pochodzenie i nieskazitelną reputację. Być mo e działają trochę pośpiesznie, ale jestem całkiem pewna, e Elizabeth nie zakocha się gwałtownie w więcej ni jednym... no, mo e w dwóch z nich. Wiesz przecie , e nadszedł ju czas, aby wyszła za mą . Jest rok starsza ode mnie.

– Wiem, ile lat ma Elizabeth! - odrzekł Peter, z wyrazem goryczy przesuując dłonią po swych rzędnych włosach.

– A zatem powinieneś te wiedzieć, e nie masz nic do powiedzenia na temat decyzji, które podejmuje. Nie jesteś ani jej ojcem, ani mężem, ani nawet narzeczonym, więc przestań się spierać i tylko uznaj nasze racje. Teraz przeproszę was, pójdę i dopilnuję przygotowań do kolacji - zakończyła, szybko odwracając się, by ukryć śmiech.

Whitney była absolutnie pewna, e Peter oświadczy się Elizabeth, gdy będzie odwoził ją do domu. Myliła się: kiedy wróciła do salonu dziesięć minut później, stali oboje, trzymając się za ręce.

– Przykro mi, e burzę twoje plany - oznajmił drwiąco Peter -ale Elizabeth nie będzie ci towarzyszyć w podróży do Londynu. Zgodziła się zostać moją oną. No i co? - zapytał z irytacją. - Co na to powiesz?

– Co powiem? - powtórzyła Whitney, spuszczać oczy, by ukryć zachwycony uśmiech. - Jakie to denerwujące z twojej strony, Peter. Tak bardzo chciałam... przydać Elizabeth... wspaniałego poloru Londynu.

Redfern, który był człowiekiem o wrodzonej dobroduszości, spojrział z uśmiechem i wyrozumiałością na swą przyszłą onę.

– Skoro tak się upierałyście przy podróży Elizabeth do Londynu, mo ecie zamówić tam jej wyprawę. Jeśli ojciec Elizabeth przyjmie dziś wieczorem prośbę o rękę córki, spodziewam się, e moja przyszła ona zechce wyjechać jutro, bo ju dziś powiedziała mi, e pragnie, abyś ty była jej druzną.

## Rozdział 23

Przybyłą do londyńskiej rezydencji państwa Archibaldów Whitney powitała podekscytowana Emily, której ciemne włosy okryte były chusteczką, a policzki ubrudzone czarnym atramentem.

– Wyglądasz jak kominiarz. - Whitney się roześmiała.

– A ty jak anioł z nieba - odrzekła Emily, ściskając ją serdecznie. - Czy mo na szlachcica posadzić przy kolacji obok arystokraty?

Zakłopotana Whitney zamrugła oczami.

– Chodzi o to nieszczęsne przyjęcie - wyjaśniła Emily w salonie, gdy Whitney zdjęła ju pelerynę, a Clarissie wskazano pokój jej pani. - Mama Michaela twierdzi,

e muszę zacząć przyjmować gości zgodnie z wymogami towarzyskiego statusu mojego męża. Masz pojęcie, ile zamieszania mo e spowodować tak prosta czynność jak siadanie do kolacji? Tylko spójrz, przez co ja tu przechodzę. - Podeszła do sekretarzyka i sięgnęła po diagramy miejsc przy poszczególnych stołach z nazwiskami osób zaproszonych na dzisiejszą kolację. Widać było, e wielokrotnie przedstawiała nazwiska, by odpowiednio rozmieścić gości. - No więc mo na, czy nie mo na posadzić arystokratę obok uszlachconego obywatela z tytułem „sir”? Mama Michaela przysłała mi

kilkaście podręczników dobrego tonu, ale tak wiele w nich sprzeczności i wyjątków od reguła, e teraz wiem jeszcze mniej, ni zanim je wszystkie przeczytałam.

Whitney rzuciła okiem na plan Emily, szybko usiadła przed sekretarzykiem i zanurzywszy pióro w kałamarzu, poprawiła plan zręcznie, rozsadzając gości, a potem błysnęła słonecznym uśmiechem ku zdumionej przyjaciółce.

– Dzięki naukom cioci Annę potrafię to zrobić, nawet gdy zaproszeni są arystokratami z pięciu różnych krajów - powiedziała.

Emily opadła na sofę z oczami wciąż pełnymi zdenerwowania i niepokoju.

– To nasze pierwsze oficjalne przyjęcie, a mama Michaela będzie obserwować ka dy mój ruch. Jest pedantką na punkcie zasad i formalności. Była mniej ni kontenta, gdy jej syn wziął za onę pannę bez tytułu, ja zaś bardziej ni czegokolwiek innego pragnę jej dowieść, e potrafię wydać najdoskonalsze i najwspanialsze przyjęcie, w jakim kiedykolwiek uczestniczyła.

Whitney, która głowiła się nad tym, jak spotkać się z Clayto-nem na gruncie neutralnym, powoli zaczęła się uśmiechać z zadowolenia. Obróciwszy się z powrotem w stronę sekretarzyka, sięgnęła po pióro i na planie rozmieszczenia gości umieściła jego nazwisko wraz z tytułem.

– To zaskarbi ci miano „gospodyni roku” - obwieściła dumnie, wręczając kartkę przyjaciółce - twoja teściowa zaś pęknie z zazdrości.

– Książę Claymore... - wyszeptwała Emily. - Ale on uwa a mnie za najbardziej zarozumiałą osobę na świecie. Poza tym, nie przyjdzie... aden z naszych gości, mimo ich tytułów, nie jest mu towarzysko równy.

– Przyjdzie - zapewniła ją Whitney. - Daj mi jedno zaproszenie i arkusz papieru.

Po chwilowym namyśle Whitney napisała do księcia i wyjaśniła, e przyjechała do Londynu, by odwiedzić Emily, i e ma wielką nadzieję, i zechce towarzyszyć jej na tym przyjęciu. Dołączyła kartę zaproszenia i dała ów list jednemu ze słuących państwa Armandów z poleceniem, by dostarczył go sekretarzowi jego wysokości, panu Hudginsowi, przy Upper Brook Street, i powiedział panu Hudginsowi, e to list od panny Stone - tak Clayton był polecił

jej uczynić, gdyby chciała, eby wrócił wcześniej.

Słuący wrócił niebawem z informacją, e książę udał się do wiejskiej rezydencji swego brata i przyjedzie do Londynu rankiem następnego dnia, czyli w sobotę.

Emily wydawała się jednocześnie uspokojona i przygnębiona.

– Będzie zbyt zmęczony, aby wieczorem przyjść na przyjęcie - westchnęła.

– Przyjdzie - zapewniła ją Whitney z uśmiechem.

Po kolacji Emily próbowała poruszyć temat Paula, a potem księcia Claymore'a, ale Whitney bardzo spokojnie i zdecydowanie powiedziała, że nie chce rozmawiać o adnym z nich. By złagodzić wra enie niechęci do zwierzania się najlepszej przyjaciółce, uraczyła ją wesołą opowieścią o tym, jak wymusiła na nieszczęsnym Peterze, aby się oświadczył Elizabeth.

– Elizabeth i Peter wraz z rodzicami oraz Margaret z panią Merryton wyjechali z miasteczka tego samego ranka co ja - zakończyła pogodnie. - Wszyscy udali się do Londynu, eby kupić wyprawę dla Elizabeth.

– Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że pewnego dnia będziesz druhną Elizabeth, pomyślałabym, że jest obłąkany! - zawołała ze śmiechem Emily.

– Myślę, że Elizabeth zamierza cię prosić, ebyś pełniła rolę honorowej gospodyni - rzekła Whitney. - Wesele odbędzie się w Londynie, gdy mieszka tu większość krewnych Elizabeth i Petera.

\* \* \*

Dopiero w sobotnie popołudnie Whitney pozwoliła sobie na rozmyślanie o zbli ającym się wieczornym spotkaniu z Claytonem. Przedpołudnie spędziła wraz z Clarissą, robiąc zakupy dla Emily, w drodze powrotnej zaś poprosiła stangreta państwa Archibaldów, aby pojechał do parku i tam się zatrzymał.

Zostawiwszy Clarissę w otwartym powozie, wędrowała parkową alejką między starannie utrzymanymi klombami chryzantem.

Powiedziała cioci Annę,

że Clayton wcale jej nie kocha, ale teraz

zrozumiała, że nie było to całkiem prawdziwe. Mówił, że jej pragnie, co z pewnością oznaczało, że jej po ąda. Whitney usiadła na parkowej ławce i lekki rumieniec zaraz owił jej policzki na myśl o jego wargach poruszających się ciepło na jej ustach i dłoniach pieszczących jej ciało.

Myślała o owych chwilach, kiedy byli razem, począwszy od pierwszej, gdy ujrzała go w Anglii. Stał obok strumienia, opierając się o jawor i patrząc na jej bosa nogi. Tego dnia był już z nią zaręczony, a Whitney kazała mu opuścić posiadłość. Poczowała przypływ słusznej urazy, kiedy przypomniała sobie ów dzień, gdy niemal uył szpicruty, ale oburzenie minęło, kiedy pomyślała o tym, co zrobiła. Zasłu yła na to. Lekki uśmiech musnął jej usta na wspomnienie tej nocy, gdy grali w szachy u niego w domu, a rumieniec pociemniał, gdy sobie przypomniała burzliwą namiętność jego pocałunków, zanim odwiózł ją do jej domu.

Clayton jej po ądał. I był z niej bardzo dumny... widziała to na balu u lordostwa Ruthefordów. Nie kochał jej, oczywiście, ale obchodziła go.

Obchodziła go na tyle, aby poczuł się zraniony tymi okropnymi rzeczami, które mu powiedziała tamtego dnia obok pawilonu. Tkliwość przepelniła jej serce na wspomnienie, jak odrzucił jej pocałunek, lecz w końcu stracił nad sobą panowanie i jego ramiona oplotły się wokół niej. Pamiętała

równie , jak samotna poczuła się w chwili, gdy uwierzyła, e egnają się na zawsze.

Ze smutkiem przypomniała te sobie ów impertynencki, władczy, despotyczny sposób, w jaki wynegocjował ich zaręczyny, ale potem odsunęła tę myśl. Był arogancki, despotyczny i władczy, miał równie inne wady, jednak jej tak e na nim zale ało i nie było sensu zaprzeczać tylko po to, by podtrzymać płomień urazy i buntu.

Zale ało jej na nim i gdyby nie była tak opętana myślą o mał eństwie z Paulem, uświadomiłaby to sobie znacznie wcześniej. Jej umysł opierał się przed zbyt głębokim analizowaniem rzeczywistej istoty własnych uczuć do Clayтона; nieprzyzwoite wydawało się nawet rozwa anie samej ewentualności, e go kocha, skoro przed trzema dniami uwa ała, e kocha Paula. Ponadto wierząc, e kocha Paula - wierząc w to przez tyle lat, tylko po to, by odkryć, e była jedynie bezmyślnie zaślepiona - miała teraz niewiele wiary we właściwą zdolność oceny własnych uczuć. Zale ało jej jednak na Claytonie; nie było sensu temu zaprzeczać. Zawsze ochoczo odpowiadała na jego pieszczoty i choć często doprowadzał ją do szału, równie ją bawił.

Mają być mał eństwem. Clayton zdecydował o tym jeszcze wiosną i jego nieugięta wola miała się spełnić z równą pewnością, z jaką zachodzi słońce.

To było nieuchronne; ona zaś teraz mogłaby to zaakceptować. Ten przystojny, potę ny, wyrafinowany arystokrata miał zostać jej mę em. Wpadnie w furję, kiedy Whitney mu powie, e prostacy z miasteczka są przekonani, i jest zaręczona z Paulem..

Wzdychając, Whitney przesunęła czubkiem pantofla jakiś kamyk.

Instynktownie wiedziała, e mogłaby uśmierzyć gniew Clayтона, mówiąc mu po prostu, e jest gotowa wyjść za niego za mą , kiedy tylko by tego zapragnął.

Teraz musiała zdecydować, jakiego tonu u yje w tej rozmowie. Mogłaby ocalić trochę dumy, chłodno i bez entuzjazmu mówiąc, na przykład, tak: „Poniewa nie mam adnego prawdziwego wyboru oprócz poślubienia ciebie, mo emy równie dobrze pobrać się, kiedy sobie yczysz". Gdyby rozmawiała z nim w taki sposób, Clayton niewątpliwie spojrzełby na nią z tym swoim sarkastycznym uśmiejchem, którym nigdy nie omieszkał jej irytować, i tonem równie nieentuzjastycznym odparłby: „Jak sobie yczysz, madame".

Whitney zmarszczyła brwi w wyrazie niezadowolenia. Choć taki ton w istocie pozwoliłby jej ocalić odrobinę dumy, to jednak wzajemne udawanie całkowitej obojętności było okropnym sposobem rozpoczęcia przez dwoje ludzi wspólnego ycia. W istocie zaś wcale nie czuła wobec niego obojętności. W

minionych dniach brakowało jej Clayтона bardziej, ni sądziła, e to w ogóle mo liwe; tęskniła za jego spokojną siłą i leniwym uśmiejchem, brakowało jej artów, które ze sobą dzielili, brakowało nawet sporów z Claytonem!

Od chwili kiedy zaczęła tak się czuć, udawanie, e nienawidzi myśli o mał eństwie z księciem wydawało się nie tylko głupie, ale i złe. Wypróbowała w myślach inny sposób oświadczenia mu, e

jest gotowa do tego mał eństwa.

Wieczorem, gdy ju mu powie, e wszyscy w okolicy uwierzyli, e zaręczyła się z Paulem, mogłaby z uśmiechem spojrzeć w te niezglębione szare oczy i powiedzieć: „Przypuszczam, e najlepszym sposobem poło enia kresu plotkom będzie ogłoszenie naszych zaręczyn". Jej uśmiech powiedziałby mu, e się poddaje; e bezwarunkowo poddaje się w owej bitwie pragnień, która toczyła się między nimi przez te wszystkie tygodnie. To prawda, e jej duma trochę na tym ucierpi, ale Clayton ma być jej mę em, a naprawdę zasłu ył na to, eby się dowiedzieć, i jest gotowa go zaakceptować.

Gdyby obwieściła mu swoją decyzję w taki sposób, Clayton, zamiast odpowiadać z szyderczym sarkazmem, prawdopodobnie weźmie ją w ramiona i pocałuje w ten swój śmiały, zmysłowy sposób. Na samą myśl o tym Whitney zakręciło się w głowie.

Do diabła z dumą, uznała w końcu. Pójdzie tą drugą drogą. Kiedy wróciła do powozu, w yłach pulsowało jej przeczucie szczęścia.

Po powrocie do domu Emily, usłyszała od słu ącego, e pani jest w salonie z gośćmi. Nie chcąc przeszkadzać, Whitney udała się do luksusowego apartamentu gościnnego, który chwilowo zajmowała.

Emily weszła akurat w chwili, gdy Whitney zdejmowała kapelusz.

– Elizabeth i Peter oraz Margeret i jej matka właśnie wyszli. Elizabeth zaprosiła mnie na swoje wesele - powiedziała Emily, po czym dodała lękliwie: - Ja... ja zaprosiłam ich wszystkich na nasz dzisiejszy wieczór. Nie mogłam tego uniknąć przy rzucającym się w oczy rozgardiaszu i widocznych przygotowaniach do przyjęcia.

Whitney zdjęła rękawiczki, z zakłopotanym uśmiechem na ustach uwa nie przyglądając się zaniepokojonej minie przyjaciółki.

– Nie martw się, zrobimy tylko kilka zmian na planie miejsc. To proste.

– Nie w tym rzecz - odrzekła słabo Emily. - Widzisz, robiąc zakupy, spotkali twojego przyjaciela, pana DuVille'a. Zapytał Margaret o ciebie, a Elizabeth powiedziała mu, e jesteś u mnie, więc, naturalnie, on te przyjdzie tu z nimi...

Whitney poczuła opadający na nią cień przeznaczenia, zanim jeszcze Emily wyjaśniła:

– Musiałam zaprosić i jego. Wiem, e to mo e być dla ciebie niefortunne wobec przybycia księcia, ale byłam absolutnie pewna, e pan DuVille uchyli się od przyjęcia zaproszenia wystosowanego z tak krótkim wyprzedzeniem...

Whitney opadła na łó ko.

– Lecz Nicki się nie uchylił, prawda? Emily pokręciła głową.

– Najchętniej udusiłabym Margaret. Był wyraźnie zainteresowany tylko tobą, a ona przywarła do

jego ramienia jak... pijawka, błagając, eby przyszedł.

Chciałabym, eby rodzice Margaret wydali ją za mąż, zanim narobi wstydu sobie i im. Jest najbardziej nachalną, natarczywą i złośliwą istotą na świecie.

Elizabeth zaś jest tak słodka, e pozwala, aby ta dziewczyna wchodziła jej na głowę.

Nie chcąc pozwolić, by ktokolwiek lub cokolwiek zepsuło jej radość oczekiwania na mający nadejść wieczór, Whitney obdarzyła Emily uspokajającym uśmiechem.

– Nie martw się o Margaret ani o Nickiego. Wszystko będzie dobrze.

## Rozdział 24

Siedzący w powozie Clayton przerzucił sprawozdania, o których przeczytanie prosił go brat, i odchylił głowę, zirytowany na samego siebie za powrót do miasteczka o jeden dzień wcześniej, ni zapowiedział.

Konie zwolniły, gdy zbliżyli się do brukowanych kocimi łbami uliczek, więc odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno. Po niebie przetaczały się ciężkie chmury, niemal zasłaniając z trudem przebijające się słoneczne światło wczesnego sobotniego popołudnia. Droga wiodąca przez miasteczko była zablokowana, gdy zagradzała ją przewrócona platforma do przewozu zwierząt i kilka porzuconych pojazdów, których właściciele próbowali ją postawić i schwytać uciekające owce.

– McRae! - zawołał zirytowany Clayton. - Kiedy dojedziemy bliżej tego zatoru, zatrzymaj się i zabierz do pomocy. W przeciwnym razie spędzimy tu cały dzień.

– Tak jest, wasza wysokość! - głośnie odpowiedział McRae z kozła na górze powozu.

Księżę spojrział na zegarek i drwiąco wykrzywił usta. Zachowuje się jak zaślepiiony głupiec, wracając z takim pośpiechem o dzień wcześniej. Wiedziony nedorzecznym pragnieniem ujżenia Whitney, wyjechał od brata o szóstej rano, kierując się prosto tutaj, zamiast, jak początkowo planował, spędzić dzień w Londynie. Przez siedem godzin podróżował z pośpiechem, jakby od tego, czy szybko do niej dotrze, zależało jego życie, i zatrzymywał się po drodze tylko po to, by zmienić konie. Nie powinien był zostawiać jej samej na cały tydzień, powtarzał sobie setki razy. Zamiast ofiarować jej samotność, powinien dać jej swe zdecydowane, lecz łagodne wsparcie.

Do tej chwili prawdopodobnie przeżyła kolejny atak buntu, gdy zmusił ją do odrzucenia Sevarina. Jakim była upartym głuptaskiem, by trwać w przekonaniu, e kocha tego wymoczkę bez charakteru. Piękny, gorący, cudowny głuptas. Gdyby choć trochę kochała tamtego, nigdy nie potrafiłaby odpowiadać na pieszczoty Clayтона w taki sposób, jak to robiła.

A go ścisnęło w łędzwiach, gdy przypomniał sobie, jak go pocałowała i przywarła do niego, kiedy po balu u Ruthefordów odwiózł ją do Archibaldów.

Szampan rozluźnił dziewczęcą wstydlivość, a słodkie pożądanie, jakie doń czuła od wielu tygodni,



ujawniło się nagle. Pragnęła go i gdyby nie była tak piekielnie uparta i tak młoda, wiedziałaby to już dawno. Pragnęła go po prostu...

on zaś pragnął Whitney bardziej niż cokolwiek w całym swoim życiu. Chciał

wypełniać jej dni radością, a noce rozkoszą, a pokocha go tak bardzo, jak on kocha ją.

Kocha ją? Clayton nachmurzył się na tę myśl, a potem z długim, szyderczym westchnieniem przyznał sam przed sobą, że to prawda. Kochał Whitney. Mając za sobą trzydzieści cztery lata oraz znacznie więcej kobiet i romansów, niż chciałby zliczyć, padł ofiarą impertynenckiej, przepięknej samowolnej dziewczyny, która zgoła radośnie narażała się na jego niezadowolenie, szydziła z tytułu księcia i stanowczo odmówiła poddania się władzy Clayтона.

Uśmiech Whitney ogrzewał mu serce, a jej dotyk rozpalał krew; potrafiła go oczarować, rozbawić i rozżłościć jak żadna inna kobieta. Nie wyobrażał sobie przyszłości bez Whitney u swego boku.

Przyznając się przed sobą do tego wszystkiego, Clayton coraz bardziej pragnął znaleźć się przy niej, cieszyć nią oczami, trzymać ją w ramionach, słuchając melodyjnego głosu dziewczyny i doznając tego niezwykłego wrażenia, jakie czyniło na nim jej smukłe, zmysłowe ciało.

McRae zatrzymał powóz przed sklepem aptekarza i zeskoczył z kozła, by pomóc w schwytaniu ostatnich owiec i umieszczeniu ich na ponownie ustawionej platformie. Nie mogąc dłużej znieść czekania w powozie, Clayton wysiadł i przyłączył się do grupki gapiów, którzy obserwowali mężczyzn uganiających się za zbiegami. Uśmiech musnął mu wargi, gdy miejscowy piekarczyk wykonał szaleńczy skok za jedną z wełnistych uciekinierek, chybił

celu i wpadł na innego, który właśnie złapał jedną.

– Całkiem zabawne widowisko, nieprawda? - powiedział pan Oldenberry, wychodząc ze sklepu, by stanąć obok Clayтона i pozostałych gapiów. - Choć ominęła pana rzecz naprawdę ekscytująca - dodał, lekko szturchając go w plece. - Całe miasteczko huczy od tych wiadomości. Zaręczyny!

– Doprawdy? - rzucił Clayton obojętnie, skupiwszy uwagę na platformie, którą wreszcie ściągnięto z ulicy.

– Tak, w rzeczy samej - potwierdził pan Oldenberry. - Chociaż nie będzie pan mógł złożyć gratulacji przyszłym pannom młodym, gdy obie pojechały do Londynu. - Zniżył głos do scenicznego szeptu. - Osobiście uważałem, że panna Stone wybierze pana, ale ona zawsze chciała pana Sevarina i teraz go ma. Są zaręczeni. Usłyszałem o tym dopiero wtedy, gdy panna Ashton ogłosiła swoje zaręczyny z Peterem Redfermem. Zdumiewające, jak najpierw wydaje się, że nic się nie dzieje, a potem...

Clayton tak gwałtownie obrócił się ku swemu rozmówcy, że pan Oldenberry zamilkł pod morderczym spojrzeniem jego stalowych oczu.

– Co pan powiedział? - zapytał niskim, twardym głosem.

– Ja... powiedziałem... e... w czasie pana nieobecności... panna Stone i panna Ashton się zaręczyły.

– Albo kłamią, albo pan się myli.

Pan Oldenberry cofnął się o krok przed wściekłym błyskiem owych stalowych oczu i szybko pokręcił głową.

– Nie, nie... nie myślę się, proszę zapytać w miasteczku; ka dy powie, e to prawda. Panna Stone i panna Ashton wyjechały wczoraj rano, jedna po drugiej; do Londynu na zakupy, po ozdoby do ślubnych strojów... Matka panny Ashton sama mi to powiedziała -zapewniał Clayton nieco desperacko pan Oldenberry. - Panna Stone jest w Londynie u lady Archibald, a panna Ashton u swoich dziadków - dodał, aby udowodnić, jak dobrze jest poinformowany.

Clayton bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł do powozu.

Aptekarz odwrócił się do sąsiadów, którzy zbiegli się, by oglądać chwywanie owiec i pozostali, by podsłuchiwać jego rozmowę z panem Westlandem

– Widzieliście to spojrzenie, jakie mi rzucił, kiedy powiedziałem, e panna Ashton pojechała do Londynu na ślubne zakupy? -zapytał z oczami lśniącymi grozą. - A ja cały czas myślałem, e upodobał sobie pannę Stone!

– Do posiadłości pana Stone'a! - rzucił Clayton stangretowi i wskoczył do powozu.

Gdy zajechali przed dom Whitney, wybiegł z niego odźwierny.

– Gdzie jest panna Stone? - zapytał Clayton, a jego lodowaty głos powstrzymał rękę słu ącego, który chciał opuścić schodki.

– W Londynie, sir - odrzekł odźwierny, cofając się o krok.

Zanim konie zdołały całkiem się zatrzymać przed jego czasową rezydencją, Clayton otworzył drzwiczki powozu i wybiegł.

– Ka zaprzęgać świe e konie! - rzucił zdumionemu stangretowi. -I za dziesięć minut bądź gotów do wyjazdu do Londynu!

Wściekłość wręcz w nim kipiała, burząc wszystkie tkliwe uczucia, jakie ywił do Whitney. I pomyśleć, e gdy on pędził do niej jak zamroczony głupiec, ona była w Londynie, kupując sobie wyprawę, za którą, o czym przypomniał

sobie ze świe ym przyływem piekącej wściekłości, on płacił!

– Do diabła z jej zdradliwym podłym charakterem! - wściekle wyrzucił z siebie te słowa, przebierając się szybko. Gdy tylko uzyska zgodę na ślub, zawlecze ją do ołtarza choćby i za włosy, jeśli oka e się to konieczne.

Nie, na Boga, nie będzie uzyskiwał zgody! Czemu , u licha, miałby na nią czekać?! Wywiezie tę

dziewczynę jeszcze dziś w nocy do Szkocji i tam się z nią oeni. Kiedy wróca, nie będzie mogła znieść skandalu, który wywoła ich ucieczka. Będzie to dla Whitney karą za to, e go oszukała.

Z goryczą przeklinał samego siebie, e odmówił sobie rozkoszy jej ciała, bo czekał, mając nadzieję, i sama wyzna, e chce za niego wyjść. Do diabła z tym, czego ona pragnie! Od tej chwili sprawy potoczą się tak, jak on chce! W

przyszłości Whitney będzie musiała albo ugiąć się pod cię arem jego woli, albo on ją złamie. Nie pozostawi jej adnego innego wyboru.

Dokładnie dziesięć minut później, zmieniwszy strój, wybiegł z domu i wskoczył do powozu. Długą podróż do stolicy przebył w stanie wahającym się od zimnego opanowania do ledwie powstrzymanej furii. Było ju po północy, gdy konie zatrzymały się przed jasno oświetlonym domem Archibaldów, gdzie najwyraźniej odbywało się jakieś przyjęcie.

– Poczekaj tutaj. Zaraz wrócę - rzucił stangretowi. Kiedy Clayton wbiegł

szybko po schodach wiodących do frontowych drzwi, kipiąca w nim wściekłość zmieniła się w zimne i twarde postanowienie. Gdyby został

zdradzony przez zawziętego, samowolnego brzdąca! Jednak ona była czymś gorszym, czymś znacznie gorszym! Była wyrachowaną oszustką, suką, myślał, przechodząc obok zdumionego lokaja w stronę, skąd dochodziły od-głosy muzyki i śmiechu.

Rześkie powietrze nocy chłodziło rozpaloną twarz Whitney, gdy obdarzyła olśniewającym, sztucznym uśmiechem d entelmenów, którzy podą yli za nią na taras Emily, gdzie schroniła się, uciekając z zatłoczonej sali balowej. Mimo promiennego uśmiechu, zielone oczy dziewczyny ze smutkiem przyglądały się tłumowi, daremnie szukając Clayтона, choć wiedziała, e jest ju zbyt późno, by przyjechał.

Prawdopodobnie nie dostał zaproszenia i pewnie pojechał prosto do jej domu bez zatrzymywania się w Londynie. Whitney wzdrygnęła się, ałując, e nie napisała do cioci Annę i e wcześniej, zapewniając, e poradzi sobie ze wszystkim w Londynie, zaproponowała, by lady Gilbert pojechała do kuzynki w Lincolnshire. Powinna była zaczekać, a Clayton potwierdzi, e otrzymał jej list.

Nie, pomyślała przygnębiona, sekretarz księcia był pewny podróż nych planów swego pracodawcy. Nie ma sensu oszukiwać samej siebie; Clayton niefrasobliwie zignorował jej zaproszenie. Poczwała się głęboko dotknięta.

Miała włosy rozpuszczone na ramiona, bo ksią ę powiedział, e najbardziej podoba mu się tak uczesana. Ubrała się dziś nawet specjalnie, eby zrobić mu przyjemność, w tę nęcącą suknię z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, bogato zdobioną perłami. Zrobiła wszystko, by go zadowolić, a on nawet się nie pofatygował, eby przyjść albo uprzejmie podziękować za zaproszenie.

Niebezpiecznie bliska płaczu starała się przekonać samą siebie, e to bolesne rozczarowanie czwała tylko dlatego, e wreszcie zebrała się na odwagę, aby powiedzieć Claytonowi, i byłaby gotowa wyjść

za niego, kiedy tylko by zechciał, lecz naprawdę jej osamotnienie i przygnębienie wypływały z czegoś znacznie głębszego: tęskniła za nim. Pragnęła zobaczyć jego uśmiech, móc mu opowiedzieć, jak powoli się poddawała w tej bitwie pragnień, która rozegrała się między nimi. Chciała te , aby wziął ją w ramiona i całował. Miała nadzieję, e dzisiejszy wieczór będzie dla nich wspaniałym początkiem nowego ycia.

Stłumiła łzy i postanowiła cieszyć się tym, co pozostało z tak zepsutego wieczoru.

Książę krótko skinął głową tym nielicznym gościom, których znał, i czekał

niczym czająca się pantera, a ujrzy swoją ofiarę. Zobaczył Nicolasa DuVille zmierzającego z dwoma kieliszkami szampana ku drzwiom tarasu i śledząc go wzrokiem przez cały pokój, z wściekłością zacisnął szczękę na widok Whitney stojącej na tarasie i otoczonej przez co najmniej pół tuzina męczyzn.

Z udawaną obojętnością podszedł ku owej grupie. Spojrzenie Claytona stało się wręcz lodowate z pogardy, kiedy dostrzegł, e zebrani naśladowali grę na instrumentach, a jego „narzeczona” udawała, e dyryguje nimi niewidzialną batutą. Taka rola, dyrygowanie męczyznami, pomyślał Clayton zjadliwie, wyraźnie jej odpowiadała. Był ju bliski wyjścia drzwiami obok tych, którymi wszedł DuVille, gdy jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu.

– Cóż to za miła niespodzianka, spotkać pana tutaj - powiedziała Margaret Merryton.

Cała uwaga księcia skupiona była na Whitney. Zaczął odsuwać ramię, ale palce Margaret zacisnęły się mocniej.

– Nieprzyzwoita, nieprawda ? - szepnęła, podążając za jego spojrzeniem.

Trzydziestu czterech lat ścisłego stosowania się do pewnych zasad nie mo na było całkiem zlekceważyć, więc Clayton, choć gniewnie, spojrzał, by zobaczyć, która z pań zwraca się do niego. Był jednak tak wściekły, e trwało kilka chwil, zanim rozpoznał Margaret. Nazbyt rozgniewany, aby próbować ukryć tę niemiłą lukę w pamięci, patrzył półprzytomnie w jej orzechowe oczy, których wyraz zmienił się z uwielbienia do pełnej urazy niechęci. Z tarasu dobiegł wybuch śmiechu i głowa Claytona gwałtownym ruchem zwróciła się w tamtą stronę.

Dłoń dziewczyny zacisnęła się konwulsyjnie na jego ramieniu, a w ochryłym głosie Margaret zadźwięczała zraniona duma.

– Jeśli ma pan na nią a tak wielką ochotę, to niech pan ją sobie weźmie. Nie musi się pan martwić o Nickiego DuVille'a ani o Paula Sevarina. aden z nich nigdy się z nią nie oeni.

– A to dlaczego? - zaądał odpowiedzi, odsuwając ramię.

– Bo Paul właśnie odkrył to, co pan DuVille wie od lat: aden z nich nie był jej pierwszym! - powiedziawszy to, zobaczyła zbielełą twarz Claytona i gwałtownie poruszające się mięśnie jego zacisniętej szczęki, więc odwracając się na pięcie, syknęła jeszcze przez ramię: - Jeśli pana to interesuje, pierwszym był pewien stajenny. I właśnie dlatego wysłano ją do Francji.

Coś w nim pękło, uwalniając spod kontroli rozumu wszystkie emocje. Kiedy indziej wzruszyłby ramionami na rewelacje Margaret, gdy wystarczająco dobrze znał kobietę zazdrość, by rozpoznać ją na pierwszy rzut oka. Ale to nie było „kiedy indziej”. To był dzień, w którym zrozumiał, że Whitney bawi się nim jak głupcem, że jest perfidną oszustką.

Zatrzymał się, czekając aż DuVille zniknie, a potem chwycił za klamkę tarasowych drzwi i otworzył je szeroko. Znalazł się na tarasie tuż za Whitney i po prostu patrzył, gdy jeden z jej wstawionych adoratorów przyklęknął na jedno kolano.

– Panno Stone - artował ów młodzieniec, lekko już bełkocząc - wydaje mi się, że dwoje tak utalentowanych muzyków jak pani i ja... powinno stworzyć stały duet! Czy mogę mieć zaszczyt pani ramienia... nie, pani ręki w... - nagle umilkł, głośno przełykając ślinę, i utkwiał przerażony wzrok za plecami Whitney.

Zaśmiewając się z komicznych błazeństw młodego człowieka, Whitney spojrzała przez ramię, a potem na w pół odwróciła do Clayтона. Ogarnęło ją szczęście, więc uśmiechnęła się wesoło, ale uwaga księcia skupiona była na biednym panu Carlisle'u, który wciąż klęczał.

– Wstawaj! - warknął Clayton i dodał z miłą dawką sarkazmu: - Jeśli zamierzasz prosić pannę Stone o rękę, to będziesz musiał zaczekać, aż wyrosnie jej trzecia, bo teraz ma tylko dwie i obie już oddała. - Z tymi słowami chwycił dziewczynę za nadgarstki, ściskając je niczym w imadle, i obróciwszy się na pięcie, pociągnął ją za sobą.

Whitney biegła, próbując dotrzymać mu kroku, gdy przemierzał szeroki taras i schodził po frontowych schodach do powozu czekającego pod uliczną latarnią.

– Przestań, to boli! - Z trudem łapała powietrze, a po chwili, nastąpiwszy sobie na brzeg sukni, niemal upadła na kolana. Clayton pociągnął ją do góry z tak okrutną siłą, że ból przeniknął ją od nadgarstka do łopatki, a potem rzucił

po poleceniu stangretowi i ujawszy Whitney w talii, wpakował ją do powozu.

– Jak śmiesz! - syknęła, oburzona i wściekła, że tak haniebnie została wywleczone z domu Emily, i jeszcze na dodatek jest maltretowana. - Za kogo ty się uważasz?!

Konie ruszyły gwałtownie i Whitney opadła plecami na oparcie siedzenia.

– Za kogo się uważam? - powtórzył szyderczo Clayton. - No cóż, jestem twoim właścicielem. Zgodnie z twoimi własnymi słowami, ojciec cię sprzedał, a ja kupiłem.

Wpatrywała się w niego zaskoczona i zdezorientowana. W głowie miała zamęt, myśli kłębiły się jak szalony. Nie mogła pojąć, dlaczego Clayton wpadł

w taki sposób na niepowołane oświadczenia młodego Carlisle'a, skoro uprzednio przyjął z wesołą dobroduszością znacznie poważniejsze, wygłoszone przez kuzyna Cuthberta. Była przekonana, że ta noc przyniesie czułe pojednanie między nimi; teraz zaś ze zdumieniem dostrzegła, że stała się obiektem

furii narzeczonego zamiast uwielbienia.

Mimo to była absurdalnie szczęśliwa, e nie zignorował jej zaproszenia i doprawdy nie mogła obwiniać go za utratę panowania nad sobą, skoro ujrzał, e jeszcze inny mę czyzna proponuje jej mał eństwo.

– Pan Carlisle trochę się wstawił - powiedziała łagodnie - a jego oświadczyzny były tylko artem. On...

– Zamilcz! - rzucił, odwracając się ku niej i Whitney, pierwszy raz tej nocy, w migotliwym świetle kołyszącej się z boku powozu lampy zobaczyła okrutną, zjadliwą furie, która wręcz emanowała z siedzącego obok niej mę czyzny.

Z urodziwej twarzy księcia biła wściekłość, usta zacisnęły się w bezwzględną, groźną linię, a wzrok pełen był zimnej nienawiści. Pogardliwe spojrzenie Claytona wędrowało po niej, a potem jego oczy odwróciły się, jakby nie mógł znieść jej widoku.

Whitney nigdy w yciu nie doświadczyła takiej groźnej, straszliwej furii, ani te nikt nigdy nie spoglądał na nią z taką piekącą wzgardą, nawet ojciec. Miała wielką nadzieję, e w tych przenikliwych szarych oczach zobaczy dziś w nocy uśmiech albo ciepło... albo uczucie. Nigdy nie wyobra ała sobie, e mogłyby patrzeć na nią z tak przera ającą, zimną nienawiścią. Jej szok przeszedł w ból, a potem w strach. Milcząc, spoglądała za okno, a światła miasta zaczęły rzednąć, a odcinki pustej ciemności stawały się coraz dłu sze.

– Dokąd mnie zabierasz? - zapytała niepewnie, ale milczał zimno. - Claytonie -

niemal błagała - gdzie my jedziemy?

Obrócił się i spojrzał w jej piękną, przera oną twarz. Chciał ją udusić za to, e plugawiła swoje ciało z innymi mę czyznami, e zdradziła jego miłość i zawiodła zaufanie, i e zwróciła się do niego po imieniu teraz, kiedy ju wiedział, kim ona jest: fałszywą, małą suką, hojnie dzielącą się swym dojrzałym ciałem z ka dym parzącym się wieprzem, który ją o to poprosił. Oderwał się od myśli o Whitney oddającej się innym mę czyznom i nie odpowiadając na jej pytanie, ponownie z pogardą odwrócił wzrok.

Whitney próbowała zwalczyć narastający strach, koncentrując się na tym, gdzie są i w jakim kierunku zmierzają. Na północ! Zrozumiała to, gdy zjechali z głównego traktu. Kierowali się na północ! Teraz ona wpadła w zapamiętałą złość. Szybko wciągając oddech, stłumiła w sobie to, co pozostało z jej dumy.

– Zamierzałam ci powiedzieć, e chcę za ciebie wyjść. Nie ma potrzeby wywozić mnie do Szkocji, eby się ze mną o enić. Wyjdem...

– Nie ma potrzeby enić się z tobą? - przerwał jej Clayton z szyderczym śmiechem. - Tego się właśnie dowiedziałem. Nie mam jednak ochoty i najmniejszego zamiaru uciekać ani te dalej forsować koni. Przebiegły ju dzisiaj pół Anglii w pogoni za tobą.

Powóz gwałtownie skręcił na zachód, wjeżdżając na gładką, ale mniej uczęszczaną drogę i w tym samym momencie dotarła do niej cała doniosłość jego słów. Jeśli przez cały dzień był w drodze, „w pogoni za nią”, to z pewnością dzisiaj wrócił do miasteczka i usłyszał plotki o jej zaręczynach z Pauliem.

– Mogę wyjaśnić wszystko o Paulu. - Błagalnie położyła dłoń na jego ręce. -

Widzisz...

Palce Clayтона zacisnęły się na dłoni Whitney, wrywając z jej ust jęk bólu.

– Jestem zachwycony, że tak bardzo chcesz mnie pieścić - sarkastycznie cedził

słowa - gdy wkrótce będziesz miała okazję właśnie to robić. - Z niesmakiem zrzucił jej rękę ze swego ramienia. - Ponieważ powóz nie jest jednak miejscem, gdzie mogłabyś naleć się zademonstrować uczucia, będziesz musiała zapanować nad namiętnością jeszcze przez pewien czas.

– Zapanować nad moją...? - zaniemówiła, a potem zapytała z nadzieją: - Jesteś pijany?

Wargi Clayтона wykrzywiły się z cynicznym rozbawieniem.

– Nie jestem pijany, więc nie musisz się martwić, że nie będę zdolny do spełnienia... - podkreślając ostatnie słowo, sprawił, iż zabrzmiało ono złowieszczo, a potem niemal łagodnie dodał: - Teraz powinnaś spać. Masz przed sobą długą i wyczerpującą noc.

Przerała ona jego urąganiem i dotknięta oburzeniem, z jakim na nią patrzył, oderwała wzrok od Clayтона. Nie miała pojęcia, o czym mówił. Wszak była na granicy histerycznego przerażenia, a on siedział obok, kładąc jej panować nad namiętnością i zapewniając, że będzie zdolny do „spełnienia...”. W ciemności powozu wulgarna nie-delikatność tego niedopowiedzenia przedarła się wreszcie przez burzę niepokoju i oczy Whitney zogniewiły ze strachu. Teraz rozumiała jego zamiary!

Wpatrywała się w rozgwieżdżoną noc, szukając świateł jakiejś wsi, domu, cokolwiek, gdzie mogłaby szukać schronienia. Przed sobą, po swojej stronie drogi, widziała kilka latarni... chyba zajazd albo miejsce zmiany pocztowych koni, pomyślała. Nie wiedziała, jakich dozna obrażeń, wyskakując z powozu i nie przejmowała się tym, byle tylko mogła wstać i biec... biec do owych świateł

obok drogi.

Przygryzając drżącą wargę, ostro nie, powolutku, przesuwała dłoń wzdłuż spódnicy ku klamce, aby otworzyć drzwi. Rzuciła ostatnie, po egualne spojrzenie na kamienny profil męczyzny siedzącego obok i poczuła, jakby coś w niej umierało.

Ściskając zamknięte powieki, próbowała opanować piekące łzy, które oślepiłyby ją w czasie skoku z powozu. Przesuwała palcami wzdłuż obitych skórą drzwiczek, a poczuła twarde, zimne metalne klamki. Minęło jeszcze kilka sekund, zanim zrównali się z otwartą bramą wiodącą na dziedziniec zajazdu, a konie zwolniły na pagórkowatym terenie. Palce Whitney zacisnęły się... nagle dłoń Clayтона

zamknęła się na jej ręce, odrywając ją od drzwiczek powozu.

– Nie bądź tak niecierpliwa, moja droga. Pospolity przydrożny zajazd nie jest właściwym miejscem dla naszej pierwszej nocy. A może wolisz takie zajazdy na swe małe schadzki? - Mocnym ruchem ręki cisnął ją na siedzenie naprzeciw siebie. - Wolisz? - powtórzył głosem pełnym pasji.

Z bijącym sercem Whitney obserwowała powiększającą się odległość między zajazdem i powozem, a wraz z owym dystansem zniknęła jej nadzieja ucieczki.

Prawdopodobnie nie zdołała ju ani zaskoczyć, ani pokonać Claytona.

– Osobiście - mówił dalej niemal przyjaźnie - zawsze wolałem wygody mojej Jaskini" od wątpliwej czystości i zużytej pościeli, jaką zwykle oferują w takich miejscach.

Zimne szyderstwo w końcu rozbiło jej kruche opanowanie.

– Jesteś... jesteś łotrem! - wybuchnęła.

– Skoro tak sądzisz - zgodził się obojętnie. - A jeśli nim jestem, wprost doskonale uprawnia mnie to do spędzenia tej nocy w łóżku z dziwką!

Whitney zacisnęła powieki i odchyliła głowę do tyłu, rozpaczliwie próbując utrzymać emocje pod kontrolą. Clayton był rozwścieczony w związku z Paulem i jakoś musi mu to wyjaśnić.

– To matka Paula Sevarina jest winna wszelkim plotkom, jakie słyszałeś -

wyszeptała w ciemność, konwulsyjnie dławiąc łzy. - Bez względu na to, co myślisz, kiedy tylko Paul wrócił do domu, powiedziałam mu, że nie mogę za niego wyjść. Nie mogłabym powstrzymać plotek, zostając w domu, więc pojechałam do Londynu...

– Te plotki podążą ły za tobą, moja droga - odpowiedział jedwabistym głosem.

- A teraz przestań mnie zanudzać swoimi wyjaśnieniami.

– Ale...

– Milcz - ostrzegł Clayton z ponurym spokojem - albo zmienię zdanie i nie czekając, a znajdziemy się w wygodnym łóżku, wezmę cię tu i teraz.

Serce Whitney zmroziło zimnym przerażeniem.

Jechali ju niemal dwie godziny, gdy powóz zwolnił i minął jakąś bramę.

Oszłomienie i wyczerpanie, które przyniosły jej błogosławione odrętwienie, zniknęły natychmiast i Whitney zeszywniała, spoglądając przez okno na światła majaczące w oddali wielkiego domu.

Gdy dojechali przed schody, serce biło jej tak, że ledwie mogła oddychać.



Ksią ę wyskoczył na zewnątrz, a potem wyciągnął ją z powozu.

– Nie wejdę do tego domu! - zawołała, szarpiąc się w jego uścisku.

– Trochę późno, byś teraz podejmowała próby ochrony swej cnoty - szydził, unosząc ją na rękach.

Dłonie Claytona wbijały się w udo i talię dziewczyny, gdy wniósł ją do słabo oświetlonego holu i ruszył po bezkresnych, wygiętych w łuk schodach.

Jakaś rudowłosa pokojówka wybiegła na galerię i Whitney ju otworzyła usta, by wzywać pomocy, lecz zdławiła krzyk, gdy palce Claytona boleśnie wbiły się w jej ciało.

– Idź spać! - warknął do kobiety, która obserwowała ich wejście ogromnymi, pełnymi niedowierzania oczami.

– Proszę, proszę, przestań! - błagała Whitney, gdy kopniakiem otworzył drzwi jakiegoś pomieszczenia i wszedł do środka. Jej umysł mgliście zarejestrował

wspaniałe umeblowanie i ogień płonący w palenisku ogromnego kominka po przeciwnej stronie pokoju, ale meblem, który ściągnął na siebie całą uwagę jej szeroko otwartych oczu, było stojące na podwyższeniu, olbrzymie łóżko, do którego niósł ją Clayton.

Rzucił ją bezceremonialnie na posłanie, po czym odwrócił się na pięcie i przeszedł przez pokój, kierując się w stronę drzwi. Przez jedną chwilę Whitney pomyślała z ulgą, że zamierzał wyjść, lecz on, zamiast tego, z nieodwołalnością śmiertelnego ciosu tylko zasunął rygiel.

Sparaliowana strachem obserwowała, jak przeszedł obok łóżka w stronę kominka po przeciwnej stronie pokoju. Rzucił się na jedną z ustawionych tam sof i siedział przez kilka minut, spoglądając na Whitney, jakby była jakimś dziwnym, właśnie pojmanym przez zwierzęciem, osobliwością zniekształconą i niemiłą jego oczom.

Ciszę przerwał w końcu rozkaz rzucony zimnym, obcym głosem:

– Chodź tu, Whitney.

Całe jej ciało wzdrygnęło się gwałtownie. Pokręciła przecząco głową i cofnęła się w stronę poduszek, rzucając wzrokiem najpierw ku oknom, a potem ku drugim drzwiom. Czy zdoła dotrzeć do okna albo do tych drzwi, zanim on ją pochwyci?

– Mo esz spróbować - powiedział Clayton. - Ale obiecuję, że tego nie zrobisz.

Dławiąc paniczny szloch, usiadła wyprostowana, walcząc z histerią podchodzącą jej do gardła.

– Jeśli chodzi o Paula...

– Wypowiedz jego imię jeszcze raz, a zabiję cię, tak mi dopomóż Bóg! -

zawołał wściekle Clayton, po czym stał się przera ająco uprzejmy. - Mo esz mieć Sevarina, jeśli on jeszcze cię zechce, ale o tym wszystkim mo emy podyskutować później. Teraz zaś, moja droga, czy zamierzasz podejść tu sama, czy te muszę ci w tym pomóc?

Spojrzał na nią, pozwalając, aby się przez chwilę zastanowiła.

- A zatem...? - zagroził, unosząc się z miejsca.

Nie chcąc prosić ani dawać mu dodatkowej satysfakcji z pokonania jej, Whitney wstała z łó ka. Próbowwała trzymać głowę wysoko, by wyglądać wzgardliwie i dumnie, ale nogi miała jak z waty i kiedy znalazła się w odległości dwóch kroków od Clayтона, odmówiły jej posłuszeństwa. Stała, wpatrując się w niego oczami lśniącymi od łez.

Zerwał się z sofy.

- Odwróć się! - rzucił.

Zanim zdą yła zaprotestować, chwycił ją za ramiona i odwrócił, po czym jednym szybkim ruchem rozdarł jej suknię. Whitney usłyszała trzask pękającej tkaniny. Obciągnięte jedwabiem guziki rozsypały się na dywanie, lśniąc w świetle padającym z kominka. Clayton ponownie odwrócił ją ku sobie i uśmiechnął się niechętnie.

- Te suknię te kupiłem - przypomniał jej, po czym usiadł, wyciągnął przed siebie długie nogi i przez kilka chwil obserwował, jak Whitney bezradnie próbowała przytrzymać na piersiach śliski jedwabny stanik.

- Puść go! - rozkazał.

Jedwabny stanik sukni wyslizgnął się z jej palców, a Clayton przyglądał się beznamiętnie, jak strumień doskonałego jedwabiu w kolorze kości słoniowej z szelestem zsuwa się z bioder i smukłych nóg Whitney, układając się w stos u jej stóp.

- A reszta? - zapytał ironicznie.

Tłumiąc w sobie upokorzenie, dziewczyna zawahała się, a potem wyszła z usztywnionych halek i stanęła przed nim ubrana jedynie w cieką koszulę.

Wiedziała, e Clayton czeka, by zdjęła równie i to... chciał, aby całkowita nagość była jej upokorzeniem. Zamierzał ją ukarać za plotkę o Paulu, strasząc w ten sposób. Có , była ju wystarczająco przera ona i poni ona, ukarana za wszystko, co kiedykolwiek zrobiła i co sądził, e zrobiła. Zaczęła się cofać w niemym buncie.

Clayton zerwał się błyskawicznie, zanim zdołała zrobić kolejny krok. Jego ręka zacisnęła się na cienkiej koronce u wycięcia koszuli. Piersi Whitney unosiły się i opadały w szybkim, urywanym oddechu. Spojrzała na silną, wypielęgowaną dłoń mę czyzny, tę samą dłoń, która kiedyś pieściła ją z tkliwą namiętnością. Nagle ta dłoń zacisnęła się gwałtownie i jednym szarpnięciem rozerwała cieką bieliznę, zdzierając ją z ciała Whitney.

– Idź do łóka - rozkazał zimno.

Ze wstydem skrywając swą nagość, Whitney pomknęła do wielkiego, baldachimowego łóka i szybko podciągnęła prześcieradła pod szyję, jakby one mogły ochronić ją przed tym człowiekiem. Nie wierząc własnym oczom, zobaczyła, e Clayton zrzucił surdut. Potem rozpiął i zdjął koszulę, a Whitney wpatrywała się nieprzytomnie w drgające mięśnie jego potężnych ramion i rąk.

Nagle odwróciła głowę do ściany i mocno zacisnęła powieki. Jego kroki zbliżyły się do łóka, a gdy otworzyła oczy, zobaczyła go, górującego groźnie, nad sobą.

– Nie okrywaj się przede mną! - Chwycił prześcieradło i wydarł je z zaciśniętych palców Whitney. - Chcę zobaczyć, za co zapłaciłem tak szczerze!

Na jego twarzy ukazał się wyraz bólu. Omiótł wzrokiem jej nagie ciało, a potem zacisnął gwałtownie szczęki.

Drąc w ataku strachu, Whitney patrzyła na jego twardą, bezwzględną twarz, podczas gdy jej udręczona dusza nakładała na ten obraz inne, tkliwe wspomnienia. Widziała, jak z twarzą zbielełą z trwogi pochylił się nad nią tego dnia, kiedy spadła z konia. Widziała, jak patrzył czule w jej oczy tego dnia, gdy pocałowała go przy strumieniu... „Mój Boże, jesteś słodka”, wyszeptał wtedy.

Pomyślała o owej nocy, kiedy nauczył ją grać w karty i uprawiać hazard etonami. Przypomniała sobie, jak tak niedawno, zaledwie kilka dni wcześniej, stał obok niej na balu u Ruthefordów i z dumą przedstawiał ją jako swoją narzeczoną.

Ciocia Annę miała rację; Clayton naprawdę ją kochał. Kochał ją, a w zamian za jego uczucie i szczerść ona spowodowała, e ten dumny męczyzna stał się obiektem publicznej wesołości. Miłość i chęć posiadania przywiodły go do wyrządzenia jej tej strasznej rzeczy... to ona doprowadziła go do tego, tak długo protestując przeciwko swym uczuciom do niego i trwając w zaślepieniu i determinacji, by poślubić Paula. Teraz Clayton zamierzał ją zmusić, by znalazła się z nim w łóku, eby ją skompromitować... eby nie pozostawić jej adnego wyboru oprócz poślubienia właśnie jego, a nie Paula.

Whitney była pewna, e właśnie o to mu chodziło.

Myliła się jednak.

Gdy Clayton stał tak, patrząc na nią z góry, nagle... nie poczuł ani pragnienia jej nagiego ciała, ani nawet chęci zemsty. Odczuwał jedynie narastającą wzdargę i niechęć. Leąc tutaj, ze swymi błyszczącymi włosami rozsypanymi na gładkich ramionach i pięknymi, zdradzieckimi, zielonymi oczami utkwionymi w jego twarzy, Whitney Stone stanowiła żywy dowód, e był kompletnym głupcem. Wystrychniętym na dudka i naiwnym.

Zmarnował fortunę liczoną w pieniądzach i zainwestował bogactwo marzeń w wyrachowaną, małą dziwkę... i teraz niemal pozwolił, by przywiodła go do popełnienia gwałtu. Świadomość tego faktu napęliła go mdlącym niesmakiem i sięgnął po rękę Whitney, zamierzając ściągnąć dziewczynę z łóka.

ka, kazać się ubrać, a potem odesłać do domu.

Whitney nie miała pojęcia, e jego zamiar uległ zmianie. Wiedziała jedynie, e wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej daleki i okrutny, a jej strach otworzył drogę jeszcze głębszemu alowi i wyrzutom sumienia. Oczy piekły ją od łez; poło yła dr ące palce na piersi Claytona akurat wtedy, gdy jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu.

– Ja... ja przepraszam - wyszeptała zduszonym głosem. - Tak bardzo cię przepraszam. Czy mo esz mi wybaczyć... jeszcze tylko raz... jak czyniłeś to w przeszłości?

Spojrzał na jej twarz zmr onymi oczami, a potem usta wykrzywił mu cyniczny uśmiech.

– Oferujesz mi pokaz skruchy, Whitney?

Z sercem pełnym strachu i poczucia winy zawahała się, a potem niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

– W takim razie jedno z nas jest przesadnie wystrojone - odparł, prostując się gwałtownie, a jego ręce powędrowały do paska od spodni.

Whitney zacisnęła powieki, mocno zamykając oczy. Łó ko poruszyło się, a Clayton opadł obok niej i oparty na łokciu, wolną rękę przesunął po jej nagim ramieniu, a potem śmiało ujął pierś.

– No, poka - zachęcał, dra niąc kciukiem jej sutek - poka , jak mnie przepraszasz.

Nie zwa ając na donośny protest sumienia, Whitney spełniła wolę Claytona, pozwalając jego palcom obudzić przeszywające doznanie, które niczym fala ogarnęło ją całą. Nie walczyła. Była gotowa pokazać, jak go przeprasz... była gotowa pozwolić, by to zrobił.

Usta Claytona rozsunęły jej usta w głębokim, powolnym pocałunku, który próbowała oddać mu z całą miłością i skruchą swego zbolełego serca.

– Bardzo jesteś milutka, kochanie - wymruczał, wędrując rękami po jej ciele. -

Przypuszczam jednak, e ju wcześniej to słyszałaś.

Jego wargi wypaliły gorący ślad od jej szyi do ró owych pełnych piersi.

Nagle usta Claytona zamknęły się ciasno na sutku Whitney, a zabrakło jej tchu z trwo nej rozkoszy. W jednej chwili jego palce ruszyły w dół, a odkryły miękkie wzniesienie włosów, ona zaś zadr ała. Nie zwa ając na ów przestach, dra niąc pieścił właśnie te miejsca, gdzie jego dotyk wywoływał przenikające ją fale po ądania.

Whitney poddawała się bezradnie palącemu, przeszywającemu ją pragnieniu, które Clayton umiejętnie w niej rozbudził, choć powoli zaczynała ogarniać ją nieznana trwoga. W tym, jak jej dotykał, było coś innego, coś złego! Jego pocałunkom brakowało wcześniejszego uwielbienia, a pieszczoty pozbawione były tkliwej namiętności...

Z jej ust wyrwał się gardłowy jęk.

– Tak właśnie lubisz, prawda? - urągał jej niskim szeptem, a potem przestał. -

Nie chcę, byś rozkoszowała się tym za bardzo - wyjaśnił gwałtownie i zwałił

się na nią całym ciężarem, wciskając kolano między jej nogi, a potem chwycił jej biodra, uniósł je i w tym samym momencie cynizm brzmiący w jego głosie sprawił, że otworzyła oczy. Zobaczyła surową, zawziętą twarz Clayтона akurat w chwili, gdy cofnął się, a potem wbił w nią całym sobą.

Rozzerwał ją piekący ból, więc krzyknęła, kryjąc twarz w dłoniach. Z ust mę -

czyzny wyrwało się wściekłe przekleństwo. Cofnął się gwałtownie, a Whitney zeszywniała pełna trwogi, próbując zebrać siły przed następnym rozdzierającym bólem, który nadejdzie, gdy ten męczyzna wedrze się w nią znowu...

Jednak ból nie nadszedł; Clayton pozostał nieruchomy.

Whitney powoli odsunęła dłonie z twarzy. Przez mgłę łez zobaczyła go nad sobą. Miał odrzuconą do tyłu głowę, mocno zaciśnięte oczy, a jego oblicze przypominało maskę udręczenia i męki. Gdy patrzyła na tę zbolaną twarz, jej ciało gwałtownie zatrzęsło się tłumionymi spazmami szlochów, a ciężar w sercu stał się większy, niż mogła znieść. Chciała być pocieszana, tulona i irracjonalnie szukała tego ukojenia u swego dręczyciela. Wstrząsana konwulsyjnym płaczem, wyciągnęła ręce, oplótła je wokół potę nych ramion męczyzny i przyciągnęła go do siebie.

Z druzgoczącym ałem Clayton objął Whitney delikatnie i położył się obok niej. Bez słowa ukryła twarz w jego nagiej piersi i płakała. Wypłakiwała całe swe przerażenie w przeraźliwym szlochu, który wstrząsał jej smukłym ciałem z taką gwałtownością, że Clayton myślał, iż ów płacz rozdrze ją na części. Leżała tu, przytulona, podczas gdy on karał samego siebie słuchaniem tłumionego płaczu Whitney i chłostał się łzami, które płynęły z jej oczu, opadając na jego tors.

– Ja... ja powiedziałam Paulowi... e... e za niego... nie wyjdę... - płakała Whitney. - Ta... ta plotka... to nie moja wina...

– To nie twoja wina, maleńka - wyszeptał głosem szorstkim z emocji. - Nie zrobiłbym ci tego z jej powodu.

– Więc dlaczego to zrobiłeś? - zapytała zduszonym szeptem. Clayton wydał z siebie bolesne westchnienie.

– Myślałem, że spałaś z Paulem. I z innymi.

Płacz Whitney gwałtownie umilkł. Naciągając prześcieradło na swe nagie piersi, uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego pełnymi pogardy zielonymi oczami.

– Ach... myślałeś! - syknęła i wyrwała się z jego objęć, odwracając twarz do ściany.

Przekonanie, że ją kochał, pierzchnęło i w oślepiającym błysku mdlącego upokorzenia zrozumiała, że Clayton zrobił to, aby ją poniżyć. Jego monstrualna duma wymagała takiej, niedającej się wyrazić słowami zemsty za jakąś wymyśloną zbrodnię!

ale wezbrał w sercu Whitney, gdy sobie

uświadomiła, że poddała się bez walki. Clayton jej nie oszukał. To ona oszukała samą siebie. Nie skradł jej cnoty, sama mu ją dała. Sama mu ją dała.

Tonąc we wstydzie i nienawiści do samej siebie, z wysiłkiem przyciągnęła cię kiedy, by się zasłonić.

Clayton zobaczył to i przysunął się, by okryć czule jej kochane, nagie ciało.

Uświadomiwszy sobie zbyt późno, że do wyrządzonej krzywdy dodał właśnie zniewagę, położył dłoń na ramieniu Whitney, delikatnie próbując odwrócić ją ku sobie.

– Jeśli pozwolisz - błagał - chciałbym wyjaśnić...

Wściekle odtrąciła jego dłoń.

– Chętnie zobaczę, jak próbujesz! Ale zrób to listownie, bo jeśli kiedykolwiek ponownie zbliżysz się do mnie lub do mojej rodziny, to cię zabiję!

Przysięgam, że cię zabiję!

Wymowę tej śmiałej groźby osłabił szloch, który po niej nastąpił i wydawał

się trwać wiecznie, a Whitney zapadła w pełen udręki sen.

Jego wysokość Clayton Robert Westmoreland, książę Claymore, spadkobierca trzystu lat szlachectwa, właściciel posiadłości i bogactw tak ogromnych, że trudno je było porównać z czymkolwiek, leżał obok jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochał, nie mogąc jej ani pocieszyć, ani odzyskać.

Wpatrywał się w sufit, wspominając, jak zaledwie kilka godzin wcześniej dyrygowała grupką rozbawionych rzekomych muzyków.

Jak mógł jej to zrobić, zastanawiał się z bólem, skoro jedyne, czego pragnął, to rozpieszczać ją, kochać i chronić, a zamiast tego zimno i rozmyślnie pozbawił

ją niewinności. I czyniąc to, utracił więcej niż ona, bo „zdołał” stracić jedyną istotę, jaką kiedykolwiek naprawdę chciał posiadać: tę upartą, piękną dziewczynę leżącą obok niego. I palającą doń nienawiścią.

Przypomniawszy sobie te wszystkie szorstkie, wulgarne rzeczy, jakie powiedział

jej w powozie i w tym pokoju. Ka de poni ające ją słowo i ka dy pieszczący dotyk, jakim ją upokorzył, przesuwały się teraz w pamięci Clayтона, przynosząc mu ostry, dojmujący ból, więc karał się, powtarzając w myślach wielokrotnie wszystko, co jej powiedział i uczynił.

Przed świtem odwróciła się na plecy. Clayton pochylił się nad nią i czule odgarnął niesforny lok jej mahoniowych włosów z gładkiego policzka, a potem położył się z powrotem, by patrzeć, jak spała. Wiedział bowiem, że to był

ostatni raz, kiedy Whitney Stone miała spoczywać obok niego.

Whitney obudziła się następnego ranka z niejasnym uczuciem, że coś pobolewa ją między nogami. Mrugając powiekami, odwróciła się na plecy. Jej umysł trwał jeszcze w oszołomieniu, gdy półprzymkniętymi, zaspanymi oczami rozglądała się wokół.

Leżała w jakimś ustawionym na podwyższeniu, gigantycznym łóżku.

Ogromny pokój był dziesięciokrotnie większy niż największa sypialnia w jej domu, a przy tym wytwornie umeblowany. Spojrzała półprzymkniętymi na gruby ciemnozielony dywan okrywający podłogę. Cała lewa ściana była rozległą taflą szkła - wielkim oknem przedzielonym kamiennymi słupkami, a w ścianie, którą Whitney widziała naprzeciwko siebie, znajdował się marmurowy kominek tak ogromny, że z łatwością można by stanąć w palenisku. Dwie pozostałe ściany pokryte były szerokimi, bogato rzeźbionymi kasetonami z różnego drewna, a na nich obwieszono wspaniałymi gobelinami. Whitney ze znużeniem zamknęła oczy i zaczęła z powrotem pograć się w spokój snu. To dziwne, że spała w pokoju, który wydawał się tak męski...

Nagle otworzyła gwałtownie oczy i sztywno usiadła w łóżku. Jego łóżko!

Jego pokój! Ktoś otworzył drzwi, więc skuliła się ponownie, naciągając jedwabne prześcieradła na nagie piersi. Drobną, rudowłosą pokojówką, którą Whitney widziała w nocy na galerii, weszła, niosąc jej pozszywaną suknię oraz bieliznę i starannie powiesiła wszystko na drzwiach wiodących do gotowalni.

Kiedy się odwracała, by wyjść, zobaczyła spoglądającą z uwagą, skuloną w łóżku Whitney, sięgnęła więc po elegancki atłasowy peniuar przygotowany na krześle.

- Dzień dobry pani - powiedziała, podchodząc do łóżka, a Whitney z goryczą zauważyła, że słuchaczka nie okazała zdziwienia, widząc nagą kobietę w łóżku swego pana. Widocznie nie było to faktem nadzwyczajnym. - Mam na imię Mary - mówiła dalej pokojówka miłym irlandzkim akcentem, wyciągając rękę z przewieszonym atłasowym peniwarem. - Czy mogę pomóc pani wstać?

Zawstydzona aż do głębi, przyjęła wyciągniętą rękę słuchaczki i niepewnie wstała z łóżka.

- Bo że miłosierny! - jęknęła Mary z oczami utkwionymi w splamionych krwią jedwabnych prześcieradłach. - Co on pani zrobił?!

Whitney stłumiła wybuch histerycznego śmiechu, dostrzegając głupotę tego pytania.

– Zniszczył mnie! - wyjąkała.

Mary jak zahipnotyzowana wpatrywała się w krwawe plamy.

– Zapłaci za to straszną cenę na Sądzie Ostatecznym. Pan Bóg mu tego łatwo nie wybaczy... Pan jest, jaki jest, i zna się lepiej, a pani... dziewica! -

Oderwała oczy od prześcieradeł i zaprowadziła Whitney do marmurowej łazienki, sąsiadującej z sypialnią.

– Mam nadzieję, e Bóg mu nie wybaczy! - szeptała Whitney, wchodząc do ciepłej kąpieli. - Mam nadzieję, e będzie się sma yć w piekle! ałuję, e nie miałam no a, abym mogła wydrzeć mu serce!

Mary zaczęła myć jej plecy, ale Whitney wzięła od niej szmatkę i sama postanowiła wyszorować ka dą część swego ciała, której dotykał Clayton. Nagle ręka jej zamarła. Jakie szaleństwo ją opętało, eby tak posłusznie wejść do tej wanny, skoro powinna ju być ubrana i planować sposób ucieczki? Ścisnęła nadgarstek pokojówki i popatrzyła na nią błagalnym wzrokiem.

– Muszę wyjść, zanim on wróci, Mary. Proszę, pomó mi znaleźć jakąś drogę wyjścia stąd. Nie uwierzysz, jak okropnie mnie zranił. Te rzeczy... straszne rzeczy... które mi powiedział... Jeśli stąd nie ucieknę, on będzie... on zrobi mi to znowu.

Pokojówka spojrzała na Whitney zmieszanymi, pełnymi alu oczami i delikatnie pogłaskała ją po głowie.

– Jego wysokość nie będzie wchodzić do tego pokoju ani zatrzymywać tu pani.

Sam mi powiedział, e tylko ja mam się panią zajmować. Powóz czeka ju na panią przed domem i kiedy będzie pani ubrana, ja sama mam panią odprowadzić na dół.

Dwa piętra nad głównym wejściem do swego domu Clayton stał w oknie, czekając, aby po raz ostatni ją zobaczyć. Czekając, by ją po egnąć. Drzewa pochylały się i wzdychały na wietrze, kłaniając się głęboko, gdy Whitney wychodziła w dzień równie posepny i ponury jak jego dusza.

Szła długim łukiem schodów do czekającego powozu, a wiatr chwycił jej włosy, szarpiąc je wokół twarzy.

Na najniższym stopniu przystanąła i przez jedną boleśnie dręczącą chwilę Clayton myślał, e się odwróci i spojrzy ku niemu. Bezradnie wyciągnął dłoń, pragnąc przesunąć palcami po jej miękkim, jedwabistym policzku. Ale dotknął

jedynie zimnej tafli szkła. Jakby instynktownie wyczuwając, e ją obserwuje, Whitney uniosła głowę w ten swój królewski sposób, podrzuciła nią buntowniczo i nie oglądając się, wsiadła do powozu.

Szklaneczka brandy, którą trzymał ksią ę, roztrzaskała się w jego zaciśniętej dłoni i spojrzawszy w dół, zobaczył jaskrawoczerwone krople kapiące mu z palców.



– Chyba dostanie pan teraz zakażenia krwi, wasza wysokość - z pewną dozą satysfakcji powiedziała, stając niespodziewanie w drzwiach, Mary.

– Niestety, chyba nie - odrzekł Clayton bezbarwnie.

Whitney skuliła się w kącie powozu z myślami wirującymi zawrotnie w ciasnym kręgu wstydu, niedoli i gniewu. Myślała o tych wulgarnych rzeczach, które jej powiedział, o owej biegłości, z jaką ręce Clayтона przesuwają się po niej, umiejętnie wydobywając niezamierzoną odpowiedź z jej zdradzieckiego ciała.

Gorycz rosnąca w gardle dławiała ją coraz mocniej. ałowała, e nie umarła...

nie, ałowała, e to on nie umarł! Miniona noc była tylko początkiem upokarzającego koszmaru, który przyjdzie jej znieść. Michael Archibald będzie niewątpliwie nalegał, eby Emily odesłała ją do domu, gdy nie pozwoli, aby jego ona przyjaźniła się z kobietą o wątpliwej reputacji. Nawet gdyby Emily zdołała go przekonać, e przyjaciółka została zmuszona do spędzenia nocy z Claytonem Westmorelandem, to Whitney nadal będzie uważana za równie zhańbioną, co nieprzyzwoitą i nikt z dobrego towarzystwa nie zechce jej przyjmować.

Walcząc z falą mdłości, odchyliła głowę do tyłu. Będzie musiała wymyślić jakieś prawdopodobne usprawiedliwienie, by wyjaśnić Archibaldom, dlaczego zniknęła na całą noc. W przeciwnym razie zostanie skazana na banicję z kręgu przyzwoitych ludzi i pozbawiona towarzystwa najlepszej przyjaciółki. Spędzi życie w samotnej hańbie, jedynie z ojcem u boku.

Po blisko godzinie w końcu przygotowała sobie usprawiedliwienie, które mogła przedstawić Michaelowi i Emily; wydawało się trochę mętne, ale mogłoby ich zadowolić, gdyby nie zadawali pytań. Teraz czuła się mniej przerażona, ale nieskończenie bardziej samotna i bezbronna. Nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić po pociechę i zrozumienie.

Mogła napisać do lady Annę do Lincolnshire i poprosić ją, aby przyjechała do Londynu. Lecz cóż mogłaby zrobić ciocia oprócz postawienia Claytonowi pytania, czy natychmiast poślubi jej siostrzenicę? Jaką karą byłoby to dla niego, pomyślała Whitney z sarkazmem. Dostałby dokładnie to, czego zawsze pragnął, a ona byłaby skazana na małżeństwo z człowiekiem, którego postanowiła nienawidzić do końca życia. Gdyby Whitney odmówiła poślubienia księcia, ciocia Annę naturalnie zwróciłaby się do wuja Edwarda po radę. Kiedy zaś lord Gilbert dowiedziałby się, co uczynił Clayton, prawdopodobnie zażądałby, aby winowajca dał mu satysfakcję, co oznaczałoby pojedynek, którego za wszelką cenę trzeba uniknąć. Po pierwsze bowiem pojedynek się zostało obecnie zabronione, po drugie zaś Whitney była przerażona, że ten łotr zabiłby jej wuja.

Jedynym innym wyjściem byłoby dochodzenie sprawiedliwości przez sąd, ale proces i związany z nim publiczny skandal zniszczyłby Whitney na zawsze.

Tak więc zmuszona była znosić swój ból i wstyd samotnie, nie mając adnego sposobu wzięcia odwetu na tym diable! Ale jeszcze coś wymyśli, powiedziała sobie pocieszająco. Kiedy następnym razem Clayton się do niej zbliży, będzie przygotowana. Kiedy następnym razem Clayton się do niej zbliży? Dłonie Whitney zacisnęły się mocno, a pot wystąpił na czoło. Umrze, jeśli ten człowiek

kiedykolwiek znów do niej podejdziesz. Zabije się, zanim pozwoli mu się dotknąć! Gdyby tylko spróbował się do niej odezwać, gdyby jej dotknął, zaczęłaby krzyczeć i nie byłaby w stanie przestać!

Wszyscy słuchający lordostwa Archibaldów wydawali się kręcić w korytarzach, obserwując Whitney ze źle skrywaną pogardą, kiedy weszła do domu. Z wysoko uniesioną głową przemaszerowała męnie obok lokaja, trzech odźwiernych i pół

tuzina pokojówek. Ale gdy zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju i oparła się o nie, całe jej ciało się trzęsło, a usta drżały. Chwilę później napadła na nią Clarissa nastroszona niczym oszalała i trzaskając szufladami, mruzczała pod nosem o bezwstydnym dziewczynach i plamach na honorze rodziny.

Whitney skryła upokorzenie za kamiennym wyrazem twarzy i zrzuciła z siebie znienawidzoną jedwabną suknię w kolorze kości słoniowej, nieśmiało sięgając po peniarz, podczas gdy wzrok Clarissy podejrzliwie wędrował po jej nagim ciele.

– Twoja nieszczęsna, kochana matka z pewnością przewraca się w grobie -

odezwała się pokojówka, opierając ręce na pulchnych biodrach.

– Przestań mówić takie głupstwa - odparła z rozpaczą Whitney.

– Moja matka spoczywa w pokoju, bo wie, że nie zrobiłam nic, czego musiałabym się wstydzić.

– No cóż, szkoda tylko, że słuchający w tym domu tego nie wiedzą

– powiedziała Clarissa, nadymając się gniewnie. - Są zarozumiali jak królowie i wszyscy szepczą o tobie!

Rozmowa, którą po południu Whitney odbyła z Emily, była jeszcze bardziej upokarzająca. Emily po prostu siedziała, słuchając uważnie mętnej opowieści Whitney o tym, jak ksiądz ją zabrał na inne przyjęcie po drugiej stronie miasta, a kiedy zrobiło się zbyt późno, by wracać, nieznana z nazwiska gospodyni uparła się, by Whitney spędziła tam noc. Pod koniec opowieści Emily pokiwała głową z pełnym i bezwzględny rozumieniem, ale jej śliczna szczerza twarz odzwierciedlała oszołomienie, które było gorsze niż wszelkie oskarżenia.

Emily poszła prosto do gabinetu swego męża.

– Tak więc widzisz - powiedziała zdecydowanie pewnym głosem, choć jednocześnie z niepokojem wpatrywała się w twarz Michaela - to wszystko było całkowicie niewinne i wcale nie skandaliczne. Wierzysz jej wyjaśnieniom, nieprawda, kochany? - pytała błagalnie.

Michael odchylił się na oparcie fotela i patrzył na swoją młodą onę.

– Nie - odparł spokojnie. - Nie wierzę - oświadczył i przyciągnąwszy onę, posadził ją sobie na kolanach. Przez długą chwilę uważnie wpatrywał się w jej oszołomioną twarz, a potem dodał łagodnie: - Ale wierzę w ciebie i jeśli ty mówisz mi, że jest niewinna, to uwierzę.

– Kocham cię, Michaelu - odrzekła po prostu Emily, czując ogromną ulgę. -

Whitney nie zrobiłaby niczego nieprzyzwoitego, jestem o tym przekonana!

Whitney bała się wieczornego posiłku, ale Emily i jej mąż sprawiali wrażenie zupełnie spokojnych i naturalnych. W istocie baron nalegał nawet, aby została u nich a do wesela Elizabeth, które miało się odbyć za miesiąc. Wydawał się tak szczery, a Emily tak pragnęła zatrzymać ją na dłużej, a dziewczyna z wdzięcznością i radością przyjęła ich zaproszenie. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, był powrót do domu oraz do ojca i stawienie czoła pogłoskom o zaręczynach z Paulem. Jednak gdy tej nocy położyła się spać, ogarnęła ją fala samotności i rozpacz. Ałowała, a nie ma tu cioci, która wskazałaby jej, co robić, ale w głębi duszy wiedziała, a lady Annę, czy te jakakolwiek inna osoba, nie zdołałaby nic uczynić, eby jej pomóc. Będzie musiała znieść to sama.

Od tego dnia na zawsze pozostanie sama. Nie będzie mogła mieć męża ani dzieci, ponieważ aden przyzwoity mąż czyżna jej nie zechce. Była splamiona, brudna, została wykorzystana przez Claytona. Zawsze chciała kiedyś mieć dzieci, a teraz nie będzie mogła. Ból osamotnienia i pustki ścisnął jej serce.

Nie chce mieć męża, powiedziała sobie z goryczą. Nie zależy jej na adnym innym mężu czyżnie, ani na tym, by znosić dotyk jego rąk. W całym jej życiu było jedynie dwóch mężów, których chciała poślubić: Paul, który okazał się płytki i słaby, oraz Clayton, który był... zwierzęciem. Paul tylko ją rozczarował, ale Clayton ją zniszczył. Wślizgnął się do jej serca, a potem wykorzystał ją i wyrzucił, odesłał do domu nawet bez przeprosin!

Łzy spływały jej po policzkach, lecz Whitney otarła je ze złością. Clayton Westmoreland sprawił, e płacze po raz ostatni! Kiedy spotkają się następnym razem, będzie twarda i opanowana. Upora się z myślami o nim; ju nigdy nie wspomni ponownie minionej nocy.

Mimo tego postanowienia, następne dni były najbardziej dręczące w całym życiu Whitney. Ilekroć lokaj pojawiał się, by zaanonsować jakiegoś gościa, serce skakało jej do gardła z przerażeniem, a owym przybyszem jest księżę Claymore. Pragnęła powiedzieć Emily, a gdyby przyszedł, dla niego nie ma jej w domu, ale jak mogła to zrobić, skoro Clayton był znajomym Michaela, a ona mieszkała jako gość w domu baronostwa? Ponadto Emily chciałaby wiedzieć dlaczego, a ka de wyjaśnienie ponownie otworzyłoby temat, do którego przyjaciółka ju kilkakrotnie próbowała wracać. Wszystko to nie pozostawiało Whitney innego wyboru jak tylko dręczyć ze strachu i starać się panować nad zdenerwowaniem, ilekroć do rezydencji Archibaldów przybywał jakiś gość.

Whitney rzadko towarzyszyła Emily, gdy przyjaciółka wychodziła z domu, gdy była owładnięta obsesją chorobliwej pewności, a natychmiast stanęłaby twarzą w twarz z Claytonem. Z każdym mijającym dniem jej napięcie rosło, a poczuła się, jakby popadała w szaleństwo z bezradnego oczekiwania, obawy i strachu.

Dotrzymała jednak danych sobie przed tygodniem obietnic: konsekwentnie nie chciała myśleć o tej strasznej, fatalnej nocy. I nie płakała.

Dwa lśniące, dobrze resorowane powozy czekały przed frontem Claymore, ogromnej, trzypiętrowej kamiennej budowli, która była główną rezydencją Claytona. Przepych tego domu i terenu był rezultatem pieczołowitej dbałości i licznych ulepszeń, wnoszonych przez Claytona, jego ojca, dziadka i wszystkich Westmorelandów, którzy ich poprzedzali.

Dla gości rezydencja Claymore była miejscem, po którym z podziwem wędrowali od dziedzińców, gdzie mo na było widzieć niebo, do sal o zapierającej dech w piersiach okazałości, w których sięgające trzech pięter sufity wspierały się na smukłych gotyckich kolumnach. Spoglądając w górę, mo na było podziwiać malarski geniusz Rubensa, który hojnie ozdobił plafony bujnymi, radosnymi scenami.

Dla Claytona jednak ów dom był miejscem nękających go wspomnień; miejscem, gdzie nie mógł spać, a kiedy zasypiał, nie potrafił uciec przed powracającym koszmarnym snem o tym, co się tu wydarzyło przed siedmioma bezkresnymi, dręczącymi nocami. Było to miejsce, z którego nie znajdował

ucieczki.

Siedząc przy swoim biurku w obszernej bibliotece o ścianach wyłożonych dębem, słuchał niecierpliwie adwokata, który powtarzał udzielone mu przed chwilą instrukcje.

– Czy dobrze pana rozumiem, wasza wysokość? Pragnie pan wycofać propozycję małżeństwa z tą panną Stone? Bez podejmowania żadnej próby odzyskania pieniędzy, jakie wyłożył pan na zabezpieczenie tego kontraktu?

– Dobrze mnie pan zrozumiał; dokładnie tak powiedziałem - odrzekł krótko Clayton. - Dzisiaj wyjeżdżam do Grand Oak. Wrócę za dwa tygodnie.

Wszystkie dokumenty mają być gotowe do podpisu następnego dnia po moim powrocie.

Po tych słowach wstał, kończąc zdecydowanie tę nieprzyjemną rozmowę.

Owdowiała księżna na Claymore z ożywieniem podniosła wzrok, gdy w drzwiach pojawił się lokaj.

– Powóz waszej wysokość przyjechał właśnie przed dom - obwieścił leciwy sługa-domownik,

a

jego

godne

oblicze

zajaśniało

nieskrywaną

przyjemnością.

Księżna z uśmiechem podeszła do okna salonu ślicznego zamku, który mąż zbudował przed laty na jej dożywotnią rezydencję. W porównaniu z Claymore, Grand Oak wydawał się niewielki, ale księżna na przyjmowała często i chętnie w obszernym domu, który stanął, zanim postawiono pięć pawilonów dla gości, a otoczony był bujnymi ogrodami i pięknymi drzewami.

Obserwowała, jak jej syn sam wysiada z jednego powozu, jego kamerdyner zaś z drugiego, a potem odwróciła głowę w bok, by przejrzeć się w lustrze. W

wieku sześćdziesięciu pięciu lat Alicia, księżna wdowa Claymore, wciąż była smukłą, a przy tym trzymała się godnie i prosto. Jej ciemne włosy przetykane były siwymi pasmami, które tylko dodawały godności nieprzemijającej urodzie księżnej. Cień niepokoju przesłonił jej szare oczy, gdy przyglądała kunsztowną fryzurę i pomyślała o dziwnie niejasnym liście starszego syna, otrzymanym zaledwie trzy dni temu, w którym Clayton zapowiadał złe wieści matce dwutygodniowej wizyty. Jego odwiedziny były rzadkie i zazwyczaj boleśnie krótkie; wydawało się więc rzeczą osobliwą, i postanowił przyjechać na tak długo, zawiadamiając o tym z tak krótkim wyprzedzeniem.

Zamieszanie przy wejściu obwieściło przybycie Clayтона, więc księżna Westmoreland z uśmiechem na twarzy odwróciła się, aby powitać starszego syna.

Clayton szybko przemierzył jasnoniebieski dywan i nie zważając na wyciągnięte ręce matki, chwycił ją w szybki uścisk, składając czuły pocałunek na jej gładkim czole.

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek - powiedział.

Matka Clayтона odchyliła się do tyłu, bacznie przyglądając się jego głęboko poranej napięciem twarzy oraz zmęczeniu widocznemu w oczach i kącikach ust.

– Czy byś był chory, kochanie? Wyglądasz okropnie.

– Dziękuję ci, mamo - odrzekł cierpko. - Ja równie się cieszę, e cię widzę.

– Có , oczywiście, rada jestem, e przyjechałeś - zapewniła go ze śmiechem. -

Chciałabym jednak widzieć cię w lepszym stanie i właśnie to miałam na myśli. - Kończąc ten temat, machnięciem ręki zaprosiła syna, by usiadł obok niej, lecz wciąż z niepokojem przyglądała się badawczo jego ściągniętej twarzy. - Stephen nie posiada się z radości, mogąc spędzić tu z tobą całe dwa tygodnie - powiedziała. - Zaplanował przyjęcia i jest już w drodze z dużą grupą przyjaciół. Wątpię, czy znajdziesz tu ciszę i spokój, jeśli po to przyjechałeś do Grand Oak. Obawiam się, e spotka cię w tym względzie niemiła niespodzianka.

– To nie ma znaczenia - odrzekł ponuro, po czym wstał, podszedł do bocznego stolika i nalał sobie sporą szklaneczkę whisky.

– Gdzie jest ten pierworodny, przez którego muszę być jedynie ubogim młodszym synem? - zawołał od wejścia Stephen Westmoreland. Wkroczył do salonu i mrugnawszy do matki, serdecznie uściskał

dłoń Claytona.

artobliwie tłumacząc gwar dochodzący z holu, dodał: - Zmęczyłem się, drogi bracie, koniecznością przeproszenia za twoją nieobecność wszystkich londyńskich piękności, więc przywiozłem kilka ze sobą, jak się niebawem przekonasz.

- Doskonale. - Clayton bez entuzjazmu wzruszył ramionami.

Niebieskie oczy Stephena zmrużyły się z lekkim niezadowoleniem, nadając jego twarzy zadumany wyraz, który podkreślał podobieństwo rysów obydwu Westmorelandów. Podobnie jak Clayton, Stephen był ciemnowłosy i wysoki.

Chocia brakowało mu aury potęgi i władzy, która otaczała jego brata, Stephen wydawał się bardziej otwarty i łatwiejszy do poznania i, na co często zwracał

uwagę

„wielki

świat",

posiadał

wystarczającą

ilość

legendarnego

Westmorelandowskiego uroku. Mimo słów, którymi powitał starszego brata, był

bogaty i najzupełniej zadowolony z tego, e ksią ęcy tytuł - i mnóstwo obowiązków, które szły z nim w parze - spoczywał na silnych barkach Claytona.

- Wyglądasz cholernie paskudnie, Clay - powiedział Stephen, poddając brata pobie nej obserwacji, po czym z przepaszającym uśmiechem w kierunku matki, dodał: - Wybacz, mamó.

- Có , w rzeczy samej wygląda niedobrze - zgodziła się księ na. -

Powiedziałam mu to samo.

- Ty powiedziałaś mu, e wygląda cholernie paskudnie? - Stephen droczył się z nią, składając spóźniony pocałunek powitalny na upierścienionych palcach matki.

- To musi być rodzinne - zauwa ył sardonicznie Clayton - eby ignorować powszechnie przyjęte uprzejmości i zastępować je spontanicznymi obserwacjami. Witaj, Stephenie.

Niebawem ksią ę usprawiedliwił się zmęczeniem po podró y i udał do swego pokoju, a gdy wyszedł, Alicia Westmoreland zwróciła się stanowczo do młodszego syna:

– Stephenie, spróbuj się dowiedzieć, co go dręczy. Ten zdecydowanie pokręcił przecząco głową.

– Clayton nie lubi, eby ktokolwiek wścibiał nos w jego sprawy, wiesz o tym równie dobrze jak ja, kochana mamó. Prawdopodobnie jest tylko zmęczony, nic więcej.

Mimo tych słów Stephen przez dwa tygodnie bacznie obserwował Clayтона.

W ciągu dnia domownicy i goście za ywali konnych przeja d ek, polowali łub robili wycieczki do okolicznych miasteczek. Ale jedynym zajęciem, które wydawało się sprawiać Claytonowi przyjemność, była jazda konna, choć bezlitośnie zmuszał swojego wierzchowca do pokonywania najtrudniejszych przeszkód i galopował z jakąś szaleńczą, brawurową gwałtownością, która w sercu Stephena budziła prawdziwą trwogę.

Wieczory wypełnione były wystawnymi biesiadami i błyskotliwymi rozmowami; grano w wista i bilard, oddawano się równie flirtom, których mo na było oczekiwać zawsze, jeśli siedem ślicznych, dobrze urodzonych młodych kobiet i siedmiu młodzieńców stanowiących dobre partie przebywało w swoim towarzystwie przez blisko dwa tygodnie.

Ksia ę pełnił rolę gospodarza ze zwykłą beztroską elegancją, Stephen zaś obserwował z rozbawieniem, jak kobiety flirtowały z Claytonem bezwstydnie, w granicach przyzwoitości (a często z ich przekroczeniem), robiąc wszystko, aby zdobyć jego zainteresowanie. Niekiedy leniwy uśmiech błyskał na twarzy Clayтона, gdy słuchał, co mówiła do niego któraś z młodych dam, ale nieprzenikniony wyraz nie opuszczał jego oczu.

Minęło dwanaście z czternastu dni i goście mieli wyjechać ju następnego ranka. Tego wieczoru zebrano się w salonie i baczne spojrzenie Stephena regularnie biegło z rosnącym zatroskaniem w stronę Clayтона.

– Zdaje się, e twój brat jest nami znudzony - powiedziała Stephenowi Janet Cambridge, wesoło wskazując głową Clayтона, który stojąc samotnie, oparty ramieniem o framugę okna, wpatrywał się w ciemność.

Ksia ę słyszał, co mówiła, gdy taki był jej zamiar, ale nie pofatygował się, by z galanterią zapewnić swego gościa, e wcale nie jest znudzony, ani nie odwrócił się, by zwrócić na nią uwagę, którą Janet pragnęła w nim wzbudzić owym napomknieniem. Uniósł kieliszek i wypił du y haust brandy, a potem nadal wpatrywał się w nisko wiszącą mgłę kłębiącą się i przechodzącą w noc.

Pragnął, by go ogarnęła i pochłoneła jego myśli oraz pamięć, tak jak uczyniła ze wszystkim innym na swojej drodze.

W okiennej szybie zobaczył odbicie Janet Cambridge i usłyszał za sobą jej niski, gardłowy śmiech. Jeszcze kilka miesięcy temu spodobałyby mu się zmysłowa uroda i uwodzicielski głos dziewczyny.

Ale teraz brakowało jej czegoś. Czy Janet nie miały barwy zielonego indyjskiego jadeitu; nie patrzyła na niego tym kpiącym, taksującym, zuchwałym spojrzeniem; nie dręła w jego ramionach z nieśmiałością, ledwie rozbudzonej emocji, której nie umiała nazwać.

Była zbyt łatwo osiągalna, nazbyt chętna, by sprawić mu przyjemność, tak jak zawsze wszystkie inne kobiety. Nie walczyły z nim ani mu się uparcie nie opierały. Nie były...

Whitney.

Przełknął kolejny haust trunku, aby zagłuszyć ból, który pojawił się z samym jej imieniem. Zastanawiał się, co ona teraz robi. Czy zamierza wyjść za Paula Sevarina? A może jest z Nicolasem DuVille'em? DuVille pozostał w Londynie; on potrafiłby ją pocieszyć, rozbawić, pomóc jej zapomnieć. DuVille pasowałby do niej lepiej, pomyślał Clayton z dojmującym bólem. Sevarin był nudny i miał

słaby charakter, ale DuVille to wyrafinowany i wytworny mąż czyżna. Clayton całym sercem żył nadzieją, że Whitney wybierze Francuza. Jednak połowa serca, ta druga połowa, skręcała mu się z bólu na myśl o Whitney w ramionach innego męża czyżna.

Zadręczał się wspomnianiem tego, jak mu wyznała: „Zamierzałam ci powiedzieć, że za ciebie wyjdę”. A ten drań, którym był on sam, szydził z niej!

Okrutnie, rozmyślnie, bezdusznie pozbawił ją niewinności! A kiedy tego dokonał, objęła go ramionami i płakała. O Chryste! On ją zgwałcił, a ona płakała w jego ramionach!

Clayton oderwał myśli od tamtej nocy. Wolał bardziej wyrafinowaną torturę wspomnień o jej radości; o owym beztroskim spojrzeniu, jakie rzuciła na niego przed ich wyścigiem, zanim wystrzelił pistolet. „Jeśli zechce pan za mną pojechać, z radością pokażę panu drogę”.

Wciąż widział ją dokładnie taką, jaką była tamtej nocy, w ogrodzie na balu maskowym u Armandów, miał w oczach jej piękną twarz jaśniejącą lekceważącym rozbawieniem, gdy powiedział, że jest księciem. „Nie jest pan adnym księciem. - Roześmiała się. - Nie ma pan monokla, nie sapie pan i nie prycha, wątpię, że by miał pan choćby trochę podagry. Obawiam się, że będzie pan musiał aspirować do jakiegoś innego tytułu, mój panie”.

Pomyślał o tym, jak przytuliła się do niego i całowała go z tkliwą namiętnością owego dnia obok pawilonu. Bo że, jaka potrafiła być ciepła, namiętna, kochająca... gdy nie stawała się uparta i krnąbrna. Jak że była cudowna!

Clayton zamknął oczy, przeklinając sam siebie za to, że w ogóle pozwolił jej wyjechać z Claymore. Powinien był zażądać, by za niego wyszła, gdy tylko zdoła sprowadzić do domu duchownego. A gdyby się buntowała, mógł otwarcie powiedzieć, że skoro już pozbawił ją dziewictwa, to i tak nie będzie miała w przyszłości adnego wyboru. Potem znalazłby jakiś sposób, by wynagrodzić jej to, co się stało.

Odstawił kieliszek i mijając gości, wyszedł z salonu. Nie było nic, co mógłby zrobić, by



odpokutować ów podły czyn, jakiego dopuścił się wobec niej. Nie!

Goście wyjechali następnego ranka i bracia uczcili swój ostatni wieczór rozmyślną libacją. Wspominali chłopięce wybryki, a kiedy wymienili wszystkie, zaczęli opowiadać sobie sprośne historie, śmiejąc się donośnie z knajpianych dowcipów i pijąc przez cały czas.

Clayton sięgnął po karafkę brandy i przelał z niej ostatnią kroplę do swego pustego kieliszka.

– Mój Bo e! - szepnął Stephen, patrząc na niego z podziwem. - Wypiłeś...

wypiłeś się... wykończyłeś całą butelkę... - Chwyciwszy kolejną kryształową karafkę, pchnął ją przez stół w stronę brata: - Proszę, zobaczmy, czy potrafisz to zrobić z whisky!

Clayton obojętnie wzruszył ramionami i wyjął korek z karafki. Lekko zmętniałymi oczami Stephen przyglądał się, jak ksią ę napełnia swój kieliszek a po brzeg.

– Co ty, u licha, próbujesz zrobić? - zapytał. - Utopić się w tym alkoholu?

– Próbuję - odparł Clayton dumnym pijackim tonem - wyprzedzić cię na mecie zapomnienia.

– Prawdopodobnie wygrasz i ten wyścig. - Stephen pokiwał głową. - Ale ja zawsze byłem lepszym człowiekiem. To, e się urodziłeś, nie było uprzejme z twojej strony, wielki bracie.

– Masz rację. Nie powinienem był przychodzić na świat. ałuję. Chciałbym się nie urodzić. Ale ona... ona odpłaciła mi za to dziesięciokrotnie.

Choć owe słowa brzmiały niewyraźnie, były pełne takiego bólu i rozpaczy, e Stephen podniósł głowę i spojrział na tyle zatrwo ony, na ile zdołał na to pozwolić jego zamroczony umysł.

– Kto ci odpłacił za to, e się urodziłeś?

– Ona.

Stephen potrząsnął głową, próbując wyrzucić alkoholową euforię z przymglonych zmysłów i skoncentrować się na słuchaniu. - Jaka... ona?

– Zielonooka - wyszeptał Clayton głosem pełnym udręki. - Ona ka e mi płacić.

– Płacić za co? Co zrobiłeś?

– Oświadczyłem się o nią - oświadczył ochryple. - Dałem jej głupiemu ojcu sto tysięcy funtów, ale Whitney mnie nie chciała. - Skrzywił się, przełknąwszy potę ny łyk whisky. - Zareczyła się z kimś innym. Wszyscy tak mówili. Nie -

poprawił się zaraz - nie zareczyła się, ale ja myślałem, e to zrobiła i... i...

– I...? - zapytał cicho Stephen.

Twarz Claytona zmieniła się w maskę bólu. Uniósł dłoń ku bratu, jak gdyby prosił go o zrozumienie, a potem pozwolił, by opadła na stół.

– Nie wierzyłem, że jest jeszcze dziewicą. Nie wiedziałem tego... a ją wziąłem... i... - Pełną napięcia ciszę, jaka zapadła po tym wyznaniu, przerwał

nagle straszny jęk, który wyrwał się z piersi Claytona. - O Boże, ja sam ją skrzywdziłem - wyznał z udręką. - Tak bardzo ją skrzywdziłem! - Zakrył

tworząc rękami, a jego głos przeszedł w chrapliwy, pełen cierpienia szept. -

Skrzywdziłem ją, a ona objęła mnie ramionami. Stephenie, ona chciała, bym ją pocieszył i utulił. - Skrzył ręce na stole i ukrył w nich twarz, pogrą-

ając się w końcu w zapomnienie, którego szukał przez całą noc. Teraz mówił tak cicho, że brat prawie go nie słyszał. - Wciąż słyszę jej płacz...

W niemym osłupieniu Stephen wpatrywał się w pochyloną głowę Claytona, próbując złoczyć w całość tę chaotyczną opowieść. Najwyraźniej jego tak pewny siebie, niewrażliwy na ciosy starszy brat stracił głowę dla zielonookiej dziewczyny o imieniu Whitney.

W zeszłym tygodniu krążyła po Londynie obłąkana pogłoska, że Clayton jest zaręczony... czy te bliski zaręczyn... z jakąś młodą damą, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego i Stephen jak zawsze wzruszył ramionami na takie czcze domysły. Ale widocznie ta okazała się prawdziwa i ową młodą damą musiała być panna Whitney.

Oszołomiony Stephen nadal wpatrywał się w śpiącego brata. To wprost niewiarygodne,

że Clayton, który zawsze traktował kobiety z beztronską tolerancją i lekką pobłażliwością, mógł zostać doprowadzony do tego, by fizycznie skrzywdzić którąś z nich. I dlaczego? Ponieważ dziewczyna odmówiła wyjścia za niego? Ponieważ był zazdrosny? To niemożliwe! A jednak miał

przed sobą dowód: widział Claytona rozdieranego ałem i skruchą.

Stephen westchnął. Starszy brat zawsze otoczony był olśniewającymi kobietami, Whitney musiała więc być naprawdę wyjątkowa, skoro tak wiele dla niego znaczyła, gdy było oczywiste, że rozpaczliwie ją kochał... i wciąż kocha.

W istocie, pomyślał Stephen, jeśli owa dziewczyna szukała u Claytona ukojenia po tym, gdy brutalnie pozbawił ją dziewictwa, to i ona musiała go trochę kochać. Nawet więcej niż trochę.

Następnego ranka bracia uściskali sobie dłonie na frontowych schodach, nie mogąc spoglądać w jasny, słoneczny dzień bez syknięcia z bólu. Księżna pogodnie pomachała Claytonowi na pożegnanie, a potem odwróciła się do Stephena.

– On wygląda okropnie!

– Bo czuje się okropnie - zapewnił ją młodszy syn, delikatnie pocierając sobie skronie.

– Stephenie, jest coś, o czym chciałabym z tobą pomówić - oświadczyła zdecydowanie księżna. Weszła do salonu i zamykając za nimi drzwi, usiadła na najbliższym krześle. Następnie wyjątkowo długo o czasie poświęciła na odpowiednie ułożenie fałdów spódnicy, a wreszcie odezwała się stanowczym głosem: - Ostatniej nocy nie mogłam zasnąć, więc zeszłam na dół, sądząc, że spędzę trochę czasu z wami dwoma. Kiedy dotarłam do biblioteki, uświadomiłam sobie, że obaj jesteście szokująco podpijani i ja miałam powiedzieć, jaka jestem oszołomiona, widząc, że wychowałam dwóch pijanych prostaków, gdy... gdy...

Stephen bliski był roześmiania się z owych „pijanych prostaków”, ale zachował powagę i pomógł matce dokończyć zdanie.

– ...gdy usłyszałaś to, co opowiadał Clayton, tak? Księżna z przykrością skinęła głową.

– Jak on mógł zrobić coś takiego?

– Nie jestem pewien, dlaczego to zrobił - zaczął Stephen ostro nie.

Widocznie zależało mu na tej dziewczynie, a jest męczyzną...

– Nie traktuj mnie jak idiotkę, Stephenie - przerwała mu gwałtownie matka.

Jestem dorosłą kobietą, byłam żoną i urodziłam dwóch synów.

Doskonale wiem, że Clayton jest męczyzną i e... jako męczyzna... ma pewne... hm...

– Pewne potrzeby? - podpowiedział jej syn, gdy nieco zakłopotana zaczęła wachlować zarumienioną twarz, a kiedy skinęła głową, dodał: - Próbowałem jedynie powiedzieć, że Clayton jest męczyzną, który zawsze uganiał się za kobietami i e nigdy na żadnej nie zależało mu tak bardzo, by się oświadczyć. Widocznie w końcu znalazł kobietę, jakiej szukał. Jeśli dał jej ojcu sto tysięcy funtów, to przypuszczam, że dziewczyna nie ma posagu, a jej rodzina jest biedna, lecz mimo to owa panna go odrzuciła.

– Musi być idiotką, eby odrzucić twojego brata! - wykrzyknęła księżna.

Musiałyby być głupia, by go nie chcieć.

Stephen uśmiechnął się, słysząc tę matczyną lojalność, ale potrząsnął

przecząco głową.

– To nieprawdopodobne, by owa dziewczyna była idiotką. Clay nigdy nie interesował się nieciekawymi, pustogłowymi pannicami.

– Chyba masz rację - westchnęła Alicia Westmoreland, wstając, po czym zatrzymała się w drzwiach i przez ramię posłała Stephenowi smutne spojrzenie. - Musi ją bardzo kochać.

– Tak sędę.

Clayton przeczytał akt prawny rozwiązujący kontrakt zaręczynowy, po czym podpisał go i szybkim gestem przesunął po biurku w stronę prawnika. Ledwie zdołał rzucić okiem na dokument.

– Jest coś jeszcze - powiedział, gdy adwokat chciał ju wstać. -Proszę dopilnować, aby ten list i czek na dziesięć tysięcy funtów zostały wraz z owym aktem dostarczone pannie Stone do jej domu.

Otworzył jedną z cię kich rzeźbionych szuflad biurka i wyjął z niej czysty arkusz białego pergaminu wraz z rytą w srebrze pieczęcią.

Przez chwilę wpatrywał się w czysty papier.

Nie mógł uwierzyć, e naprawdę do tego doszło. Jak to się mogło tak skończyć, takim niszczącym ciosem bólu i stratą, skoro jeszcze przed kilkoma tygodniami był pewien, e wszystko uwieńczy chwila, gdy Whitney stanie obok niego jako panna młoda, a potem będzie le eć u jego boku jako ona?

Zmusił się do sięgnięcia po pióro.

Proszę przyjąć moje szczere yczenia szczęścia i przekazać je Paulowi. Będę wdzięczny, jeśli załączony czek zostanie potraktowany jako prezent.

Ksią ę zawahał się, rozumiejąc, e Whitney wpadnie we wściekłość w związku z tymi pieniędzmi, ale nie mógł znieść myśli, e będzie musiała odmawiać sobie nowej sukni, będąc ubogą oną Paula Sevarina. Gdyby jakimś cudem nie poślubiła go, to pieniądze zostaną dla niej. Przynajmniej jej głupi ojciec znów nie wyda wszystkiego, co nale y do Whitney.

– Niech pan wło y czek i ten list do jednej koperty - polecił, wskazując głową nienawistny dokument rozwiązujący ich zaręczyny. Wstał, kończąc przykrą rozmowę i niemym skinieniem głowy odprawił adwokata.

Po wyjściu prawnika ponownie opadł na fotel, walcząc z chęcią zawołania, by zatrzymano tego człowieka i sprowadzono go z powrotem, aby mógł odebrać prawnikowi tę kopertę i podrzeć ją na strzępy. Zamiast tego odchylił głowę na skórzane oparcie fotela i zamknął oczy.

– Och, maleńka - westchnął głośno - dlaczego muszę wysłać ci te przekłete papiery?

Myślał o tym, co naprawdę chciałby jej napisać.

Proszę, wróć do mnie. Pozwól mi się zatrzymać, a przysięgam, e sprawię, i zapomnisz. Wypełnię Twoje dni śmiechem, a noce miłością. Dam ci syna i córkę.

Z Twoimi oczami, Twoim uśmiechem, Twoim...

Zakławszy wściekle, pochylił się i sięgnął po stos korespondencji, która nagromadziła się w czasie jego nieobecności.

Z całą determinacją Clayton postanowił zapomnieć o Whitney. Pogrążył się w pracy, spędzając wiele godzin dziennie na zgłębianiu doniesień o bieżących inwestycjach i na planowaniu przyszłych przedsięwzięć. Swemu sekretarzowi, panu Hudginsowi, narzucił tyle obowiązków, że trzeba było zatrudnić mu pomocnika. Spotykał się ze swymi plenipotentami, zarządcami i dzierżawcami.

Pracował a do późna, a potem udawał się na jakiś bal, do opery lub do teatru.

Każdy wieczór rozmyślnie spędzał z inną kobietą, mając nadzieję, że właśnie ona coś w nim ożywi... coś, co umarło przed czterema tygodniami. Jednak jeśli była blondynką, Clayton odkrywał w sobie niechęć do jasnych włosów, jeśli zaś brunetką, jej włosom brakowało blasku loków Whitney; jeśli była spokojna, działała mu na nerwy; jeśli zaś usposobienie miała gwałtowne, wydawała mu się wstrętą; a jeśli okazywała się cicha, miał niepohamowaną ochotę potrząsnąć nią i zawołać: „Do diabła, powiedz coś!”.

Powoli jednak, bardzo powoli, odzyskiwał równowagę. Zaczął czuć, że jeśli nadal wykreślać będzie z pamięci parę zielonych oczu, to może rzeczywiście zapomni o nich pewnego dnia.

Z upływem kolejnych tygodni uśmiechał się z coraz większą łatwością, a niekiedy mógł nawet się śmiać.

## Rozdział 26

Dni spędzane przez Whitney w Londynie ułożyły się w pewien schemat.

Jeździła z Elizabeth i Emily na zakupy lub niekiedy na przejażdżki po parku.

Regularnie odwiedzał ją Nicki, lecz rzadko wychodziła z nim gdziekolwiek, ale przynajmniej wpadał i sprawiał, że się uśmiechała. Nigdy też nie prosił o więcej, nie była w stanie dać.

Elizabeth stała się codziennym gościem. Była tak pochłonięta planami wesela, tak spragniona rozmów o sukni, kwiatach, weselnym menu i wszystkim innym, co wiązało się z uroczystością, do której pozostały zaledwie cztery dni, że Whitney z trudem mogła wytrzymać w tym samym pokoju z promieniającą radością przyszłą panną młodą i wymyślając usprawiedliwienia, aby wyjść, nienawidziła samej siebie za to, że nie potrafi cieszyć się ze szczęścia Elizabeth.

Nie była już w gorączkowej obawie, że spotka Clayтона, ale nie umiała też przestać o nim myśleć. Trwała w pełnej napiętej otchłani, zawieszona między przeszłością, o której nie chciała pamiętać, i przyszłością, nad którą nie była w stanie się zastanawiać.

Dziś, tak jak wiele razy przedtem, z wyjątkiem owego dnia, gdy Elizabeth zaczęła wyliczać wszystkie cudowne zalety Petera, Whitney zerwała się z miejsca, przeprosiła, chwyciła pelerynę oraz kapelusz i niemal wybiegła z domu.

Nie zważając,

że zasady dobrego wychowania wymagają, by ktoś jej towarzyszył, umknęła do małego parku położonego w odległości kilku przecznic, a potem zwołała kroku i wędrowała bez celu pustymi alejkami.

Ciocia Annę i ojciec Whitney mieli przyjechać do Londynu na ślub Elizabeth, która zaskoczyła wszystkich postanowieniem, e pragnie wyjść za mąż w całym blasku, jakiego mógł dostarczyć Londyn. Tak samo, jak tęskniła do ukochanej cioci, Whitney bała się tego spotkania. Lady Annę przyjedzie za cztery dni, spodziewając się, e jej siostrzenica i Clayton są nieoficjalnie zaręczoną parą narzeczonych, a zamiast tego Whitney powie, e nigdy nie poślubi księcia Claymore'a. A ciocia będzie chciała wiedzieć dlaczego.

Dlaczego? Whitney zastanawiała się gorączkowo, odbywając w myślach próby tej rozmowy. „Bo wyciągnął mnie z przyjęcia Emily, porwał do swego domu, zdarł ze mnie ubranie i zmusił, abym weszła do jego łóka”.

Ciocia będzie oszołomiona i oburzona, ale zechce wiedzieć, co się wydarzyło przedtem. Będzie chciała zrozumieć dlaczego. Zdesperowana Whitney opadła na ławkę, opuszczając ramiona. Czemu Clayton uwierzył, e oddała się Paulowi? I dlaczego przynajmniej nie pomyślał, jak ona się teraz czuje? Ani nie powiedział jej, co zamierza zrobić?

Przez ostatnie cztery tygodnie ani razu nie pozwoliła sobie na myślenie o tamtej nocy, ale teraz, gdy zaczęła, nie mogła przestać. Starła się widzieć w księciu męczyznę, który bezlitośnie i okrutnie zdierał z niej ubranie, ale zamiast tego pamiętała go w owym strasznym, pełnym bólu momencie, gdy odkrył jej dziewictwo. Widziała jego napięte ramiona nad sobą, jego odrzuconą do tyłu głowę i twarz zmienioną w udręczoną maskę wstydu i alu.

Chciała pamiętać obelgi, którymi ją obrzucał, i te wstrętne, poni ające rzeczy, które jej mówił, ale zamiast tego pamiętała, e trzymał ją w ramionach, kiedy płakała, gładził ją po włosach i szeptał głosem pełnym uczucia: „Nie płacz, kochanie. Proszę, nie płacz ju”.

Okropny, dojmujący ból narastał; lecz teraz Whitney bolała nad Claytonem, nie nad sobą. Uświadomiwszy to sobie, z furią zerwała się z ławki. Musi być szalona, całkiem szalona! eby współczuć męczyźnie, który pozbawił ją czci!

Ju nigdy nie chciała go widzieć! Nigdy!

Szybko wróciła na parkową alejkę. Porywisty wiatr rozwiewał pelerynę Whitney, ale uspokoił się równie szybko, jak nadciągnął i wtedy podbiegła ku niej wiewiórka, a potem przystanąła, przyglądając się dziewczynie na poły z lękiem, na poły z oczekiwaniem. Whitney przystanąła tak e, czekając, a zwierzątko się ruszy, wiewiórka jednak stała, spoglądając na nią z wyrzutem.

Zobaczyła oładź le ący obok swojej stopy i podniósłszy go, podała wiewiórce. Małe puszyste zwierzątko zamrugało nerwowo, lecz nie podeszło bli ej, więc Whitney przesunęła znaleźisko w jego stronę.

– Lepiej go weź - powiedziała cicho - bo niebawem nadejdzie zima.

Wiewiórka łypnęła oczkami ku cennemu smakołykowi le ącemu tak blisko.

Przez chwilę się wahała, a potem odwróciła i uciekła tak szybko, jak tylko zdołały unieść ją nogi.

Ani razu w ciągu owych tygodni, jakie minęły od tamtej strasznej nocy, Whitney nie złamała danej sobie trudnej obietnicy, e nie będzie płakać. Udało jej się, ale nagromadziła w sercu straszny ciężar emocji. Mała wiewiórka, która wolała głód od czegoś, czego ona dotknęła, była ostatnią kroplą przepełniającą czarę goryczy.

– Idź sobie i głoduj! - rzuciła zduszonym głosem, a po policzkach płynęły jej łzy. Obróciła się na pięcie i minęła bramy parku.

Łzy spływały jej po twarzy, a wiatr szczypał w oczy, lecz Whitney wciąż płakała. Szlochała, a zabrakło jej łez goryczy i bólu, i w jakiś osobliwy sposób zaczął rosnać hart ducha. Gdy wróciła do domu Archibaldów, czuła się lepiej niż przez cały czas, jaki minął od chwili, kiedy „to” się zdarzyło.

Lorda Archibalda tego wieczoru nie było w domu, więc obie przyjaciółki zjadły kameralną kolację w pokoju Whitney, która pomyślała, e naprawdę znowu może cieszyć się yciem.

– Wydajesz się dziś znacznie odmieniona - zauważyła artobliwie Emily, nalewając herbatę.

– Czuję się znacznie odmieniona - przyznała z uśmiechem Whitney.

– To dobrze - odrzekła Emily - bo jest coś, o co chcę cię zapytać.

– Pytaj - zgodziła się Whitney, popijając herbatę.

– Moja mama napisała, e jesteś zaręczona z Paulem Sevarinem. Czy to prawda?

– Nie... z Claytonem Westmorelandem - rzuciła Whitney w błyskawicznej obronie.

Drogocenna filiżanka wyslizgnęła się z palców Emily i rozbiła na podłodze.

Oczy przyjaciółki zognomniały i stawały się coraz większe, gdy powolny uśmiech rozjaśniał jej śliczną twarz.

– Nie... nie artujesz? - wyszeptała. Whitney pokręciła głową.

– Jesteś pewna?

– Jestem całkowicie pewna.

– Chyba ci nie wierzę - wykrztusiła Emily.

Spoglądała tak sceptycznie, e usta Whitney zaczęły trząść się ze śmiechu.

– Miałabyś ochotę założyć się o swoją nową sobolową pelerynę, e nie jestem z nim zaręczona? - zapytała.

– Tak bardzo ci się ona podoba, e jesteś gotowa kłamać? - odpowiedziała pytaniem Emily.

– Peleryna podoba mi się bardzo i nie kłamię.

– Jak... kiedy... to się stało?

Whitney ju otwierała usta, by wszystko wyjaśnić, lecz zmieniła zdanie.

Rozpaczliwie pragnęła opowiedzieć komuś o tym, ale się bała. Dzisiaj, pierwszy raz od kilku tygodni, zaczęła czuć, e wraca do ycia i nie chciała ryzykować kruchego nowo odzyskanego spokoju.

– Nie, Emily, opowiadanie o tym nie wydaje mi się dobrym pomysłem -

rzuciła nerwowo, wstając z krzesła, więc przyjaciółka wstała tak e i popatrzyła na nią ze zdecydowanym, wesołym uśmiechem.

– Opowiesz! - Zaśmiała się cicho. - Opowiesz mi wszystkie najdrobniejsze szczegóły tego niewiarygodnego romansu, nawet jeśli będę musiała wycisnąć je z ciebie własnymi rękami. Zaczynj od początku.

Whitney zaczęła się opierać, lecz przyjaciółka wydawała się tak szczęśliwa i zdecydowana, e opór był bezsensowny. Nagle właśnie zapragnęła o tym porozmawiać. Usiadła więc z powrotem, a Emily usadowiła się obok niej.

– Przypuszczam, e naprawdę zaczęło się to kilka lat temu, przed moim paryskim debiutem towarzyskim - zaczęła tłumaczyć. - Clayton mówił, e zobaczył mnie z ciocią w sklepie z kapeluszami. Właścicielka starała się przekonać mnie do kupienia jakiegoś obrzydlistwa ozdobionego sztucznymi owocami...

A do końca owej opowieści Emily wpatrywała się w Whitney z radością i zdumieniem.

– O Bo e, to zachwycające... i takie romantyczne. Wyobraź sobie, po wydaniu tylu pieniędzy przyje d a do Anglii, by tu dowiedzieć się, e jesteś do szaleństwa zakochana w Paulu. - Chichotała. - Michael był taki zaniepokojony, e ksią ę złamie ci serce, lecz ja się nie martwiłam.

Zauwa yłam, jak na ciebie patrzył, kiedy przyszedł, eby cię zabrać na bal u Ruthefordów, i wiedziałam.

– Co wiedziałaś? - zapytała odruchowo Whitney.

– No, e jest w tobie zakochany, głuptasku! - Po tych słowach Emily przerwała z zakłopotaniem. - Ale nie był tu od kilku tygodni, a wiem, e jest w Londynie, bo widziano go w operze i w teatrze... - Dostrzegła, e znany wyraz udręczenia powrócił na twarz przyjaciółki. - Whitney? - szepnęła. -

Czy stało się coś -złego? Znowu jesteś taka, jak przez cały czas od owej nocy, gdy nie wróciłaś do domu. Co się wtedy stało, e byłaś taka nieszczęśliwa?

– Nie chcę o tym mówić - odparła szorstko Whitney. Emily ujęła jej zimne ręce w swoje dłonie.



– Musisz mówić; inaczej to cię niszczy. Nie chcę być wścibska; przecie wiem, e nie powiedziałaś wtedy prawdy. Widzisz, stałam w oknie tego ranka, gdy wróciłaś i zobaczyłam złoty herb na drzwiczkach powozu, który cię odwiózł. To był powóz księcia, prawda?

– Przecie wiesz. - Whitney, zawstydzona, pochyliła głowę. -Wiem te , e wyszłaś z balu właśnie z nim... tak mówiłaś i Carlisle również tak mówił.

Chocia - dodała z uśmiechem i zdumieniem - Carlisle był wstawiony i uparcie twierdził, e ksią ę Claymore pojawił się... znikąd i siłą wyciągnął

cię w noc. Oczywiście nie uwierzyłam ani przez chwilę. Wielki Bo e! -

wybuchnęła.

– Właśnie to się stało? Tak?

Whitney skinęła głową.

– Dokąd cię zabrał? - pytała Emily ściśniętym z obawy głosem.

– Na inne przyjęcie?

– Nie.

– Nigdy sobie nie wybaczę, e wyśmiałam Carlisle'a - zawołała, konwulsyjnie zaciskając rękę na dłoni przyjaciółki. - Whitney -wyszeptała z bólem - gdzie on cię zabrał? Co ci zrobił?

Para bezbronych zielonych oczu uniosła się ku Emily, która w nich znalazła odpowiedź.

– To potwór! - wykrzyknęła, zrywając się z miejsca. - Łotr! Łajdak! Powinno się go powiesić! On... - Przerwała, dochodząc widocznie do wniosku, e bardziej ni podsywania bólu i gniewu Whitney potrzebuje teraz otuchy. -

Musimy spojrzeć na to z jaśniejszej strony.

– Z jakiej jaśniejszej strony"? - zapytała z udręką Whitney.

– Być mo e nic na to nie wskazuje, ale ona jest. Posłuchaj tylko.

– Emily przyklękła i ujęła jej dłonie w uspokajający uścisk. -Niewiele znam się na prawie, wiem jednak, e ojciec nie mo e zmusić cię do mał eństwa z tym... potworem! Claymore zaś, po tym co zrobił, z pewnością rozumie, e nigdy za niego nie wyjdiesz. Tak więc on nie ma innego wyboru, musi zwolnić cię z kontraktu zaręczynowego i zapomnieć o pieniądzach, które dał

twojemu ojcu.

Whitney podniosła głowę i długo wpatrywała się w przeciwległą ścianę.

Oczywiście, Clayton zamierzał ją uwolnić. Zapewne właśnie dlatego nie przychodził, by się z nią zobaczyć. Miał zamiar wycofać oświadczyzny. Ogarnęło ją na tę myśl dziwne uczucie mdłości.

– Nie - odpowiedziała stanowczo. - On nie wycofa oświadczyzn. Wiem, e tego nie zrobi. Och, Emily - zapłakała - naprawdę sądzisz, e po prostu pozwoli mi odejść?

– Oczywiście - szybko zapewniła ją Emily. - Cóż innego mógłby... - Jej szeroko otwarte oczy spoczęły na nieszczęśliwej twarzy przyjaciółki. -

Whitney? - wyszeptała, powoli wstając z klęczek. - Mój Bo e! Ty wcale nie chcesz, aby pozwolił ci odejść! - wykrzyknęła.

Spojrzenie Whitney pofrunęło ku górze.

– Chodzi tylko o to, e nie myślałam, i mógłby zwolnić mnie z tego kontraktu.

– Ty nie chcesz, eby to zrobił! - powtórzyła Emily podniesionym głosem. -

Masz to wypisane na twarzy.

Whitney tak e wstała, nerwowo ocierając dłonie o suknię. Ze wszystkich sił

chciała powiedzieć, e ma nadzieję, i Clayton Westmoreland ją uwolni, lecz słowa więzły jej w gardle.

– Sama nie wiem, czego chcę - przyznała się zgnębiona. Emily przyjęła to machnięciem ręki, a jej zaniepokojone oczy spoczęły na przyjaciółce.

– Przysłał ci jakąś wiadomość, a mo e w inny sposób skontaktował się z tobą od tamtej nocy?

– Nie! I lepiej, eby tego nie robił!

– A ty nie masz zamiaru się z nim zobaczyć?

– Z pewnością nie! - odparła Whitney stanowczo.

– On prawdopodobnie nie ma odwagi do ciebie się zbliżyć. Po pierwsze, musiałby otrzymać jakiś sygnał, e przynajmniej wysłuchasz przeprosin. A ty nie chcesz... nie mo esz... dać mu takiego sygnału, prawda?

– Pierwej umrę! - obwieściła Whitney dumnie i właśnie to miała na myśli.

– Jeśli jednak zale y mu na tobie, będzie pełen alu i skruchy za to, co uczynił.

Pomyśli, e go znienawidziłaś.

Whitney podeszła do łó ka i oparła się czołem o kolumnę podpierającą baldachim.

– On mnie nie uwolni, Emily - odezwała się bardziej z nadzieją niż z ałem w głosie. - Sądzę, e zaley... zaley ało mu na mnie... bardzo.

– Cóż ! - wybuchnęła przyjaciółka. - Z pewnością ma szczególny sposób okazywania szacunku i względów.

– Ja te ... - wyszeptała Whitney. - Nieustannie mu się przeciwstawiałam.

Upokorzyłabym go w oczach jego przyjaciół, uciekając z Paulem. Do końca nie przestałam go okłamywać... -Zamknęła oczy i odwróciła głowę. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała zduszonym głosem - chciałabym się teraz położyć.

Emily tak e poszła spać, ale leżała kilka godzin z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć. W końcu usiadła, opierając się o poduszki i popatrzyła na Michaela, który spokojnie spał obok.

– Czy mogłabym cię nadal kochać, gdybyś zrobił coś takiego? -wyszeptała ku śpiącej sylwetce męża. - Tak - odpowiedziała, gładząc tkliwie włosy na jego skroni. - Wybaczyłabym ci niemal wszystko.

Jednak gdyby Michael to zrobił, znalazłby sposobność do żenienia przeprosin. Byli małżeństwem i bez względu na to, jak sponiewierana czy zła by się czuła, musieliby nadal przebywać razem, aby zachowywać pozory. Cała sprawa nieuchronnie nabrzmiałaby i wybuchła, a potem ranę można by zaleczyć. Whitney nie jest oną księżniczką Claymore'a. Unikali się wzajemnie i będą robić to nadal. Duma i poczucie krzywdy powstrzymuje ją przed zrobieniem pierwszego kroku, więc księżniczkę będzie tkwił w przekonaniu, e Whitney go nienawidzi i nie chce mieć z nim nic wspólnego. Chyba e stanęliby przed sobą twarzą w twarz... to niebawem... ta rana mogłaby się zaleczyć.

Rozdarta między mieszaniem się w ogromnie „wybuchową” sytuację a uprzejmym trzymaniem się z dala, Emily podciągnęła kolana i oparła na nich brodę. Po kilku minutach namysłu powoli odsunęła kołdrę. Drżąc z poczucia winy i niepewności, wyslizgnęła się z łóżka. Na parterze zapaliła świecę, a potem na palcach udała się do ółtego salonu i postawiwszy świecznik na biurku, przeszukała szuflady, by znaleźć jedno z niewykorzystanych ślubnych zaproszeń z adresem Elizabeth.

Siedziała na krześle, gryząc koniec pióra i próbując wymyślić, co mogłaby napisać. Lepiej, by księżniczkę nie sądził błędnie, e Emily działała z polecenia przyjaciółki, gdy było rzeczą bardzo prawdopodobną, e gdy Whitney go zobaczy, odwróci się od niego z bolesną urazą. Trzeba postawić ich przed sobą twarzą w twarz, resztę pozostawiając losowi.

Pośpiesznie, by nie stracić odwagi i nie zmienić zdania, Emily napisała na dole zaproszenia: „Ktoś, na kim nam obojgu bardzo zaley, będzie tego dnia w orszaku panny młodej”. I podpisała się: „Emily Archibald”.

Słuchający w dziwnie znajomej liberii stanął w drzwiach biblioteki księcia w domu przy Upper Brook Street.

– Przynoszę zaproszenie, które moja pani poleciła mi dostarczyć bezpośrednio waszej wysokości - oznajmił.

Clayton był pochłonięty poranną korespondencją.

– Masz czekać na odpowiedź? - zapytał z roztargnieniem.

– Nie, wasza wysokość.

– Zatem zostaw je tam. - Książkę skinął głową w stronę małego stolika stojącego nieopodal drzwi.

Wieczorem, ubierając się do teatru, przypomniał sobie o kopercie, która od rana leżała w bibliotece.

– Poślij kogoś po nią, Armstrong - mruknął do lokaja, nie odrywając wzroku od lustra, gdy układał skomplikowane fałdy śnie nobiałego abotu.

Clayton poprawił surdut podany mu przez Armstronga, a potem sięgnął po kopertę, którą przyniósł inny sługa. Otworzywszy ją, wyjął coś, co wydawało się kolejnym zaproszeniem, na które mógł odpowiedzieć jego sekretarz.

Nazwisko „Ashton” obudziło w sercu księcia bolesne wspomnienia.

– Powiedz mojemu sekretarzowi, by podziękował uprzejmie, i niech wyśle w moim imieniu odpowiedni prezent - polecił cicho, odkładając zaproszenie.

Kiedy jednak przechodził, jego wzrok przyciągnęła wiadomość dopisana u dołu kartonika drobnym ręcznym pismem. Clayton przeczytał ją, a potem uczynił to ponownie, czując że serce bije mu szybciej. Co, na miłość boską, lady Archibald próbuje mu powiedzieć? Ze Whitney pragnie go widzieć? Czy Emily chce, by on się z nią spotkał? Niecierpliwie odprawił kamerdynera, wziął

zaproszenie i jeszcze trzykrotnie przeczytał wiadomość, za każdym razem bardziej nią poruszony. Daremnie próbował znaleźć w tej krótkiej notatce coś, co by wskazywało, że Whitney mu wybaczyła. Ale nie było tam niczego.

Tego wieczoru Clayton, siedząc w Crown Theatre, nie zwracał większej uwagi na kruczowłosą piękność obok siebie ani na przedstawienie prezentowane na scenie. Jego uczucia wahały się między nadzieją a rozpaczą. W wiadomości od Emily nie było nic, co dawałoby mu jakiegokolwiek nadzieje oprócz tego, że ją przysłała. Emily Archibald i Whitney były najlepszymi przyjaciółkami od dzieciństwa. Gdyby więc Whitney go nienawidziła, Emily już by to wiedziała i nie przysłałaby mu zaproszenia. Z drugiej zaś strony, gdyby Whitney mu wybaczyła, przysłałaby je sama.

Przypuśćmy, że Whitney nie chce go widzieć. Przypuśćmy, że raz tylko spojrzy na niego w kościele i zemdleje? Bolesny uśmiech pojawił się w oczach Clayтона. Whitney może cisnąć mu w twarz swój bukiet, ale z pewnością nie zemdleje. Nie jego dziełna, odwa na dziewczyna.

## Rozdział 27

W przedsionku zatłoczonego kościoła stała Elizabeth Ashton z ojcem, obserwując trzecią drużynę przemierzającą powoli wyłożony dywanem nawę, a potem odwróciła się do Whitney, która miała być następna.

– Pozbawisz mnie tryumfu tego dnia. - Z podziwem popatrzyła na kremowe i białe ró e wplecione w lśniące włosy Whitney i opływającą ją ółtą aksamitną suknię druhny. - Wyglądasz jak wiosenny onkil.

Whitney się roześmiała.

– Ty zaś wyglądasz jak anioł i nawet nie próbuj licytować się ze mną komplementami. Poza tym, jako panna młoda, jesteś chyba trochę zdenerwowana. Prawda, e jest, Emily? - szepnęła spoglądając przez ramię na przyjaciółkę, która miała podą ac za nią.

– Tak sędę - odrzekła Emily z roztargnieniem.

Tego ranka wyznała Michaelowi, e między Whitney i księciem doszło do okropnego rozstania (co z pewnością było prawdą) i e zaprosiła Clayтона na ten ślub w nadziei pogodzenia ich. Reakcja Michaela była bardzo zniechęcająca.

Powiedział, e nie powinna się wtrącać, bo mo e obu stronom wyrządzić krzywdę, i e w końcu oboje mogą mieć pretensję za tę podyktowaną yczliwością ingerencję.

Teraz tak e Elizabeth została wtajemniczona w plan Emily. Gdy przygotowano pierwszą listę gości, „pan Clayton Westland” był na niej, ale na trwo ne, choć stanowcze yczenie Whitney, Elizabeth skreśliła jego nazwisko.

Trzy dni temu Emily opowiedziała Elizabeth, e między Whitney a Claytonem rozkwitał sekretny romans, ostatnio jednak zakochani się pokłócili (co tak e było prawdą). Elizabeth z radością zgodziła się, e wysłanie mu w sekrecie zaproszenia jest wspaniałą okazją do ich pojednania. Nadal, oczywiście, nie wiedziała, e pan Westland jest w rzeczywistości księciem Claymore, gdy mimo tygodni, jakie spędziła w Londynie, poruszała się w całkiem innych kręgach towarzyskich ni on.

Dziś Emily przeklinała swój plan jako najgorszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadła.

– Panienska będzie następna - powiedziała do Whitney pokojówka Emily, pochylając się i układając jej tren.

Pozostałe druhny kuliły się z niepokoju przed długim, samotnym przejściem przez główną nawę, ale owa perspektywa w najmniejszym nawet stopniu nie kłopotowała Whitney. Robiła to ju wielokrotnie w Pary u jako druhna Therese DuVille i innych przyjaciółek, a dzisiaj czuła się szczególnie radośnie, gdy odegrała bardzo wa ną rolę w doprowadzeniu do tego mał eństwa. Swój bukiet białych i kremowych ró wzięła więc od pokojówki z wesołym uśmiechem.

– Elizabeth, kiedy następnym razem się spotkamy, będziesz ju mę atką -

szepnęła i ruszyła w stronę długiego dywanu.

Clayton utkwiał w niej wzrok, gdy tylko się ukazała, a jej widok wprost zaparł

mu dech w piersiach. Whitney nigdy nie wyglądała tak jasno i pięknie ani tak spokojnie. Była

promieniem księ ycowej poświęty zmierzającym środkiem oświetlonej blaskiem świec kościelnej nawy.

Stał w odległości zaledwie kilku kroków od niej, gdy minęła go z wdziękiem, i poczuł się, jakby łamano go kołem. Ka dy mięsień jego ciała napiął się i naprę ył, by znieść torturę jej bliskości. Była to jednak tortura, której pragnął; udręka, której nie chciał sobie oszczędzić.

Whitney zajęła swoje miejsce z przodu. Stała spokojnie przez całą ceremonię, lecz kiedy Elizabeth zaczęła cicho powtarzać mał eńską przysięgę, te znane słowa sprawiły nagle, e wzruszyła się jak nigdy przedtem i łzy zapiekły ją w oczach. Nie odwracając zbytnio głowy, mogła zobaczyć połowę obecnych w kościele, a gdy jej wzrok przesunął się po zatłoczonych ławkach, zauwa yła, e większość kobiet ociera oczy. Lady Annę uśmiechnęła się w bezgłośnym powitaniu. Whitney odpowiedziała niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy, czując falę ulgi na widok twarzy cioci.

Gdy niebezpieczeństwo płaczu minęło, a ucisk w gardle przestał dokuczać, Whitney pozwoliła swoim oczom wędrować po rzędach gości, obejmując spojrzeniem ojca, rodziców Margaret Merryton... lady Eubank, która miała na głowie jeden ze swych strasznych turbanów... I bardzo wysokiego, ciemnowłosego mę czynę, który... Serce Whitney podskoczyło gwałtownie, stanęło, a potem zaczęło walić jak szalone, gdy para przenikliwych szarych oczu spojrzała prosto w jej twarz. Sparali owana, zobaczyła gorzki al wyryty na jego urodziwym obliczu i dostrzegła przejmującą delikatność w zniewalającym spojrzeniu. I wtedy oderwała od niego wzrok.

Wciągnąwszy powietrze w ściśnięte płuca, Whitney spoglądała przed siebie niewidzącymi oczyma. Był tutaj! W końcu przyszedł, aby ją zobaczyć, myślała ze wzburzeniem. Nie mógł przyjść na sam ślub, przecie nie został zaproszony.

Był tutaj dla niej! Patrzył tak, jak jeszcze nigdy, naprawdę nigdy dotąd nie patrzył... jakby się jej oświadczał! Bardzo wysoki i bardzo wyprostowany, pokornie się jej ofiarował. Wiedziała to, mogła to dostrzec w wyrazie jego twarzy.

Chciała krzyknąć, upaść na kolana i płakać, zranić go tak, jak on zranił ją.

Furia, upokorzenie i szalona niepewność kłóciły się w niej i ścierały ze sobą.

Oto sposobność, eby mu się zrewan ować, myślała histerycznie, pokazać mu jednym spojrzeniem, e nim gardzi. Mo e ju nigdy nie mieć drugiej szansy.

Nie próbował zobaczyć się z nią przed tą uroczystością, a po ślubie Elizabeth odejdzie, nie mógł przecie uczestniczyć w weselu bez zaproszenia. Emily powiedziała, e prawdopodobnie nie zbli yłby się do Whitney bez jakiegoś sygnału z jej strony, a teraz prosił ją o ten sygnał.

O, Bo e! Bezgłośnie prosił ją o przebaczenie, stojąc tam i oświadczając się jej. Jeśli jej odpowiedzią będzie „nie”, Clayton odejdzie z kościoła, gdy ślub dobiegnie końca. I z jej ycia.

Whitney zamknęła oczy w udręce, niezdecydowana, nie dbając, e ksią ę to zobaczy, i dostrze e walkę, jaką toczyła w duchu. Zbrukał jej ciało, obraził jej duszę i wiedział to! Poczucie dumy mówiło jej, by

patrzyła nań z góry i okazała, że czuje jedynie pogardę. Ale serce wołało, by nie pozwoliła mu wyjść z tego kościoła.

„Nie płacz, maleńka, szeptał w jej pamięci, proszę, nie płacz już”.

Whitney nie mogła oddychać, nie mogła się poruszyć. „Pomó mi, modliła się do kogoś, proszę, pomó mi!”. A potem uświadomiła sobie, że „tym kimś”, do kogo się modli, jest Clayton. I że go kocha.

W momencie gdy się poruszyła, Clayton wiedział, że uzyska swą odpowiedź.

Kostki mu zbielewały, gdy chwycił ławkę stojącą przed nim, aby się oprzeć. Oczy Whitney uniosły się ku niemu i delikatna ustepliwość w topniejących zielonych głębiach niemal rzuciła go na kolana. Chciał zatonać w jej oczach, chwycić ją w ramiona, wynieść z kościoła i błagać, by powiedziała głośno te same słowa, które

ona właśnie w myślach wymówiła.

Wszyscy ruszyli główną nawą za orszakiem nowożeńców, rozpychając się i walcząc radośnie o miejsce na szerokich zatłoczonych schodach przed kościołem. Clayton wyszedł ostatni. Przeszedł wolno pod wysokim sklepieniem, słysząc echo własnych kroków. Na zewnątrz, przed masywnymi drzwiami kościoła przystanął, obserwując Whitney, która uśmiechała się i kłaniała, a jej włosy lśniły w słońcu późnego popołudnia. Zawahał się, wiedząc, że gdyby podszedł do niej teraz, nie mogliby zamienić więcej niż tylko kilka słów, a jednak nie potrafił się zmusić, aby czekać aż do weselnego przyjęcia. Starając się unikać byłych „sąsiadów”, wszedł w tłum, kierując się ku Whitney, a stanął tuż za nią.

Natychmiast wyczuła jego obecność, jakby była rzeczywistą, namacalną siłą; potęgą nym, magnetycznym zjawiskiem. Rozpoznała nawet nieuchwytny, ostry zapach jego wody kolońskiej, ale ledwie rozpoznała jego głos: był to ochryply z emocji, pełen bólu szept.

– Panno Stone... uwielbiam cię.

Uderzająca tkliwość tych słów przyprawiła Whitney o drżenie, ale księżę tego nie zauważył. Zobaczył, że zeszywniała i przez jedną, mrozącą krew w żyłach sekundę pomyślał, że tylko sobie wyobraził to, co zaszło między nimi w kościele, lecz wtedy Whitney zrobiła ledwie zauważalny krok w tył. Bardzo lekko oparła się o niego. Serce w nim zamarło, gdy poczuł owo niezwykle wrażliwe bliskości jej ciała. Delikatnie opuścił rękę, wysuwając ją do przodu ku talii Whitney i przyciągnął ją ciaśniej do siebie. Nie opierała się wcale... stała spokojnie w jego uścisku. Myśl Claytona poszybowała ku duchownemu w kościele. Jeśli powiodłoby teraz Whitney do ołtarza, czy stanęłaby obok niego niczym wspaniałe ciepłarniany kwiat i powtórzyła te same słowa, które właśnie wypowiedziała Elizabeth? Czy potrzebne by mu było specjalne zezwolenie?

Z najwyższym wysiłkiem odsunął od siebie pomysł poślubienia jej tu i teraz.

Whitney będzie olśniewającą panną młodą, a on nie ma prawa pozbawiać jej tego dnia chwały... wszak już odebrał jej tak wiele.

Emily odwróciła się do przyjaciółki, najwyraźniej nie zauważając, że księżka stoi tak szokująco blisko, ręką oplatając jej talię.

– Daję nam znak, że pora iść - powiedziała.

Whitney skinęła głową, ale Clayton wyczuł, że nie ma ochoty go zostawić i musiał zwalczyć pokusę, by zacieśnić uścisk. Wreszcie odsunęła się i nie patrząc za siebie, dołączyła do grupy podekscytowanych druhen.

Emily zawahała się przed wejściem do powozu tuż za Whitney. Odwracając się, spojrzała na księcia i dostrzegła, że jego nieprzeniknione szare oczy spoczywają na niej. Uśmiechnęła się z nieśmiałą niepewnością, on zaś odwzajemnił jej niezdecydowane powitanie głębokim, oficjalnym ukłonem, a potem uśmiechnął się uroczym, zniewalającym uśmiechem pełnym chłopięcej wdzięczności.

– On tam był! - wyrzuciła z siebie Whitney, odwracając się w powozie z oczami utkwionymi w sylwetkę Clayтона, który wciąż stał na kościelnych schodach, patrząc, jak powóz Archibaldów szybko się oddala. - Widziałas go?

– W rzeczy samej, widziałam. Stał tuż za tobą, z ręką wokół twojej talii - odrzekła Emily.

– Proszę, nie darz go nienawiścią za to, co zrobił - wyszeptała Whitney. - Nie zniosłabym tego, gdybyś go nienawidziła. Tak bardzo go kocham.

– Wiem, że go kochasz - powiedziała łagodnie przyjaciółka.

Clayton z sercem wyrywającym się z piersi obserwował powóz, dopóki nie zniknął w ulicznym ruchu. Wiedział, dlaczego Whitney nie odwróciła się twarzą do niego. Z tego samego powodu, dla którego on nie powiedział jej natychmiast, że ją kocha.

adnie z nich nie chciało zaczynać wszystkiego ponownie w otoczeniu grupy nieznanymi ludzi.

Ale niektórzy z owych gości wcale nie byli nieznanymi, zauważył wreszcie Clayton, rozglądając się wokół. Dostrzegł parę osób, które znał z Londynu.

Jednocześnie dotarło do niego, że szepty zgromadzonych stały się coraz bardziej gorączkowe. Zszedł ze schodów, mijając kobiety, które składały mu ukłony, i męczył z respektem powtarzających:

– Wasza wysokość...

Zatrzymał się, patrząc na swą karetę, która podjechała do krawężnika.

Kareta! Zaabsorbowany ponownym spotkaniem z Whitney, zapomniał

powiedzieć stangretowi, aby przygotował czarny powóz, kupiony do użytku



„sąsiada” Whitney.

Ksią ę odwrócił się, by stawić czoło obserwującym go teraz byłym sąsiadom, którzy znali go jako „pana Westlanda”. Spojrzał na nich ze smutkiem i skruchą za to oszustwo, a potem wskoczył do okazałej granatowej karocy z drzwiczkami ozdobionymi jego ksią ęcym srebrnym herbem.

Whitney postanowiła, e czas między ślubem a weselem spędzi u państwa Archibaldów z ciocią, aby opowiedzieć jej o ochłodzeniu stosunków z Claytonem. Przez kilka tygodni bała się tego spotkania, a teraz ledwie się go mogła doczekać.

– Wprost jaśniejesz! - Lady Annę uśmiechnęła się, wchodząc do salonu i mocno obejmując siostrzenicę, po czym zdjęła rękawiczki i pociągnęła siostrzenicę na sofę obok siebie. - Doprawdy kochanie - powiedziała z udawaną surowością - zaczęłam się ju zastanawiać, czy wy dwoje w ogóle będziecie w stanie oderwać od siebie oczy w tym kościele.

Whitney promieniała.

– Nigdy nie umiałam niczego przed tobą ukryć, prawda?

– Tego nie udało ci się ukryć przed nikim, kochanie. Połowa zgromadzonych tam ludzi wykręcała sobie szyje, by obserwować was przed kościołem, ju po ceremonii. - Whitney wydawała się tak przera ona, e lady Anna wybuchnęła śmiechem. - I wiesz chyba równie , e na tym ślubie byli ludzie, którzy go rozpoznali. Gdy tylko wszedł do środka, tłum zaczął podawać sobie z ust do ust jego nazwisko, więc teraz wszyscy, łącznie z waszymi sąsiadami, wiedzą ju , kim on jest. Obawiam się, e „pan Westland” został zdemaskowany.

Whitney słuchała tego z rosnącą dumą. Chciała, eby wszyscy wiedzieli, kim on jest i dowiedzieli się te o ich zaręczynach. Chciała wykrzyknąć to całemu światu!

Gawędziły radośnie przez półtorej godziny, zanim przypomniała sobie, eby zapytać o wujka Edwarda.

– Jest w Hiszpanii - odpowiedziała ciocia z wyrozumiałym uśmiechem. - Jego list zawierał niemal równie mało informacji jak twój, ale zrozumiałam, e znosi się na coś niedobrego i został tam pośpiesznie wysłany w sekrecie, aby próbował załagodzić sytuację. Obiecał, e będzie tu przed upływem sześciu tygodni. Widocznie aden z moich listów do niego nie doszedł -

informowała siostrzenicę lady Annę, po chwili zaś spytała: - Czy byłabyś bardzo niezadowolona, gdybym nie uczestniczyła w przyjęciu weselnym?

Przyjechałam tylko na ten ślub, bo w listach nie wspominałaś o księciu, więc pragnęłam przekonać się na własne oczy, jak się mają sprawy między wami.

Poniewa widać, e łączy was idealna zgoda, chciałabym od razu wrócić do Lincolnshire. Moja kuzynka, słodka i bezradna istota, stała się całkiem zale na od mego towarzystwa. Kiedy tylko ty i jego wysokość postanowicie rozwiązać niepewność „całego Londynu” i wasze zaręczyny zostaną ogłoszone, wrócę i będziemy mogły’ zacząć przygotowania do twojego ślubu.

Dzień minął tak szybko, a Whitney ledwie mogła w to uwierzyć, i nadszedł

czas, by uściskać ciocię na pożegnanie.

– Byłabym zapomniała - powiedziała lady Anne, zatrzymując się w drzwiach -

ojciec przywiózł dwa kufry twoich strojów. Posłałam je na górę i Clarissa zajmuje się teraz rozpakowywaniem.

Och... twój ojciec powiedział te, a jest tam równie jakaś korespondencja dla ciebie.

Dziewczyna pobiegła na górę i usiadła na krześle przed toaletką. Podczas gdy Clarissa poprawiała włosy w jej włosach, Whitney radośnie wyobraziła sobie jutrzejsze pojednanie z Claytonem. Oczywiście, przyjedzie wcześniej, aby się z nią spotkać i razem... Zauważyła grubą paczkę leżącą przed lustrem. Sięgnęła po nią i otworzyła, z rozmarzeniem wyjmując jakieś oficjalnie wyglądające dokumenty. Na pierwszy rzut oka były one przepełnione tak wieloma „rolami pierwszej strony” i „rolami drugiej strony” oraz „przyczynami” i „skutkami”, a Whitney pomyślała, że ów pakiet musi być przeznaczony dla lorda Archibalda, a w jej pokoju został położony jedynie przez pomyłkę. Spojrzała na ostatnią stronę i uderzył ją podpis: Clayton Robert Westmoreland, Dziewiąty Książę Claymore. Odprawiając Clarissę, zaczęła powoli czytać dokumenty.

Oznajmiały one w zimnych, prawniczych terminach, że nie jest już zaręczona z księciem Claymore'em, a jego oferta małżeńska zostaje niniejszym wycofana i wszelkie „pieniądze, klejnoty, opłaty, pamiątki etc”, jakie rodzina państwa Stone'a otrzymała od księcia, mają być przez nią zatrzymane i traktowane jako podarunki.

Dłoń dziewczyny drżała gwałtownie, gdy rozłożyła napisany ręką Clayтона list, który dołączony był do dokumentów:

Proszę przyjąć moje szczere życzenia szczęścia i przekazać je Paulowi. Będę wdzięczny, jeśli załączony czek zostanie potraktowany jako prezent.

Ze zneruchomiałych palców Whitney wyslizgnął się na podłogę czek na dziesięć tysięcy funtów, a do gardła podeszła jej fala mdłości. Clayton hojnie zapłacił, jakby była pospolitą dziewczynką lub jedną z jego kochanek, sugerując przy tym, że oddaje zbrukane ciało Whitney Paulowi.

– O mój Boże! - wyszeptała. - O mój Boże...

Emily zapukała do drzwi, pytając ją, czy jest gotowa do wyjścia.

– Będę na dole za parę minut - odrzekła ochryłym głosem Whitney. - Emily -

dodała, wydobywając z siebie głos mimo dławiącego bólu w piersiach - czy...

czy wiesz, w jaki sposób książę znalazł się na ślubie? Chodzi mi o to, czy Elizabeth postanowiła go jednak zaprosić?

W głosie Emily było zarówno poczucie winy, jak i radość.

– Tak, a ty nie cieszysz się, e to zrobiła?

Pokój kołysał się i wirował, gdy Whitney, słaniając się, zaczęła wstawać z krzesła. Myślała, e zemdleje, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Oddychając nierówno, została tam, gdzie była. Wewnętrzne wzburzenie uspokajało się powoli, pozostawiając tępy, pulsujący ból, który nasilał się z ka dą chwilą.

Clayton nie przybył na ten ślub, by ją zobaczyć; został zaproszony! Whitney uświadomiła to sobie z ogłuszającym upokorzeniem. Poniewa jego list i dokumenty pochodziły sprzed kilku tygodni, sądził naturalnie, e dziś, gdy go zobaczyła, ju je znała. Wybuchnęła szalonym, histerycznym śmiechem. On po prostu przyszedł na ślub... i jaki musiał być zadowolony, gdy z takim uwielbieniem uśmiechnęła się do niego!

Nie tylko się uśmiechnęła, przypomniała sobie w świe ym przyływie udręki, oparła się o niego! Pozwoliła, by objął ją ramieniem i trzymał! A ten niegodziwy oszust, arogancki rozpustnik pomyślał prawdopodobnie, e zaprasza go do ponownego wykorzystania jej ciała! Prawdopodobnie zamierzał zabrać ją do domu po weselu i zwa ywszy na to, jak się zachowała, był przekonany, e ona zechce z nim pojechać.

Wesele! Whitney ukryła twarz w dłoniach i jęknęła głośno. Clayton będzie na weselu. Będzie musiała stawić mu czoło.

Gdy zeszła do Emily i jej mę a czekających na dole, była trochę blada i oczy błyszczały jej podejrzenie, głowę jednak trzymała wysoko, a delikatne wargi zacisnęły się w wyrazie uporu. Na zewnątrz była opanowana i bardzo spokojna... ale był to ów straszny spokój, który poprzedza narastający huragan, który przygotowuje się do uderzenia. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po przybyciu do wielkiego domu dziadków Elizabeth, było posłanie najpiękniejszych uśmiechów ku dwóm najprzystojniejszym dru bom. Clayton uzna natychmiast, e zapragnęła zgromadzić wokół siebie mo liwie najliczniejszą grupę wielbicieli i od początku właśnie to zamierzała zrobić.

Znalazłszy się między dwoma dru bami, rozmawiała z ka dym panem, który przechodził obok, a jeśli zdarzyło się mu być kawalerem, zachowywała się najbardziej czarująco, jak mogła. W ciągu piętnastu minut spowodowała prawdziwy zator w ruchu gości i była otoczona sześcioma d entelmenami, którzy ubiegali się o jej względy. Tylko raz opanowanie dziewczyny zachwiało się nieco: gdy nad jej ręką pochylił się Paul. Promienny uśmiech zbladł lekko, kiedy spojrzała na jego urodziwą twarz, ale patrzył na nią tak bojaźliwie i z taką skruchą, e natychmiast postanowiła przyłączyć go do swego towarzystwa i ściskając lekko jego palce, wciągnęła Paula w krąg otaczających ją wielbicieli.

Teraz była obwarowana, otoczona str aą, odizolowana od Clay-ona. W tym momencie właśnie tego jej było trzeba. Książę przybył akurat wtedy, gdy tłum gości rozdzielał się na grupy. Przystanął w drzwiach, rzucając się w oczy swym wysokim wzrostem, odziany w doskonale skrojony czarny wieczorowy strój z kamizelką. Whitney obserwowała jego spojrzenie przesuwające się po gościach, które zatrzymało się natychmiast, gdy dotarło do niej. Jej policzki zabarwiły się ślicznym odcieniem

ró u, gdy przeniosła wzrok z księcia na otaczających ją męczyzn.

– Całkiem ignorujemy pannę młodą - zaartowała z olśniewającym uśmiechem i nie oglądając się, poprowadziła swój orszak ku Elizabeth.

Clayton był pewien, że go widziała, a jego oczy pociemniały z zaskoczenia i zdumienia, gdy zobaczył, że odchodzi. Po chwili uświadomił sobie, że miała obowiązek towarzyszenia pannie młodej i poczuł się nieco lepiej, lecz kiedy zobaczył, jak śmieje się wesoło wraz z męczyznami, którzy za nią szli; nie, do licha, jak flirtuje z nimi, jego zdenerwowanie zaczęło rosnąć.

Jakiś służący z tacą pojawił się obok, więc księżę sięgnął po kieliszek szampana, podając wzrokiem za Whitney. Wiedziała, że tu jest i widocznie czekała na odpowiedni moment, aby do niego podejść. Nade wszystko pragnął

jej dotknąć, tęsknił do cichej melodii jej głosu, przez minione dwie godziny myślał tylko o tym, aby być blisko niej.

Ogłoszono, i podano kolację, ale Clayton zwlekał z podejściem do stołu, mając nadzieję, że Whitney może podejść do niego, zanim sama usiądzie.

– Ach... Claymore! Jak miło widzieć pana znowu - rozległ się u jego boku jowialny męski głos.

Księżę rzucił pobieżne spojrzenie niskiemu, podstarzałemu męczyźnie, rozpoznając w nim lorda Anthony'ego, starego przyjaciela swego ojca.

– Jak się miewa pańska urocza matka? - zapytał lord Anthony, popijając szampana.

Clayton zobaczył,

że Whitney wchodzi do sali jadalnej, wcale nie zamierzając podejść do niego.

– Dziękuję, miewa się dobrze - odparł z roztargnieniem. - A pańska?

– Przypuszczam, że... wciąż tak samo - odrzekł lord Anthony - Nie żyje od trzydziestu lat.

– To dobrze - rzucił Clayton. - Miło słyszeć. - Odstawił kieliszek i poszedł

zająć wyznaczone mu miejsce przy jednym ze stołów.

Elizabeth, niczym wytrawna swatka, zdołała umieścić księcia przy stole zwróconym frontem do towarzystwa nowożeńców, dokładnie na wprost Whitney. Clayton jadł niewiele, nie czując smaku tego, co miał na talerzu. Był

zbyt zaabsorbowany wymykającą mu się, piękną kobietą, która zawładnęła jego sercem, teraz jednak najwyraźniej albo się bała, albo nie chciała spotkać się z nim wzrokiem. Obserwował, jak gawędzi figlarnie z drubami, których miała po obu stronach, owijając ich sobie wokół małego palca, i zazdrość zaczęła pulsować mu w żyłach.

Narastające rozgoryczenie księcia powiększało sąsiedztwo; posadzono go między dwiema matronami, które dowiedziawszy się o jego tytule, natychmiast zobaczyły w nim przyszłego męża swoich niezamężnych córek.

– Moja Marie gra na fortepianie jak anioł - odezwała się jedna z dam. -

Koniecznik musi pan przyjść na jeden z naszych wieczorów muzycznych, wasza wysokość.

– Moja Charlotte śpiewa jak słowik - bezzwłocznie oświadczyła druga.

– Nie mam muzycznego słuchu - wycedził, nie odrywając oczu od Whitney.

Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, goście przeszli do sali balowej. Peter poprowadził Elizabeth na środek parkietu i zatańczyli razem, poruszając się w doskonałej harmonii. Potem do tańczących nowożeńców dołączyli drubowie i drubny, którzy równie tańczyli razem. Clayton spodziewał się, że kiedy ten obowiązkowy taniec dobiegnie końca, Whitney podejdzie do niego. Lecz zamiast tego ona po egłowała w ramiona drugiego drubowca, a potem następnego, uśmiechając się do nich tak, że Clayton miał

ochotę skrócić jej kark!

Czwarty taniec tańczyła z Paulem Sevarinem, kiedy Claytonowi wreszcie zaświtało, że Whitney czeka, aby on podszedł do niej, i wprost odebrało mu mowę z powodu własnej głupoty. Wszak w kościele to ona zrobiła pierwszy krok do pojednania i naturalnie oczekiwała, że teraz on uczyni następny.

Gdy taniec dobiegł końca, księżę skierował się prosto do niej.

– Miło znów cię widzieć, Sevarin - skłamał uprzejmie, zdecydowanie kładąc sobie na ramieniu dłoń Whitney. - Wierzę, że następny taniec należy do mnie

- dodał, okrywając smukłe palce dziewczyny swymi i prowadząc ją na parkiet.

Chociaż się nie sprzeciwiła, Clayton był nieco zdziwiony uprzejmym, lecz bezosobowym uśmiechem, jakim go obdarzyła, tańcząc w jego ramionach walca.

Była jeszcze szczuplejsza niż przedtem i opiekuńczo przyciągnął ją bliżej. To jego wina, że straciła na wadze.

– Dobrze się bawisz? - zapytał tonem, który brzmiał tkliwością i poczuciem winy.

Whitney promiennie skinęła głową. Ograniczyła się do tego gestu, gdy nie mogła ufać swemu głosowi. Od chwili gdy Clayton wszedł, wszystkie jej zmysły z ogromną siłą reagowały na jego obecność. W głębi duszy czuła się tak, jakby umierała, dusząc się powoli i boleśnie. Pozbawił ją dziewictwa, a potem bezdusznie wycofał ofertę małżeństwa, sugerując zimno, aby poślubiła Paula, i cisnął jej w twarz pieniądze, aby ją ugłaskać. I teraz nie mogła się ponownie, prosząc, aby powiedział dlaczego, błagając, aby zapragnął jej znowu. Jedyne duma podtrzymywała ją w milczeniu i wyniosłości; ona, niewzruszona, męża, zniewa ona duma. Twarz bolała Whitney z wysiłku, gdy

dziewczyna wciąż się uśmiechała, ale uśmiechała się przez cały wieczór i będzie to robić, dopóki księżkę nie wyjdzie z tej sali. A potem ona umrze.

Pierwszy raz od czasu, kiedy ją spotkał, Clayton nie wiedział, co uczynić.

Czuł się tak, jakby śnił, i bał się rozmawiać z obawy, że powie coś niewłaściwego i czar pryśnie. Myślał o przeproszeniu Whitney za to, że ją znieważał, lecz w perspektywie zbrodni, jakiej dopuścił się przeciwko niej, wszelkie słowa wydawały się niewystarczające. Tym, co naprawdę chciał

powiedzieć, było: „Wyjdź za mnie jutro”, ale pozbawiwszy ją już nocy poślubnej, był zdecydowany, że Whitney musi mieć wspaniałe wesele, z całym przepychem i pompą, z błyszczącą wystawnością i okazałością, których miała prawo zażądać jako wybranka księcia.

Skoro nie mógł błagać jej o wybaczenie ani prosić, by wyszła za niego natychmiast, postanowił powiedzieć tylko tę jedną rzecz, która miała dla niego znaczenie w tej chwili. Spoglądając na pochyloną głowę Whitney, bardzo cicho i bardzo czule wyrzekł słowa, których nigdy nie powiedział adnej kobiecie:

– Kocham cię.

Czuł emocjonalny wstrząs, jaki spowodowały te słowa, gdy zeszywniała w jego ramionach, ale kiedy podniosła ku niemu piękne oczy, jej śmiech sprawił, że niemal się potknął.

– - Wcale mnie to nie dziwi - odparła z artobliwą chępliwością. - Wszyscy szaleją za mną w tym sezonie... szczególnie wysocy mężczyźni. -

Przechyliwszy lekko głowę na bok, zastanawiała się nad możliwymi powodami takiego stanu rzeczy. - Sądzę, i prawdopodobnie dzieje się tak dlatego, że jak na kobietę jestem dość wysoka. Dla wysokiego mężczyzny nieustanne pochylanie się, by powiedzieć coś niskiej damie, musi być okropne. Albo te - dodała wesoło - przyczyna tkwi w tym, że mam zdrowe zęby. Poświęcam im wiele troski i...

– Przestań - warknął Clayton, próbując powstrzymać jej kpiny.

– Dobrze, już nigdy nie będę ich czyścić - zgodziła się Whitney z udaną powagą.

Clayton spojrzał na jej czarującą kremową twarz i zastanawiał się, jak to się stało, że zaczął rozmawiać o miłości, a kończy jakąś idiotyczną dyskusją o higienie osobistej. Gdyby jego uczucia nie pozostawały w stanie takiego wrzenia, gdyby tak desperacko nie próbował naprawić sytuacji między nimi, zauważyłby, że błyszczące oczy Whitney lśniły tłumionymi łzami, a nie śmiechem, i że mięśnie smukłej szyi były spazmatycznie napięte. Ale jego emocje wrzały i nic nie zauważył.

– Elizabeth jest śliczną panną młodą - powiedział, starając się skierować rozmowę w stronę małżeństwa.

Whitney się roześmiała.

– Wszystkie panny młode są śliczne. To zostało postanowione przed wiekami... nie wątpię, że przez

jakiegoś księcia... e wszystkie panny młode muszą być śliczne. I zarumienione ze wstydu.

– Będiesz tak e zarumieniona? - zapytał czule.

– Z pewnością nie - odparła, zmuszając się do uśmiechu mimo skurczu w gardle. - Nie zostało mi nic, bym miała się rumienić. Poza tym muszę przyznać,

e zawsze

ywiłam ukrytą pogardę dla tych wszystkich

nieśmiałych panien, które rumienia się i mdleją z lada powodu.

Zmieszanie Claytona sprawiło, i jego głos przeszedł w napięty szept.

– Czy stało się coś złego? Nie byłaś taka, gdy przed kościołem znalazłaś się w mych ramionach...

Jadeitowozielone oczy Whitney otworzyły się szeroko w wyraźnym zakłopotaniu.

– To byłaś ty?

Nie zwa ając na zdumienie, które wywołują wśród weselnych gości, Clayton gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie.

– A ty myślisz, e kto to, do diabła, był?! Whitney poczuła się tak, jakby jej serce pękało.

– W istocie, nie byłam całkiem pewna, kto to był. To mógł być... - Skłoniła głowę ku dwóm dru bom, którzy nadskakiwali jej przez cały wieczór - John Clifford albo lord Gilmore. Mówią, e mnie „uwielbiają”. Mógł to być równie Paul. On te mnie uwielbia. Albo te ...

Jednym szybkim ruchem Clayton odsunął Whitney od siebie, a potem popatrzył na nią z zimną wzgardą, jego głos zaś, niebezpiecznie niski, kipiał

furią.

– Myślałem, e jesteś kobietą z sercem, ale ty okazałaś się jedynie pospolitą kokietką!

Whitney uniosła głowę i spojrzała nań z pogardliwym rozbawieniem.

– Nie powiedziałabym, e jestem pospolita. Przede wszystkim pozbawiłam cię stu dziesięciu tysięcy funtów, a mimo to wystarczy, bym się uśmiechnęła, i ty niczym piesek przybiegasz do nogi, jak uczyniłeś to dzisiaj. adne z nas nie jest pospolite, wasza wysokość - szydziła. - Ja jestem utalentowaną kokietką, a ty wspaniałym głupcem.

Przez sekundę Whitney myślała, e Clayton ją uderzy. Obrócił się jednak tylko na pięcie i szybko wyszedł. Patrzyła, jak dumnym krokiem mija gapiących się gości, a potem przechodzi obok stojących w drzwiach lokajów i wiedziała, e właśnie odszedł z jej ycia na zawsze. Przełykając łzy, odszukała

w tłumie Emily.

– Emily - wyjąkała z opuszczaną głową załamującym się głosem - proszę, wytłumacz mnie przed Elizabeth... powiedz, e nagle bardzo źle się poczułam. Ja... odeślę ci powóz, gdy tylko stangret odwiezie mnie do waszego domu.

– Pojadę z tobą - powiedziała szybko przyjaciółka.

– Nie, wolę być sama. Muszę być sama.

Późną nocą Emily i Michael przystanęli przy drzwiach pokoju Whitney, nasłuchując bolesnych odgłosów alu wylewanego w poduszkę.



– Zostawmy ją samą - odezwał się współczująco Michael - wypłacze z siebie cały smutek.

Lecz gdy Whitney nie pojawiła się następnego ranka na śniadaniu, Emily poszła do jej pokoju i zastała ją siedzącą na łóżku, z kolanami przyciśniętymi do piersi, jakby próbowała zwinąć się w kłębek. Wyglądała blado i wydawała się słaba, ale kiedy zobaczyła przyjaciółkę, zdobyła się na nikły uśmiech.

– Jak się czujesz? - zapytała łagodnie Emily.

– Ja... dzisiaj... znacznie lepiej.

– Whitney, co się stało wczorajszego...

– Nie! - wybuchnęła ostro. - Proszę, nie pytaj - zawołała, a kiedy Emily skinęła głową, napięcie na twarzy Whitney ustąpiło miejsca wdzięczności. -

Postanowiłam zacząć rozkoszować się resztą czasu, jaki mi pozostał w Londynie - powiedziała, opadając rozluźniona na poduszki. - Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdyby czasem odwiedzili mnie jacyś znajomi?

– Oczywiście, e nie. W istocie lord Gilmore i ci dwaj druhowie są właśnie na dole i mają nadzieję, e cię zobaczą. - Mimo pozornej wesołości, głos Emily drżał, gdy usiadła obok Whitney i objęła ją ramieniem. - Oboje, Michael i ja, chcemy, abyś została u nas mo liwie jak najdłużej. Michael rozumie, e jesteś raczej moją siostrą ni przyjaciółką.

Whitney uścisnęła ją serdecznie i próbowała się roześmiać.

– Siostry kłócą się wstrętnie o byle co. Lepiej nadal zostańmy przyjaciółkami!

## Rozdział 28

Tego dnia Whitney rozpoczęła miesiąc gorączkowej aktywności towarzyskiej. Z odwagą i determinacją celowo starała się być zbyt zajęta, eby myśleć. Każdego wieczoru padała na łóżko wyczerpana i spała, a nadchodził

czas, by ubierać się do kolejnego wyjścia. Nicki był jej ulubioną i najczęstszą

„męską eskortą”, ale dwaj druhowie i inni d entelmeni, których poznała u Emily i na weselu Elizabeth, równie często jej towarzyszyli. Z Emily jako przyzwoitką często chodziła na rauty oraz koncerty, przedstawienia operowe i teatralne, a także na bale. Poznawała kolejnych młodzińców stanowiących dobre partie, którzy potem z dającą się przewidzieć regularnością pojawiali się w rezydencji państwa Archibaldów, aby zapraszać ją na następne przyjęcia i bale.

Jeśli wcześniej w Paryżu Whitney była mile widziana, to Londyn przyjął ją z otwartymi ramionami, gdy urok i dowcip dziewczyny były tu czymś jeszcze bardziej wyjątkowym. Gdy tylko gdzieś się pojawiła, szeptało i obracano ku niej głowy. Poczucie humoru Whitney było teraz łagodniejsze i nieśmiali młodzińcy, którzy przedtem bali się do niej podejść, teraz otaczali ją tłumnie.

Starano się o jej względy i szukano towarzystwa. A ona czuła się niewyobraźalnie nieszczęśliwa.

Nigdy nie była sama. I nigdy nie zaznała spokoju.

Przypadkowo na jednej z takich uroczystości usłyszała imię Claytona i poczuła, że coś w niej umiera, ale nikt, kto widział, jak jej czarujący uśmiech rozjaśnia się jeszcze bardziej, nie domyśliłby się, że coś ją poruszyło.

Tylko raz w czasie owego pierwszego miesiąca była bliska spotkania z księciem. Młody wicehrabia, który tego wieczoru jej asystował, umieściwszy Whitney w swoim powozie, obwieścił z wyraźną dumą, że zabierają na „bal roku”, a potem odwrócił się do stangreta i podał adres: Upper Brook Street 10.

Adres ten podziałał na Whitney niczym strumień zimnej wody. Upper Brook Street 10 to londyńska rezydencja Claytona! - adres, który podał jej niegdyś, na wypadek gdyby chciała do niego przyjechać.

– Nie lubię wielkich przyjęć - oświadczyła z desperacją wicehrabiemu. -

Przyprawiają mnie o duszności!

– Ale księżę Claymore wydaje najlepsze przyjęcia w Londynie! -

zaprotestował wicehrabia z równą gwałtownością. - A w zeszłym tygodniu powiedziała pani, że uwielbia wielkie przyjęcia.

– To było w zeszłym tygodniu. W tym tygodniu hałas wpędza mnie w chorobę.

Jej świeżo nabyte uczulenie na hałas niewątpliwie wydało się wicehrabiemu dość szczególne, ale panna Stone była tak piękna i zabawna... A przy tym ogromnie popularna. Zabrał ją więc do opery. Ten wieczór stanowił jednak kres łaskawości losu wobec Whitney: spotkała Claytona następnego dnia. Była w teatrze z Nickim, siedzieli w loży z wybornym widokiem na scenę i pięć rzędów krzeseł na parterze. Tu przed rozpoczęciem sztuki pasmo włosów dziewczyny zaplątało się w ametystową broszkę i Nicki pochylił się, by pomóc jej rozplatać.

Kiedy to robił, oczy Whitney wędrowały bez celu po widzach... i nagle dostrzegła Claytona oraz Vanessę Standfield, którzy właśnie wchodzili do niedalekiej loży częściowo zajętej już przez państwa Ruthefordów. Ręka księcia obejmowała poufale talię panny Standfield, gdy obie pary wymieniały powitania. Nie mogąc oderwać od nich oczu, Whitney patrzyła, jak zajmują miejsca. Zobaczyła, że Vanessa mówi coś do Claytona, który pochylił się bliżej, by lepiej ją słyszeć, a to, co mówiła, sprawiło, że odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Zadrżała gwałtownie, widząc, że Ruthefordowie obrócili się do Claytona i Vanessy, wyraźnie ciekawi powodów jego wesołości. Księżę coś wyjaśnił, widocznie powtarzając to, co powiedziała jego towarzyszka, gdy Vanessa zaczerwieniła się gwałtownie, a lord i lady Ruthefordowie tak i się roześmiali.

W lożach i rzędach poniżej obracano głowy i Whitney usłyszała szepty:

– Claymore... Jego wysokość... Księżę...

Obecność Clayтона w teatrze (i Vanessy u jego boku) została w porę zauważona przez wszystkich.

– Cherie, źle się czujesz? - zapytał Nicki, zatroskany bladością Whitney.

Obawiając się, że zaraz zemdleje, podniosła się z miejsca, a wtedy nagle Clayton podniósł wzrok i zobaczył ją. Jego oczy zrobiły się zimne jak stal, a wyraz twarzy zmienił się z lodowatego niesmaku w pełną znudzenia pogardę. A potem szybko odwrócił głowę.

Whitney powiedziała sobie, że musi zostać w tej loży do końca spektaklu, że nie pozwoli, nie pozwoli, aby księżę widział, jak jest poruszona jego obecnością. Wyszła jednak dziesięć minut później. Wyszła, bo łzy zaczęły płynąć jej po policzkach i dlatego, że była tak zazdrosna, tak niezdolnie, dręcząco, beznadziejnie zazdrosna, że nie mogła pozostać w teatrze.

Trzy dni później Nicki towarzyszył jej na drugim przyjęciu w ciągu jednego wieczoru. Przybywając wyjątkowo późno, Whitney podała futrzaną pelerynę lokajowi, a potem wzięła pod ramię swego towarzysza, by przeprowadził ją przez tłum wychodzących gości, którzy czekali na powozy. Na końcu owej grupy Whitney zobaczyła księcia pomagającego Vanessie się ubrać i uśmiechającego się do niej w ten swój zuchwały sposób. Palce Whitney zacisnęły się konwulsyjnie na ramieniu Nickiego.

– Dokąd mnie teraz prowadzisz, mój panie? - zapytała panna Standfield Clayтона, gdy Whitney próbowała przejść obok nich obojętnie.

– Na manowce - odparł.

Podniósłszy nagle wzrok, zobaczył stojącą tu przed nim Whitney, ale tym razem nie objawił jej nawet swej niechęci. Patrzył jedynie przez nią, jakby w ogóle nie istniała, a potem znowu odwrócił się ku Vanessie.

Pewnego chłodnego popołudnia w następnym tygodniu Nicki oświadczył się Whitney. Bez kwiecistych, płomiennych deklaracji uczuć wziął bladą dziewczynę w ramiona i powiedział po prostu:

– Wyjdź za mnie, kochana.

To ciche zdanie, w którym ofiarował jej siebie, niemal zburzyło kruchy spokój Whitney.

– Ja... ja nie mogę, Nicki - wyszeptała, próbując uśmiechnąć się do niego mimo łez napływających jej do oczu. - Z całego serca pragnęłabym cię kochać, byłoby jednak nieuczciwe z mojej strony, gdybym cię poślubiła, czując się tak, jak się czuję.

– Dokładnie wiem, jak się czujesz, cherie - odpowiedział łagodnie, biorąc ją pod brodę - lecz jestem gotów się założyć, że jeśli za mnie wyjdiesz i wrócimy do Francji, zdołam sprawić, i o nim zapomnisz.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na policzku Nickiego. Był przyjacielem, na którego mogła liczyć i

któremu mogła zaufać. Jeśli teraz odmówi, Nicki wyjedzie, nie mogła jednak się zmusić, by dać mu fałszywą nadzieję.

– Mój drogi, najlepszy przyjacielu - odezwała się znękanym głosem - zawsze będę cię kochać, ale jedynie jako przyjaciela. - Na długich rzęsach Whitney błyszczały łzy, a jej głos drżał. - Nie potrafię wyrazić jak... jak bardzo jestem zaszczyczona, e chciałbyś mnie za onę... i jak wiele znaczą dla mnie wszystkie minione lata. Och, Nicki, dziękuję. Dziękuję za to, e jesteś. -

Uwalniając się z jego ramion, odwróciła się i odeszła.

Biegła na oślep po schodach, powstrzymując płacz, dopóki nie usłyszała, e zamknęły się za nim frontowe drzwi. Dopiero wtedy łzy popłynęły, a Whitney, kryjąc twarz w dłoniach, szybko minęła otwarte drzwi sypialni Emily i Michaela, i przez hol pobiegła do swojego pokoju, by wypłakać całą niedolę.

Niedolę, która wydawała się nie mieć końca.

Emily odwróciła się ku mężowi z oczami rozszerzonymi trwogą.

– Dobry Bo e! - zawołała. - Co się mogło stać? Jeśli Clayton Westmoreland zrobił jej coś jeszcze, uduszę go własnymi rękami!

Michael wciągnął Emily z powrotem do ich sypialni i stanowczo zamknął drzwi.

– Emily - odezwał się ostro nie - Claymore wczoraj poślubił Vanessę Standfield w jej domu. Wszyscy, którzy mogą coś wiedzieć, mówią tylko o tym.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości! - wybuchnęła. - Od dnia, gdy rok temu przyjechałam do Londynu, wciąż słyszę niekończące się plotki na temat jego małżeństwa i adna nie była prawdziwa.

– Być może, ale w tę ja wierzę. Poza tym jakie to ma znaczenie, czy jest prawdziwa, czy nie? Whitney całkiem o nim zapomniała przez ostatnie tygodnie.

– Och, Michaelu - westchnęła Emily. - Jak może być tak kompletnie ślepy?

Nie czekając na odpowiedź oszołomionego męża, otworzyła drzwi i zdecydowanym krokiem przeszła przez hol, kierując się do błękitnego pokoju gościnnego. Zapukała do drzwi, a kiedy nie usłyszała odpowiedzi, otworzyła je śmiało i weszła do środka.

Whitney leżała skulona na łóżku z mocno zaciśniętymi oczami, a po jej policzkach płynęły strumienie łez.

– Dlaczego płaczesz? - zapytała Emily łagodnie, ale stanowczo. Whitney otworzyła oczy i usiadła zakłopotana, sięgając po chusteczkę.

– Wydaje się, e ostatnio właśnie to robię najlepiej - odparła ponuro, wycierając twarz.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Znam cię od dzieciństwa i nie pamiętam, byś wcześniej tak często zalewała się łzami, jak czynisz to przez kilka ostatnich tygodni. A teraz, panno Stone, mów - poleciała jej przyjaciółka - dlaczego płaczesz?

– Nicki mi się oświadczył - westchnęła Whitney, zbyt wyczerpana, by uchylać się przed tym pytaniem.

– I to cię tak uszczęśliwiło, e wybuchnęłaś płaczem? Whitney uśmiechnęła się, ale w jej głosie słychać było szloch.

– Najwyraźniej nie radzę sobie z propozycjami mał eństwa. Pomyślisz zapewne, e z takim doświadczeniem, jakie zdobyłam we Francji...

– Co się stało? - przerwała jej stanowczo Emily.

Whitney przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu, a potem wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

– Przede wszystkim Clayton nie chce się ze mną o enić.

– Bzdura! Jak mo esz oczekiwać, e uwierzę w takie brednie? Widziałam, w jaki sposób ten człowiek patrzył na ciebie.

Whitney zwlokła się z łó ka, podeszła do małego francuskiego sekretarzyka, z którego wyjęła pakiet dokumentów przysłany jej przez księcia, i bez słowa podała go Emily.

Emily usiadła w fotelu i zaczęła czytać. Kiedy czytała dokumenty, na jej twarzy nie widać było adnej szczególnej reakcji, ale spochmurniała na widok czeku i z całkowitym niesmakiem przewróciła oczami, czytając list Claytona.

– Coś podobnego! - wykrzyknęła z irytacją. - Przysłanie ci tego listu jest tak głupie, e trudno wyrazić to słowami. Jeśli nie był pijany jak bela, kiedy to pisał, to doprawdy nie wiem, co się stało z jego rozumem. Ale co to wszystko

- wskazała na stertę papierów - ma wspólnego ze sposobem, w jaki potraktowałaś księcia na weselu Elizabeth? Widziałam, jak go unikałaś i ignorowałaś.

– Powinnam była unikać go w kościele! - odparła gwałtownie Whitney. -I unikałabym, gdyby nie to, e myślałam, i wciąż jesteśmy zaręczeni. Ja... ja nie wiedziałam o tych dokumentach a do chwili, gdy wróciłam tu z kościoła.

Były wraz z rzeczami, które ojciec przysłał mi z domu.

– Na pewno nie jesteś zła,

e ksią e wycofał swoje oświadczyzny?

Wydawałoby mi się,

e zachował się poprawnie, wiedząc,

e cię

skrzywdził... i sądząc, e nigdy mu nie wybaczysz. Jestem pewna, e próbował jedynie zwolnić cię z obowiązku, który, jak sądził, budził w tobie odrazę.

Whitney patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Jak mo esz być tak naiwna? Emily, on mnie wciągnął do łó ka i pozbawił

czci, a potem przysłał czek, by mnie spłacić, zerwał zaręczyny i napisał list z propozycją, abym wyszła za Paula!

– Przypuszczam - Emily westchnęła - e gdybym była w to zaangażowana równie emocjonalnie jak ty, być mo e odczuwałabym wszystko tak samo.

Ale proszę cię, tylko przez chwilę zapomnij teraz o czeku. Szkoda słów, by o tym mówić, choć z drugiej strony czek świadczy te o jego szczodrości.

Whitney ju otwierała usta, by gniewnie zaprotestować, ale przyjaciółka potrząsnęła głową i oświadczyła stanowczo:

– Whitney, ja widziałam go na ślubie Elizabeth, ju po tym, jak wysłał ci te papiery. On cię kocha. Ka dy głupiec by to zauwa ył. Stał w tym kościele, modląc się do ciebie!

Whitney zerwała się z miejsca.

– Stał w tym kościele, bo Elizabeth zaprosiła go na ślub!

Gdybym dowiedziała się o tym w porę, nie zrobiłabym z siebie takiej idiotki i...

– Elizabeth go nie zaprosiła - odpowiedziała Emily głosem winowajcy. - Ja to zrobiłam. Wysłałam mu na dole ślubnego zaproszenia wiadomość, mówiącą, e ty tam będziesz. I przyszedł, bo chciał zobaczyć ciebie. On przecie prawie nie zna Elizabeth i Petera i wątpię, eby uczestniczył w ślubach dalekich znajomych, którzy go w najmniejszym stopniu nie obchodzą.

Whitney wyglądała, jakby zamierzała zemdleć lub zacząć krzyczeć.

– Przesłałaś mu wiadomość? Ale dlaczego... dlaczego mi to zrobiłaś? Z

pewnością pomyślał, e cię w to wciągnęłam.

Emily potrząsnęła przecząco głową.

– Nie mógł pomyśleć niczego w tym rodzaju. Po prostu zawiadomiłam go, e tam będziesz. I przyszedł. Kochana, posłuchaj mnie uwa nie. Przyszedł po podpisaniu tych dokumentów, po napisaniu tego listu, który zresztą wydaje mi się jedynie głupi, nie zaś nikczemny, i po wysłaniu ci tego czeku...

Burza sprzecznych uczuć opanowała Whitney, gdy Emily z determinacją mówiła dalej:

– ...Prawdopodobnie wiedział, e sytuacja finansowa Sevarina jest bardzo trudna. W miasteczku wszyscy oprócz ciebie zdawali sobie z tego sprawę.

– Wiedział - przyznała Whitney. - Był w gabinecie mojego ojca tamtego wieczoru, gdy dowiedziałam się o trudnym położeniu Paula.

- I wiedział te , e chcesz wyjść za niego? Skinęła twierdząco głową.

– Whitney, na miłość boską, czy nie rozumiesz, co ksią ę próbował zrobić?

Myślał, e go nienawidzisz i e chcesz wyjść za Sevarina, więc przysłał ci tę... tę fortunę, aby uczynić twoje życie łatwiejszym. Ksią ę dał ci pieniądze, by lepiej było ci się z człowiekiem, którego wolałaś od niego. Wielki Bo e!

On musi cię kochać jeszcze mocniej, ni sądziłam, skoro uczynił coś takiego!

Whitney parsknęła szyderczo i odwróciła wzrok, ale przyjaciółka zdecydowanym krokiem podeszła do łó ka i potrząsnęła nią mocno.

– Whitney Stone, myślę, e jesteś głupia! Kochasz tego człowieka... sama mi powiedziałaś, więc nie zaprzeczaj. A on kocha ciebie. Oświadczył się o ciebie. Pomógł twojemu ojcu, chocia nie musiał, a potem patrzył cierpliwie, gdy ty flirtowałaś z Paulem i robiłaś sto innych rzeczy, które miały go sprowokować. Co mu powiedziałaś na tym weselu? - spytała stanowczym tonem Emily.

Whitney podniosła ku niej twarz, a potem opuściła wzrok.

– Wszydziłam go, kiedy powiedział, e mnie kocha - odrzekła bardzo cicho.

– Wszydziłaś go? -jęknęła przyjaciółka. - Dlaczego, na miłość boską, zrobiłaś coś takiego, po tym jak stałaś w jego ramionach na kościelnych schodach?

– Właśnie! - krzyknęła poruszona Whitney. - Powiem ci, dlaczego. Bo tamtego dnia dostałam dokumenty, jego list i ten przeklęty czek. Bo pomyślałam, e przyszedł tylko na ślub Elizabeth, a ja właściwie rzuciłam mu się do stóp.

– Teraz zaś, jak przypuszczam, sądzisz, e ksią ę przyjdzie i uklęknie przed tobą?

Whitney, patrząc w podłogę, pokręciła przecząco głową.

– Nie. Kiedy mnie widzi, zachowuje się tak, jakbym nie istniała.

– A czego innego po nim się spodziewasz? Kochał cię tak, e postanowił się z tobą o enić. Dał twojemu ojcu prawdziwą fortunę. Kochał cię tak bardzo, e tego okropnego czynu dopuścił się z zazdrości; tak bardzo, e zrezygnował z ciebie w nadziei, i to uczyni cię szczęśliwą; tak bardzo, e przyszedł na ślub Elizabeth, eby znaleźć się blisko ciebie. Ale mo esz być całkiem pewna, e ju nigdy nie zbli y się do ciebie ponownie!

Uczucia niedowierzania, niedoli, samotności i rozpachy w zawrotnym tempie przelatywały przez serce Whitney, kłębiąc się i przemieniając niczym w kalejdoskopie, ale w środku tego wszystkiego niczym blady promień słońca zajaśniała krucha nadzieja, którą dała jej Emily. Pochyliła głowę, a włosy opadły jej na ramiona, kryjąc twarz.

– Czy zdołam odzyskać Clayтона, nie poni ając się przed nim? -odezwała się po kilku chwilach zbolącym, zduszonym głosem.

Uśmiech radosnej ulgi przemknął przez twarz Emily.

– W rzeczy samej obawiam się, e to będzie jedyny sposób. Ty deptałaś jego dumę, ilekroć miałaś okazję. Teraz twoja duma będzie musiała pocierpieć.

– Po... pomyślę o tym - wyszeptała Whitney.

– Pomyśl - pochwaliła ją Emily, rozmyślnie dopiero teraz wykładając ostatnią kartę. - A jak będziesz myślała, to się zastanów, jak się poczujesz, kiedy poślubi Vanessę Standfield. Krą ą plotki, e ju to zrobił... ale nie są one całkiem wiarygodne. Prawdopodobnie jest tylko bliski poślubienia jej.

Whitney zerwała się na równe nogi.

– Co powinnam zrobić? Nie wiem, od czego zacząć. Emily, skrywając uśmiech, podeszła do drzwi.

– Mo esz zrobić tylko jedno. Będziesz musiała iść do niego i wyjaśnić, dlaczego na weselu zachowałaś się w taki dziwaczny sposób.

– Nie! - wykrzyknęła Whitney, gwałtownie potrząsając głową. -Wyślę do niego list i poroszę, by tu przyszedł.

– Mo esz. Tylko e on tego nie robi. Co uczyni całą sytuację jedynie podwójnie kłopotliwą, gdy tak czy inaczej będziesz musiała do niego pójść.

Zakładając, oczywiście, e w tym czasie nie o eni się z panną Standfield.

Whitney pomknęła do sekretarzyka i wyciągnęła papeterię, ale po wyjściu Emily zatrzymała się, by pomyśleć. Musi istnieć jakiś sposób, eby ściągnąć tu Clayтона, jakiś fortel, którego mogłaby u yć. Pójście do niego wydawało się zbyt upokarzające, szczególnie gdy był o krok od mał ństwa z Vanessą Standfield. Po kilkuminutowym namyśle w oczach Whitney zabłyśło natchnienie, a jej policzki zaró owiły się z zaferowania. Był pewien sposób...

okropne oszustwo... lecz teraz nie mogła uciekać się do prawdy i subtelności.



Clayton zaciągnął ją do łóżka, więc gdyby... no cóż, gdyby uwierzył, że zaszła w ciążę, wtedy prawdopodobnie nie mógłby odmówić spotkania. I na pewno nie oeniłby się z panną Standfield! Co więcej: musiałby oenić się z nią natychmiast! A jeśli kochają tak bardzo, jak sądziła Emily, to z pewnością po ślubie wybaczy jej to oszustwo.

Whitney napisała datę i odłożyła pióro. Jak ma się zwrócić do mężczyzny, który nie chce jej o niej słyszeć, a którego ma zawiadomić, że będzie ojcem jej dziecka? „Szanowny Panie”? Nie! „Wasza Wysokość”? Śmieszne! „Claytonie”?

Nie w tych okolicznościach. Postanowiła całkiem pominąć nagłówek. Pomyślała jeszcze przez minutę i wzięła się do pisania. „Ku mej wielkiej udręce przekonałam się, że spodziewam się dziecka. Proszę więc, byś zechciał

odwiedzić mnie natychmiast”. Podpisała się jedynie imieniem: „Whitney” i przeczytała swój list ponownie.

Twarz płonęła jej ze wstydu. To jej okazało się poniżające, a jako nieprawda, zasługiwało na pogardę. Było to rzeczą zupełnie niemożliwą, by Clayton został

ojcem w tak niepełnym akcie, ale ona tego nie wiedziała.

Do pokoju zajrzała Emily i Whitney, rumieniąc się po korzonki włosów, pokazała jej list.

– Ja... ja... nie jestem pewna, czy potrafiłabym go wysłać, nawet gdyby było to prawdą - powiedziała z drętwym, wsuwając ten okropny list do jeszcze nieotwartej papeterii, by nie odkrył go nikt ze służby.

– Whitney - odezwała się stanowczo przyjaciółka. - Wyślij księciu wiadomość, że chcesz z nim porozmawiać i wolałabyś to zrobić w zaciszu jego domu niż w rozgardiaszu naszego. Napisz, że przyjedziesz jutro. To całkiem proste.

– Wcale nie - protestowała, wpatrując się lękliwie w czysty arkusz papieru. -

Nawet jeśli Clayton zgodzi się ze mną spotkać, istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że pozwoli mi na przeprosiny, a potem odeśle do domu. Nie wyobraź sobie, jaki potrafi być niemiły, kiedy jest zły.

– Zatem nie próbuj się z nim spotkać. Oeni się z Vanessą Standfield, a jeśli Michael i ja zostaniemy zaproszeni na ślub, wszystko ci opowiem.

Z taką motywacją pióro Whitney niemal fruwało po papierze i list został

wysłany na Upper Brook Street 10 przez lokaja, którego poinstruowano, że ma się dowiedzieć od pana Hudginsa, sekretarza księcia, gdzie jest jego pracodawca, a potem dostarczyć list w to miejsce.

Lokaj wrócił przed upływem godziny. Księcia, powiedział, nie było w domu, gdy składał wizytę lordowi Standfield i jego małżonce, a późnym wieczorem jego wysokość zamierzał udać się do

posiadłości Claymore. Pan Hudgins, który właśnie tam wyje d ał, zabrał list i obiecał doręczyć księciu, gdy tylko go zobaczy.

Whitney napisała Claytonowi, e jeśli nie dostanie od niego wiadomości do dwunastej następnego dnia, będzie sądzić, e jest gotów spotkać się z nią o piątej po południu. Teraz nie pozostało jej do zrobienia ju nic oprócz przetrwania udręki długich godzin pozostałych do jutrzejszego południa.

## Rozdział 29

Dokładnie o jedenastej następnego dnia cztery eleganckie powozy przemknęły przez bramy zamku Claymore. Pierwszy zajmowała owdowiała księ na Claymore i jej młodszy syn. W drugim jechał kamerdyner Stephena i pokojówki księ nej. Pozostałe dwa wypełnione były kuframi ze strojami i rzeczami, które księ na uwa ała za absolutnie niezbędne w czasie ka dej długiej wizyty... szczególnie zaś, gdy kobieta spodziewa się poznać przyszłą synową, a co za tym idzie przyszłą matkę swoich wnuków.

– Tutaj zawsze jest tak ślicznie - westchnęła księ na, a jej spojrzenie wędrowało z uznaniem po doskonale utrzymanych rozległych trawnikach i parkach przesuwających się majestatycznie po obu stronach krętej, brukowanej drogi. Odrywając wzrok od znanego i bliskiego sercu krajobrazu, przenikliwym spojrzeniem obdarzyła syna. - Jesteś pewien, e twój brat przedstawi mi dzisiaj przyszłą synową?

Stephen odpowiedział jej uśmiechem.

– Mogę powiedzieć tylko to, co sam wiem, mamu. List Claytona mówi prosto, e Vanessa i on pozostali na jeszcze jedną noc u jej rodziców, ale e oboje przyjadą do nas o czwartej trzydzieści tego popołudnia.

– Mówi o niej tylko jako o „Vanessie”? - zapytała księ na. - Jesteś pewien, e ma na myśli Vanesę Standfield?

Stephen spojrział na nią krzywo.

– Jeśli mo na wierzyć plotkom, ona nazywa się teraz Westmoreland.

– Poznałam ją kilka lat temu. Była ślicznym dzieckiem. -Jest piękną kobietą -

powiedział Stephen z urwisowskim uśmiechem. - Bardzo złotowłosa, bardzo błękitnooką i w ogóle bardzo, bardzo...

– To dobrze. Będę więc mieć piękne wnuczeta - przewidywała księ na radośnie, zwracając swe myśli ku temu tematowi. Spoglądając spod oka, odkryła, e jej młodszy syn z zachmurzoną miną wygląda przez okno. -

Stephenie, czy jest w niej coś, co ci się nie podoba?

Lord Westmoreland wzruszył ramionami

– Tylko to, e jej oczy nie są zielone i e nie ma na imię Whitney.

– Och, Stephenie, to niedorzeczne. Co te przychodzi ci do głowy? No có , ta dziewczyna, kimkolwiek była, po prostu go unieszczęśliwiła. Widocznie o niej zapomniał i dobrze się stało.

– O niej nie mo na tak łatwo zapomnieć - odrzekł z gorzkim uśmiechem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała księ na podejrzliwie. - Czy poznałeś tę młodą osobę?

– Nie, ale przed kilkoma tygodniami widziałem ją na balu u Kingsleyów. Była otoczona przez wszystkie „najlepsze partie" Londynu, oprócz Claytona, oczywiście. Kiedy usłyszałem, e na imię ma Whitney, i zobaczyłem jej oczy, wiedziałem, kim jest.

Księ na za ądała szczegółowego opisu młodej damy, która wywołała taką burzę w sercu jej pierworodnego syna, a potem wzruszyła ramionami.

– To wszystko ju skończone. Clayton przywozi do domu swoją onę.

– Nie sędę, aby tak łatwo zapomniał o kimś, kto tak wiele dla niego znaczył. I nie wierzę, e Clay przywozi do domu onę. Bardziej prawdopodobna wydaje mi się narzeczona.

– Niemal mam nadzieję, e się nie mylisz. Byłoby bardzo źle, gdyby Clayton poślubił pannę Standfield tak pośpiesznie. Będą okropne plotki.

Syn obdarzył ją kpiącym spojrzeniem.

– Clay ani trochę nie przejmuje się plotkami, jak sama dobrze wiesz.

– Pora wstawać - obwieściła wesoło Emily, rozsuwając zasłony. - Minęło południe, a od jego wysokości nie ma ani słowa, abys nie przyje d ała.

– Nie spałam a do świtu - wymamrotała Whitney, a potem usiadła, otrząsając się z głębokiego snu i w jednej chwili wróciła do przytomności. - Nie mogę! -

zawołała.

– Oczywiście, e mo esz. Wystaw stopy z łó ka. To zawsze skutkuje -

artowała Emily.

Whitney odsunęła na bok kołdrę i wysunęła się z łó ka, rozpaczliwie poszukując sposobu, by wymigać się od spotkania z Claytonem.

– Dlaczego nie miałybyśmy poświęcić tego dnia na zakupy i obejrzenie nowej sztuki w Royal Theatre? - proponowała gorliwie.

– A dlaczego nie miałybyśmy poczekać do jutra z rozpoczęciem gromadzenia twojej wyprawy?

– Cały ten plan jest szalony! - oświadczyła Whitney. - Nie będzie mnie słuchał, a nawet jeśli wysłucha, niczego to nie zmieni. Widziałam, w jaki sposób na mnie patrzy... on mną gardzi.

Emily popchnęła ją w kierunku łazienki.

– To zachęcające. Przynajmniej coś do ciebie czuje - powiedziała i wróciła, gdy przyjaciółka kończyła się ubierać.

– Jak wyglądam? - zapytała Whitney niepewnie, powoli obracając się dookoła, aby Emily mogła ją obejrzeć.

Jej suknia z ciemnogramatowego aksamitu miała długie rękawy i głęboki kwadratowy dekolt. Gęste mahoniowe włosy, wyszczotkowane a do połysku, były zaczesane do tyłu i spięte na czubku głowy klamrą z akwamarynów i diamentów, a dalej opadały w naturalnych falach, które zakręcały się na końcach, a do połowy pleców. Wspaniała suknia wyglądała powabnie, a jednak powa nie, fryzura zaś podkreślała lekko zarumienioną twarz Whitney, podkreślając jej okolone długimi rzęsami zielone oczy oraz delikatnie rzeźbione rysy i przydając jej delikatnego, kruchego wyglądu.

– Wyglądasz jak piękna łagodna bogini, wiedziona na po arcie krwio erczym bestiom - z uroczystą powagą odrzekła Emily.

– Chcesz powiedzieć, e wydaję się przera ona?

– Ogarnięta paniką. - Przyjaciółka podeszła do Whitney i wzięła jej chłodne i wilgotne dłonie w swoje ręce. - Nigdy nie wyglądałaś lepiej, ale to mo e być niewystarczające. Znam człowieka, z którym się masz się spotkać, i wiem, e nie ulegnie nieszczęśliwej przestraszonej młodej kobiecie, na którą wciąż jest wściekły. Pokochał cię za hart ducha i odwagę. Jeśli przyjdiesz do niego potulna i bojaźliwa, to będziesz tak odmienna od dziewczyny, którą obdarzył

uczuciem, e przegrasz. Pozwoli ci na wyjaśnienia i przeprosiny, a potem podziękuje i po egna się grzecznie. Zrób cokolwiek: pokłóć się z nim; spraw, by rozżłościł się jeszcze bardziej, jeśli będziesz musiała, tylko nie idź tam z wyrazem przera enia na twarzy. Bądź tą zbuntowaną dziewczyną, którą pokochał: uśmiechaj się do niego, flirtuj, spieraj się z nim albo walcz... tylko, proszę, nie bądź zalękniona i pokorna.

– Teraz wiem, jak musiała się czuć biedna Elizabeth, kiedy kazałam jej sprowokować Petera - powiedziała Whitney na poły wzdychając, na poły się śmiejąc, ale uniosła głowę i znów poczuła się zdecydowana i dumna.

Elizabeth odprowadziła ją do powozu Michaela, a Whitney, wsiadając, obdarzyła przyjaciółkę arliwym uściskiem.

– Cokolwiek się zdarzy, ty byłaś cudowna.

Powóz odjechał, uwo ąc znacznie spokojniejszą Whitney. Bardzo zdenerwowana Emily patrzyła za nim długo ze schodów.

Po godzinie kruchy spokój dziewczyny zaczął pękać. Próbowwała się opanować, wyobra ając sobie to spotkanie. Czy Clayton otworzy jej drzwi sam, czy te ka e lokajowi wprowadzić ją do prywatnych apartamentów? Będzie stał, górując nad nią ze spokojem na urodziwej twarzy, i czekał, a skończy, aby potem wyrzucić ją za drzwi? Jak będzie ubrany? Zapewne jakoś zwyczajnie, pomyślała Whitney z bijącym sercem, gdy spojrzała na swój elegancki strój... za który on zapłacił.

Z determinacją oderwała myśli od owego nonsensownego zajmowania się mo liwymi ró nicami ich ubiorów i znów skoncentrowała się na samym spotkaniu. Będzie wściekły... czy tylko zimny i opanowany? Bo e, pomyślała przygnębiona, niech będzie zły, albo nawet wściekły, niech na mnie wrzeszczy i powie mi te wszystkie straszne rzeczy, ale nie pozwól mu być chłodno uprzejmym, bo to będzie oznaczało, e ju mnie nie kocha.

Przeniknęło ją okropne przeczucie klęski. Gdyby Clayton jeszcze ją kochał, nie czekałby biernie, a do niego przyjedzie; przysłałby jej przynajmniej krótki list potwierdzający, e czeka o piątę.

Powóz skręcił ostro na wschód i zatrzymał się przed ogromną, dwuskrzydłową, wykutą z elaza bramą, która zagradzała im drogę. Kazał

zamknąć przed nią bramę, pomyślała przera ona Whitney. Odźwierny w wiśniowej liberii obszytej złotym galonem wyszedł ze swego domku i rozmawiał ze stangretem Archibaldów.

Głośne westchnienie ulgi wyrwało się Whitney, gdy pozwolono im wjechać i ruszyli gładką prywatną krętą drogą, graniczącą z rozległymi trawnikami i ogromnymi parkami pełnymi bezlistnych teraz drzew. Jak okiem sięgnąć, widać było łagodnie pofalowany krajobraz.

Powóz przejechał przez szeroki most, którego przęsła spinały brzegi głębokiej strugi, i w końcu ujrziała okazały gmach z ogromnymi płaszczyznami okien i pełnymi wdzięku balkonami. Zdawał się wynurzać ze starannie przyszczy onych trawników, osiągając w środkowej części wysokość trzech pięter. Po obu stronach głównej budowli rozciągały się gigantyczne skrzydła, tworząc tarasowy dziedziniec wielkości parku w Londynie.

W jak e ponurym była nastroju, kiedy ostatnim razem widziała Claymore, ledwie mogła to wspominać. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy: jej własny du y dom zmieściłby się w jednym skrzydle tej rezydencji. Czuła się tak, jakby przyjechała spotkać się z kimś nieznanym; kimkolwiek był

właściciel tej posiadłości, nie był to ów beztroski czarujący mę czyzna, który ścigał się z Whitney na Niebezpiecznym, czy te uczył ją hazardowej gry kar-tami i etonami.

Ciemność okryła listopadowe popołudnie i okna okazałej rezydencji zajaśniały światłami, gdy powóz się zatrzymał, a stangret zeskoczył z kozła i wysunął schodki, by Whitney mogła wysiąść.

\* \* \*

Wygodnie usadowiony w biało-złotym salonie na froncie domu Stephen oderwał wzrok od zatroskanej twarzy matki i patrzył z podziwem na osiemnastowieczne umeblowanie z sofami i

krzesłami pokrytymi białym jedwabiem i brokatami. Wspaniały dywan rozciągał się na całą długość wielkiego pokoju, a ściany ozdabiały obrazy Rubensa, Reynoldsa i Cheeraerta w ozdobnych połączonych ramach.

Spojrzenie Stephena powędrowało niespokojnie ku zegarowi. W końcu wstał

i przechadzał się niecierpliwie. Mijając szerokie okna, zobaczył, że jakiś powóz zajechał na frontowy podjazd. Rzuciwszy przez ramię szybki uśmiech matce, wyszedł z pokoju.

Lokaj właśnie otwierał drzwi, gdy Stephen z serdecznym uśmiechem na twarzy zszedł do holu, spodziewając się zobaczyć tam brata z Vanessą Standfield. Zatrzymał się zdumiony, widząc dziwnie znajomą piękną dziewczynę, otuloną w granatową aksamitną pelerynę obszytą białym gronostajowym futrem. Kiedy weszła dalej i odrzuciła kaptur na ramiona, puls Stephena gwałtownie przyśpieszył.

– Nazywam się Whitney Stone - powiedziała lokajowi miękim, melodyjnym głosem. - Sądzę, że jego wysokość mnie oczekuje.

W tej jednej chwili Stephen pomyślał o zawitych, pełnych udręki pijackich zwierzeniach brata; rozważył, czy to może być, aby Clay przywiózł do domu onę lub choćby narzeczoną; zastanowił się nad słusnością mieszania się w jego życie osobiste i wiedziony szalonym impulsem, podjął decyzję.

Ruszając szybko do przodu, by interweniować, zanim lokaj zdoła powiedzieć, że pana nie ma w domu, przybrał twarz w swój najbardziej ujmujący uśmiech.

– Mój brat jest tu spodziewany łąda chwila, panno Stone. Zechce pani wejść i zaczekać?

Dwa sprzeczne uczucia mignęły na pięknej twarzy młodej kobiety: rozczarowanie i ulga. Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, dziękuję. Przysłałam wczoraj list z prośbą, by poświęcił mi kilka chwil.

Prosiłam te, eby dał mi znać, jeśli dzisiejszy termin nie będzie mu odpowiadać. Być może e jakiegoś innego dnia... - wyszeptała, w połowie zwrócona do wyjścia.

Stephen jednak zdecydowanie ujął ją pod ramię. Młoda kobieta spojrzała na niego z zaskoczeniem, które pogłębiło się do zdumienia, gdy delikatnie, lecz zdecydowanie pociągnął ją z powrotem.

– Clay się spóźnił i nie wrócił wczoraj - wyjaśnił z rozbajającym uśmiechem -

więc nie wie, e zamierzała go pani dzisiaj odwiedzić.

Zanim zdążyła wyrazić jakikolwiek protest, uprzejmie zdjął z jej ramion elegancką granatową pelerynę i wręczył ją lokajowi.

Wzrok Whitney zwrócony był ku ogromnym marmurowym schodom, których szeroki elegancki łuk kończył się na górze rozległą galerią. Pamiętała, jak Clayton wniósł ją po tych schodach i z całą ostrością uprzytomniwszy sobie, jak brutalna może być jego wściekłość, szybko odwróciła się ku

drzwiom.

– Dziękuję za zaproszenie, lordzie Westmoreland.

– Stephenie - poprawił ją.

– Dziękuję, Stephenie - powtórzyła zaskoczona, a ten nieznajomy mężczyzna nalegał, by mówiła mu po imieniu - postanowiłam jednak nie czekać. Czy mogę prosić o pelerynę? - Spojrzała na lokaja, ten zaś popatrzył na Stephena, który zdecydowanie pokręcił głową, na co słuchający skrzywił się na piersiach i po prostu udawał, że nie usłyszał jej prośby.

– Chciałbym, aby pani została - powiedział lord Westmoreland stanowczo, lecz z serdecznym uśmiechem.

Nuta zakłopotania zabrzmiała w głosie Whitney, gdy dziewczyna przyjęła wyciągnięte ramię Stephena.

– Chyba nigdy nie czułam się tak mile widziana.

– Westmorelandowie słyną z gościnności - skłamał Stephen z szelmowskim uśmiechem, prowadząc ją zdecydowanie w stronę salonu, gdzie czekała matka.

Na widok księżnej siedzącej na jednej z sof Whitney cofnęła się z lękiem i zakłopotaniem.

– Nam obojgu, mojej matce i mnie, będzie bardzo przyjemnie, jeśli zechce pani zaczekać na Claytona wraz z nami - zapewnił ją Stephen łagodnie. - Wiem, że będzie zachwycony, widząc tu panią, pannę Stone, i że nigdy nie wybaczyłby mi, gdybym pozwolił pani wyjść przed jego powrotem.

Whitney zawahała się i spojrzała na niego.

– Lordzie Westmoreland... - zaczęła z cieniem uśmiechu na miękkich ustach.

– Stephenie - poprawił.

– Stephenie... myślę,

że powinieneś wiedzieć, i według wszelkiego

prawdopodobieństwa twój brat w najmniejszym stopniu nie będzie

„zachwycony” moim widokiem.

– Zaryzykuję - oświadczył Stephen nieustępliwie.

Whitney była onieśmiewiona biało-złotym salonem, ale starannie unikała wpatrywania się w zawile rzeźbione sztukaterie na suficie i oprawne w złote ramy arcydzieła wiszące na ścianach, gdy Stephen prowadził ją do księżnej.

– Mamo, pozwól, e ci przedstawię pannę Stone - powiedział. -Skoro Clay nie wrócił wczoraj, to zapewne nie wie, e zamierzała go odwiedzić, ale przekonałem ją, eby została i poczekała z nami, a przyjedzie.

Gdy Whitney dygała przed księ ną, usłyszała nacisk, jaki Stephen położył na jej imię... którego przecie wcześniej mu nie ujawniła... i zobaczyła zakłopotane spojrzenie, jakim księ na odpowiedziała synowi.

– Jest pani przyjaciółką mojego syna, panno Stone? - zapytała uprzejmie księ na, gdy dziewczyna zajęła wskazane jej miejsce naprzeciwko.

– Czasami bywamy przyjaciółmi, wasza wysokość - odparła szczerze Whitney.

Księ na zamrugała oczami na tę niezwykłą odpowiedź, spojrzała uwa nie w jaszmerowe oczy, które patrzyły na nią powa nie spod cię kich czarnych rzęs, potem nagle uniosła się w fotelu, zawahała się i usiadła z powrotem. Jej wzrok powędrował ku synowi, który ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Beztrasko ignorując lęklive spojrzenia matki, Stephen rozsiadł się wygodnie w fotelu i przysłuchiwał, jak księ na i Whitney rozmawiają na ró ne tematy, od paryskiej mody po londyńską pogodę.

Po godzinie drzwi frontowe otworzyły się szeroko i do salonu dobiegły głosy rozlegające się u wejścia. Słowa były niesłyszalne, ale bez wątpienia to miękki półgłos i gardłowy śmiech jakiejś kobiety odpowiadał Claytonowi. Stephen dostrzegł poruszenie Whitney, która uświadomiła sobie, e księ ę jest w towarzystwie. Wstając szybko, rzucił jej pełne sympatii, podnoszące na duchu spojrzenie, a potem starannie ustawił się tak, e był przed Whitney, zasłaniając ją przed Claytonem i dając czas, by się opanowała.

– Przykro mi, e się spóźniliśmy. Zatrzymano nas - odezwał się księ ę do matki, pochylając się i składając na jej czole lekki pocałunek, po czym dodał:

- Mam nadzieję, e nie mieliście adnych kłopotów ze znalezieniem beze mnie swoich pokoi? - Odwrócił się i pociągnął bli ej Vanessę: - Mamo, pozwól, e ci przedstawię Vanessę...

Stephen z ulgą wypuścił wstrzymany oddech, gdy brat skończył:

– ...Standfield.

Vanessa pochyliła się przed księ ną w głębokim dworskim ukłonie, a gdy obie damy wymieniły grzeczności, Clayton niedbale machnął rękę w kierunku brata i dodał ze śmiechem:

– Vanesso, znasz ju Stephena. - Po tych słowach pochylił nad matką, cicho z nią rozmawiając.

– Miło mi widzieć panią znowu, panno Standfield - odezwał się Stephen zabawnie oficjalnym tonem.

– Na miłość boską, Stephenie - roześmiała się Vanessa - przecie zawsze mówiliśmy sobie po



imieniu.

Nie zwracając na te słowa uwagi, lord Westmoreland dotknął ramienia Whitney, która, ociągając się, wstała z dr eniem.

– Panno Standfield - Stephen lekko podniósł głos - chciałbym przedstawić pani pannę Whitney Stone...

Książkę gwałtownie podniósł głowę i odwrócił się do nich.

– ...a ten d entelmen o kamiennym obliczu - ciągnął dalej Stephen, mówiąc teraz do Whitney -jest moim bratem. Jak zapewne wiesz.

Whitney drgnęła, widząc w przeszywających ją oczach Claytona zimną, bezwzględną furję.

– Jak się miewa ciocia? - zapytał lodowato.

Whitney opanowała łzy i odrzekła ledwie słyszalnym szeptem:

– Dziękuję, ciocia miewa się bardzo dobrze. A ty? Książkę krótko skinął głową.

– Jak widzisz, wyszedłem z naszego ostatniego spotkania bez blizn.

Vanessa, która najwyraźniej rozpoznała Whitney, jako swoją rywalkę o względy Claytona z balu u lordostwa Ruthefordów, obdarzyła ją lekkim skinieniem elegancko uczesanej głowy.

– Na balu u lorda i lady Ruthefordów przedstawiono pani lorda Esterbrooka, panno Stone - powiedziała z zimnym uśmiechem, po czym zamilkła na chwilę, jakby próbując przypomnieć to sobie dokładniej: - Tak... pamiętam, e dość szczegółowo opowiadał o pani wielu osobom.

Whitney uświadomiła sobie, i panna Standfield czeka na odpowiedź.

– To bardzo uprzejme z jego strony - odrzekła ostro nie.

– O ile sobie przypominam, to, co opowiadał, wcale nie było uprzejme, panno Stone.

Zapanowało milczenie. Whitney zeszywniała na ten niespodziewany i niesprowokowany atak, więc Stephen energicznie wdarł się w ogłuszającą ciszę.

– O wspólnych znajomych porozmawiamy przy kolacji - obwieścił wesoło - zakładając, e potrafię przekonać mojego pięknego gościa, by zjadł ją z nami.

Whitney rozpaczliwie potrząsnęła głową.

– Doprawdy nie mogę zostać. Ja... przepraszam.

– A ja nalegam. - Uśmiechnął się szeroko i spoglądając wymownie na swego pobladłego brata,

dodał: - Obaj nalegamy, nieprawda ?

Ku bezgranicznemu oburzeniu Stephena Clayton nie pofatygował się z aprobatą dla jego zaproszenia. Zamiast tego ledwie rzucił okiem przez ramię i krótko skinął głową ku słu ącemu w drzwiach, poleciwszy w ten sposób, by przygotowano dodatkowe miejsce przy stole. Następnie bez słowa odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem podszedł do kredensu, skąd wziął butelkę whisky i kieliszek.

Stephen usiadł obok Whitney, a potem rozejrzał się wokół, by zobaczyć, gdzie jest Clayton, i ujrzał wysoką postać zastygłego w gniewie brata, który odwróciwszy się do nich plecami, nalewał sobie alkohol.

– Mnie te , wielki bracie! - zawołał wesoło. Clayton obrzucił go wzrokiem pełnym niesmaku.

– Jestem pewien, Stephenie, e wśród innych twoich olśniewających talentów jest te umiejętność własnoręcznego napełniania sobie kieliszka - odrzekł

głosem, w którym dźwięczała niekontrolowana furia.

– Słusznie - zgodził się Stephen pogodnie, wstając z sofki, na której siedział obok Whitney.

– Drogie panie? - zapytał. - Kieliszek wina?

Vanessa i Whitney skinęły głowami, a księ na stłumiła ochotę, by poprosić o całą butelkę.

Stephen podszedł do kredensu, nalał sobie trochę whisky i zaczął napełniać winem trzy kryształowe kieliszki, beztrąsko ignorując kipiącą wściekłość, która a biła od jego brata.

– Czy mogę mieć jakąkolwiek nadzieję, e nie wiesz, kim ona jest... dla mnie?

- wycedził szeptem Clayton.

– Najmniejszej. - Stephen uśmiechał się niewzruszenie, biorąc trzy z czterech kieliszków, a gdy odwrócił się do dam, rzucił lekkim tonem: - Zechcesz przynieść kieliszek Whitney, Clay? Nie zdołam wziąć wszystkich czterech.

Niosąc kieliszek, Clayton rozmyślnie zmierzał wprost ku Whitney, ona zaś nieświadomie wcisnęła się w poduszki sofy, szukając w jego groźnym obliczu jakiegoś sygnału, e wciąż mu na niej zale y. Nic takiego jednak nie dostrzegła.

Przeniknięta bolesnym cierpieniem, z roztargnieniem sączyła wino, ukradkiem przyglądając się Claytonowi, który usiadł na wprost niej, obok Vanessy, niedbale opierając stopę na kolanie. Patrząc na niego tutaj, w jego własnym domu, rozluźnionego w przepychu owego biało-złotego salonu, zobaczyła zachowującego dystans arystokratę, pana wszystkiego, na co spoglądał. Nigdy nie wydawał się jej bardziej urodziwy... ani bardziej nieosiągalny. Na domiar złego otulona w błękitny

jedwab Vanessa Standfield była znacznie piękniejsza, ni Whitney zdołała zauważyć w teatrze.

W ciągu godziny poprzedzającej kolację Stephen wziął na siebie największą część ciężaru towarzyskiej konwersacji, do której Vanessa wniosła dwie następne, wycelowane w Whitney zniewagi. Clayton rzucał krótkie, urywane zdania tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, Whitney zaś odpowiadała na lekkie arty jego brata wątlymi monosylabami. Księżna wypila trzy kieliszki wina i nie mówiła nic do nikogo.

Skulona w srodku z bólu i trwogi dziewczyna, milcząc, liczyła minuty do chwili, gdy skończy się nierozpoczęta jeszcze kolacja i ciężka próba, po której będzie mogła stąd wyjść. Teraz wiedziała, że nie powinna tu przyjechać, ale było za późno.

Litościwie niebawem zaanonsowano posiłek. Clayton wstał i bez jednego spojrzenia w stronę Whitney podał jedno ramię matce, a drugie Vanessie i wprowadził obie panie z salonu do zamkowej jadalni.

Whitney wstała i przyjęła ramię Stephena, ze smutkiem przywierając wzrokiem do pleców Clayтона. Zaczęła podążać jego śladem, ale Stephen ją powstrzymał.

– Piekielna Vanessa. - Roześmiał się cicho. - Mógłbym ją udusić. Czas zmienić naszą strategię... chociaż jak dotąd wszystko idzie dobrze.

– Strategia? - jęknęła Whitney. - Idzie dobrze?

– Doskonale. Siedząc tutaj, wyglądałaś pięknie i bezbrannie. Clayton nie może oderwać od ciebie oczu, gdy sądzi, że tego nie widzisz. Pora jednak, byś zrobiła coś, aby znaleźć się z nim sam na sam.

Serce Whitney zabiło gwałtownie.

– Nie może oderwać oczu...? Och, Stephenie, jesteś pewien? Mnie wydaje się, że nawet nie wie, że tu jestem.

– Wie, wie - zapewnił ją, śmiejąc się, lord Westmoreland. - Co nie znaczy, że nie prosi Boga, aby cię nie było! W rzeczy samej nie przypominam sobie, czy kiedykolwiek widziałem mego brata tak wściekłym. Teraz musisz jeszcze podsycić złość Clayтона, by wymknęła mu się spod kontroli.

– Co?! - wyszeptała Whitney. - Wielki Boże, dlaczego?!

Doszli ju do jadalni, ale Stephen odwrócił się i zatrzymał przed jakimś portretem wiszącym na wprost podwójnych drzwi, ich plecy były więc widziane przez wszystkich pozostałych, którzy siedzieli ju przy stole. Stephen gestykulował, wskazując obraz, jakby wyjaśniał Whitney, kogo ów portret przedstawia.

– Musisz rozwścieczyć go tak, aby wstał od stołu i zabrał cię ze sobą. Jeśli tego nie zrobisz, to gdy kolacja dobiegnie końca, znajdzie jakąś wymówkę, by zabrać matkę oraz Vanessę do jakiegoś innego pokoju i po prostu zostawi cię ze mną.

Perspektywa wciągnięcia Claytona w słowny pojedynek przepełniła Whitney osobliwą mieszaniną lęku i radosnego oczekiwania. Przywołała z pamięci wszystkie przestrogi Emily, eby nie być potulną, i powiedziała sobie na pocieszenie, e jeśli nawet przesadnie skromna Elizabeth Ashton mogła to zrobić, to ona równie potrafi.

– Stephenie - zapytała nagle - dlaczego to robisz?

– Teraz nie pora się w to wdawać - odrzekł, prowadząc ją do jadalni - ale pamiętaj, bez względu na to, jak bardzo jest wściekły, mój brat cię kocha. I jeśli zdołasz znaleźć się z nim sam na sam, chyba będziesz umiała go w tym utwierdzić.

– Ale jeśli będę rozmyślnie go prowokować, twoja matka pomyśli, e jestem najbardziej nietaktowną kobietą na świecie.

Stephen uśmiechnął się do niej kpiąco.

– Moja matka uzna, e jesteś odważna i wspaniała. Tak jak myślę ja. Odwagi, młoda damo! Spodziewam się zobaczyć tę wesołą i pełną werwy kobietę, którą oglądałem pewnego wieczoru u Kingsleyów.

Przyszła pora, by Whitney błysnęła ku niemu zdumionym spojrzeniem, gdy wiódł ją do miejsca przy stole.

– To miło z twojej strony, e w końcu do nas dołączyłaś - zauważył Clayton z miłym sarkazmem, gdy Stephen ją posadził.

– To miło z twojej strony, e mnie zaprosiłeś, wasza wysokość - odrzekła Whitney uprzejmie.

Księż zignorował ją i skinął na służących, by rozpoczęli serwowanie dań.

Siedział u szczytu stołu, mając matkę po prawej stronie, a Vanessę po lewej.

Whitney siedziała obok księżnej, a Stephen zajął miejsce naprzeciwko Whitney, obok Vanessy.

Kiedy służący napełnił szampanem kieliszek Whitney, Clayton posunął się do złości.

– Zostaw tę butelkę obok panny Stone - wycedził. - A nadto rozmówiona jest w szampanie, jak sobie przypominam.

Whitney nie posiadała się z radości. A więc nie był w stanie dłużej jej ignorować! Zapewne wciąż musi mu na niej zależeć, skoro jest a tak wściekły, by powiedzieć coś podobnego! Uśmiechnęła się do Claytona czarująco znad kieliszka i upiła łyk musującego wina.

– Nie a nadto. Chociaż czasami dodaje odwagi.

– Doprawdy? Nie wiedziałem.

– Tak, bo ty wolisz whisky, by umocnić swoją - odcięła się ostro, gdy podnosił

kieliszek do ust. Oczy zwęziły mu się złowieszczo i Whitney szybko odwróciła wzrok. Proszę, kochaj mnie, błagała go bezgłośnie. Nie ka mi przechodzić przez to wszystko nadaremnie.

– Czy grasz na fortepianie, Whitney? - zapytała księ na, ingerując nerwowo, by przerwać napiętą ciszę.

– Tylko gdy chcę kogoś do siebie zrazić - odparła Whitney z nieśmiałym uśmiechem.

– Mo e zatem śpiewasz? - nalegała jej wysokość w czystej desperacji.

– Tak - roześmiała się Whitney - ale obawiam się, e czynię to bez najmniejszego szacunku dla melodii.

– Doprawdy, panno Stone - wycedziła Vanessa - rzecz to niezwykła: spotkać dobrze urodzoną Angielkę, która nie była uczona ani śpiewu, ani gry na fortepianie. Właściwie jakie więc ma pani talenty?

– Whitney jest wytrawną kokietką - wtrącił zjadliwie Clayton, sam odpowiadając na pytanie Vanessy. - Doskonale te włada kilkoma językami i niewątpliwie mogłaby zaprezentować nam płynnie rzucane klątwy we wszystkich tych językach. Nieźle gra w szachy, marnie zaś układa pasjanse, ale jest zdolną amazonką. Chlubi się celnością strzału z procy... co wszak e jest talentem, za który nie mogę ręczyć. Jest równie przekonującą aktorką...

co potwierdzić mogę osobiście. Czy potraktowałem cię sprawiedliwie, Whitney? - zakończył.

– Nie całkiem, wasza wysokość - odparła cicho Whitney, obolała od jego okrutnych słów, choć wciąż uśmiechnięta. - Z pewnością w szachy gram lepiej ni nieźle. Jeśli zaś wątpisz w moją umiejętność strzelania z procy, miło mi będzie ją zademonstrować tutaj... pod warunkiem, e dobrowolnie staniesz się moim celem, tak jak ja byłam twoim.

Stephen ryknął śmiechem, a jego matka niemal parsknęła.

– Czy uczestniczysz w wielu spotkaniach towarzyskich od czasu powrotu z Francji? - zapytała księ na.

Whitney poczuła na sobie ostre spojrzenie Clayтона i nie zdołała go wytrzymać.

– W licznych przyjęciach i balach. Choć nikt nie wydał balu maskowego, a ja szczególnie lubię maskarady. Jestem przekonana, e księ ę bawi się na nich równie dobrze...

– Lubi pani tak e wesela? - zapytała przymilnie Vanessa. - Jeśli tak, z pewnością zaprosimy panią na nasze.

Nad stołem zapadła cisza niczym w staro ytnym grobowcu. Whitney dzielnie starała się nie przerywać jedzenia, ale nie mogła opanować bólu ściskającego jej gardło. Spojrzała z udręką na

Stephena, który spokojnie wzruszył ramionami i uniósł brew w kierunku Claytona. Zrozumiała, i daje jej do zrozumienia, eby kontynuowała ten pojedynek, ale teraz ju nie mogła. To ju koniec. Tak rozumiały, jak dla ka dego oczywiste byłoby to, gdyby usprawiedliwiła się teraz nagłą chorobą, nie mogąc dłu ej znieść pozostawania przy tym stole. Czuła się zbyt obolała i znękana, by się przejmować, e wszyscy rozumieją, i to ogłoszenie zaręczyn Claytona i Vanessy jest powodem jej wyjścia.

Zdjęła serwetkę z kolan i poło yła ją na stole obok talerza. Kiedy jednak zamierzała odsunąć cię kie krzesło, drobna dłoń nagle spoczęła na jej ręce.

Księ na ujęła jej palce w zachęcający uścisk, a potem przytrzymała w geście, który wyraźnie mówił: „Skończ to, co zaczęłaś”.

Whitney uśmiechnęła się niepewnie, zawahała, a potem ponownie rozło yła serwetkę. Spojrzała na księcia, który ponuro kontemplował wino w swoim kieliszku, później zaś rzuciła okiem na Vanessę. Nie mogła znieść myśli o Claytonie onatym z tą wyniosłą pięknnością... nie wtedy, gdy ona sama kocha go tak bardzo i gdy zdecydowała się, w owym enującym stylu, by mu o tym powiedzieć. Pomyślała o Claytonie trzymającym Vanessę w ramionach i całującym ją w ten swój namiętny sposób, a to sprawiło, e poczuła się wystarczająco wściekła i zazdrosna, by zostać.

Vanessa poło yła dłoń na ramieniu księcia.

– Mam nadzieję, e nie gniewasz się na mnie za wyjawienie naszego sekretu przed obcą osobą.

– Jestem pewna, e wcale się nie gniewa, panno Standfield - odpowiedziała cicho Whitney, a jej oczy utkwione były w Claytonie. - Wszyscy robimy głupstwa, kiedy jesteśmy zakochani. Nieprawda, wasza wysokość?

– Doprawdy? - ostro odparował Clayton. - Nie zauwa yłem.

– Zatem albo masz bardzo krótką pamięć - rzuciła cicho - albo bardzo...

wygodną. Przede wszystkim zaś zapewne nigdy nie byłeś naprawdę zakochany.

Kieliszek Claytona uderzył o stół.

– Co dokładnie mają znaczyć te słowa? - za ądał odpowiedzi ksią ę.

– Nic - skłamała cicho, uginając się przed błyskiem owych stalowych oczu.

Znów zadźwięczało srebro. Whitney patrzyła na palce Claytona obejmujące puchar wina, zaciskające się i otwierające, a potem zaciśnięte ponownie i wiedziała, e pragnął, aby w owym uścisku była to jej szyja, a nie ów kielich. Po kilku minutach księ na nerwowo odchrząknęła i ostro nie zwróciła się do Whitney.

– Powiedz mi, moja droga, czy po powrocie z Francji znajdujesz, i tutaj, w Anglii rzeczy mają się inaczej?

Whitney zaczęła odpowiadać, ale natychmiast uświadomiła sobie, że księżkę na bezwiednie dała jej sposobność, której potrzebowała. Skoro Clayton nie chciał

pozwolić, by wyjaśniła mu wszystko na osobności, być może zdoła przynajmniej częściowo porozumieć się z nim tutaj, przy stole.

– Zdecydowanie inaczej! - odrzekła z uczuciem. - Tu po moim powrocie do domu dowiedziałam się, że gdy byłam we Francji, ojciec zaaranżował moje małżeństwo z człowiekiem, którego zaledwie raz widziałam i którego nawet nie poznałam, gdy spotkałam go ponownie w Anglii.

– Jakże to smutne! - wtrąciła księżkę z wyrazem rodzącego się zrozumienia.

– W istocie było to bardzo smutne... szczególnie dlatego, że mam naturę niezależną, która stanowczo buntuje się przeciwko zimnemu wydawaniu mi rozkazów przez kogokolwiek. A ów człowiek, którego miałam poślubić, choć okazał się uprzejmy i pod wieloma względami wyrozumiały, był okropnie władczy i despotyczny w sprawie owych zaręczyn. Zachowywał się tak, jakbym ja nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia.

– Te aranżowane narzeczeństwa mogą być początkowo trudne do zaakceptowania - przyznała księżka. - Co więc zrobiłaś?

– Zaręczyłam się z innym, który nie tylko nie miał ani pensa, ale był idiotą! -

obwieścił zimno Clayton.

– Lecz nie był despotą ani tyranem - odparła Whitney. - I wcale nie zaręczyłam się z Paulem!

Zapanowało gniewne milczenie, które dopiero Stephen przerwał śmiechem.

– Mój Boże, nie trzymajcie nas w niepewności. Co było potem? Clayton odpowiedział za Whitney, pogardliwie cedząc słowa:

– Ponieważ w Londynie jest następny tysiąc kawalerów do wzięcia, panna Stone postanowiła zobaczyć, z iloma z nich jeszcze może się zaręczyć.

Whitney nie znosiła, gdy mówił tym tonem. Przygryzła wargę i potulnie potrząsnęła głową.

– Nie, zawsze byłam zaręczona tylko z jednym mężczyzną, ale jest teraz na mnie tak rozgniewany, że nie chce mi dać szansy wyjaśnienia tego wszystkiego. Wycofał już swoje oświadczenia.

– A to drań! - oświadczył Stephen wesoło, sięgając pod drugą porcję kaczki w maładze. - Zdaje się, że to jakiś zły człowiek. Prawdopodobnie będzie ci znacznie lepiej bez niego.

– Ja... ja sama mam dość okropny charakter - przyznała Whitney.

– W takim razie jemu jest lepiej bez ciebie - rzucił Clayton, a potem jego wzrok obrócił się ku bratu z morderczą groźbą. - Stephenie, ta rozmowa wydaje mi się nie tylko śmiertelnie nudna, lecz także

okropnie złym gościu. Czy wyraża mi się jasno?

Lord

Westmoreland

wytrzymał

spojrzenie

księcia

z

udawanym

zakłopotaniem i skinął głową, ale nawet on nie ośmielił się wznowić tego tematu.

Po sali jadalnej kręcili się słuźcy i cała piątka siedząca przy stole gorliwie skupiła się na wspaniałych daniach, chociaż tylko Stephen jadł z przyjemnością.

Whitney powiedziała sobie,

że spróbuje jeszcze raz, tylko jeden raz,

sprowokować Clayтона, by wyszedł z nią z jadalni, chociaż to, jak ma sobie z nim poradzić, jeśli ów zamiar się powiedzie, przerastało jej wyobraźnię.

– Stephen zadał ci pytanie, Claytonie - szepnęła Vanessa.

– Jakże? - zapytał księżę, spoglądając na brata z wyraźną wrogością.

– Pytałem, jak pobiegły twoje konie w ostatnim wyścigu.

– Dobrze - padła krótka odpowiedź.

– Jak dobrze? - nalegał Stephen. Choć potem zwrócił się do wszystkich, uśmiech, który pojawił się w kącikach jego ust, przeznaczony był dla Whitney, gdy wyjaśniał: - Zało yliśmy się, e trzy konie Clayтона i dwa moje zajmą wysokie miejsca. Wiem, e moje tego dokonały, ale z jego trójki dobre miejsca zajęły tylko dwa, co oznacza, e przegrał zakład i jest mi winien trzysta funtów. - Konspiracyjny uśmiech Stephena rozszerzył się znacząco ku Whitney.

– Clayton nie dba o pieniądze, ale nienawidzi przyznawać się do przegranej.

Nigdy nie nauczył się akceptować klęski.

Księżę odłóżył nóg i widelec, przygotowując się, by dać bratu brutalną odprawę, na jaką ten sobie już dawno zasłużył, ale Whitney, odbierając sygnał



swego sojusznika, natychmiast ściągnęła na siebie złość Clayтона.

– Dziwne, e to powiedziałaś - odezwała się do Stephena ze szczerym rozbawieniem. - Ja miałam wrazenie, e twój brat akceptuje klęskę bez podjęcia najmniejszej próby walki. No có , spotykając się z drobnym nawet niepowodzeniem, po prostu rezygnuje i...

Otwarta dłoń Clayтона uderzyła o stół, a podskoczyły talerze. Księżę zerwał

się z miejsca, a mięśnie jego twarzy drgały wściekle wokół napiętej linii szczęki.

– Panna Stone i ja mamy sobie do powiedzenia coś, co powinno być powiedziane na osobności. - Wyrzuciwszy z siebie te słowa, cisnął serwetkę, po czym szybko obiegł stół i gwałtownym ruchem odsunął krzesło Whitney.

- Wstań! - rozkazał cichym, straszonym głosem, a gdy pozostała na swoim miejscu, palce Clayтона boleśnie zacisnęły się na jej ramieniu, więc podniosła się chwiejnie.

Księżna spojrzała na nią z bezradnym przerażeniem, ale Stephen uśmiechnął

się i w niemym toaście uniósł w stronę Whitney swój kieliszek.

Siłą ciągnąc ją za sobą, Clayton zdecydowanym krokiem opuścił jadalnię i zszedł do wyłożonego dywanem marmurowego holu.

– Niech powóz panny Stone czeka przed domem za trzy minuty! - rzucił

lokajowi, gdy przechodzili obok frontowych drzwi, po czym skręcił do bocznego korytarza, krótkim skinieniem głowy kazać sługom otworzyć przed nimi drzwi gabinetu.

Przeciągnął Whitney przez połowę pokoju, który wypełniony był księżkami, umieszczonymi w bogato rzeźbionych biblioteczkach wypolerowanego dębu, po czym puścił jej ramię i podszedł do kominka. Odwracając się, spojrzał na nią z wyrazem zacieklej nienawiści, choć wyraźnie starał się utrzymać swój ogromny gniew pod kontrolą. Nagle jego głos przeciął ciszę.

– Masz dokładnie dwie minuty na wyjaśnienie celu swojej nieoczekiwanej i niemiłe widzianej wizyty. Z upływem owego czasu odprowadzę cię do powozu i sam usprawiedliwię twoją nieobecność przed moją matką i bratem.

Whitney wciągnęła oddech, wiedząc, e gdyby Clayton teraz zobaczył jej strach, wykorzystałby go przeciwko niej.

– Cel mojej wizyty? - powtórzyła cichym głosem, a jej mózg jak szalony odliczał mijające sekundy. - Ja... a do tej chwili sądziłam, e jest oczywisty.

– Nie jest oczywisty.

– Przyjechałam, aby... aby wyjaśnić, dlaczego tak się zachowałam na weselu Elizabeth. Widzisz... -

mówiła dalej, jękając się w pośpiechu, by skończyć w czasie, jaki został jej wyznaczony -wcześniej, w kościele, myślałam, e nas...

ciebie i mnie... wciąż łączy ta umowa i...

Wzrok Claytona przeszywał ją pogardliwie.

– Nie łączy nas adna umowa - odpowiedział ostro. - Wszystko się skończyło.

Nigdy nie powinno się zacząć! Te zaręczyny były szalonym pomysłem i przeklinam chwilę, w której przyszedł mi do głowy.

Ogłuszona niepowodzeniem i klęską, Whitney wbijała sobie paznokcie w dłonie i przecząco kręciła głową.

– To nigdy nie miało szansy się zacząć, boja na to nie pozwalałam.

– Twoje dwie minuty ju się prawie skończyły.

– Claytonie, proszę, wysłuchaj mnie! - wykrzyknęła rozpaczliwie. - Sam powiedziałeś mi kiedyś, e chcesz, abym przyszła do ciebie w własnej woli; e nie chcesz zimnej, niechętej ony.

– I? - zapytał z furją.

– I jestem... Z własnej woli - odpowiedziała dr ącym głosem. Zesztywniał.

Całe jego ciało spięło się nagle, gdy znaczenie słów Whitney przebiło pancierz jego złości. Wpatrywał się w nią przez chwilę z zaciśniętymi wargami, a potem oparł się plecami o gzyms kominka i zamknął

oczy. Walczył z nią, Whitney to wiedziała. Próbował się przed nią zasłonić.

Niemal sparali owana ze strachu czekała, patrząc na niego uwa nie. Wydawało się, e minęła wieczność, zanim wyprostował się z ociąganiem i otworzył oczy, by spotkać się z jej spojrzeniem. Serce Whitney zabiło z radości jak szalone.

Zwycię ła! Widziała to w lekkim złagodnieniu jego surowych rysów. O Bo e, zwycię ła!

Clayton najpierw spojrzał na długi pas dywanu, który ich dzielił, a potem na nią. Kiedy zaczął mówić, w jego głosie brzmiała jeszcze złość, ale słowa były ciche i znaczące.

– Nie ułatwię ci tego ani trochę - powiedział spokojnie lecz stanowczo.

Dzieląca ich odległość wydawała się ogromna i Whitney wiedziała, i dawał

jej do zrozumienia, e to ona musi pokonać tę drogę do niego, jeśli go pragnie; e Clayton nie wyjdzie jej do spotkanie choćby na krok, gdy ... nawet teraz nie całkiem jej ufa.

Spojrzenie Claytona wciąż utkwione było w jej oczach, gdy zaczęła ku niemu iść, czując, że nogi są miękkie jak z waty. Już niemal przed nim musiała przystanąć, by uspokoić bijące serce. Wreszcie zrobiła ten ostatni krok, czując, że nogi się pod nią uginają, i stanęła tak blisko, że jej piersi dzieliło zaledwie kilka centymetrów od jego szarego surduta.

Czekała z pochyloną głową, lecz sekundy mijały, a Clayton nie zrobił

adnego ruchu, by jej pomóc. W końcu uniosła ku niemu zielone oczy, pełne miłości i oddania.

– Czy zechciałbyś mnie teraz? - wyszeptała nieśmiało. - Proszę...

Clayton ruszył w stronę Whitney i przystanął... a potem ujął ją za ramiona i gwałtownym ruchem przyciągnąwszy do siebie, przycisnął usta do jej ust. Z

radością oddała mu pocałunek, rozkoszując się dotykiem gorących warg ukochanego.

Nagły dreszcz wstrząsnął Claytonem, gdy drżąca ze wzruszenia Whitney przytuliła się do niego. Zaciśnął władczo ręce na jej plecach i biodrach, jeszcze mocniej przyciągając dziewczynę ku sobie.

– Bo ja, jak ja za tobą tęskniłem! - wyszeptał ochryple wprost w jej usta, po czym pogłębił pocałunek.

Po pierwszym niepewnym dotknięciu jego języka usta Whitney rozsunęły się bez oporu i Clayton jęknął, przyciskając ją jeszcze mocniej, i z niemal desperackim głodem brał wszystko, co mu ofiarowała.

To wspaniałe uczucie, że mają w ramionach, smak jej ust, pełne piersi...

wszystko to było dla Claytona niemal niedającą się znieść radością. Nie mógł

posunąć się dalej, a bał się zatrzymać... bał się, że jeśli zerwie tę nić, Whitney zniknie i przesywające go teraz palące pragnienie zmieni jego życie w bolesną pustkę.

Kiedy więc w końcu oderwał się od ust Whitney, nadal trzymał ją w ramionach i opierając brodę o jej głowę, czekał, aż uspokoi mu się oddech. A Whitney wciąż tu stała... jak gdyby jego ramiona były jedynym miejscem na świecie, w jakim chciałaby się znajdować.

Odsuwając się lekko, spojrzał w przejrzyste jeziora jej oczu.

– Czy jesteś gotowa za mnie wyjść? - zapytał cicho.

Whitney skinęła głową. Skinęła głową, bo nie mogła mówić.

– Dlaczego? - dociekał spokojnie. - Dlaczego chcesz za mnie wyjść?

Od momentu, gdy, nie wychodząc naprzeciw, kazał jej podejść do siebie przez cały pokój, wiedziała, że Clayton żąda od niej bezwarunkowego poddania i wiedziała, czego żąda od niej teraz. Mimo duszących ją łez radości i ulgi, odzyskała w końcu głos.

– Bo cię kocham - powiedziała cicho.

Ramiona księcia zacisnęły się wokół niej z miłą siłą.

– Niech Bóg cię ma w opiece, jeśli nie mówisz tego szczerze - przestrzegł ją arliwie - bo nigdy nie pozwolę ci odejść.

– Z radością ci udowodnię, że mówię szczerze - wyszeptała Whitney, bezwstydnie spragniona jego pocałunków.

Zobaczyła jego oczy, pociemniałe z pożądaną, gdy pochylił się nad nią, i wspięła się na palce, by dowiedzieć mu szczerości swych słów. Całowała go z całym dojmującym pragnieniem, które wyrażało tę bliskość, całowała go w taki sam sposób, w jaki on całował ją, omdlewając z rozkoszy, gdy zaczął całować ją ponownie, a jego wargi przesuwają się z arliwą tkliwością, a potem wniknęły w jej usta, a ich oddechy mieszały się w jęk, a zbrakło im sił...

To Clayton przerwał ów pocałunek i zmusił ręce do zaprzestania wędrówki będącej rozkoszną torturą pieszczenia tego ukochanego, smukłego, zmysłowego ciała, o którym marzył w snach. Nadal jednak trzymał ją w ramionach, gładząc jej ciemne włosy i rozkoszując się ich jakże znaną gęstością.

– Dlaczego kazałaś mi czekać tak długo? - wyszeptał bez tchu. Odchylając się nieco do tyłu, Whitney obróciła głowę w kierunku sali jadalnej, w której siedziała panna Standfield.

– A dlaczego ty nie zaczekałaś trochę dłużej?

– Małenka - odrzekł tkliwie - jesteś jedyną kobietą na świecie, która mogła w takim momencie pokonać Vanesę.

Whitney spowaśniała nagle i Clayton zobaczył, że z jej oczu zniknął

jaśniejący w nich przed chwilą uśmiech. - Muszę ci coś wyznać - oznajmiła. -

Coś, co może zmienić nasze decyzje.

Clayton zeszywniał.

– O co chodzi?

– Powiedziałam twojej matce prawdę o swojej umiejętności gry na fortepianie.

Z westchnieniem radosnej ulgi przyciągnął ją do siebie.

– Może chociaż śpiewasz trochę lepiej? - zaartował.

– Nie. Obawiam się, że nie.

Choć ton Clayтона wydawał się lekki, Whitney usłyszała w nim głęboką namiętność, która wypełniła

jego głos.

– W takim razie będziesz musiała nauczyć się jakichś innych sposobów sprawiania mi przyjemności.

Przez koszulę Clayтона Whitney czuła pod policzkiem jego ciepły i silny tors. Z uśmiechem wsunęła dłoń pod cienką tkaninę i położyła palce nad bijącym sercem.

– Kiedy ostatnim razem dyskutowaliśmy o moich niedociągnięciach w tej sferze, powiedziałaś, e nie masz czasu na instruowanie niezdolnie naiwnej dziewczynki. Myślę jednak, e... jeśli znajdziesz czas... przekonasz się, e jestem doskonałą uczennicą.

Clayton odpowiedział po długim milczeniu.

– Prawdopodobnie powinienem zacząć od nauczenia cię właściwszej odpowiedzi ni ta, jakiej udzieliłaś mi ostatnio, kiedy powiedziałem, e cię kocham.

Whitney skinęła głową, ale jej głos nagle napełnił się łzami.

– Gdybyś zechciał spróbować jeszcze raz, dowiodę ci, e tę lekcję ju opanowałam.

Clayton ujął ją pod brodę i spojrzał Whitney głęboko w oczy.

– Kocham cię - powiedział cicho. Nieśmiało położyła mu dłoń na policzku.

– Ja te cię kocham. Uśmiechnął się szeroko.

– Tak, kochanie, poczyniłaś znaczne postępy.

Próbowała odpowiedzieć mu uśmiechem, ale Clayton zobaczył, e na jej rzęsach błyszczą łzy. Kołysząc w dłoniach jej twarz, spoglądał w lśniące zielone oczy.

– Skąd te łzy, ukochana?

– Bo a do tej chwili - wyszeptała Whitney z bólem - byłam pewna, e ju nigdy nie powiesz tego ponownie.

Clayton przyciągnął ją do siebie.

– Och, maleńka. Kocham cię od owego wieczoru, gdy graliśmy u mnie w szachy, kiedy to obwieściwszy, e nigdy adnego męczyzny nie nazwiesz swoim panem, nazwałaś mnie pró nym, nikczemnym łotrem, gdy z tobą wygrałem. - Kochał ją od chwili, gdy wesóło opowiedziała mu o dziewczynce, która kiedyś wsypała pieprz do tabakiery swojego nauczyciela muzyki.

Stephen zapukał delikatnie, a potem wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Uśmiechnął się do brata, który władczo zacisnął ramiona wokół Whitney.

– Wybacz mi, wielki bracie, ale wasza nieobecność stwarza bardzo trudną sytuację w tamtym

pokoju.

Clayton słuchał jego słów z uczuciem przykrości.

– Kolacja się skończyła?

– Ju dawno - odrzekł Stephen. - Vanessa zaś okazuje wyraźny sprzeciw wobec moich czarujących wysiłków objaśnienia jej problemów dotyczących hodowli i ywienia koni wyścigowych.

– Stephenie, twój brat jest w dość kłopotliwym położeniu. - Whitney uśmiechnęła się w ramionach Claytona. - Niech pomyślę... jak on to wyraził?

Ach tak... Ma tylko dwie ręce i oddał ju obie.

Lord Westmoreland z namysłem uniósł brwi.

– Ja mam dwie ręce i adna nie jest zajęta, panno Stone - zaoferował się ochoczo.

– Stephenie - powiedział ksią ę powa nie, ale z powolnym uśmiechem - nie przeciągaj granic braterskiego uczucia ponad to, co uczyniłeś tego wieczoru.

Spróbuję uwolnić jedną z moich „rąk”, kiedy wieczorem odwiozę Vanessę do domu.

– Ja równie powinnam ju się po egnąć - westchnęła Whitney, z ociąganiem wysuwając się z ramion Claytona. - Będzie bardzo późno, gdy z powrotem znajdę się u Emily.

– Ty, moja ukochana, nie wystawisz stopy z tego domu. Kiedy po egnam się z Vanessą, wyślę sługęgo do rezydencji Archibaldów po twoje rzeczy i on ich zawiadomi, e wrócisz za tydzień. Ani o jeden dzień wcześniej.

Whitney doskonale wiedziała, e postanowił tak z powodu niewyjaśnionej zmiany w jej zachowaniu między chwilą, gdy zostawiła go w kościele, a ponownym spotkaniem na weselnym przyjęciu. Poniewa z całego serca pragnęła z nim zostać, przyjęła to polecenie z radością.

Oparty o biurko Clayton przyglądał się, jak usiadła i napisała list do Emily.

Zapewniła w nim przyjaciółkę, e w rezydencji jest księ na i poprosiła, by Clarissę i jej rzeczy odesłano do Claymore. Dodała te ujmujące postscriptum: Tym razem ja będę wysyłać zaproszenia. Ciebie zapraszam ju teraz. Czy zechcesz być moją honorową drużną? Ucałowania. Whitney.

Clayton wziął list i nie zwa ając na obecność brata, odciągnął Whitney od biurka i czule pocałował.

– Zajmie mi to dwie godziny, mo e trochę więcej. Poczekaś na mnie?

Skinęła głową, a gdy ksią ę ruszył do drzwi, odwróciła się od niego, nieśmiało przesuwając palcem po mahoniowym blacie biurka.

– Claytonie - odezwała się cicho przez łzy - gdy Vanessa zapytała o moje

„talenty”, zapomniałam powiedzieć, że mam jeden, i że jest on... tak wspaniały, i wynagradza brak wszelkich innych.

Obaj bracia uśmiechnęli się do siebie, nie słysząc napięcia, które sprawiło, że głos jej drżał.

– Cóż to za „wspaniały talent”, małeńka? - zapytał księżkę.

– Sprawiliłam, że mnie kochasz - wyszeptała. - Jakoś... w jakiś sposób naprawdę sprawiliłam, że mnie kochasz.

Śmiech zniknął z twarzy Clayтона, ustępując miejsca tak wielkiej, wręcz ogromnej dumie, że Stephen wyszedł, by mogli zostać sami.

Kilka minut później księżkę opuścił gabinet i idąc do salonu, by stawić czoło Vanessie, a potem odwiedzić ją do domu, rzucił bratu szybkie, pełne wdzięczności spojrzenie.

– Stephenie - powiedział, wskazując głową drzwi gabinetu - nie pozwól, by zniknęła ci z oczu!

Kiedy Clayton wyjeżdżał z Vanessą, Whitney siedziała w gabinecie na wprost Stephena, próbując uporać się z nagłym zaenowaniem, jakie ogarnęło ją na myśl o pierwszej części tego wieczoru.

– Co sprawiło, że chciałeś, abym została na kolacji, skoro Clayton tak wyraźnie nie życzył sobie mojej obecności? Dlaczego mi pomagałeś, jeśli byłam jedyną kobietą, z którą twój brat nie chciał-by...

– Wiedziałem, że jesteś właśnie tą kobietą - poprawił ją Stephen. - Na imię ci Whitney i masz zielone oczy, a pewnej nocy, wiele tygodni temu, mój brat opowiedział mi jeszcze trochę.

Kiedy dwie godziny później księżkę wkroczył do salonu, Stephen zwrócił się do niego powściągliwie.

– Przypuszczam, że lord Standfield nie był w najlepszym humorze, kiedy się egnałeś?

– Jest rozsądny - odparł Clayton krótko, po czym usiadł obok Whitney i postępując wbrew wszelkim nakazom przyzwoitości, z charakterystyczną dla siebie swobodną elegancją objął ją ramieniem, przyciągając do siebie.

Następnie zaś skierował znaczące spojrzenie na uśmiechniętą matkę oraz brata i niezbyt uprzejmie napomknął: - Wyobraź sobie, że oboje jesteście wyczerpani podróżą i chcielibyście udać się na spoczynek.

– Mam szczęście być wyczerpaną czymś znacznie ważniejszym niż podróż -

powiedziała księżka ze śmiechem i uprzejmie życzyła im obojgu dobrej nocy.

Stephen jednak wygodniej oparł się w fotelu.

- Wcale nie jestem zmęczony, wielki bracie. Poza tym chcę poznać wasze plany małżeńskie - oświadczył, krzyżując ręce na piersiach i ignorując mordercze spojrzenia Claytona, pytająco spojrzawszy na Whitney. - A zatem kiedy to będzie?

Księżę westchnął, godząc się na jego obecność i zwrócił się do Whitney:

- Ile czasu potrzeba ci, kochana, by się przygotować?

Podnosząc wzrok ku szarym oczom narzeczonego, Whitney pomyślała, że wolałaby znaleźć się w jego ramionach i czuć jego usta pieszczące jej wargi, niż właśnie teraz omawiać plany małżeńskie, ale, podobnie jak Clayton, nie mogła zrobić nic innego, tylko odpowiedzieć na pytanie Stephena.

- Przypuszczam, że będzie to okazały ślub? - zapytała, mając na względzie tytuł Claytona i ogromną liczbę jego przyjaciół i znajomych.

- Bardzo okazały - potwierdził.

- Zatem zaplanowanie go zajmie wiele czasu. Należy podjąć wiele decyzji, dokonać wyboru strojów, odbyć nieskończoną ilość przymiarek. Trzeba przygotować zaproszenia, rozesłać je i... -przerwała. - Ilu będzie gości?

- Myślę, że pięćset, może sześćset osób... - powiedział Clayton.

- Raczej tysiąc, chyba że chcesz obrazić pół „wielkiego świata” i zrazić sobie krewnych - poprawił go Stephen, uśmiechając się na widok przerażenia na twarzy Whitney, po czym litując się nad nią, dodał: - Księżę Westmorelandowie zawsze zawierali śluby w kościele i urządzali wesela tutaj, w Claymore. To wielowiekowa tradycja i jakbyś chciała jej doświadczyć, więc nie musisz się martwić, że ktokolwiek pomyśli, że to niestosowne, że wszystko odbędzie się w domu Claytona, a nie w twoim.

- Zawsze enili się i urządzali wesela tutaj? - powtórzyła Whitney, rzucając karcące spojrzenie na swego roześmianego narzeczonego. - Kiedy pomyślę o tym, jak groziłeś porwaniem mnie i uprowadzeniem do Szkocji...!

- Ten zwyczaj, madame - zaśmiał się, gładząc palcem jej śliczny policzek -

zapoczątkował pierwszy księżę Claymore, porywając damę swego serca z jej rodzinnego zamku leżącego kilka dni drogi od Claymore. Nieopodal znajdował się klasztor, a ponieważ mój przodek formalnie pozbawił ową damę czci, jeden z mnichów nader chętnie udzielił im ślubu, mimo jej chwilowej niechęci. Ceremonia weselna zaś - podkreślił Clayton - odbyła się tutaj, ponieważ obrażeni krewni panny młodej nie byli w nastroju do weselenia się w ich domu, gdy w tej uroczystości widzieli raczej powód do bitwy niż do uczt. - Clayton uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Tak więc rozumiesz, że gdybym porwał cię do Szkocji, tam się z tobą oenił, a następnie przywiózł tutaj, oddałbym jedynie cześć wielowiekowej tradycji, kontynuując ją do joty.

Nie dyskutując już na ten temat, Whitney powróciła do czasu potrzebnego na przygotowanie do wesela.



– Ślub Therese DuVille nie był nawet w połowie tak wystawny, a jego przygotowania zajęły rok...

– Nie - oświadczył zdecydowanie Clayton. - Absolutnie nie.

– Sześć miesięcy? - zaproponowała pojednawczo.

– Sześć tygodni - obwieścił nieodwołalnie ksią ę. Jego władczy ton ani trochę nie zniechęcił Whitney.

– Jeśli to wesele ma być tak wielkie, ledwie da sieje zaplanować w sześć miesięcy - tłumaczyła.

Clayton mrugnął porozumiewawczo do Stephena.

– Dobrze - westchnął. - Dam ci osiem.

– Osiem miesięcy - zgodziła się Whitney z odrobinę smutnym westchnieniem.

- Z trudem starczy czasu, jednak wydaje się...

– Osiem tygodni - poprawił ją narzeczony. - I ani dnia dłu ej. Moja matka i Hudgins ci pomogą. Oddam do twojej dyspozycji całą armię słu ących.

Osiem tygodni to mnóstwo czasu.

Whitney rzuciła mu spojrzenie pełne powątpiewania, ale ponieważ ona tak e nie chciała czekać ośmiu miesięcy, więc chętnie się zgodziła.

Clayton siedział, obejmując ją ramieniem i gawędząc przyjaźnie ze Stephenem, gdy nagle dostrzegł, e narzeczona nie odpowiada na jego

artobliwe uwagi, a kiedy na nią spojrzął, zobaczył długie rzęsy le ące na policzkach.

– Zasnęła - powiedział cicho, a potem przesunął dziewczynę delikatnie i wziął

na ręce. - To był dla ciebie bardzo wyczerpujący dzień, kochanie - szepnął, gdy poruszyła się na jego piersi, po czym zwrócił się do Stephena: - Poczekaj tu na mnie. Jest parę spraw, o których chcę ci powiedzieć, kiedy zejdem na dół.

Kilka minut później, po wezwaniu pokojówki i dopilnowaniu, by senna Whitney rozgościła się w jednym z pokojów gościnnych, ksią ę wrócił do salonu i zdecydowanie zamknął za sobą drzwi. Stephen wsunął mu w dłoń kieliszek brandy i uniósł swój w niemym toaście.

– Chcę ci zadać dwa pytania - odezwał się spokojnie Clayton, gdy obaj usiedli.

Stephen z szerokim uśmiechem wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzy ował

je w kostkach.

– Tak sądziłem, wasza wysokość.

– Skąd wiedziałeś, kim Whitney jest dla mnie?

– Sam mi powiedziałeś. Pewnej pijackiej nocy w Grand Oak wyjawiałeś mi wszystko, łącznie z tym, że ma zielone oczy... które, na Boga, naprawdę są zielone.

Pochylając się do przodu, Clayton oparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w kieliszek brandy, obracając go w dłoniach.

– Jak wiele opowiedziałem ci tamtej nocy?

Stephen rozważał kłamstwo, ponieważ byłoby to wyjście bardziej subtelne, ale porzucił ów pomysł, gdy utkwiło w nim przenikliwe spojrzenie Clayтона.

– Wszystko - odrzekł z westchnieniem. - Wszystko, łącznie z krzywdą, jaką jej uczyniłeś. Tak więc kiedy pojawiła się tutaj wieczorem, sądząc, że

otrzymałeś jej list... który, jak rozumiem, ma Hudgins... wystarczyło mi jedno spojrzenie, by postanowić, że skoro jej utrata była dla ciebie tak wielkim nieszczęściem, to ci ją zwrócę.

Clayton skinął głową na znak, że przyjmuje wyjaśnienie brata.

– Mam jeszcze jedno pytanie - oświadczył poważnie. - Powiedziałeś, że masz dwa, więc już wyczerpałeś limit - uprzedził go Stephen pogodnie.

– Chciałbym wiedzieć - odezwał się Clayton, nie zwracając na to uwagi - co mogę ci dać, by wyrazić swoją wdzięczność.

– Pieniądze albo życie! - zawołał brat, ze śmiechem udając bandytę.

– Wszystko co chcesz - odrzekł brat cicho.

Później, leżąc już w łóżku z rękami pod głową i wpatrując się w sufit, ledwie mógł uwierzyć, że Whitney tu jest; że po tak ważnej batalii, jaką prowadziła z nim tak długo, przyszła i walczyła, by odzyskać to, co kiedyś razem zaczęli.

Myślał o tym, jak stanęła przed nim w gabinecie, prowokując, by zaprzeczył, że wciąż jej pragnie. A potem uśmiechnął się, przypominając sobie, jak szła ku niemu przez cały pokój, z wysoko uniesioną głową i oczami błyszczącymi miłością i oddaniem. To wspomnienie, to jedno wspomnienie, jak podchodzi, odrzucając na bok dumę, gdy go kocha, pozostanie w jego sercu do końca życia. Nic nie miało dla niego większego znaczenia.

Jutro rano, by Whitney dokładnie mu wyjaśniła, co spowodowało ową drastyczną zmianę w jej zachowaniu między ceremonią ślubu a weselnym przyjęciem. Nie, poprawił się z uśmiechem, poprosi ją o wyjaśnienie... ta niezależna piękność śpiąca po drugiej stronie holu będzie znacznie bardziej skłonna odpowiedzieć na pytanie niż na rozkaz.

Whitney ocknęła się z głębokiego snu oszołomiona niedokończonymi snami i nie chcąc przestać śnić, przewróciła się na drugi bok. Otworzywszy oczy, rozpoznała miejsce, gdzie się znajdowała, oraz Mary, ową rudowłosą pokojówkę, która jej pomogła, gdy była tu pierwszy raz.

– Pan ju ponad godzinę krą y na dole, wpatrując się w schody - obwieściła wesoło dziewczyna. - Polecił mi powiedzieć pani, e dzień jest ciepły i prosił, eby wło yła pani strój do konnej jazdy.

– Ten człowiek sądzi, e jest królem Anglii! - gderała Clarissa, wpadając w przekrzywionym czepku do sypialni Whitney. - Wpada na pomysł, e chce się o enić z moją dziewczynką, a więc wracamy z Francji. Chce pójść na bal, więc jedziemy do Londynu. Dziś chce za ywać konnej jazdy, więc ka e ściągnąć mnie z łó ka o świcie i przywieźć tu z twoimi rzeczami! O świcie! -

wykrzyknęła dramatycznym tonem, ściągając z Whitney kołdrę. - Gdy przywoici ludzie nie kręcą się po drogach!

Whitney ze śmiechem wygramoliła się z łó ka.

– Och, Clarisso, kocham cię!

Wykąpała się szybko i wło yła bursztynowego koloru strój do konnej jazdy, który słu ąca przywiozła tego ranka z jej innymi ubraniami. Pragnąc zobaczyć Clayтона, eby się upewnić, i nie ałuje, e pozwolił jej zwyciężyć ostatniej nocy, ściągnęła tylko swe długie włosy do tyłu i związała je na karku kokardą, a potem wybiegła z pokoju.

Przebiegła przez szeroką galerię i przystanęła. Ksią ę czekał na nią u podnó a schodów, a zimowe słońce, które wpadało przez znajdujący się trzy piętra wy ej szklany sufit, lśniło na jego czarnych włosach. Ubrany w miękką irchową kurtkę jeździecką i brązowe bryczesy, wyglądał jak wysoki, barczysty bóg i tak męsko, i puls Whitney przyspieszył gwałtownie, przyprawiając ją o zawrót głowy.

Clayton patrzył, jak schodziła ku niemu po szerokich schodach. Uwa nie przyglądał się jej ślicznej twarzyczce, szukając oznak, które wskazywałyby, i ałuje swej wczorajszej kapitulacji lub czuje się ura ona, e tak jej ową kapitulację utrudnił.

I wtedy przystanęła na ostatnim stopniu, wciąż uległa, uśmiechając się do niego nieśmiało.

– Najbardziej kłopotliwa - odezwała się cicho - jest świadomość, e wszyscy powiedzą, i pan młody jest znacznie piękniejszy ni oblubienica.

Clayton nie mógł się powstrzymać; chwycił dziewczynę w ramiona i przyciągając do siebie, zanurzył twarz w świe ym zapachu jej włosów.

– Mój Bo e! - wyszeptał ochryple. - Jak e ja wytrzymam te osiem tygodni, nim będziesz moja?

Czuł, e całe jej ciało w jednej chwili zamarło w jego uścisku. Wcale nie chodziło mu o to, ale

rozumiał, a Whitney zeszywniała ze strachu na taką myśl. Uśmiechnął się z twarzą w jej włosach; miał osiem tygodni, by obejmować ją i pieścić; osiem tygodni, zanim jego poądanie naturalną kolejną rzeczy osiągnie spełnienie, a w tym czasie ona tak e go zapragnie i zrozumie, a Clayton nie zrobi jej krzywdy. A nawet jeśli noc poślubna ją przerażała, Whitney będzie wtedy ufała mu na tyle, by pozwolić, eby się z nią kochał. Wtedy poka e jej, jak to powinno być, jak to miało być. Sprawি, by dr ała z poądania, a przylgnie do niego w słodkim pragnieniu, by ją wziął.

– Czy chciałabyś zobaczyć posiadłość? - zapytał, gdy skończyli śniadanie.

– Bardzo chętnie - zgodziła się radośnie.

Był to jeden z owych jasnobłękitnych zimowych dni, gdy słońce ogrzewało wszystko, czego dotknęło. Razem przeszli przez rozległe ogrody ze śpiącymi klombami ułożonymi w geometryczne wzory o dokładnie wyznaczonych granicach.

Ogrodnicy, którzy zbierali leące na ziemi gałązki i wrzucali je do niewielkiego ogniska, zdawali się nie zwracać uwagi na spacerującą parę.

Jednak kiedy młoda dama powiedziała coś, na co ksią e wybuchnął śmiechem i chwycił ją w ramiona, obejmując prawdziwie niedźwiedzim uściskiem, kilku z nich podniosło wzrok, patrząc ze zdumieniem, a potem wymieniło między sobą porozumiewawcze uśmiechy.

Jadąc u boku Clayтона w słonecznym blasku przefiltrowanym przez drzewa, Whitney wyobrażała sobie okazałość wiosny, kiedy gałęzie wybuchną listowiem, sypiąc kwiatami wzdłuż krętych ścieżek i okrywając kute w elazie, białe ozdobne ławki różowymi i białymi płatkami.

Skręcili i przejechali wzdłuż ogromnego jeziora obok pełnego wdzięku kolumnowego pawilonu, spoglądającego na nie z rozległego wzgórza po przeciwnej stronie. Clayton ujął dłoń Whitney i okrążyli tak razem całe jezioro, zmierzając do owego pawilonu. Jaka to rozkosz, myślała w oszałamiającym szczęściu Whitney, czuć własną dłoń zaciśniętą w silnej, ciepłej ręce Clayтона i jechać z nim w cichym, radosnym nastroju, bez barier, które to ona zawsze utrzymywała między nimi. Spojrzała w jasnobłękitne niebo, po którym wolno wędrowały puszyste białe obłoki, i uznała, a ten bezwietrzny dzień błógiego spokoju jest najszczęśliwszy w jej życiu.

Widok jeziora i otaczających go terenów, roztaczający się z połaciej budowli był wspaniały. Whitney oparła się o jedną z białych kolumn i patrzyła wokół z zachwytem. Doskonale wiedziała, a narzeczony przyprowadził ją tutaj, ponieważ pawilon dawał trochę odosobnienia, ale stała tam, odsuwając moment, gdy zrobią ten jeden krok do wnętrza i Clayton weźmie ją w ramiona...

Nieoczekiwanie stanął przed nią i zasłaniając ów piękny widok, dotknął jej ręki. Śmiech cisał się w jego oczach, gdy powoli opadał ustami na wargi Whitney.

– Będzie, jak zechcesz - powiedział szybko, rozbawionym tonem. - Nie jestem nieśmiały, więc nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, czy pocałuję cię tutaj, na zewnątrz, czy w środku.

Kiedy w końcu oderwał usta od jej ust, Whitney dr ała z poądania.

– Claytonie... - wyszeptwała. - Ja...

Przerwał jej głębokim, cichym głosem.

– Uwielbiam słuchać, jak wymawiasz moje imię. Chcę cię wtedy wziąć w ramiona, mieć w ustach twój język i pieścić twoje piersi, czując, jak nabrzmiewają pod moją dłońią.

Whitney wzięła oddech i zamknęła oczy, ale Clayton zdążył zobaczyć ognie rozpalające się w ich jadeitowych głębiach i ciepły brzoskwinowy ton, jaki przybrały jej gładkie policzki. Uśmiechnął się do siebie. Być może bała się, że będzie się z nią kochał teraz, ale była gorącą, namiętą kobietą i niebawem pozbędzie się obaw. Zajrzał przez jej ramię do pawilonu. Chciał obejmować Whitney i całować jej wzruszająco prowokujące usta, ale nie tutaj, gdzie, jak wiedział, mogli być widziani. Nieco zirytowany brakiem prywatności leniwie wędrował wzrokiem po okolicy, a potem zobaczył w oddali na zachodzie porośnięte lasem pasmo wzgórz. Tamto miejsce da im zarówno odosobnienie, jak i piękny widok.

– Rodzinne lasy? - zapytała Whitney, podążając za jego spojrzeniem.

Księżę odpowiedział jej uśmiechem.

– Część z nich. Ze wzgórz rozciąga się wspaniały widok. Pojedziemy tam niebawem - powiedział, ale nie tylko dla krajobrazu, dodał w myślach.

Oparty o ścianę pawilonu, rozkoszował się jej widokiem. Ze lśniącymi włosami ujętymi na karku szeroką aksamitną wstążką przypominała małą dziewczynkę, która powinna nosić białe pantalonek oraz przymarszczoną sukienkę i siedzieć na huśtawce, podczas gdy chłopcy spieraliby się o zaszczyt huśtania jej. Jednak na tym wizja Clayтона się kończyła, ponieważ w kuszących kształtach Whitney, tak korzystnie prezentującej się w stroju do konnej jazdy, nie było nic dziecinnego.

Księżę z ociąganiem skierował uwagę na mniej przyjemny temat.

– Jest między nami kilka spraw, które trzeba wyjaśnić, i chciałbym zrobić to teraz, aby przeszłość mogła pójść w zapomnienie - odezwał się, po czym widząc, że Whitney odwróciła głowę, dodał: - Chyba już wiesz, o co pragnę cię zapytać...

Whitney wiedziała, że chodzi mu o jej zachowanie w dniu ślubu Elizabeth, więc skinąwszy głową, wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.

– Widzisz, kiedy zobaczyłam cię w kościele, sądziłam, że wciąż jesteśmy zaręczeni i nie mając pojęcia, że otrzymałeś zaproszenie na ten ślub, myślałam, że przyszedłeś, by się ze mną zobaczyć...

Opowiedziała mu całą historię zwyczajnie, nie próbując ukrywać bólu i gniewu, jakie wówczas ją ogarnęły.

Clayton wysłuchał wszystkiego, nie przerywając Whitney.

– Co sprawiło, że postanowiłaś przyjechać tutaj wczorajszego wieczoru, mimo nienawiści, jaką

czułaś do mnie przez te wszystkie tygodnie?

- Emily pomogła mi uświadomić sobie, że źle cię oceniałam.
- Co Emily Archibald o nas wie? - pytał dalej Clayton z nutą obawy w głosie.
- Wszystko - przyznała cicho Whitney. Zobaczyła, jak zadrżał.
- Czy teraz ja mogę cię o coś zapytać? - spytała z wahaniem.
- Pytaj o wszystko - odrzekł powaźnie Clayton.
- O wszystko, co w twojej mocy - zaartowała - i w granicach zdrowego rozsądku.
- O wszystko! - oznajmił zdecydowanie.
- Dlaczego zrobiłaś mi tę straszną rzecz? Co kazało ci sądzić, że... że oddałam się Paulowi?

Głosem pełnym niesmaku wobec samego siebie Clayton odpowiedział na jej pytanie.

- Jak mogłaś uwierzyć Margaret, wiedząc,

że ona tak bardzo mnie

nienawidzi?! - Whitney rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie, ale rozumiejąc, że jedynie dodaje bólu do wspomnień o tamtej nocy, szybko wycisnęła pocałunek na ustach Clayтона i zapewniła go: - To nie ma znaczenia.

- To ma znaczenie - odrzekł drżącym głosem - lecz pewnego dnia wynagrodzę ci tę krzywdę. - Uśmiech złagodził jego rysy. - Przekonajmy się, czy zdołasz utrzymać moją ulubioną klacz i pędźmy na tę krawędź.

Widok ze wzgórz był wspaniały. Gdy Clayton wiązał konie, Whitney stała, spoglądając na zalesione kotliny i próbując wyobrazić sobie, jak będą wyglądać w bujnej zieleni lata lub w wibrującej czerwieni i złocistości jesieni.

- Tu jest więcej wspaniałości do rozkoszowania się niż ten widok, moja ukochana - oznajmił z jej pleców głęboki, wibrujący radością głos Clayтона. - Chodź, pokażę ci.

Odwróciwszy się, Whitney zobaczyła, że księżyc siedzi oparty o pień rosnącego za nim drzewa. Ujrzała te w jego szarych oczach gorącą namietność i poczuła lekki dreszcz strachu. Chciała znaleźć się w ramionach ukochanego, pragnęła, aby ją całował, ale podejrzewała, że chciał czegoś więcej. Ponieważ kiedyś już to zrobił, mógł sądzić, że małżeństwo nie jest już dla nich obojga niezbędnym warunkiem miłości fizycznej. Whitney zaś nie tylko uważała je za niemiłą konieczność, lecz tak ją kochała, że nie będzie mogła na zawsze uniknąć cielesnej intymności. Nie będzie mogła, to oczywiste, miała jednak osiem tygodni, nim zostanie zobligowana, jako jego ona, do przejścia przez ten zawstydzający akt, i pragnęła owej ośmiotygodniowej zwłoki. Ociągając się, popatrzyła ponownie na kotlinę w dole i

próbowała oderwać myśli Clayтона od uprawiania miłości.

– Ten widok wprost zapiera dech w piersiach - unosiła się nad pięknem okolicy. - Czy mo emy tam zjechać?

– Mo emy - odrzekł zgodnie, a potem dodał: - Kiedy indziej.

– Czemu nie mielibyśmy zrobić tego teraz? - upierała się z błagalną desperacją.

– Bo teraz chcę cię całować - odrzekł wprost. Whitney odwróciła się z wyraźną ulgą.

– Chcesz mnie tylko całować? Myślałam, e będziesz próbował...

– Och, kochanie, przyjdź tutaj. - Clayton zaśmiał się cicho, widząc, e Whitney się rumieni. - To wszystko, czego chcę - zapewnił ją.

To wszystko, co zamierzam zrobić, poprawił się bezgłośnie. Whitney podeszła do niego z westchnieniem ulgi i ju ulokowała się obok, gdy unióś ją i posadził sobie na kolanach.

– Widok będzie lepszy, jeśli znajdziesz się wy ej - za artował.

Wziął Whitney w ramiona i przysunął ją bli ej do siebie. Bez pośpiechu uniosła twarz, by ją całował. Clayton przesuwał wargami po jej skroniach, gładkim czole i policzku, a potem pocałunkiem zamknął jej oczy, unikając ust, eby nie przestraszyć jej swym ogniem, a wydobył z niej zduszony śmiech.

– Jeśli twoja celność się nie poprawi, mój ksią ę - ostrzegła go z oczami błyszczącymi radością - będę zmuszona przede wszystkim kupić ci monokl.

– Doprawdy? - rzucił pośpiesznie, spadając wargami na jej usta.

Czuł ręce Whitney przesuwające się po jego piersi i oplatające mu szyję, a serce zabiło mu jak młot. Gdy jej usta rozchyliły się pod jego wargami, po ądanie rozpałiło mu krew, a kiedy jej język wślizgnął się do jego ust, dreszcz przeniknął całe ciało Clayтона. Całował ją głęboko z pół arliwym, półłagodnym pragnieniem, a ona jęknęła, oddając mu pocałunek z namiętnością i po ądaniem.

Clayton przesunął ostro nie dłoń, rozpinając akiet Whitney, by dotknąć jej piersi i pieścić twardniejące sutki. Nabrzmiwające piersi dziewczyny budziły się pod jego palcami do ycia, jednocześnie przyprawiając go o dreszcz i ostrzegając. Jej cichy jęk rozkoszy przeszył go na wskroś i zadźwięczał mu w uszach. Clayton zmusił rękę do odwrotu, tylko po to, by przesunąć ją ni ej, instynktownie szukając miejsca, gdzie, bez bariery spódnic, mógłby rozsunąć jedwabiste uda Whitney i delikatnie, czule pieścić swą cudowną, dr ącą dziewczynę, a rozpalona po ądaniem zapragnie go tak bardzo, jak on pragnął

jej. Jego wargi zaczęły wciskać się w usta Whitney jeszcze gwałtowniej, jeszcze bardziej po ądliwie; sięgnął dłonią po brzeg jej spódnicy.

Reszką woli, jaką jeszcze posiadał, oderwał jednak usta od jej ust i zdecydowanie zdjął ze swojej

szyi ręce dziewczyny. Oddychał cię ko i szybko, krew szumiała mu w uszach, a yły płonęły ogniem. Odsunął Whitney od swego torsu i zdjął ją z kolan, by nie przeraziła się jego po ądania, i spojrział na nią, wciąż desperacko pragnąc połączyć ich ciała. Pragnął napęłnić ją nowym yciem i codziennie móc na nią patrzeć, wiedząc, e jego ziarno tkwi w głębi niej i widzieć, jak jej smukłe ciało nabrzmiewa jego dzieckiem...

Długo wciągał powietrze, a potem powoli je wypuścił. Whitney przyglądała mu się z uwagą, a jej piękna, uniesiona ku górze twarz odzwierciedlała zakłopotanie i troskę. Obdarzył ją łagodnym uśmiechem, czując się lekko zdradzonym przez niedającą się opanować reakcję własnego ciała na jej bliskość.

– Maleńka - wyjaśnił ponuro -jeśli nie chcesz widzieć mnie doprowadzonego do szaleństwa, to obawiam się, e nie mo emy tego więcej robić...

Oczy Whitney otworzyły się szerzej ze zdumienia, a potem dostrzegł w nich zrozumienie. Chwiejnie usiadła wyprostowana, odsuwając się od niego, ale Clayton ponownie przyciągnął ją do siebie.

– Nie - powiedział cicho - zostań w moich ramionach jeszcze chwilę. Chcę cię tylko trzymać.

Została.

– Czy te wzgórza są granicą twojego majątku? - zapytała później, gdy szli ku czekającym koniom.

Książę wydał się nieco ura ony.

– Nie, moje posiadłości rozciągają się znacznie dalej.

– Ile masz ziemi? - zapytała Whitney, zdumiona jego dziwnym wyrazem twarzy.

– Około stu dwunastu tysięcy akrów. Zabrakło jej tchu z wra enia.

Ten widoczny wstrząs, jakiego doznała Whitney, przypomniał Claytonowi o czymś jeszcze, więc zatrzymał się nagle, spoglądając na nią rozradowanymi oczami.

– Od rana miałem zamiar zapytać cię, czy mój dom wydaje ci się obskurny?

Whitney posłała mu zawadiacki uśmiech.

– Ja powiedziałam „posepny”. Słowo „obskurny” jest twoim określeniem. Dom zaś jest wspaniały... tak jak ty.

Dla mę czynny, który przez wiele miesięcy czekał tylko na to, by Whitney zwróciła się do niego po imieniu, powiedzenie mu jednego ranka, e jest

„piękny” i „wspaniały”, było zupełnie oczywistym powodem do kolejnego długiego i wzruszającego pocałunku.



Księżna i Stephen stojący w szerokim oknie wychodzącym na trawniki obserwowali Whitney i Claytona zmierzających ręką w rękę ku domowi.

– Stanowią cudowną parę, czy nie? - z zadowoleniem zauważyła Alicia.

– Tak, kochana mamo - zgodził się jej syn. - I będziesz miała pół tuzina cudownych wnucząt. Jestem gotów się założyć, że w niedługim czasie -

dodał z nieskrywanym uśmiechem.

– Stephenie, to nieładnie z twojej strony! - upomniała go księżna.

– Doprawdy nie wiem dlaczego. Myślę, że to wspaniałe!

Matka rzuciła mu pełne irytacji spojrzenie, które zmieniło się w uśmiech, gdy napotkało jego zaraźliwą wesołość.

– Chciałam tylko powiedzieć, niesforne chłopcze, że to wspaniała dziewczyna, która czyni twego brata szczęśliwszym, niż kiedykolwiek był.

– W rzeczy samej - przyznał Stephen i wyjrzawszy za okno zobaczył, że Whitney, która szła obok księcia, nagle cofnęła się ze śmiechem.

Powiedziała mu coś szybko, a potem odwróciła się i uciekła, ale dogonił ją dwoma długimi susami, chwycił w tali, zarzucił sobie na ramię, jakby była workiem mąki, i dalej szedł w stronę domu. Whitney walczyła i odpychała go, a w końcu postawił ją na ziemi, po czym szła statecznie obok niego z dłońmi skromnie splecionymi za plecami.

– Jestem przekonana, że tak! - powiedziała wesoło księżna.

– Nie byłbym taki pewien - odrzekł Stephen i właśnie wtedy, kiedy to powiedział, Whitney zaczęła wyprzedzać Claytona, tym razem o cztery, pięć kroków, a potem spojrzała w tył, potrząsnęła głową, śmiejąc się z czegoś, co jej powiedział, a następnie obróciła się na pięcie i zniknęła im z pola widzenia. Zamiast ją gonić, księżna tym razem oparł się o drzewo, skrzył ową

rękę na piersi i zawołał coś za nią. Wróciła w mgnieniu oka, by zarzucić mu rękę na szyję.

– Teraz to pewne! - Lord Westmoreland się roześmiał. - Przypomnij mi, abym zapytał Whitney, czy ma siostrę - dodał po namyśle.

– Doprawdy, Stephenie - odezwała się księżna tonem wymówki - wiedząc, że połowa matek w Londynie przez ostatnich pięć lat stara się postawić na twojej drodze swe niezamężne córki, nie rozumiem, dlaczego nie wybrałaś sobie onej, ale... - przerwała, jakby przyszedł jej do głowy pewien pomysł -

jestem przekonana, że Whitney mówiła, że ma jakąś kuzynkę.

Leniwy uśmiech, tak podobny do uśmiechu starszego brata i tak zgubny dla niewieścich serc, błysnął na twarzy jej młodszego syna.

– Jeśli jest podobna do Whitney, o enię się z nią natychmiast i przysporzę ci tyle wnucząt, e się zawstydzisz.

– Chyba nie mówisz powa nie! -jęknęła księ na przy obiedzie, gdy Clayton obwieścił zamiar wzięcia ślubu za osiem tygodni.

– Mówię całkiem powa nie. - Wstał z krzesła, wycisnął pocałunek na czole narzeczonej i dodał lekko: - Szczegóły tej sprawy zostawię wam dwóm. -

Podszedł do drzwi, a potem wrócił do matki i Whitney, które patrzyły na siebie oniemiałe, i ulitował się nad nimi: - Spiszcie listę spraw do załatwienia i przeka cie ją Hudginsowi. On będzie umiał nakłonić właściwych ludzi, by działali w pośpiechu.

– Kim właściwie jest Hudgins? - zapytała Whitney. - Nigdy go nie widziałam.

– Jest sekretarzem Claytona. I czarodziejem. - Księ na westchnęła. - Posłu y się magią tytułu Westmorelandów i wszystko będzie gotowe w ciągu ośmiu tygodni, a ja tak liczyłam, e będę miała więcej czasu na przyjęcia...

Jej słowa przerwał Clayton, który znów zajrzał do pokoju.

– No i jak, czy lista ju jest gotowa? - zapytał, uśmiechając się szatańsko.

## Rozdział 31

Dwa dni później, w odpowiedzi na list Whitney, przybyła lady Annę Gilbert, gotowa pomóc w weselnych przygotowaniach, i między nią a księ ną niemal natychmiast zrodziła się przyjaźń.

Jeśli chodzi o Whitney, cztery następne dni prze yła w oszołomieniu komfortem, nagłym szczęściem i kradzionymi chwilami radości w ramionach ukochanego.

Zgodnie z przewidywaniami matki Claytona wszystkie eleganckie sklepy zgodziły się na nieprzekraczalny ośmiotygodniowy termin, mimo e wzięte pracownie były ju przecią one zamówieniami na nadchodzący sezon.

Najczęściej właściciele tych sklepów sami przyje d ali, przywo ąc liczne szkice oraz pudła materiałów, by potem móc opowiadać, e słu yli pomocą przyszłej księ nej Claymore w jej przygotowaniach weselnych.

Jednak piątego dnia Whitney odebrała dość zdawkowe polecenie przekazane jej przez słu ącego.

– Jego wysokość yczy sobie widzieć panią w swoim gabinecie... natychmiast.

Próbując stłumić lekkie uczucie lęku, pośpieszyła na dół, skinęła głową w stronę jakiegoś

dystyngowanego człowieka niosącego pod pachą dużą, płaską, podłużną walizeczkę i weszła do gabinetu księcia. Zamknąwszy za sobą drzwi, dygnęła w zabawnym ukłonie małej pokojówki.

– Wasza wysokość mnie wzywał? - zapytała z nutką złośliwości. Stojący przed biurkiem Clayton spojrzął na nią bez słowa, z powagą i wyrazem twarzy.

– Czy... czy stało się coś złego? - wyszeptała bezdźwięcznie.

– Nie. Podejdź tu, proszę - chociaż odpowiedział łagodnie, w jego głosie pojawiło się dziwne napięcie.

– Claytonie, o co chodzi? - zapytała Whitney, śpiesząc ku niemu. - Co się...

Przyciągnął ją do siebie w miłym uścisku.

– Nic złego - odrzekł głębokim, mrocznym głosem. - Stęskniłem się za tobą -

oznajmił i obejmując ją jedną ręką w talii, odwrócił się, by drugą sięgnąć po leżące za nim na biurku małe aksamitne pudierko. - Myślałem o szmaragdzie

- powiedział tym samym tonem - ale przyćmiłyby go twoje oczy.

Zdecydowałem się więc na to. - Wolną ręką uniósł wieczko pudierka, a wtedy wspaniałe brylanty strzeliły iskrami ku zawieszonym sztukateriom sufitu.

Whitney wpatrywała się w ów klejnot w trwożnym zdumieniu.

– Nigdy nie widziałam czegoś tak... - przerwała, gdy łzy szczęścia napłynęły jej do oczu.

Ujmując dłoń narzeczonej, księżę wsunął olśniewający klejnot na jej smukły palec. Whitney spojrzała na swoją rękę, na której teraz widniał pierwszy, namacalny dowód, że naprawdę należała do Clayтона. Należała do niego i cały świat miał zobaczyć pierścionek i dowiedzieć się o tym.

Przestała być Whitney Allison Stone, córką swojego ojca, siostrzenicą lady i lorda Gilbertów. Teraz jest narzeczoną księcia Claymore'a. W ciągu tej jednej chwili straciła własną tożsamość i została obdarzona nową. Chciała powiedzieć Claytonowi, że pierścionek jest piękny, że go uwielbia, ale zdołała tylko wyszeptać: „kocham cię”, zanim zalała się łzami i wtuliła mu twarz w pierś.

– To nie ze smutku - próbowała wyjaśnić, gdy otoczyła ją kochająca siła jego ramion. - To ze szczęścia.

– Wiem, małeńka - wyszeptał, tuląc ją mocno, gdy to samo wzruszenie, które tak nieoczekiwanie spadło na niego, gdy przed kilkoma minutami wybierał

ten klejnot, przeniknęło również ją.

Wreszcie Whitney odsunęła się i z nieśmiałym uśmiechem wysunęła przed siebie dłoń, by podziwiać rzucający ogień wspaniałe kamień.

– To najcudowniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam - powiedziała. -

Oprócz ciebie, oczywiście.

Na dźwięk tych słów Claytona ogarnęła fala gorącego podniecenia, pochylił

się więc, by zawładnąć jej ustami, ale powstrzymał ten ruch, istniał bowiem pewien limit po ądania, jaki w owych dniach mogło znieść jego ciało. Zamiast pocałować Whitney, zwrócił się do niej tonem udawanej surowości:

– Mam nadzieję, madame, e nie nabierzesz zwyczaju zalewania się łzami, ilekroć podaruję ci jakiś klejnot; w przeciwnym razie będziemy musieli posyłać po wiadra, gdy zobaczysz te, które będą ciebie nale eć po moich babkach.

– Czy ten pierścionek nale ał do jednej z nich?

– Nie. Księ ne Westmoreland nigdy nie otrzymują zaręczynowych pierścionków, które nale ały do innych... taka jest nasza tradycja. Chocia twoja mał ńska obrączka będzie rodzinnym dziedzictwem.

– Czy są jeszcze jakieś inne tradycje Westmorelandowskie? -zapytała Whitney z uśmiechem pełnym miłości.

Powściągliwość Claytona pękła. Chwycił dziewczynę w ramiona, i całował

jej usta z namiętnością i pragnieniem.

– Jedną moglibyśmy rozpocząć - wyszeptał znacząco. - Powiedz, e mnie pragniesz - rzucił ochryplym głosem.

– Kocham cię - odrzekła zamiast tego, lecz Clayton poczuł, e jej upajające ciało napina się, by być bli ej niego.

Kiedy się odsuwał, z piersi wyrwał mu się głęboki śmiech człowieka, który wszystko rozumie.

– Wiem, e mnie kochasz, maleńka - powiedział, ujmując ją za brodę - ale ty mnie równie pragniesz.

Whitney w porę i bez przykrości przypomniała sobie, e w innym pokoju czeka na nią ciocia ze szwaczkami. Więc tylko na wpół niechętnie odsunęła się o krok.

– Czy to wszystko, wasza wysokość? - spytała, dygając w kolejnym ukłonie pokojówki.

Ksią ę odpowiedział jej tonem uprzejmie bezosobowym:

– Na teraz tak, dziękuję. - A kiedy się odwróciła, wymierzył jej czulego klapsa.

Whitney przystanąła i przez ramię spojrzała na niego z wyrazem przesadnej surowości.

– Gdybym była na twoim miejscu, nie zapominałabym, co się stało, gdy zrobiłeś mi to po przyjęciu u lorda Rutheforda — ostrzegła.

– U Archibaldów? - uściślił. - Kiedy odwiozłem cię do domu? Usta dziewczyny dręły ze śmiechu, ale zdołała powoli skinąć głową.

– No właśnie.

– Mam rozumieć - spytał Clayton, bez powodzenia próbując zachować powagę

- e grozisz zrzuceniem ze ściany tych obrazów?

Zaskoczona Whitney spojrzała na oprawne w ciężkie ramy portrety wiszące na ścianie, a potem na rozweseloną twarz księcia.

– Sądziłam, e cię spoliczkowałam.

– Chybiłaś.

– Chybiłam?

– Obawiam się, e tak - potwierdził z powagą.

Whitney stłumiła chichot.

– To irytujące.

– Niewątpliwie - przyznał ksią ę.

Rozbawiona odwróciła się i ruszyła do drzwi, a wtedy drugi klaps, wymierzony z nieco większą siłą niż ten pierwszy, wylądował na jej pośladkach i chocia zdołała spojrzeć z dezaprobatą, nie udało jej się opanować śmiechu.

Tego wieczoru po kolacji siedzieli razem w salonie. Ksią na i ciocia Annę oddawały się pogawędce, a Stephen zabawiał Whitney śmiesznymi historyjkami na temat najbardziej niecznych chłopięcych wyczynów Claytona, czego ksią ę słuchał ze zmieniającym się wyrazem skrajnego niezadowolenia lub znudzonego niesmaku.

– Kiedyś mój brat, wówczas dwunastoletni, nie zszedł na śniadanie. Gdy okazało się, e nie ma go równie w jego pokoju, ojciec wraz ze słuchacymi zaczął przeszukiwać okolicę. Późnym, popołudniem nad brzegiem strumienia, gdzie woda jest głęboka, a prąd wartki, znaleziono koszulę Claytona. Była tam równie jego łódka, chocia ojciec zabronił mu pływać na niej przez miesiąc...

Nie mogąc złapać tchu ze śmiechu po poprzedniej opowieści, Whitney odwróciła się do narzeczonego.

– Dla... dlaczego - ledwie wysapała - nie wolno ci było pływać tą łódką?

Ksią ę łypnął z niezadowoleniem na brata, a potem spojrział na o ywioną twarz narzeczonej i roześmiał się mimo woli.

– O ile sobie przypominam, poprzedniego wieczoru przyszedłem na kolację nieodpowiednio ubrany.

– Nieodpowiednio ubrany?! - jęknął Stephen. - Pojawiłeś się z półgodzinnym opóźnieniem, w butach do konnej jazdy i podartym ubraniu, śmierdzący końskim potem i skórą, z prochem na twarzy, ponieważ wymknąłeś się i ćwiczyłeś strzelanie ze starych pojedynkowych pistoletów ojca.

Clayton rzucił mu spojrzenie pełne dręczącego niesmaku, Whitney zaś wybuchnęła śmiechem.

– Mów dalej, Stephenie - poprosiła wesoło. - Dokończ tę opowieść o znalezieniu nad strumieniem koszuli.

– No có , wszyscy sądzili, e Clayton utonął, i pośpiesznie rozbiegli się po okolicy, z zapłakaną matką i ojcem białym jak prześcieradło na czele, gdy zza zakrętu wyłonił się Clay na prowizorycznie skleconej, najlichszej tratwie, jaką kiedykolwiek widziano. Ludzie wstrzymali oddech, spodziewając się, e tratwa zatonie, gdy będzie próbował pokonać nią zakręt, ale Clay właściwie pokierował nią do brzegu. Z wędką w jednej ręce i nanizanymi na sznur złowionymi rybami w drugiej zszedł z tratwy i spojrział na nas tak, jakby sądził, e to dziwne, i stoimy, gapiąc się na niego. Potem podszedł do rodziców, wciąż niosąc ten sznur ryb. Mama ponownie wybuchnęła płaczem, a ojciec wreszcie odzyskał głos. Był właśnie w samym środku wygłaszania burzliwej tyrady o nieodpowiedzialnym zachowaniu Claytona, jego lekkomyślności, a nawet o braku koszuli, kiedy twój przyszły mąż bardzo spokojnie powiedział, e nie sądzi, by ze strony ojca było rzeczą właściwą besztanie go przy słu bie.

– Och, nie mogłeś tego zrobić! - wykrztusiła Whitney. - Co było potem?

Ksią ę zachichotał.

– Ojciec wyświadczył mi grzeczność, odsyłając słu bę - powiedział - i wtedy dał mi po uszach.

Tę sympatyczną atmosferę wesołości przerwała czarno odziana postać lokaja, który pełnym namaszczenia tonem oznajmił:

– Przybył lord Edward Gilbert.

Natychmiast po owym obwieszczeniu wszedł sam lord Edward Gilbert, rozejrzał się wokół i skłonił wszystkim obecnym.

– Wielkie nieba! To Edward! - wykrzyknęła lady Annę, zrywając się na równe nogi i wpatrując w ukochanego mę a.

Obawiając się, e jej listy w końcu go odnalazły i e pośpieszył, by ratować Whitney przed niechcianym mał eństwem z księciem, układała w myślach zwięzłe wyjaśnienie wszystkich doniosłych wydarzeń, które doprowadziły do owego spotkania w rezydencji Claymore'ów.

Whitney tak e zerwała się z miejsca, wiedzona identycznymi podejrzeniami.

– Wuj Edward! - wykrzyknęła.

– Rad jestem, e wszyscy mnie poznają - oznajmił powściągliwie lord Gilbert, przenosząc wzrok z ony na jej siostrzenicę w wyraźnym oczekiwaniu czulszego powitania ni to, jakie go właśnie spotkało.

Clayton, niezauwa ony, wstał i podszedłszy do kominka, oparł łokieć na jego gzymsie, skąd z widocznym rozbawieniem obserwował rozgrywającą się scenę.

Lord Edward czekał, by ktoś przedstawił go księżnej i Stephenowi, ale gdy ani ona, ani Whitney nie zdołały wydobyć z siebie głosu, wzruszył ramionami i skierował się prosto do księcia.

– Có , Claymore - odezwał się, ciepło odwzajemniając uścisk dłoni księcia -

widzę, e zaręczyny odbyły się całkiem gładko.

– Całkiem gładko?! - wyszeptała lady Gilbert zduszonym głosem.

– Całkiem gładko?! - powtórzyła za nią jak echo Whitney, powoli osuwając się na sofę.

– Niemal całkiem gładko - łagodnie skorygował Clayton, nie zważając na zdumione spojrzenia pozostałych obecnych w salonie.

– To dobrze. Dobrze. Wiedziałem, e tak będzie - powiedział lord Gilbert.

Księżnę przedstawił go matce i Stephenowi, a kiedy uprzejmości zostały wymienione, Edward znów zwrócił się do swojej oszołomionej ony.

– Annę - odezwał się, podchodząc bliżej, gdy ona się cofała, krok po kroku -

po miesiącach rozłąki, droga

ono, uderza mnie twoje mniej ni

entuzjastyczne powitanie.

– Edwardzie... - westchnęła lady Gilbert.

– Nie mo na powiedzieć, by było to coś znacznie przyjemniejszego od powitania „Wielkie nieba, to Edward!” - zauważył cierpko jej mąż.

– Wiedziałaś o tych zaręczynach od początku - zarzuciła mu, przenosząc mroczne spojrzenie z męża na roześmianego Clayтона, który natychmiast przybrał bardziej właściwą, poważną minę. -Byłam wystawiona na niepewność wystarczającą, by doprowadzić mnie do utraty zmysłów, podczas gdy wy dwaj przez cały czas kontaktowaliście się ze sobą, nieprawda ? Nie wiem, którego z was bardziej pragnęłabym zamordować.

– Czy chcesz swoich soli trzeźwiących, moja droga?

– Nie chcę soli - odpowiedziała lady Annę. - ądam wyjaśnienia!

– Wyjaśnienia czego? - zapytał zakłopotany Edward.

– Czemu nie odpowiadałeś na moje listy, dlaczego nie poinformowałeś mnie, e wiesz o tych zaręczynach, dlaczego nie poradziłeś, mi co robić...

– Dostałem tylko jeden z twoich listów - bronił się wykrętnie lord Edward - w którym pisałaś jedynie, e Claymore zamieszkał w posiadłości poło onej blisko domu Stone'a. Nie rozumiem więc, dlaczego pragnęłaś, bym ci doradził, co czynić, skoro było najzupełniej oczywiste, e wszystko, co musiałaś zrobić, to być przyzwoitką dla tych dwojga, którzy, jak wszyscy widzieli, byli wprost idealnie dla siebie stworzeni. Ja zaś nie napisałem ci, e wiem o tych zaręczynach, poniewa o nich nie wiedziałem, do chwili gdy półtora miesiąca temu doręczono mi w Hiszpanii list Claytona.

Lady Gilbert nie dała się tak łatwo ułagodzić. Rzuciwszy księciu krótkie, przepraszające spojrzenie, mówiła dalej:

– Z całą pewnością wcale nie byli wprost idealnie dla siebie stworzeni!

– Oczywiście, e byli! - bronił się Edward zdecydowanie. - Jakie obiekcje mogłaś mieć wobec mał ństwa Whitney z księciem Claymore'em? - Nagle na twarzy lorda Gilberta pojawił się wyraz rozbawienia. - Ach tak, niepokoiłaś się jego reputacją, prawda? Lordzie, księ no - zaśmiał się wyrozumiale, przypominając sobie o obecności w salonie rodziny Westmorelandów - czy nie słyszeli państwo owego porzekadła, które mówi, e „nawrócone hulaki stają się często najlepszymi mę ami”?

– No có , dziękuję, lordzie Edwardzie - odrzekł kwaśno Clayton.

Wuj Whitney rzucił zdumione spojrzenie na Stephena, tłumiącego nagły atak śmiechu, a potem kontynuował przemowę do ony:

– Pomyślałem, e stanowiliby wyborną parę ju wtedy, gdy zobaczyłem ich razem na maskaradzie, i wiedziałem, e coś się święci, gdy zawiadomiono mnie w Pary u, e adwokaci Westmorelanda rozpytują o Whitney. Potem sądziłem, i Martin zepsuł wszystko, posyłając po nią, ale kiedy dostałem twój list z informacją, e Claymore nabył posiadłość poło oną w bliskiej odległości od domu Stones, wiedziałem, co się dzieje.

– Nie wiedziałeś! - wykrzyknęła arliwie lady Annę. - Dopiero ja ci powiem, co się wydarzyło. Od chwili, gdy Whitney ujrzała księcia, walczyła z nim nieustannie. I...

Lord Gilbert odwrócił głowę i znad okularów spojrzał na dziewczynę.

– Ach, zatem to Whitney była problemem, czy tak? - zapytał, po czym przeniósł wzrok na Claytona i rzekł: - Ta dziewczyna potrzebuje mę a, który będzie ją krótko trzymał. Właśnie dlatego od samego początku sprzyjałem zamiarom waszej wysokości.



– No có , dziękuję, wuju Edwardzie - powiedziała Whitney z goryczą.

– To prawda i sama o tym wiesz, moja droga - oświadczył lord Gilbert i ostatnie słowa skierował do swej mał onki: - Pod tym względem jest bardzo podobna do ciebie.

– Jakie to uprzejme z twojej strony, Edwardzie - cierpko odparła lady Annę.

Lord Gilbert przeniósł spojrzenie z ura onej twarzy ony na buntowniczą twarz Whitney, a potem na Claytona, który przyglądał mu się, unosząc ciemne brwi w wyrazie sardonicznego rozbawienia. Spojrzał te na Stephena Westmorelanda, nadal próbującego opanować atak śmiechu, a potem na księ nę, która była zbyt dobrze wychowana, by w ogóle okazać jakiegokolwiek emocje.

– Có - powiedział do niej z westchnieniem - widzę, i teraz obraziłem wszystkich. Czy to nie zabawne,

e jestem uwa any za zręcznego

dypłomatę?

Księżną na wybuchnęła śmiechem.

– Ja nie jestem ani trochę obrażona, lordzie Edwardzie. Mam zdecydowaną słabość do hulaków. Przede wszystkim sama poślubiłam jednego, a wychowałam... - tu spojrzała znacząco na Stephena - dwóch.

## Rozdział 32

Gazetowe anonse o zaręczynach księcia Claymore z panną Whitney Allison Stone spadły na Londyn z siłą huraganu i Whitney znalazła się w oku owego cyklonu.

Codziennie do rezydencji baronostwa Archibaldów nadchodziły niezliczone zaproszenia na wszelkie mo liwe imprezy towarzyskie. Między wydawanymi na cześć obojga przyjęciami, w których narzeczeni musieli uczestniczyć, i gwałtownymi przygotowaniem do ślubu oraz wesela, które wymagały uwagi Whitney, dziewczyna wciąż była gorączkowo zajęta i ju niemal brakło jej sił z wyczerpania. W dodatku czuła lęk, który narastał wraz ze zbliżaniem się dnia ślubu, a ściślej nocy poślubnej.

Często, nie mogąc zasnąć i leżąc w gościnnym pokoju Emily, mówiła sobie stanowczo, e skoro inne kobiety mogły znieść ten akt, ona również zdoła przez to przejść. Wielokrotnie przypominała sobie, e sam akt i ów okropny ból, który mu towarzyszył, nie trwały długo. A poza tym przecie uwielbiała Claytona, więc jeśli on pragnie jej to zrobić, to ona zniesie ból, by go uszczęśliwić, mając jednocześnie nadzieję, e będzie się to odbywało z minimalną częstotliwością.

Nie lubiła jednak myśleć nie tyle o tym dniu, ile praktycznie o owej godzinie, gdy Clayton zrobi to ponownie.

W jednej z chwil najbardziej filozoficznej refleksji doszła do przekonania, e powodem, dla którego tak wysoko ceniono dziewictwo oblubienicy, było to, i w dawnych czasach ludzie zdawali sobie sprawę, e gdyby panna młoda wiedziała, co ją czeka w noc poślubną, to nie uśmiechałaby się tak promiennie, idąc do ołtarza!

Niestety, gdy do ceremonii pozostał ju tylko tydzień, filozoficzny spokój całkiem opuścił Whitney, a strach wciąż narastał. Na domiar złego im bliżej było do dnia ślubu, tym zaloty Claytona stawały się bardziej płomienne... a co za tym idzie, bardziej przerażające.

Nawet wisząca w garderobie suknia w kolorze kości słoniowej sprawiała, e Whitney czuła, jak dreszcz strachu przebiega jej po plecach, ilekroć patrzyła na swój ślubny strój, gdy przypominał jej tamtą jedwabną kreację, którą Clayton z niej zdarł. Nie była tak głupia, by sądzić, e ten delikatny, czuły, wyrozumiały męczyzna, którego uwielbiała, zamierza w ich noc poślubną zedrzyć z niej ubranie... ale nie sądziła te , aby pozwolił jej pozostawać w tej sukni zbyt długo.

Ukradkiem zaczęła obserwować Emily, gdy Michael pytał, czy jest gotowa udać się na spoczynek. Przyjaciółka nie wydawała się przerażona, idąc do sypialni. Ciocia Annę, przypominała sobie Whitney, tak e nie próbowała unikać spoczynku z wujem Edwardem. Dlaczego więc ona, myślała o sobie Whitney, była jedyną kobietą, która krzywiła się na myśl o bólu, jaki nadchodził wraz z aktem

mał ęskim? Im głębiej Whitney to rozwa ęła, tym silniej utwierdzała się w przekonaniu, e ma jakiś fizyczny defekt, który sprawia, e ów akt rani ją, i tylko ją, tak dotkliwie.

Pamięć nękała biedaczkę nieustannymi wizjami tamtego straszego wieczoru, gdy Clayton tak okrutnie i rozmyślnie zhańbił ją rękami, ustami i ciałem. Upokorzenie, jakiego wtedy doznała, ścięgało ją teraz, potęgując utrwalony we wspomnieniach ból, a Whitney stała się kłębkim strachu i dr enia.

Pięć dni przed ślubem była po prostu zbyt zmęczona, by wziąć udział w balu wydanym przez jednego z przyjaciół księcia. Następnego zaś dnia wysłała narzeczonemu list, prosząc, by usprawiedliwił jej nieobecność na popołudniowym przyjęciu u lordostwa Ruthefordów.

Clayton, który przeniósł się do swej londyńskiej rezydencji przy Upper Brook Street, by w tygodniach poprzedzających termin ślubu być blisko Whitney, przeczytał jej krótki liścik o rezygnacji z przyjęcia u lorda Rutheforda, lekko marszcząc brwi z zakłopotania. Po chwili namysłu polecił, by sprowadzono jego powóz i pojechał prosto do domu Archibaldów, gdzie powiedziano mu, e panna Stone jest w błękitnym salonie, a lord i lady Archibald wyjechali na cały dzień.

Whitney sięgnęła po nowy arkusz papieru, zanurzyła pióro w kałamarzu i kontynuowała wyczerpujące zadanie pisania listów z podziękowaniami za oszałamiającą ilość ślubnych prezentów, które od tygodni napływały niekończącym się strumieniem. Ksią ę przystanął w drzwiach salonu i wpatrywał się w nią.

Ciemnokasztanowe włosy, skręcone w grube sploty, miała związane wąskimi zielonymi wstą kami. Siedziała przy sekretarzyku, pisząc z lekko pochyloną głową, zwrócona nieskazitelnym profilem w stronę Claytona. W

blasku słońca wpadającym przez okno obok niej wyglądała tak krucho i ślicznie, e wydawała się wprost nieziemska.

– Masz jakieś zmartwienie? - zapytał po dłu szej chwili, zamykając za sobą drzwi, po czym przemierzył pokój, wziął Whitney za rękę i delikatnie, ale stanowczo ścięgnął z krzesła i poprowadził ku sofie. - Młoda damo, czy zamierzasz traktować mnie w tym wszystkim jedynie jako widza patrzącego z boku i przypomnisz sobie o moim istnieniu, dopiero kiedy będziesz szła do ołtarza?

Whitney usiadła obok niego.

– Przepraszam cię za to przyjęcie u Ruthefordów - powiedziała z tak zmęczonym uśmiechem, e ksią ę natychmiast po ęłował swej łagodnej reprimendy. - Jestem ju wszystkim tak wyczerpana, e czasami sama czuję się jak widz. - Wtulając twarz w zgięcie jego ramienia i szyi, dodała: - Tak bardzo tęskniłam za tobą ostatniego wieczoru... Dobrze bawię się na balu?

Clayton ujął ją pod brodę.

– Bez ciebie nigdy nie bawię się dobrze - mruknął, przykrywając wargami usta dziewczyny. - A teraz poka , jak bardzo za mną tęskniłaś...

Nie minęło kilka chwil, a napięcie i wyczerpanie Whitney rozplynęły się w arze namiętnego pocałunku. Jak przez mgłę uświadomiła sobie w oszołomieniu, że Clayton nieubłaganie pociąga ją w dół, chcąc, by położyła się obok niego na jedwabnych poduszkach, a gdy pieścił wargami i językiem jej usta, zmiana pozycji zdawała się nie mieć znaczenia.

Zmysły Whitney poddawały się, wirując zawrotnie, czarowane głębokimi pocałunkami i czułymi, namiętymi słowami, które ksią ę szeptał w jej rozchylone usta.

– Wciąż mi cię mało - mówił, pochylając się nad nią. - Nigdy się tobą nie nasycę...

Jego ręka wędrowała władczo po wra liwej skórze nad jej stanikiem, a palce pośpiesznie rozpinają rząd drobnych guziczków na przodzie jasnej sukni. Zanim Whitney zdołała zareagować, wargi Clayтона powoli przesuwają się ku jej nagim, odsłoniętym piersiom.

– Słuchaj! - jęknęła.

– Śmiertelnie się mnie boją - uspokoił ją. - Nie weszliby tutaj, nawet eby ostrzec nas przed po arem.

Pieścił językiem ró owy sutek, Whitney jednak zaczęła protestować z prawdziwą, szaloną powagą.

– Nie! Proszę! - powiedziała, usiadła chwiejnie i ściskając rozpięty stanik, niezdarnie zapinała guziczki.

Clayton wyciągnął ku niej ramiona, ale szybko uciekła z sofy. Zdziwiony wstał i wpatrywał się w narzeczoną. Była lekko zarumieniona, bardzo piękna i niemal śmiertelnie przestraszona.

– Whitney...? - zapytał ostro nie.

Drgnęła, cofając się o trzy kroki, a potem usiadła na sofie z dala od niego z wyrazem udręki i zakłopotania na twarzy. Jak zauważył Clayton, zbierała odwagę, by zacząć mówić, potem zmieniła zdanie, a po chwili przesunęła ręką po czole. Wreszcie uniosła ku niemu błagające zielone oczy i wzięła głęboki oddech.

– Jest coś, o co chcę cię prosić... pewna grzeczność. Ale to jest okropne i krępujące. Chodzi o nasz ślub. O noc poślubną...

Zaniepokojony napięciem i lękiem, jaki ujrzał na twarzy dziewczyny, pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

– O jaką grzeczność chcesz mnie prosić? - zapytał łagodnie.

– Obiecuj, że nie będziesz zły, kiedy to usłyszysz.

– Masz moje słowo - zapewnił ją spokojnie.

– No có , widzisz... - zaczęła z wahaniem - ja... ja naprawdę chciałabym czekać z radością na nasz ślub. Ale nie potrafię, bo wciąż myślę o tym, co się stanie... no, wiesz... później... w nocy. Inne

oblubienice tego nie wiedzą, nie wiedzą dokładnie, a ja wiem i... - Była wręcz czerwona ze wstydu.

- co chciałaś mnie prosić? - zapytał Clayton. Ale ju wiedział... Bo e... ju wiedział.

- Zastanawiałam się, czy zgodziłbyś się poczekać... - wyjaśniła z bólem. - To znaczy... czy zgodziłbyś się nie robić mi tego w noc poślubną...

Nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, za enowana odwróciła wzrok. Mogła nie wiedzieć o ró nych rzeczach, ale doskonale rozumiała, e ony nie zawierają z mę ami takich umów i e mał eństwa dopełnia się właśnie w noc poślubną. W

dawnych czasach odbywało się to nawet przy świadkach, zgodnie ze starym... i dzięki Bogu, zaniechanym... zwyczajem „pokładzin” nowo zaślubionej pary.

Obowiązek ony i zło one przyrzeczenie wymagały, by we wszystkim była posłuszna mę owi, a to obejmowało zaspokajanie jego namiętności.

- Jesteś absolutnie pewna, e tego właśnie chcesz? - zapytał Clayton po chwili milczenia.

- Tak - wyszeptała Whitney ze spuszczoneymi oczami.

- A jeśli odmówię zgody?

- Wtedy się podporządkuję - odpowiedziała, wpatrując się we własne ręce.

- Podporządkujesz się? - powtórzył Clayton oszołomiony i nieco poirytowany takim dobozem słów.

Ledwie mógł uwierzyć, e po ośmiu tygodniach Whitney wciąż uwa ała finałową kulminację ich po adania za jakąś formę kary, której musi się

„podporządkować”. Zawsze chętnie padała mu w ramiona, odwzajemniając pocałunki z

arliwością i pragnieniem, które niemal dorównywało jego namiętności. A ilekroć trzymał ją w ramionach, instynktownie wtulała się weń swym miękkim ciałem. Có sobie u licha wyobraziła... e w noc poślubną on zmieni się w jakieś szalone zwierzę i znów zedrze z niej suknię?

- Czy to mnie się boisz, maleńka?

Spojrzenie Whitney pofrunęło ku niemu, a jej odpowiedź była wyraźna.

- Nie! Nie mogłabym znieść myśli, e tak sądzisz! Wiem, e nie zamierzasz...

potraktować mnie tak... tak jak poprzednio. Rzecz w tym, e czuję się skrepowana, bo dokładnie wiem, co będziesz mi robić. I jest coś jeszcze...

coś strasznego, co powinnam ci powiedzieć przed kilkoma tygodniami.

Claytonie, myślę, e jestem w jakiś sposób upośledzona. Widzisz, to... to, co uczyniłeś tamtej nocy... strasznie mnie bolało. Nie sądzę, by inne kobiety czuły taki ból, a mo e...

– Nie! Nic nie mów - przerwał jej gwałtownie, nie mogąc dalej słuchać i rozumiejąc, jak okropnie ją skrzywdził. Z głębokim wewnętrznym westchnieniem zaakceptował to jako karę, którą będzie musiał ponieść za swe bezlitosne okrucieństwo tamtej nocy. Z perspektywy tego, co naprawdę jej uczynił, ta kara wydawała się niewielką ceną. - Daję ci słowo, e zaczekam. Pod dwoma warunkami - dodał cicho. - Pierwszym jest to, e po naszej nocy poślubnej prawo wyboru odpowiedniego momentu nale eć będzie do mnie.

Skinęła głową tak arliwie i z taką ulgą, e niemal się uśmiechnęła.

– Drugim warunkiem jest to, e obiecasz, i w ciągu kilku następnych dni powa nie zastanowisz się nad tym, co chcę ci teraz powiedzieć.

Znów skinęła głową.

– Whitney, to, co stało się między nami poprzednio, nie było z mojej strony niczym więcej ni aktem wściekłości; to nie było „kochanie się”, tylko akt samolubnej zemsty.

Słuchała i Clayton uswiadomił sobie, e próbuje go zrozumieć, lecz dla niej tamten akt był aktem mał eństwa, i skoro wówczas był bolesny i upokarzający, tak samo będzie i teraz.

– Chodź tutaj - polecił łagodnie. - Lepiej wyjaśnię ci to niewielką demonstracją.

Na twarzy Whitney pojawił się lęk, posłusznie podeszła jednak, by usiąść obok niego. Clayton pocałował ją głęboko i czule. Jej odpowiedź nadchodziła dłu ej ni zwykle, ale gdy się pojawiła, była pełna miłości.

– Czy pamiętasz, jak pocałowałem cię pierwszy raz na balkonie domu lady Eubank? - zapytał, odsuwając się nieco i zaglądając jej w oczy. - Karałem cię za próbę wykorzystania mnie do wzbudzenia zazdrości w Paulu Sevarinie...

pamiętasz?

Skinęła głową.

– Spoliczkowałam cię - przypomniała sobie z uśmiechem.

– Czy teraz te miałabyś ochotę mnie uderzyć? Czy po tym pocałunku czujesz się tak samo jak wtedy?

– Nie.

– A zatem uwierz mi, gdy ci mówię, e to, co się wydarzy, gdy następnym razem wezmę cię do łó ka, będzie tak inne od tego, co stało się poprzednio, jak dzisiejszy pocałunek od tego pierwszego.

– Dziękuję - odrzekła Whitney z promiennym uśmiechem ulgi. Nie uwierzyła mu ani przez chwilę i

Clayton to wiedział. Ale była bardzo uradowana z odroczenia wyroku nocy poślubnej.

### Rozdział 33

Z pierwszym braskiem Whitney wygramoliła się spod chłodnych prześcieradeł, sięgnęła po szlafrok, a potem usiadła w fotelu przy oknie, by w dniu swego ślubu obejrzyć wschód słońca nad Londynem. Pochyliła głowę i próbowała się modlić, ale wszystkie jej modlitwy zaczynały się słowem

„dziękuję” zamiast „proszę”.

Dom powoli budził się do ycia; słyszała głosy słu by chodzącej w holu i kroki obok drzwi sypialni. Ceremonia ślubna miała się zacząć dopiero o trzeciej po południu, od której wydawała się dzielić Whitney wieczność.

Przez kilka godzin czas sprawiał wra enie, jakby mijał niezwykle powoli, a potem, tu po południu, gwałtownie ruszył do przodu, nabierając nadzwyczajnej szybkości. Jacyś ludzie tam i z powrotem biegali beładnie po sypialni Whitney, ciocia Annę zaś siedziała na łó ku, przyglądając się, jak Clarissa szczotkuje do połysku mahoniowe włosy panny młodej. Emily przyszła w szlafroku, gotowa do pomocy przy wło eniu sukni, a potem pojawiła się Elizabeth.

– Witajcie - powiedziała Whitney spokojnym, radosnym głosem.

– Zdenerwowana czy tylko niezbyt rozmowna? - zapytała wesoło Emily.

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu szczęśliwa.

– Nie jesteś choć troszeczkę zdenerwowana? - dopytywała się pogodnie Elizabeth, mrugając porozumiewawczo do Emily i lady Annę. - Mam nadzieję, e jego wysokość nie zmienił zdania?

– Nie zmienił - zapewniła ją z całą powagą Whitney.

– No proszę! - Matka Claytona roześmiała się, wchodząc do pokoju. - Widzę, e tutaj dzisiejszego popołudnia sprawy mają się podobnie jak na Upper Brook Street, gdzie Stephen doprowadza Claytona do szaleństwa.

– Clayton się denerwuje? - z niedowierzaniem zapytała Whitney.

– Wprost niewiarygodnie! - odrzekła księ na, uśmiechając się i siadając na łó ku obok lady Gilbert.

– Dlaczego? - zapytała Whitney z niepokojem.

– Dlaczego?! Ma po temu przynajmniej kilkanaście powodów, a wszystkie bezpośrednio lub pośrednio łączą się ze Stephenem. Dziś rano, o dziesiątej, Stephen powiedział Claytonowi, e przeje dając tędy widział, jak pakowano baga e do dwóch pojazdów i e jest całkiem pewien, i wsiadałaś do jednego z nich. Clayton ju zbiegał ze schodów, by pędzić za tobą, zanim Stephen krzyknął, e to art.

Whitney stłumiła śmiech, a księ na mówiła dalej.

– Tobie mo e wydało się to zabawne, moja droga, ale Claytonowi nie. Potem Stephen przekonująco doniósł mu,

e odkrył jakiś spisek dru bów,

zamierzających rzekomo porwać pana młodego, by opóźnić jego przybycie na ceremonię ślubu. Właśnie dlatego dwunastu dru bów pozostaje teraz pod baczным okiem Claytona w jego domu. A to dopiero początek długiej listy artów Stephena!

– Biedny Clayton - westchnęła, śmiejąc się, Whitney.

– Biedny Stephen - poprawiła ją księ na. - Przyjechałam tutaj, bo nie mogłabym patrzeć, jak mój starszy syn morduje młodszego, a właśnie tym Clayton zagroził swemu bratu, i to dość powa nie, jeśli ten jeszcze raz zbli y się do niego na odległość ramienia.

Czas przeleciał jak na skrzydłach i nagle Whitney w pełni ubrana stanęła na środku pokoju, by obejrzała ją zarówno ciocia Annę, jak i przyszła teściowa.

– Moje drogie dziecko - westchnęła księ na z oczami lśniącymi z zachwytu. -

Nigdy w yciu nie widziałam panny młodej tak pięknej, jak ty...

Cofnąwszy się o krok, obejrzała wspaniałą, naszywaną perłami suknię Whitney, naśladowującą imponujący strój średniowiecznej oblubienicy. Wysoki stan z głęboko wyciętym dekoltem podkreślał okrągły biust Whitney, a potem zwę ał się ku wąskiej talii objętej złotym łańcuchem z osadzonymi w ka dym ogniwie wstęgami brylancików i pereł, które opadały a do bioder. Ciasno dopasowane, wąskie jedwabne rękawy kończyły się na wierzchu dłoni Whitney, za to wyszywane perłami bufy rozszerzały się do jej łokci niczym szerokie dzwony. Skraj jedwabnej powiewnej peleryny równie obszyto perłami, a na ramionach podtrzymywały ją ozdobione klejnotami spinki pasujące do ogniów łańcucha w talii. Whitney nie nosiła welonu. Jej długie włosy ściągnięte do tyłu i spięte brylantowo-perłową klamrą spadały do tyłu kaskadą, sięgając miękkimi splotami do połowy pleców. Clayton powiedział kiedyś, e najbardziej podoba mu się uczesana w taki sposób.

– Wyglądasz dokładnie tak, jak chciałaby wyglądać średniowieczna księ niczka - powiedziała z uznaniem matka Claytona.

Lady Gilbert patrzyła tylko w niemym zachwycie na tę pogodnie piękną młodą kobietę, która niebawem miała zostać księ ną, choć w duszy Annę widziała swą siostrzenicę taką, jaka była jeszcze niedawno, gdy ubrana w bryczesy chłopca stajennego balansowała bosymi stopami na grzbiecie galopującego konia. Gdy się w końcu odezwała, łzy szczęścia i dumy niemal zmieniły jej głos.

– Powinnyśmy wcześniej udać się do kościoła. Twój ojciec powiedział, e gdy tamtędy przeje d ał, gromadziły się ju tłumy gapiów. Mówił te , e ów tłum się powiększa.

Słowa Martina nader skromnie odzwierciedlały rzeczywisty obraz sytuacji.

Ju w odległości czterech przecznic od masywnej bryły kościoła karetą wioząca Whitney oraz jej ojca



i ciocię zatrzymała się, całkowicie unieruchomiona w rzędzie powozów i ci bie gapiów blokujących ulice. Jakby cały Londyn miał

być świadkiem tego ślubu.

W wielkim przedsionku kościoła dwunastu dru bów z nadzieją podniosło wzrok, gdy bocznymi drzwiami wszedł Stephen. Podeszedł do opartego o jakiś stół Claytona, którego twarz odzwierciedlała burzę, jaka w nim narastała, gdy coraz bardziej prawdopodobne wydawało się to, i Whitney zostawiła go przed samym ślubem. Stephen jednak był niewzruszenie radosny.

– Przed kościołem panuje najbardziej niewiarygodny ścisk - powiedział. -

Ulice pełne są pieszych, więc konie i powozy nie mogą przejechać.

Clayton wyprostował się gwałtownie i szybkim gestem skinął głową ku drzwiom.

– Znajdź mojego stangreta, McRae, który jest gdzieś w kościele i powiedz mu, e chcę, by powóz czekał przed wejściem. Jeśli Whitney nie dotrze tu w ciągu pięciu minut, poszukam jej.

– Clay, o ile twoim koniom nie wyrosną skrzydła, nic to nie da. Mo e podejdziesz do wejścia i sam zobaczysz, dlaczego Whitney się spóźnia?

Ksią ę niecierpliwym krokiem podą ył za nim do drzwi bocznych kościoła, które wychodziły na dziedziniec. Ulica pełna była ludzi i stłoczonych powozów.

– Co tu się u licha dzieje? - parsknął Clayton.

– Ksią ę się eni! - Stephen się roześmiał. - Z piękną dziewczyną, która nie ma ani arystokratycznego pochodzenia, ani wielkiego majątku. Najwyraźniej twój ślub jest wydarzeniem stulecia i wszyscy obywatele Londynu chcą tu być, eby go zobaczyć.

– Kto ich tu, na Boga, zaprosił? - zapytał Clayton, myśląc intensywnie, gdzie Whitney mogłaby się udać, by przed nim uciec.

– Poniewa to nie jest nasz prywatny kościół, ludzie bez wątpienia sądzą, e mają prawo tu przyjść. Chocia - dodał Stephen -nie ma ju więcej miejsca.

Nawet kościelne balkony są pełne.

– Wasza wysokość! - Rozmowę braci przerwał powa ny męski głos i twarze wszystkich mę czyn zwróciły się w stronę arcybiskupa, który pojawiwszy się w całym kościelnym dostojenstwie, powiedział cicho: - Oblubienica ju jest.

Dwadzieścia tysięcy białych świec rozświetlało nawy i ołtarz świątyni.

Organy zagrały wstępne, otwierające akordy, a potem muzyka potę niała majestatycznie, wypełniając cały kościół, od marmurowej posadzki po wysokie sklepienia.

Whitney patrzyła, jak jej dwanaście druzhen, jedna po drugiej, przechodziło przez nawę. Therese DuVille-Ronsard wzięła od pokojówki swój bukiet i poprawiła tren, a potem odwróciła się do Whitney z łagodnym uśmiechem.

– Nicki przysłał wiadomość, którą mam ci przekazać właśnie teraz. Prosił, bym ci powiedziała: „Bon voyage... jeszcze raz”.

Ta wzruszająca, ale i cierpka wiadomość niemal zniweczyła opanowanie Whitney. Łzy zamgłiły jej oczy, więc celowo utkwiała wzrok w Emily, która właśnie wyruszyła ku głównej nawie w smudze seledynowego jedwabiu i atłasu.

Zostawszy teraz sama z ojcem, z którym, gdy przed dwoma dniami przyjechał

na jej ślub, wymieniła jedynie uprzejme, bezosobowe uwagi, Whitney obróciła się do niego. Wydawał się surowy i naburmuszony.

– Jesteś zdenerwowany, papo? - zapytała cicho, przyglądając mu się uwa nie.

– Nie ma się czym denerwować - odrzekł dziwnie schrypniętym głosem. -

Przejdę przez kościół, prowadząc u swego boku najpiękniejszą kobietę w Anglii. - Spojrzał na nią i zobaczyła, e oczy ojca zwilgotniały, gdy mówił

dalej: - Nie przypuszczam, byś zechciała w to uwierzyć, bo ty i ja zawsze darliśmy ze sobą koty, ale nigdy nie obiecałbym cię księciu, gdybym nie sądził, e ma dość siły, by cię okiełznać, a raczej - poprawił się niezręcznie -

e jest mę czynną dla ciebie. Kiedy pierwszy raz pojawił się w naszym domu, pomyślałem sobie, e wy dwoje jesteście ulepieni z tej samej gliny i natychmiast przyjąłem jego prośbę o twoją rękę. O pieniądzech nie rozmawialiśmy a do chwili, gdy zgodziłem się na zaręczyny.

Oczy Whitney lśniły od łez, gdy wspięła się na palce i pocałowała ojca w jego krzaczaste brwi.

– Dziękuję, e mi to mówisz, papo. Ja te cię kocham.

Nagle melodia ucichła i zapanowało długie, pełne oczekiwania milczenie, po którym organy zagrzmiały ponownie i Whitney poło yła dr ącą dłoń na ramieniu ojca.

Z muzyką rozbrzmiewającą pod sklepieniem i wśród czterech tysięcy ludzi obserwujących w niemym zachwycie ka dy krok panny młodej, Whitney ruszyła przez długą nawę.

Clayton od dawna nosił w sercu wizerunek Whitney właśnie w tej chwili; wizję pięknej kobiety w welonie i powiewnej białej sukni. Ale to, co zobaczył

teraz... obraz pięknej oblubienicy zmierzającej ku niemu w blasku świec...

zabrakło mu tchu z wra enia. Był dumny; dumny a do bólu. adna panna młoda nigdy, przenigdy nie

wyglądała tak jak ona. Whitney szła do niego bez zawstydy, nawet bez welonu, którym mogłaby się przed nim osłonić. Gdy na nią patrzył, podniosła oczy... i nie spuszczała ich... rozmyślnie pozwalając, by wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy zgromadzili się w świątyni, widzieli, jaka jest dumna, idąc do niego.

Wspaniałe włosy spadały jej na ramiona, a złoty łańcuch oplatający smukłe biodra kołysał się lekko z każdym krokiem, za nią zaś ciągnęła się wspaniała peleryna lśniąca perłami. Whitney była królową w całej swej chwale, pogodną, ale nie wyniosłą, prowokująco piękną, lecz powściągliwą i niedostępną.

– O mój Boże, maleńka... - wyszeptał bezgłośnie Clayton.

Tłum wstrzymał oddech, patrząc, jak księżę, olśniewająco urodziwy w królewskim purpurowym aksamicie, ruszył do przodu. Widzieli, jak ujął dłoń narzeczonej. Zobaczyli ten uśmiech w jego oczach i wiedzieli, że coś jej powiedział, lecz tylko Whitney usłyszała ciche słowa:

– Witaj, moja miłości.

Widok urodziwego księcia spoglądającego z taką dumą na piękną oblubienicę sprawił, że chusteczki powędrowały do oczu licznych zebranych, zanim jeszcze państwo młodzi zaczęli składać małżeńską przysięgę.

Clayton poprowadził Whitney do ołtarza na miejsce obok siebie, które od tej chwili miało być jej miejscem na całą wieczność.

Whitney stała z dłonią w jego mocnym, pewnym uścisku. Kiedy zaś arcybiskup poprosił, by powtórzyła słowa przysięgi, obróciła się ku Claytonowi i podniosła wzrok, napotykając jego ciepłe, kochające spojrzenie. Zmusiła głos, by brzmiał stanowczo i pewnie, ale gdy przysięgała posłuszeństwo, wyraz twarzy księcia uległ zmianie. Clayton uniósł brew w wyrazie tak zabawnego sceptycyzmu, że Whitney, tłumiąc zduszony chichot, niemal nie opuściła jakiegoś słowa.

W końcu ogłoszono ich mężem ioną, zabrzmiała muzyka i księżę upomniał

o swoje prawo pocałowania oblubienicy. Było to tak skromne muśnięcie, tak niepodobne do żadnego z pocałunków, jakimi obdarzał ją wcześniej, że w oczach Whitney odbiło się zaskoczenie.

– Będę musiał to poćwiczyć - szepnął artobliwie Clayton, gdy się odwrócili -

dopóki nie nabiorę wprawy.

Jego olśniewająco piękna ona skinęła głową z udawaną powagą.

– Z przyjemnością pomogę ci w tych ćwiczeniach, mój panie - szepnęła skromnie.

Właśnie dlatego, o czym później mówiono, ramiona księcia Claymore'a trzęsły się ze śmiechu, gdy odchodził od ołtarza z oną u boku.

Whitney siedziała obok Claytona w jego karecie mknącej ku rezydencji Claymore. Powóz państwa Gilbertów wciąż tkwił uwięziony wśród innych pojazdów przy kościele, więc ciocia Annę i wuj Edward z wdzięcznością, ale i z pewnym ociąganiem, przyjęli zaproszenie do pojazdu państwa młodych, co, jak wszyscy doskonale wiedzieli, nie pozostawiało nowożeńcom adnej prywatności.

Słuchając Claytona rozmawiającego z wujostwem, Whitney patrzyła na grubą złotą obrączkę, którą przed ołtarzem wsunął jej na palec, a która wyglądała tam dziwnie, sięgając prawie do pierwszego stawu i wyraźnie obwieszczając całemu światu, że teraz ona, Whitney, należy do swego męża.

Mój mąż? Whitney ukradkiem spojrzała spod rzęs na Claytona. Mój mąż, powtórzyła w myślach i przeszedł ją dreszcz. Wielki Boże... on był jej mężem.

Ten niemal dwumetrowego wzrostu urodziwy mąż czyżna, elegancki i wyrafinowany... lecz równie gwałtowny i pełen z trudem powstrzymanej siły był jej mężem. Teraz nosiła nawet jego nazwisko. Należała do niego. Była to myśl straszna i równie... równie trochę wspaniała, uznała Whitney.

Wjechali przez główną bramę rezydencji Claymore, a potem karetka potoczyła się krętą prywatną drogą, gdzie po obu stronach jaśniały już świąteczne pochodnie, by oświetlić trakt gościom, którzy wkrótce mieli przyjechać. Kiedy podjechali przed dom, Clayton pomógł Whitney wysiąść z karety, ona zaś zdumiała się, widząc, że cała służba... od lokaja, kamerdynera, ochmistryni, rządcy, odźwiernych i pokojówek do ogrodników, dozorców, leśniczych i stajennych... ustawiła się na frontowych schodach w nieskazitelnych liberjach i uniformach odpowiadających indywidualnym stanowiskom.

Księżę poprowadził Whitney nie do frontowych drzwi, jak się spodziewała, lecz do podnóża owych schodów, by stanęła przed zebranymi. Uśmiechnęła się trochę niepewnie do owych stu pięćdziesięciu twarzy, a potem spojrzała na Claytona.

– Odwagi! - szepnął z uśmiechem.

Sekundę później w powietrzu rozległa się burza radosnych okrzyków i oklasków na powitanie. Clayton czekał, a wrzawa ucichła.

– To kolejna tradycja - wyjaśnił Whitney, przyglądając się zgromadzonym powoli, ale z radością w oczach. - Oto wasza nowa pani; moja ona. -

Dźwięcznym, głębokim głosem docierającym do wszystkich wypowiedział

historyczną formułę Pierwszego Księcia Claymore'a, który użył tych słów, wracając z uprowadzoną narzeczoną. - Wiedźcie, że jej prośba jest moją prośbą; każda służba, jaką jej świadczyć, świadczyć mnie; lojalność, jaką jej okażecie lub jakiej odmówicie, będzie waszą lojalnością okazaną lub odmówioną mnie samemu.

Szerokie uśmiechy ozdobiły twarze służby i gdy Clayton odwrócił się, by wprowadzić onę, podwójnie hałaśliwa radosna wrzawa towarzyszyła wejściu Whitney po schodach.

W biało-złotym salonie ksią ę polecił nalać szampana Whitney, lordowi i lady Gilbert oraz sobie. Po chwili przyłączyli się do nich Stephen i księ na Alicia, więc napełniono dwa następne kieliszki. Wszystkie sto dwadzieścia sześć pokoi głównej rezydencji i siedemdziesiąt pokoi połączonych części gościnnych zajmowali weselni goście, których wielu przybyło ju poprzedniego dnia. Do salonu dochodził nieprzerwany odgłos zaję d ających przed dom powozów, co oznaczało, e zaproszeni na wesele goście wracali z kościoła.

– Mo e chciałabyś odpocząć, kochanie? - zapytał Clayton, wręczając Whitney kieliszek.

Spojrzała na zegar. Była siódma, a weselne przyjęcie miało się zacząć o ósmej. Teraz Clarissa musiała jeszcze odprasować jej suknię, co oznaczało, e nie było ju czasu, by skończyć szampana. Z ociąganiem skinęła głową i odstawiła kieliszek.

Clayton dostrzegł tęskne spojrzenie Whitney na kieliszek i obdarzywszy ją kpiącym uśmiechem, sięgnął po obydwie kieliszki i odprowadził po szerokim łuku schodów ku ich pokojom. Przy apartamencie, który sąsadował z jego pokojami i który miała odtąd zajmować, przystanął, szeroko otworzył drzwi i wręczył jej kieliszek szampana.

– Czy mam ci przysłać całą butelkę, kochana ono? - zapytał, artując łagodnie i zanim Whitney znalazła jakąś odpowiednio śmiałą ripostę, jego wargi wycisnęły na jej ustach słodki, ulotny pocałunek.

Od podjazdu przez tarasowe schody wiodące do jaśniejącej światłami rezydencji rozciągał się szkarłatny dywan. Goście przybywali spokojnym, niekończącym się strumieniem, wchodząc po imponujących schodach, na których stało sztywno trzydziestu lokajów odzianych w purpurowo-złote liberie Westmorelandów.

Whitney stała obok Claytona w sali balowej pod sześciopiętrowym yrandolem, podczas gdy lokaj zapowiadał kolejnych gości, którzy przechodzili pod marmurowymi portalami, by pojawić się w udekorowanym kwiatami wnętrzu.

– Lady Amelia Eubank...

Whitney odruchowo zadr ała, gdy burkliwa leciwa wdowa podpłynęła ku nim, odziana w purpurową jedwabną suknię i olbrzymi zielony turban.

– Wierzę, madame - powiedział ksią ę, uśmiechając się szeroko do starej matrony - e nie zawiodłem pani w odpowiednim „współzawodnictwie", jeśli chodzi o Sevarina.

Lady Eubank wydała z siebie krótki śmiech, a potem przysunęła się bli ej do Claytona.

– Zawsze chciałam cię zapytać, Claymore, z jakiego dokładnie powodu wybrałeś dom Hodgesów na miejsce „odpoczynku"?

– Dokładnie z tego - odparł ksią ę, głową wskazując Whitney -którego się pani domyśla.

– Wiedziałam! - zachichotała triumfalnie. - Chociaż upewnienie się zajęło mi kilka tygodni. Ty arogancki młokosie! - dodała niemal tkliwie i przyło ywszy do oka monokl, rozglądała się za jakimś sąsiadem z miasteczka, by pochwycić pechowca w swoje szpony.

Kolacja weselna była wystawną ucztą, która rozpoczęła się wznoszonymi szampanem toastami. Pierwszy wygłosił Stephen.

– Za księżną Claymore! - zawołał.

Spoglądając na matkę Clayтона, Whitney uśmiechnęła się radośnie i uniosła kieliszek, gotowa spełnić toast za teściową.

– Jestem przekonany, że Stephen ma na myśli ciebie, kochanie - szepnął uśmiechnięty księż.

– Mnie? Ach, tak, oczywiście - zawstydziła się Whitney i szybko opuściwszy dłoń, próbowała ukryć błąd, ale było za późno, gdy goście patrzyli na nią i śmiali się donośnie.

Po toastach za zdrowie, szczęście i długie życie nowożeńców zebrani zaczęli się domagać toastu pana młodego. Clayton uniósł się z krzesła i Whitney poczuła przypływ dumy, gdy stał w aurze charakterystycznego dlań spokojnego majestatu.

Przemówił, a jego głęboki głos niósł się do najdalszych zakątków umilkłej sali.

– Przed kilkoma miesiącami w Paryżu - zaczął, przez chwilę spoglądając tkliwie na Whitney - pewna śliczna młoda dama oskarżyła mnie o udawanie, że jestem księciem. Powiedziała, że jestem tak marnym oszustem, i chcąc aspirować do arystokracji, powinienem wybrać sobie jakiś inny tytuł; tytuł, który pasowałby do mnie lepiej. Uznałem, że istnieje tylko jeden tytuł, jakiego pragnę: tytuł jej męża. - Potrząsnął ponuro głową, ale w jego szarych oczach zajaśniał uśmiech. - Wierście mi, że pierwszy tytuł znacznie łatwiej mi było zdobyć niż drugi - oświadczył, a kiedy śmiech gości ucichł, dodał z powagą: - I jest znacznie mniej cenny.

Kiedy muzycy rozpoczęli pierwszego walca, księż powiódł onę na parkiet.

Wziąwszy Whitney w ramiona, wirował z nią dookoła, by wszyscy to widzieli, a kiedy inni goście przyłączyli się do młodej pary, rozluźnił się i tańczył znacznie spokojniej.

Czuł nieuchwytny zapach jej perfum i lekkie muśnięcie jej palców... Myślał o jutrzejszej nocy, albo o tej, która przyjdzie pojutrze, kiedy naprawdę uczyni Whitney swoją, i krew tak w nim zawrzała, że musiał siłą odsunąć od siebie tę myśl. Próbował skoncentrować się na czymś innym, ale w ciągu dziesięciu sekund w wyobraźni rozbierał Whitney i całował, pieszcząc ją ustami i dłońmi, a utracił dla niego zmysły.

Następnego tańca z Whitney zajął jej ojciec, więc księż zatańczył z matką, i tak działo się przez kilka kolejnych godzin. Dopiero długo po północy Whitney i Clayton zeszli z tanecznego parkietu, by przechadzać się razem ramię w ramię, śmiejąc się i gawędząc z gośćmi.

Whitney najwyraźniej dobrze się bawiła i księżę nie śpieszył się, by zabrać ją z przyjęcia. Przede wszystkim nie czekało na niego tej nocy nic oprócz samotnego snu. Kiedy jednak wskazówki zegara zbliżyły się do pierwszej, Clayton zaczął doznawać krępującego uczucia,

goście oczekują, i

nowożeńcy udadzą się na spoczynek, a jego podejrzenie potwierdziło się, gdy lord Marcus Rutheford zwrócił się doń cichym głosem, w którym dźwięczał

śmiech:

– Mój Boże, człowieku, jeśli się zastanawiasz, kiedy możemy wyjść, nie wzbudzając sensacji, to mogliście zniknąć już dwie godziny temu.

Clayton podszedł do Whitney.

– Przepraszam, nie kładę kres twemu wieczorowi, maleńka, ale jeśli nie wyjdziemy teraz, goście zaczną się dziwić. Życzymy więc dobrej nocy twojej cioci i wujowi - nalegał, choć sam nie palił się do wyjścia i drażniło go, że jest „wyrzucany” z własnego przeklętego wesela we własnym przeklętym domu przez własnych przeklętych gości... co, uświadomił sobie natychmiast, było zabawnym sposobem myślenia pana młodego o nocy poślubnej, szczególnie gdy tym panem młodym był on sam. Śmiejąc się, pokiwał głową na taką ironię.

Niestety, uśmiechał się jeszcze, gdy Whitney pojechała wuja i lord Gilbert, biorąc uśmiech księcia za wyraz pogody ducha, obrzucił pana młodego mrocznym, pełnym wyrzutu spojrzeniem. Clayton zeszywniał na tę bezgłosną przyganę, czując się niesprawiedliwie oskarżony.

– Zobaczymy się na śniadaniu - powiedział ostrym tonem, choć chwilę wcześniej zamierzał życzyć przyjaźnie lordowi Gilbertowi dobrej nocy.

W milczeniu prowadził onę przez długi hol z zachodniego skrzydła.

Napięcie Whitney wzrosło, a na schodach nogi zaczęły jej dręczyć. Clayton jednak nie zwrócił na to uwagi, gdy zmagał się z nowym problemem: powinien wziąć ją do swoich pokoi czy te zaprowadzić do jej apartamentów? W tym przeklętym pałacu wszędzie roiło się od służących, a nie chciał, by ich nieintymna noc poślubna stała się sprawą powszechnie znaną.

Właśnie postanowił odprowadzić onę do jej pokoi, gdy na schody weszło dwóch służących, więc czując się we własnym domu winny niczym złodziej, szybko zmienił kierunek, cofnął się i otworzył drzwi do swoich apartamentów.

Zaczął już nawet wchodzić do środka, kiedy uświadomił sobie, że Whitney zatrzymała się w drzwiach i patrzyła spazmowana na znane jej wnętrze, gdzie kiedyś tak okrutnie zerwał z niej suknię.

– Wejdziesz, kochanie - powiedział, rzucając szybkie spojrzenie na hol i niemal siłą wciągając ją do środka. - Nie obawiaj się, nie ma tu już szaleńca, który by cię zgwałcił.

Potrząsnęła głową, jak gdyby odrzucając wspomnienia, które ją ścigały, i weszła do środka. Wzdychając z ulgą, Clayton zamknął za nimi drzwi i poprowadził ją ku długiej zielonej sofie stojącej przy kominku, na wprost fotela, gdzie sam siedział tamtej fatalnej nocy. Właśnie siadał obok Whitney na owej sofie, gdy rzuciwszy okiem na jej powabną twarzyczkę, pomyślał, e byłoby rozsądniej, gdyby jednak usiadł w fotelu naprzeciwko.

Whitney nie mo e spać w swoim apartamencie, uznał, ani on nie mo e spędzić tej nocy u siebie sam, bo słu bie wydałoby się to dziwne, e spano w obu łó kach. Ona będzie więc musiała spać w jego łó ku, on zaś zdrzemnie się na sofie.

Spojrzał na onę. Zwróciła głowę w stronę ognia płonącego w kominku, uciekając wzrokiem od wielkiego łó a na podwy szeniu. Zaświtała mu myśl, e Whitney z pewnością zastanawia się, dlaczego, skoro zamierzał dotrzymać obietnicy, nie zaprowadził jej do jej pokojów, zamiast do swoich.

– Będiesz musiała spać tutaj, maleńka... w przeciwnym razie słu ba zacznie plotkować. Ja prześpię się na sofie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, jakby myślami była gdzieś daleko.

– Mo e chciałabyś porozmawiać? - zapytał po chwili.

– Tak - przyznała ochoczo.

– O czym?

– Och... o wszystkim.

Clayton łamał sobie głowę, szukając jakiegoś interesującego tematu, ale zarówno jego umysł jak i ciało opanowała całkowicie podniecająca obecność Whitney w jego pokoju.

– Pogoda była dziś wyjątkowo piękna - oznajmił w końcu. Przysięgłby, e na twarzy ony błysnął uśmiech, ale mo e był to tylko odbłask ognia w kominku? - Nie padało... - dodał, zaczynając czuć się po prostu nedorzecznie.

– Nie miałoby to adnego znaczenia, gdyby padał deszcz. I tak byłby to piękny, cudowny dzień.

Bo e, jak e pragnął, eby nie patrzyła na niego swymi błyszczącymi, zielonymi oczami i nie uśmiechała się w tak zachwycający sposób! Nie tej nocy.

W tym momencie rozległo się dyskretne pukanie zarówno do jego, jak i do jej drzwi.

– Któ u licha...?

– To chyba Clarissa - powiedziała Whitney, wstając i rozglądając się dokoła w poszukiwaniu wewnętrznych drzwi, które prowadziłyby do jej pokoi.



Clayton podszedł do drzwi wychodzących na korytarz, otworzył je szeroko i spojrzał z irytacją na swego lokaja.

– Dobry wieczór, wasza wysokość - odezwał się uprzejmie służyący i wszedł do środka.

Niech to licha! Zapomniał o swoim lokaju i o pokojówce Whitney. Jeśli o niego chodzi, pomyślał Clayton, byłoby nawet mniej bolesne dla jego rozbudzonych zmysłów, gdyby oboje spali w swych ślubnych strojach.

Przeklinając w duszy całą służbę, pokazał Whitney drzwi łączące ich apartamenty, potem odwrócił się na pięcie i wszedł do gabinetu sąsiadującego z sypialnią, całkiem już zapominając o obecności lokaja.

Wpatrując się w półki z książkami, próbował się zdecydować, co wziąć. Na miłość boską, co czytać? W noc poślubną! Po ośmiu tygodniach z trudem powstrzymywanej namiętności, która była tak e jej udziałem, dlaczego wciąż tak bardzo się bała? I jakie owładnęło nim szaleństwo, by dać jej taką obietnicę?

Gdy sięgał po książkę, Armstrong bezgłośnie wszedł za nim do gabinetu.

– Czy mogę pomóc waszej wysokości?

Gwałtownym gestem cofając w zakłopotaniu rękę od półek, Clayton ruszył na nieszczęsnego lokaja.

– Zadzwoń, jeśli będę cię potrzebował - odpowiedział uprzejmie, próbując ukryć irytację. Gdyby burknął coś tylko, służyący mówiliby, e w noc poślubną denerwował się jak młokos. - To wszystko, Armstrong. Dobranoc -

dodał, po czym osobiście odprowadził zdumionego lokaja do wyjścia, wypchnął na korytarz i zamknął za nim drzwi.

Po powrocie do gabinetu zdjął surdut i abot, a następnie rozpiął dwa górne guziki koszuli. Nalał sobie kieliszek brandy z karafki stojącej na biurku, a potem zdjął jakąś książkę z jednej z półek, usiadł i wyciągnął przed siebie długie nogi.

Zamierzając się uspokoić, sączył brandy i cztery razy przeczytał ten sam fragment, zanim w końcu zrezygnował z lektury i zdecydowanie zamknął

książkę.

Był sobą naprawdę zirytowany, a tak e nieco zdumiony, e tak pozbawiła go równowagi tylko jedna dodatkowa noc oczekiwania. Dlaczego owa jedna więcej noc miała takie znaczenie? Znaczyła ona tak wiele, uświadomił sobie ze smutkiem, ponieważ nie mógł pozbyć się przeświadczenia, e noc poślubna automatycznie i nieodwołalnie oznacza uprawianie miłości... ponieważ tak właśnie powinna przebiegać. Zważywszy e w całym swoim dorosłym życiu nigdy nie przejmował się tym, jak sprawy

„powinny przebiegać”, Clayton nie rozumiał, dlaczego miałby to robić dzisiejszej nocy. Chyba tylko dlatego, że upajające ciało jego ony (lubił dźwięk tych słów: Jego ony...) należało teraz do niego. Z mocy prawa małżeńskiego. A było tak dręcząco blisko jego własnego zgłodniałego ciała...

Dał Whitney dwakroć tyle czasu, ile prawdopodobnie mogła potrzebować, zanim w końcu wstał i ponownie wszedł do swojego pokoju. Nie było jej tam.

Wspólne drzwi były uchylone, więc minawszy jej gotownię, wszedł do sypialni. Tu również jej nie było. Serce zaczęło bić mu gwałtownie, chociaż powtarzał sobie, że nie mogłaby i z pewnością nie uciekłaby od niego. Na pewno miała więcej wiary w jego słowo!

Szybkim krokiem wrócił po własnych śladach, zatrzymując się z ulgą w drzwiach swojej sypialni. Whitney stała po przeciwnej stronie, obok podwyższenia, wpatrując się w wielkie, baldachimowe łóżko. W blasku świecy Clayton widział wspomnienia malujące się lekko na jej twarzy. Wszedł do środka, a jego cień padł na długą ścianę.

Whitney uniosła ku niemu oczy i wtedy zobaczył, jak szybko skryła ów lęk za ujmującym uśmiechem.

– Kim pan jest... naprawdę? - zapytała tym samym konspiracyjnym tonem, jakiego dawno temu użyła na maskaradzie u Armandów.

– Księciem - odpowiedział, uśmiechając się na wspomnienie tego, jak przekomarzali się tamtej nocy. - I pani mężem. A kim pani jest?

– Księżną! - wykrzyknęła z radością i niedowierzaniem zarazem, a jej twarz rozjaśniła się zachwycająco.

– I moją oną?

Powoli skinęła głową. Oczy Clayton znów ujrzał prowokującą boginię, jaką była tamtej nocy; boginię ze złocistymi i purpurowymi kwiatami wplecionymi we włosy. W tej samej chwili zobaczył też, że Whitney stoi tutaj, blisko łóżka, i nagle przestało mieć znaczenie, że nie może kochać się z nią tej nocy. Ważne było tylko to, że w końcu sprawił, że należała do niego! Dokonał

tego... naprawdę była jego oną! Poczul się radośnie i zwycięsko.

– Moją posłuszną oną? - przekomarzał się, podkreślając słowo „posłuszną”.

Whitney znowu skinęła głową i niemal ujrzał śmiech w oczach dziewczyny.

– A zatem podejdź tutaj, moja posłuszna onko - odezwał się pośpiesznie.

Cień obawy przemknął przez jej oczy, ale odwróciła się ku niemu i szła swym naturalnym, płynnym krokiem. Właśnie wtedy Clayton uświadomił sobie, co miała na sobie, i niemal jęknął głośno. Jej penis, uszyty z cienkiej koronki, odsłaniał ramiona, piersi, a nawet długie nogi Whitney, a znad wycięcia widać było wystarczająco dużo o delikatnym ciele, by przyprawić go o kolejne męki porażenia i alu.

Zatrzymała się w odległości kilku kroków, spoglądając na niego z obawą i za enowaniem, jakby chciała pokonać resztę drogi i nie mogła się do tego zmusić.

– A twoja... twoja obietnica? - zapytała niepewnym głosem. -Pamiętasz?

Czy pamiętał swą obietnicę?

– Pamiętam, maleńka - odrzekł cicho.

Podszedł do niej i delikatnie wziął ją w objęcia, próbując nie zważać na oszałamiający dotyk jej niemal nagich piersi, miękko ocierających się o jego koszulę. Chciał pocałować Whitney, ale dręła tak gwałtownie, że bał się to uczynić, więc tylko trzymał ją, kołysząc w ramionach i powoli głaszcząc jej długie, lśniące włosy.

– Gdy byłam małą dziewczynką - wyszeptała mu prosto w serce - leżałam nocą w łóżku, wyobrażając sobie różne rzeczy... w szafie.

Umilkła, więc Clayton nakłonił ją, by mówiła dalej.

– W moich szafach były ołowiane ołnierzyki - powiedział. -A co było w twoich?

– Potwory - szepnęła. - Wielkie, szpetne, ze szponami u nóg i ogromnymi, wylupiastymi oczami. - Odetchnęła głęboko i dodała: - W tym pokoju również są potwory... straszne wspomnienia czyhające w cieniach i zakamarkach.

Clayton wzdrygnął się, czując bolesne wyrzuty sumienia.

– Wiem. Ale nie masz się czego bać. O nic cię nie poproszę dzisiejszej nocy.

Dałem ci słowo.

Cofnęła się trochę i podniosła ku niemu wzrok, a jej twarz była tak piękna i bezbronna, że po raz tysięczny zdumiał się, jak w ogóle mógł się nad nią znęcać tamtej nocy. Whitney próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła. Oparła więc policzek o pierś Clayтона i ramionami oplótła go w pasie.

Po chwili zaczęła mówić dalej.

– Zwykle leżąc w ciemności, bałam się tego, co jest w szafie. A w końcu, gdy nie mogłam znieść tego dłużej, biegłam przez cały pokój i szeroko otwierałam jej drzwi, zmuszając się, by zajrzeć do środka.

Clayton uśmiechnął się w duchu. Jakie to do niej podobne: mieć dosyć kulenia się pod kołdrą i stawić czoło ciemnościom... z ich potworami czy bez potworów.

Kiedy zaczęła mówić dalej, jej głos był tak cichy, że musiał wyciszyć słuch, by go usłyszeć.

– Szafa zawsze okazywała się pusta. żadnych potworów... Nie miałam czego się bać. - Wzięła głęboki oddech. - Claytonie, nie chcę spędzić naszej poślubnej nocy, leżąc samotnie w twoim łóżku i bojąc się

tego, co kryją cienie.

Dłoń Claytona zamarła w powietrzu, nim zmusił się do kontynuowania kojącego ruchu, dając Whitney czas do namysłu.

– Jesteś pewna? - zapytał cicho. Skinęła głową.

– Tak - wyszeptała.

Pochyliwszy się, wziął ją na ręce i zaniósł do baldachimowego łóżka, gdzie uprzednio pokazał jej, jak upokarzający może być akt miłości, z każdym krokiem obiecując sobie, że ta chwila będzie tak wspaniała, i wymaże poprzednią z jej pamięci. Wysunął rękę spod kolan Whitney, a wtedy dotknięcie jej nóg wprowadziło w drżenie dłoń Claytona, gdy rozwiązywał wstążki i delikatnie rozpinął koronkowy peniarz.

W blasku płonącego w kominku ognia zajaśniały jej cudowne ramiona i pełne piersi o różowych sutkach.

– Bo jesteś taka piękna - westchnął i poczuł, że Whitney zdrząła gwałtownie, gdy jego ręce, ześlizgując się z gładkich ramion, zsunęły na podłogę peniarz. Zagarnął jej wilgotne usta długim słodkim pocałunkiem, a potem podniósł Whitney delikatnie i ułożył w chłodnej pościeli.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę, a Clayton ujrzał rumieniec, który okrywał

rozświetlającą, kremową skórę Whitney a po korzonki włosów. Przez wzgląd na jej wyraźne zaniepokojenie, zgasił świece płonące na nocnym stoliku. Bojąc się zostawić ją samą ze złymi wspomnieniami, którym zdecydowała się wyjść naprzeciw, Clayton zrzucił ubranie przy łóżku, a potem położył się obok i ostro nie przyciągnął ją ku sobie. Zesztywniała w jego ramionach. Kojąco przesunął dłonią po jej nagich plecach, a wtedy zesztywniała jeszcze bardziej.

Odsunął więc dłoń i z głową Whitney na piersi oparł się plecami o poduszki.

W ciągu następnych kilku chwil oddech Whitney stał się szybki i płytki, choć Clayton nawet jej nie dotykał. Chryste, jak się nienawidził za to, co zrobił

tamtęj nocy! Była tak spięta, że każde włókienko jej ciała było tak napięte, że gdyby nie pomógł jej się rozluźnić, zraniłby ją bez względu na to, jak byłby delikatny. Aby więc nie była nadmiernie zaniepokojona swoją i jego nagością, Clayton okrył ich prześcieradłem.

– Chciałbym najpierw coś ci powiedzieć - wyjaśnił.

Na twarzy Whitney odmalowała się taka ulga, że się uśmiechnął, bo jego ona wyglądała tak, jakby w ostatniej chwili uniknęła ścięcia na gilotynie.

– Gdyby było to możliwe, chciałbym, żebyś spróbowała wyrzucić z pamięci tamto, co zdarzyło się wcześniej. Proszę Cię, żebyś zapomniała o wszystkim, czego być może dowiedziałaś się o tym, co dzieje się między mną i nią w łóżku, a po prostu mnie wysłuchała.

– Dobrze - wyszeptała.

– Wyra eń takich jak „oddanie się jemu”, czy „wzięcie jej” nigdy nie powinno się u ywać na określenie uprawiania miłości. Wiem jednak, e

prawdopodobnie właśnie w ten sposób o tym myślisz. Pierwsze sugeruje jakiś obowiązek; drugie zaś wskazuje na samolubny akt z u yciem siły. Ja nie zamierzam cię „wziąć”, a ty mi się nie „oddajesz”. Nie będziesz te czuć adnego bólu - zapewnił, przesuwając palcem po jej ślicznym policzku. - To, co stanie się między nami, jest dzieleniem się miłością, zrodzonym z mego pragnienia, aby być tak blisko ciebie, jak to mo liwe, aby stać się częścią ciebie. Kiedy więc znajdę się w tobie, maleńka, nie będę brać, lecz dawać.

Ofiarowuję ci moje ciało, tak jak wcześniej dałem ci moją miłość, tak jak dzisiaj dałem ci obrączkę. Kiedy znajdę się w tobie, umieszczę w twym wnętrzu

ziarno mojego własnego ycia. Będzie to symbol mojej miłości i pragnienia, podobny do tego, jakim jest zaręczynowy pierścionek.

W migotliwym blasku kominka Clayton zobaczył jej wahanie, a potem niemal niedostrzegalne uniesienie twarzy; gest, którym ofiarowała swe usta jego pocałunkom. Bardzo powoli i łagodnie pochylił się i zaczął całować onę.

Całował ją długo i niespiesznie, z całą bolesną tkliwością w sercu, i po kilku chwilach napiętej bierności dotknęła smukłymi palcami jego policzka i zaczęła odwzajemniać mu pocałunek z nieśmiałym dr ącym uczuciem.

Miękkie wargi Whitney rozsunęły się wraz z najl ejszym przynagleniem z jego strony, a jej ramiona oplotły mu szyję. Dra nił ją, podniecał, dręczył, ofiarowując jej siebie, a przyłgnęła do niego, przesuwając ustami po jego twarzy w namiętym zatraceniu a do szaleńczo erotycznego pocałunku.

Głaskał jej włosy i przesunął dłoń od szyi do piersi, krą ąc kciukiem wokół

ich ró owych sutków, a uniosły się dumnie. Whitney zadr ała z zachwytu i mocno wtuliła się w jego napięte ciało, po czym gwałtownie odsunęła się jak oparzona. Clayton natychmiast zrozumiał, co ją przeraziło, i choć się opierała, przyciągnął do siebie jej biodra.

– Nie bój się - powiedział łagodnie, gdy próbowała odsunąć się od niego - nie zrobię ci krzywdy.

Długie rzęsy Whitney uniosły się ku górze, a jej oczy obdarzyły go tak wątpiącym, oskar ycielskim spojrzeniem, e niemal się uśmiechnął.

– Połó dłoń na mojej piersi - poprosił ją delikatnie. - Tylko na piersi -

zapewnił, gdy uniosła dłoń, by spełnić to polecenie, a potem się zawahała.

Gdy tylko przesunęła palcami po ciepłej skórze, jego mięśnie natychmiast zadr ały.

– Widzisz, jak moje ciało reaguje na twój dotyk? - zapytał ją cicho. - Ta jego część, której się boisz, jedynie odpowiada na twoją bliskość i sięga po ciebie.

- Przyciągnął ją bliżej do swoich bioder i ud, ale Whitney pozostała sztywna i spięta.

– Chyba ju się nie boisz, e cię skrzywdzę, skoro obiecałem, e tego nie uczynię?

Whitney konwulsyjnie przełknęła ślinę i potrząsnęła głową na poduszce.

Skoro Clayton powiedział, e to nie będzie bolesne, uwierzyła mu. Lekko, jakby na próbę przesunęła palcami po kędzierzawym ciemnym owłosieniu na piersi męża i poczuła przyspieszone bicie jego serca oraz falujące drżenie mięśni potęgi torsu, gdy przesunęła dłoń trochę niżej.

Clayton poczuł się tak, jakby przez żyły z niepowstrzymaną prędkością przepłynął mu płomień.

– Och, kochana - na wpół się zaśmiał, na wpół jęknął - możesz być dumna z tego, co potrafisz ze mną zrobić. Upokarza mnie świadomość tego, e możesz kazać memu ciału odpowiedzieć na każde, najłagodniejsze muśnięcie, nawet wtedy, gdy ja sam byłbym temu przeciwny. Jeszcze bardziej zaś upokarza mnie wyjawienie ci tego. Jednak mówię ci o tym, bo jeśli będziesz umiała czerpać dumę z posiadania nade mną takiej władzy, ja zdołam równie się tym rozkoszować. Jeśli jednak będzie cię to przerażało lub zawstydzają, wtedy nasza miłość stanie się czymś enigmatycznym, bojaźliwym i wstydliwym.

Whitney wzięła długi, niepewny oddech i oplatając ramionami szyję męża i wtuliła się w jego silne, twarde ciało. Całowała czoło i oczy Clayтона, przesunęła językiem po jego wargach, czując ich ciepłą gładkość, a jęknął, namiętnie otwierając jej usta. A kiedy położył ją na plecach i pochylił się, całując ją i pieszcząc delikatnymi, zręcznymi dłońmi, nie wiedziała, czy to co czuje, jest dumą, ale cokolwiek było, wydawało się oszałamiające, szalone i cudowne.

– Pragnę cię - wyszeptał w jej otwarte usta. - Pragnę cię bardzo, a do bólu. -

Oderwał wargi od jej ust, a jego ręce drżały, gdy ujął jej twarz. - Nigdy cię nie skrzywdzę, małeńka - przyrzekł głosem ochryplym z czułości i pożądaniami.

Odpowiedź Whitney sprawiła, e coś ścisnęło go w gardle.

– Wiem, e mnie nie skrzywdzisz - wyszeptała - ale nawet gdybyś krzywdził

mnie co noc, nie będzie to miało znaczenia, dopóki zawsze będziesz mówić mi te rzeczy... e chcesz być częścią mnie...

Ju nie mógł się powstrzymać i zakrywszy jej usta swymi, wprost pochłaniał

ją z czułą gwałtownością. Pieścił palcami jej piersi i sutki, a jęknęła cicho, gdy wargi i język Clayтона zaczęły podążać drogą, którą wcześniej obrały jego dłonie.

Każde najmniejsze poruszenie ciała ony, które drżało pod jego łagodnym naporem... każde jęknienie, jakie wydawała, przebiegał przez jego krwiobieg niczym afrodyzjak. Wprost nie mógł uwierzyć w

namiętność, jaką w niej budził, ani w gwałtowność, z jaką jego ciało pragnęło ciała Whitney. Był jej spragniony i zgłodniały. Umierał z tego głodu...

Dłonie Whitney wplątywały się we włosy Clayтона, przebiegały po jego ramionach i plecach. Kiedy jednak przesunął rękę ku miękkiemu trójkątowi między jej nogami, drgnęła ze strachu przed tym intymnym dotykiem i ścisnęła uda.

– Nie bój się, kochana - wyszeptał, zakrywając jej usta głębokim, namiętnym pocałunkiem i delikatnie lecz zdecydowanie rozsunął jej uda, pieszcząc ją czule i podniecając, a stała się miękka i wilgotna, gotowa, eby go przyjąć.

Kiedy zaś uniósł się nad nią, wyrwała się z owego zmysłowego odmětu, który porywał ją w słodkie zapomnienie. W nagłym odczuciu strachu zorientowała się, e Clayton unosi ku górze jej biodra, aby go przyjął. Zdusiła krzyk przerażenia i niepomyślna jego obietnicy, odruchowo spięła się w oczekiwaniu bólu... ale poczuła tylko jego wezbrane uniesienie, gdy wślizgnął

się w nią powoli. Instynktownie rozluźniła się i otworzyła przed nim, a potem jęknęła z przeszywającej rozkoszy, gdy zanurzył się w niej cały.

Objęła go ramionami, zatracona w nieznanym pragnieniu, by pozostał tak na zawsze. Pomyślała, e to ju koniec, i gotowa była się rozplakać z pragnienia, by ta rozkosz nadal trwała. A wtedy Clayton zaczął się poruszać i w ogóle przestała myśleć. Coś dziwnego narastało w dole jej brzucha, a potem rozprysnęło się niczym nagła jasność, powoli ogromniejąc i gromadząc siły, a przeniknęło w dygoczącej pasji przez ka dy z jej nerwów. Wykręcając głowę na poduszkach, wygięła się w łuk, aby wyjść naprzeciw swemu pragnieniu. . -

Proszę... - błagała szeptem.

Błagała, choć nie wiedziała, o co. Ale Clayton wiedział. I chciał tego dla niej tak bardzo, e jego własne szaleńcze po ądanie było mniej wa ne.

– Ju , kochana, ju za chwilę - obiecał i zaczął przyspieszać rytm swych ruchów.

Ów wulkan gro ący wybuchem eksplodował z siłą, która wyrwała z gardła Whitney krótki okrzyk. Clayton natychmiast stłumił go ustami, a gdy jej dr enie ustało, zagarnął jej usta w długim pocałunku i jednym głębokim pchnięciem przelał w nią swe uniesienie.

Bojąc się, e zmia d y onę własnym cię arem, przyciągnął ją ku sobie i wraz z nią obrócił się na bok. Le ąc tak, wciąż złączony z ciałem Whitney, i kołysząc ją w ramionach, doświadczał radosnego spełnienia i spokoju odmiennego od wszystkiego, czego kiedykolwiek zaznał.

Na wpół oczekiwał, e ona zaśnie w jego objęciach, ale po kilku minutach odchyliła głowę i podniosła ku niemu błyszczące zielone oczy. Clayton odsunął

niesforny lok z jej policzka.

– Jesteś szczęśliwa, ukochana?

Uśmiechnęła się do niego tym zaspokojonym, szczęśliwym uśmiechem kobiety, która kocha... i wie, e jest kochana.

– Tak - wyszeptała.

Pocałował ją w czoło. Wtuliła się w jego ciało, a on leniwie gładził piękną linię jej pleców i bioder, czekając a zaśnie. Whitney jednak, choć zamilkła, wcale nie wydawała się mieć większej ochoty na sen ni Clayton.

– O czym myślisz? - zapytał w końcu.

Jej spojrzenie pofrunęło ku mę owi, ale skryła twarz na jego piersi.

– O niczym wa nym - szepnęła nieprzekonywająco.

Clayton delikatnie uniósł jej twarz i zmusił Whitney, by na niego spojrzała.

Nie miał pojęcia, o czym mogła myśleć, ale przełamawszy ostatnią barierę między nimi, nie chciał, by powstały jakiegokolwiek nowe.

– O czym? - nalegał z czułą stanowczością.

Przygryzła wargę, czyniąc to z nieśmiałością i śmiechem jednocześnie.

– Myślałam, e gdyby tamto było takie jak to... tamten pierwszy raz... to zamiast stąd uciekać, zostałąbym i za ądałąbym, abys natychmiast się ze mną o eni!

Wyglądała tak pięknie, e Clayton był rozdarty między chęcią śmiechu a całowania jej. Zrobił jedno i drugie. To było wprost niebiańskie: właśnie tak trzymać Whitney w ramionach i rozmawiać z nią w ciemnościach, pozostając w jej objęciach. Clayton miał teraz większą ochotę na świętowanie ni na sen.

Kiedy po chwili spojrzał na onę, zobaczył, e i ona nie śpi, wpatrując się w ogień.

– Chcesz spać? - zapytał.

– Chyba nie mogłąbym teraz zasnąć.

– To dobrze, bo ja te - ucieszył się. - Czy mogłąbys zapalić te trzy świece na stoliku obok ciebie?

– Twoje najmniejsze yczenie jest dla mnie rozkazem - odpowiedziała jego

„posłuszna" ona, unosząc się i całując go w usta, ale zanim się obróciła, by zapalić świece, starannie naciągnęła na siebie prześcieradło.

Wargi Clayтона zadr ały, gdy skromnie przycisnęła przykrycie do piersi, które przed chwilą pieścił i całował. Uło ył poduszki tak, by mogli opierać się o nie, po czym sam usiadł wygodnie i



rozkoszował się widokiem Whitney. Kiedy się odwróciła od płonących świec i zobaczyła, jak na nią patrzył, za enowana przeczesła palcami splecione włosy, wstrząsając nimi tak, e opadły jej na plecy.

– Madame, jesteś piękna en deshabelle - z artobliwym uśmiechem zapewnił ją Clayton - a to prześcieradło, którym próbujesz się okryć, pozwoli ci pozostawać w owym modnym stanie częściowego braku stroju.

– Nie sędzę. We Francji i nawet tutaj damy z upodobaniem przyjmują d entelmenów en deshabelle, ale jestem pewna, e mają na sobie coś więcej ni to - odparła Whitney po chwili namysłu, a potem, rumieniąc się, uświadomiła sobie, e Clayton niewątpliwie wie znacznie więcej o tym szczególnym „upodobaniu” ni ona, i ta myśl sprawiła, i poczuła pewien smutek.

Wszyscy wiedzieli, e wcześniej miewał kochanki i e onaci mę czyźni równie często utrzymują dyskretnie metresy. Przygniotła ją myśl o Claytonie robiącym z jakąś inną kobietą to, co właśnie robił z nią.

– Claytonie, chyba byłoby mi trudno udawać, e nie widzę... e biernie akceptuję... e zgadzam się... - odezwała się z wahaniem, ośmielona niepokojem i zawstydzona własną odwagą.

–

e zgadzasz się na co? - wyszeptał z ustami na jej skroni.

– Na jakąś kochankę! - wyrzuciła z siebie.

Clayton gwałtownie potrząsnął głową. Przez chwilę wpatrywał się w Whitney zdumiony, a potem ją objął i wybuchnął śmiechem, ale widząc, e jest szczerze zaniepokojona, przybrał twarz w nale ytą powagę, stosowną do owego do ywotniego wyrzeczenia, jakie miał zadeklarować.

– Nie będę mieć adnej kochanki - oświadczył z całkowitą pewnością, patrząc w cudowne oczy ony.

– Dziękuję - wyszeptwała. - Sędzę, e czułabym się z tym bardzo dziwnie.

– Jestem pewien - odpowiedział, usiłując zachować powa ną minę.

Kilka minut później przypomniał sobie o aksamitnym puzderku schowanym w szufladce stolika obok łó ka.

– Mam dla ciebie prezent - powiedział, niechętnie wyciągając rękę spod jej ramion.

Whitney przypomniała sobie, e i ona ma dla niego podarunek i wysunęła z łó ka długie, zgrabne nogi.

– Poprosiłam Clarissę, by poło yła go w moim pokoju - wyjaśniła, wstając z łó ka.

Clayton sycił się widokiem jej nagiego ciała, a Whitney, zauwa ywszy jego spojrzenie, pośpieszyła ku koronkowemu peniuarowi.

Obdarował ją naszyjnikami z pięknie szlifowanych szmaragdów otoczonych rzędem lśniących brylantów, oraz odpowiednio dobraną bransoletką i kolczykami.

– Godne księżnej - wyszeptał, całując onę. Whitney roześmiała się, wręczając mu swój podarunek.

– Godny księcia - powiedziała, siadając obok z podwiniętymi nogami i patrząc, jak Clayton otwierał pudełko.

Podniósł wieczko, a potem odchylił głowę i wybuchnął śmiechem na widok wspaniale wykonanego, oprawnego w złoto monokla, jaki mu podarowała.

– Monokl jest nieodzownym atrybutem księcia - powiedziała dokładnie tym samym tonem, jakiego użyła na maskaradzie u Armandów, a potem wyjęła zza pleców jeszcze jedno małe aksamitne pudełko. Kiedy wręczała ten prezent Claytonowi, śmiech zniknął z jej twarzy, której cały wyraz dziwnie się zmienił.

Clayton przyglądał się dłużej, zanim otworzył drugie pudełeczko, zastanawiając się, dlaczego tak nagle wydaje się niemal zawstydzona. Zaciekawiony, uniósł wieczko i ujrzał wspaniały rubin osadzony w cię kim złotym sygnecie. Cudowny klejnot zajaśniał w przyćmionym świetle.

Wysuwając pierścień bliżej siebie, by go podziwiać, był już bliski sentymentalnego poproszenia Whitney, aby zechciała włożyć mu go na palec, tak jak on wsunął na jej palec ślubną obrączkę, gdy dostrzegł niewielki, wygrawerowany na wewnętrznej stronie napis: „Mojemu panu”. Pierwsze z dwóch widniejących tam słów było podkreślone.

Westchnął i niemal brutalnie przyciągnął ją do siebie.

– Bo e, jak ja cię kocham! - wyszeptał z drżeniem, rozchylając ustami jej usta.

Gdy przestał ją całować, Whitney pozostała w jego ramionach, lekko głaszcząc smukłymi palcami włosy na skroni mężczyzny. Między muśnięciem jej ręki a dotykem piersi, które oparły się na jego nagim torsie, gdy niemal na nim leżała, Clayton uświadomił sobie wyraźnie, że jego ciało ożywia się z alarmującym natężeniem. Zmysły zareagowały gwałtownie na leniwie wyciągnięte na nim ciało Whitney, ale nie chciał przestraszyć jej zbyt intensywnym uprawianiem miłości w czasie ich pierwszej nocy. Drgnął nagle, Whitney zaś uniosła się na rękach, dostarczając mu takiego widoku swych okrągłych piersi, który sprawił, że po oddechu przepłynęło przez jego żyły jak wrząca lawa.

– Czy nie jestem za cię taka? - zapytała cicho.

– Nie, ale chyba powinnaś się trochę przespać, moja ukochana - powiedział

Clayton z nutką żalu.

– Wcale nie jestem śpiąca - odrzekła jego ona.

Leżąc na nim ze spletanymi włosami opadającymi na jego ramiona, wyglądała jak niewinna bogini.

- Jesteś pewna, e nie chce ci się spać? - zapytał Clayton, przesuując palcami po gładkim policzku Whitney i zachwycając się jej urodą. - Co zatem chciałabyś robić?

W odpowiedzi spojrzała nań zarumieniona, a potem szybko ukryła rozpaloną twarz na jego ramieniu.

Śmiech zadudnił mu w głębi piersi, gdy przycisnął onę do siebie i oplótł ją ramionami.

- Chyba mo emy to zrobić - odpowiedział pośpiesznie.

## Rozdział 34

Dzień później wyjechali w podróż poślubną do Francji, gdzie spędzili cały miesiąc. Po powrocie nie odnowili, jak się powszechnie spodziewano, eleganckiej ksią ęcej rezydencji przy Upper Brook Street w Londynie, od której najwyraźniej woleli ciszę i spokój Claymore. Pojawiali się jednak regularnie na towarzyskich spotkaniach w stolicy, niekiedy wracając do Claymore dopiero o świcie.

W „eleganckim świecie”, gdzie za rzecz niemodną uwa ano, by mał onkowie, będąc gdzieś razem, zbyt długo pozostawali we własnym towarzystwie, ksią ę i księ na Claymore stworzyli własną modę. Poniewa rzadko znajdowali się z dala od siebie, trudno było nie zauwa yć, jak bardzo pragną być razem. Stanowili, oczywiście, fascynującą parę: imponująco wysoki, elegancki mę czyzna uśmiechający się z zachwytem do swej pięknej młodej ony, która najwyraźniej potrafiła sprawić, e śmiał się z radością, jakiej nikt przedtem nie widział. Było to jednak coś więcej; patrząc na nich, miało się wra enie, jakby łączyło ich coś silniejszego ni ślub czy nawet mał eńskie ło e.

Ksią ę i księ na Claymore, o czym „wielki świat” napomykał ze zbiorowym westchnieniem zaskoczenia i niekiedy z zazdrością, stworzyli najbardziej niezwykle mał eństwo według wzorców swoich czasów. Niektórzy członkowie wyniosłej elity całkiem zapomnieli o swoim subtelnym wyrafinowaniu i nawet posuwali się tak daleko, by snuć głośne rozwa ania, e to wręcz zupełnie oczywiste, i ksią ę i księ na są w sobie zakochani.

Clayton nie ywił najmniejszych wątpliwości, jeśli chodzi o właściwe określenie tego, co czuł. Kochał Whitney z namiętnością i oddaniem, które płynęły z głębi jego duszy. Nie mógł się na nią napatrzeć i wciąż mało mu było słuchania jej i dotykania. W nocy czuł gwałtowne namiętne pragnienie, które wydawało się narastać, zamiast opadać, ilekroć w niej eksplodował. Whitney zaś przyciskała się do niego, jakby jej tak e nie dość było owej bliskości. W nocy była namiętną, porywającą kochanką, całkowicie pochłoniętą sprawianiu mu przyjemności. W pierwszych tygodniach mał eństwa Clayton nauczył ją, e nie ma między nimi miejsca na za enowanie czy wstyd i Whitney gorąco reagowała na jego po ądanie. Nauczył ją te , by niczego przed nim nie kryła i, po kilku słabych próbach powstrzymania się od namiętnych odpowiedzi na jego pieszczoty, ochoczo poddawała się owym gwałtownym i burzliwym falom, któ-

rym kazał wznosić się i uderzać, dopóki nie zaczynała krzyczeć. A potem trzymał ją w ramionach, błędząc dłońmi po jej ciele i szepcząc czułości, a oboje zasypiali, szczęśliwi, spokojni i nasyчени.

Dni Whitney pełne były cichego zadowolenia. Ilekroć było to mo liwe, zaszywała się w kąciку przestronnego gabinetu księcia i sprawdzała tam domowe rachunki, planowała menu lub po prostu

czytała, rzucając ukradkowe spojrzenia na mę a i podziwiając, jak wygodnie oparty w fotelu przegląda korespondencję i informacje o prowadzonych przez siebie interesach. Od czasu do czasu Clayton podnosił wzrok, jakby chciał się upewnić, e Whitney tam jest i uśmiechał się do niej albo mrugał artobliwie, nim ponownie zwrócił uwagę ku sprawom, którymi się zajmował. Początkowo nawet nie marzyła, e mógłby lubić jej obecność w tym miejscu. Wszak był to jego prywatny świat, gdzie ze swymi agentami rozmawiał o oszałamiających kwotach, jakimi obracał w inwestycjach, w czym, jak się niebawem przekonała, był zdumiewająco spostrzegawczy i roztropny. Lubił to zajęcie, chociaż nie musiał tego robić, o czym powiedział jej pewnej nocy. Szwagier zaś wspomniał jej kiedyś, e w ciągu ostatnich pięciu lat Clayton niemal podwoił ogromny majątek Westmorelandów. Prowadził nawet jakieś interesy dla Stephena i - dziw nad dziwy - tak e dla jej ojca.

Lubiła słuchać, jak rozmawia z doradcami i partnerami w interesach.

Uwielbiała brzmiącą w jego głosie nutę niewzruszonej, władczej powagi. Był

taki szybki, pewny siebie i zdecydowany. Był te - o czym myślała z dumą, ilekroć patrzyła na mę a - uderzająco przystojny. Gdy był blisko, czuła się otoczona tkliwością i opieką. Wiedziała, e jest bezpieczna i kochana.

Gdy jeździła do miasta na zakupy albo na pogawędkę z Emily, tęskniła do brzmienia głosu Clayтона, do jego ciepłych spojrzeń i ujmującego uśmiechu.

Noce były świętem ich miłości. Czasami zwlekał i przeciągał rozkoszne chwile tak tkliwie jak podczas nocy poślubnej. Kiedy indziej zaś droczył się z Whitney, rozmyślnie dra nią c ją i ka ąc mówić mu dokładnie, czego by chciała, niekiedy zaś brał ją szybko, niemal brutalnie. A Whitney nie mogła się zdecydować, który sposób podobał jej się najbardziej.

Początkowo była trochę przera ona tą burzliwą, gwałtowną namiętnością, którą budziła w nim ka dym pocałunkiem, jednym dotknięciem czy jakąś intymną pieszczotą. Jednak nie minęło wiele czasu i bezwstydnie cieszyła się jego zuchwałą męskością. Nale ała do niego... ciałem, sercem i duszą. Czowała się pogodzona z całym światem.

Pięć miesięcy później była te w cią y.

Teraz, gdy Clayton zasnął, trzymając ją w ramionach, le ała cicho, podekscytowana i dziwnie niespokojna. Jej kobieca niedyspozycja miała ju trzymiesięczne opóźnienie, jednak Whitney z kilku powodów wstrzymała się z powiedzeniem tego mę owi. Therese DuVille zwierzyła się jej podczas wesela, e będzie się rozkoszować wytchnieniem od miłosnych zabiegów mę a, kiedy oka e się, e jest enceinte. Być mo e Therese niecierpliwie wyczekiwała owego wytchnienia, ale Whitney wcale go nie pragnęła. Z drugiej strony nie chciała ryzykować uczynienia krzywdy dziecku, gdyby taki miał być rezultat ich nieustannego uprawiania miłości. Dodatkowo komplikował wszystko fakt, e Clayton nigdy nie wyraził chęci posiadania dzieci, chociaż wydawało jej się, e wszyscy mę czyźni musieli ich pragnąć, szczególnie ci z arystokratycznymi tytułami, które miały przejść na ich następców. Kiedy nie doczekała się drugiej miesięcznej niedyspozycji i zaczęła doświadczać powtarzających się mdłości oraz chęci drzemki w środku dnia, miała ju pewność, ale wciąż zachowywała milczenie.

Tu po tym, gdy pewnego dnia wchodziła na górę, idąc do swego pokoju, aby się przebrać na ich codzienną szaleńczą przejażdżkę galopem po okolicy, Clayton zatrzymał ją na schodach.

– Khan podpira się trochę prawą nogą - powiedział z dziwną powagą, połączoną z głęboką delikatnością w głosie. - Zamiast na przejażdżkę udamy się chyba na spacer, maleńka.

Nie zauważyła, by jej koń podpierał się prawą nogą, a poza tym w stajniach było kilkanaście wspaniałych wierzchowców, ale nie kwestionowała decyzji męża. Poczuli nawet pewną ulgę, bo zawsze jeździli z tak piekielną szybkością, a wzdrygała się na myśl, co mogłoby się zdarzyć, gdyby spadła, a nie przychodziła jej do głowy adna wymówka, by zaproponować, eby zwolnili, bez wyjaśnienia mężowi, dlaczego o to prosi.

Tej nocy Clayton wziął ją w nowy sposób, który od owej chwili powtarzał się zawsze. Rozbudził ją, a drężyła z pragnienia, a potem wszedł w nią z tkliwą delikatnością, poruszając się powoli i wychodząc z ociąganiem. Przedłużyło to nieunikniony moment radosnego wyzwolenia nieznośnie... i bardzo przyjemnie.

Przekonało to również Whitney, a tak ostro nie uprawianie miłości nie zaszkodzi dziecku.

W następnym tygodniu zdecydowanie wzięła się w garść i powiedziała sobie, a jest śmieszna. Po pierwsze, wręcz rozsadzała ją ta wiadomość. Po drugie, jeśli dłużej zwlekać będzie z przekazaniem wieści Claytonowi, jej własne ciało dostarczy mu informacji o czekającym go ojcostwie. Rozważwszy wszystko, pojechała do Londynu, by kupić sześć kompletów ubranek niemowlęcych i natychmiast po powrocie, w zaciszu swego pokoju powa nie wzięła się do pracy nad ozdabianiem ich haftem.

Wezwała Mary i Clarissę, by wyraziły opinię o jej dziele.

– Zadziwiające, nieprawda, a mogłam ćwiczyć się w grece, a nie w tym? -

powiedziała z westchnieniem, pokazując im robótkę.

Mary i Clarissa, które czuły się w tym domu bezpiecznie i pewnie, rzuciły okiem na haft, potem spojrzęły na siebie i padły na łokcie, zanosząc się od śmiechu.

Do kolacji następnego wieczoru Whitney w końcu zadowolona była z litery

„W”, którą wyhaftowała na niebieskim kołnierzyku niewiarygodnie maleńkiej niemowlęcej koszulki.

– Musi być tak... - Westchnęła, spoglądając na Clarissę.

– Kiedy zamierzasz powiedzieć jego wysokości, a spodziewasz się dziecka? -

zapytała Clarissa ze łzami czułości lśniącymi w kąciakach oczu.

– Ja w ogóle nie zamierzam powiedzieć mu o tym - zachichotała Whitney, głaszcząc pomarszczony policzek wiernej pokojówki. - Naprawdę, wcale nie zamierzam o tym rozmawiać... pozwolę, by to

powiedziało mu wszystko -

dodała, wskazując niemowlęce ubranko. -I sędzę, e wieczór, po kolacji, będzie najlepszą porą. - Po tych słowach z wesołym konspiracyjnym uśmiechem uło yła małe ubranko obok papeterii w szufladzie sekretarzyka i zeszła do jadalni.

Potem odczekała, a mą wypije swoje porto i oboje usiedli w biało-złotym salonie.

- Nie wiem, dlaczego ostatnio czuję się taka zmęczona - westchnęła. Udając, e jest pogrą ona w lekturze, nie podniosła wzroku i nie dostrzegła wyrazu łagodnej dumy i uśmiechu, jakimi promieniał Clayton.

- Naprawdę nie wiesz, kochanie? - zapytał ostro nie. Sądził, e się

zorientowała, i jest w cią y, lecz nie był tego pewien.

- Nie - odrzekła tonem zadumy - ale chciałam odpowiedzieć dziś wieczorem na list cioci i właśnie sobie uświadomiłam, e zostawiłam go w szufladzie sekretarzyka. Czy zechciałbyś mi go przynieść? Te schody ostatnio wydają mi się górą, na którą trzeba się wspinać.

Clayton wstał, wycisnął na czole ony lekki pocałunek, czule pogłaskał jej gęste włosy i wbiegł szybko na marmurowe schody.

Wszedł do jej pokoju i uśmiechnął się do siebie, rozglądając się wokół.

Wciąż pozostawał tu lekki zapach perfum ony. Na toaletce le ały grzebienie i szczotki do włosów. Jej obecność przesycala powietrze tego pokoju, sprawiając, e wydawało się świe e i wibrujące. Tak jak ona.

Zastanawiając się ponownie, czy Whitney wie, e jest w cią y, a jeśli wie, to czemu, u licha, nie mówi mu o tym, utworzył szufladę jej sekretarzyka z ró anego drewna. Sięgnął po kilka arkuszy papieru listowego, a potem przetrząsnął szufladę, szukając owego listu od cioci. Nie mogąc go znaleźć, odsunął na bok coś, co wydawało mu się białą chusteczką i przerzucił stertę nieu ywanej papeterii. Niemal na samym dole znalazł wreszcie jakiś zło ony list. Nie mając pewności, czy to ten, o który jej chodziło, rozło ył ów list i przebiegł po nim oczami.

Ku mej wielkiej udręce przekonałam się, e spodziewam się dziecka. Proszę więc, byś zechciał odwiedzić mnie natychmiast. Whitney.

Ku jej wielkiej udręce?! - powtórzył sam do siebie oszołomiony Clayton, marszcząc brwi. Cóż za osobliwy sposób odczuwania ywego owocu owej radości, jaką znajdowali w sobie nawzajem... I jaki szczególny wybrała sposób, by przekazać mu tę wieść. „Proszę, byś zechciał odwiedzić mnie natychmiast...”.

W ciągu następnych trzech sekund uderzyły go trzy rzeczy. Na liście widniała data wskazująca, i został napisany dwa miesiące przed ich ślubem... dokładnie w dniu poprzedzającym ów wieczór, gdy przywiózł tu Vanessę i zastał

czekającą na niego Whitney... nie było nagłówka, który wskazywałby, do kogo owa wiadomość miała trafić... sam list zaś pisany był eleganckim, wyrobionym charakterem pisma Whitney i sygnowany jej imieniem. Bo e, wspieraj!

Oczywiście napisała go do jakiegoś męczyzny, którego uważała za sprawcę swojej ciąży!

Umysł Clayтона nie dawał temu wiary, zaczynając donośnie zaprzeczać zarzutom... ale równocześnie coś w nim powoli pękało i zaczynało się kruszyć.

Czuł, jakby rozpadał się na kawałki, a kawałki z owych kawałków ulatywały gdzieś w dal. Widocznie Whitney, niczym wytrawna aktorka, odegrała owo przedstawienie, gdy tu do niego przyjechała. Strzegł jak skarbu wspomnienia owej chwili, gdy wyrzekła się dumy i podeszła ku niemu przez gabinet, a teraz uświadomił sobie, że to było kłamstwo, niegodziwe, plugawe kłamstwo! Tamta czuła scena, gdy wyszeptała „Kocham cię”, była tylko grą! W stanie oszołomienia i bóleści usiadł, a jego udręczony umysł szukał odpowiedzi i doszedł do tragicznych wniosków: Whitney przyjechała do Claymora dzień po napisaniu tego listu, wiedząc, że jest w ciąży. Ktoś, do kogo zamierzała wysłać ten list, albo odmówił wzięcia na siebie odpowiedzialności za jej stan, albo nie mógł go zaakceptować. Przepuszczalnie ów nikczemnik był już onaty.

Whitney przyjechała więc tamtej nocy, aby znaleźć sobie ojca dla czyjegóż dziecka... Chryste! Prawdopodobnie cały ten plan uknuła razem z kochankiem.

W końcu jednak faktycznie nie musiała już mieć ojca dla swego dziecka.

Widocznie poroniła, myślał Clayton z gorączkową jasnością widzenia. Nic dziwnego, że przed ślubem wydawała się taka wyczerpana i mizerna.

I jakie przekłete udawanie w noc poślubną! Już wcześniej musiała przecie wiedzieć, że jest w ciąży, ale z pewnością była tak przerażona zbliżającym się nieszczęściem, że była gotowa posunąć się dalej i bez namysłu za niego wyjść.

Zapewne dla niej i jej kochanki sytuacja stała się bardziej dogodna, gdy Whitney była zamężna. Nikogo ani przez chwilę nie zdziwiłby fakt, że teraz zaszła w ciążę. A potem Clayton przypomniał sobie jej liczne w ostatnich miesiącach wyprawy do Londynu... „na zakupy” albo „z wizytą do przyjaciół”.

Fala goryczy podpełnęła mu do gardła. Dziecko, którego spodziewała się ona, może być równie dobrze jego dzieckiem, jak i cudzym.

Suka! Kłamliwa oszustka, mała... Nie, nawet w tym wzburzeniu nie mógł

nazwać jej tak po raz drugi. Za bardzo ją kochał, jeszcze przed minutą, aby tak ją przeklinać. Ale kochał komediantkę, wytrawną aktorkę, pustą powłokę kobiety. Ciało. Nic więcej. Ciało, które nawet nie było jego wyłączną własnością.

Jaki miała silny instynkt przetrwania, to trzeba było przyznać! Stała przed nim wtedy... w jego gabinecie... z Vanessą pod jednym dachem...

wytrzymała jego furię i napierała ciałem na jego ciało, całując go tak, jakby czyniła to całym sercem. Bo była w ciąży! Clayton chciał wierzyć, że to jego dziecko. Przez chwilę próbował nawet sam siebie utwierdzić w tym przekonaniu. Ale dobrze wiedział... wszak tamtej nocy, kiedy przywłókł ją tutaj z Londynu, nie doszło do niczego więcej niż do chwilowej penetracji.

Prawdopodobieństwo, że wtedy poczęła dziecko, było zbyt minimalne, by je rozważać.

Prawda była taka, że ich małżeńskie życie okazało się oszustwem. Każde słowo Whitney, każde wyraz jej twarzy, każdy gest w łóżku... wszystko było przedstawieniem, jakie odgrywała każdego dnia. Wszystko było obrzydliwym, odrażającym udawaniem!

Dłoń Clayтона zacisnęła się na arkuszu błękitnej papeterii, powoli gniotąc go w zbitą, twardą kulę. Ostry ból zaczął w nim tępieć, gdy teraz ogarnęła go zimna, mroczna wściekłość. Na oślepienie cisnął zgnieciony list do szuflady i zatrzasnął ją gwałtownie, ale się nie zamknęła. Białe ubranko z wyhaftowanym niebieskim ściąganiem inicjałem „W” na kołnierzyku wcisnęło się między nią a blat sekretarzyka i wystawało do połowy.

Clayton wpatrywał się w nie, a potem szarpnął gwałtownie. To miał

odnaleźć, uświadomił sobie z furją. Jakże to wzruszające z jej strony, powiedzieć mu o tym w taki sposób! Cóż za okropny dramat! Z niesmakiem cisnął ubranko na podłogę i podeptał, odwracając się do drzwi.

– Widzę, że je znalazłeś - wyszeptała Whitney, a jej twarz skamieniała na widok małej koszulki pod stopą męża.

– Kiedy? - zapytał lodowato.

– Za... za siedem miesięcy, jak myślę.

Clayton patrzył na nią z gwałtownością bijącą z całej jego sylwetki.

– Nie chcę go - oznajmił, z rozmyślnym okrucieństwem wypowiadając starannie każde zjadliwe słowo.

Clarissa i Mary, które kręciły się na galerii, by zobaczyć, jak ich chlebodawca rozpromienia się na tę wieść, zadrżały w zdumieniu, gdy minął je, schodząc po schodach z jakąś nieskrywaną dzikością, która groziła, i zmiecie wszystko, co stanie mu na drodze. Frontowe drzwi wbiły się we framugę, zatrzasnąwszy się za księciem, i wtedy Clarissa, która powoli weszła do pokoju swej pani, zamarła ze zgrozy na widok, który tam zastała.

Whitney klęczała na podłodze obok biurka, a jej ramiona drżały spazmatycznie od cichego płaczu. Odchyliła do tyłu głowę, z mocno zacisniętych oczu płynęły strumienie łez. Do serca przyciskała białe ubranko z małą literą „W”, którą z taką tkliwością wyhaftowała błękitnym ściąganiem.

– Proszę, nie płacz, kochanie - wyszeptała zduszonym szeptem słuchając, pochylając się, by pomóc jej



wstać. - Zaszkożysz dziecku.

Whitney pomyślała, e nigdy nie zdoła powstrzymać tego płaczu. Płakała, a rozbolały ją głowa i gardło. Płakała, a zabrakło jej łez. „Nie chcę go”, te trzy słowa wbiły się w jej serce, raniąc je tak, a nie mogła oddychać.

Gdy nadszedł brzask rozjaśniający niebo, Whitney obróciła się na bok, spoglądając w szary, wczesny świt. Była w łó ku sama, sama przez całą noc, pierwszy raz od dnia ich ślubu. Clayton nie chciał jej dziecka. Ich dziecka. Czy zamierzał się go wyprzeć? O Bo e, nie! Nie mógłby tego... nie zrobiłby tego...

dłaczego miałby to zrobić? Mocno zaciskając oczy, odwróciła głowę na poduszce. Ka e jej oddać dziecko! To zamierzał uczynić. Gdy tylko maleństwo przyjdzie na świat, Clayton sprowadzi mamkę i odeśle dziecko do jednej z ksią ęcych posiadłości, z dała od nich dwojga. Czy by pragnął jej tak samolubnie, czy po ądanie tak go trawiło, e nie było tu miejsca dla ich dziecka?

Przed kilkoma godzinami jeszcze nie była pewna, jak odczuwa swoje macierzyństwo, ale teraz wiedziała. Odrzucenie przez Clayтона ich dziecka wywołało w niej falę opiekuńczości tak arliwej, e wstrząsnęło to całym jej jestestwem. Nie pozwoli zabrać sobie dziecka. Nigdy!

Obudziła się bardzo późno. Wciąż bolała ją głowa, czuła okropne mdłości i miała zawroty głowy, ale zmusiła się, by zejść do jadalni. Śniadanie przygotowane dla Clayтона stało nietknięte.

– Jego wysokość powiedział, e nie ma apetytu - wyjaśnił słu ący.

Whitney dla dobra dziecka zjadła skromny posiłek, po czym wyszła na długi spacer.

Nie wiedziała, gdzie jest Clayton; nie przyszedł do swojego pokoju a do świtu.

Wędrowała po starannie utrzymanych ró anych ogrodach z osobnymi rabatami czerwonych, białych, ró owych, herbacianych i ółtych ró , a potem wokół wypielęgnowanych brzegów jeziora, na którego spokojnych wodach pływały łabędzie. Nogi same poniosły ją ku jaśniejącemu z odległego brzegu pawilonowi. Weszła do środka i usiadła na wielobarwnych poduszkach rozrzuconych na stojących tu ławkach. Siedziała tak dwie godziny, próbując zaakceptować fakt, e jest tą samą kobietą, którą była zaledwie wczoraj, i e yje tym samym yciem.

Wróciła do domu i gdy powoli wchodziła po schodach, zobaczyła, e kamerdyner Clayтона i trzech słu ący zajęci są wynoszeniem ubrań z jego pokoju.

Poczuła się tak, jakby stanęła na krawędzi szaleństwa.

– Co oni robią? - bez tchu zwróciła się do Mary. - Mary, powiedz dlaczego wynoszą rzeczy mojego mę a?

– Jego wysokość przenosi się do wschodniego skrzydła - wyjaśniła pokojówka, zmuszając się, by jej głos brzmiał jasno i beztrosko. -Przeniesiemy pani rzeczy do apartamentu księcia, a pani sypialnia, gdy nadejdzie pora, będzie wspaniałym pokojem dzieciennym.

– Och... - wyszeptała Whitney, zastanawiając się, jak zniesie przebywanie w tym apartamencie bez Clayтона. - Czy zechcesz mi pokazać, gdzie są jego nowe pokoje? Ja... ja muszę zapytać go o wieczór. Mieliśmy wyjść...

Mary zaprowadziła ją do eleganckiego apartamentu w odległym końcu wschodniego skrzydła i dyskretnie zostawiła ją tam samą.

Clayton był tam dzisiaj, ale teraz go nie zastała. Jego koszula rzucona była na krzesło, a para rękawiczek leżała na łóżku, tak jak je cisnął. Whitney weszła do jego garderoby i przesuwając palcami po onyksowych grzbietach szcotek i grzebieni, musiała opanować nową falę łez. Otworzywszy szafę, dręczyła się dotykaniem jego koszul i ubrań. Możliwe, że by zapytać, jakich szerokich ramion potrzeba, aby „wypełnić” te surduty. Takich szerokich ramion, pomyślała.

Zawsze kochała jego szerokie ramiona. I oczy.

Zmierzała właśnie do drzwi, gdy wszedł. Miał ją bez słowa, wszedł do garderoby i zaczął zdejmować z siebie kurtkę.

Poszła za nim.

– Dlaczego to robisz, Claytone? - zapytała drącym głosem, nie mogąc powstrzymać łez.

Gwałtownym ruchem zrzucił koszulę, ale nie raczył się odezwać.

– Z powodu naszego dziecka? - szeptała nalegała na odpowiedź.

– Z powodu jakiegoś dziecka - poprawił ją.

– Nie... nie lubisz dzieci?

– Nie lubię dzieci innego mężczyzny - odparł lodowato. Rzuciwszy koszulę na krzesło, odwrócił się, mocno chwycił

Whitney za łokieć i zaczął siłą wyprowadzać ją z pokoju.

– Przecie z pewnością pragniesz własnych dzieci - powiedziała załamującym się głosem, gdy bezceremonialnie, na oczach przechodzącego służącego, została wyrzucona do korytarza.

– Własnych - podkreślił Clayton groźnym głosem, wysuwając rękę, jakby zamierzał uderzyć onę w twarz.

– Czy pójdziemy dziś wieczorem do Wilsonów? Przed kilkoma tygodniami przyjąłem ich zaproszenie...

– Ja wychodzę, a ty co masz robić, na co masz ochotę.

– Ale... czy wybierasz się do Wilsonów? Jeśli tak, to...

– Nie! - warknął, a potem dodał straszonym głosem: - I jeśli kiedykolwiek zastanę cię w tym pokoju, albo nawet w tym skrzydle domu, to osobiście cię stąd wyprowadzę. I obiecuję ci, Whitney, e nie spodoba ci się sposób, w jaki to zrobię.

Drzwi do pokoju mę a zatrzasnęły się przed nią. Po drugiej stronie owych zamkniętych drzwi Clayton stał sztywno, zaciskając, to znów rozwierając pięści i próbując zapanować nad nowym atakiem furii. Nim zaświtał ten dzień, zdołał

upić się w swoim gabinecie niemal do nieprzytomności, ale wcześniej starannie i zimno rozwa ył wszystkie sposoby, jakimi mógłby się zemścić na niej za swoją źle ulokowaną miłość i ufność. Weźmie sobie kochankę i ostentacyjnie będzie się nią popisywać, a ona dowie się o jej istnieniu. Świat, jak zwykle, przymknie oczy na romans onatego mę czyzny, ale Whitney znajdzie się w potrzebie. Nie będzie mogła zbyt często pokazywać się sama, nie wywołując plotek. Gdyby bowiem regularnie pojawiała się w towarzystwie z innym mę czyzną, naraziłaby się na publiczną wzgardę i ostracyzm.

Jednak nawet to nie było wystarczające. Jeśli Whitney urodzi dziecko, któremu on będzie musiał dać mu swoje nazwisko, to, na Boga, nie zamierzał

się zmuszać, aby na nie patrzeć i zastanawiać się, kto jest ojcem. Odeśle dzieciaka sprzed swoich oczu. Ale nie robi tego od razu. Najpierw pozwoli onie zatrzymać dziecko przez rok lub dwa, a Whitney się do niego głęboko przywią e, a potem oderwie je od niej. Tak... Dziecko... to będzie jego najsilniejsza broń. Nie dbał o to, czy było owocem jej plugawego romansu, czy ywym dowodem jego własnych ąd.

Stojąca w holu Whitney wpatrywała się w dębowe drzwi. Miała ściśnięte gardło i piekły ją oczy, ale nie płakała. Im bardziej starała się ułagodzić i przekonać mę a, tym bardziej stawał się okrutny, a jego zachowania nierozumne. Sztywno przeszła przez długi hol, zmierzając ku normalności... nie, nie ku normalności, to wszystko było nienormalne... ku bezpieczeństwu swojego pokoju.

Mary i Clarissa pracowały w apartamencie swego chlebodawcy, przenosząc stroje Whitney do następnego pokoju i wszystko było w nieładzie.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu - powiedziała z dr eniem Whitney -

chciałabym zostać przez chwilę sama. Mo ecie skończyć to później.

Obie wydawały się tak smutne i pełne współczucia, e nie mogła tego znieść.

Kiedy wyszły, rozejrzała się wokół, próbując pojąć, co ją spotkało. Clayton naprawdę ją odrzucił, ponieważ ich miłość zaowocowała cią ą!

Pierwszy raz od ostatniej nocy Whitney poczuła przyływ czystego gniewu.

Od kiedy to cią a jest winą jedynie kobiety? I czego się właściwie spodziewał, gdy uprawiali miłość? Mo e była naiwna, ale nawet ona wiedziała, e właśnie stąd się biorą dzieci. Przemknęła jej myśl, by wrócić do mę a i poinformować go o tym!

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większy ogarniał ją gniew. Uniosła dumnie podbródek, pociągnęła za sznur dzwonek i wezwała Clarissę.

– Wyprasuj, proszę, moją niebieską jedwabną suknię - powiedziała. -I niech powóz czeka po kolacji. Idę na przyjęcie!

Cztery godziny później Whitney weszła do jadalni. Jej kunsztownie uczesane loki oplecione były sznurem szafirów i brylantów, miękkimi splotami opadając na uszy. Jeśli mieli wieść ycie obcych sobie ludzi, to mogli yć przyjaźnie.

Jeśli jednak Clayton choć przez chwilę sądził, e gdy ona urodzi dziecko, jemu znów będzie wolno przyjść do jej łó ka, powracając do tego, na czym skończyli przedwczoraj... no có , nie znał jej tak dobrze, jak mu się wydawało!

Tylko w tej jednej chwili, gdy odruchowo wstał, kiedy weszła do jadalni, Whitney spojrzała na niego i poczuła tak dojmujący ból tęsknoty i pragnienia, e zrobiło jej się słabo. Był tak cudowny, tak oszałamiająco przystojny, e gdyby tylko lekko uśmiechnął się do niej, pofrunęłaby ku niemu i błagała... ale o co? O

wybaczenie, e go kocha? Czy mo e o to, e nosi jego dziecko?

Podczas owego posiłku Whitney kilkakrotnie czuła jego spojrzenie spoczywające chwilowo na jej piersiach uwypuklonych nad szafirowym stanikiem sukni. Miała wra enie, e ilekroć odwracał od nich wzrok, ogarniała go coraz większa złość. Była niemal zdumiona: czy to mo liwe, e poczuł się choć trochę zazdrosny? Przede wszystkim zaś tego wieczoru pierwszy raz mieli udać się w oddzielne miejsce.

– Podoba ci się moja nowa suknia? - zapytała niewinnie, gdy następnym razem wzrok mę a prześlizgnął się po jej piersiach.

– Jeśli masz zamiar demonstrować światu swe wdzięki, to pasuje do ciebie doskonale - odparł cynicznie.

– Ju się rozgościłeś w nowych apartamentach? - spytała. Clayton odsunął

talerz, jak gdyby ta rozmowa pozbawiła go apetytu, i wstał od stołu.

– Wydają mi się znacznie przyjemniejsze od tych, które zajmowałem poprzednio - odrzekł lodowato i nie mówiąc nic więcej, zdecydowanym krokiem wyszedł z jadalni.

Kilka minut później zamknęły się za nim frontowe drzwi i Whitney usłyszała odgłos odje d ającego powozu. Czuła się opuszczona i bezsilna, słaba i nieszczęśliwa. Pojechała jednak na przyjęcie do Wilsonów i rozmyślnie została tam a do późnych godzin nocnych z mglistą nadzieją, e mo e Claytonowi nie spodoba się, e ona do północy jest poza domem, sama, i następnym razem postanowi jej towarzyszyć. Była bardzo zmęczona, ale ocknęła się gwałtownie, gdy powóz wtoczył się na podjazd przed rezydencję akurat w chwili, gdy Clayton wysiadał ze swojego. Weszli na schody

razem i Whitney dostrzegła wściekłość w jego zaciśniętych szczękach.

– Zostawaj nadal poza domem do tak późnych godzin, a nim minie tydzień, cały Londyn będzie o tobie plotkował - powiedział ostro.

– Nie będę mogła bywać w towarzystwie, kiedy mój stan stanie się widoczny -

odparła, a potem z czystej zaciętości dumnie podniosła głowę i dodała: - Poza tym bawiłam się wspaniale!

Nie była pewna, ale wydawało jej się, że zaklął pod nosem.

Gdy następnego ranka poszła do stajni, bez ogródek odmówiono jej konia.

Była dotknięta, zmieszana i zirytowana. Poczuli się tak zakłopotana, podobnie jak stajenni, którzy musieli jej powiedzieć, że takie są rozkazy jego wysokości.

Whitney czuła się zbyt dotknięta i nieszczęśliwa, by ponownie rozważać swoje działania. Bez słowa, wyglądając jak młoda księżna, którą była, odwróciła się na pięcie, zdecydowanie pomaszerowała do domu, pokonała frontowe drzwi i przemierzywszy hol, udała się do gabinetu Claytona. Weszła bez pukania.

Rozmawiał właśnie z dużą grupą podwładnych siedzących półkolem przed jego biurkiem. Wszyscy zerwali się z miejsc z wyjątkiem księcia, który podniósł

się z wyraźnym ociąganiem.

– Bardzo panów przepraszam, nie wiedziałam, że mój mąż ma gości -

powiedziała, uśmiechając się anielsko w stronę kręgu zdumionych mężczyzn, po czym obróciła się ku Claytonowi, który stał sztywno za biurkiem. - W

stajniach zaszło jakieś nieporozumienie. Najwyraźniej jeden ze stajennych nie wie, że Khan należy do mnie. Mam im to powiedzieć, czy wolisz sam to wyjaśnić?

– Nawet nie myśl o dosiadananiu go - odrzekł jej mąż groźnie.

– Przykro mi, że zakłóciłam twoje spotkanie - odpowiedziała czerwona ze wstydu, a w obecności obcych ludzi mówił do niej takim poniżającym tonem.

Niczym burza wpadła do swego pokoju. To jakiś koszmar, okrucieństwo, perwersyjne szaleństwo! Teraz Clayton zamierzał uniemożliwić jej robienie czegokolwiek, czym mogłaby wypełnić czas. Chciał pozbawić ją najmniejszej radości

! Zrzuciła kapelusz do konnej jazdy. Nienawidziła tych idiotycznych kapeluszy, skoro połowę radości z przejazdu stanowiło to, że czuło się wiatr we włosach. Zrobiła dwa kroki w stronę garderoby, zamierzając się przebrać, ale zmieniła zdanie.

Gniewnie wróciła do stajni, rzuciła pierwszemu stajennemu, który przed nią stanął, tak wyniosłe i pogardliwe spojrzenie, a odsunął się na bok, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do przegrody Khana. Sama przecesała konia zgrzebłem, założyła mu uprzęż, a potem podeszła do miejsca, gdzie trzymano jej siodło, i ściągnęła je na dół. Z każdą sekundą nabierała odwagi. Przede wszystkim nikt nie ośmielił się powstrzymać jej od zrobienia tego, co postanowiła uczynić. Trzeba było trzech prób, by zarzuciła na koński grzbiet, lecz w końcu jej się to udało. Ściągnęła popręg najlepiej, jak mogła, i wyprowadziła Khana z przegrody.

Jeździła przez trzy godziny. Była zmęczona już po pierwszej, ale nie chciała wracać. Od chwili gdy dosiadła konia, wiedziała, że książe zostanie o tym poinformowany i bała się stawić mu czoło.

Spodziewała się późniejszej konfrontacji, nie przypuszczała jednak, że Clayton będzie na nią czekać w stajni. Stał tam, swobodnie opierając się o białe ogrodzenie i z całkowitym opanowaniem rozmawiał z głównym stajennym.

Whitney zadrżała w duchu na widok męża. Wiedziała, że ta rozluźniona, niemal obojętna poza była jedynie zewnętrznym spokojem, pod którym kryła się mordercza furia.

Gdy energicznie przejechała obok niego, pozornie obojętnym ruchem wyciągnął rękę i chwycił konia za uzdę, gwałtownie go zatrzymując. W oczach miał przerażającą groźbę, a jego głos był tak lodowaty i tak cichy, że serce zabiło w Whitney z trwogi.

– Zsiadaj!

Właśnie miała zamiar odwrócić Khana i pogalopować w nieznane, gdy usłyszała ten sam straszny głos:

– Nie próbuj, ostrzegam cię.

Ku swemu przerażeniu i wściekłości poczuła, że policzki jej płoną, a ręce drżą. Zdławiła dumę i wyciągnęła ku niemu ramiona w jakimś nieświadomie dziecięcym geście.

– Moje zatem zechcesz mi pomóc? Clayton brutalnie zdjął ją z siodła.

– Jak śmiesz okazywać mi nieposłuszeństwo? - wysyczał, zaciskając palce na ramieniu Whitney i odciągając ją od zdumionych stajennych i parobków.

Zaczekała, a znaleźli się wystarczająco daleko, by ich nie słyszano, zanim wyrwała ramię i odwróciła się ku mężowi.

– Okazywać ci nieposłuszeństwo?! - powtórzyła, tupiąc nogą. - Zamierzasz naprawdę przypominać mi słowa mojej matkińskiej przysięgi? Czemu u licha... Moje zechciałbyś przypomnieć mi swoją, mój panie?

– Zechciej przyjąć ostrzeżenie. Tylko jedno - oświadczył Clayton ze złością. -

Nazwij je radą, jeśli wolisz.

– Gdybym potrzebowała rady - odpaliła Whitney z oczami świecącymi jodełowym ogniem - ty byłbyś ostatnią osobą na świecie, którą bym o nią poprosiła! - Ju otworzyła usta, by powiedzieć coś więcej, ale zmieniła zdanie na widok kipiącej wściekłości, jaką jej wybuch przywołał na twarz księcia.

– Spróbuj sprzeciwić mi się jeszcze raz... tylko jeden raz, a ka ę cię zamknąć w twoich pokojach, a urodzisz swojego bachora!

– Jestem pewna, e nie pragnąłbyś niczego więcej! - odparowała zimno, czując, i nienawidzi go za nazwanie jej dziecka bachorem. - Jesteś najnikczemniejszym, najokrutniejszym... jesteś oszustem i kłamcą! Jak śmiesz mówić, e mnie kochasz, a potem tak mnie traktować! I jeszcze jedna rzecz, mój ksią ę - dodała, wprost dławiąc się ze złości - która, jestem pewna, oka e się dla ciebie ogromnym zaskoczeniem: tak się składa, e z uprawiania miłości biorą się dzieci!

Clayton był tak oszołomiony jej śmiesznym „odkryciem”, e nie dostrzegł

nadchodzącego ciosu. Whitney całkiem zaskoczyła go uderzeniem w twarz otwartą dłonią, po czym odwróciła się wyniośle, wyglądając jak wzburzona bogini ogarnięta czystą furią.

– No proszę, oddaj mi - mówiła gniewnie. - Chcesz mnie zranić. Co się stało...

straciłeś ochotę, eby mnie dręczyć? - szydziła, nie zwa ając na coraz szybsze pulsowanie w skroniach. - To doskonale, bo ja mam chęć, eby zrobić to jeszcze raz! - Zamachnęła się, lecz jęknęła z bólu, gdy na ułamek sekundy przed tym, zanim go ponownie uderzyła, jej nadgarstek znalazł się w uścisku przypominającym imadło.

– Jesteś kłamliwą małą suką - odezwał się z zimną wściekłością - ale chocia raz w naszym obrzydliwym wspólnym yciu powiedz mi prawdę. Choć jedno szczere wyznanie. Przysięgam, e bez względu na to, czy odpowiedź brzmieć będzie „nie wiem”, czy „tak”, nie zamierzam się tym przejmować.

– Ty mi przysięgasz? - Whitney znów rzuciła się na niego. - Tak jak przysięgałeś w dniu naszego ślubu? Tak jak przysięgałeś w tym domu, e nigdy mnie nie skrzywdzisz? Twoje słowo nie jest warte...

– Czy to dziecko jest moje? - spytał krótko Clayton, mocniej zaciskając dłoń na jej ręce.

Oczy Whitney zogniały, przypominając wielkie zielone jeziora, a usta otworzyły w oszołomionym niedowierzaniu, które było tak przekonywające, e Clayton przez ułamek sekundy pomyślał, e popełnił błąd. Łzy oburzenia i zniewagi popłynęły jej z oczu.

– Czy jest twoje? Twoje?! - zaczęła krzyczeć, a potem, nieoczekiwanie, osunęła się na niego, dr ąc gwałtownie.

Clayton rozluźnił uścisk na jej ręce. Chciał odsunąć od siebie jej smukłą postać, ale równie mocno pragnął chwycić Whitney w ramiona i zanurzyć twarz w jej włosach. Jednak najbardziej ze wszystkiego pragnął zabrać ją do domu i ukoić ból swego serca jej ciałem.

Przywarła do niego, obejmując go mocno i raz za razem powtarzając to pytanie:

– Czy jest twoje? Czy jest twoje...

Clayton położył ręce na ramionach Whitney i nie łagodnie, lecz równie nie brutalnie, odsunął ją od siebie. Szlocha, pomyślał z niechcianym przytłumieniem bólu. Opuścił dłoń, a Whitney powoli podniosła głowę. Nie płakała... śmiała się!

Histerycznie się śmiała. Śmiała się nadal, gdy wymierzyła mu w twarz cios, który obrócił mu głowę, a potem wbiegła do domu.

Clayton powoli i w zamyśleniu podążył za nią. Wszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi i nalał sobie kieliszek brandy. Dwie rzeczy wiedział teraz na pewno: Whitney miała silne prawe ramię, a dziecko jest jego.

Jeśli okłamała go w czymkolwiek innym... jeśli nieprawdziwy był powód, dla którego tu przyjechała, przyczyna, dla której za niego wyszła... to wyraz jej pogardliwego szyderstwa... to spojrzenie... było prawdziwe. Nie sypiała z kochankiem w czasie swych wypraw do Londynu.

adna ludzka istota

obarczona winą nie zdołałaby odegrać takiego wyrazu zgrozy i oburzenia. Nie zdradziła go od dnia, gdy zostali małżeństwem. Jeśli nawet zrobiła cokolwiek innego, to zdrady się nie dopuściła. To dziecko było jego - Clayton myślał o tym z taką samą pewnością, z jaką wiedział, że przyjechała tu do niego przed kilkoma miesiącami, ponieważ była przekonana, że potrzebuje ojca dla dziecka jakiegoś innego mężczyzny. Jego złość przeszła od stanu wrzącej kipieli do gotowania na wolnym ogniu.

Niestety, wściekłość Whitney podążyła w przeciwnym kierunku. To nikczemne, wulgarne, podłe... Clayton jest szalony! Szalony! Ona zaś byłaby równie szalona, gdyby z nim została. Wszak nawet gdy przed kilkoma minutami mówił jej te straszne rzeczy i boleśnie zginał rękę w swym karzącym uścisku, czuła radość, przytulając się mocno do jego serca. Nawet wtedy pragnęła, by opłotły ją ramiona mężczyzny. Gdyby została, z pewnością popadłaby w obłąd.

Próbowała opanować ból, który nadszedł wraz ze świadomością, że musi opuścić mężczyznę, starając się jednocześnie znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby się udać. Ojciec nie miał wystarczająco silnej woli, by ochronić ją przed mężczyzną, gdyby księżniczka zażądała powrotu ojca do Claymore. Ciocia Anna i wuj Edward z pewnością jej pomogą. Napisze więc do nich i zapyta, czy może przyjechać z wizytą, i wspólnie się zastanowią, co dalej czynić. Nie wiedziała jednak, czy straszliwa władza Clayтона może osiągnąć jej we Francji, ani czy mężczyzna mógłby zemścić się za tę ucieczkę, używając swych wpływów w Anglii, aby zaszkodzić dyplomatycznej karierze wuja.

Mogła jedynie wyjaśnić wszystko lordowi Edwardowi i pozostawić mu decyzję.

Opadła na krzesło przy sekretarzyku, wysunęła szufladę i gdy sięgała po czysty arkusz, ujrzała na starannie ułożonej papeterii kulkę zgniecionego błękitnego papieru. Gdy bez większej ciekawości



obróciła ją w palcach, zobaczyła, e coś jest na niej napisane i rozprostowała kartkę, eby sprawdzić, czy zachowała tę notatkę, sądząc, e mo e okazać się potrzebna.

„Ku mojej wielkiej udręce...”. Mgliście przypominała sobie, e kiedy była u Emily, ukryła niewysłany list w nieu ywanej papeterii, gdy nie chciała, by znalazł go jakiś słu ący. Teraz jednak arkusik był zmięty i le ał na samym wierzchu. Ktoś go znalazł, ale w Claymore obsługiwały ją tylko Mary i Clarissa, a one nigdy nie szperały w sekretarzyku.

Myśl, e ktoś czytał ten list, była wręcz upokarzająca i Whitney próbowała wyobrazić sobie, kto mógł zaglądać do jej szuflady. Dwa dni temu, gdy radośnie wsunęła dziecięcą koszulkę, by znalazł ją tam Clayton, w szufladzie był

porządek i nikt, oprócz księcia, nie... O mój Bo e!

Whitney na wpół uniosła się z krzesła... Wszak posłała mę a do swego pokoju, prosząc, by poszukał listu od cioci Annę.

– A ty znalazłeś to... - Westchnęła głośno, jakby był w pokoju. -Dobry Bo e, znalazłeś to...

Ręce jej dr ały, a w myślach panował chaos, gdy próbowała skoncentrować się na tym, co Clayton mógł uczynić z taką wiadomością. Zmusiła się do spojrzenia na ów list tak, jakby go znalazła, a nie napisała. Najpierw data...

Obiecali sobie co roku święcić dzień, w którym przyjechała do Claymore, a list nosił datę o jeden dzień wcześniejszą. Czytając, Clayton zastanawiał się... nie, on uwierzył... e przyjechała do niego tamtej nocy, gdy sądziła, e jest w cią y!

To zraniło go głęboko, bo powiedział jej kiedyś, e nic, co kiedykolwiek uczyniła, nie znaczyło dla niego więcej ni fakt, e przyszła do niego tamtej nocy, kochając go i pragnąc, by o tym wiedział.

No, dobrze... następną rzeczą, jakiej chciałaby się dowiedzieć, gdyby to ona znalazła ów list, byłoby to, dla kogo był przeznaczony. Whitney wyprostowała się i z kartką w dłoni zaczęła tam i z powrotem nerwowo przemierzać pokój.

Reakcja Clayтона wskazywała, i pomyślał, e wiadomość przeznaczona była dla kogoś innego. W porządku... ale przecie wiedział, e tamtej strasznej nocy pozbawił ją dziewictwa i e w rezultacie owego aktu mogła nosić pod sercem je-go dziecko. Jak więc śmiał wpaść w taki gniew tylko dlatego, e mogła zwrócić się do kogoś innego z prośbą o pomoc lub radę! A dlaczego nie miałyby tego zrobić... przecie w chwili, gdy pisała ten list, nie byli nawet w poprawnych stosunkach. Mogła więc pisać do ojca lub do kogokolwiek innego! Jednak sądząc z gwałtowności reakcji mę a, on najwyraźniej tak nie myślał.

Dręczył ją, poniewa poczuł się zraniony. I poniewa był zły, e mogła się zwrócić o pomoc do kogoś innego... do innego mę czynny. Był zraniony. I zazdrosny.

– Ty głupcze! - szepnęła w pustkę pokoju. Poczła taką ulgę i była tak szczęśliwa, e wyrzuciła ramiona i zawirowała wokół. A więc nie w tym rzecz, e Clayton nie chciał ich dziecka! Ale choć

uradowana tą ulgą, mogłaby go równie z radością zamordować!

Zrobił to znowu! Właśnie to, co zrobił tamtej okropnej nocy, kiedy ją tu przywlókł. Oskarzył ją o coś, co mu przyszło do głowy; osądził ją, skazał i wydał wyrok, nie tłumacząc nawet, o jaką zbrodnię została oskarżona. Nie dając jej szansy na żadne wyjaśnienia! A teraz... a teraz... naprawdę sędzi, a może po prostu odsunąć ją na bok, przenieść się do innego skrzydła domu i udawać, że ich małżeństwo jest równie martwe, jak gdyby nigdy nie istniało.

Whitney zadrżała z ulgi i zatrzęsała się ze zdecydowania. To był ostatni, ostatni raz, gdy temperament Claytona zwrócił się przeciwko niej, zanim otrzyma szansę wyjaśnienia sytuacji!

Jeśli Clayton sądził choć przez chwilę, że mógł ją kochać tak głęboko, jak była o tym przekonana, a potem odwrócić się od niej i odejść, to cóż... teraz dowie się, że jest inaczej. Jak mógł... on, taki mądry i inteligentny... mógł

naprawdę pomyśleć, że zdoła odsunąć ją na bok, w gniewie, niezależnie od tego, co uczyniła... lub co, jak mu się wydawało, zrobiła?

W jakiś sposób zmusi Claytona, by wytłumaczył, dlaczego tak się zachował.

Niech rzuci jej swe oskarżenie w twarz; tylko tego pragnęła! W rzeczy samej, pomyślała ze smutnym uśmiechem, tak się niewątpliwie stanie, gdy nie zamierzała błagać męża o wyjaśnienia; wszak już próbowała i nie przyniosło to właściwie rezultatu. Nie miała więc adnego wyboru, tylko wzbudzić w nim taką złość lub zazdrość, by całkiem stracił nad sobą kontrolę i wykrzyczał jej to, co, jak sądził, zrobiła. Gdy to nastąpi, Whitney chłodno wyjaśni mu sprawę tego listu. Kiedy Claytonowi czołgać się u swoich stóp i błagać o wybaczenie.

Promienny uśmiech zajaśniał na jej twarzy... Cóż za bzdury! Nigdy nie mogłaby tego zrobić.

Wytłumaczy mu wszystko możliwie najszybciej, a potem oprze się na jego piersi i osłabnie z radości i tęsknoty, gdy opłotą ją mocne ramiona.

Teraz musi zrobić wszystko, by nie sprawiać wrażenia ani potulnej, ani smutnej. Będzie czarująca i wesoła, a Clayton tak bardzo zatęskni za chwilami, gdy byli szczęśliwi, że nie zdoła dłużej znieść ich rozdzielenia. Początkowo będzie go prowokowała i drażniła delikatnie, i dopiero gdy to nie przyniesie rezultatu, przyspieszy jego ruch, wzbudzając w nim prawdziwą złość.

Cliffonowie wydają tego wieczoru wielkie przyjęcie... Whitney nie była pewna, czy jej mąż wciąż zamierzał tam pójść. Ale ona miała taki zamiar.

Z wielką starannością ubrała się w szmaragdowozieloną suknię, którą zamówiła w Paryżu podczas ich podróży poślubnej. Była to najodważniejsza suknia, jaką Whitney kiedykolwiek nosiła, i wkładając szmaragdowo-brylantowy naszyjnik oraz bransoletę i kolczyki, uśmiechnęła się do samej siebie.

– Jak wyglądam? – zapytała Clarissę, obracając się dookoła.

– Nago jak w dniu, w którym przyszedł na świat - odzwała pokojówka, spoglądając krytycznie na głęboki dekolt.

– Jest tylko trochę głębszy niż te, które zwykle noszę - zgodziła się Whitney z lekkim błyskiem w oczach - ale nie sądzę, aby mój mąż chciał, abym dokądkolwiek poszła w tej sukni bez niego, a ty jak myślisz?

Szeleszcząc szmaragdowym jedwabiem, weszła do salonu, gdzie Clayton, stojąc przy kredensie, nalewał sobie szklaneczkę brandy. Od jego wysokiej atletycznej sylwetki w granatowym surducie i spodniach a bił blask. W

przeciwieństwie do wyrafinowanej głębi granatu, koszula i abot były

ośniewająco białe. Clayton wydawał się niezwykle urodziwy i... wściekły, gdy jego wyniosłe spojrzenie przeniosło się na błyszczącą zieloną suknię i spoczęło na śmiałym obrazie kuszących piersi wyłaniających się z nad stanika.

– Gdzie, jak ci się zdaje, wychodzisz? - zapytał cichym, złowieszczym głosem.

– Zdaje mi się, e wychodzę? - powtórzyła Whitney, spoglądając nadzwyczaj niewinnie, mimo uwodzicielskiego powabu sukni. - Przecie obiecaliśmy odwiedzić dziś wieczorem Clifftonów. Z przyjemnością napiłabym się wina, gdybyś nie miał nic przeciwko temu - dodała z miłym uśmiechem.

Gwałtownym ruchem wziął z kredensu butelkę wina.

– My nie wybieramy się do Clifftonów.

– Och, doprawdy? - zapytała, podchodząc do niego, eby wziąć kieliszek. -

Szkoda, bo stracisz wspaniałe przyjęcie. Zawsze uwa ałam, e przyjęcia Clifftonów są najlepsze ze wszystkich, jakie...

Clayton obrócił się powoli.

– Ja nie wybieram się do Clifftonów - oświadczył lodowatym tonem. - I ty tak e nie wyjdiesz dziś wieczorem. Czy to jasne, Whitney?

– Te słowa są całkiem jasne - rzekła, po czym odwróciła się, zabierając kieliszek i królewskim krokiem wyszła do jadalni, wlokąc za sobą szmaragdowy jedwab. Była zdruzgotana. Nie zamierzał zabrać jej do Clifftonów i nie pozwalał, by poszła tam sama.

Kolacja w oświetlonej blaskiem świec jadalni przebiegała w zupełnej ciszy.

Whitney ukradkiem obserwowała Clayтона. Posiłek zbli ał się ku końcowi, gdy jej wzrok padł na dłoń mę a. Nie było na niej rubinowego sygnetu, który podarowała mu w noc poślubną. Serce w niej zamarło; od chwili gdy poło yła ten pierścień na jego dłoni, Clayton nigdy go nie zdejmował.

Podnosząc wzrok, dostrzegła, że Clayton obserwuje jej bolesną reakcję z uśmiechem cynicznego rozbawienia i tak jak była zraniona, tak teraz poczuła jeszcze większy gniew. Pójdzie na to przyjęcie, postanowiła z determinacją, dumnie unosząc głowę. A skoro ma pójść, pójdzie razem z nim!

Zanim podano deser, Whitney wstała.

– Idę do siebie - powiedziała. - Dobranoc.

Poszła do swojego pokoju, gdy nie chciała zaalarmować go faktem, że wybiera się na to przyjęcie i ryzykować, że ją zabroni stangretom wieść ją dokądkolwiek.

Było mu dobrze po pierwszej w nocy, lecz w ekskluzywnym klubie karcianym, do którego należała księżka, czas nigdy nie miał większego znaczenia.

Clayton odpoczywał w swoim fotelu, nie zwracając uwagi ani na dyskusje, jakie toczyły się wokół niego, ani nawet na karty, które trzymał w dłoni.

Bez względu na to, ile wypił dziś wieczorem, i jak bardzo się starał, nie mógł

się skoncentrować ani na grze, ani na szczerej, męskiej rozmowie z przyjaciółmi i znajomymi.

Poślubił czarującą kobietę, która wbiła mu się pod skórę jak cierń. Ten cierń kłuł nieznośnie, ale raniło równie wyciąganie go. W pamięci Clayтона wciąż tkwił obraz Whitney w tej przeklętej zielonej sukni z wdziękami wystawionymi tak bezwstydnie na widok publiczny. Ręce niemal trzęsły mu się z pragnienia, by poczuć pod palcami tę skórę miękką niczym płatki kwiatów, a po ądanie było niemal nie do zniesienia. Po ądanie, nie miłość. Ju nigdy nie nazwie tego uczucia miłością! Wszystko, co czuł do niej, było jedynie powtarzającą się od czasu do czasu udręką po ądania.

Jak w ogóle śmiała pomyśleć o samotnym wyjściu w tej sukni! I co, u licha, miała na myśli, zachowując się tak, jakby zabraniał jej jeździć konno, eby ją dręczyć? Wydał to polecenia w stajni kilka dni wcześniej, kiedy zaczął

podejrzewać, że Whitney jest w ciąży i sądził, że ona jeszcze tego nie wie.

Zresztą nie obchodziło go, co ta mała oszustka myśli. Nie musiał się tłumaczyć ze swoich czynów; to ona będzie musiała postępować tak, jak jej każe. I właśnie o to chodzi, pomyślał, ciskając etony na stół pośrodku stołu. Nieodwołalnie!

– Miło cię widzieć, Claymore - odezwał się William Baskerville z przyjazną serdecznością, zajmując wolne miejsce przy karcianym stole na wprost Clayтона - choć w istocie jestem zaskoczony, że cię tu spotykam.

– Czemu to? - spytał księżka obojętnie.

– Właśnie spotkałem twoją onę u Cliffonów. Sądziłem, że i ty tam jesteś -

wyjaśnił przybysz, zaabsorbowany rozkładaniem swych etonów na

niewielkie stopy, by przystąpić do gry. - Wyglądała prześlicznie...

powiedziałem jej to. - Ta niewinna relacja sprawiła, i Westmoreland spojrział na niego z takim niedowierzaniem, e Baskerville pośpieszył z grzecznym zapewnieniem: - Twoja ona zawsze wygląda ślicznie. I zawsze jej to mówię.

Przera ony i skonsternowany, patrzył, jak księżę powoli się prostuje i sztywnieje w fotelu, a wyraz jego twarzy staje się lodowaty. Zastanawiając się gorączkowo, czym mógł go obrazić, Baskerville, niestety, doszedł do błędnego wniosku, e jego komplementy musiały wydać się banalne męowi Whitney, który jak głosiła plotka, był niezwykle zakochany w swej młodej onie.

- Wszyscy uważali, e księżę na wygląda zachwycająco - zapewniał desperacko Baskerville, spoglądając bezradnie na pozostałych d entelmenów siedzących przy stole. - Była w zielonej sukni, która doskonale pasowała do jej oczu. To również jej powiedziałem. W rzeczy samej musiałem czekać w kolejce, aby to zrobić, gdy otaczali ją zarówno młodzieńcy, jak i starcy tacy jak ja.

Prawdziwy tłum wielbicieli.

Bardzo spokojnie i z wielkim namysłem Clayton odłożył swoje karty na stół i odsunął fotel. Wstał, ukłonił się krótko pozostałym graczom przy stole, obrócił

się na pięcie i wyszedł z klubowej sali.

Gra zamarła, gdy pięciu pozostałych d entelmenów patrzyło, jak księżę zmierza do drzwi prowadzących na ulicę. Z owych pięciu czterech byli onaci.

Tylko czterdziestopięcioletni Baskerville pozostał zaprzysięgłym kawalerem. Z

pięciu graczy siedzących przy karcianym stole czterech albo się śmiali, albo dzielnie starali się ukryć śmiech. Tylko twarz Baskerville'a wyrażała zaniepokojenie.

- Niech to diabli! - szepnął, spoglądając ku pozostałym. - Claymore rzucił mi szatańskie spojrzenie, kiedy powiedziałem, e właśnie spotkałem księżnę u Cliftonów... - przerwał, tknięty straszną myślą. - Powiadam wam... czy sądzicie, e Westmorelandowie są wystarczająco długo małżeństwem, by się kłócić?

Usta Marcusa Rutheforda zadrgały ze śmiechu.

- Ja

powiedziałbym,

Baskerville,

e

dopiero

od

trzech

minut

Westmorelandowie są wystarczająco długo mał eństwem, by się kłócić.

Na miłej twarzy starego kawalera odmalował się al.

– Dobry Bo e, nigdy bym nie wspomniał, e ją widziałem, gdybym sądził, e to mo e spowodować jakąś kłótnię. Księ na jest śliczną młodą damą i czuję się wprost nikczemnie, przysparzając jej kłopotów. Jestem pewien, e nie przysłaby na to przyjęcie, gdyby wiedziała, e mą tego nie pochwali.

– Tak myślisz? - zapytał lord Rutheford, podzieliwszy ironiczny uśmiech z pozostałymi onatymi graczami.

Baskerville był o tym przekonany.

– Oczywiście, e nie! Gdyby Claymore powiedział jej, eby tam nie szła, z całą pewnością nie posłaby na to przyjęcie. Wszak jest jego oną. No wiecie, mał eńska przysięga... posłuszeństwo... i te wszystkie sprawy.

To oświadczenie spotkało się z głośnym śmiechem, którego salwy wybuchały wokół stołu niczym strzały armatnie.

– Powiedziałem kiedyś

onie,

e niepotrzebne jej futro, o które mnie

zadręczała - odezwał się Rutheford, gdy chwilowo zapomniano o grze. -

Tupnąłem nogą i oznajmiłem, e nie mo e go kupić.

– I zapewne go nie kupiła - odrzekł Baskerville przera onym tonem.

– Oczywiście nie - zachichotał Rutheford. - Kupiła natomiast jedenaście nowych sukien, dopasowując je do futer, które ju miała. Powiedziała, e skoro musi pokazywać się w tych „wierzchnich łachmanach", to przynajmniej nikt nie będzie krytykował jej sukien. Wydała trzykrotnie więcej, ni kosztowało futro.

– Mój Bo e! Zbiłeś ją?

– Czyją zbiłem? - powtórzył Rutheford z rozbawieniem. - Nie... wiesz, bicie nie jest w dobrym tonie. Mnie samemu te nie podoba się ten pomysł.

Kupiłem jej owo futro.

– Ale... ale dlaczego? - wymamrotał oszołomiony Baskerville.

– Dlaczego, mój dobry człowieku? Powiem eh dlaczego. Bo nie chciałem wejść w posiadanie wszystkich salonów mód z Bond Street, gdy moja ona zacznie stroić fochy. Suknie są piekielnie drogie, ale klejnoty... klejnoty jeszcze nie przyszedł jej do głowy. Dając jej to futro, ocaliłem fortunę.

Na niebie malował się świt, gdy Whitney, pokonawszy cicho marmurowe schody, weszła do swego pokoju. Tej nocy dotkliwie brakowało jej Clayтона.

Tęskniła za dotknięciem jego ręki lekko wędrującej wokół jej talii, za śmiałym wzrokiem mę a przykuwającym jej spojrzenie i radosną świadomością, e Jest w pobli u. Jak zdołał w tak krótkim czasie stać się tak wa ny w jej yciu? Bez niego czuła się opuszczona i samotna, a to było okropną pokusą, by przynieść ten fatalny list do jego pokoju i wszystko wyjaśnić. Ale co stanie się następnym razem, jeśli Whitney nie znajdzie takiej wskazówki jak ów list, by wytłumaczyć sobie Jego furię? Clayton znów ją ukarze, a ona będzie bezradna, nie mogąc się bronić... To udręka, gdy ktoś, kogo kochasz, jest na ciebie wściekły i nawet nie wiesz, dlaczego. Ani trochę nie ałowała swego sprzeciwu wobec dzisiejszego polecenia Clayтона, gdy miała nadzieję,

e kiedy mą odkryje jej

nieposłuszeństwo, dojdzie do konfrontacji, której potrzebowała i pragnęła.

W istocie zastanawiała się, czy rano, kiedy spotka Clayтона przy śniadaniu, powinna wspomnieć... całkiem zdawkowo...

e doskonale bawiła się u

Cliffonów. Tak, postanowiła, po omacku szukając lampy w ciemnościach swego pokoju, to bidzie wspaniałe, jeśli się dowie, e tam była.

Wcale nie było to doskonałe, po namyśle uświadomiła sobie z lękiem, gdy pokój zajaśniał światłem i kątem oka dostrzegła mę a siedzącego na fotelu, ze stopą opartą swobodnie na kolanie drugiej nogi. Para granatowych rękawiczek spoczywała leniwie na okrytym granatowymi spodniami udzie. Skądś, z samej głębi chwilowego przera enia dotarła do Whitney myśl, by udawać, e go nie widzi. Sięgnęła rękami za plecy i w drodze do garderoby zaczęła rozpinać suknię. Gdyby zdołała sprawić, e Clayton zaczeka, a ona przebierze się w jeden z najbardziej uwodzicielskich peniuarów, mogłaby zyskać lekką przewagę... wtedy po ądanie wzięłoby górę nad gniewem i...

– Powstrzymaj się z tym -jego głos ciął niczym bicz - a wyjdę! Wstał i podszedł do niej z drapie nym wdziękiem pantery.

Whitney odruchowo zaczęła się cofać, a potem przystanąła, nie ustępując dalej. Pochylił się, patrząc na nią lodowatym wzrokiem.

– Czy pamiętasz moje słowa o tym, co cię spotka, jeśli ośmielisz się ponownie okazać mi

nieposłuszeństwo, Whitney? - zapytał jedwabistym, groźnym głosem.

Groził, e zostanie zamknięta w swoich pokojach, dopóki nie urodzi dziecka.

Była zła, przera ona i... tak w nim zakochana, e nawet jej głos pulsował miłością.

- Tak, pamiętam - odparła pełnym bólu szeptem. - Pamiętam tak e wszystkie inne rzeczy. Pamiętam słowa, które szeptałeś, będąc we mnie tak głęboko, e niemal dotykałeś mego serca. Pamiętam...

- Zamilcz! - rzucił wściekle. - Albo z boską pomocą...

- Pamiętam twoje dłonie na mojej skórze, gdy mnie pieściłeś i... Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Do diabła! Powiedziałem, przestań!

- Nie mogę. - Whitney zadręła w jego uścisku, ale nie ustawała. - Nie mogę przestać, bo cię kocham. Kocham twoje oczy, i twój uśmiech, i twój...

Clayton porwał ją w ramiona, a jego usta spadły na jej usta w dzikim, brutalnym pocałunku, którym chciał ją uciszyć i zranić, a tak e wziąć na niej odwet. Mia dyl jej wargi, przyciskając ją tak mocno, e nie mogła oddychać.

Ale Whitney o to nie dbała; czuła jego poądanie i gdy tylko usta mę a zaczęły pochylać się nad jej ustami, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego z całych sił.

Odepchnął ją równie gwałtownie, jak wcześniej przyciągnął. Oddychał

nierówno i chrapliwie, a na jego twarzy malowała się taka wściekłość, tak zimne rozgoryczenie, e Whitney niemal straciła swą stanowczość i nie dokończyła ostatniego zdania. Zamiast tego uniosła tylko odwa nie podbródek i odpowiedziała cichą prowokacją.

- Chętnie dam się zamknąć w tym pokoju na tak długo, jak sobieyczysz...

zwa ywszy, e chcesz tu zostać ze mną. W przeciwnym razie nic i nikt nie zatrzyma mnie tutaj. Jeśli będę musiała podłoyć ogień pod ten dom, eby z niego wyjść, z pewnością to uczynię.

Minęła chwila, nim zareagował. Wyglądała tak nieznośnie pięknie, była tak młoda i podatna na ciosy, stawiając mu czoło w tym oburzającym buncie, e gdyby nie to, i nienawidził jej i siebie, z pewnością by się roześmiał. Musiał

sobie przypomnieć, e Whitney jest wyrachowaną oszustką, a mimo to jego wcześniejsza złość rozviała się chwilowo przez tę impertynencką propozycję, by zamknął się tutaj wraz z nią. Zamknąć się z nią? Chryste, ledwie mógł znieść mieszkanie z Whitney w tym samym domu, gardząc nią z nieopanowaną zjadliwością i jednocześnie pragnąc jej a do bólu.



– Jeśli ponownie opuścisz teren tej posiadłości bez mojej zgody – powiedział

cichym, groźnym głosem – zatęsknisz za „czułością” jaką okazałem, gdy sprowadziłem cię tu po raz pierwszy.

Clayton nauczył ją być dumną z władzy, jaką miała nad jego ciałem, i ten brutalny pocałunek przekonał Whitney, jak bardzo nadal jej pragnął. Ta świadomość dała jej odwagę, by spojrzeć na niego i odpowiedzieć z lekkim rumieńcem.

– Ju za nią tęsknię, mój panie – po czym wracając do swej poprzedniej postawy buntowniczej dumy, dodała, odwracając się i wchodząc do garderoby: - Będę ci jednak posłuszna przynajmniej do tego stopnia, by prosić o twoją zgodę, zanim opuszczę tę posiadłość.

Dopiero gdy usłyszała zamknięcie drzwi, oparła się o ścianę garderoby, była bowiem bardziej poruszona ich konfrontacją, niż dała to po sobie poznać.

Bezsensowna groźba spalenia Claymore nie powstrzymałaby księcia przed zamknięciem jej w pokoju. Oboje dobrze wiedzieli, że Clayton bez trudu mógł

kazać trzymać ją tutaj z jakąś wierną służącą, która grałaby rolę strażniczki mającej powstrzymać panią przed zrobieniem czegoś niebezpiecznego.

Wyprowadziła go jednak z równowagi dzięki śmiało zaproszeniu, by został tu z nią.

Igrała z ogniem i zdawała sobie sprawę. Nie mogła ryzykować rozgniewania męża do tego stopnia, aby usunąłby ją w ogóle sprzed swoich oczu. Musiała być z Claytonem, aby móc go zmusić do oskarżenia jej o tę nedorzecznosc, w którą wierzył. Musiała być blisko, aby móc nadal podsycać płomień jego namiętności.

Jedno z dwojga – albo furia, albo poddanie – nie pozwoli mu zachować owego kamiennego milczenia.

We wschodnim skrzydle domu Clayton leżał w łóżku zastanawiając się nad swoją przeszłością i przyszłością.

Teraz udało mu się znaleźć wyjaśnienie tego, w przeszłości niewytłumaczalnego, słowa lub postępowania Whitney. Nareszcie powód jej zachowania na weselnym przyjęciu Elizabeth był kryształowo jasny. Mówiła powaźnie nie wszystkie te zimne, nikczemne słowa, gdy tańczyli. Dopiero po przyjęciu zorientowała się, że jest w ciąży, a kiedy ojciec dziecka nie mógł albo nie chciał dać jej swego nazwiska, uknuła plan przyjazdu tutaj i powtórzenia ich zerwanych zaręczyn. On zaś, niczym jakiś przeklęty głupiec, z wielką radością pozwolił sobie przyprawić rogi.

Nie wiedział, jak długo zdoła wytrzymać taki stan rzeczy. Jego serce i umysł

rozumiały ową brutalną prawdę, że między Whitney a nim nic już nigdy nie będzie, ale dręczyło go to

samo nienasycone po ądanie, jakie zawsze do niej czuł.

Gdyby nie mieszkali pod tym samym dachem, prawdopodobnie mógłby znaleźć jakąś ulgę od owej udręki. Mógł się przeprowadzić do londyńskiej rezydencji przy Upper Brook Street i wrócić do pozorów dawnego ycia albo wyjechać na kilka miesięcy do Francji lub Hiszpanii. To byłoby najlepszym wyjściem, ale Whitney nosiła jego dziecko i w wypadku jakichś komplikacji z porodem nie powinien być tak daleko stąd.

Nie, londyńska rezydencja będzie lepsza. Zarówno jego potrzeba zmiany, jak i pragnienia fizyczne mogą być zaspokojone w Londynie. W ciągu najbliższego miesiąca lub dwóch musiał tylko zabrać onę na kilka przyjęć, a potem, gdy ciąża stanie się widoczna, Whitney nie będzie mogła pokazywać się w towarzystwie, więc nikomu nie wyda się dziwne, że nie ma jej u boku męża.

Stare plotkarki, widząc go z innymi kobietami, będą mleć językami i szeptać do siebie, że ta mała „panna Nikt”, którą poślubił, nie potrafiła zatrzymać go zbyt długo i że od dawna wiedziały, że tak się to skończy. Ta myśl przysporzyła Claytonowi krótkiej, perwersyjnej przyjemności.

Miał w Bogu nadzieję, że Whitney urodzi chłopca, gdy to okazało się jedyną sposobnością posiadania spadkobiercy i dziedzica. W przeciwnym razie musiałby pozostawić spłodzenie następcy Stephenowi; ziemie i tytuł zawsze pozostawały przy jakimś Westmorelandzie, a jego ojciec był jedynym synem wśród pięciorga rodzeństwa.

Następnego ranka Whitney napisała starannie sformułowany list do Clayтона, zawiadamiając go, że rodzice lorda Archibalda obchodzą rocznicę ślubu i obiecała Emily i Michaelowi uczestniczyć w organizowanym tego dnia uroczystym przyjęciu z owej okazji oraz że byłaby bardzo wdzięczna, gdyby mąż zechciał jej towarzyszyć. Przesłała wiadomość przez Clarissę do wschodniego skrzydła, a później chodziła po swym pokoju tam i z powrotem, czekając na odpowiedź.

Drącymi palcami rozkładała swój list, na końcu którego znalazła krótką notatkę napisaną ręką księcia: „Powiadom mojego kamerdynera, czy obowiązuje strój oficjalny czy wizytowy”. Roześmiała się z radości.

Tego wieczoru więcej czasu niż kiedykolwiek w yciu poświęciła swojemu wyglądowi. Clarissa uczesała ją w misterne loki oplecione złotym łańcuchem, który niegdyś należał do jej babki, między piersiami Whitney spoczywał zaś naszyjnik z topazem otoczonym kręgiem brylantów, będący przed laty własnością prababki. Nie miała na sobie żadnego z klejnotów Westmorelandów, nawet wspaniałego pierścienia zaręczynowego. Zastanawiała się nad zdjęciem szerokiej złotej obrączki ślubnej, ale tego zrobić nie mogła... nawet po to, by objawić swój protest.

Clayton stał w drugim końcu biało-złotego salonu i ze szklaneczką whisky w dłoni ponuro patrzył w okno. Wyglądał wręcz wspaniale w czarnym wieczorowym stroju. Whitney z figlarnym błyskiem w oczach wpłynęła do pokoju w szeleście połyskliwego, nakrapiane-go złotem szyfonu. Nie zdjęła złocistej szali, który miękko okrywając jej piersi, układał się w łagodne półkole na plecach, i nie zamierzała tego uczynić, póki nie dotrą do domu rodziców Michaela.

Półtorej godziny drogi przejechali w lodowatym milczeniu, ale rozkoszowała się myślą o tym, jaka

będzie reakcja Clayтона, gdy zobaczy uwodzicielski widok jej piersi, wystawionych na pokaz przez prowokacyjnie głęboki dekolt. Skoro mę owi, w jego obecnym nastroju, nie spodobała się szmaragdowa suknia, to z pewnością nie pochwali tej.

– Nie kłóćmy się ze sobą - napomknęła, gdy dojechali na miejsce i Clayton pomagał jej wysiąść z powozu.

– Co masz na myśli? - zapytał chłodno.

– Kolory naszych strojów - wyjaśniła niewinnie, a potem udanie niedbałym gestem zdjęła złoty szal i pozwoliła mu zwiewnie wysunąć się z palców, gdy ruszyła obok mę a w stronę rezydencji Archibaldów.

– Nie wiem, czy to jakaś ró nica... - Clayton stanął jak wryty, z oczami niczym kawałki lodu utkwionymi w jej jaśniejącym biuście widocznym nad połyskliwym stanikiem sukni.

– Próbujesz sprawdzić dokładnie, jak dalece mo na mnie sprowokować?

– Nie, mój panie - odparła Whitney powa nie, zdając sobie sprawę z zaciekawionych spojrzeń innych przybywających gości. - Jak mogłabym sprowokować cię bardziej, ni ju to uczyniłam, obdarzając cię dzieckiem.

– Przyjmij pewną radę - wyrzucił z siebie, czyniąc to z widocznym wysiłkiem, by zapanować nad furją - i pamiętając o swoim stanie, zachowuj się odpowiednio.

Whitney, świadoma, e Clayton utkwiał płonący wzrok w jej pełnych piersiach, obdarzyła mę a radosnym uśmiechem.

– Oczywiście, zamierzałam to robić, ale moja robótka nie mieściła się w wieczorowej torebce - odrzekła lekko i śmiejąc się, wyciągnęła ku niemu ozdobny woreczek, po czym jęknęła głośno z nieoczekiwanego bólu, gdy dłoń Clayтона zacisnęła się na jej ramieniu, a palce wbiły się w ciało.

– Nie omieszkaj w pełni nacieszyć się tym przyjęciem, gdy jest to ostatnie, w jakim weźmiesz udział. Do urodzenia dziecka pozostaniesz w Claymore, ja zaś przeprowadzam się do Londynu.

Cała radosna nadzieja i determinacja opuściły Whitney, pozostawiając ją odrętwiałą i roz aloną. Próbowwała uwolnić ramię, ale bolesny uścisk księcia był

nieubłagany.

– Proszę zatem - powiedziała - abys dziś wieczorem nie przynosił wstydu nam obojgu, pozostawiając na mym ramieniu ślady swoich uczuć.

Palce Clayтона rozluźniły się tak gwałtownie, e sprawiało to wra enie, jakby jej nawet nie dotknął.

– Ból - rzucił jej krótko, gdy minął ich lokaj - podobnie jak miłość jest czymś, co dzieli się z drugą osobą.

Od pierwszej chwili, gdy weszli do salonu, Whitney uświadomiła sobie, że coś się dzieje, ale nie umiała określić, o co chodzi. Rzecz w tym, i wszyscy wydawali się tacy... normalni. Nie... a boleśnie naturalni... jakby czynili zbiorowy wysiłek, aby wydawać się takimi. Mniej więcej godzinę później ujrzała lorda Esterbrooka. Uśmiechnął się i skłonił głowę, lecz gdy zaczął

zmierzać w jej kierunku, Whitney dała wspaniały pokaz głębokiego zainteresowania rozmową z otaczającymi ją gośćmi. Nigdy nie uwierzyła, by lord Esterbrook powiedział o niej coś „nieuprzejmego” do Vanessy na przyjęciu u Ruthefordów, ale miał on wyjątkowo złośliwe poczucie humoru i potrafił

zadać cięcie z ostrością brzytwy, więc nabrała zwyczaju trzymania się od niego z daleka.

Wyjaśnienia szczególnej atmosfery przenikającej ów wieczór dostarczyła jej Emily, która pojawiła się niebawem.

– Wielki Bo e - powiedziała, odciągając Whitney na bok i szepcząc, choć ściągało, to na nie zaciekawione spojrzenia - mojemu teściowi w pewnych sprawach naprawdę brak piątej klepki. Nie wierzyłam własnym uszom, gdy pięć minut temu pochwalił mi się, jak wielkich dołożył starań, by ją tu ściągnąć jako niespodziankę dla teściowej.

– O czym ty mówisz? - zapytała szeptem Whitney, czując zapowiedź

katastrofy.

– O Marie St. Allermain. Ona jest tutaj! Ojciec Michaela prosił wszystkich swoich przyjaciół, aby ją nakłonili do przyjazdu. Jest gościem w tym pałacu, jutro ma występować, a...

Whitney nie słyszała reszty. Ręce i nogi zaczęły jej dręć od pierwszej chwili, gdy Emily wymieniła nazwisko pięknej i najsłynniejszej kochanki Clayтона. Marie St. Allermain jest w Londynie, w tym samym miejscu co Clayton, który nie dalej jak godzinę temu objawił zamiar przeprowadzenia się do swej londyńskiej rezydencji! Whitney nie pamiętała, co odpowiedziała Emily, ani jak zdołała wrócić do kręgu znajomych, od których na chwilę odeszła. W przeraźliwym strachu czekała na moment, gdy Marie St. Allermain wejdzie do salonu.

Olbrzymi salon zatłoczony był ponad miarę. Whitney kątem oka obserwowała, jak Clayton wszedł do niego w tym samym czasie, gdy akompaniator zasiadł przy wielkim fortepianie, a muzycy sięgnęli po instrumenty. W salonie panowało podniecenie, lecz Whitney nie wiedziała, czy wywołało je pojawienie się owej kobiety o legendarnym głosie i urodzie, czy też powodem napięcia gości było to, i wszyscy skrycie czekali, aby zobaczyć, co będzie, kiedy księżkę i piękna artystka spotkają się twarzą w twarz.

Clayton, który wcześniej zatrzymał się, aby z kimś porozmawiać, w końcu stanął u boku Whitney. Wydawało się, że tłum się rozstał, otwierając przed nimi drogę, aby oboje mogli podejść do pierwszego rzędu gości otaczających fortepian.

Whitney stanęła tam i wzięła męża pod rękę. Wiedziała, że tego nie chciał, ale było jej słabo i

rozpaczliwie pragnęła się na nim oprzeć.

– Moim zdaniem aden głos na świecie nie brzmi tak, jak głos Marie St.

Allermain - odezwał się jakiś starszy mę czyzna stojący obok nich.

Whitney wyczuła pod palcami, e mięśnie na ramieniu Claytona napięły się sztywno, a potem powoli rozluźniły. Nie wiedział! Uświadomiła sobie, e nie wiedział o jej przyjeździe. O Bo e, dlaczego musiał wyglądać dziś tak cudownie, tak pociągająco i atrakcyjnie? I dlaczego, pomyślała z gromadzącymi się w oczach piekącymi łzami na widok złotowłosej artystki wchodzącej do salonu, Marie St. Allermain musiała być tak upajająco, tak uwodzicielsko i czarująco piękna? Whitney nie mogła oderwać wzroku od śpiewaczki. Marie St.

Allermain miała ciało smukłej Wenus i magnetyzm kobiety, która jest przeświadczona o swej wyjątkowej urodzie, nie mając przy tym obsesji na jej punkcie.

Kiedy złotowłosa piękność zaczęła śpiewać, Whitney poczuła, e salon kołysze się zawrotnie. Marie St. Allermain miała jasny głos, który mógł miękko wpływać w uszy lub pogłębiać się a do napięcia i zmysłowości. Gdy śpiewała, w jej oczach widać było lśnienie śmiechu, jakby tę niemą adorację otaczających ją setek zasłuchanych i zapatrzonych ludzi w głębi duszy uwa ała za bardzo niemądrą.

W porównaniu z nią Whitney czuła się naiwna, zwyczajna i prosta. I śmiertelnie chora. Bo teraz zrozumiała dokładnie, co naprawdę oznaczało bycie kochanką Claytona. Ta kobieta o roześmianych błękitnych oczach знаła jego oszałamiające pocałunki, le ała naga w jego ramionach i dzieliła upajającą ekstazę jego ciała wchodzącego w nią głęboko. Whitney wiedziała, e musiała być blada jak prześcieradło, w uszach jej dzwoniło, a ręce zrobiły się lodowate.

Zemdleje, jeśli tu zostanie, a jeśli wyjdzie, zrobi z siebie widowisko, którym przez długie lata ywić się będą złośliwe plotkarki.

Próbowała tłumaczyć więc sobie, e Clayton zerwał romans z Marie, aby o enić się z nią. Jednak to było wcześniej. Teraz darzył ją nienawiścią i pogardą.

Niebawem zaś, nawet gdyby wrócił do Claymore, jej ciało będzie niezgrabne i nabrzmiące.

Chciała umrzeć. Pragnęła tego naprawdę szczerze. Była tak udręczona, e właściwie nie miała pojęcia, kiedy ręka Claytona spoczęła na jej chłodnej, wilgotnej dłoni, ani te jak długo lekko i uspokajająco ścisnął jej palce, ale gdy to sobie uświadomiła, bezwstydnie przyjęła wsparcie, jakie jej ofiarował, i mocno zacisnęła palce na jego dłoni. Przynajmniej teraz poczuła, e mo e oddychać. To wra enie było jednak tylko chwilowe. Kiedy bowiem Marie St.

Allermain z lekko rozbawionym pochYLENIEM głowy odbierała burzliwe oklaski, jej błękitne oczy spotkały się z oczami Claytona i Whitney z bolesnym dr eniem poczuła iskrę, która przebiegła między nimi.

Niebawem otwarto salę balową i Clayton przez pół godziny nie odchodził od ony, lecz ani się nie odzywał, ani na nią nie patrzył. Był jednak obok i uczePIła się tego faktu, jakby stanowił początek

pojednania, na które czekała. Jej nadzieje rozprysły się na kawałki, w chwili, gdy mąż poprowadził ją na parkiet i wziął w ramiona do tańca.

– Gdzie, u licha, jest twój pierścionek zaręczynowy? - zapytał gniewnie, wirując z nią w walcu.

– Dowód twojej miłości? - odpowiedziała pytaniem Whitney, dumnie unosząc bladą, piękną twarz. - Ten zaręczynowy pierścionek?

– Dobrze wiesz, który pierścionek.

– Poniewa był dowodem miłości, jakiej ju nie ma, noszenie go wydawało mi się hipokryzją - odparła, czekając bez tchu, a Clayton powie, e jego miłość nie wygasła.

– Rób, jak chcesz - powiedział z cyniczną obojętnością. - Tak jak zawsze robisz.

Kiedy taniec dobiegł końca, pozostali razem, wspólnie dając przekonujący pokaz uczestniczenia w beztrudnej rozmowie z gośćmi. Niebawem jednak jakieś nieuchwytnie napięcie przeniknęło całą ich grupę, a wesołość ludzi wokół

stała się zbyt śmiała i wymuszona, gdy zebrani rzucali nerwowe spojrzenia nad prawym ramieniem Whitney. Wyczuła zmianę atmosfery i odwróciła się, eby zobaczyć, co ją spowodowało. Po tym jednym spojrzeniu szybko odwróciła głowę, ale było ju za późno, by zrobić cokolwiek więcej, ni tylko zebrać siły.

Zza pleców Whitney zbli ał się ku nim lord Esterbrook, mając u swego boku Marie St. Allermain.

– Claymore! - Jego drwiący głos wbił się w sztuczną wesołość niewielkiej grupy niczym nóż. - Jestem pewien, e nie ma potrzeby dokonywać prezentacji między wami.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim, gdy ksią ę odruchowo obrócił się na dźwięk swego nazwiska i stanął twarzą w twarz z roześmianym Esterbrokiem i dawną kochanką. Whitney, która nie miała innego wyboru, jak tylko odwrócić się tak e, usłyszała nagłe szmery, szepty oraz zduszony śmiech i poczuła cię ar utkwionych w nich zaciekawionych oczu. Nie było wątpliwości, e wszyscy go-

ście zgromadzeni teraz w wielkiej sali balowej byli w pełni świadomi doniosłości i wagi odbywającego się właśnie spotkania... wszyscy, z wyjątkiem księcia i Marie St. Allermain, którzy sprawiali wra enie, i ta sytuacja wydaje im się dość zabawna.

Z leniwym uśmiechem Clayton uniósł do ust dłoń śpiewaczki, by zło yć na niej krótki pocałunek.

– Widzę, madame, e nadal wystarczy ci tylko gdzieś się pojawić, by rzucić wszystkich zebranych mę czyzn do swych stóp.

W błękitnych oczach Marie zamigotały iskierki, gdy pochyliła głowę, z wdzięcznością przyjmując szarmancki komplement.

– Nie wszystkich - odpowiedziała znacząco. - Poza tym byłabym zdumiona, znajdując cię w tak

niedorzecznej pozycji, wasza wysokość.

Whitney słuchała tej lekkiej, ciętej odpowiedzi z gniewem, upokorzeniem i bólem, zastanawiając się, czy Clayton przedstawi onę kochance, i mając absolutną pewność, e nie mo e tego uczynić, gdy przedstawiając je sobie przez uprzejmość, nie uniknie stania się nieuprzejmym. W tym momencie Whitney nienawidziła swego mę a. Gardziła Esterbrookiem i czuła wstręt do ka dej pary wścibskich oczu. Wszyscy byli jej wrogami, wyrafinowanymi, rozplotkowanymi złośliwcami, którzy czuli się dotknięci, e weszła w ich do-borowe towarzystwo i rozkoszowali się upokarzającą sytuacją, w jakiej została postawiona. Wszyscy byli Esterbrookami. Wszyscy co do jednego. Włącznie z jej układnym i czarującym mę em. ałowała, e nie wyszła za Paula i nie zamieszkała spokojnie w bezpiecznym, bliskim jej otoczeniu, ale zanim to zrozumiała, uświadomiła sobie,

e oto Esterbrook z miną niewiniątka

przedstawia jej teraz kochankę Clayтона.

Uzbrojona w cały swój gniew, wyszła naprzeciw milcząco taksującemu spojrzeniu Marie St. Allermain z całkowitym opanowaniem.

– Dziękuję za podzielenie się z nami darem pani pięknego głosu. To wielka przyjemność móc pani słuchać - powiedziała uprzejmie płynną francuszczyzną.

– Na ogół opowieści o kobiecej piękności i wdzięku są bardzo przesadne.

Widzę jednak, e opisy pani urody i uroku takie nie są - odparła Marie z równą uprzejmością, po czym prowokująco spoglądając na Clayтона z powolnym, zmysłowym uśmiechem, dodała z druzgoczącą otwartością: -I muszę te powiedzieć, e przekonanie się o tym jest wyjątkowo przykre.

Z tymi słowami skinęła ku nim królewskim gestem, przyjęła ramię Esterbrooka i odpłynęła, by cieszyć się uwielbieniem pozostałych trzystu mę czyn zebranych w sali balowej.

Whitney przez chwilę rozkoszowała się ciepłem milczącej aprobaty mę a; wiedziała, e był dumny z tego, jak wytrzymała tę konfrontację. Widziała te , jak godzinę później Clayton i Marie, ka de osobnymi drzwiami, wyszli na taras.

Widziała zarówno subtelne spojrzenie, jakie Marie przesłała księciu przez całą salę balową, jak i ledwie dostrzegalne skinienie głowy, którym odpowiedział jej Clayton...

Uśmiechając się w letniej księ ycowej poświacie, Marie wyciągnęła obie dłonie, by wziął ją w swe mocne, ciepłe ramiona.

– To cudownie widzieć cię znowu, Claytonie. Esterbrook z pewnością ywi do ciebie wielką niechęć za to nasze otwarcie zaaran owane spotkanie.

Uśmiechnął się do niej lekko.

– Esterbrook jest głupim łotrem, jak się ju sama domyśliłaś, Marie. -

Obserwował, jak księżycowa poświata zmieniała jej włosy w lśniące srebro, rozkoszując się przy tym zmysłową urodą i ywą inteligencją widoczną w fiołkowobłękitnych oczach kobiety. Nie poczuła się ura ona tym ostrym określeniem Esterbrooka; była równie wnikliwym sędzią charakterów jak on, i oboje o tym wiedzieli.

– Mał eństwo ci nie słu y, mój panie? - zapytała, choć była to raczej spokojna obserwacja.

Clayton lekko zeszywniał. Przypomnił sobie, e nic nie zatrzęsłoby londyńskim towarzystwem tak gwałtownie, jak to, gdyby ponownie wziął sobie za kochankę Marie St. Allermain. Oboje wszędzie tak dobrze znano, e plotki o ich odnowionym romansie nie miałyby końca, a upokorzenie, jakiego doznałaby Whitney, stałoby się bezgraniczne. Marie zaś była namiętną partnerką w ló ku, co odpowiadało mu idealnie. Jednak mimo e powiedział sobie to wszystko, wciąż niemal czuł chłodną, dr ącą dłoń Whitney na swoim ramieniu i to, jak jej palce zacisnęły się, szukając wsparcia, gdy Marie śpiewała.

A niech ją diabli wezmą! Jak śmie zdejmować pierścioneł zaręczynowy!

Była intrygantką, kłamczucha i oszustką! Ale była te jego oną. Poza tym była młoda, bała się i nosiła jego dziecko. Ku własnemu ogromnemu zaskoczeniu Clayton uświadomił sobie, e nie zdoła zmusić się do uczynienia kroków, które, jak wiedział, chętnie widziałyby Marie. Weźmie sobie inną kochankę, kobietę mniej znaną.

– Mał eństwo najwyraźniej nie słu y równie twojej onie - zauwa yła spokojnie. - Jest bardzo piękna... i bardzo nieszczęśliwa.

– Mał eństwo słu y nam obojgu - oświadczył stanowczo ksią ę. Na ustach artystki zadr ał powolny, prowokacyjny uśmiech.

– Skoro tak mówisz, Claytonie...



– Tak mówię - odparł z irytacją.

Skoro ona zauważyła, że Whitney jest nieszczęśliwa i zasmucona, to inni goście w sali balowej mogli również to dostrzec. Nie chciał zawstydząć ony przed znajomymi. Jedną sprawą była dlań własna nienawiść i upokarzanie Whitney na osobności, całkiem inną zaś zauważył tego przez towarzystwo.

Sam był tak rozłoszczony tym odkryciem, że nawet zaklął.

– W takim razie - odezwała się z wahaniem Marie, ujawniając przenikliwość, która Claytonowi zawsze się podobała - może byłoby roztropnie, gdybyś teraz wrócił do sali balowej, gdy jestem zdania, że Esterbrook, ukazując nas razem twojej onie, zrobił to z rozmysłem, by znaleźć się w pobliżu i móc ją później pocieszać. - Zobaczyła, że ramiona księcia zeszywniały, a oczy mu błysnęły niebezpiecznie, i na jej ustach pojawił się ujmujący uśmiech. - Nigdy przedtem nie widziałam cię takim jak teraz. Robisz się przerażający, lecz tak jest oszałamiająco atrakcyjny, kiedy jesteś zły i... zazdrosny.

– Złó to na karb gniewu - odrzekł Clayton ostrym głosem, który złagodniał, gdy księżkę poegnał dawną kochankę.

Po powrocie do sali balowej najpierw poszukał wzrokiem Esterbrooka, a potem Whitney. Esterbrooka zobaczył, ale jej nie było. Księżkę pomyślał z ulgą, że najwyraźniej nikt nie zauważył jego zniknięcia z Marie, a sądząc z hałaśliwości toczących się rozmów, doszedł do przekonania, że wszelkie plotki, jakie zrodziło ich publiczne spotkanie, zmarły naturalną i szybką śmiercią.

Poczuł zadowolenie, ponieważ ci ludzie byli zarówno znajomymi jego, jak i Whitney, a ona potrzebowała świadomości, że nie musi się obawiać następnego spotkania w tym kręgu.

Ale Whitney tego nie widziała. Księżkę na Claymore bowiem, jak z powagą wyjaśnił mu lokaj, już wyjechała. Przekłęta, mała idiotka, pomyślał wściekle Clayton. Co ona sobie myśli, zostawiając go w ten sposób?! Drogo mu zapłaci!

Nie mógł wrócić do gości bez ony, gdy wszyscy natychmiast zrozumieliby, że Whitney wyjechała w rozaleniu lub gniewie, a to wywołałoby plotki. On sam nie przejmował się ludzkim gadaniem, ale Whitney, która musiałaby stawić czoło plotkom, wyjechała, bo nie zdołałaby tego zrobić. On zaś nie mógł

również wyjechać... do licha, przecie wzięła karetę!

Nim minęła kilka sekund, Emily i Michael Archibaldowie rozwiązali ten problem, pojawiając się w drzwiach i prosząc, by sprowadzono ich powóz. Ó nic nie pytając ani niczego nie komentując, podwieźli Clayтона do jego londyńskiego domu, gdzie spędził niemiłą noc w gniewie. Wciąż widział

Whitney w połyskliwej złotej sukni, odsłaniającej jej dojrzałe piersi. Ubrała się tak rozmyślnie, aby go sprowokować i, na Boga, to się jej udało! Czy nie musiał stać obok niej przez cały wieczór, widząc, jak męskie spojrzenia ślizgają się po ądliwie po jej kusząco odsłoniętym ciele?

Gdyby nie włożyła tej przeklętej sukni i nie zdjęła zaręczynowego pierścionka, gdyby jej włosy z

wplecionym w nie złotym łańcuchem nie były takie gęste i lśniące, gdyby nie wyglądała tak oszłamiająco pięknie i pociągająco, nie przyjąłby niemego zaproszenia Marie, by wyjść z nią na taras.

## Rozdział 35

Clayton nie wrócił do Claymore następnego dnia ani drugiego, ani nawet trzeciego. Nie spędził jednak tych trzech dni w łóku z piękną Marie St.

Allermain, jak podpowiadała Whitney jej rozgorączkowana, udręczona wyobraźnia. Owe trzy dni pozostał w Londynie, doświadczając na przemian stanów słusznej furii i spokojnego namysłu. Wieczory spędzał w swoim klubie z przyjaciółmi.

Późną nocą po trzecim z tych londyńskich dni, gdy siedział, spoglądając na osnutą mgłą Upper Brook Street, doszedł do kilku wniosków. Po pierwsze nie rozumiał czemu, u licha, miałby posuwać się do takiej niedorzeczności, jak szukanie sobie kochanki i dawanie jej na własność „dyskretnego” domu, co teraz musiałby uczynić, skoro jest onaty. O enił się z dziwką, ale miała wspaniałe, prowokujące ciało, które go podniecało, idealnie przy tym odpowiadając jego pragnieniom. Dlaczego więc miałby brać sobie kochankę, skoro jest Whitney?

Nie zamierzał nadal być niczym jakiś przeklęty mnich, ani też jak gość mieszkać we wschodnim skrzydle własnego domu.

Pojedzie do Claymore i wróci do własnych apartamentów. Kiedy zaś zapragnie Whitney, Whitney będzie mu służyć. Będzie służyć, niczym więcej.

Dobrze ubraną służącą, której obowiązki sprowadzą się do roli gospodyni, gdy taka będzie mu potrzebna, i bezpłatnej dziwki, jeśli przyjdzie mu na nią ochota.

Zresztą i tak prawie nią jest, pomyślał w nowym przypiływie złości. Cena za nią była bardzo wysoka... mnóstwo pieniędzy i na dodatek jego nazwisko, ale miał

ją. Na zawsze.

Z tymi myślami i jeszcze kilkoma innymi o podobnej treści Clayton polecił, by jego miejski powóz zajeżdżał rankiem czwartego dnia i niecierpliwie wypatrywał końca półtoragodzinnej podróży przez angielską prowincję strojną w soczystą bujność lata. Ledwie zwracał uwagę na mijany krajobraz, gdy zastanawiał się nad sceną, jaka się rozegra, gdy dotrze do Claymore. Najpierw objaśni Whitney jej przyszły status i obowiązki, czyniąc to w możliwie najokrutniejszych słowach. Potem zaś powie, co myśli o jej perfidii i podstępnie, o jej podłym usposobieniu i buncie przeciwko autorytetowi i władzy męża. A kiedy się z tym upora, wciśnie jej tamten list w jej śliczne gardziółko... mówiąc metaforycznie.

Powóz ledwie zatrzymał się przed domem, gdy Clayton, szybko pokonawszy schody, wbiegł frontowymi drzwiami, kierując się ku pokojom ony. Otworzył

drzwi do jej sypialni z siłą, która cisnęła je na ścianę, i wprawił kręcącą się tam Mary w niebotyczną trwogę. Bez jednego słowa do osłupiałej służej przeszedł

szybko przez gotownię ony do swojej dawnej sypialni. Ale Whitney tam nie było. Księżną bowiem, jak z draniem wyjaśniła pokojówka, wyjechała.

Wczoraj.

– Dokąd wyjechała? - niecierpliwie zażądał odpowiedzi.

– Nie powiedziała, wasza wysokość. Oświadczyła, że zostawia list do pana w swoim sekretarzyku.

Jego niegdyś wierna służka zaczęła pociągać nosem, ale Clayton zignorował

ją i sztywno podszedł do sekretarzyka. Nie było w nim nic oprócz zgniecionej kulki błękitnego papieru leżącej w szufladzie. Nie chciał jej nawet dotknąć, w końcu jednak rozłożył papier i zmusił się, by na niego spojrzeć, gdy ona napisała tam coś jeszcze. Nie uczyniła tego. To po prostu był sposób powiedzenia mężowi, że odkryła powód jego gniewu. Wcisnął haniebny list do kieszeni i ruszył ku drzwiom.

– Wracam do moich dawnych pokoi - rzucił krótko służce. - Zabierz stąd rzeczy pani.

– A gdzie mam je przenieść? - zapytała Mary zduszonym głosem.

– Zostaw tutaj, do licha! - Clayton wiedział, że irlandzkiej służce jego odpowiedź wydała się trochę śmieszna, lecz był zbyt wściekły, że dał się okpić Whitney, aby zawracać sobie głowę karaniem pokojówki za impertynencję. Poza tym był w nastroju do kłótni, a konfrontacja z Mary przyniosłaby mu niewielkie zadowolenie.

Był w połowie drogi przez hol, zmierzając do wschodniego skrzydła, gdy pojął, co wydawało się inne w owym liście, który miał w kieszeni. Teraz poplamiony był jak gdyby kropelkami wody. Łzy... pomyślał z mieszaniną niesmaku i niemiłym poczuciem winy. Bardzo wiele łez.

Przez następne cztery dni księżną czekał, niczym tygrys w klatce, na powrót marnotrawnej ony. Był przekonany, że Whitney wróci, gdy zrozumie, że on nie zamierza jej ścigać, oszalały z trwogi z powodu jej szczególnego stanu. Będzie musiała wrócić. Kto bowiem udzieli schronienia zamężnej kobiecie, gwałcąc prawo Anglii? Ojciec Whitney mógł zapewne być tak wrażliwym człowiekiem, by nie odesłać jej do męża, do którego należała, pomyślał księżną, zmieniając nagle swój stosunek do Martina Stone'a.

Gdy nie wróciła piątego dnia, Claytona ogarnęła złość silniejsza niż wszystko, co czuł w całym swoim życiu. Przecie nie mogła składać komuś pięciodniowej wizyty! Na Boga! Whitney naprawdę go opuściła! Z trudem powstrzymywał furję. On mógł rozważyć opuszczenie jej albo odesłanie.

Przecie to on był stroną poszkodowaną. Poza tym w istocie tego nie zrobił. A Whitney to uczyniła! Widocznie wróciła do ojca, a ten głupi drań pozwolił jej zostać w domu.

Polecił, by przygotowano powóz i zaprzęgnięto konie.

– Chcę być u Martina Stone'a za sześć godzin! - rzucił stangretowi. -I ani minuty dłużej!

Patrząc na chytry uśmiech słuchającego, Clayton zastanawiał się, czy McRae nie kłamie, mówiąc, że nie wie, dokąd pojechała jej wysokość. Wszak to on opowiadał, że księżna poleciła mu zawieźć się do pierwszej stacji wymiany koni, gdzie, jak mówił właściciel owej stacji, wynajęła powóz. Cóż ona, u licha, robi, włócząc się po okolicy sama i nosząc jego dziecko? Mała idiotka! Uparta, doprowadzająca do furii, mała idiotka! Piękna mała idiotka.

Martin Stone wyszedł przed dom, by osobiście powitać gościa, i uśmiechał się z radością, gdy zięć wysiadł z powozu.

– Witam, witam - mówił wylewnie, patrząc wyczekująco ku otwartym drzwiczkom powozu. - Jak się miewa moja córka? Gdzie ona jest?

Księżnę poczuł gorzko.

– Whitney ma się doskonale, Martinie. Chciała, abym przyjechał i powiedział ci, że oczekujemy dziecka - odrzekł, improwizując szybko.

Martin Stone był przyzwoitym człowiekiem i księżnę nie chciał go denerwować przyznaniem się, że swym gburowatym zachowaniem wygnał jego córkę.

– Do domu Hodgesów! - rzucił stangretowi pół godziny później, bo dopiero wtedy nadszedł mu liwie najwcześniejszy moment, gdy mógł wyjść od Martina, nie wydając się śmiesznym ani nie budząc podejrzeń teścia.

Jednak Whitney nie było równie w zaciśnięciu „pana Westlanda” i McRae nie uśmiechał się, gdy jego pan cierpko polecił mu wracać do Claymore.

Zgodnie z wynikami śledztwa, które księżnę podjął następnego ranka, Whitney nie zatrzymała się tu u Archibaldów. W rzeczy samej zniknęła gdzieś między stacją wymiany koni a... nie wiadomo gdzie.

Clayton nie był już zły, był zaniepokojony. A kiedy doniesiono mu, że nie przepłynęła kanału La Manche, by dostać się do Francji, jego niepokój przemienił się w prawdziwą trwogę.

Samotny w swym eleganckim apartamencie, w tydzień po powrocie do Claymore i stwierdzeniu, że ony tam nie ma, rozważał możliwość, że pojechała do mężczyzny, który był kiedyś jej kochankiem. Prawdopodobnie ten drań przedtem nie mógł lub nie chciał dać jej swojego nazwiska, teraz jednak gotów był trzymać ją gdzieś starannie ukrytą do swej dyspozycji. Ta myśl dręczyła Clayтона i wprowadziła go we wściekłość, lecz tylko przez chwilę, gdy w purpurowym blasku pogłębiającego się zmierzchu księżnę naprawdę nie wierzył, że Whitney odeszła do innego mężczyzny. To mógł być efekt brandy, której pół

butelki wypił przez ostatnie dwie godziny, ale wydawało mu się... wydawało mu się, że Whitney dojrzała w miłości do niego. Maleńka... Przypomniawszy sobie, jak lubiła siedzieć zwinięta w fotelu w jego gabinecie całymi przedpołudniami, gdy on pracował, a ona czytała lub pisała listy albo przeglądała domowe rachunki.

Lubiła być blisko niego. I piekielnie lubiła być z nim w łóżku. adna kobieta na świecie nie topniałaby tak w jego ramionach, próbując wszelkimi sposobami dać mu tyle rozkoszy, ile on dawał jej, gdyby nie była tak szaleńczo zakochana.

Kochał ją rozpaczliwie tego dnia, gdy się pobrali, ale ona go nie kochała.

Wtedy go nie kochała. Jednak później na pewno... w miesiącach, które nadeszły potem, w owych wspólnych godzinach spokojnych rozmów, radosnego śmiechu i arliwej namiętności, z pewnością musiała go pokochać.

Clayton wstał i nerwowo przeszedł ze swego pustego, samotnego apartamentu do pokoju ony, który bez niej nie był ani ładny, ani ywy.

Whitney odeszła, a wraz z nią odszedł sens ycia. Wygnał ją. Złamał jej hart ducha i w końcu ją pokonał. A tak wiele miała odwagi! Tak piekielnej odwagi.

Stawiła czoło jego wściekłości owego dnia, gdy wyprowadziła swego konia, a potem otwarcie zbuntowała się przeciwko niemu, idąc na przyjęcie do Clifftonów w tej wspaniałej zielonej sukni, która sprawiła, że jej oczy nabrały barwy szmaragdu. I kiedy czekał tutaj, właśnie w tym pokoju, by jej to wyrzucić, tak e stawiła mu opór. adna kobieta na świecie oprócz Whitney nie ośmieliłaby się patrzeć mu w oczy tak odważnie i tak stanowczo nie zgadzać się na zamknięcie w jej pokojach, jeśli Clayton nie zostanie tam wraz z nią! I dlaczego chciałyby, eby z nią został, gdyby jej na nim nie zależało?

Wróciwszy do swego pokoju, ksiąę oparł się ramieniem o szerokie okno.

Wpatrując się w ciemną noc, pomyślał o tym, co powiedziała, kiedy nią potrzęsał, pragnąc, by zamilkła. „Nie mogę przestać - szeptała wtedy, cofając się przed jego brutalnym uściskiem. - Bo cię kocham. Kocham twój uśmiech i twoje oczy...”. Chryste! Jak zdołała mu to powiedzieć, gdy on rozmyślnie ją ranił?

„Dokładnie pamiętam, co czuję, gdy mnie pieścisz - powiedziała - i słowa, które mi szepczesz, gdy jesteś we mnie tak głęboko, e sięgasz mego serca”.

Clayton powoli wszedł do swojej garderoby i otworzył skórzane puzdro, gdzie le ały jego spinki do koszul. Wyjął rubinowy sygnet, który mu podarowała Whitney, i obrócił go w palcach, by zobaczyć wygrawerowany napis. Z głuchym westchnieniem przeczytał dwa drogie słowa: „Mojemu panu”.

Zawahał się, rozdarty między chęcią umieszczenia go na palcu teraz a oczekiwaniem, a ona to uczyni, jak tamtej nocy, gdy zostali mał eństwem.

Wsunęła mu wtedy ten pierścień na palec, a potem pocałowała jego dłoń i miękko przytuliła ją sobie

do policzka. Włózył sobie sygnet sam... nie chciał

czekać dłużej.

Teraz, gdy miał ten pierścień na palcu, tam gdzie powinien być, poczuł się lepiej, więc usiadł, wyciągnął przed siebie nogi i powoli sącząc brandy, wpatrywał się w milczeniu w wielkie łóżko, które z sobą dzielili. Wiedział, że musi wziąć się za bary z jej zdradą teraz, zanim ją odnajdzie. W przeciwnym razie, gdy tylko na nią spojrzy, jego furia znów wybuchnie i zniszczy ich oboje.

No dobrze, Whitney przed ich ślubem oddała się innemu mężczyźnie. Gdyby nie pozwolił sobie na przypuszczenia, kto był owym mężczyzną, stałoby się to łatwiejsze do zniesienia. Wszak on sam pozbawił Whitney dziewictwa i prawdopodobnie rzucił ją w ramiona tamtego innego mężczyzny. Czyją więc winą było to, że w chwili samotności i rozpaczony raz oddała się komuś innemu?

Raz. Pozwolił jej tylko na tyle... jeden raz. Z westchnieniem odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy. A może sto razy... bo jej nie miało dlań znaczenia, co robiła przedtem. Bez niej nie mógł stawić czoła nikomu.

Następnego dnia pełen dręczącego niepokoju Clayton jeździł konno wiele godzin. Dosiadł konia Whitney, gdy Khan należał tylko do niej, o czym sama wyniosła mu przypominała. W końcu dojechał do tego samego pasma wzgórz, gdzie przywiózł Whitney następnego dnia po jej przyjeździe do Claymore.

Zsiadłszy z konia, oparł się ramionami o ten sam pień, pod którym siedział

tamtego dnia, gdy Whitney spoczywała mu na kolanach, i wpatrywał się w dolinę, gdzie tańczyło olśniewające słońce, a potem spojrzał w stronę wijącego się w dole strumienia.

Siedząc ze zgiętym kolaniem, uderzał szpicrutą w cholewę buta, wspominając, jak Whitney pragnęła jechać dalej, bojąc się, że będzie chciał tutaj się z nią kochać. Bo że, to było prawie osiem miesięcy temu. Osiem miesięcy!

Osiem najwspanialszych, najcudowniejszych, najbardziej dręczących i najniezwyklejszych miesięcy jego życia.

Uśmiechnął się nieco smutno. Osiem miesięcy. Gdyby Whitney działała w taki sposób owej nocy, gdy przyjechała do Claymore, zostaliby małżeństwem w ciągu następnego tygodnia lub dwóch. A przecie upierała się, że będzie potrzebować ośmiu miesięcy, by poczynić wszystkie przygotowania do ślubu i...

Osiem miesięcy! Przeklinając pod nosem, zerwał się na równe nogi, mając chaos w głowie. Whitney chciała ośmiu miesięcy, aby móc należeć do niego i przygotować się do ślubu! Nawet ona nie była tak naiwna! Gdyby uważała, że spodziewa się dziecka, gdyby przyjechała do niego, ponieważ miała podstawy, by sądzić, że jest w ciąży, nie chciałaby czekać tych ośmiu przeklętych miesięcy!

Nienawidząc samego siebie z gwałtownością, która niemal pozbawiła go tchu, księżkę poganiał

rażczego konia do granic jego wytrzymałości. Whitney nie była tak naiwna, by chcieć czekać osiem miesięcy na ślub, gdyby przypuszczała, że jest w ciąży... ale z pewnością wystarczająco naiwna, by sądzić, że on uczynił

ją brzemienną tamtej nocy, kiedy ją zgwałcił. A przy tym wystarczająco dumna, by rozważyć wykorzystanie tego jako sposobu ściągnięcia na Claytona do niej i... wystarczająco uczciwa, by porzucić ten pomysł i sama przyjechać do Claymore.

– Zajmij się nim, niech ochłonie - rzucił stajennemu, ciskając cugle Khana zdumionemu sługaczemu i zaczął na poły iść, na poły biec w stronę domu. -I powiedz stangretowi, żeby zaprzęgał gniade i za pięć minut czekał przed domem! - zawołał przez ramię.

Dwie godziny później Emily Archibald otrzymała gładko sformułowane zaproszenie od Claytona, które słusznie uznała za „rozkaz”, by towarzyszyć jego sługaczemu do powozu mającego przywieźć ją do domu przy Upper Brook Street. Spełniła to polecenie z mieszanymi uczuciami troski i lęku.

Lokaj wprowadził ją do obszernej, wyłożonej dywanami biblioteki w bocznej części domu, gdzie księżka Claymore stał, wyglądając przez okno, odwrócony do niej plecami. Ku zaskoczeniu Emily nie powitał jej adnają ze swych

zwyczajowych serdeczności ani nie odwrócił się twarzą w jej stronę, gdy odezwał się chłodnym, obcym głosem:

– Czy przez następne pięć minut będziemy grzęznąć w uprzejmych banałach, czy te mogę od razu przejść do rzeczy?

Dreszcz strachu przebiegł Emily po plecach, gdy księżka Claymore powoli się odwrócił i spojrzał na nią badawczo. Nigdy przedtem nie widziała takiego Claytona Westmorelanda. Był, jak zwykle, absolutnie spokojny, ale emanował

bezwzględna determinacją. Emily stała w miejscu, wpatrując się w męża a Whitney z obawą.

Z krótkim, niemal szorstkim skinieniem głowy w stronę krzesła polecił, żeby usiadła. Opadła na nie, próbując postawić znak równości między tym człowiekiem a Claytonem, jakiego znała.

– Ponieważ najwyraźniej nie robi ci to różnicy, przystąpię do rzeczy.

Przypuszczam, że wiesz, dlaczego cię tu poprosiłem?

– Whitney? - szeptem wyraziła swój domysł Emily, lekko potrząsając głową i starając się kaszlnięciem pomóc wyschniętemu gardłu.

– Gdzie ona jest? - gwałtownie zażądał odpowiedzi Clayton, a potem wracając na chwilę do dawnej delikatności, dodał: - Nie przyjechałem do was wcześniej, gdy nie chciałem stawiać cię w sytuacji, w której musiałabyś zawieść jej zaufanie, a tak jest dlatego, że uważałem, że sam zdołam ją odnaleźć. Ponieważ stało się inaczej, muszę nalegać, żebyś mi to powiedziała.

– Aleja... ja nie wiem, gdzie ona jest! Nie pomyślałam, by zapytać, dokąd się wybiera. Nie przypuszczałam, e nie wróci tak długo. - Para chłodnych szarych oczu wpatrywała się w nią uwa nie, analizując tę odpowiedź i oceniając jej prawdziwość. - Wierz mi -mówiła dalej. - Teraz, gdy cię widzę, nie byłabym tak zawzięta, eby trzymać cię z dala od Whitney, gdybym wiedziała, gdzie ją znaleźć.

Książę wziął długi oddech i lekko skinął głową, a wyraz jego twarzy przestał

być ju tak chłodny i odpychający.

– Dziękuję - powiedział krótko. - Ka ę mojemu stangretowi odwieźć cię do domu.

Emily zawahała się, wciąż upokorzona tym wezwaniem i rozkazami, lecz wdzięczna, e ufał jej na tyle, by uznać to, co powiedziała, za prawdę.

– Whitney wyznała mi, e znalazłeś ten okropny list. - Z ironicznym uśmiechem potrząsnęła głową. - Wiesz, wtedy nie mogła się zdecydować, czy wysłać ci go jako do „szanownego pana", czy... Na urodziwej twarzy Claytona pojawił się ból i Emily uznała, e lepiej będzie zamilknąć.

– Przepraszam... nie powinnam o tym wspominać.

– Skoro najwyraźniej nie mamy przed sobą sekretów - odezwał się cicho książę - czy zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego Whitney w ogóle napisała ten list?

– Cóż, próbowała ocalić własną godność. Miała nadzieję, e zdoła w ten sposób przyciągnąć cię ku sobie. Sądziła, e po takim liście... Zakładam, e nawet rozważanie tego było z jej strony naprawdę okropne, ale...

– Jedyną „okropną" rzeczą, jaką Whitney zrobiła w całym swoim yciu, było poślubienie mnie - przerwał jej książę.

Gdy Emily wstała, by wyjść, w jej orzechowych oczach lśniły łzy.

– To nieprawda. Whitney cię uwielbiała... Whitney cię uwielbia, wasza wysokość.

– Jeszcze raz dziękuję - po egnął ją pokornie.

Długo po wyjściu Emily stał w bibliotece, czując, i upływają minuty i wiedząc, e z ka dą mijającą chwilą uraza i złość Whitney będą zamieniać się w nienawiść.

Tego wieczoru owdowiała księżna Claymore spokojnie jadła kolację ze swą synową, w myślach wymyślając starszemu synowi za jego opieszałość i brak troski o onę, która z ka dym dniem stawała się coraz bardziej przygnębiona, smutna i samotna. Gdy Whitney przyjechała do Grand Oak przed ośmioma dniami i zapytała, czy mo e tu zostać, a Clayton znajdzie czas, by przemyśleć ró ne sprawy, i po nią przyjedzie, Alicia Westmoreland rozważała nakłonienie młodej kobiety do natychmiastowego powrotu na właściwe miejsce u boku męża i nawet postanowiła na to nalegać. W bólu i determinacji Whitney było jednak coś, co przypominało owdowiałej księżnie ją samą sprzed wielu lat oraz ojca



Claytona, przemierzającego salon jej rodziców, gdzie znalazł onę po jej czterodniowej nieobecności.

– Natychmiast wsiądź do powozu - rozkazał jej wtedy, a potem dodał: - Proszę, Alicio.

Postawiwszy wówczas na swoim, Alicia Westmoreland posłusznie uczyniła to, o co ją poproszono.

Jednak Whitney była tu od ośmiu dni, a Clayton najwyraźniej nie zamierzał

po nią przyjechać. Starsza księżna Westmoreland pragnęła cieszyć się wnuczętami, a nie wiedziała, jak mogłaby je mieć, skoro tych dwoje zawziętych uparciuchów przebywało tak daleko od siebie. Doprawdy, cała ta sprawa jest absurdalna! Wszak jeszcze nigdy dwoje ludzi nie kochało się bardziej ni oni.

Było ju po deserze, gdy matce Claytona przyszła do głowy pewna myśl, która niemal poderwała ją z krzesła. Alicia Westmoreland posłała wiadomość Stephenowi do Londynu, by zjawił się u niej w liwie najwcześniej następnego dnia.

– Rzecz w tym - tłumaczyła rano niezadowolonemu, ale lekko rozbawionemu młodszemu synowi w czasie bardzo poufnej rozmowy - e nie jestem pewna, czy Claytonowi w ogóle przyszło na myśl, by szukać Whitney tutaj.

Zakładając, e chce po nią przyjechać.

Stephen, który był całkowicie nieświadomy oziębienia stosunków między mał onkami, błysnął ku matce figlarnym uśmiechem.

– Kochanie, to mi przypomina niektóre opowieści, jakie słyzałem o tobie i naszym ojcu.

Księżna wdowa posłała mia d ące spojrzenie kompletnie nieczułemu synowi i mówiła dalej:

– Chcę, byś odnalazł Claytona. Przypuszczam, e będzie w swoim domu w Londynie. I znajdź go dzisiejszego wieczoru, jeśli mo esz. Wspomnij mu delikatnie o pobycie Whitney u mnie, jakbyś zakładał, e o tym wie. Nie pozwól mu sądzić, e go ponaglamy, by po nią przyjechał. Jestem bowiem pewna, e Whitney odrzuci ka dą wymuszoną próbę pojednania.

– Dlaczego nie miałbym po prostu zabrać ze sobą Whitney z powrotem do Londynu i szepnąć tu i ówdzie, e jestem w niej szaleńczo zakochany? To dopiero rozpali Claytona. - Stephen się roześmiał.

– Stephenie, nie artuj sobie, to powa na sprawa. Oto, co mu powiesz...

O siódmej wieczorem tego samego dnia księ ę, na pół le ący w swoim fotelu w klubie, był tylko lekko zdumiony, gdy podniósłszy wzrok znał kart, ujrzał

swojego brata, który naprzeciwko niego układał etony, przygotowując się do gry. Spojrzał na Stephena z przezorną serdecznością. Nie chciał, by ten zapytał

go o Whitney, gdy nie mógłby mu wyznać, e tak źle potraktował onę, a tym bardziej nie zniósłby

opowiadania bratu o ochłodzeniu ich stosunków. Tak więc z uczuciem ulgi przyjął sposób, w jaki Stephen nawiązał rozmowę.

– Przegrywasz czy wygrywasz dziś wieczorem, wasza księżca wysokość?

– Ogrywa nas doszczętnie - odpowiedział dobrodusznie Marcus Rutheford. -

Od godziny idzie mu karta.

– Marnie wyglądasz, bracie - mruknął Stephen pod nosem.

– Dziękuję - odparł sucho księż, ciskając etony na stos pośrodku stołu, po czym wygrał tę partię i jeszcze dwie następne.

– Miło cię widzieć, Claymore - powiedział William Baskerville, rzucając ostro ne spojrzenie Claytonowi, który wyszedł tak nagle, gdy ostatnio grali tu w karty. Baskerville był ju niemal bliski uprzejmego zapytania o młodą księżnę, ale gdy ostatnim razem napomknął, e widział ją na przyjęciu u Cliftonów, wywołał nieporozumienie towarzyskie, więc teraz pomyślał, e lepiej unikać pytania o onę Westmorelanda. - Pozwolisz, e się przyłączę? -

zapytał więc zamiast tego.

– Nie mamy nic przeciwko temu - odpowiedział Stephen, gdy jego brat wydawał się nie słyszeć pytania. - Jest gotów ograć cię tak samo, jak ogrywa innych.

Księż obrzucił go łagodnie ironicznym spojrzeniem. Nie mógł zostać w domu, gdy niepokój doprowadziłby go do szaleństwa. A jednak wesoła paplanina Stephena i pozostałych graczy działała mu na nerwy, a siedział tu dopiero godzinę. Był ju bliski zaproponowania Stephenowi, aby obaj udali się na Upper Brook Street i pogrą yli w pijaństwie, które wydawało się bardziej odpowiednie dla jego stanu ducha, gdy młodszy brat odezwał się lekkim tonem:

– Właściwie nie spodziewałem się zastać cię tutaj. Sądziłem, e będziesz na tym małym przyjęciu, które mama wydaje dziś dla krewnych... - Tu Stephen, wybornie udając, e właśnie powiedział coś, o czym nie powinien był

wspominać, potrząsnął głową i dodał z zakłopotaniem: - Przepraszam, bracie, zapomniałem,

e skoro jest tam Whitney, która naturalnie zamierza uczestniczyć w przyjęciu, ty nie...

Baskerville, podsłuchujący tę rozmowę, zapomniał o swoim wcześniejszym postanowieniu.

– Czarująca młoda dama! Mówię o twojej małonce, Claymore -odezwał się ze zwykłą serdecznością. - Przekaj jej moje najserdeczniejsze pozdrowienia i...

- Niefortunnemu wielbicielowi szczęka opadła w wyrazie trwo nego zaskoczenia, gdy Clayton Westmoreland wyprostował się powoli i zeszywniał w fotelu. - Nigdzie jej nie widziałem - zapewnił pośpiesznie księcia.

Ale ten ju zerwał się na równe nogi i stał, spoglądając na młodszego brata z mieszaniną niedowierzania, zdumienia i jeszcze czegoś, czego nieszczęsny Baskerville z powodu zbytnej konfuzji nie potrafił nazwać. Potem zaś, nawet nie zgarniając ogromnej sterty etonów oznaczających kwotę jego wygranej ani nie egnąjąc się z nikim, jego wysokość obrócił się na pięcie i długimi krokami ruszył ku drzwiom.

– Powiadam ci - wyszeptał Baskerville do Stephena, gdy obaj obserwowali znikającą sylwetkę Claytona - naprawdę popełniłeś gafę! Mogłem cię uprzedzić... twój brat nie lubi, gdy ona uczestniczy w przyjęciach bez niego.

– Rzeczywiście - potwierdził Stephen, uśmiechając się szeroko. - Chyba tego nie lubi.

Podróż do Grand Oak, która normalnie zabierała cztery godziny, zakończyła się po trzech i pół od chwili, gdy Clayton wyruszył sprzed drzwi swojego klubu.

Whitney była u jego matki! U jego matki, na miłość boską! U jedynej na świecie osoby, która powinna mieć wystarczająco du o wyczucia, by kazać onie swego syna mieszkać z nim! Własna matka współuczestniczyła w poddawaniu go tej udręce!

Powóz zajechał przed rześcicie oświetlony pałac i Clayton przypomniał

sobie, e Stephen powiedział, i dziś odbywa się tu jakieś przyjęcie. Jednak on nie chciał witać się z krewnymi, chciał zobaczyć onę! Nie przywiózł

wieczorowego stroju i nawet nie przyszło mu do głowy, by wcześniej wejść do własnego domu, eby się przebrać. Zresztą nie traciłby czasu na przebranie się, nawet gdyby o tym pomyślał. Miał wielką ochotę porozmawiać z matką ojej perfidii, zanim ruszy na poszukiwania Whitney. Miał ochotę, ale nie zamierzał

tego robić.

– Dobry wieczór, wasza wysokość - powitał go stary lokaj rodziny.

– Niech to szlag trafi! - warknął Clayton, sztywno mijając ura onego słu ącego, by zajrzeć do zatłoczonego salonu.

Wydawało się, e byli tam wszyscy krewni, jakich miał- Oprócz Whitney.

Zobaczył jednak swoją matkę, która ruszywszy w jego stronę, rozjaśniła się w uśmiechu. Clayton skierował ku niej tak lodowate spojrzenie, e księ na Alicia zatrzymała się w miejscu. Potem odwrócił się i ruszył ku schodom.

– Gdzie moja ona? - zapytał surowo pokojówkę, gdy znalazł się w holu na piętrze.

Stał, wahając się, przed wskazanymi drzwiami, z ręką na kutej w brązie kłamce i sercem przepelnionym jednocześnie ulgą i lękiem. Nie miał pojęcia, jak Whitney zareaguje na jego widok, nie wiedział, co jej powiedzieć, ale w tej chwili liczyło się tylko to, by mógł ją zobaczyć i nacieszyć

nią oczy.

W końcu wszedł cicho do pokoju i potem zamknął za sobą drzwi. W głębi Whitney, odwrócona plecami, siedziała w dużej, zrobionej z brązu wannie. Za nią zaś pokojówka trzymała mydło i ręcznik. Clayton stanął jak zahipnotyzowany.

Chciał podejść do Whitney i, nagą i moką, wziąć ją w ramiona, otulić własnym ciałem, zanieść do łóżka i zatracić się w niej, a jednocześnie nie czuł

się godny nawet tego, by z nią rozmawiać, nie wspominając o tym, by jej dotknąć. Nie był godny. Drugi raz potraktował ją z brutalnym okrucieństwem i nie przypuszczał w ogóle, że jest do niego zdolny. Bo e! Nosila pod sercem jego dziecko, a on ani razu nie zapytał, jak się czuje. Jak ta krucha dziewczyna zdołała znieść ciężar takiego okrucieństwa, nie czując doń nienawiści, na którą przecie zasługiwał? Clayton wziął długi, bolesny oddech.

Clarissa podniosła wzrok i ujrawszy księcia, który podchodził do wanny, podwijając rękawy koszuli, rzuciła mu srogie spojrzenie. Otworzyła już usta z wyraźnym zamiarem otwartego powiedzenia mu - księżo, nie księżo - paru słów prawdy, ale Clayton uprzedził ją, odprawiając krótkim skinieniem głowy.

Służąca niechętnie wręczyła mu mydło i ręcznik, po czym cicho wyszła.

Z tkliwą delikatnością namydlił plecy Whitney, starając się, by jego dotyk był lekki, a dłonie pozostawały poza zasięgiem jej wzroku.

- Cudownie, Clarisso... - wymruczała Whitney, pochylając się do przodu i namydając sobie nogi.

Zwykle służąca zostawiała ją w kąpeli samą, ale ostatnio stała się tak niespokojna i troskliwa, że Whitney nie zastanawiała się zbyt nad ową niezwykłą, dodatkową dbałością.

Śliska i lśniąca kropelkami spływającej po niej pachnącej wody Whitney podniosła się i wyszła z wanny. Zaczęła się odwracać, by wziąć ręcznik, lecz Clarissa w swej nadmiernej opiekuńczości już ją delikatnie wycierała.

Clayton osuszył ręcznikiem jej kark, ramiona i gładkie plecy.

- Dziękuję, Clarisso, sama to zrobię. Kolację zjem tutaj, a potem się ubiorę i zejdę na dół do...

Whitney, odwróciła się i gdy sięgnęła po ręcznik, krew odpłynęła jej twarzy.

Zachwiała się niepewnie na widok urodziwego, poważnego mężczyzny, który bez słowa nadal wycierał jej ciało. W stanie całkowitego odrętwienia stała, nie mogąc się ani poruszyć, ani odezwać. Gdy Clayton osuszał jej biodra i brzuch, Whitney niewyraźnie zdała sobie sprawę z tego, że jego dłonie zatrzymały się tam niemal niezauważalnie dłużej, chociaż jej nie pieściły. Clayton, który znalazł się tutaj... już nie był na nią zły... ale się nie odzywał. Nie uśmiechał się do niej. Nawet nie dotykał jej jak męża, lecz niemal jak... jak służącego. Sługa!

Gardło Whitney zacisnęło się boleśnie, gdy zrozumiała, co on robi. Zachowywał

się niczym sługa, wybrawszy taki sposób ukorzenia się przed nią.

Jego dłonie były delikatne i czułe, gdy skłonił ją, eby usiadła na krześle obok wanny i nie podnosząc wzroku, ukląkł na jedno kolano i troskliwie zaczął

wycierać jej nogi.

– Claytonie... - wyszeptała zduszonym głosem. - Nie...

Nie słuchając jej tkliwego błagania, nadał wykonywał swą uni oną posługę, mówiąc jednocześnie stanowczym tonem:

– Jeśli kiedyś pomyślę, e choćby rozwa asz zamiar pozostawienia mnie, to bez względu na słusność twoich powodów ka ę cię zamknąć w twoich pokojach i zabarykadować drzwi. Tak mi dopomó Bóg!

– Zostaniesz tam zamknięty wraz ze mną? - zapytała Whitney, dr ącym głosem.

Uniósł jej stopę i czule poło ył na niej policzek, a potem ucałował palce.

– Tak - szepnął.

Wstał, podszedł do szafy, wyjął z niej błękitny jedwabny peniu-ar i podał go onie, czekając, a wsunie ręce w rękawy. Stała nieruchomo niczym lalka, gdy sięgnął za jej plecy, przeciągając do przodu i zawiązując pasek w talii. Bez słowa pochylił się, wziął Whitney na ręce i zaniósł do krzesła przy niewielkim stoliku, gdzie czekało na nią jedzenie, po czym usiadł i kołysząc ją na kolanach, uniósł srebrną pokrywę z przyniesionej tacy. Kiedy Whitney zrozumiała, e mą zamierzają karmić, nie zdołała znieść tego dłu ej.

– Nie... - powiedziała miękko, oplatając rękami silne ramiona Clayтона i kryjąc twarz w zagłębieniu jego szyi. - Proszę, proszę nie rób tego. Tylko do mnie mów. Proszę, mów do mnie.

– Nie potrafię - wyszeptał w jej lśniące włosy, z udręką biorąc długi oddech. -

Nie mogę znaleźć słów.

Ten otwarty ból w głosie mę a napełnił łzami oczy Whitney, która uniosła głowę i popatrzyła na niego uwa nie.

– A ja potrafię - odrzekła zduszonym głosem. - Ty nauczyłeś mnie tych słów...

kocham cię. Kocham cię.

Przegarniając palcami włosy ony, Clayton ujął w dłonie jej twarz.

– Kocham cię - wyszeptał ochryple. - Bo e! Jak ja cię kocham.

W migotliwym blasku świec wskazówki zegara z połączanego brązu wiszącego na wprost lóka po drugiej stronie pokoju właśnie wskazały wół do drugiej. Clayton spojrział tkliwie na onę, która przytuliwszy się czule, spała w jego ramionach z głową spoczywającą ufnie na jego nagim torsie. Odsuwając łagodnie niesforny lok z policzka Whitney, przyciągnął ją bliżej i musnął wargami jej czoło.

– Kocham cię - westchnął cicho.

Wiedział, e Whitney śpi i nie słyszy go, ale musiał powtórzyć te słowa ponownie.

Mówił jej to tego wieczoru w myślach, ilekroć w łapczywym pragnieniu lub bolesnej tkliwości jego wargi dotykały wilgotnej miękkości jej ust. Te słowa były pieśnią, którą śpiewało jego serce, gdy Whitney dręła pod nim i wyginała się słodko, wychodząc naprzeciw jego pragnieniu; melodią, która osiągnęła strzeliste crescendo, gdy doprowadził ją do szczytu ekstazy i tam się z nią połączył.

– Ja te cię kocham - szepnęła sennie jego ona, wtulając się weń jeszcze mocniej.

– Śpij, kochanie, śpij - szeptał Clayton.

Bez końca pozostawał w niej tej nocy, rozmyślnie odwołując ów finałowy, najpiękniejszy moment, a oboje szaleli z pragnienia. Po tak długim, tak przedłu anym kochaniu, chciał, by odpoczęła.

– Co cię zatrzymało tyle czasu? - spytała cicho.

Pochylając głowę, by lepiej widzieć twarz ony, Clayton się roześmiał.

– Nie mogę uwierzyć, byś miała na myśli to, co, jak sądzę, masz na myśli.

Najpierw wydawała się zdumiona, potem zaś oblała się rumieńcem i odwróciła głowę.

Zaskoczony i zaintrygowany reakcją Whitney, Clayton uniósł ku górze jej podbródek.

– Co miałaś na myśli? - zapytał łagodnie.

– To... to bez znaczenia. Naprawdę.

– Myślę, e cokolwiek to jest, znaczy dla ciebie bardzo wiele - odrzekł cicho, spoglądając w jej podkrę one z alu oczy.

Whitney ałowała, e cokolwiek mówiła. Nie uczyniłaby tego, gdyby nie ból, doskwierający jej niczym rana, która nie przestawała dokuczać. Wiedząc, e Clayton będzie nalegał na odpowiedź, odezwała się ledwie słyszalnym szeptem:

– Marie...

– O co chodzi z Marie?

– Czy to ona była powodem, e potrzebowałeś tak du o czasu, by po mnie przyjechać?

Oplatając ją ramionami jeszcze ciaśniej, jakby w ten sposób mógł wchłonać część bólu, którego jej przysporzył, Clayton uśmiechnął się krzywo.

– Kochanie - wyznał — powodem, dla którego trwało to tak długo, był fakt, i czterdziestu ludzi nie mogło trafić na twój ślad. Ja zaś, choć niewątpliwie powinienem wiedzieć to lepiej, nie pomyślałem o własnej matce, jako ewentualnej współuczestniczce spisku uknutego, by trzymać moją onę z dala ode mnie.

– A ja sądziłam, e to będzie pierwsze miejsce, o jakim pomyślisz, mając dość czasu, by zastanowić się nad wszystkim.

– No có , nie było - odrzekł Clayton cicho. - Ale równie nie „zastanawiałem się nad wszystkim" w pobli u Marie St. Allerman, o co, jak przypuszczam, próbujesz mnie zapytać.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Zielone oczy Whitney pełne były łez, gdy spojrzała na niego i uśmiechnęła się z dr eniem.

– Dziękuję - wyszeptała po prostu.

– Bardzo proszę - odparł Clayton, tkliwie całując jej uniesioną twarz i przesuważac palcem po subtelnej linii policzka. - A teraz śpij, ukochana. W

przeciwnym razie to łó ko zostanie u yte ponownie.

Whitney posłusznie zamknęła oczy i wtuliła się w jego ramiona. Koniuszki jej palców przesunęły się lekko ku włosom na skroni Clayтона, a kilka minut później ześlizgnęły wzdlu ramienia na jego tors. Poczul natychmiastową odpowiedź swego ciała i próbował zapanować nad rosnącą namiętnością, którą Whitney mimowolnie rozbudziła swoją senną pieszczotą. Kiedy zaś dłoń ony zsunęła się ni ej, chwycił ją zdecydowanie, by nie zabłądziła dalej. Wydawało mu się, e usłyszał króciutki śmiech, gdy Whitney zapadła w pozorny sen, muskając ustami jego ucho.

Odchylając się do tyłu, Clayton spojrzał podejrzliwie na jej twarz. Wcale nie spała, a jej oczy błyszczały miłością.

Szybkim, zwinnym ruchem odwrócił ją na plecy i wcisnął w poduszki.

– Nie mo esz powiedzieć, e cię nie ostrzegałem - szepnął ochrypłym głosem.

– Nie powiem.

Kiedy się obudziła, Claytona nie było i przez jedną straszną chwilę myślała, że jej się przyśniło, i kochał się z nią ostatniej nocy. Z ciężkim sercem obróciła się na plecy... i wtedy go zobaczyła. Ubrany w szlafrok koloru czerwonego wina, który słuchający widocznie przyniósł mu tutaj wraz ze srebrną tacą z poranną kawą stojącą teraz na stoliku, siedział przy oknie w odległości kilku kroków od łóżka.

Ciężkie zasłony były częściowo rozsunięte i odsłaniały jasnoblękitne, bezchmurne niebo, ale w przeciwieństwie do owego radosnego lipcowego poranka, urodziwa twarz Claytona wydawała się bardzo mroczna, jakby myślami przebywał gdzieś daleko. Whitney z niepokojem zastanawiała się, co spowodowało takie zamyślenie mężczyzny, skoro kilka godzin temu wydawał się tak serdeczny i namiętny.

Sięgając po błękitny jedwabny peniuar, który miała na sobie poprzedniej nocy, przeszła po orientalnym dywanie i zatrzymała się obok Claytona. Był tak zamyślony, że aż drgnął, gdy dotknęła jego ramienia.

– Kiedy nie było cię w łóżku, gdy się obudziłam, pomyślałam, że tylko mi się przyśniłeś ostatniej nocy.

Wyraz twarzy Claytona złagodniał. Objął onę i łagodnie posadził ją sobie na kolanach.

– Jak się czujesz? - zapytał, otaczając ramieniem jej talię.

– Czuję się zaskakująco dobrze jak na kobietę w moim stanie -zaartowała, próbując poprawić mu nastrój. - Jeśli jednak pozostanę samotna dłużej niż kilka minut, ujawnię szokującą skłonność do zapadnięcia w sen.

– A jak się miewa maleństwo? - zapytał czule, przesuwając palcami po jej brzuchu.

– Teraz, gdy jesteś z nami, oboje czujemy się wprost doskonale - zapewniła go Whitney.

Clayton z zadowoleniem skinął głową, ale jego twarz znów spowaśniała.

– Siedziałem tutaj, rozmyślając... - zaczął wyjaśniać.

– Nie podoba mi się, gdy to robisz - zaprotestowała Whitney, wygładzając palcami bruzdy na jego czole.

– Nie podoba ci się, gdy co robię?

– Gdy myślisz o sprawach, które marszczą ci czoło.

– Przepraszam...

– No dobrze, tym razem ci wybaczę, ale przestań rozmyślać.

Clayton uśmiechnął się do Whitney, lecz zignorował jej zdecydowane wysiłki, by zachowywać się tak, jakby za sprawą minionej nocy wszystko między nimi zostało już wyjaśnione.



– Po przebudzeniu uświadomiłem sobie, e ani cię nie przeprosiłem za moje niewybaczalne zachowanie, ani nie wyjaśniłem ci jego powodów, a muszę zrobić jedno i drugie.

Whitney spowa niała, skinęła głową i pozwoliła mu mówić.

– Jak ju wiesz, kiedy posłałaś mnie na górę, abym przyniósł ci z sekretarzyka list od cioci, znalazłem inny list... niedokończony. Widniała na nim data dnia poprzedzającego twój przyjazd do mnie, do Claymore, a pisałaś w nim, e obawiasz się, i jesteś w cią y.

– Skąd się dowiedziałeś, e zrozumiałam, i znalazłeś ten list?

– Przedwczoraj porzuciłem wszelką godność i posłałem po twoją przyjaciółkę, Emily Archibald, by albo ją przekonać, albo zmusić, eby wyjawiała mi, gdzie jesteś.

– Biedna Emily. Nie mogła ci tego powiedzieć, poniewa nie wspomniałam jej, dokąd zamierzam pojechać.

– Tak właśnie mówiła i uwierzyłem jej. Wyjawiała mi jednak to, co wiedziała, a mianowicie, e uświadomiłaś sobie, i znalazłem ten niedokończony list.

Whitney skinęła głową.

– Kilka dni po tym, jak go znalazłeś, zrozumiałam, e właśnie z powodu owego listu tak mnie potraktowałeś.

– Dlaczego więc, na miłość boską, nie porozmawiałaś ze mną o tym liście i przysporzyłaś nam obojgu takiej udręki?

– Chciałabym tobie zadać dokładnie takie samo pytanie - odparowała surowo Whitney z pełnym wyrzutu spojrzeniem. - Dlaczego ty nie porozmawiałeś ze mną, gdy tylko go znalazłeś?

Clayton przyjął ten wyrzut z pokorą.

– Rozumiem, o co ci chodzi.

– Cieszę się - odpowiedziała znacznie łagodniej - gdy to jest właśnie owa kwestia, którą chciałam rozstrzygnąć, kiedy wyjechałam z domu. Dwukrotnie podejrzewałam mnie o zrobienie czegoś bardzo złego i w obu wypadkach nie chciałaś mi powiedzieć, o jakie przestępstwo chodzi, abym mogła próbować ci cokolwiek wyjaśnić. Pierwszy raz postąpiłaś tak, gdy wyciągnęłaś mnie z przyjęcia u Emily i przywiozłaś do Claymore; drugi zaś, kiedy znalazłeś ten list. Wybaczyłam ci tamten pierwszy raz i wybaczę ostatni, ale chciałabym cię prosić, abys w zamian...

– Wszystko, co zechcesz - przerwał jej Clayton, dr ąc z bólu na wspomnienie swojej wcześniejszej niegodziwości.

– Wszystko? - droczyła się, próbując rozwiąć jego przygnębienie. - Dopóki znowu nie znajdzie się jakiś powód?

Oparł brodę na głowie Whitney.

– Wszystko - zapewnił czule i zarazem dobitnie.

– W takim razie proszę, byś zło ył mi obietnicę, e ju nigdy nie odmówisz mi prawa odpowiedzi na wszelkie oskarżenia o moje niegodne prowadzenie się, jakim dasz wiarę w przyszłości.

Unosząc głowę, Clayton spojrział na Whitney. W układzie jej smukłych ramion i pochyleniu brody widać było hart ducha i odwagę, choć w cudownych zielonych oczach i łagodnym uśmiechu jaśniała delikatność. Niegodne prowadzenie się? Była wcieleniem szczerości i uczucia; urzekającym połączeniem kobiecej mądrości, całkowitej niewinności i męnego uporu.

Otworzyła przed nim świat szczęścia, a niebawem miała go równie obdarzyć dzieckiem. Pragnął, by poprosiła o coś wspanialszego albo postawiła przed nim jakieś niewykonalne zadanie, aby mógł zasłużyć na jej wybaczenie. Ona jednak chciała tylko zwykłej obietnicy. Ponieważ to on był wszystkim, czego pragnęła.

Ta świadomość napełniła Clayтона takim uczuciem, e niemal stracił głos.

– Daję ci słowo, e ju nigdy tego nie zrobię - zapewnił ją powaźnie i pokornie.

– Dziękuję - odpowiedziała po prostu Whitney.

Clayton uniósł ku górze jej twarz i przypieczętował obietnicę pocałunkiem.

Całkowicie usatysfakcjonowana takim podsumowaniem dyskusji, nie mówiąc ju o intensywności pocałunku między nimi, Whitney z zadowoleniem oparła się policzkiem o jego pierś. Pragnęła zapomnieć o tamtym pechowym liście i nieszczęściu, jakie spowodował.

Clayton jednak nie był jeszcze gotów do zakończenia tej rozmowy.

– Jeśli zaś chodzi o ów list... - zaczął.

Whitney oddaliła ten temat niedbałym gestem ręki.

– Nie musimy wracać do niego. Wybaczyłam ci, kochanie, więc rzecz jest wyjaśniona i zapomniana.

Clayton uśmiechnął się, widząc jej wspaniałomyślność.

– Doceniam twoją wielkoduszność, nie jestem jednak pewien, czy dobrze rozumiem, co miałaś nadzieję uzyskać, gdybyś mi go wysłała.

Nie mając ochoty, by się nad tym rozwodzić, Whitney rzuciła okiem na kominkowy zegar, uświadomiła sobie, e jest późno i wysuwając się z jego ramion, wstała.

– Naprawdę powinniśmy pojawić się na dole, gdy wszyscy zasiądą do śniadania. W przeciwnym razie niektórzy goście wyjadą i twoja matka będzie niezadowolona, e nie przyszedłeś, by ich po

egnać.

Ksią ę nie miał ochoty na adne inne towarzystwo oprócz ony, ale mając na względzie swoje niedawne zachowanie, nie chciał odmawiać nawet najmniejszej prośbie Whitney. Wstał więc tak e, lecz nie porzucił tematu.

– Co myślałaś, pisząc ten list? - nalegał na odpowiedź.

– Nie myślałam wtedy zbyt jasno, ale po tym, jak zachowałam się wobec ciebie na weselu Emily... i po tym, jak ty później potraktowałeś mnie publicznie... bałam się, e zignorujesz ka dy gest, który uczynię w twoją stronę. Pisząc ci więc, e obawiam się, i jestem w cią y - kończyła, zmierzając do dzwonnka, by wezwać Clarissę - próbowałam sprawić, abyś nie enił się z Vanessą, zanim zdołam wszystko ci wyjaśnić i powiedzieć, e cię kocham. Staralam się te ocalić własną ambicję, skłaniając cię, byś przyjechał do mnie, ebym nie musiała sama jechać do ciebie.

– Gdybyś wszak e przysłała mi ten list, ukochana, nie osiągnęłabyś adnego ze swoich celów.

Whitney odwróciła się ku niemu zaskoczona.

– Chcesz przez to powiedzieć, e po prostu zignorowałbyś go i wyrzucił?

– Nie sędzę, abym był w stanie zignorować go lub wyrzucić, ale zapewniam cię, e ta wiadomość nie poruszyłaby mnie zbyt głęboko.

– Jestem zdumiona, słysząc to - powiedziała Whitney z pewnym rozczarowaniem. - Nie poczuwałbyś się do najmniejszej odpowiedzialności?

– Za co?

– Za to, e zaszłam w cią ę tamtej nocy, gdy porwałeś mnie z przyjęcia u Emily i siłą przywlokłeś do Claymore.

Clayton zdołał zachować powagę w głosie, ale uśmiech ju dr ał w kącikach jego ust.

– Rozumiem twoje motywy i pochwalam szczerść, tylko e twój plan miał

jeden zasadniczy bład. Był to taki sam bład jak ten, który spowodował, e zareagowałem niczym nieprzytomny szaleniec, gdy znalazłem ten list w twoim sekretarzyku.

– Cóż to za bład?

– Tamtej nocy, gdy przywiozłem cię do Claymore, nie mogłem zostać ojcem twojego mitycznego dziecka. Nasze zbli enie było wtedy niezwykle krótkie i nie zostało doprowadzone do końca.

Przez wszystkie miesiące, jakie upłynęły od dnia ich ślubu, Clayton nauczył

ją wiele o sztuce kochania, ale nie zdawała sobie sprawy, e istniały niezbędne warunki, które

kierowały poczęciem.

Oczy Whitney pociemniały, gdy dotarły do niej wa kie skutki owego odkrycia.

– A więc... - wyszeptła i umilkła przera ona.

– A więc - dokończył za nią Clayton - kiedy przeczytałem twój list, przypuszczałem, e zaszłaś w cią ę z kimś innym. List był napisany dzień wcześniej, nim nagle i niespodziewanie przyjechałaś do Claymore, by wyznać mi swoją miłość, i wystarczył jeden mały błąd w moim rozumowaniu, bym doszedł do wniosku, e nie przyjechałaś do mnie wiedziona uczuciem, lecz desperacką potrzebą znalezienia mę a, który mógłby uznać twoje dziecko.

– Wielki Bo e... -jęknęła Whitney ze zbiełałą twarzą - nie wiedziałam, nie wyobra ałam sobie, e mogłeś pomyśleć, i ktoś inny jest ojcem mojego dziecka... albo e mógłbyś mieć powód, by wątpić w prawdziwe motywy mojego przyjazdu do Claymore. Skoro w to zwątpiłeś, mogłeś zacząć kwestionować wszystko, co od tamtej chwili mówiłam lub robiłam, i...

Zatrwo ony jej nagłą bladością, Clayton chwycił Whitney w ramiona.

– Nie myśl ju o tym. Powiedziałem to tylko dlatego, aby ci wyjaśnić, e nie jestem takim potworem, za jakiego musiałaś mnie uwa ać.

Whitney poło yła dłoń na policzku mę a, a jej zielone oczy załśniły łzami.

– Tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro.

– Whitney, miłości moja - odezwał się z udaną surowością. -Zabraniam ci wylać choć jedną łzę lub poświęcić choć jedną chwilę na al z tego powodu.

Podjęła wymuszoną próbę, by odpowiedzieć mu uśmiechem.

Przera ony, e Whitney albo nie mo e, albo nie chce porzucić tego tematu, Clayton starał się znaleźć jakiś powód, by jednak to uczyniła.

– Pomyśl o swoim synu, kochanie. To naukowo dowiedziony fakt, e nastrój matki w czasie cią y wpływa na charakter dziecka. Czy chcesz, by następny ksią ę Claymore był płaczkliwym, choć wojowniczym chłopcem?

Sugestia, e dziecko Claytona mogłoby być tak niepodobne do niego, sprawiła e twarz Whitney rozjaśniła się wesołością.

– Nie - odrzekła, potrząsając głową.

Kiedy zaś mą odpowiedział jej rozbawionym spojrzeniem, pokazując, i wcale nie przejmuje się ewentualnym wpływem jej niedawnego nastroju na charakter dziecka, Whitney popatrzyła na niego podejrzliwie.

– To, co mówiłeś o wpływie mojego nastroju na dziecko, to nieprawda, czy nie?

– Nie mówmy ju o tym - odrzekł z artobliwą skruchą.

Namacalna bliskość Claytona połączona z dreszczem, o jaki przyprawiał ją uścisk jego ramion, poprawiła nastrój Whitney. Z uczuciem beztroskiej lekkości obdarzyła go radosnym uśmiechem.

– To twoja córka może okazać się płaczliwa, a jednocześnie krnąbrna i uparta, jeśli twój naukowo dowiedziony fakt jest rzeczywiście bezsporny.

Ksią ę wydawał się oszołomiony.

– Córka? Czy kobieca intuicja mówi ci, że to będzie dziewczynka?

Tłumiąc chichot, Whitney potrząsnęła głową i poprawiła Claytonowi kołnierz szlafroka.

– Powiedziałam tak z czystej przekory.

– Ale... ale źle zrozumiałaś moją reakcję, bo uwielbiałbym dziewczynkę.

– Lecz pragniesz dziedzica tytułu.

– Nie myślałem o tym - skłamał, całując ją. - Jeśli to jednak dziewczynka, będę musiał wytrwale przywoływać na ten świat dziedzica, robiąc to z jeszcze większym zapalem i tak długo, a się pojawi... albo dopóki nie wyrzucisz mnie ze swego łóżka, błagając, bym przestał się do ciebie zalecać.

– Jeśli zamierzasz czekać, a to nastąpi, to szczerze się obawiam, że będziesz miał bardzo, bardzo dużą rodzinę...

– ...co uczyniłoby moją matkę najszczęśliwszą kobietą na świecie - dokończył

Clayton ze śmiechem.

– Uczynisz ją szczęśliwą tego ranka - odrzekła Whitney, gdy do drzwi zapukała Clarissa - kiedy powiemy jej o dziecku.

Ksią ę wciąż był nieco obrażony na matkę za trzymanie Whitney z dala od niego.

– Właściwie to - oświadczył kwaśno - powinienem kazać jej czekać aż do popołudnia.

## Rozdział 37

Słyszac wesołe głosy i powitania, jakie biegły ku niemu ze wszystkich stron, Clayton przypuszczał, że jego krewni dobrze się bawią i są w wybornych nastrojach. W jadalni księżna Alicia przydykowała za stołem ze śniadaniem, a kiedy zobaczyła radosną minę Whitney jej własną twarz równie rozjaśnił

uśmiech, który jednak przygasł nieco, gdy Clayton, wycisnąwszy na czole matki krótki pocałunek, odezwał się cichym głosem:

– Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności, zanim usiądziemy do śniadania.

– Oczywiście - odrzekła, wstając i przepraszając gości.

Chocia ramiona miała wyprostowane, a głowę uniesioną wysoko, to jednak gdy prowadziła syna do małego słonecznego saloniku wychodzącego ku ogrodowi na tyłach domu, czuła się niemal jak niesforne dziecko, które właśnie ma otrzymać niemłą reprimendę od guwernantki. Była tym tak pochłonięta, e dopóki się nie odwróciła, zamykając drzwi pokoju, aby mogli porozmawiać bez świadków, nie uświadamiała sobie, e Whitney podą a za mę em.

Księżna Alicia nie tylko pokonała dziecinne obawy, ale poczuła słuszne oburzenie. Wszak nie popełniła adnego niewybaczalnego występku. W rzeczy samej jedynie ofiarowała schronienie własnej synowej!

Przyjąwszy tę taktykę, odwróciła twarz do syna.

– Wnosząc z twego lodowatego powitania wczoraj wieczorem -powiedziała sztywno - domyślam się, i jesteś niezadowolony, e udzieliłam Whitney gościny. Nie mam pojęcia, co uczyniłeś, e uznała, i nie mo e pozostać pod twoim dachem, gdy twoja ona jest nazbyt lojalna w stosunku do ciebie, eby rozmawiać o takich rzeczach nawet ze mną. Jestem jednak przekonana, e skoro postanowiła wyjechać z Claymore od ciebie, musiałeś zrobić coś naprawdę bardzo złego! Zatem odmówienie Whitney schronienia w moim domu byłoby niewybaczalne, niesprawiedliwie i... nieludzkie.

Clayton prosił o tę rozmowę na osobności tylko dlatego, by móc oznajmić matce, e jej najczulsze marzenie niedługo się spełni; miała zostać babcią.

Poniewa wspaniałomyślnie postanowił nie czynić jej wyrzutów z powodu roli, jaką odegrała w trzymaniu Whitney z dala od niego, był teraz zarówno zaskoczony, jak i rozbawiony, sam otrzymując reprimendę. Co więcej, nie przypominał sobie innej chwili w całym swym dorosłym yciu, gdy matka była nie tylko gotowa do obrony, lecz i wzburzona.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Doprawdy? - zawahała się Alicia.

– W rzeczy samej.

Była tak zaskoczona, e natychmiast przestała udawać urazę.

– Ach tak. To bardzo... - przerwała, a potem skłoniła głowę w geście, który mógł być zarówno przepaszający, jak i królewski -...bardzo szlachetnie z twojej strony. Spodziewałam się raczej jakichś wymówek.

– Tak sądziłem - przyznał kwaśno Clayton.

Alicia zrobiła krok do przodu i szybko wzięła go w objęcia.

– Bardzo jestem rada, e odbyliśmy tę krótką rozmowę - powiedziała - ale muszę wracać do salonu. - Teraz, gdy wszystko zostało wyjaśnione, odzyskała pogodę ducha, którą w niej podziwiano, wszelką troskę kierując ku dobremu samopoczuciu swoich gości. -Langford bardzo się ucieszy, e tu jesteś. Pytał o ciebie - mówiła dalej do syna. - Ach, i pewnie nie widziałeś jeszcze Stephena, który przyjechał pół godziny temu z czwórką przyjaciół.

Poszli nacieszyć się wspaniałą pogodą i obejrzeć ogrody, gdzie najlepiej prezentują się ró e.

– Stephen nie lubi zapachu ró - zauwa ył Clayton.

Alicia doskonale wiedziała, e jej młodszy syn nie przyjechał do Grand Oak, by oglądać ró e, lecz po to, by się przekonać, jak powiódł się spisek. Przyjaciół

zaś przywiózł po to, by ukryć swój prawdziwy zamiar. Przybył bowiem równie , eby zrobić wszystko, co w jego mocy, by przyczynić się do pojednania brata i bratowej, gdyby wcześniej do niego nie doszło. Księ na, nagle zatroskana, e Clayton mógłby się jakoś domyślić, e Stephen i ona pozostawali w zмовie, obróciła się ku drzwiom i wyrzuciła z siebie szybki monolog.

– Byłam kompletnie zaskoczona, gdy pojawił się ze swoim towarzystwem, lecz poczułam równie ogromną ulgę, gdy rano przybył tu z nieoczekiwaną wizytą Landsberry i jego córka, lady Emily. Gdyby nie było tu Stephena i jego przyjaciół, lady Emily nie miałyby nikogo poni ej pięćdziesięciu lat, z kim mogłaby pogawędzić. Skoro ju o niej mowa... jest śliczna.

Sięgając do klamki, spojrzała przez ramię i dopiero wtedy zobaczyła, e syn i synowa patrzą na nią z radością, ale adne z nich nie robi ani kroku.

– Idziemy? - spytała wesoło.

– Chyba powinnaś zaczekać, a ci wyjawię, dlaczego chciałem z tobą porozmawiać - odezwał się łagodnie Clayton.

Alicia spojrzała na niego z nagłą uwagą.

– Sądziłam oczywiście, e chcesz mnie zbesztać za to, e nie odegrałam bardziej aktywnej roli w pojednaniu Whitney z tobą - powiedziała, nieodwracalnie burząc swój wcześniejszy wizerunek niewzruszonej niewinności.

– Prawdopodobnie powinienem to zrobić - odrzekł, śmiejąc się, jej syn. -

Myślałem jednak, i znacznie wa niejsze będzie oznajmienie ci, e

zostaniesz babcią.

Promienny uśmiech rozjaśnił twarz księ nej Alicii, gdy wyciągnęła ręce, sięgając lewą po dłoń Whitney, prawą zaś po dłoń Clayтона.

– Och, moi kochani... - zaczęła, a potem, jakby nie mogła znaleźć adnych innych słów, by wyrazić ogarniające ją szczęście, podniosła ich dłonie i trzymała je przyciśnięte do twarzy. - Moi kochani!

## Rozdział 38

Lord Langford, kuzyn ojca Claytona, był wysokim, szczupłym mężczyzną tu po osiemdziesiątce. Stał niezdecydowanie w progu salonu, lewą ręką opierając się na framudze drzwi, prawą zaś na hebanowej lasce.

– Claymore - odezwał się, gdy księżkę wyszedł z jadalni z Whitney u boku. -

Czy mógłbyś ze mną porozmawiać? - Spojrzał przepraszająco na jego onę. -

Wiem, że twój mąż przyjechał późnym wieczorem, gdybyś jednak mogła podzielić się nim na chwilę... To dość pilna sprawa.

– Oczywiście - odrzekła, uśmiechając się mile do starszego pana. - Chętnie pójdę do Stephena i jego przyjaciół - dodała i ruszyła, by poszukać ich w ogrodzie.

Langford oderwał lewą rękę od framugi i oparł się na ramieniu księżki.

– Twoja mała onka jest nie tylko śliczna, ale równie bardzo uprzejma. Wczoraj spędziła ze mną kilka godzin, słuchając nudnych, niekończących się opowieści o studiach nad starożytnymi filozofami - powiedział, po czym mrugając lekko, dodał: - Zachwycająco udawała te, i jest zafascynowana tematem i mną. Sprawiała, że poczułem się dwadzieścia lat młodszy!

– Na mnie moja ona działa niekiedy tak samo - zaczął księżkę, powoli prowadząc leciwego krewniaka do saloniku na tyłach pałacu.

– Gdybyś miał dwadzieścia lat mniej, byłbyś nadal nieznośnym chłopakiem.

– Właśnie to miałem na myśli - odrzekł pogodnie Clayton.

Kiedy już lord Langford został wygodnie usytuowany w fotelu, księżkę usiadł naprzeciwko niego, ale staruszek najwyraźniej znalazł się w kłopotcie, nie wiedząc, jak zacząć.

– Powiedziałeś, że sprawa jest pilna - odpowiedział uprzejmie Clayton.

Langford obdarzył go smutnym spojrzeniem.

– W moim wieku, Claymore, wszystko jest pilne. Wieczność może zacząć się jutro - dodał, ale oszczędził swemu młodemu krewniakowi wygłaszania nieprawdziwych zapewnień, że kuzyn wciąż ma jeszcze przed sobą wiele lat życia, i przeszedł do sedna sprawy.

– Chciałbym porozmawiać o twoim bracie.

Clayton ukrył zaskoczenie i skinął tylko głową.



– Zawsze uważałem cię za główną podporę tej rodziny - zaczął mówić lord. -

Powszechnie to wiadomo,

że masz głowę do trafnych inwestycji

finansowych; inwestycji, które wielokrotnie pomnożyły twój majątek. -

Przerwał, lecz Clayton jedynie uniósł brwi, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając. - Wiem już, że moja wiedza w tym względzie jest właściwa. -

Staruszek, najwyraźniej pełen zakłopotania, i musi poruszać tak przyziemny temat, z moim liwie największą delikatnością mówił dalej: - Do niedawna sądziłem, że twój majątek brata pozostaje równie w twoich rękach, więc naturalnie przypuszczałem, że Stephen, podobnie jak ja, nie ma głowy do pieniędzy. Czy to prawda?

Gdyby jego krewniak nie był człowiekiem wyjątkowo leciwym i bardzo słabowitym, Clayton natychmiast położyłby kres tej przykłej rozmowie.

– Nie, to nie jest prawda - odrzekł dość zdecydowanie. Langford zrozumiał

pryżganę w głosie księcia, ale z uporem dążył sprawę.

– Czy to prawda, że w zeszłym roku Stephen dokonał serii inwestycji, które pozornie wydawały się ryzykowne, lecz ostatecznie przyniosły wielokrotny zysk? Słyszałem pewne pogłoski na ten temat w moim klubie, ale chciałbym usłyszeć to od ciebie. Mógłbyś mi zatem powiedzieć, czy to prawda czy plotka?

– Nie mam wystarczająco dobrego powodu, by to uczynić.

– Chciałbym wierzyć, że to prawda, muszę jednak mieć pewność.

– Porozmawiaj więc ze Stephenem. Stary lord pokręcił przecząco głową.

– Nie mogę tego zrobić, bo nie mogę wyjaśnić mu powodów, dla których chcę to wiedzieć.

– W taki razie wydaje się, że ta rozmowa znalazła się w impasie - oświadczył

księcia.

– No cóż, wyjaśnię więc powód moich dociekań, ale musi to pozostać w najściślejszej tajemnicy.

– Nie umiem sobie wyobrazić czegokolwiek, co mógłbyś powiedzieć, a co mogłoby mnie skłonić do roztrząsania z kimkolwiek prywatnych spraw finansowych mojego brata, nawet z tobą, kuzynie - odrzekł stanowczo Clayton i zaczął podnosić się z krzesła.

– Jeśli Stephen w istocie jest tak zamknięty, jak się o tym mówi, i jeśli sam zawdzięcza sobie

osiągnięcie owej zamożności, chciałbym podjąć starania, by uczynić go moim prawnym spadkobiercą.

Książę z łagodniejszym wyrazem twarzy powoli usiadł z powrotem, uśmiechając się powściągliwie.

– Jestem przekonany, że masz ku temu odpowiednie powody.

– Jeśli uczynię Stephena moim spadkobiercą, odziedziczy sporo ziemi bez adnych dochodów. Dawno temu nasza gałąź rodziny miała się równie dobrze jak wasza, ale moi przodkowie mieli mało rozwagi, a jeszcze mniej troski o dziedzictwo i adnej umiejętności utrzymania majątku. W rezultacie moje „posiadłości” wymagają inwestycji i praktycznie wydają się bezwartościowe, ale tytuły, które do mnie należą, są stare i cieszą się prestiżem. Jeśli umrę, nie poczyniwszy

adnych formalnych kroków,

wszystkie moje tytuły i ziemie automatycznie przejdą na ciebie. A do ostatnich pogłosek, które każą mi sądzić, że Stephen może mieć talent do robienia pieniędzy, byłem zadowolony,

że ty po mnie dziedziczysz.

Pozwalając ci dziedziczyć, wiedziałem, że mogę liczyć na twoje poczucie odpowiedzialności, a także na twoje pieniądze, wierząc, że zachowasz moje majątki w całości i doprowadzisz je do lepszego stanu, niż sam potrafiłem to uczynić. - Po tych słowach, jakby niepewny, co mówić dalej, lord Langford przerwał na chwilę, wpatrując się w motyw jasnych winorośli na dywanie pod swymi stopami, następnie zaś sięgnął po laskę spoczywającą u jego prawego boku i przesunął ją do lewego. W końcu podniósł głowę i z wielką godnością wyjaśnił:

– Ty masz wiele tytułów, z których większość jest znacznie bardziej imponująca niż te, jakie odziedziczyłbyś po mnie, moje „posiadłości” zaś są niczym w porównaniu z twoimi. Ryzykując, i wydam się bardzo dumny z czegoś bardzo małego, zaznałbym wielkiego zadowolenia, gdybym mógł

zostawić to, co do mnie należy, człowiekowi, który nie ma więcej tytułów, niż może pamiętać, i więcej dziedzicznych majątków, niż zdoła wyliczyć jednym tchem. Mamy dużą rodzinę o dalekich odgałęzieniach, spośród której mógłbym wybrać jakiegoś spadkobiercę, ale chciałbym, aby moim dziedzicem był człowiek, którego dobrze znam i lubię. Twój brat spełnia wszystkie te wymogi.

– Ogromnie się cieszę, że to słyszę - powiedział Clayton z zachęcającym uśmiechem.

– Podobnie jak ty, Stephen jest równie bardzo odpowiedzialnym człowiekiem, który rozumie i wypełnia swoje zobowiązania wobec rodziny i ludzi pokładających w nim zaufanie.

– Tak, to prawda - przyznał książę.

– Zatem jedyna troska, jaka pozostała mi w związku z uczynieniem Stephena moim następcą, sprowadza się do pytania: czy dziedzicząc rodzinny majątek, zdoła, twoim zdaniem, go zachować? Czy roztropnie i mądrze zarządza pieniędzmi i czy dobrze zatroszczy się o moje posiadłości?

– Mój brat jest człowiekiem, jakiego potrzebujesz - zapewnił kuzyna Clayton. -

Ma te wiele innych zalet.

Twarz Longforda rozjaśniła się w uśmiechu, ale potem staruszek znów wydał

się strapiiony i ponownie przeniósł wzrok na dywan.

– Sądziłem, e nie będziesz przeciwny mojemu planowi ani nie poczujesz się zlekcewaony - powiedział, nagle podnosząc oczy na księcia. - Miałem rację?

– Miałeś całkowitą rację - odpowiedział Clayton z serdecznym, szczerym uśmiechem.

– Doskonale, zatem rzecz jest postanowiona. Podejmę niezbędne kroki, by mieć pewność, e Stephen zostanie następnym lordem Langford i baronem Ellingwood, a tak e piątym wicehrabią Hargrove.

Stary d entelmen sięgnął po laskę, przenosząc ją na prawą stronę i z trudem wstał z fotela. Ksią ę czekał obok, pozwalając mu radzić sobie samemu, ale gotowy słu yć kuzynowi ramieniem, gdyby tamten po nie sięgnął.

Gdy lord Langford wyprostował się i powoli ruszył ku drzwiom, Clayton zapytał jeszcze:

– Czy jesteś pewien, e będziesz mógł prawnie przenieść swoje tytuły na Stephena?

Staruszek zaczekał z odpowiedzią, a ksią ę otworzy przed nim drzwi.

– - Te tytuły król Henryk VII nadał mojej rodzinie ponad trzysta lat temu.

Dzięki roztropności i przezorności naszego wspólnego przodka, pierwszego księcia Claymore'a, zawierają one udokumentowane prawnie zastrze enie w kwestii normalnych linii dziedziczenia. Owe zastrze enia pozwalają posiadaczowi tytułu, jeśli jest bezdzietny, wybrać spadkobiercę spośród bezpośrednich następców jednego z rodu Claymore, a Stephen nim jest.

Ksią ę wiedział, e takiego udokumentowanego zastrze enia nie było wobec jego własnego tytułu, ale ponieważ nigdy jeszcze nie było bezdzietnych ksią ąt Claymore, więc ani Clayton, ani jego ojciec, ani jego dziadkowie dotąd nie musieli się martwić o tę sprawę. Z czystej ciekawości postanowił sprawdzić swoje pozostałe tytuły, gdy pełne niepokoju upomnienie lorda oderwało go od tych myśli.

– Claymore, choć nie dałeś mi słowa, i nasza rozmowa pozostanie ściśle poufna, wierzę, e to zrozumiałe i tak będzie.

– Zrozumiałe - odrzekł ksią ę, chocia chciałby móc porozmawiać o tej sprawie ze Stephenem.

– Mam powa ne powody, by prosić cię o dyskrecję - tłumaczył mu lord Langford, gdy zbli ali się do salonów poło onych w przedniej części domu. -

Nie miałbym chwili spokoju, gdyby któryś z pozostałych ewentualnych następców usłyszał, e

zamierzam wyznaczyć swego spadkobiercę, nie pozwalając, by te tytuły przeszły z mocy prawa na ciebie.

– Doprawdy? - zapytał Clayton, patrząc z uwagą na Stephena, który stał nieopodal kominka, rozmawiając z jakąś jasnowłosą pięknoscią.

Kuzyn, nie dotrzymawszy odpowiedzi na wzmiankę o innych następcach, uświadomił sobie, że księżę myśli o czymś innym i podążył za jego wzrokiem.

– Poznajesz tę młodą damę, z którą rozmawia twój brat?

– Nie, nigdy jej nie spotkałem - odrzekł Clayton.

– Z pewnością ją znasz. - Lord Langford przekonywał go tak, jakby rozkoszował się swoją małą tajemnicą. - Znasz te jej ojca. - Na dowód skinął

w stronę miejsca, gdzie stał księżę Lansberry pogrąony w rozmowie z Whitney. - To jasnowłose dziewczę jest córką księcia Lansberry'ego. Ma na imię Emily. Przedstawił mi ją dziś rano.

Księżę Lansberry był ciemnowłosym niskim mężczyzną o krępej budowie i twarzy, której pospolitość graniczyła z brzydotą. Miał dwóch synów w średnim wieku, którzy wyglądali dokładnie tak jak on. Claytonowi trudno było uwierzyć, by ten sam człowiek mógł spłodzić tak smukłą, delikatną pięknoscią.

Stary krewniak odgadł jego myśli i pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Ona jest córką z drugiego małżeństwa księcia. Jego druga żona, dwukrotnie od niego młodsza, była córką jakiegoś francuskiego arystokraty i zmarła przy porodzie, we Francji, rok po ich ślubie. Dochodzę do przekonania, że w istocie mogłeś nigdy nie spotkać lady Emily. Powiedziała mi, że bywała w Anglii jedynie od czasu do czasu.

– Gdzie on ją ukrywa? - zapytał Clayton, sadowiąc starszego pana w wygodnym fotelu.

– Sam się zastanawiałem - przyznał lord Langford, chichocząc cicho - ale chyba trudno byłoby go potępiać za próbę zamknięcia jej z dala od angielskich młodzieniaszków i starych rozpustników, dopóki wystarczająco nie dorosła, aby umieć sama się od nich opędzać. Gdy zostaniesz jej przedstawiony, nie omieszkać zwrócić uwagi na oczy tej młodej damy. Mają kolor ciemnych fiołków, dają słowo...

Tego dnia Clayton miał kilka okazji, aby uważnie przyjrzeć się lady Emily Kendall, ale znacznie bardziej interesowała go reakcja brata... czy to raczej kompletny brak jego reakcji na obecność dziewczyny. Większość mężczyzn w domu była tą damą wyraźnie oczarowana, a dwaj przyjaciele Stephena wręcz jej nadskakiwali. On zaś zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zauważał

obecności Emily. W istocie cały czas czarująco zajmował się dwiema młodymi pannami, których towarzysze równie tłoczyli się wokół córki księcia. Ponieważ Stephen znał owe młode damy od dzieciństwa i zazwyczaj traktował je z lekką pobłażliwością starszego brata, teraz jego eleganckie

zachowanie wobec nich wydało się Claytonowi szczególnie interesujące.

Whitney, która równie zauważyła ów fakt, wspomniała o tym Claytonowi, gdy tylko po odbyciu męskiego rytuału cygara i kieliszka porto w gronie panów przyszedł wraz z innymi do dam gawędzących w salonie. Wsunąwszy dłoń pod ramię męża, odciągnęła go delikatnie na bok.

– Zauważyłeś, że Stephen pozornie ignoruje Emily? - zapytała cichym, rozbawionym głosem.

– Zauważyłem - odrzekł księż, bacznie przyglądając się jej. - Co o niej myślisz?

Whitney zawahała się, chcąc być zarówno szczerą, jak i sprawiedliwą.

– Cóż, jest jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałam, ma te doskonałe maniery, ale jest wokół niej jakaś aura...

– Próbuje? - zastanawiał się Clayton otwarcie.

– Może... ale może te, że jest jedynie trochę nieśmiała.

– Z tego, co widzę, nie wydaje się, by miała choćby najmniejsze problemy w kontaktach z ludźmi.

– Jest całkiem swobodna w rozmowach z kobietami i starszymi mężczyznami -

przyznała Whitney - i zachwycająco dowcipna, ale zauważyłam, że w stosunku do przyjaciół Stephena staje się dość oficjalna - przyznała Whitney.

- Z tego, co mówiła, wnioskuję, że była wychowywana przez jakichś leciwych krewnych w Brukseli, więc może nie wie, jak reagować na pewien rodzaj uwag i wyrafinowanych artów, które lubi kompania Stephena.

Zamiast przywieźć Emily do Anglii, ojciec najwyraźniej woli odwiedzać ją w Brukseli. Ona właściwie nie zna swoich przyrodnych braci i ich on.

Księż obserwował brata, który wraz z dwiema młodymi damami siedział

zupełnie gdzie indziej niż Emily.

– Z pewnością zrobiła na nim wrażenie - zauważył ze śmiechem. - W istocie założyłbym się nawet, że prawdopodobnie mógłby powiedzieć, nie

rozglądając się wokół, gdzie ona jest w danym momencie i z kim właśnie rozmawia.

– Naprawdę tak sądzisz? - zapytała Whitney z powątpiewaniem.

– Oczywiście. Jesteś świadkiem subtelnych działań umysłu wyrafinowanego mężczyzny, który przygotowuje się do rozpoczęcia gry, którą uprawiał wiele razy i w której stał się mistrzem. Ta gra

nazywa się flirtem.

Whitney wzniosła oczy ku górze, ze śmiechem odsuwając od siebie tę myśl.

– Widziałam ju wiele flirtów Stephena z niezliczonymi młodymi kobietami, ale nigdy nie zachowywał się w taki sposób. Normalnie byłby właśnie tam, gdzie ci adoratorzy, by uprawiać ową „grę” dowcipniej i bardziej czarująco niż ka dy z nich.

– Masz rację - zgodził się Clayton - ale tym razem dla Stephena najwyraźniej wa ne jest to, aby młoda dama, o którą chodzi, zrozumiała od samego początku, i nie mo e traktować go jedynie jako kolejną ofiarę swych dzisiejszych łatwych podbojów.

– A dlaczego to dla niego takie wa ne? - nalegała Whitney.

– Dlatego, moja ukochana - odrzekł, wyciskając szybki pocałunek na jej czole

- e Stephen nie zamierza rozpocząć jednego ze swych zwyczajnych flirtów.

Sądzę, i postanowił, e to gra, która go zainteresowała.

– To wydaje się zbyt pochopne ze strony twojego brata, zwa ywszy na jego krótką znajomość z ową młodą damą.

W odpowiedzi ksią ę spojrział na nią znacząco, a gdy Whitney zrozumiała, o czym myślał, stłumiła śmiech.

– Mam więc przypuszczać, e gdy chodzi o kwestię, kogo poślubić, mę czyźni z rodu Westmorelandów są tak szokująco impulsywni?

– Tego bym nie powiedział.

– Có więc byś powiedział?

– Powiedziałbym,

e doskonale znamy kobiety i dobrze wiemy, kiedy spotykamy tę, która jest nie tylko nadzwyczajna, ale właściwa dla nas. Do tego czasu adna siła na ziemi nie zaciągnie nas do ołtarza, lecz gdy poznamy właśnie tę jedną kobietę, nie tylko pragniemy tam pójść obok niej, lecz jesteśmy zdecydowani zrobić wszystko, by sama zapragnęła odbyć tę drogę z nami...

– ...bez względu na to, jak bardzo mo e się sprzeciwiać na początku -

dokończyła za niego Whitney.

– No właśnie.

Wciąż jeszcze się śmiała, kiedy Stephen oddalił się od grupy gości, z którą siedział, i zachowując

wszelkie pozory nonszalancji, wziął z tacy stojącej na stole dwa kieliszki szampana. Przystanął na krótko, by pogawędzić z matką, następnie zatrzymał się, eby porozmawiać z dalekim starszym kuzynem, a w końcu jakoś zdołał dotrzeć do miejsca, gdzie stała Emily i uczynił to akurat wtedy, gdy męczyński zgromadzeni wokół niej się rozeszli, pozostawiając córkę księcia w towarzystwie jedynie jakiegoś staroświeckiego leciwego kuzyna.

Urzeczona Whitney obserwowała, jak podał dziewczynie jeden z kieliszków, ale tym, co ją zdumiało, był fakt, i uczynił to bez słowa. Po prostu spojrzął na Emily, a potem uniosł swój kieliszek do ust i przez chwilę patrzył na nią znad krawędzi. Młoda dama poszła za jego przykładem... choć nawet z tej odległości Whitney mogła zauważyć, że ręka Emily zaczęła drężyć, gdy dziewczyna uniosła swój kieliszek szampana.

Whitney nieświadomie wstrzymała oddech, podczas gdy Emily opuściła kieliszek i wydawało się, że nie może uciec przed wzrokiem Stephena.

Powiedział coś do niej bardzo krótko. Dziewczyna najpierw się zawahała, a potem uśmiechnęła, skinęła głową i położyła dłoń na jego ramieniu.

Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego Whitney i Clayton zobaczyli, jak Stephen wyprowadza swą towarzyszkę z salonu.

– Jak myślisz, dokąd ją zabiera? - zapytała cicho Whitney, skoro wcześniej jej mąż wydawał się taki pewny, co myśli i robi jego brat.

– Do galerii - odrzekł bez wahania. - Galeria jest na drugim piętrze, co pozwoli im pozostać poza zasięgiem słuchu wszystkich tu obecnych, lecz widać ją, co oznacza, że reputacja Emily nie ucierpi, a księżniczka Lansberry nie będzie się denerwować.

Aby rzucić okiem na galerię, należało podejść do drzwi salonu, nie była to widoczna z miejsca, gdzie stali oboje.

– Chyba nie możesz być aż taki pewny, że ją tam zabierze? - zapytała Whitney.

– Masz ochotę się założyć?

– O ile? - rzuciła.

Pochylając się, Clayton szepnął, o jaką stawkę mu chodzi, jeśli ona przegra, i choć gorący rumieniec zabarwił jej policzki, uśmiechnęła się z miłością.

Nie czekając na decyzję Whitney, księżniczka podała jej ramię. Położyła na nim dłoń i podążyła za mąż do drzwi wychodzących

z salonu.

Przegrała zakład.

Pod koniec września cały „elegancki świat” czekał na ogłoszenie zaręczyn Stephena Westmorelanda i córki księcia Lansberry'ego. Stawiano dwadzieścia pięć do jednego, że zaręczyny nastąpią przed końcem roku. W październiku szanse spadły i stawiano dwadzieścia dwa do jednego, gdy księżka i lady Emily opuścili Anglię, udając się w dwumiesięczną podróż do Hiszpanii.

## Rozdział 39

W grudniu londyńskie niebo było zawsze ciemne, a powietrze przesycone dymem z tysięcy węglowych pieców. Z tego powodu „wielki świat” wołał

przenosić się zimą na świeże powietrze i zażywać komfortu wiejskich domów.

Tam podejmowano przyjęcia, którzy przyjeżdżali na tydzień lub nawet dwa i cieszyli się takimi rozrywkami jak polowanie czy gra w karty. Damy mające córki na wydaniu obmyślały stroje na sezon wiosenny i rozmawiały z przyjaciółkami o walorach poszczególnych kawalerów.

W minionych latach nazwisko Stephena Westmorelanda zajmowało wysoką pozycję na sporządzanych przez królową matkę listach „najlepszych kandydatów”, ale teraz zaliczano go do „nieosiągalnych”. Kiedy bowiem nadszedł czas powrotu z Hiszpanii lady Emily, pogłoski i domniemania o jej zaręczynach ze Stephenem nasiliły się, wytwarzając w wiejskich posiadłościach całej Anglii stan najwyższego rozgorączkowania.

Niektóre z plotkarek były przekonane, że zaręczyny nastąpiły, zanim księżka i jego córka wyjechali do Hiszpanii; inne zaś przypuszczały, że szczegóły mają zostać sfinalizowane zaraz po powrocie lady Emily, a ślub odbędzie się przed Nowym Rokiem.

Jedyną kwestią do prawdziwej dyskusji w czasie owych wczesnozimowych plotkarskich spotkań pozostawało to, czy ślub będzie kameralną rodzinną uroczystością i dojdzie do niego w grudniu, czy też stanie się tak wielkim wydarzeniem towarzyskim, jak ślub księcia Claymore'a, i narzeczeni poczekają do wiosny. Nikt nie wątpił, że małżeństwo zostanie zawarte, gdy dla wszystkich było oczywiste, że Stephen Westmoreland wreszcie spotkał kobietę, z którą pragnął się ożenić.

Fama głosiła, że lord Westmoreland porzucił nie tylko swe kawalerskie zwyczaje, ale i kochankę, Helenę Devernay, by emablować wyłącznie lady Emily. Odgrywał rolę adoratora ze swobodną wykwinnością i czarującym oddaniem, co sprawiało, że tym matkom i córkom, które żyły nadzieję na małżeństwo z nim, wydawał się jeszcze bardziej pożądanym kandydatem na męża.

Lady Emily rozkwitała w ciepłe zalotów Stephena. Ilekroć towarzyszył jej na balu, raucie czy w teatrze, okazywała spontaniczną radość, która czyniła ją nie tylko przystępną, lecz i promienną. Księżka Lansberry był uwagany za najszczęśliwszego ojca w Anglii, ponieważ nie tylko zyskiwał bogatego arystokratę o nieskazitelnym pochodzeniu i reputacji jako zięcia, ale i wchodził

w wielce pożądaną związek z rodziną Westmorelandów.

Sądono, że Lansberry bardzo cieszył się taką łaskawością losu, lecz w tym względzie „wielki świat” mógł jedynie snuć przypuszczenia, gdy księżka rzadko spotykał się z innymi członkami arystokracji.



Nie dbał o towarzystwo ani o towarzyskie rozrywki i niechętnie pokazywał się tylko na tych spotkaniach, w których musiał uczestniczyć z ważkich powodów. Pozostałe obowiązki towarzyskie i polityczne pozostawiał dwóm synom. Księżcia interesowały wyłącznie jego posiadłości. Podobnie jak jego przodkowie był ogromnie przywiązany do ziemi i z charakterystyczną otwartością dawał to wszystkim do zrozumienia.

Chociaż posiadał okazały dom w Londynie i nabył kilka wspaniałych rezydencji, wolał mieszkać w samotni Landsdowne, rozpadającym się wiejskim dworze postawionym jeszcze w średniowieczu przez jednego z jego antenatów i rozbudowywanym przez każde kolejne pokolenie w stylu, jaki akurat był popularny.

Stephenowi, który wcześniej interesował się architekturą, domostwo w Landsdowne wydawało się nieproporcjonalną, źle zaprojektowaną, ponurą potwornością. W istocie, jedyne, co mu się spodobało, to fakt, iż dojazd do Landsdowne z domu jego matki w Grand Oak zajmował niespełną godzinę.

Stephen postanowił spędzić grudzień w Grand Oak częściowo dlatego, że przyjechali tam Whitney z Claytonem oraz lordostwo Gilbertowie, aby spędzić święta z księżną Alicją; lecz również z tego powodu, że mógł być bliżej Emily, która właśnie wróciła z Hiszpanii. Poprzedniego dnia udało mu się spędzić z nią kilka minut, gdy przysłała mu wiadomość, że jest już w domu, ale wydawała się wyczerpana i uznał, że powinna odpocząć.

Dzisiaj jednak bardzo chciał spędzić z Emily cały wieczór i omówić wszystkie sprawy z jej ojcem. Sięgnąwszy do kieszonki kamizelki, wyjął z niej wspaniały szmaragdowo-brylantowy pierścionek zaręczynowy, który zamierzał

wsunąć na palec narzeczonej zaraz po rozmowie z księciem Lansberrym.

Pierścień błysnął w świetle powozu... klejnot godny królowej, nabyty za cenę prawdziwie królewską. Nie dbał o tę cenę, podobnie jak nie martwił się o przebieg rozmowy z ojcem Emily, gdy nie miał żadnego powodu, by sądzić, że stary książę mógłby mieć jakiegokolwiek obiekcje.

Z bezksiężycowego nieba prószył lekki śnieg, gdy służący wybiegł z domu, by pomóc stangretowi Stephena przy koniach. Lokaj księcia otworzył drzwi i wyciągnął rękę, aby zdjąć Stephenowi ciężki płaszcz.

– Dobry wieczór, milordzie - odezwał się lokaj i oddając płaszcz młodszemu słudze, odwrócił się, aby poprowadzić przybyłego przez sień z chłodną kamienną posadzką do głównego holu. - Lady Emily oczekuje pana we wschodnim salonie.

– Chciałbym najpierw porozmawiać z jego wysokością - rzekł Stephen.

Lokaj przystanął i odwrócił się do Stephena.

– Przykro mi, milordzie, ale jego wysokości nie ma dziś wieczorem.

– Wiesz, dokąd pojechał?

– Wspomniał, e zamierza rozegrać kilka partii z markizem Glengarmonem.

– Jeśli wróci przed moim wyjściem, proszę, powiedz księciu, e chciałbym z nim porozmawiać, zanim uda się na spoczynek. Sam znajdę drogę do lady Emily - dodał, odwracając się i kierując przez słabo oświetlony hol ku wschodniemu skrzydłu starego domostwa.

Po drodze próbował wyobrazić sobie karciane spotkanie Lansberry'ego i Glengarmona, ale przekraczało to mo liwości jego imaginacji. Obaj ci mę czyźni wydawali się mniej więcej w tym samym wieku, lecz gdy Lansberry jawił się ostry i szorstki do granic nie-grzeczności, to William Lathrop, markiz Glengarmon, był pruderyjnym kawalerem, a nieugięta sztywność i ścisłe trzymanie się towarzyskiego i politycznego rytuału uczyniły zeń obiekt niekoń-

czących się artów. Jego dziewięćdziesięcioletni ojciec wciąż kurczowo trzymał

się ycia... i umiłowanego ksią ęcego tytułu, który ju dawno powinien przejść na Lathropa.

Wszystkie te rozwa ania zniknęły z chwilą, gdy Stephen zbli ył się do salonu i ślicznej dziewczyny, którą pokochał. Choć Emily miała prawie dwadzieścia lat i odznaczała się wdziękiem i elegancją, która sprawiała, e nieznanym wydawała się niemal wyniosła, Stephen wiedział, e pod tą powłoką kryje się urocza dziewczyna, onieśmielona przez ojca i za enowana ogólnym podziwem, odkąd pierwszy raz pojawiła się w angielskim towarzystwie, zachwyconym jej oszałamiającą urodą. Była serdeczna, inteligentna i czytana. Prowokowała, bawiła i ekscytowała Stephena, a jednocześnie wzbudzała w nim arliwe uczucia opiekuńcze.

Otworzył drzwi salonu i wstrzymał oddech na jej widok. Emily pochylała się nad kominkiem, poruszając w nim pogrzebaczem, a blask ognia zmieniał w roztopione złoto jej włosy, opadające na ramiona i plecy.

Wyprostowała się z uśmiechem i odło yła pogrzebacz.

– Próbowałam o ywić płomienie - wyjaśniła, gdy do niej podszedł.

– Mogłabyś to zrobić samym uśmiechem - odrzekł Stephen. Czekał, a zrozumie znaczenie jego słów, a gdy je zrozumiała, obserwował, jak próbuje udawać, e zupełnie nie wie, o co chodzi.

– Wyglądasz bardzo dobrze - powiedziała.

Stephen był zmęczony tą grą w kotka i myszkę. Kochał Emily i wiedział, e ona równie go kocha. Rozumiał, e ich dwumiesięczna rozłąka sprawiła, i czuła się trochę niepewnie, ale zdecydowanie nie chciał pozwolić, by wycofała się za tę samą barierę konwenansu, na której przełamywanie poświęcił przed wyjazdem dziewczyny kilka tygodni.

– Mój wygląd nie zmienił się od ostatniego wieczoru – zauwa ył z lekkim sarkazmem.

– Tak, ale byłeś tu zaledwie kilka minut i... i sędzę, e tak naprawdę nie miałam mo liwości, eby... eby ci się dokładnie przyjrzeć.

Zamiast podejść bli ej i wziąć ją w ramiona, czego, nie wątpił, oczekiwała, oparł się o krawędź kominka i skrzy ował ręce na piersi.

– Masz więc tyle czasu, ile potrzebujesz, eby mi się przyjrzeć. Wydawała się kompletnie zaskoczona.

– Z drugiej strony - mówił dalej Stephen, uśmiechając się lekko - mogłabyś wykorzystać ten czas znacznie lepiej i przyglądać mi się z bli szej odległości.

Po tych słowach otworzył ramiona przed Emily. Zawahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się i rzuciła w jego objęcia.

Minęło sporo czasu, nim Stephen niechętnie unióśł wargi znad ust Emily i oderwał dłonie od jej piersi. Oplatając ukochaną ramionami, trzymał ją przytuloną do siebie, Emily zaś oparła zarumieniony policzek na jego torsie.

Poczuł, e całe jego ciało napina się z pragnienia, a serce wypełnia zachwył.

Podniósł głowę i ujął palcami podbródek Emily, wpatrując się w jej zamglone fiołkowe oczy.

– Wiem, e twego ojca nie ma w domu, ale prosiłem lokaja, eby powiedział mu, kiedy wróci, i chciałbym z nim dzisiaj porozmawiać.

Uśmiej zamarł jej na ustach; zesztyniała nagle.

– O czym chciałbyś z nim porozmawiać?

– O tobie - odpowiedział Stephen ze zdumionym rozbawieniem. - Czas pokazać twemu ojcu i wszystkim plotkarkom, e moje zamiary są szlachetne.

– Przecie sam mówiłeś,

e nie przejmujesz się plotkami. Bardziej

zaintrygowany ni zaalarmowany jej odpowiedzią, Stephen czule przesunął

palcami po gładkim policzku dziewczyny.

– Przejmuję się plotkami, które dotyczą ciebie - wyjaśnił łagodnie - a pojawi się ich wiele i nie będą przyjemne, jeśli nie ogłosimy zaręczyn teraz, gdy wróciłaś do Anglii. Zanim wyjechałaś, nieustannie przebywaliśmy ze sobą, więc sympatia, jaką mi okazywałaś, wywoła skandal, jeśli nie będziemy działać szybko.

– Nie dbam o to. To nie ma znaczenia. Jedywym człowiekiem, który się liczy, jest mój ojciec, a on

nigdy nie słucha plotek. Mo emy nadal robić to, co robiliśmy!

– No pewnie, e mo emy, jeszcze jak! - Oszołomiony irracjonalną postawą i wyraźną naiwnością dziewczyny, chwycił ją w ramiona. - Emily - powiedział

otwarcie - wobec ryzyka, e wydam się niewybaczalnie niedelikatny, muszę zapytać, czy rozumiesz, na czym polega fizyczny akt miłości?

Zaczerwieniona, skinęła głową i próbowała uwolnić się z jego uścisku, ale mocno trzymał ją w ramionach.

– Zatem powinnaś te rozumieć - mówił dalej Stephen - e dalsze takie postępowanie nie jest sensowne. Namiętność, którą czujemy oboje, zaprowadzi nas do sypialni. Do mojej sypialni. Pragnę, byś się tam znalazła jako moja ona. Odpowiedz mi, Emily - poprosił, patrząc na nią uwa nie -

czy mnie kochasz?

– Tak, ale nie mogę za ciebie wyjść!

– Dlaczego?!

– Poniewa ojciec zaręczył mnie z Glengarmonem! Stephen cofnął się jak oparzony.

– Kiedy? - spytał krótko.

– Na dzień przed naszym wyjazdem do Hiszpanii.

Była tak zdenerwowana, e zaczęły jej się trząść ręce, a Stephen z trudem walczył, by przez wzgląd na nią zapanować nad wściekłością.

– To wprost nie do pomyślenia! Ten pomysł jest obrzydliwy! Nie mo e zmusić cię do mał eństwa z tym starcem. Nie pozwolę na to!

–

adne z nas nie ma wyboru. Majątki Glengarmona graniczą z naszymi, a mój ojciec pragnie tych ziem. Zawsze chciał je mieć, tak jak jego ojciec i ojciec jego ojca. Jedynym sposobem, aby teraz je zdobyć, jest wydanie mnie za Glengarmona. Glengarmon zaś pragnie mnie na tyle, e godzi się, by jego posiadłości i dom zostały przepisane na mnie, co ma być częścią mał eńskiego kontraktu. Zostaną przy mnie jako wdowie wiano.

– Ta cała rozmowa jest niedorzeczna. Twój ojciec te musi być szalony. Ale ty nie wydajesz się szalona, Emily. Ojciec nie mo e zmusić cię do poślubienia tego starego durnia.

– Obowiązkiem córki jest wyjść za człowieka, którego wybierze jej rodzina.

Wszyscy to wiedzą, ty tak e! - zawołała.

– Powiem, ci co wiem... Wiem, e aden ojciec nie ma prawa krzywdzić własnej córki wydaniem jej za jakiegoś odra ającego, beznamiętnego starucha dla kilku akrów ziemi. I dziś wieczorem powiem mu to prosto w oczy!

– Stephenie - odparła załamującym się głosem - nawet gdybyś zdołał

przekonać ojca o tym, co ci się nie uda, nie przekonasz go, eby mi pozwolił

wyjsć za ciebie.

– Nie doceniasz mojej siły perswazji.

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy i spłynęły jej po policzkach.

– Nie czyn adnemu z nas fałszywej nadziei, bo nie odniesiesz sukcesu. Nie mo esz go odnieść. Czy nie rozumiesz... nie zdajesz sobie sprawy...?

– Co mam rozumieć?

– Mój ojciec jest księciem. Glengarmon po śmierci swego ojca te będzie księciem. Ojciec chce mnie za niego wydać właśnie dlatego, więc nawet gdyby Glengarmon umarł jutro, i tak nie pozwoli mi wyjść za ciebie. Będzie się rozglądał za innym konkurentem z mo liwie najwyszym tytułem. -

Szlochając, objęła go ramionami za szyję. - Bo e, jak mogłeś mi to zrobić?

Jak e ja będę yć z Glengarmonem, wiedząc, e naprawdę chciałeś mnie za onę? Wiedziałam, e plotkarki mówiły, i pragniesz się ze mną o enić...

opowiadały te , e było wiele dziewcząt, które ci uwierzyły... e zamierzałeś im się oświadczyć, a nigdy tego nie uczyniłeś.

Łzy dziewczyny wsiąkały w jego koszulę. Stephen pogładził Emily po twarzy i przytulił mocno.

– Nie płacz, kochanie. Znajdę jakiś sposób, by z tego wybrnąć, zobaczysz.

Płakała dalej, jakby go wcale nie słyszała.

– Byłeś dla mnie niczym ksią ę z bajki... piękny, szarmancki i równie nieosiągalny, równie nierealny jak sen. Nigdy nie pozwoliłam sobie mieć nadzieję, e naprawdę mnie kochasz. Odpowiedź Stephena zakłóciło pukanie do drzwi.

– O co chodzi? - zapytał z irytacją.

– Posłaniec z Grand Oak przybył z wiadomością do pana, milordzie - wyjaśnił

lokaj. - Powiada, e to sprawa najwyszej wagi.

W obecnym nastroju Stephenowi trudno było wyobrazić sobie coś w niejszego lub okropniejszego ni to, co zdarzyło się w tym salonie. Gdy jednak po chwili otworzył drzwi, zrozumiał, że okrutny los potrafił zadawać miadące ciosy niewinnym i nieostro nym.

– Ka natychmiast sprowadzić mój powóz, niech czeka na mnie na podjeździe

- polecił lokajowi.

Wrócił do Emily, która stała pogrąona w bólu, i objął ją ramionami.

– Muszę natychmiast jechać. Moja bratowa się przewróciła i matka przypuszcza, że dziecko urodzi się wcześniej. O wiele za wcześniej - dodał

bardziej do siebie niż do niej.

Emily odprowadziła go do frontowych drzwi, niemal biegnąc, by dotrzymać mu kroku.

– Jedziesz do Grand Oak?

– - Nie, jadę do naszego rodzinnego lekarza. Mieszka nieco dalej. Godzina drogi na północ od naszego domu, ale konie są wypoczęte i jestem już w połowie drogi. Zajadę do niego szybciej niż słuchający. - Nie zważając na obecność słuchających i lokaja, wziął dziewczynę w ramiona i obdarzył ją szybkim uspokajającym pocałunkiem. - Wierz we mnie. I w nas! - wyszeptał, a potem zbiegł po frontowych schodach i krzyknął swemu stangretowi, by pędził co siłą.

## Rozdział 40

Emily wróciła do salonu, otuliła się szalem i usiadła przy kominku, nie mogąc opanować drżenia, gdy wstrząsające ją dreszcze pochodziły z jej zbolełego serca. Kilka minut później wrócił ojciec, więc wstała, przepełniona lękiem, który sprawił, że kolana się pod nią ugięły.

– Tu przed skrzyżowaniem na podjazd minąłem powóz Westmorelanda - powiedział

księżkę gniewnie. - Jego przeklęty stangret niemal zmiotł mnie z drogi.

– Stephen nieoczekiwanie musiał natychmiast wyjechać - wyjaśniła, zbyt poruszona, by zauważyć, że nazwała ukochanego jedynie imieniem. - Jego bratowa przewróciła się w Grand Oak. Pojechał do lekarza, gdy z powodu owego upadku dziecko może

urodzić się wcześniej.

– To przykre - rzucił zdawkowo księżkę, od razu wracając myślami do własnych spraw. - Kiedy Westmoreland przyjechał tu dziś wieczorem, powiedział

Jenkinsowi, że chce się ze mną zobaczyć. Wiesz, o czym chciał ze mną mówić?

Emily skinęła głową, wyprostowała ramiona i zdobyła się na odpowiedź.

– Zamierzał prosić cię o moją rękę. Twarz ojca zbieleła z furii.

– Ty idiotko! Jak mogłaś pozwolić, by sprawy zaszły tak daleko?

– Nie wiem. To się po prostu stało.

– Stało się? - zagrzmiął, a potem ściszył głos do wściekłego syku: - Do diabła!

Nie wiedziałaś, co robisz? Co mu powiedziałaś?

– Prawdę. e jestem ju zaręczona z Glengarmonem.

– Czy to wszystko, co mu powiedziałaś?

– Nie. Wyjaśniłam mu równie , e muszę poślubić Glengarmona, bo pragniesz przyłączenia jego ziem do naszych, i dlatego, e moim obowiązkiem jest wyjść za mąż zgodnie z twoim życzeniem.

– Jak na to zareagował?

– Był bardzo zdenerwowany. Papo, proszę, uwierz mi, nie sądziłam, e Stephenowi tak bardzo na mnie zależy. Wiem, e krążyły wokół plotki i domysły, i zamierza się o mnie oświadczyć, ale im nie wierzyłam. Nie miałam żadnych podstaw, by w nie wierzyć.

– Wielki Bo e, to prawdziwe nieszczęście! Stawiasz mnie wobec nieznośnej konieczności odrzucenia i zraenia sobie Stephena Westmorelanda, a tak e całej jego rodziny! - Przeczesując palcami włosy, księżę przeszedł tam i z powrotem przez salon, a potem odwrócił się do córki. - Jest tylko jedno rozwiązanie: będziesz musiała poślubić Glengarmona natychmiast. Rano markiz uzyska potrzebne zezwolenie i od razu wyjdiesz za niego za mąż .

Emily popatrzyła na ojca, a później odwróciła się i spojrzała w ogień, lecz nie zaprotestowała.

– Dobrze, papo.

## Rozdział 41

Jeszcze bardziej przeraony ni w chwili, gdy poprzedniego wieczoru Whitney potknęła się o brzeg chodnika i spadła z połowy kondygnacji schodów, Clayton przemierzał tam i z powrotem wielki hol w Grand Oak, utkwivszy spojrzenie w drzwiach na górze. Za tymi drzwiami ona wydawała na świat jego dziecko, rodząc je dwa miesiące wcześniej, a oboje, matka i dziecko byli w rękach doktora Whitticomba.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wysokie mniemanie Clayтона o tym lekarzu słabło z minuty na minutę. Gdy Hugh przyjechał tu poprzedniego wieczoru, zbadał Whitney i zapewnił rodzinę, e matka i dziecko wydają się w dobrym stanie. Tego ranka dodał do swej pierwszej diagnozy jeszcze więcej uspokajających zapewnień.

– Nie ma żadnych obaw, by dziecko miało urodzić się wcześniej - powiedział -

ale zostaną tu do wieczora na wypadek, gdybym się mylił.

Ju wcześniej Clayton niepokoił się tak, e wydawał polecenia, a teraz zaczął grozić lekarzowi.

– Jeśli sądzisz, e istnieje choćby najmniejsza mo liwość, e dziecko urodzi się wcześniej, to zostaniesz tutaj przez następne dwa miesiące! - oświadczył.

Hugh Whitticomb przechylił głowę i spojrział na księcia z pogodnym zrozumieniem, jakie zawsze odczuwał wobec mę czyzn, którzy pierwszy raz mieli zostać ojcami.

– Zapytam z czystej ciekawości: co zrobisz, eby mnie tu zatrzymać?

– Nie miałbym adnego kłopotu ze znalezieniem jakiegoś sposobu, wierz mi - odparł Clayton.

– Nie wątpię. - Whitticomb zachichotał. - Jestem tylko ciekawy. Kiedy twoja matka przeziębiła się na miesiąc przed urodzeniem ciebie, twój ojciec zagroził, e uwięzi mnie w piwnicach Claymore. A mo e to był lord Sutton?

Nie... lord posłał po mnie powóz, a potem odmówił odwiezienia z powrotem.

Rozbawienie lekarza znikło minutę później, gdy słu ąca Whitney wybiegła z jej pokoju i przechyliła się przez balustradę schodów z trwo nym okrzykiem.

– Pani ma bóle, doktorze!

To wszystko stało się przed godziną i od tego czasu Claytonowi pozwolono zobaczyć się z Whitney tylko dwa razy i jedynie przez kilka minut. Wydawała się blada i krucha w wielkim ło u z baldachimem, ale bóle nadchodziły i mijały, więc uśmiechała się i zachęcała Claytona, eby usiadł przy niej.

– Kocham cię i za chwilę urodzę ci wspaniałe, zdrowe dziecko -powiedziała mę owi, kryjąc strach za tymi uspokajającymi słowami.

Ksią ę oddychał z ulgą... dopóki w ostrym ataku bólu wprost nie wygięła się nad ło kiem.

– Musisz teraz wyjść - poleciała, przygryzając wargę a do krwi. Clayton wyładował swą bezradność na Whitticombie.

– Do diabła, nie mo esz nic dla niej zrobić?

– Zrobię coś dla niej - odrzekł lekarz. - Zepchnę cię ze schodów, eby nie musiała martwić się o ciebie, kiedy nadejdą bóle.



Godzinę później, gdy ksią ę znów nalegał, by mógł sam się przekonać, czy z jego oną wszystko w porządku, a lekarz próbował zatrzymać go w drzwiach, Whitney poprosiła Whitticomba, by pozwolił mu wejść. Była znacznie bledsza, czoło miała wilgotne od potu. Clayton usiadł na łó ku, odgarnął jej włosy z twarzy i zło ył powa ną obietnicę:

– Nie pozwolę, by spotkało cię to ponownie.

Zanim zdołała odpowiedzieć, nadszedł kolejny atak bólu. Clayton chwycił onę w ramiona, kołysząc ją niczym dziecko.

– Przepraszam - wyszeptał ochryple z oczami zamglonymi łzami trwogi, po czym go wyproszono, a drzwi zamknięto.

Whitticomb pojawiał się co jakiś czas, aby dostarczać rodzinie pokrzepiających wiadomości i niepewnych przewidywań dotyczących godziny, o której mo e urodzić się dziecko. Claytona nie uspokoiło nic, co powiedział

lekarz. Odrywając wzrok od drzwi na szczycie klatki schodowej, spojrział na zegar w holu, i zobaczywszy, e minęła dziewiąta, wszedł do salonu, gdzie czekali jego matka ze Stephenem oraz lordostwo Gilbertowie.

– Whitticomb jest nieudolnym durniem! - oświadczył im z furją. - Poślę po akuszerkę; nie... po dwie akuszerki!

Lady Gilbert uśmiechnęła się słabo.

– Jestem pewna, e dziecko urodzi się niebawem i wszystko będzie dobrze -

powiedziała, ale nie udało jej się uspokoić księcia, gdy sama się bała i on to widział.

Lord Gilbert potwierdził przewidywania ony pełnym optymizmem skinieniem głowy i serdecznym głosem.

– To się stanie lada moment. Nie ma się czym martwić. W ka dej chwili ka dego dnia kobiety rodzą dzieci.

Zdaniem księcia lord Gilbert był jeszcze bardziej przera ony ni lady Annę.

Stephen uniósł głowę i spojrział na Claytona z niemą bezradnością. Ksią ę zaś zdał sobie sprawę, i Stephen ma zbyt wiele szacunku dla starszego brata, by uspokajać go fałszywymi zapewnieniami, w które sam nie wierzył.

Księ na wdowa wstała i podeszła do niego. - Jestem naprawdę przekonana, e nie ma powodów do obaw -odezwała się dr ącym głosem. - W głębi serca czuję, e z Whitney i dzieckiem wszystko będzie doskonale.

Clayton zbladł i ruszył ku karafce brandy stojącej na bocznym stoliku.

Ostatnim razem matka wygłosiła podobne przekonanie, gdy zachorowała jego ulubiona klacz. Następnego ranka zwierzę nie żyło.

Wiedział, że wszyscy się modlą, gdy nie mogli uczynić nic innego. Był tego równie pewien jak tego, że Hugh Whitticomb był nieczułym, nieudolnym idiotą.

– Wasza wysokość?

Wszyscy spojrzeli na doktora Whitticomba, który stanął w drzwiach, sprawiając wrażenie nagle znużonego. Księżkę zdrętwiał.

– Tak...?

– Czy zechce pan pójść na górę i powitać swojego syna?

Clayton czuł się tak, jakby był przyrośnięty do podłogi. Musiał przełknąć kulę dławiącą go w gardle, aby zapytać o Whitney.

– Co z mojąoną?

– Miewa się doskonale.

Księżkę wybiegł z salonu, opierając się bezprecedensowemu impulsowi, aby uściskać wybornego lekarza. Hugh Whitticomb podszedł do karafki brandy i przesunął chusteczką po krzaczastych brwiach, gdy obok pojawiła się księżka i dotknęła jego ramienia.

– Jak przebiegł poród? - zapytała cicho.

– Napędziła mi strachu, lady Alicio. Straciła trochę krwi, ale dojdzie do siebie.

Jeszcze zanim zaczęło się to krwawienie, nie zamierzałem stąd wyjechać wcześniej niż jutro rano, przecie wiesz.

– Oczywiście, że wiem - odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy, a potem poddała się owemu impulsowi, któremu nie uległ Clayton, i uściskała lekarza serdecznie. - Dziękuję, Hugh - szepnęła. - Byłam przerażona - przyznała i spoglądając na pozostałych, dodała: - Ledwie trzymam się na nogach. Chyba pójdę odpocząć.

– Zdaje się, że zrobię to samo - odezwała się lady Anne.

Lord Gilbert uniósł się uprzejmie, a kiedy się pochylił, aby pocałować onę w policzek, zobaczył łzy ulgi lśniąco w jej oczach.

– Ju dobrze, ju dobrze, moja droga - uspokajał ją z lekkim uśmiechem. -

Mówiłem ci, e nie ma powodu do paniki, prawda?

– Tak, Edwardzie - odrzekła łagodnie lady Anne. - Miałeś całkowitą rację.

Pochylony nad nią lord Gilbert zerknął na Stephena, który teraz wyglądał

piętnaście lat młodziej ni kilka minut wcześniej.

– Spójrz na lorda Stephena - mówił dalej do ony. - On wcale nie był

zdenerwowany. Wy, panie, zawsze martwicie się za bardzo. Poród jest najbardziej naturalną sprawą na świecie, nieprawda, lordzie Westmoreland?

– Tak, oczywiście, e tak - potwierdził Stephen, uśmiechając się do obojga, po czym wstał i podszedł do karafek z alkoholami. - Chyba będę musiał czegoś się napić, zanim pójde spać... na cześć tego wydarzenia.

– To wspaniały pomysł - oświadczył Edward Gilbert i przyłączył się do Stephena.

Patrzył, jak jego ona wychodzi z salonu, a gdy potem rozejrzał się wokół, szukając lekarza, uświadomił sobie, e Hugh Whitticomb poszedł ju spać, zostawiając w salonie tylko ich dwóch.

– Czego się pan napije? - zapytał Stephen, wskazując na rząd kryształowych karafek i kieliszków.

– Chyba brandy.

– Doskonały wybór - pochwalił lord Westmoreland, wręczając Edwardowi odpowiedni kieliszek wraz z całą karafką, a dla siebie wybierając whisky.

W milczeniu usiedli na sofie i napełnili kieliszki. Stephen, z kieliszkiem whisky w dłoni, oparł się wygodnie, wyciągnął przed siebie nogi i skrzy ował je w kostkach. Lord Gilbert, zagłębiwszy się w poduszki, przybrał tę samą pozę, a potem spojrział na swego towarzysza z milczącym wyrazem męskiej solidarności.

Jednocześnie unieśli kieliszki i jednocześnie uraczyli się du ym łykiem alkoholu,

a

potem

czekali,

a

wypali

w

nich

resztki

strachu.

Stephen wypił więcej niż lord Gilbert, lecz do utopienia w alkoholu miał

znacznie więcej trosk niż tylko lęk o Whitney i dziecko. Kilka godzin wcześniej Emily przysłała mu list.

Napisała, że poślubiła markiza Glengarmona.

## Rozdział 42

Trzy dni po przyjściu na świat Noela Westmorelanda Whitney siedziała w łóżku, wsparta na stosie poduszek, zastanawiając się, dlaczego ani mąż, ani teściowa nie byli u niej od rana. Clayton przyszedł, gdy zegar zaczął wybijać trzecią.

– Gdzie byłeś przez cały dzień? - zapytała, oddawszy mu pocałunek.

– Musiałem pojechać do Claymore - wyjaśnił, siadając obok niej. - Jak się czujesz?

– Jestem zdrowa i szczęśliwa.

– Wspaniale. A jak się miewa mój syn i następca?

– Głodny i niecierpliwy. - Whitney się roześmiała. - Clarissa nalega, by zabrać go do pokoju dzieciennego, abym mogła trochę odpocząć, ale wcale nie jestem śpiącą.

– To dobrze, bo przywiozłem ci podarunek z Claymore.

– Pojechałeś do Claymore, aby przywieźć mi prezent? - zapytała zdziwiona. -

Wolałabym, abyś był tutaj i dotrzymywał mi towarzystwa.

– Miło mi to słyszeć - odpowiedział z uśmiechem - jednak naprawdę nie miałem wyboru, a znalezienie tego, czego szukaliśmy, zabrało matce i mnie więcej czasu, niż się spodziewaliśmy.

Whitney już miała poprosić o dalsze wyjaśnienia, gdy w drzwiach pojawiła się księżna wdowa, a za nią lokaj niosący jakiś ciężki przedmiot okryty ozdobną zasłoną z czerwonego aksamitu.

– To ja ponoszę winę za nieobecność twego męża - odezwała się księżna. - Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie to schowałam, więc długo musieliśmy szukać. - Spojrzała na lokaja i gestem poleciła mu postawić ów przedmiot na łóżku z prawej strony synowej.

– Co to jest? - zapytała Whitney, spoglądając to na męża, to na teściową.

– To najmilsza ze wszystkich tradycji tej rodziny; rzecz, którą zawsze ofiarowuje się ka dej kolejnej księ nej Claymore, gdy odpoczywa w połogu po wydaniu na świat dziedzica rodu.

Po tych słowach Alicia pochyliła się i ostro nie uniosła czerwony aksamit, odsłaniając piękną drewnianą szkatułę ze złotymi okuciami i perłowymi inkrustacjami, która wyglądała, jakby liczyła sobie kilka stuleci.

Whitney uniosła wieko i w oczach jej zajaśniało zdumienie.

– Przypomina jakiś kufer skarbów...

– Bo w istocie nim jest, ale z pewnym zastrze eniem: gdy ju obejrzysz wszystkie skarby, jakie zawiera, musisz dodać swój, a potem umieścić wewnątrz własny wizerunek. Mo esz zatrzymać tę szkatułę obok siebie, gdy le ysz w połogu, później zaś zostanie odło ona, a następna księ na Claymore powije nowego dziedzica.

Whitney uświadomiła sobie, e teściowa jest niezwykle tajemnicza, ale jeszcze bardziej zatroskała się, czy będzie mogła odegrać swoją rolę w kontynuowaniu owej uświęconej tradycji.

– Skarby? Mój wizerunek? - pytała z niepokojem. - Kiedy przyjechaliśmy tu na święta, nie myślałam, e urodzę dziecko. Nie wiedziałam te o adnej tradycji...

– Oczywiście, e nie wiedziałaś - powiedziała uspokajającym tonem księ na, czule klepiąc Whitney po policzku. - Upewniłam się jednak przed kilkoma miesiącami, e Clayton o tym pamięta, i teraz przywiózł twoją podobiznę, byś mogła umieścić ją w szkatule.

– A jak mam do nich dodać skarb podobny do tych, które znajdują się w środku?

– Otwórz szkatułę i obejrzyj skarby - poleciła Alicia Westmoreland. -

Zostawimy cię samą, byś dokładnie je poznała.

Ogromnie zmieszana, ale i zaintrygowana Whitney uniosła złoty skobel i obiema rękami otworzyła cię kie wieko. Z dreszczem zachwytu spojrzała błyszczącymi oczami na uśmiechniętą teściową.

– Listy! - wykrzyknęła. - Listy i miniaturowe portrety! Och, - spójrzcie, wachlarz z kości słoniowej! I wstą ka! Z jakiegoś powodu musiały być ogromnie wa ne...

Była tak podekscytowana, e nie zauwa yła, jak teściowa i mą wyszli z pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

Z bezgraniczną delikatnością wyjęła ze szkatuły wszystkie przedmioty i rozło yła wokół siebie. Znalazła tam osiem listów, większość z nich ju po ółkła i niemal wyschła ze starości, co wyjaśniało powód, dla którego szkatuła mogła być otwarta jedynie przez kilka dni przed odło eniem jej na następne dziesięciolecia.

Jeden z listów, napisany na pergaminie, zwinięto w gruby rulon. Sądząc, i jest najstarszy, Whitney

rozwinęła go delikatnie i przekonała się, e miała rację.

Napisany był szóstego dnia stycznia 1499 roku, starannym, wyrobionym pismem pierwszej księżnej Claymore.

Ja, Jennifer Merrick Westmoreland, księżna Claymore, ona Royce'a Westmorelanda i matka Williama, który urodził się nam trzeciego dnia stycznia, przesyłam Ci czułe powitanie...

Whitney jak zahipnotyzowana przeczytała opowieść o pierwszym księciu i księżnej Claymore, spisana w cudownych, zdumiewających szczegółach przez Jennifer Merrick Westmoreland. Pierwsza księżna Claymore pisała o turniejach, potyczkach i bitwach stoczonych przez jej zwycięskiego męża zwanego Czarnym Wilkiem, ale nie koncentrując się na szczegółach, które mogły interesować męża, postanowiła prawdę o swym

zyciu przekazać tym

kobietom, które kiedyś miały przejąć tytuł księżnej Claymore.

Opisała swą wściekłość, gdy Czarny Wilk porwał ją z rodzinnego zamku w Szkocji i przywiózł do Anglii. Kiedy przedstawiła swe sprytne próby uniknięcia niewoli, Whitney roześmiała się głośno. Ukazała ten swój gniew, gdy królewski dekret zmusił ją do małżeństwa, a Whitney doświadczyła tego samego upokorzenia i strachu, jakie czuła Jennifer Westmoreland. Opisała te turnieje i walki, które stoczył Czarny Wilk, ona zaś uhonorowała innego rycerza, i Whitney wraz z Jennifer doznała poczucia winy.

Na końcu owego listu jednak miłość Jennifer Westmoreland do męża jaśniała takim blaskiem, e oczy Whitney zamglily się łzami.

Pierwsza księżna Claymore zakończyła list wyjaśnieniem, e wraz z owym rulonem wkłada do szkatuły swój wizerunek, aby jej przyszła synowa mogła się dowiedzieć, jak wyglądała.

Kiedy powiedziała memu panu mężowi, e chciałabym mieć niewielką podobiznę, i przedstawiłam mu plan, by przekazywać skrzynię z pokolenia na pokolenia, zatrudnił pewnego artystę i podarował mi taki wizerunek. Jest nader pochlebny -wyznała skromnie. - Me mam tak duży oczu, a moje rysy nie są tak doskonałe, ale pan mąż przysięga, e podobieństwo oddano wiernie. Jego zaś pomysłem było wygrawerowanie na odwrocie ramki mojego imienia, aby -jeśli moje nadzieje związane z tą szkatułą się spełnią -można było odnaleźć moją twarz wśród owych licznych wizerunków wszystkich kolejnych dam noszących tytuł księżnej Claymore zawartych w jej wnętrzu. Modlę się, by kiedyś z Waszych mężów był taki jak mój. ałuję tylko tego, e nie ujrzę Waszych twarzy...

Łzy zalewały oczy Whitney. Patrzyła na miniaturowe portrety leżące na kołdrze wokół niej. Sięgnęła po oprawną w złoto miniaturę, która wyglądała na najstarszą, i odwróciła ją, by zobaczyć, co jest pod spodem, a potem uśmiechnęła się przez łzy. Srogi księstwo, którego nazywano Czarnym Wilkiem, nie tylko inicjały małżonki kazał wygrawerować na odwrocie. Poleciał spleść z nimi swoje, a wszystko otoczyć sercem.

Whitney przycisnęła miniaturę do serca i z ociąganiem odło ją na bok...

A do późnego popołudnia wielokrotnie przeczytała wszystkie listy i zrozumiała uczucia, jakie kryły się za każdą pamiętką umieszczoną w szkatule.

Tego wieczoru, gdy Noela zabrano do dzieciennego pokoju, Whitney kazała sobie przynieść papier i sięgnęła po pióro. Na górze arkusza umieściła datę i zaczęła pisać...

Ja, Whitney Allison Westmoreland, Dziewiąta Księżna na Claymore, ona Claytona Roberta Westmorelanda, matka Noela, który urodził się nam dwunastego dnia grudnia...

Zachowując tradycję owych listów, opisała ze szczegółami konkury Claytona i ich małżeństwo. Kiedy zaś skończyła następnego wieczoru, spojrzała na męża, który siedząc przed kominkiem w sypialni, czytał jakąś książkę.

– Napisałam swój list - powiedziała. - Zgodnie z tradycją muszę teraz umieścić w szkatule swój wizerunek z imieniem na odwrocie... podobiznę, która twoim zdaniem wiernie mnie przedstawia. Powiedziałeś, że przywiozłeś tu jakąś z Claymore. Masz czas, aby teraz mi ją przynieść?

Natychmiast odło książkę i podszedł do łóżka.

– Dla ciebie zawsze mam czas - odrzekł, a potem pocałował ją w usta i usiadł

obok na łóżku.

– Gdzie więc ona jest? - zapytała z ciekawością, chcąc się dowiedzieć, który z jej wizerunków wydał mu się odpowiedni i co kazał napisać na odwrocie.

W odpowiedzi Clayton otworzył górną szufladkę nocnego stolika i z tklwym uśmiechem wręczył Whitney jej mały portret z dnia ślubu, oprawiony w solidną złotą ramę. Na odwrocie wyryto inskrypcję od księcia, która głosiła: „Whitney -

moja ona i moja miłość”.

"Drodzy Czytelnicy,

„Whitney - moja miłość" była moją pierwszą powieścią i kiedy zaczynałam nad nią pracować w 1978 roku, jedyną moją nadzieją było to, że może kiedyś zostanie wydrukowana. Kiedy wydawca (Pocket Books) nabył tę książkę i pierwszy raz opublikował ją w 1985 roku, nie wyobrażałam sobie, że „Whitney"

stać się bestsellerem ani że zdobędzie nagrody, ani że zostanie uznana za klasykę. Jednak właśnie tak się stało, i pomyślałam, że to szczęśliwy finał.

W istocie okazało się to dopiero początkiem. Ród Westmorelandów stał się tak rzeczywisty i tak bliski czytelnikom, że właśnie czytelnicy nalegali na powstanie następnej książki. W odpowiedzi zdecydowałam się napisać

„Królestwo marzeń”, powieść, której akcja toczy się w średniowieczu, a która opowiada o Roysie Westmorelandzie, pierwszym księciu Claymore, i Jennifer Merrick Westmoreland, uprowadzonej przez niego oblubienicy. Wcześniej nie zamierzałam pisać takiej powieści, ale Jennifer i Royce wprost „wskoczyli” na jej strony, jakby naprawdę yli i bardzo chcieli przedstawić mi własną historię.

Opowiedzieli ją z cudowną lekkością. Śmiałam się i płakałam wraz z tymi postaciami i w końcu je pokochałam. „Królestwo” stało się jedną z moich ulubionych ksiąg i Czytelnicy także ją polubili.

Przez lata prośby o następną księgę o kolejnym Westmorelandzie nabrały takiej siły, że ostatecznie skapitulowałam i napisałam powieść o Stephenie.

Rozmyślnie stworzyłam zupełnie nieprzewidywalną bohaterkę, która potrafiła jednocześnie bawić go i denerwować, a potem postawiłam ich oboje w bardzo trudnej sytuacji i kazałam im z owej sytuacji wyjść. Aby pomóc Stephenowi (i utrudnić mu życie), wprowadziłam do „jego” powieści Nicholasa DuVille'a i doktora Whitticomba z „Whitney” oraz Whitney i Claytona.

Przyznam, że cudownie spędziłam czas, obcując z bohaterami znanymi z

„Whitney”, kiedy pisałam historię Stephena, ale czułam, że powinna ona zakończyć ten „Westmorelandowski” cykl. Jednak jej wydanie wywołało falę listów od Czytelników, by ponownie wydać „Whitney”, aby mogli zgromadzić całość.

Przez piętnaście lat od pierwszego wydania „Whitney” opierałam się napisaniu dalszego ciągu, chociaż zawsze chciałam, że zakończyłam ją tak nagle, jak to uczyniłam. Uświadomiłam sobie, że jest kilka świetnych scen, jakie mogłabym dodać, i kilka takich, które należało podkreślić, lecz nie sądziłam, że będę miała sposobność, by to zrobić. Decyzja ponownego wydania tej powieści dała mi taką radość. Mam nadzieję, że ta nowa, poszerzona edycja przyniesie Państwu taką radość, z jaką ja prezentuję ją Czytelnikom.

Judith McNaught